FRANK HERBERT

DIUNA

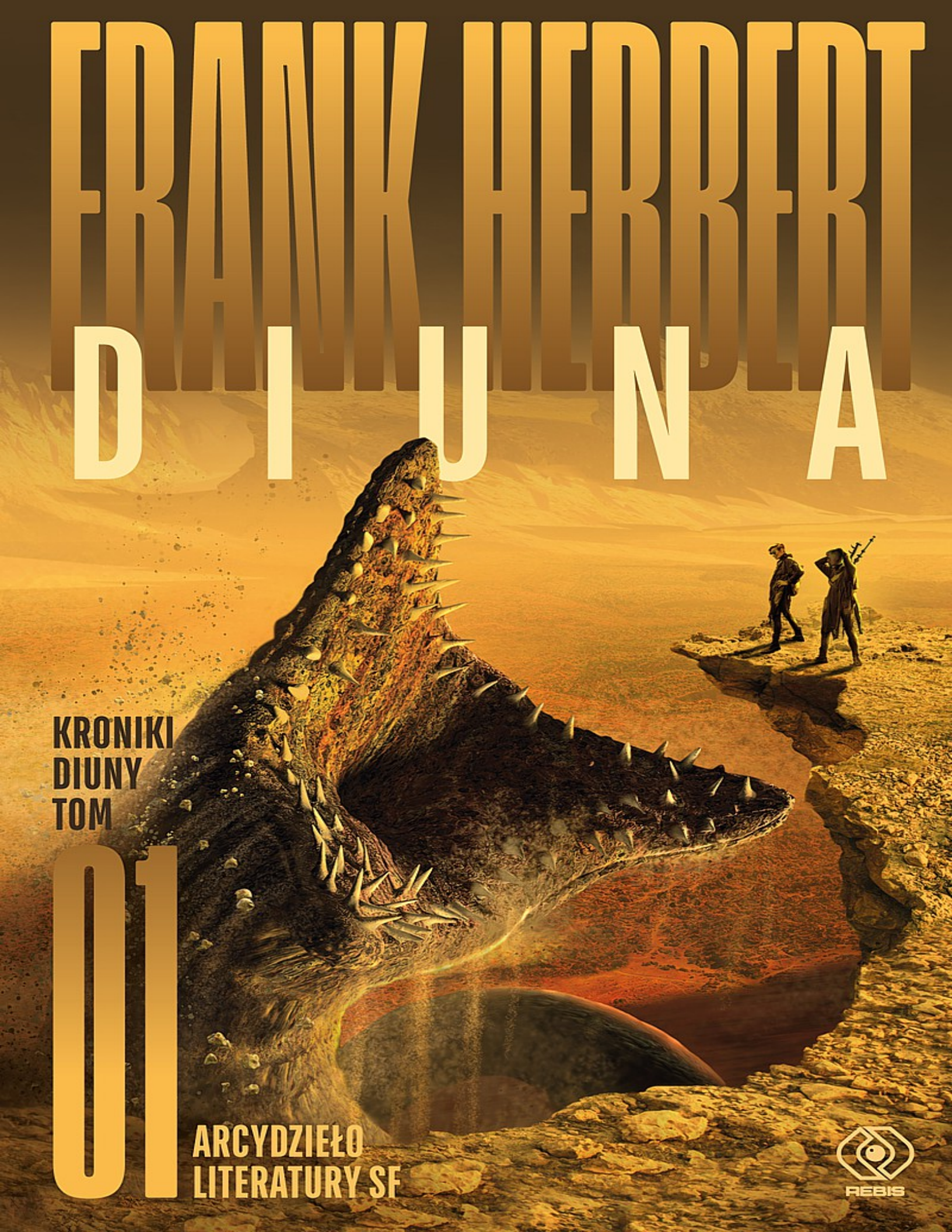

KRONIKI DIUNY TOM 01

ARCYDZIEŁO LITERATURY SF

REBIS

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

FRANK HERBERT

DIUNA

Przełożył
MAREK MARSZAŁ

DOM WYDAWNICZY REBIS

Ludziom, których trudy wynoszą ponad idee
w królestwo „tworzywa rzeczywistości” –
ekologom krain bezwodnych, obojętnie gdzie
i kiedy działają, niniejszy przyczynek
futurologiczny w pokorze i z podziwem dla ich
pracy poświęcam

KSIĘGA 1

DIUNA

Początek to czas dla podjęcia najsubtelniejszych działań, by wszystko znajdowało się na swoim miejscu. Wie o tym każda siostra Bene Gesserit. Rozpoczynając studia nad życiem Muad'Diba, postaraj się więc najpierw osadzić go w czasie: urodził się w 57 roku Padyszacha Imperatora Szaddama IV. A szczególnie postaraj się osadzić Muad'Diba w miejscu: na Arrakis. Niechaj nie zwiedzie cię to, że urodził się na Kaladanie i tam przeżył pierwsze piętnaście lat. Arrakis, planeta zwana Diuną, pozostanie jego miejscem po wsze czasy.

– z *Księgi o Muad'Dibie* pióra księżnej Irulany

W tygodniu poprzedzającym ich wyjazd na Arrakis, gdy ledwie już mogli wytrzymać szaleństwo całej tej końcowej bieganiny, z wizytą do matki Paula przybyła pewna stara kobieta.

Była ciepła noc i zamek Kaladan, starożytna sterta kamienia od dwudziestu sześciu pokoleń służąca za dom rodowi Atrydów, tonął w aurze wystygłej łaźni, jaka spowijała go na zmianę pogody.

Kobietę wprowadzono bocznym wejściem przez sklepiony korytarz wiodący obok sypialni Paula, pozwalając jej zajrzeć na chwilę do leżącego w łóżku chłopca.

W świetle lampy dryfowej, przyciemnionej i spuszczonej nad podłogę, rozbudzony chłopiec zobaczył w drzwiach masywną postać kobiety stojącej o krok przed jego matką. Postać wiedźmowatej zjawy – włosy jak potargana pajęczyna kryły jej rysy w ciemności, oczy migotały jak klejnoty.

– Czy nie jest za mały na swój wiek, Jessiko? – spytała. Jej głos skrzypiał i brzęczał niczym rozstrojona baliseta.

– Jak wiadomo, Atrydzi późno zaczynają rosnąć, wasza wielebność – odparła delikatnym kontraltem matka Paula.

– Tak mówią, tak mówią – zaskrzypiała stara. – Jednak ma już piętnaście lat.

– Tak, wasza wielebność.

– Nie śpi i słucha nas – powiedziała kobieta. – Mały, chytry gałgan. – Zachichotała. – Ale tron wymaga chytrości. I jeśli on rzeczywiście jest Kwisatz Haderach… hmm…

Pośród cieni wokół łóżka Paul mrużył oczy. Wydawało mu się, że dwa błyszczące ptasie paciorki – źrenice staruchy – obserwując go, rozszerzają się i świecą.

– Śpij dobrze, mały chytrusku – powiedziała stara. – Musisz zebrać wszystkie siły na jutrzejsze spotkanie z gom dżabbar.

I wypchnąwszy jego matkę, zniknęła za drzwiami, zamykając je solidnym trzaśnięciem.

Paul leżał, zachodząc w głowę: „Co to takiego gom dżabbar?”.

W całym zamieszaniu przeprowadzki stara kobieta była największym dziwem, jaki oglądał.

„Wasza wielebność”.

I to, że do matki mówiła „Jessiko”, jak do zwykłej służebnej dziewki, a nie do tej, którą była: damy Bene Gesserit, książęcej konkubiny i matki książęcego syna.

„Może ten gom dżabbar to coś z Arrakis, o czym powinienem wiedzieć, zanim tam pojedziemy?” – zastanawiał się. Przesylabizował dziwne słowa:

– Gom dżabbar… Kwisatz Haderach.

Ileż jeszcze musi się nauczyć! Arrakis tak bardzo różniła się od Kaladanu, że aż kręciło mu się w głowie od nawału nowych faktów.

„Arrakis – Diuna – Pustynna Planeta”.

Thufir Hawat, mistrz asasynów ojca, mu to wyjaśnił: ich śmiertelny wróg, Harkonnenowie, dostali planetę w pseudolenno i siedzieli na niej

przez osiemdziesiąt lat na mocy układu z kompanią KHOAM, pozyskując geriatryczną przyprawę – melanż. Teraz Harkonnenowie opuszczali Arrakis, oddaną w całkowite lenno rodowi Atrydów. Było to bezsprzeczne zwycięstwo księcia Leto. Jednakże, mówił Hawat, z tego powodu zagraża im śmiertelne niebezpieczeństwo, ponieważ książę Leto cieszy się popularnością wśród wysokich rodów Landsraadu.

– Popularny człowiek wzbudza zawiść potężnych – powiedział Hawat.

„Arrakis – Diuna – Pustynna Planeta”.

Paul zapadł w sen, który przeniósł go do arrakijskiej jaskini. Dookoła w mdłym świetle lumisfer snuł się tłum milczących postaci. Było tam uroczyście jak w katedrze, a on wsłuchiwał się w szmer spadających kropli wody: kap… kap… kap… Nawet śniąc, wiedział, że gdy się obudzi, będzie wszystko pamiętał. Nigdy nie zapominał snów będących przepowiedniami.

Sen się rozwiał.

Na wpół rozbudzony, świadom ciepła własnego łóżka, Paul rozmyślał i rozmyślał. Ten świat zamku Kaladan, bez zabaw, bez rówieśników… Może i nie warto żegnać go z żalem. Jego nauczyciel, doktor Yueh, napomknął, że na Arrakis nie przestrzegano zbyt rygorystycznie klasowego faufreluches. Na planecie znaleźli schronienie ludzie pustyni, nieuznający nad sobą kaidów ani baszarów: ludzie lotne piaski, zwani Fremenami, pomijani we wszystkich rejestrach Cenzusu Imperialnego.

„Arrakis – Diuna – Pustynna Planeta”.

Odczuwając niepokój, Paul zdecydował się na jedno z ćwiczeń koncentracyjno-relaksacyjnych, jakich nauczyła go matka. Trzy pospieszne oddechy wyzwoliły reakcję: porwał go swobodny strumień świadomości… teraz świadoma koncentracja… zwiększyć przepustowość aorty… uniknąć mechanizmu podświadomej dekoncentracji… być świadomym świadomie… wzbogacona krew płynie wartko do przeciążonych obszarów

ciała… sam instynkt nie wystarczy do pokonania progów pożywienia, bezpieczeństwa, wolności… świadomość zwierzęcia nie wykracza poza daną chwilę ani nie sięga idei, że jego ofiary mogą wyginąć… zwierzę niszczy, nie tworzy… jego popędy trzymają się progu doznań zmysłowych i unikają percepcji… człowiek potrzebuje siatki percepcyjnej, przez którą patrzy na swój wszechświat… kierowana wolą świadoma koncentracja, oto co tworzy ową siatkę… przepływ impulsów nerwowych i krwi daje ciału integralność zgodną z najgłębszą świadomością potrzeb komórki… wszystkie rzeczo-komórko-istoty są nietrwałe… trzeba osiągnąć trwałość obiegu świadomości…

Jeszcze raz i jeszcze raz, i jeszcze przewijała się ta lekcja w swobodnym strumieniu świadomości Paula.

Wyczuwszy przez zamknięte powieki, że żółte promienie świtu dotknęły parapetu, otworzył oczy i zapatrzony w znajomy ornament światłocieni na suficie sypialni, przysłuchiwał się podjętej na nowo krzątaninie i hałasom w zamku.

Uchyliły się drzwi od korytarza i zajrzała matka. Czarna wstążka przytrzymywała jej miedzianobrązowe włosy otaczające owalną twarz, niewzruszone zielone oczy patrzyły z powagą.

– Nie śpisz – powiedziała. – Wyspałeś się?

– Tak.

Obserwując jej wysoką postać, kiedy wybierała mu ubranie z szafy, zauważył oznaki napięcia w ramionach. Ktoś inny by to przeoczył, ale ona wyćwiczyła go w metodzie Bene Gesserit – w najdrobniejszych niuansach postrzegania. Odwróciła się do niego, trzymając półurzędową marynarkę. Tę z czerwonym jastrzębiem Atrydów nad kieszenią na piersi.

– Pospiesz się – ponagliła go. – Matka wielebna czeka.

– Śniła mi się kiedyś – powiedział Paul. – Kto to jest?

– Była moją nauczycielką w szkole Bene Gesserit. Obecnie jest prawdomówczynią Imperatora. I… – zawahała się – Paulu, musisz jej opowiedzieć swoje sny.

– Opowiem. Czy to dzięki niej mamy Arrakis?

– Nie *mamy* Arrakis. – Strzepnęła pyłek ze spodni i powiesiła je obok marynarki na wieszaku przy łóżku. – Nie każ czekać na siebie matce wielebnej.

Paul usiadł i rękami objął kolana.

– Co to jest gom dżabbar?

Po raz wtóry dzięki naukom matki zauważył jej właściwie niedostrzegalne wahanie, nieposłuszeństwo nerwów, które odczytał jako strach. Jessika podeszła do okna, odsunęła zasłony i zapatrzyła się na szczyt Sjubi za nadrzecznymi sadami.

– Dowiesz się… już wkrótce.

Zdumiał go lęk w jej głosie.

– Matka wielebna oczekuje cię w moim saloniku – powiedziała Jessika, nie odwracając się. – Pospiesz się, proszę.

Matka wielebna Gaius Helena Mohiam siedziała na wyścielanym krześle, obserwując zbliżającą się matkę z synem. Okna z jej prawej i lewej strony wychodziły na południowe zakole rzeki i zielone pola uprawne włości Atrydów, lecz matki wielebnej nie interesowały krajobrazy. Tego ranka odczuwała swoje lata i było to coś więcej niż tylko drobna dokuczliwość. Winiła za to podróż i kontakty z tą obmierzłą Gildią Kosmiczną z jej sekretami, ale czekające ją tutaj zadanie wymagało osobistego zaangażowania Bene Gesserit jasnowidzącej. Nawet prawdomówczyni

Padyszacha Imperatora nie mogła się uchylić od odpowiedzialności, kiedy wzywały obowiązki.

„Piekło by pochłonęło tę diablicę Jessikę! – pomyślała. – Gdybyż urodziła nam córkę, jak miała nakazane”.

Jessika zatrzymała się trzy kroki przed krzesłem i lekko dygnęła, ledwie muskając rąbek sukni lewą dłonią. Paul wykonał oszczędny ukłon, którego nauczył się od swego instruktora tańca na wypadek, gdy nie jest się pewnym pozycji drugiej osoby.

Subtelności powitania chłopca nie uszły uwagi matki wielebnej.

– Jest ostrożny, Jessiko – powiedziała.

Palce Jessiki dotknęły ramienia Paula, a potem zacisnęły się na nim. Przez moment czuł w nich pulsowanie strachu. Opanowała się w mgnieniu oka.

– Tak go nauczono, matko wielebna.

„Czego ona się boi?” – nie mógł zrozumieć Paul.

Stara kobieta zmierzyła go krótkim, taksującym spojrzeniem: owal twarzy Jessiki, ale kości masywne… włosy to krucza czerń księcia, za to brwi po dziadku ze strony matki, którego imienia nie wolno wspominać, jak również ten cienki, dumny nos. Kształt zielonych, hardo spoglądających oczu jak u Starego Księcia, nieżyjącego dziadka ze strony ojca.

„Tak, był kiedyś mężczyzna doceniający potęgę brawury, nawet w śmierci” – pomyślała matka wielebna.

– Nauka to jedno – powiedziała – a pierwiastek pierwotny drugie. Zobaczymy. – Starcze oczy spojrzały twardo na kobietę. – Zostaw nas samych. Zalecam ci medytacje.

Jessika zdjęła dłoń z ramienia Paula.

– Wasza wielebność, ja…

– Jessiko, wiesz, że to musi się stać.

Paul, zaintrygowany, podniósł oczy na matkę.

– Tak… Oczywiście – powiedziała, prostując się.

Z kolei chłopiec popatrzył na matkę wielebną. Uprzejmość i wyraźny strach matki przed tą staruchą nakazywały ostrożność. Gniewał go jednak lęk, który wyczuwał w matce.

– Paulu – Jessika odetchnęła głęboko – próba, do której za chwilę przystąpisz… jest dla mnie ważna.

– Próba? – Spojrzał na nią.

– Pamiętaj, że jesteś synem księcia – powiedziała.

Odwróciła się gwałtownie i wymaszerowała z pokoju wielkimi krokami z suchym szelestem sukni. Drzwi zatrzasnęły się za nią.

Tłumiąc gniew, Paul stanął twarzą w twarz ze starą kobietą.

– Czyż odprawia się lady Jessikę jak służebną dziewkę?

Uśmiech zadrgał w kącikach pomarszczonych ze starości ust.

– Lady Jessika była, chłopcze, moją służebną dziewką w szkole czternaście lat. – Pokiwała głową. – I to w dodatku dobrą. A teraz podejdź tu!

Rozkaz był jak cięcie biczem. Posłuchał, zanim zdał sobie z tego sprawę. „Używa na mnie Głosu” – pomyślał. Zatrzymał się na skinienie kobiety przy jej kolanach.

– Widzisz to? – zapytała.

Z fałd togi wydobyła zielony metalowy sześcian o boku około piętnastu centymetrów. Odwróciła go i chłopak zauważył, że w miejscu jednej ściany jest otwór – czarny i dziwnie straszny. Ani odrobina światła nie przenikała owej ziejącej czerni.

– Włóż prawą dłoń do pudełka – nakazała.

Strach przeszył Paula. Zaczął się cofać, ale usłyszał głos starej:

– To tak się słucha matki?

Zajrzał w błyszczące ptasie źrenice. Powolutku, pod wpływem wewnętrznego przymusu, któremu nie potrafił się przeciwstawić, włożył dłoń do pudełka. Najpierw poczuł chłód, kiedy czerń zamknęła się na niej, następnie gładki metal pod palcami i mrowienie, jakby dłoń mu zdrętwiała.

Rysy starej kobiety przybrały drapieżny wyraz. Podniosła prawą rękę znad skrzynki i zatrzymała ją przy szyi Paula. Dostrzegł w niej błysk metalu i począł się odwracać w tym kierunku.

– Nie ruszaj się! – warknęła.

„Znowu używa Głosu!”

Skoncentrował się ponownie na jej twarzy.

– Trzymam przy twej szyi gom dżabbar – powiedziała. – „Gom dżabbar” znaczy „wróg ostateczny”. To igła z kroplą trucizny na czubku. Aaach! Nie ruszaj się, bo poczujesz jej działanie.

Paul próbował przełknąć ślinę, ale miał sucho w ustach. Nie mógł odwrócić wzroku od pomarszczonej starczej twarzy, błyszczących oczu i bladych dziąseł nad srebrzystymi zębami z metalu połyskującymi przy każdym słowie.

– Syn księcia musi się znać na truciznach – powiedziała. – To znak naszych czasów, co? Musky do zatruwania napojów, aumas do zatruwania jedzenia. Trucizny natychmiastowe, powolne i wszystkie pośrednie. Oto nieznana ci trucizna: gom dżabbar. Zabija wyłącznie zwierzęta.

Duma przemogła w Paulu strach.

– Ośmielasz się sugerować, że książęcy syn jest zwierzęciem? – zapytał.

– Sugeruję, powiedzmy, że możesz być człowiekiem – odparła. – Spokojnie! Ostrzegam, byś nie próbował się wyrywać. Stara jestem, lecz moja ręka zdąży wsadzić ci tę igłę w szyję, nim uciekniesz.

– Kim jesteś? – wyszeptał. – Jak zwiodłaś moją matkę, że zostawiła mnie z tobą samego? Przysłali cię Harkonnenowie?

– Harkonnenowie? Co też ty wygadujesz! A teraz bądź cicho.

Suchy palec dotknął jego szyi i Paul opanował odruch, by odskoczyć.

– Dobrze – powiedziała. – Przeszedłeś pierwszą próbę. A oto, jak wygląda reszta: jeśli wyjmiesz dłoń z pudełka, umrzesz. To jedyna zasada. Trzymaj dłoń w środku, a będziesz żył. Jeśli ją zabierzesz, umrzesz.

Chłopiec zaczerpnął tchu, by uspokoić drżenie.

– Gdy krzyknę, służba dopadnie cię w parę sekund i to ty umrzesz.

– Służba nie przekroczy drzwi, bo twoja matka stoi za nimi na straży. Możesz mi wierzyć. Ona przeszła tę próbę. Teraz twoja kolej. Czuj się zaszczycony. Nieczęsto poddajemy jej dzieci płci męskiej.

Zaciekawiony, Paul zdołał zapanować nad strachem. W głosie starej kobiety słyszał prawdę, nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Jeśli matka stoi tam na straży… jeśli to naprawdę próba… Zresztą cokolwiek by to było, wiedział, że wpadł w pułapkę, którą stanowi ta dłoń przy jego szyi: gom dżabbar. Przywołał w pamięci responsorium *Litanii przeciw strachowi* z obrządku Bene Gesserit, której nauczyła go matka.

„Nie wolno się bać. Strach zabija duszę. Strach to mała śmierć, a wielkie unicestwienie. Stawię mu czoło. Niechaj przejdzie po mnie i przeze mnie, a kiedy przejdzie, obrócę oko swej jaźni na jego drogę. Którędy przeszedł strach, tam nie ma nic. Jestem tylko ja”.

Czując powracający spokój, powiedział:

– Kończ z tym, starucho.

– Starucho! – warknęła. – Odwagi nie można ci odmówić. Dobrze, zobaczymy, zadufku. – Nachyliła się nisko, ściszając głos prawie do szeptu. – Poczujesz ból dłoni w pudełku. Ból. Ale cofnij rękę, a twej szyi dotknie gom dżabbar. Śmierć przyjdzie równie szybko jak opadnięcie katowskiego topora. Zabierzesz rękę, a gom dżabbar weźmie cię jak swego. Rozumiesz?

– Co jest w pudełku?

– Ból.

Poczuł silniejsze mrowienie w dłoni i zacisnął mocno wargi. „Jak coś takiego może być próbą?” – zastanawiał się. Do mrowienia dołączyło się swędzenie.

– Słyszałeś o tym – powiedziała stara kobieta – że zwierzęta odgryzają sobie kończynę, by umknąć z potrzasku? To zwierzęca sztuczka. Człowiek pozostanie w sidłach, zniesie ból i uda śmierć, by zabić myśliwego, usuwając zagrożenie dla swego gatunku.

Mrowienie przeszło w ledwo odczuwalne pieczenie.

– Po co to robisz? – spytał.

– By ustalić, czy jesteś człowiekiem. Zamilknij.

Paul zwinął lewą dłoń w pięść, gdy w drugiej nasiliło się pieczenie. Narastało powoli: fala ciepła za falą… fala za falą. Czuł, jak paznokcie wbijają mu się w zaciśniętą dłoń. Próbował rozprostować przypiekane palce drugiej, lecz nie mógł nimi poruszyć.

– Pali – wyszeptał.

– Cicho!

Pulsujący ból przenikał do ramienia. Pot wystąpił mu na czoło, każde włókno jego ciała krzyczało wniebogłosy, by zabrał dłoń z tej płonącej czeluści… jednak… gom dżabbar. Nie odwracając głowy, usiłował spojrzeć na ową upiorną igłę znieruchomiałą przy jego szyi. Zachłystywał się powietrzem, chciał uspokoić oddech i nie mógł.

Ból!

Cały jego świat zniknął prócz konającej w męczarniach dłoni i starczej twarzy wpatrzonej w niego z odległości paru centymetrów. Wargi tak mu wyschły, że miał trudności z ich rozdzieleniem.

„Palę się! Palę się!”

Wydawało mu się, że czuje, jak skóra zwija się i czernieje na konającej dłoni, ciało przepala się i odpada, obnażając zwęglone kości.

Stop!

Ból ustał jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Paul był zlany potem, prawa ręka mu dygotała.

– Dosyć – wymamrotała stara. – *Kull wahad!* Żadna dziewczynka tyle nie wytrzymała. Chyba pragnęłam twej porażki. – Odchyliła się w tył, zabierając gom dżabbar. – Wyciągnij rękę ze skrzynki i spójrz na nią, młody człowieku.

Pokonując bolesne drżenie, Paul utkwił oczy w mrocznej pustce, w której jego dłoń zdawała się przebywać z własnej woli. Wspomnienie bólu paraliżowało wszelki ruch. Rozum mówił mu, że z pudełka wyjmie osmalony kikut.

– No, wyjmuj! – warknęła.

Wyszarpnął dłoń ze skrzynki i zagapił się na nią osłupiały. Nic. Ani śladu po męczarni. Podniósł dłoń, obrócił ją, poruszył palcami.

– Nerwoból indukcyjny – powiedziała. – Nie mogę okaleczać wszystkich potencjalnych ludzi, ale są tacy, którzy dużo by dali za sekret tej skrzynki.

Ukryła pudełko w fałdach togi.

– Ale ból… – zaczął.

– Ból! – prychnęła wzgardliwie. – Człowiek potrafi zapanować nad każdym nerwem swego ciała.

Poczuł ból w lewej dłoni, rozprostował zaciśnięte palce, spojrzał na cztery krwawe ślady po wbitych w ciało paznokciach. Opuścił rękę i popatrzył na starą kobietę.

– Zrobiłaś to kiedyś mojej matce?

– Przesiewałeś kiedyś piasek przez sito? – odpowiedziała.

Zszokowany tym niezwiązanym z tematem pytaniem umysł Paula osiągnął stan wyższej świadomości. „Piasek przez sito”. Skinął głową.

– My, Bene Gesserit, przesiewamy ludzi, by wyłowić człowieka – oznajmiła.

Podniósł prawą rękę, przywołując wspomnienie katuszy.

– I to wszystko, co w tym jest? Ból?

– Obserwowałam cię w bólu, chłopcze. Ból jest zaledwie osią próby. Matka opowiadała ci o naszych metodach obserwacji. Widzę w tobie znamiona jej nauki. Nasz test to moment krytyczny plus obserwacja.

Jej ton to potwierdzał, więc rzekł:

– To prawda!

Wbiła w niego wzrok. „On wyczuwa prawdę! Czyżby był tym jedynym? Czyżby istotnie miał nim być?” Opanowała podniecenie, upominając samą siebie: „Nadzieja przesłania jasność widzenia”.

– Wiesz, kiedy ludzie wierzą w to, co mówią – stwierdziła.

– Wiem.

W jego głosie pobrzmiewały echa pewności nabytej w wielokrotnych próbach. Słysząc je, powiedziała:

– Może i jesteś Kwisatz Haderach. Siądź, mały bracie, tu, u moich stóp.

– Wolę stać.

– Twoja matka siedziała kiedyś u moich stóp.

– Nie jestem swoją matką.

– Nienawidzisz nas troszeczkę, co? – Spojrzawszy w stronę drzwi, zawołała: – Jessiko!

Jessika stanęła w drzwiach, obrzucając pokój surowym wzrokiem. Złagodniała na widok Paula. Zdobyła się na słaby uśmiech.

– Jessiko, czy przestałaś mnie nienawidzić? – spytała stara kobieta.

– Kocham cię i nienawidzę zarazem – odparła zapytana. – Nienawidzę za cierpienia, których nigdy nie zapomnę. Kocham za…

– Wystarczy sam fakt – powiedziała stara cieplejszym głosem. – Możesz już wejść, tylko się nie odzywaj. Zamknij drzwi i pilnuj, by nikt nam nie przeszkadzał.

Jessika weszła do pokoju, zamknęła drzwi i oparła się o nie plecami. „Mój syn żyje – pomyślała. – Mój syn żyje i jest… człowiekiem. Wiedziałam, że jest… ale… on żyje. Teraz mogę żyć dalej”. Czuła dotyk drzwi, twardy i rzeczywisty. Wszystko w tym pokoju było dotykalne i wyczuwalne zmysłami.

„Mój syn żyje”.

Paul spojrzał na matkę. „Mówiła prawdę” – stwierdził. Pragnął umknąć i w samotności przemyśleć to, czego doświadczył, jednak wiedział, że nie może odejść, dopóki go nie odprawią. Stara kobieta zyskała nad nim władzę. „Obie mówiły prawdę” – skonstatował. Matka przeszła taką samą próbę. W tym wszystkim musiało się kryć jakieś straszliwe przeznaczenie… ból i strach są straszne. Rozumiał straszliwe przeznaczenia. Parły na przekór wszystkiemu. Stanowiły własną konieczność. Paul czuł, że dostał się w tryby straszliwego przeznaczenia, choć jeszcze nie wiedział jakiego.

– Pewnego dnia, chłopcze – powiedziała stara – może i ty będziesz musiał tak stać za drzwiami. Nie jest to takie proste.

Paul spuścił oczy na dłoń, która poznała ból, a potem podniósł je na matkę wielebną. W brzmieniu jej głosu było teraz coś, czego nie spotkał w żadnym ze znanych mu głosów. Słowa były oszczędne i błyskotliwe. Wyczuwało się w nich napięcie. Odnosił wrażenie, że o cokolwiek ją zapyta, odpowiedź wyniesie go ponad jego cielesną powłokę ku czemuś wyższemu.

– Po co poddajesz ludzi próbie człowieczeństwa?

– By ich uwolnić.

– Uwolnić?

– Kiedyś ludzie scedowali myślenie na maszyny z nadzieją, że dzięki temu będą wolni, ale umożliwili tylko innym ludziom i ich maszynom ujarzmienie siebie.

– „Nie będziesz czynił machin na obraz i podobieństwo umysłu ludzkiego” – zacytował Paul.

– Wprost z Dżihadu Butlerowskiego i Biblii Protestancko-Katolickiej – powiedziała – lecz to, co głosi Biblia P-K, winno brzmieć: „Nie będziesz czynił machin udających umysł ludzki”. Czy studiowałeś przypadek mentata w waszej służbie?

– Studiowałem *pod kierunkiem* Thufira Hawata.

– Wielka Rewolta wymusiła rozwój ludzkich umysłów. Powstały szkoły rozwijające talenty człowieka.

– Szkoły Bene Gesserit?

Przytaknęła.

– Z owych starożytnych szkół pozostały do dziś dwie najważniejsze: Bene Gesserit i Gildia Kosmiczna. Gildia, jak sądzimy, kładzie nacisk na prawie czystą matematykę. Bene Gesserit zajmuje się innymi sprawami.

– Polityką.

– *Kull wahad!* – zawołała stara. Spojrzała surowo na Jessikę.

– Ja mu nie mówiłam, wasza wielebność – powiedziała Jessika.

Matka wielebna ponownie skupiła uwagę na Paulu.

– Wpadłeś na to, nie mając prawie żadnych poszlak – zauważyła. – Rzeczywiście, polityką. Pierwszymi szkołami Bene Gesserit kierowały te, które dojrzały potrzebę ciągłości w sprawach ludzkich. Zrozumiały, że

takiej ciągłości nie będzie bez oddzielenia rasy ludzkiej od zwierzęcej… w celach rozrodczych.

Nagle słowa starej utraciły dla Paula swą szczególną ostrość. Obraziły w nim to coś, co jego matka nazywała instynktem prawości. Nie żeby matka wielebna go okłamywała. Było jasne, że wierzy w swoje słowa. Chodziło o rzecz istotniejszą, związaną z jego straszliwym przeznaczeniem.

– A matka mówiła mi, że wiele absolwentek szkół Bene Gesserit nie zna swojego pochodzenia – powiedział.

– Zapisy linii genetycznych zawsze zostają w naszych rejestrach – odparła stara. – Twoja matka wie, że pochodzi albo od Bene Gesserit, albo też jej ród sam z siebie był do przyjęcia.

– Dlaczego więc nie może znać swoich rodziców?

– Niektóre ich znają… Wiele nie zna. Mogłyśmy, na przykład, planować skrzyżowanie jej z bliskim krewnym, by uzyskać dominantę pewnej cechy genetycznej. Powodów jest wiele.

Znów obraziła jego prawość.

– Sporo na siebie bierzecie – rzekł.

Matka wielebna zapatrzyła się w niego. „Czyżbym usłyszała krytycyzm w jego głosie?” – przemknęło jej przez myśl.

– Dźwigamy ciężkie brzemię – przyznała.

Paul czuł, że coraz bardziej wychodzi z szoku wywołanego próbą. Spojrzał prosto w jej taksujące oczy i powiedział:

– Twierdzisz, że mogę być Kwisatz Haderach. Co to jest? Ludzki gom dżabbar?

– Paulu – powiedziała Jessika – nie wolno ci przemawiać takim tonem do…

– Ja to załatwię, Jessiko – przerwała jej stara. – Otóż, chłopcze, czy słyszałeś o serum prawdomówczyni?

– Zażywacie je, by rozwinąć dar wykrywania kłamstwa. Wiem to od matki.

– Widziałeś kiedyś trans prawdy?

Pokręcił głową.

– Nie.

– Serum jest niebezpieczne – powiedziała – ale daje szósty zmysł. Kiedy dar serum spłynie na prawdomówczynię, może ona zobaczyć wiele miejsc w swej pamięci, w pamięci swego ciała. Widzimy tyle dróg przeszłości… lecz są to jedynie drogi kobiece. – W jej głosie zagościła nuta smutku. – Ale jest miejsce, którego nie może zobaczyć żadna prawdomówczyni. Odpycha nas ono, przeraża. Mówi się, że pewnego dnia pojawi się mężczyzna i odnajdzie w darze serum swoje wewnętrzne widzenie. Zobaczy to, czego my nie możemy: zarówno kobiecą, jak i męską przeszłość.

– Wasz Kwisatz Haderach?

– Tak, ten, który jest w wielu miejscach naraz: Kwisatz Haderach. Wielu mężczyzn zażyło serum… bardzo wielu, ale żadnemu się to nie udało.

– Zażyli i zawiedli? Wszyscy?

– Och, nie! – Potrząsnęła głową. – Zażyli i umarli.

Próbować zrozumieć Muad’Diba bez zrozumienia jego śmiertelnych wrogów Harkonnenów to próbować zobaczyć Prawdę, nie znając Kłamstwa. Jest to próba ujrzenia Światła bez poznania Ciemności. To niemożliwe.

– z *Księgi o Muad’Dibie* pióra księżnej Irulany

Częściowo skryty w cieniu globus plastyczny wirował popychany migocącą od pierścieni pulchną dłonią. Globus tkwił na zmiennokształtnym stojaku pod jedną ze ścian pozbawionego okien pokoju, którego pozostałe ściany stanowiły różnobarwną mozaikę rulonów, księgofilmów, taśm oraz szpul. Pomieszczenie rozjaśniało światło ze złotych kul wiszących w przenośnych polach dryfowych.

Pośrodku pokoju stało elipsoidalne biurko o zielonkaworóżowym blacie ze skamieniałego drzewa elakka. Otaczały je stałokształtne fotele dryfowe, z których dwa były zajęte. W jednym siedział ciemnowłosy, mniej więcej szesnastoletni młodzieniec o okrągłej twarzy i ponurym spojrzeniu. W drugim smukły, niewysoki mężczyzna o zniewieściałych rysach. Zarówno młodzieniec, jak i mężczyzna patrzyli na globus i na prawie schowanego za nim gospodarza.

Zza globusa dobiegł chichot. Chichot przeszedł w basowy głos, który zahuczał:

– Oto i ona, Piterze: największa pułapka w historii ludzkości. I książę w nią wpadnie. Czyż nie jest wspaniałe to, co robię ja, baron Vladimir Harkonnen?

– Z całą pewnością, baronie – powiedział mężczyzna melodyjnym tenorem.

Pulchna dłoń spoczęła na globusie, wstrzymując jego obrót. Teraz wszystkie oczy w pokoju skupiły się na nieruchomej powierzchni i spostrzegły, że jest to rodzaj globusa wykonywanego dla bogatych kolekcjonerów lub gubernatorów planet Imperium. Nosił znamię imperialnego rękodzieła. Linie południków i równoleżników sporządzono z cieniutkiego jak włos platynowego drutu. Czapy polarne wyłożone były wspaniałymi mlecznymi diamentami.

Pulchna dłoń przesunęła się, wodząc po detalach powierzchni.

– Proszę was, obserwujcie – zahuczał bas. – Obserwuj uważnie, Piterze, i ty też, mój kochany Feydzie-Rautho. Od sześćdziesiątego stopnia szerokości północnej po siedemdziesiąty południowej… jakie rozkoszne zmarszczki. A ich barwa… Czyż nie przywodzi wam na myśl słodkich karmelków? I nigdzie nie ujrzycie błękitu jezior, rzek ani mórz. A te urocze czapy polarne… jakże malusieńkie. Czyż ktoś mógłby się pomylić co do tego miejsca? Arrakis! Zaiste unikalna. Wspaniałe tło dla unikalnego zwycięstwa.

Uśmiech zaigrał na ustach Pitera.

– I pomyśleć, baronie, że Padyszach Imperator wierzy, że oddał księciu twą przyprawową planetę. Ależ to żałosne.

– Bezsensowna uwaga – zahuczał baron. – Mówisz to, by skonfundować małoletniego Feyda-Rauthę, a nie widzę potrzeby konfundowania mojego bratanka.

Młodzieniec o ponurej twarzy poprawił się w fotelu i wygładził fałdę na swych czarnych trykotach. Wyprostował się, usłyszawszy dyskretne pukanie do drzwi za swoimi plecami.

Piter odkleił się od fotela, podszedł do drzwi i uchylił je na tyle tylko, by przez szparę przejąć tuleję pocztową. Zamknął drzwi, rozwinął rulon i przebiegł go wzrokiem. Zachichotał. Raz i drugi.

– No i co? – zapytał Vladimir.

– Głupiec odpowiedział nam, baronie!

– A kiedy to Atryda przepuścił okazję do wielkopańskiego gestu? Co pisze?

– Jest w najwyższym stopniu ordynarny, baronie. Zwraca się do ciebie per „Harkonnen”, żadnych *Sire et Cher Cousin*, żadnych tytułów, nic.

– To dobre nazwisko – odburknął baron, którego głos zdradzał niecierpliwość. – Więc co pisze drogi Leto?

– Pisze: „Odrzucam propozycję spotkania. Wielekroć doznałem twojej zdrady, co dla nikogo nie jest tajemnicą”.

– I? – ponaglił Vladimir.

– Pisze też: „Są jeszcze w Imperium wyznawcy sztuki kanly”. Podpisał: „Leto, książę na Arrakis”. – Wybuchnął śmiechem. – Na Arrakis! O rany! A to ci heca.

– Cicho bądź, Piterze – powiedział baron i śmiech umilkł gwałtownie. – A więc kanly? – spytał. – Wendeta, co? I używa tego pięknego, starego, mającego tak bogatą tradycję słowa, by nie było wątpliwości, o co mu chodzi.

– Wyciągnąłeś dłoń do zgody – rzekł Piter. – Formy zostały dochowane.

– Za dużo mówisz jak na mentata, Piterze – powiedział baron. „Muszę się go szybko pozbyć – pomyślał. – Jak na swoją użyteczność żyje już za długo”.

Spojrzał przez pokój na swego mentata i asasyna, dostrzegając cechę przez większość ludzi zauważaną od pierwszego wejrzenia: oczy – ocienione szczeliny błękitu w błękicie, zupełnie pozbawione białek.

Uśmiech wykwitł na twarzy Pitera. Przypominała maskę z grymasem pod owymi oczami jak dziury.

– Ależ baronie! Świat nie widział piękniejszej zemsty. Nie można przymykać oczu na plan najbardziej wyrafinowanej intrygi: zmusić Leto do zamiany Kaladanu na Diunę. I to bez pozostawienia mu wyboru, bo tak rozkazuje Imperator. Ależ z ciebie żartowniś, baronie!

– Gęba ci się nie zamyka, Piterze. – Głos Vladimira był zimny.

– Ale jestem szczęśliwy, baronie. Podczas gdy ty… ty jesteś po prostu zazdrosny.

– Piterze!

– Aha, baronie! Czyż to nie godne ubolewania, że sam nie byłeś w stanie wymyślić tej wybornej intrygi?

– Któregoś dnia każę cię udusić, Piterze.

– Ależ niewątpliwie, baronie. *Enfin!* Ale dobry uczynek nigdy nie pójdzie na marne, co?

– Naćpałeś się verity lub semuty, Piterze?

– Baron jest zaskoczony, ilekroć ktoś mówi prawdę nie ze strachu – powiedział asasyn. Jego ściągnięta twarz przypominała karykaturalną maskę zamyślenia. – Ach, ach! Ale widzisz, baronie, jako mentat wiem, kiedy wyślesz do mnie kata. Będziesz zwlekał dopóty, dopóki jestem przydatny. Wcześniejszy ruch byłby marnotrawstwem, a ja jestem wciąż bardzo pożyteczny. Wiem, czego się nauczyłeś na tej cudownej Arrakis: nie marnować niczego. Nieprawdaż, baronie?

Vladimir nie spuszczał wzroku z Pitera.

Feyd-Rautha wiercił się w fotelu. „Zwaśnieni durnie! – myślał. – Stryj nie potrafi otworzyć ust do swego mentata, żeby nie wywołać awantury. Czy im się wydaje, że nie mam nic lepszego do roboty, niż wysłuchiwać ich kłótni?”

– Feydzie – rzekł baron – zapraszając cię tu, przykazałem ci, żebyś słuchał i się uczył. Uczysz się?

– Tak, stryju. – Głos młodzieńca był przezornie służalczy.

– Czasami Piter mnie zadziwia – powiedział baron. – Ja sprawiam ból z konieczności, ale on… Przysięgam, że znajduje w tym prawdziwą przyjemność. Jeśli o mnie chodzi, żal mi nieszczęsnego księcia Leto. Niebawem doktor Yueh wystąpi przeciw niemu i to będzie koniec wszystkich Atrydów. Ale Leto na pewno domyśli się, kto wydał polecenie uległemu doktorowi… i świadomość tego będzie dla niego nie do zniesienia.

– Więc dlaczego nie poleciłeś doktorowi, by po cichu wbił mu handżar między żebra? – zapytał Piter. – Mówisz o żalu, a…

– Książę musi wiedzieć, że gotuję mu zgubę – rzekł baron. – I muszą się o tym dowiedzieć pozostałe wysokie rody. Ta wiadomość sparaliżuje je na jakiś czas. Zyskam większe pole manewru. Konieczność jest oczywista, jednak nie musi mi się podobać.

– Pole manewru. – Mentat zaśmiał się szyderczo. – Już spoczywa na tobie wzrok Imperatora, baronie. Zbyt śmiało sobie poczynasz. Pewnego dnia Szaddam przyśle tu, na Giedi Prime, jeden czy dwa legiony sardaukarów i będzie to koniec barona Vladimira Harkonnena.

– Chciałbyś tego dożyć, nieprawdaż? – spytał baron. – Z rozkoszą patrzyłbyś, jak korpus sardaukarów łupi moje miasta i plądruje ten zamek. Sprawiłoby ci to prawdziwą radość.

– Czyżby baron tego nie wiedział? – wysyczał Piter.

– Ty powinieneś być baszarem tego korpusu – powiedział Vladimir. – Za bardzo kochasz krew i ból. Chyba zbyt pochopnie przyrzekłem ci łupy z Arrakis.

Piter zrobił pięć osobliwie drobnych kroków na środek pokoju, stając tuż za plecami Feyda-Rauthy. Atmosfera była napięta, a młodzieniec zerknął niespokojnie na asasyna.

– Nie igraj z Piterem, baronie – powiedział mentat. – Przyrzekłeś mi lady Jessikę. Przyrzekłeś mi ją.

– Po co ci ona, Piterze? – zapytał baron. – Chcesz zadać jej ból?

Piter wpatrywał się w niego, przedłużając ciszę.

Feyd-Rautha odsunął się na bok z fotelem dryfowym.

– Stryju, czy muszę tu siedzieć? Powiedziałeś, że…

– Mój kochanieńki Feyd-Rautha się niecierpliwi – stwierdził baron. Poruszył się wśród cieni za globusem. I ponownie skierował uwagę na mentata. – A dziecko, książątko Paul, mój drogi Piterze?

– Pułapka złapie go dla ciebie, baronie – zamruczał asasyn.

– Nie o to pytam – powiedział baron. – Pamiętasz zapewne, że przepowiedziałeś, iż czarownica Bene Gesserit urodzi księciu córkę. Pomyliłeś się, co, mentacie?

– Nieczęsto się mylę, baronie – rzekł Piter i po raz pierwszy w jego głosie przyczaił się strach. – Przyznaj: nieczęsto się mylę. I sam wiesz, że te Bene Gesserit rodzą przeważnie córki. Nawet małżonka Imperatora wydała na świat same dziewczyny.

– Stryju – odezwał się Feyd-Rautha – powiedziałeś, że tutaj będzie coś ważnego, co ja…

– Posłuchaj mego bratanka – przerwał mu baron. – Ma aspiracje do panowania nad moją baronią, a nie potrafi panować nad sobą. – Poruszył się za globusem; cień wśród cieni. – Feydzie-Rautho Harkonnenie, wezwałem cię tutaj, mając nadzieję, że nabędziesz nieco mądrości. Czy obserwowałeś naszego poczciwego mentata? Powinieneś się czegoś nauczyć z tej wymiany zdań.

– Ale stryju…

– Najsprawniejszy mentat ten nasz Piter, nie uważasz, Feydzie?

– Tak, ale…

– Zaiste, *ale*! Ale zjada za dużo przyprawy, je ją jak cukierki. Spójrz na jego oczy! Jakby przybył prosto z arrakijskiego obozu pracy. Sprawny ten Piter, ale jednak uczuciowy i skory do wybuchów gniewu. Sprawny, ale jednak może się mylić.

Głos asasyna brzmiał cicho i posępnie:

– Czy wezwałeś mnie tutaj, baronie, by zdyskredytować moją sprawność?

– Zdyskredytować twoją sprawność? Znasz mnie chyba lepiej, Piterze. Chciałbym jedynie, aby mój bratanek zrozumiał ograniczenia mentata.

– Szkolisz już mego następcę?

– Zastąpić ciebie? Ależ, Piterze, gdzież znalazłbym równie przebiegłego i mściwego jak ty mentata?

– W tym samym miejscu, w którym mnie znalazłeś, baronie.

– Może i powinienem to zrobić, skoro już o tym mówimy. – Vladimir się zamyślił. – Naprawdę robisz ostatnio wrażenie niezrównoważonego. A ile przyprawy zjadasz!

– Czy moje przyjemności są zbyt kosztowne, baronie? Masz coś przeciwko nim?

– Mój drogi, twoje przyjemności są tym, co cię ze mną wiąże. Jakże mógłbym mieć coś przeciwko nim? Ja tylko chciałbym, aby mój bratanek to w tobie zauważył.

– Więc jestem tu na pokaz – powiedział Piter. – Mam zatańczyć? Mam zaprezentować swoje rozmaite umiejętności dostojnemu Feydowi-Rau…

– Właśnie – przerwał mu baron. – Jesteś tu na pokaz. A teraz bądź cicho. – Zerknął na Feyda-Rauthę, odnotowując kształt ust bratanka, pełne i wydatne wargi, genetyczne znamię Harkonnenów, teraz lekko wykrzywione grymasem rozbawienia. – To mentat, Feydzie. Został wyszkolony i uwarunkowany do pełnienia określonych obowiązków. Nie da

się jednak przeoczyć faktu, że jest opakowany ludzkim ciałem. To poważna wada. Czasami myślę, że starożytni ze swymi myślącymi machinami mieli słuszną ideę.

– To były zabawki w porównaniu ze mną – warknął Piter. – Ty sam, baronie, dałbyś radę ich machinom.

– Być może – przyznał Vladimir. – No dobrze… – Odetchnął głęboko i beknął. – Teraz, Piterze, przedstaw mojemu bratankowi w zarysie istotne elementy naszej kampanii przeciwko rodowi Atrydów. Bądź tak uprzejmy i pokaż, co potrafisz jako mentat.

– Baronie, ostrzegałem cię przed powierzaniem komuś tak młodemu tych informacji. Moje obserwacje…

– Ja będę o tym decydował – rzekł baron. – Daję ci rozkaz, mentacie. Zaprezentuj jedną ze swych rozmaitych umiejętności.

– Dobrze więc – powiedział Piter. Wyprostował się, przyjmując dziwnie godną postawę, niczym maskę, lecz tym razem okrywającą całe ciało. – Za parę dni standardowych cały dwór księcia Leto zaokrętuje się na liniowiec Gildii Kosmicznej udający się na Arrakis. Gildia wysadzi ich raczej w Arrakin niż w naszym Kartagin. Mentat księcia, Thufir Hawat, słusznie dojdzie do wniosku, że Arrakin jest łatwiejsze do obrony.

– Słuchaj uważnie, Feydzie – odezwał się baron. – Obserwuj plany wewnątrz planów w planach.

Feyd-Rautha skinął głową, myśląc: „To już lepiej. Stary potwór dopuszcza mnie w końcu do sekretów. Chyba rzeczywiście zamierza uczynić mnie swoim dziedzicem”.

– Istnieje kilka rozbieżnych możliwości – powiedział Piter. – Ja twierdzę, że ród Atrydów uda się na Arrakis. Nie możemy jednak zignorować ewentualności, że książę zawarł z Gildią kontrakt na wywiezienie go w bezpieczne miejsce poza Imperium. Inni w podobnych okolicznościach

zostawali rodami renegackimi, zabierali rodzinne arsenały atomowe i tarcze i uciekali poza Imperium.

– Książę jest na to zbyt dumny – rzekł Vladimir.

– To jedna z możliwości – odparł Piter. – Jednak ostateczny rezultat byłby dla nas ten sam.

– Nie, nie byłby! – warknął baron. – On musi umrzeć, a jego linia wygasnąć.

– Prawdopodobieństwo tego jest ogromne – powiedział mentat. – Kiedy ród ma się sprzeniewierzyć, czynione są pewne przygotowania. Tymczasem książę sprawia wrażenie, jakby niczego takiego nie robił.

– Tak – westchnął baron. – Jedź dalej, Piterze.

– W Arrakin – ciągnął asasyn – książę z rodziną zajmą rezydencję, do niedawna dom hrabiego i hrabini Fenringów.

– Ambasadora u przemytników – zachichotał Vladimir.

– Ambasadora u kogo? – spytał Feyd-Rautha.

– Twój stryj żartuje – powiedział Piter. – Nazywa hrabiego Fenringa ambasadorem u przemytników, wskazując na udział Imperatora w przemytniczych operacjach na Arrakis.

Feyd-Rautha spojrzał na stryja zaintrygowany.

– Dlaczego?

– Nie bądź tępy, Feydzie – warknął baron. – Jak może być inaczej, dopóki Gildia znajduje się poza imperialną kontrolą? Jakże inaczej poruszaliby się szpiedzy i asasyni?

Wargi Feyda-Rauthy wydały bezdźwięczne „Oooch”.

– W rezydencji zorganizowaliśmy dywersję – oświadczył Piter. – Zamach na życie dziedzica Atrydów, zamach, który może się powieść.

– Piterze – zagrzmiał baron – chcesz powiedzieć…?!

– Chcę powiedzieć, że wypadki się zdarzają – rzekł mentat. – A zamach musi wyglądać poważnie.

– Ale chłopiec ma takie słodkie, młode ciało – powiedział Vladimir. – Oczywiście, jest potencjalnie bardziej niebezpieczny niż ojciec… po przeszkoleniu przez matkę czarownicę. Przeklęta kobieta. W porządku, dalej, Piterze.

– Hawat odgadnie, że podstawiliśmy mu agenta – podjął mentat. – Rzucającym się w oczy podejrzanym jest doktor Yueh, istotnie nasz agent, ale Hawat przeprowadził śledztwo i odkrył, że doktor to absolwent Akademii Suka z najwyższym warunkowaniem, rzekomo wystarczająco bezpiecznym, by pielęgnować samego Imperatora. Do najwyższego warunkowania przywiązuje się wielką wagę. Zakłada się, że nie sposób go usunąć bez uśmiercenia osobnika. Jednakże, jak to ktoś kiedyś zauważył, mając odpowiednią dźwignię, można podnieść planetę. Znaleźliśmy dźwignię, która podniosła doktora.

– Jak? – zapytał Feyd-Rautha. Ten temat go zafascynował. Wszyscy wiedzieli, że najwyższego warunkowania złamać się nie da.

– Innym razem – powiedział baron. – Dalej, Piterze.

– W miejsce Yuego – rzekł asasyn – postawiliśmy na drodze Hawata wyjątkowo interesującego podejrzanego. Sama zuchwałość podejrzenia zwróci na nią jego uwagę.

– Na nią? – spytał Feyd-Rautha.

– Lady Jessikę we własnej osobie – odparł baron.

– Czyż to nie wspaniałe? – zapytał Piter. – Hawat będzie tak zaabsorbowany tą perspektywą, że osłabi go to jako mentata. Może nawet próbować ją zabić. – Zmarszczył czoło i dodał: – Ale nie sądzę, aby mu się to udało.

– Nie chcesz, aby mu się udało, co? – zapytał baron.

– Nie rozpraszaj mnie, baronie – odparł Piter. – Podczas gdy Hawat zajmie się lady Jessiką, jeszcze bardziej odwrócimy jego uwagę buntami w kilku garnizonach i tym podobnymi rzeczami. Bunty zostaną stłumione. Książę musi wierzyć, że się nieźle zabezpieczył. Kiedy nadejdzie odpowiednia chwila, damy znak Yuemu, wtargniemy naszymi głównymi siłami… hmm…

– Dalej, powiedz mu wszystko – zażądał Vladimir.

– Wtargniemy wzmocnieni dwoma legionami sardaukarów przebranych w barwy Harkonnenów.

– Sardaukarzy! – sapnął Feyd-Rautha. Jego myśli pobiegły ku strasznym oddziałom imperialnym, bezlitosnym zabójcom, fanatycznym żołnierzom Padyszacha Imperatora.

– Widzisz, jak ci ufam, Feydzie – powiedział baron. – Jeśli najmniejsza wzmianka o tym dotrze kiedykolwiek do jakiegoś wysokiego rodu, Landsraad może się zjednoczyć przeciwko rodowi imperialnemu i zapanuje chaos.

– Sedno sprawy tkwi w tym – rzekł Piter – że skoro używa się rodu Harkonnenów do odwalania brudnej roboty Imperium, zdobywamy faktyczną przewagę. Niebezpieczna to przewaga, prawda, lecz umiejętnie wykorzystana przysporzy Harkonnenom większych bogactw, niźli posiada jakikolwiek inny ród w Imperium.

– Nie podejrzewasz, o jak wielkie bogactwo tu chodzi, Feydzie – powiedział baron. – Nawet w najśmielszych wyobrażeniach. Przede wszystkim będziemy mieli niekwestionowany mandat do zarządu kompanii KHOAM.

Feyd-Rautha kiwnął głową. Chodziło o bogactwo. KHOAM stanowiła klucz do niego – wykorzystując mandat, każdy szlachetny ród ciągnął z kas kompanii, ile się dało. Mandaty KHOAM były rzeczywistym

potwierdzeniem politycznego znaczenia w Imperium, przemijającego wraz z utratą liczby głosów w Landsraadzie.

– Książę Leto – mówił Piter – może szukać schronienia u garstki fremeńskiej hołoty na obrzeżach pustyni. Bądź też podjąć próbę wysłania rodziny do tej złudnej kryjówki. Ale to uniemożliwi mu jeden z agentów Jego Wysokości, ekolog planetarny. Może go pamiętasz, Kynes.

– Feyd pamięta go – powiedział baron. – Kontynuuj.

– Jakoś nie piejesz z radości, baronie – rzekł Piter.

– Kontynuuj, rozkazuję ci! – ryknął Vladimir.

Piter wzruszył ramionami.

– Jeżeli sprawy potoczą się zgodnie z planem – powiedział – ród Harkonnenów otrzyma Arrakis w zastępcze lenno w ciągu standardowego roku. Twój stryj dostanie na to lenno dyspensę. Na Arrakis będzie rządził jego osobisty przedstawiciel.

– Dalsze zyski – powiedział Feyd-Rautha.

– Istotnie – potwierdził baron. I pomyślał: „Tego wymaga sprawiedliwość. To my ujarzmiliśmy Arrakis… jeśli nie liczyć garstki fremeńskich kundli kryjących się na skraju pustyni i grupki nieszkodliwych przemytników związanych z planetą prawie tak mocno jak tubylcza siła robocza”.

– I wysokie rody będą wiedziały, że to baron zniszczył Atrydów – rzekł Piter. – Tak, będą wiedziały.

– Będą wiedziały – wyszeptał Vladimir.

– Najpiękniejsze z tego wszystkiego – ciągnął mentat – jest to, że książę też będzie wiedział. Wie już teraz. Już przeczuwa pułapkę.

– To prawda, że książę wie – powiedział baron i w jego głosie zabrzmiał smutek. – Nie mógł nie wiedzieć… tym większa szkoda.

Vladimir Harkonnen wyszedł spoza globusa Arrakis. Kiedy wynurzył się z cieni, jego postać, upasiona i tłusta, ukazała się w całej okazałości. Nieznaczne zgrubienia pod fałdami ciemnej szaty zdradzały, że cały ten tłuszcz dźwigają głównie przenośne dryfy nałożone niczym uprząż na jego ciało. W rzeczywistości ważył blisko dwieście standardowych kilogramów, ale jego stopy uniosłyby z tego nie więcej niż pięćdziesiąt.

– Jestem głodny – zahuczał i potarł upierścienioną dłonią swe wydatne wargi, oczami ukrytymi w fałdach tłuszczu spoglądając z góry na Feyda-Rauthę. – Poślij po jedzenie, mój kochany. Zjemy przed spoczynkiem.

Tak rzekła św. Alia od Noża: „Matka wielebna musi łączyć uwodzicielskie sztuczki kurtyzany z niepokalanym majestatem dziewicy bogini, utrzymując te przymioty w harmonii dopóty, dopóki dopisują jej siły młodości. Jako że gdy młodość i uroda przeminą, odkryje ona, iż miejsce pośrodku, kiedyś zajęte przez harmonię, stało się krynicą sprytu i zaradności”.

– z *Muad’Dib. Uwagi o rodzinie* pióra księżnej Irulany

– A więc, Jessiko, co masz na swoje usprawiedliwienie? – spytała matka wielebna.

Na zamku Kaladan dzień próby Paula zmierzał ku końcowi. Dwie kobiety pozostały w saloniku, a chłopak czekał obok w dźwiękoszczelnej komnacie medytacji.

Jessika stała na wprost południowych okien. Niewidzącymi oczami spoglądała na gęstniejące kolory wieczoru za łąką i rzeką. Usłyszała, nie słysząc, pytanie matki wielebnej.

Kiedyś odbyła się inna próba – jakże wiele lat temu. Chuda jak patyk dziewczynka o włosach koloru miedzi, z ciałem rozdartym wichrami dojrzewania, weszła do gabinetu matki wielebnej Gaius Heleny Mohiam, cenzorki przełożonej szkoły Bene Gesserit na Wallachu IX. Jessika spojrzała na swoją prawą dłoń i rozprostowała palce. Ożyła w niej pamięć bólu, trwogi, gniewu.

– Biedny Paul – wyszeptała.

– Pytałam o coś, Jessiko! – Głos starej kobiety był oschły, władczy.

– Co? Och… – Jessika otrząsnęła się ze wspomnień i odwróciła ku matce wielebnej, siedzącej plecami do kamiennej ściany między dwoma zachodnimi oknami. – Co mam ci powiedzieć?

– Co masz mi powiedzieć? Co masz mi powiedzieć? – stara przedrzeźniała ją szyderczo.

– Urodziłam syna! – wybuchnęła Jessika. I zrozumiała, że celowo została sprowokowana do tego wybuchu.

– Przykazano ci rodzić Atrydom same córki.

– To znaczyło dla niego tak wiele – broniła się matka Paula.

– A ty w swej pysze pomyślałaś, że wydasz na świat Kwisatz Haderach!

Jessika uniosła głowę.

– Przeczuwałam taką możliwość.

– Myślałaś jedynie o tym, że książę pragnie syna – warknęła stara. – A jego pragnienia się tutaj nie liczą. Można było wydać córkę Atrydów za dziedzica Harkonnenów i załatać dziurę. Beznadziejnie pokomplikowałaś sprawy. Możemy teraz stracić oba drzewa genealogiczne.

– Nie jesteście nieomylne – powiedziała Jessika. Wytrzymała nieruchome spojrzenie starych oczu.

Po chwili matka wielebna zamruczała:

– Co się stało, to się nie odstanie.

– Przysięgłam sobie, że nigdy nie będę żałować tej decyzji – oświadczyła Jessika.

– Jakże szlachetnie – zadrwiła matka wielebna. – Niczego nie żałować. Inaczej zaśpiewasz jako zbieg z ceną wyznaczoną za twą głowę, kiedy wszyscy obrócą się przeciwko tobie i będą nastawać na życie twoje i twojego syna.

Jessika pobladła.

– Czy nie ma innego wyjścia?

– Innego wyjścia? I to pyta Bene Gesserit?

– Pytam jedynie, co widzisz w przyszłości za sprawą swych nadzwyczajnych talentów.

– Widzę w przyszłości to, co widziałam w przeszłości. Wiesz dobrze, jak toczy się świat. Rodzaj ludzki świadom jest swej śmiertelności i lęka się, by jego dziedziczność nie uległa stagnacji. Ma to we krwi: ów pęd do krzyżowania linii genetycznych bez żadnego planu. Imperium, kompania KHOAM, wszystkie wysokie rody są niczym unoszone przez fale patyki.

– KHOAM – mruknęła Jessika. – Przypuszczam, że ustalono już nowy podział łupów z Arrakis.

– Czymże jest KHOAM, jeśli nie wiatrowskazem naszych czasów. Imperator ze swoimi przyjaciółmi ma obecnie pięćdziesiąt dziewięć przecinek sześćdziesiąt pięć setnych procent głosów. Niewątpliwie liczy na zyski, a gdy pozostali zwęszą takie same korzyści, liczba jego głosów wzrośnie. To mechanizm historii, dziewczyno.

– Niewątpliwie tego właśnie mi teraz potrzeba – powiedziała Jessika. – Wykładu z historii.

– Nie pokpiwaj, dziewczyno! Wiesz równie dobrze jak ja, jakie siły nas otaczają. Mamy trójelementową cywilizację: z jednej strony dwór imperialny, z drugiej wysokie rody Landsraadu, a pomiędzy nimi Gildia ze swoim przeklętym monopolem na komunikację międzygwiezdną. W polityce taki trójnóg jest najmniej stabilnym układem. I tak byłoby nie najlepiej, nawet bez kłopotów z feudalną kulturą handlową, która odwraca się od większości nauk.

– Patyki niesione przez fale – powiedziała Jessika z goryczą. – Ten tutaj to książę Leto, ten drugi to jego syn, a tamten to…

– Och, zamilknij, dziewczyno. Wdałaś się w to, wiedząc, na jak cienkiej tańczysz linie.

– „Jestem Bene Gesserit. Istnieję tylko po to, aby służyć” – zacytowała Jessika.

– To prawda – potwierdziła stara kobieta. – A teraz możemy liczyć jedynie na uniknięcie powszechnej pożogi i ocalenie tego, co się da, z kluczowych linii genealogicznych.

Jessika przymknęła oczy, czując łzy cisnące jej się pod powieki. Opanowała wewnętrzne rozdygotanie, drżenie, nierównomierny oddech, oszalały puls, potnienie dłoni.

– Zapłacę za swój błąd – odezwała się po chwili.

– I twój syn zapłaci razem z tobą.

– Będę go chronić, jak tylko potrafię.

– Chronić! – warknęła Mohiam. – Dobrze wiesz, czym to grozi! Jeśli za bardzo będziesz chroniła syna, Jessiko, to nie wyrośnie na tyle silny, by wypełnić jakiekolwiek przeznaczenie.

Jessika odwróciła się i spojrzała przez okno na zapadające ciemności.

– Czy jest aż tak okropna? Ta Arrakis?

– Wystarczająco, choć nie do końca. Missionaria Protectiva nieco ją zmiękczyła. – Matka wielebna dźwignęła się z krzesła i wygładziła fałdę togi. – Wezwij chłopca. Niedługo muszę jechać.

– Naprawdę musisz?

Głos starej kobiety złagodniał.

– Jessiko, dziecko, chciałabym zająć twoje miejsce i wziąć na siebie twoje cierpienia, ale każda z nas musi iść w swoją stronę.

– Wiem.

– Jesteś mi droga jak własna córka, ale nie mogę dopuścić, by kolidowało to z obowiązkiem.

– Rozumiem… konieczność.

– Jessiko, obie wiemy, co zrobiłaś i dlaczego to zrobiłaś, ale życzliwość każe mi wyznać, że mała jest szansa, aby twój chłopiec był Integralnością Bene Gesserit. Nie możesz pozwolić sobie na zbyt wielkie nadzieje.

Jessika starła łzy z kącików oczu. W geście tym był gniew.

– Sprawiasz, że znowu czuję się jak mała dziewczynka recytująca swą pierwszą lekcję. – Z trudem wydusiła z siebie słowa: – „Ludzie nie mogą nigdy poddać się zwierzętom”. – Wstrząsnął nią tłumiony szloch i dodała cicho: – Jestem taka samotna.

– To powinna być jedna z prób – powiedziała stara kobieta. – Ludzie są prawie zawsze samotni. A teraz wezwij chłopca. Miał długi, straszny dzień, lecz miał też czas, by wszystko przemyśleć i zapamiętać, a ja muszę go jeszcze wypytać o te jego sny.

Jessika kiwnęła głową, podeszła do drzwi komnaty medytacji i otworzyła je.

– Paulu, wejdź już, proszę.

Chłopak wkroczył z zawziętą opieszałością. Patrzył na matkę jak na obcą osobę. Posłał nieufne spojrzenie matce wielebnej, ale tym razem skinął jej głową jak równy równemu. Słyszał, jak matka zamyka drzwi za jego plecami.

– Młodzieńcze – rzekła stara – wróćmy do sprawy twych snów.

– Czego chcesz?

– Co noc masz sny?

– Nie takie, które by warto zachować w pamięci. Potrafię zapamiętać każdy sen, ale jeden jest tego wart, a inny nie.

– Jak je rozróżniasz?

– Po prostu to wiem.

Mohiam popatrzyła na Jessikę i ponownie na Paula.

– Co ci się śniło ostatniej nocy? Czy warto było to zapamiętać?

– Tak. – Chłopak zamknął oczy. – Śniła mi się jaskinia… i woda… i dziewczyna w jaskini, bardzo chuda, z ogromnymi oczami. Oczy jej są

całe błękitne, nie ma w nich białek. Mówię do niej, opowiadam jej o tobie, o spotkaniu z matką wielebną na Kaladanie. – Otworzył oczy.

– Czy to, co opowiadasz tej obcej dziewczynie o spotkaniu ze mną, wydarzyło się dzisiaj?

Paul zastanawiał się nad tym chwilę.

– Tak. Mówię jej, że przybyłaś i wycisnęłaś na mnie piętno obcości.

– Piętno obcości – wyszeptała stara i ponownie jej spojrzenie powędrowało od Paula do Jessiki i z powrotem. – Powiedz mi teraz szczerze, Paulu, czy często śnią ci się rzeczy, które potem dzieją się dokładnie tak jak we śnie?

– Tak. A ta dziewczyna śniła mi się już.

– Och? Znasz ją?

– Poznam.

– Opowiedz mi o niej.

Paul raz jeszcze zamknął oczy.

– Siedzimy w jakimś zakątku ukrytym wśród skał. Już prawie noc, ale jest gorąco i widzę łachy piasku za szczeliną w skałach. My… czekamy na coś… na to, bym poszedł się spotkać z jakimiś ludźmi. Ona jest przestraszona, lecz stara się to ukryć przede mną, a ja jestem podekscytowany. I ona mówi: „Opowiedz mi o wodach swojej planety, Usulu”. – Otworzył oczy. – Czy to nie dziwne? Moją planetą jest Kaladan. Nigdy nawet nie słyszałem o Usulu.

– Czy w tym śnie jest coś jeszcze, Paulu? – ponagliła go Jessika.

– Tak, ale może to mnie nazywała Usulem – rzekł. – Właśnie mi to przyszło do głowy. – Ponownie przymknął oczy. – Prosi mnie, bym jej opowiedział o wodach. A ja biorę ją za rękę i mówię, że powiem jej wiersz. I recytuję jej go, ale muszę tłumaczyć niektóre słowa, jak plaża i przybój, morszczyn i mewy.

– Jaki wiersz? – spytała matka wielebna.

Paul otworzył oczy.

– Zwyczajny, jeden z poematów Gurneya Hallecka na smutną godzinę.

Za plecami syna Jessika zaczęła deklamować:

Wciąż widzę nad plażą ogniska słony dym
I cienie pod sosnami –
Skamieniałe –
Mewy śpią na grzędzie ziemi,
Biel na zieleni…
Wiatr idzie przez rzędy drzew,
Cienie kołysze.
Wzbijają się mewy,
Mkną
I krzyczą w niebiosach.
A ja wiatr słyszę
Plażą wiejący z ukosa
I przybój.
I widzę, że nasz ogień
Spopielił morszczyn.

– To właśnie ten – potwierdził Paul.

Stara kobieta wpatrywała się w niego dłuższą chwilę.

– Młody człowieku, jako cenzorka Bene Gesserit poszukuję Kwisatz Haderach, mężczyzny, który może zostać jednym z nas. Twoja matka widzi w tobie taką możliwość, ale ona patrzy oczyma matki. Możliwość widzę i ja, ale nic ponadto.

Umilkła i Paul zrozumiał, że chce, aby przemówił. Przeczekał ją. Niebawem oznajmiła:

– Zresztą, jak sobie chcesz. Są w tobie głębie, za to ręczę.

– Czy mogę już odejść?

– Nie chcesz wysłuchać, co matka wielebna ma ci do powiedzenia o Kwisatz Haderach? – spytała Jessika.

– Powiedziała, że ci, którzy ubiegali się o to, pomarli.

– Ale mogę udzielić ci paru wskazówek, gdzie szukać przyczyn ich porażki – odezwała się Mohiam.

„Mówi o wskazówkach – pomyślał Paul. – Niczego tak naprawdę nie wie”.

– Więc udziel mi wskazówek – rzekł.

– I zgiń, przepadnij dla mnie? – Kwaśny uśmiech pojawił się na siatce zmarszczek starczej twarzy. – Niech ci będzie. „Kto się poddaje, ten panuje”.

Zdumiał się, że mówi o tak podstawowych sprawach jak dialektyka znaczenia. Czy ona myśli, że matka niczego go nie nauczyła?

– To jest wskazówka? – spytał.

– Nie jesteśmy tu po to, by igrać ze słowami i ich znaczeniem – oświadczyła stara. – Wierzba poddaje się wiatrom i wiedzie jej się dobrze, aż pewnego dnia pojawia się ściana wierzb odporna na wiatry. To jest przeznaczenie wierzby.

Paul wybałuszył oczy. Powiedziała „przeznaczenie” i poczuł, że to słowo go poraziło, powtórnie napiętnowało straszliwym przeznaczeniem. Nagle ogarnął go gniew: głupia stara czarownica z gębą pełną frazesów.

– Uważasz, że mogę być tym Kwisatz Haderach – rzekł. – Mówisz o mnie, lecz nie powiedziałaś ani słowa o tym, co zrobić dla ratowania

mojego ojca. Słyszałem twoją rozmowę z matką. Mówisz o nim tak, jakby był martwy. Otóż nie jest!

– Gdyby można było cokolwiek dla niego zrobić, zrobiłybyśmy to z pewnością – warknęła stara. – Może uda się coś zrobić dla ciebie. Wątpliwe to, lecz niewykluczone. Ale dla twojego ojca… nic. Gdybyś się nauczył przyjmować to jako fakt, odebrałbyś prawdziwą lekcję Bene Gesserit.

Paul dostrzegł, jak słowa te wstrząsnęły matką. Utkwił w starej pełne nienawiści spojrzenie. Jak mogła powiedzieć coś takiego o jego ojcu? Skąd miała tę pewność? Kipiał ze złości.

Matka wielebna popatrzyła na Jessikę.

– Uczyłaś go metody, widziałam oznaki tej nauki. Na twoim miejscu zrobiłabym to samo i niech diabli wezmą reguły.

Jessika skinęła głową.

– Teraz nalegam – dodała stara kobieta – byś zignorowała formalny porządek szkolenia. Jego bezpieczeństwo wymaga Głosu. Ma już dobre podstawy, ale obie wiemy, jak wiele jeszcze potrzebuje… i to rozpaczliwie. – Podeszła do Paula i popatrzyła na niego z góry. – Żegnaj, młody człowieku. Mam nadzieję, że ci się uda. A jeśli nie, cóż, jeszcze nam się kiedyś powiedzie.

Podniosła oczy na Jessikę. Spojrzały na siebie porozumiewawczo. Następnie stara kobieta wypłynęła z pokoju przy szeleście togi, nie rzuciwszy więcej za siebie wzrokiem. Pozbyła się już z myśli i saloniku, i matki z synem, lecz Jessice mignęła w przelocie jej twarz. Na pomarszczonych policzkach lśniły łzy. Te łzy odbierały odwagę bardziej niż jakiekolwiek słowo czy znak, jaki wymieniły tego dnia.

Przeczytaliście, że Muad’Dib nie miał na Kaladanie towarzyszy zabaw wśród rówieśników. Zbyt wiele groziło mu niebezpieczeństw. Za to miał Muad’Dib wspaniałych towarzyszy wśród nauczycieli. Był tam Gurney Halleck, trubadur i wojownik. Będziecie mieli okazję zaśpiewać kilka piosenek Gurneya w trakcie lektury tej książki. Był tam Thufir Hawat, stary mentat, mistrz asasynów, budzący strach w sercu samego Padyszacha Imperatora. Był tam Duncan Idaho, mistrz miecza Ginazów; był doktor Wellington Yueh, imię czarne w historii zdrady, lecz świetlane w nauce; lady Jessika, wprowadzająca syna w metodę Bene Gesserit, no i oczywiście książę Leto, którego ojcowskie zalety długo pozostawały niedostrzeżone.

– z *Historii dzieciństwa Muad’Diba* pióra księżnej Irulany

Thufir Hawat wśliznął się do sali treningowej zamku Kaladan i bezgłośnie zamknął za sobą drzwi. Chwilę stał nieruchomo – czuł się stary, znużony i połamany. Bolała go lewa noga rozpłatana kiedyś w służbie Starego Księcia.

„To już trzy pokolenia” – pomyślał.

Spojrzał przez wielkie pomieszczenie zalane światłem południa płynącym ze świetlików w suficie i zobaczył siedzącego tyłem do drzwi chłopca zatopionego w rozłożonych na stole mapach i papierach. „Ile razy mam mu powtarzać, żeby nigdy nie rozsiadał się plecami do drzwi?”

Odchrząknął. Paul trwał pochylony, studiując swoje papiery. Cień chmury przesunął się po świetlikach. Hawat odchrząknął ponownie.

Paul wyprostował się i nie odwracając głowy, powiedział:

– Wiem. Siedzę plecami do drzwi.

Hawat skrył uśmiech i przemaszerował przez salę.

Młodzieniec podniósł wzrok na posiwiałego, starego mężczyznę, który zatrzymał się przy rogu stołu. Oczy Hawata były dwiema sadzawkami czujności na ciemnej, pokrytej głębokimi bruzdami twarzy.

– Słyszałem cię, gdy szedłeś korytarzem – oświadczył Paul. – I słyszałem, jak otwierałeś drzwi.

– Takie dźwięki można naśladować.

– Zauważyłbym różnicę.

„Pewnie tak – pomyślał Hawat. – Ta jego matka czarownica kształci go gruntownie, to widać. Ciekawe, co na to jej nieoceniona szkoła? Może dlatego właśnie przysłali starą cenzorkę: by przywołała naszą lady Jessikę do porządku”.

Wysunął krzesło na wprost Paula i siadł twarzą w kierunku drzwi. Zrobił to ostentacyjnie, po czym odchylił się do tyłu i objął spojrzeniem salę. Po wysłaniu większości sprzętów na Arrakis uderzyła go nagle jej dziwaczność i obcość. Został stół treningowy i fechtunkowe zwierciadło z zamarłymi pryzmatami, przy nim zaś ćwiczebny manekin, cały wywatowany i w łatach, wyglądający jak starożytny piechur, pokiereszowany i okaleczony na wojnach.

„To ja tam stoję” – pomyślał.

– O czym tak myślisz, Thufirze? – spytał Paul.

Hawat spojrzał na chłopca.

– Myślałem o tym, że wkrótce wszyscy stąd wyjedziemy i że prawdopodobnie już nigdy nie zobaczymy tego pokoju.

– I to cię smuci?

– Smuci? Nonsens! Smutek jest w rozstaniu z przyjaciółmi. Miejsce to tylko miejsce. – Obrzucił wzrokiem mapy na stole. – A Arrakis to po prostu jeszcze jedno miejsce.

– Ojciec polecił ci mnie wysondować?

Hawat spochmurniał. Chłopak był niesłychanie spostrzegawczy. Kiwnął głową.

– Uważasz, że byłoby ładniej z jego strony, gdyby pofatygował się osobiście, ale wiesz przecież, jak jest zajęty. Wpadnie później.

– Przeglądam materiały o huraganach na Arrakis.

– Huragany. Rozumiem.

– Wyglądają na nieliche.

– „Nieliche” to za mało powiedziane. Te huragany rozpędzają się na sześciu czy siedmiu tysiącach kilometrów równiny, karmiąc wszystkim, co przydaje impetu: siłą Coriolisa, innymi huraganami, wszystkim, co ma w sobie choćby odrobinę energii. Mogą się rozhulać do siedmiuset kilometrów na godzinę, zabierając po drodze wszystko, co się sypie: piasek, pył, wszystko. Potrafią wytrawić ciało do kości, a kości rozsiekać na igły.

– Dlaczego nie mają tam regulacji pogody?

– Arrakis ma specyficzne problemy, koszty są tam wyższe, a więc droższe jest utrzymanie i tak dalej. Gildia żąda potwornej sumy za nadzór satelitarny, ród twojego ojca zaś nie jest z tych wielkich i bogatych, chłopcze. Wiesz przecież.

– Widziałeś kiedyś Fremenów?

„Umysł chłopaka miota się dziś na wszystkie strony” – pomyślał Hawat.

– Jak ciebie widzę – odparł. – Niewiele się różnią od mieszkańców niecek i grabenu. Wszyscy noszą te obszerne, powiewające szaty. I śmierdzą nieziemsko w każdej zamkniętej przestrzeni. To z powodu tych strojów, nazywają je filtrakami, które odzyskują wodę wydalaną przez ciało.

Paul przełknął ślinę, nagle świadom wilgoci w ustach, i przypomniał sobie o pragnieniu. Na myśl o ludziach, którzy tak łakną wody, że odzyskują ją z wydzielin własnego ciała, ogarnęło go przygnębienie.

– Tam woda jest bezcenna – powiedział.

Hawat skinął głową. „Może właśnie to robię – myślał – może i daję mu do zrozumienia, jak groźnym przeciwnikiem może być ta planeta. To szaleństwo pchać się na nią, nie pamiętając o tej przestrodze”.

Paul podniósł oczy na świetlik i uświadomił sobie, że zaczęło padać. Ujrzał, jak szare metaszkło coraz bardziej zachodzi wilgocią.

– Woda – rzekł.

– Przekonasz się, co znaczy woda – powiedział mentat. – Jako syn księcia nigdy nie zaznasz jej braku, ale wszędzie wokół siebie zobaczysz męki pragnienia.

Paul zwilżył językiem wargi, cofając się myślą o tydzień, do dnia próby przed matką wielebną. Ona też powiedziała coś o usychaniu z pragnienia.

„Poznasz żałobne równiny – mówiła – jałowe pustkowia, obszary, na których nie ma nic prócz przyprawy i czerwi pustyni. Namaścisz oczodoły, by osłabić blask słońca. Schronieniem będzie ci każda dziura strzegąca od wiatru i obcych oczu. Będziesz podróżował na własnych nogach bez statku, bez pojazdu, bez wierzchowca”.

Paula bardziej usidlił jej ton – rozkołysany i śpiewny – niż słowa.

„Kiedy zamieszkasz na Arrakis – dodała – khala, ziemia będzie pusta. Księżyce będą ci przyjaciółmi, słońce wrogiem”.

Wtedy poczuł, jak opuściwszy posterunek przy drzwiach, matka staje u jego boku. Popatrzyła na matkę wielebną i spytała:

„Nie widzisz żadnej nadziei, wasza wielebność?”

„Dla ojca nie. – I stara kobieta gestem uciszyła Jessikę, spoglądając z góry na Paula. – Wyryj to sobie w pamięci, chłopcze: świat wspiera się na czterech filarach – podniosła cztery palce z wielkimi knykciami – na naukach mądrych, na sprawiedliwości wielkich, na modlitwach prawych i na waleczności dzielnych. Ale to wszystko jest niczym – zwinęła palce

w pięść – bez władcy, który posiadł sztukę władania. Przyjmij to jako naukę tradycji, w jakiej zostałeś wychowany”.

Tydzień minął od tamtego dnia z matką wielebną. Jej słowa dopiero zaczynały w pełni docierać do Paula. Siedząc teraz w sali treningowej z Thufirem Hawatem, poczuł bolesne ukłucie strachu. Spojrzał przez stół na zmarszczone brwi mentata.

– Gdzież to tym razem bujałeś w obłokach? – zapytał Hawat.

– Widziałeś matkę wielebną?

– Tę jędzę prawdomówczynię z Imperium? – Oczy mentata ożywiła ciekawość. – Widziałem.

– Ona… – Paul zawahał się, stwierdziwszy, że nie potrafi opowiedzieć Hawatowi o swojej próbie. Zahamowania tkwiły w nim zbyt głęboko.

– Tak? Co ona?

Chłopak odetchnął dwukrotnie pełną piersią.

– Ona powiedziała pewną rzecz. – Zamknął oczy, przywołując słowa, a kiedy zaczął mówić, nieświadomie przybrał ton starej kobiety: – „Ty, Paul Atryda, potomek królów i syn księcia, musisz się nauczyć władać. Jest to coś, czego nie umiał żaden z twoich przodków”. – Otworzył oczy. – To mnie rozzłościło i powiedziałem, że mój ojciec włada całą planetą. A ona na to: „On ją traci”. Wtedy stwierdziłem, że ojciec dostaje bogatszą planetę. A ona: „Ją też straci”. Chciałem biec i ostrzec ojca, ale ona powiedziała, że już został ostrzeżony: przez ciebie, matkę, przez wielu ludzi.

– To prawda – mruknął Hawat.

– Więc dlaczego wyjeżdżamy? – zapytał Paul.

– Bo tak każe Imperator. I ponieważ wbrew temu, co powiedziała ta jędza donosicielka, jest nadzieja. Co jeszcze wytrysnęło z tej antycznej krynicy mądrości?

Paul spuścił oczy na swą prawą dłoń zwiniętą w pięść pod stołem. Siłą woli zmusił mięśnie do powolnego rozluźnienia. „Ona jakoś trzyma mnie w garści – pomyślał. – Ale jak?”

– Zapytała mnie, co to znaczy władać – rzekł. – Więc jej powiedziałem, że to znaczy rozkazywać. A ona odparła, że muszę się czegoś oduczyć.

„Tutaj trafiła bez pudła” – pomyślał Hawat. Skinął głową Paulowi, by mówił dalej.

– Oznajmiła, że władca musi się nauczyć przekonywać, a nie zmuszać. Że musi wyłożyć na stół swój najbielszy obrus, by przyciągnąć najlepszych ludzi.

– A jak jej zdaniem twój ojciec przyciągnął takich ludzi jak Duncan i Gurney? – zapytał Hawat.

Chłopak wzruszył ramionami.

– Następnie dodała, że władca musi się nauczyć języka swojego świata, odmiennego dla każdej planety. Sądziłem, że ma na myśli to, że na Arrakis nie mówią w galachu, lecz powiedziała, że chodzi o coś zupełnie innego. Powiedziała, że chodzi jej o język kamieni i roślin, język, którego nie słyszy się uszami. Odparłem, że to właśnie doktor Yueh nazywa tajemnicą życia.

Hawat zachichotał.

– Jak to przełknęła?

– Wyglądała na wściekłą. Stwierdziła, że to nie problem do rozwiązania, lecz rzeczywistość do przeżycia. Przytoczyłem jej więc pierwsze prawo mentata: „Nie można zrozumieć procesu przez zatrzymanie go. Zrozumienie musi podążać z biegiem procesu, musi się przyłączyć i płynąć razem z nim”. Wydaje się, że tym ją usatysfakcjonowałem.

„Chyba już mu przechodzi – pomyślał Hawat – ale ta stara czarownica nastraszyła go nie na żarty. Po co to zrobiła?”

– Thufirze – spytał Paul – czy Arrakis będzie taka zła, jak ona mówi?

– Nic nie może być aż tak złe – odparł mentat i uśmiechnął się z przymusem. – Weźmy na przykład tych Fremenów, pariasów pustyni. Na podstawie wstępnej, szacunkowej analizy mogę ci powiedzieć, że jest ich dużo, dużo więcej, niż podejrzewa Imperium. Ludzie żyją tam, chłopcze, całe mnóstwo ludzi, i – przytknął żylasty palec do oka – wściekle nienawidzą Harkonnenów. Ale o tym ani mru-mru, chłopcze. Mówię ci to tylko jako pomocnik ojca.

– Ojciec opowiadał mi o Salusie Secundusie. Wiesz, Thufirze, to wyglądało jak Arrakis… może nie aż tak źle, ale bardzo podobnie.

– Niewiele w istocie wiemy o dzisiejszym Salusie Secundusie – powiedział Hawat. – Wiemy jedynie, jaki był dawno temu… z grubsza, lecz z tego, co wiadomo, masz rację.

– Czy Fremeni nam pomogą?

– Niewykluczone. – Mentat wstał. – Lecę dziś na Arrakis. Tymczasem uważaj na siebie przez wzgląd na starego człowieka, który ma do ciebie słabość, dobrze? Przejdź tu, na drugą stronę, jak grzeczny chłopiec i siądź twarzą do drzwi. Nie sądzę, żeby ci coś groziło na zamku, tylko chciałbym, abyś nabrał tego nawyku.

Paul wstał z krzesła i obszedł stół.

– Wyjeżdżasz dzisiaj?

– Dziś to dziś, a jutro ty pójdziesz w moje ślady. Następnym razem spotkamy się już na twoim nowym świecie. – Złapał Paula za prawy biceps. – Rękę do noża mamy zawsze wolną, no nie? I tarczę na maksimum.

Puścił chłopaka, klepnął go w ramię, zakręcił się na pięcie i szybkim krokiem pomaszerował w stronę drzwi.

– Thufirze! – krzyknął Paul.

Hawat odwrócił się w progu.

– Nie siadaj tyłem do żadnych drzwi – powiedział młodzieniec.

Uśmiech rozlał się po pomarszczonej, starej twarzy.

– Tego nie zrobię, chłopcze. Możesz mi wierzyć.

I wyszedł, delikatnie zamykając za sobą drzwi.

Paul usiadł tam, gdzie przedtem siedział Hawat, i uporządkował swoje papiery. „Jeszcze tylko jeden dzień” – pomyślał. Rozejrzał się po sali. „Wyprowadzamy się”. Znienacka myśl o wyjeździe nabrała realnych kształtów jak nigdy dotąd. Przypomniał sobie coś jeszcze, co stara powiedziała o świecie jako sumie wielu rzeczy – ludzi, ziemi, roślin, księżyców, przypływów, słońc – tej nieznanej sumie zwanej naturą, będącej podsumowaniem bez żadnego poczucia teraźniejszości. I zadumał się, pomyślawszy: „Co to jest »teraźniejszość«?”.

Drzwi naprzeciwko niego otworzyły się z hukiem i wtoczył się przez nie brzydki wielkolud poprzedzany naręczem oręża.

– Co widzę! – zawołał Paul. – Gurneyu Hallecku, awansowałeś na zbrojmistrza?

Halleck zamknął drzwi obcasem.

– Wolałbyś, bym przyszedł pobawić się z tobą, wiem.

Zlustrował pomieszczenie i dostrzegł, że byli już w nim ludzie Hawata, przeczesali wszystko i upewnili się, że jest bezpieczne dla syna księcia. Wszędzie widział ledwo uchwytne zakodowane znaki.

Paul obserwował, jak zataczający się brzydal z ładunkiem broni wprawia się ponownie w ruch, biorąc kierunek na stół treningowy. Zauważył przewieszoną przez ramię Gurneya dziewięciostrunową balisetę z piórkiem wetkniętym między struny na końcu gryfu.

Halleck rzucił broń na blat i ułożył ją w szeregach: rapiery, sztylety, handżary, głuszaki na pociski moderacyjne, pasy tarcz. Biegnąca przez całą

brodę blizna po krwawinie skręciła się, kiedy już odwrócony, wyszczerzył zęby z końca sali.

– Więc nie masz dla mnie nawet „Dzień dobry”, młode diablę? A na jaki znowu odcisk nadepnąłeś staremu Hawatowi? Minął mnie w korytarzu jak człowiek biegnący na pogrzeb swego wroga.

Paul uśmiechnął się szeroko. Ze wszystkich ludzi ojca najbardziej lubił właśnie Gurneya Hallecka. Znał nastroje, złośliwości i humory tego olbrzyma, którego uważał bardziej za swego przyjaciela niż za wynajęty rapier.

Halleck przerzucił do przodu balisetę i zaczął ją stroić.

– Nie chcesz gadać, nie gadaj – powiedział.

Chłopak wstał, wyszedł na środek sali i zawołał:

– Cóż to, Gurneyu, przychodzimy w czas walki i zabieramy się do muzykowania?

– Dzisiaj mamy, widzę, dzień zwracania się bez szacunku do starszych – rzekł Halleck. Szarpnął strunę instrumentu, kiwnął głową.

– Gdzie Duncan Idaho? – spytał Paul. – Miał mnie uczyć władania bronią.

– Duncan wyjechał, wiodąc drugi rzut na Arrakis – odparł Halleck. – Z wszystkiego ostał ci się jedynie nieszczęsny Gurney, który wraca prosto z pola walki i rwie się do muzyki. – Trącił następną strunę, nadstawił ucha i uśmiechnął się. – Zresztą rada postanowiła, że tak nędznego wojaka jak ty najlepiej będzie nauczyć muzykowania, aby nie zmarnował sobie życia do reszty.

– No to zaśpiewaj mi jakąś pieśń – powiedział Paul. – Chcę zobaczyć, jak się tego nie powinno robić.

– Cha, cha, cha! – Gurney wybuchnął śmiechem i wykonał *Piękne Galatki*, a piórko migało jak rozmazana plama na strunach, kiedy śpiewał:

Aaach, piękne Galatki
Dadzą za szmatki,
Za wodę zaś Arrakanki!
Lecz nasze ślicznoty
Dają z ochoty,
Bo lubią to Kaladanki!

– Nieźle jak na tak kiepską do instrumentu rękę – powiedział młodzieniec – ale jeśli moja matka usłyszy, jakie świństwa wyśpiewujesz na zamku, udekoruje twoimi uszami zewnętrzny mur.

Gurney pociągnął się za lewe ucho.

– Dekoracja z nich też kiepska, bo okropnie się zszargały od podsłuchiwania przy dziurkach od klucza, jak pewien znany mi chłopak ćwiczy dziwne przyśpiewki na swojej balisecie.

– Zapomniałeś już, widzę, jak to miło, gdy ktoś nasypie ci piasku do łóżka – rzekł Paul. Ściągnął ze stołu pas tarczy i zapiął go jednym ruchem na biodrach. – Zatem stawaj do walki!

Oczy Hallecka rozszerzyły się w udawanym zdziwieniu.

– A więc to tak! To twoja wredna dłoń dokonała owego czynu! Broń się dziś, paniczu, broń. – Porwał rapier i wywinął nim w powietrzu. – Jestem demonem zemsty!

Paul chwycił bliźniaczy rapier, zgiął w dłoniach klingę, stanął w *aguile* z jedną nogą wysuniętą do przodu. Przybrał pełną namaszczenia pozę, parodiując doktora Yuego.

– Ale gamonia przysyła mi ojciec do białej broni – powiedział z naciskiem. – Gamoniowaty Gurney Halleck zapomniał podstawowych zasad walki z uzbrojonym i chronionym tarczą przeciwnikiem. – Trzasnął

włącznik siły w pasie, poczuł świerzbienie skóry na czole i wzdłuż pleców od pola ochronnego, usłyszał charakterystyczne zmatowienie przefiltrowanych przez tarczę zewnętrznych odgłosów. – Walcząc z tarczą, poruszamy się szybko w obronie, powoli w natarciu – rzekł. – Natarcie ma na celu wyłącznie sprowokowanie przeciwnika do zrobienia fałszywego kroku, wystawienie go na śmiertelny cios. Tarcza zbija szybkie pchnięcie, przyjmuje powolny handżar! – Przytknął klingą, wykonał błyskawiczną fintę i uciekł do tyłu, sposobiąc się do zwolnionego pchnięcia tak mierzonego w czasie, by zwiodło ślepy system obronny tarczy.

Halleck obserwował akcję i w ostatniej chwili zrobił ćwierć obrotu, przepuszczając stępiony koniec rapiera koło piersi.

– Szybkość znakomita – powiedział – lecz byłeś szeroko otwarty na podstępny kontratak pchlim sztychem.

Paul odstąpił do tyłu, zmarkotniały.

– Powinienem sprać ci tyłek za taką beztroskę – powiedział Halleck. Wziął ze stołu goły handżar i podniósł go. – Coś takiego w ręku przeciwnika może ci utoczyć krwi. Jesteś pojętnym uczniem, jak żaden, lecz ostrzegałem cię, abyś nawet w zabawie nie dopuścił człowieka ze śmiercią w dłoni za zasłonę.

– Chyba nie jestem dziś w odpowiednim nastroju – rzekł Paul.

– W nastroju? – Głos Hallecka zdradzał wściekłość nawet mimo filtru tarczy. – Co ma do tego nastrój? Walczysz, kiedy zachodzi konieczność, i to bez względu na nastroje. Nastrój można mieć do przejażdżki, do amorów albo do gry na balisecie.

– Bardzo mi przykro, Gurneyu.

– Nie nazbyt przykro!

Halleck ożywił swoją tarczę i stanął w pozycji, z handżarem w wysuniętej do przodu lewej ręce i z wysoko uniesionym rapierem

w prawej.

– Teraz, powiadam ci, broń się naprawdę!

Dając ogromnego susa w bok i drugiego przed siebie, zaatakował z furią.

Paul cofnął się, parując. Usłyszał trzaski pola, kiedy krawędzie tarcz starły się i odepchnęły, poczuł mrowienie naelektryzowanej od tego zetknięcia skóry. „Co opętało Gurneya? – zadawał sobie pytanie. – On tego nie udaje!” Poruszył lewą ręką i z pochwy nad nadgarstkiem do jego dłoni wsunął się sztylet.

– Zorientowałeś się, że potrzebna ci dodatkowa klinga, co? – mruknął Halleck.

„Czyżby zdrada? – zdumiał się Paul. – To niepodobne do Gurneya!”

Walczyli w całej sali – pchnięcie i parada, finta i riposta. Wewnątrz ochronnych bąbli powietrze stęchło od oddechów, nie była go w stanie wymienić powolna cyrkulacja wzdłuż brzegów osłon. Po każdym zetknięciu się tarcz coraz silniej czuć było ozon.

Chłopak nadal się cofał, ale teraz w kierunku stołu treningowego. „Jeśli zdołam obrócić go przy stole, pokażę mu sztuczkę – pomyślał. – Jeszcze krok, Gurneyu”.

Gurney zrobił krok.

Paul sparował zasłoną usuwającą w dół i zobaczył, że rapier Hallecka zawadza o krawędź stołu. Zszedł z linii ćwierćobrotem, zadał górne pchnięcie rapierem i podjechał sztyletem do szyi przeciwnika. Zatrzymał ostrze centymetr od żyły szyjnej.

– Tego szukasz? – wyszeptał.

– Popatrz w dół, chłopcze – wysapał Gurney.

Paul usłuchał i spostrzegł pod brzegiem blatu handżar Hallecka niemal przytknięty do swego krocza.

– Razem byśmy poszli do nieba – powiedział Gurney. – Ale przyznam, że przyciśnięty walczyłeś nieco lepiej. Zdaje się, że tym razem nastrój ci dopisał. – I wyszczerzył zęby w wilczym uśmiechu, ponownie deformując swą bliznę.

– Ale na mnie napadłeś – rzekł Paul. – Naprawdę ciąłbyś do krwi?

Halleck cofnął handżar, wyprostował się.

– Gdybyś walczył choć odrobinę poniżej swych możliwości. Zrobiłbym ci niezłą krechę, długo byś ją pamiętał. Nie pozwolę, by mój ulubiony adept padł z ręki pierwszego harkonneńskiego łazęgi, jaki stanie mu na drodze.

Paul wyłączył tarczę i oparł się o stół dla złapania oddechu.

– Należała mi się, Gurneyu, lecz ojciec by się rozgniewał, gdybyś mnie zranił. Ja nie pozwolę z kolei, by karano cię za moje potknięcia.

– Jeśli o to chodzi – powiedział Halleck – było ono i moim potknięciem. I nie martw się niepotrzebnie jedną czy dwiema bliznami zarobionymi podczas treningu. Ciesz się, że masz ich tak mało. A co do twego ojca, książę ukarze mnie, jeśli mi się nie uda zrobić z ciebie rębacza pierwszej klasy. I to by już było moje potknięcie, gdybym nie wyjaśnił sprawy owego nastroju, w jaki nagle popadłeś.

Paul wyprostował się, po czym włożył sztylet do pochwy nad nadgarstkiem.

– To, co tutaj robimy, to nie żarty – rzekł Halleck.

Chłopak skinął głową. Zadziwiła go nietypowa dla Gurneya grobowa mina, głębia jego śmiertelnej powagi. Spojrzał na bordową bliznę po krwawinie przecinającą brodę mężczyzny i przypomniał sobie opowieść o tym, jak Gurney zarobił ją od Bestii Rabbana w niewolniczych sztolniach Harkonnenów na Giedi Prime. I poczuł nagły wstyd, że choć przez chwilę wątpił w Hallecka. A potem przyszło mu na myśl, że powstaniu blizny towarzyszył ból – być może równie wielki jak ten, który jemu zadawała

matka wielebna. Odsunął od siebie ową myśl; przejmowała chłodem ich świat.

– Chyba jednak miałem nadzieję, że sobie pożartujemy – powiedział. – Wszystko tu jest ostatnio takie poważne.

Halleck odwrócił się, aby ukryć wzruszenie. Piekły go od czegoś oczy. Ból wzbierał w nim jak wrzód i to było wszystko, co mu pozostało po jakimś utraconym wczoraj, z którego odarł go czas.

„Jakże wcześnie ten dzieciak musi się stać mężczyzną – pomyślał. – Jakże wcześnie musi odczytać ową formułę w głębi własnego umysłu, ów cyrograf brutalnej przestrogi, by zgłosić ten nieunikniony fakt w nieuniknionych słowach: »Melduję się jako najbliższy krewny«".

– Wyczułem w tobie chęć zabawy, chłopcze – rzekł, nie odwracając się – i niczego goręcej nie pragnąłem, jak przyłączyć się do niej, ale zabawa się skończyła. Jutro wyruszamy na Arrakis. Arrakis jest naprawdę. Harkonnenowie są naprawdę.

Paul dotknął czoła klingą trzymanego pionowo rapiera.

Halleck odwrócił się, dostrzegł salut i przyjął go kiwnięciem głowy. Wskazał ćwiczebny manekin.

– Popracujemy teraz nad twoim refleksem. Chcę widzieć, jak dajesz tej kukle do wiwatu. Pokieruję nią z tego miejsca, bo stąd będę miał całą akcję jak na dłoni. I ostrzegam, że dzisiaj wypróbuję nowe riposty. Takiego ostrzeżenia nie spodziewaj się od prawdziwego przeciwnika.

Paul wspiął się na palce i przeciągnął dla rozluźnienia mięśni. Spoważniał, uświadomiwszy sobie nagle, że w jego życiu nastał okres gwałtownych zmian. Podszedł do manekina, klepnął sztychem rapiera włącznik na piersi kukły i poczuł parcie jej ochronnego pola na klingę.

– *En garde!* – zawołał Halleck i manekin ruszył do ataku.

Paul uruchomił swoją tarczę, sparował i odpowiedział.

Halleck przyglądał się temu, manipulując urządzeniem sterującym. Jego umysł jakby rozdzielił się na dwie części: jedną wyczuloną na potrzeby walki szkoleniowej i drugą kołującą niczym uprzykrzona mucha. „Jestem jak dobrze wyprowadzone drzewo owocowe – myślał. – Uginam się pod ciężarem dobrze prowadzonych uczuć i zdolności, zaszczepionych na mnie co do jednego, a wszystkie one czekają, żeby ktoś inny je zebrał”.

Z jakiegoś powodu przypomniała mu się młodsza siostra, przed oczami stanęła mu jej wdzięczna twarz. Ale teraz ona już nie żyła – zmarła w burdelu dla żołdactwa Harkonnenów. Lubiła bratki… a może to były stokrotki? Nie pamiętał. Martwiło go to, że nie pamięta.

Paul zablokował powolne pchnięcie manekina, po czym wzniósł lewą rękę w *entretisser*.

„Co za sprytny mały diabeł! – pomyślał Halleck, teraz całkowicie pochłonięty kombinacjami chłopaka. – Ćwiczył i uczył się na własną rękę. To nie jest w stylu Duncana, a ja go też na pewno tego nie nauczyłem”.

Ta myśl jedynie pogłębiła smutek Gurneya. „Zaraziłem się jego nastrojem” – stwierdził. I zaczął się zastanawiać, czy Paul kiedykolwiek pośród nocy nie nasłuchiwał z przerażeniem czyjegoś łkania w poduszkę.

– Gdyby życzenia były jak ryby, wszyscy stawialiby sieci – wyszeptał.

Było to powiedzenie jego matki, a on sięgał po nie, ilekroć ogarniała go niepewność jutra. Po czym przyszło mu na myśl, że byłoby to dziwaczne powiedzenie na planecie, która nigdy nie widziała mórz ani ryb.

YUEH (yü’e) Wellington (wel’ing-tun), stdrd 10 082–10 191, doktor medycyny z Akademii Suka (rok ukończenia: stdrd 10 112). Żona: Wanna Marcus BG (stdrd 10 092–10 186?). Znany przede wszystkim jako zdrajca księcia Leto Atrydy. (Porównaj: Bibliografia, Aneks VII pt. „Najwyższe warunkowanie” oraz „Zdrada, Wielka”).

– z *Małej Encyklopedii Muad’Diba* opracowanej przez księżną Irulanę

Chociaż Paul słyszał, jak doktor Yueh wchodzi do sali, i w jego krokach wyczuwał chłodne wyrachowanie, dalej leżał twarzą w dół, rozciągnięty na stole po odejściu masażysty. Czuł się cudownie rozluźniony po treningu z Gurneyem Halleckiem.

– Widać, że ci dobrze – odezwał się Yueh spokojnym, piskliwym głosem.

Paul uniósł głowę, spojrzał na sztywną postać stojącą w odległości kilku kroków i jednym rzutem oka objął wymiętą czarną szatę, kanciastą bryłę głowy z purpurowymi wargami i obwisłymi wąsami, wytatuowany na czole romb najwyższego warunkowania oraz długie czarne włosy ujęte nad lewym ramieniem w srebrny pierścień Akademii Suka.

– Ucieszy cię pewnie wiadomość, że nie mamy dziś czasu na normalne zajęcia – powiedział Yueh. – Twój ojciec będzie tu niebawem.

Paul usiadł.

– Za to załatwiłem dla ciebie przeglądarkę księgofilmów i parę lekcji na czas podróży na Arrakis.

– Och.

Chłopak zaczął wciągać ubranie. Perspektywa wizyty ojca podekscytowała go. Spędzili razem tak niewiele czasu, od kiedy Imperator nakazał im przejąć w lenno Arrakis.

Yueh zbliżył się do stołu w kształcie litery L, myśląc: „Jakże ten chłopiec rozrósł się w ciągu ostatnich paru miesięcy. Cóż za marnotrawstwo! Och, cóż za bolesne marnotrawstwo”. Ale zaraz się upomniał: „Nie mogę się załamać. Robię to, aby mieć pewność, że moja Wanna nie będzie dłużej cierpiała w łapach harkonneńskich bestii”.

Paul dołączył do niego przy stole, dopinając bluzę.

– Co będę studiował w drodze?

– Oooch, lądowe formy życia na Arrakis. Wygląda na to, że planeta stała się łaskawsza dla pewnych stworzeń lądowych. Nie wiadomo, jakim cudem. Po przybyciu muszę odszukać ekologa planetarnego, niejakiego doktora Kynesa, i zaofiarować mu pomoc w badaniach. – I pomyślał: „Co ja wygaduję? Bawię się w hipokrytę nawet przed samym sobą”.

– Będzie coś o Fremenach? – zapytał Paul.

– Fremenach? – Yueh zabębnił palcami po stole, zauważył, że chłopak przypatruje się jego nerwowemu tikowi, i cofnął rękę.

– Może masz coś o całej populacji Arrakis? – dociekał Paul.

– Tak, owszem – odparł Yueh. – Ludność dzieli się na dwie główne warstwy: Fremenów, oni stanowią jedną grupę, i pozostałych, czyli mieszkańców grabenu, niecek i panwi. Mówiono mi, że zdarzają się między nimi mieszane małżeństwa. Kobiety z osad w grabenie i panwi wolą za mężów Fremenów, mężczyźni wolą za żony Fremenki. Mają tam porzekadło: „Blichtr płynie z miast, mądrość z pustyni”.

– Masz ich zdjęcia?

– Postaram się coś dla ciebie znaleźć. Najciekawszą cechą, oczywiście, są ich oczy, całkowicie błękitne, bez białek.

– Mutacja?

– Nie, to się wiąże z nasyceniem krwi melanżem.

– Fremeni muszą być dzielni, skoro żyją na skraju pustyni.

– Wszystko na to wskazuje – powiedział Yueh. – Oni układają ody do swych noży. Ich kobiety są równie szalone jak mężczyźni. Nawet dzieci Fremenów są gwałtowne i niebezpieczne. Śmiem twierdzić, że nie będzie ci wolno zadawać się z nimi.

Paul nie spuszczał oczu z Yuego. W tych paru wzmiankach o Fremenach odkrył potęgę, która przykuła całą jego uwagę. „Cóż to za sojusznicy do pozyskania!”

– A czerwie? – zapytał.

– Co?

– Chciałbym dowiedzieć się czegoś więcej o czerwiach pustyni.

– Aaach, niewątpliwie. Mam księgofilm z małym osobnikiem, zaledwie sto dziesięć metrów długości i dwadzieścia dwa metry średnicy. Sfilmowano go w północnych szerokościach geograficznych. Wiarygodni świadkowie donoszą o czerwiach długości ponad czterystu metrów, a są powody, by wierzyć, że istnieją jeszcze większe.

Paul zerknął na rozłożoną na stole mapę północnych szerokości Arrakis w rzucie stożkowym.

– Pas pustyni i południowe regiony podbiegunowe oznaczono jako bezludne. Czerwie?

– I samumy.

– Ale każde miejsce można przystosować dla ludzi.

– Jeśli to ekonomicznie realne – powiedział Yueh. – Arrakis ma mnóstwo kosztownych zagrożeń. – Przygładził obwisłe wąsy. – Zaraz tu będzie twój ojciec. Nim odejdę, chcę ci dać upominek, coś, na co natknąłem się przy pakowaniu.

Położył na stole czarny prostokąt nie większy od koniuszka kciuka chłopca. Paul spojrzał na przedmiot. Widząc, że po niego nie sięga, Yueh pomyślał: „Jakiż on ostrożny”.

– To bardzo stara Biblia Protestancko-Katolicka sporządzona dla podróżujących w kosmosie. Żaden księgofilm. Prawdziwy druk na papierze włókiennym. Ma własny powiększalnik i instalację ładunku elektrostatycznego. – Wziął Biblię do ręki i zademonstrował. – Ładunek utrzymuje książkę zamkniętą, przeciwdziałając sprężynie rozwieracza okładek. Naciskasz krawędź… o, tak… i wybrane przez ciebie stronice, odpychając się wzajemnie, otwierają książkę.

– Jakie to maleńkie.

– Ale ma tysiąc osiemset stron. Przy czytaniu naciskasz krawędź… tak i tak… i ładunek przechodzi do przodu, strona po stronie. Nigdy nie dotykaj palcami samych stronic. Splot włókien jest zbyt delikatny. – Zamknął książeczkę i wręczył ją Paulowi. – Spróbuj.

Przyglądając się, jak młodzieniec manipuluje regulacją stronic, Yueh pomyślał: „Robię to dla spokoju własnego sumienia. Darowuję mu religijne moratorium, zanim go zdradzę. Żebym mógł sobie powiedzieć, że on odszedł tam, dokąd ja pójść nie mogę”.

– Musiano ją zrobić jeszcze przed księgofilmami – powiedział chłopak.

– Ma swoje lata. Niech to pozostanie naszą tajemnicą, co? Twoi rodzice mogliby uznać, że jest zbyt cenna dla kogoś tak młodego – rzekł doktor i pomyślał: „Jego matka niewątpliwie zastanawiałaby się nad moimi motywami”.

– Cóż… – Paul zamknął książkę. – Jeżeli jest tak cenna…

– Potraktuj to jako kaprys starego człowieka – powiedział Yueh. – Dano mi ją, kiedy byłem bardzo młody. – „Muszę zaspokoić zarówno jego umysł, jak i zachłanność” – pomyślał. – Otwórz ją na stronie czterysta sześćdziesiątej siódmej kalimy, na słowach: „Z wody powstaje wszelkie życie”. Miejsce jest zaznaczone lekką rysą na krawędzi okładki.

Paul pomacał okładkę i odkrył dwie rysy, w tym jedną płytszą. Nacisnął ją i książeczka otworzyła mu się w dłoni, a powiększalnik najechał na swoje miejsce.

– Przeczytaj na głos – poprosił Yueh.

Chłopak zwilżył wargi i zaczął czytać:

– „Zastanówcie się nad faktem, że głuchy nie słyszy. A zatem jakaż to głuchota jest udziałem nas wszystkich? Jakich brakuje nam zmysłów, że nie widzimy i nie słyszymy innego świata, który nas otacza? Cóż jest takiego wokół nas, że nie…”

– Zamilcz! – wycharczał doktor.

Paul przerwał i spojrzał na niego ze zdumieniem.

Yueh zamknął powieki, starając się odzyskać panowanie nad sobą. „Jakiż to zły duch rozchylił książkę na ulubionym wersecie mojej Wanny?” Otworzył oczy i napotkał wbity w siebie wzrok Paula.

– Przepraszam – powiedział. – To był ulubiony werset… mojej… zmarłej żony. Chciałem, żebyś przeczytał zupełnie inny. Ten budzi… bolesne wspomnienia.

– Są dwie rysy – rzekł Paul.

„Naturalnie – pomyślał Yueh. – Wanna zaznaczyła swój ulubiony passus. Jego palce są wrażliwsze od moich i odnalazły jej znaki. Ślepy traf, nic więcej”.

– Możliwe, że książka cię zainteresuje – powiedział. – Jest w niej sporo historycznej prawdy, jak również zdrowej etyki filozoficznej.

Paul popatrzył na książeczkę w swej dłoni – co za maleństwo. A jednak kryła w sobie tajemnicę… coś się stało, kiedy z niej czytał. Poczuł, jak coś targnęło jego straszliwym przeznaczeniem.

– Lada chwila przyjdzie tu twój ojciec – rzekł Yueh. – Odłóż teraz Biblię, lecz sięgaj po nią w wolnej chwili.

Paul dotknął krawędzi okładek tak, jak pokazywał mu doktor. Książka się zamknęła. Wsunął ją pod bluzę. Po tym, jak Yueh na niego warknął, obawiał się przez moment, że zażąda oddania Biblii.

– Dziękuję ci za twój dar, doktorze Yueh – powiedział oficjalnym tonem. – Będzie on naszą tajemnicą. Jeżeli jest coś, czego pragniesz ode mnie, jakiś podarunek czy przysługa, nie wahaj się o to poprosić.

– Ja… nie potrzebuję niczego – odparł doktor. „Po co tu stoję, znęcając się nad sobą? – myślał. – I torturując tego nieszczęsnego chłopca… chociaż on jeszcze o niczym nie wie. Oooch! Przeklęte harkonneńskie bestie! Dlaczego właśnie mnie wybrały na swego złego ducha?”

Jak podejść do studiów nad ojcem Muad’Diba? Człowiekiem nadzwyczajnej serdeczności, a zarazem zaskakująco oziębłym był książę Leto Atryda. Jednakże wiele faktów sporo mówi nam o tym księciu: jego bezgraniczna miłość do swej pani Bene Gesserit, marzenia związane z synem, oddanie, z jakim służyli mu ludzie. Oto on – mężczyzna usidlony przez los, samotna postać, której blask przygasł, przesłonięty chwałą syna. Atoli trzeba postawić pytanie: Czymże jest syn, jeśli nie przedłużeniem ojca?

– z *Muad’Dib. Uwagi o rodzinie* pióra księżnej Irulany

Paul obserwował ojca wkraczającego do sali treningowej, patrzył, jak straż przyboczna rozstawia się za drzwiami. Jeden z ludzi zamknął drzwi. Chłopak jak zawsze wyczuwał w ojcu kwintesencję obecności, kogoś całkowicie obecnego tam, gdzie jest.

Książę był wysoki, cerę miał oliwkową. Ostrość rysów jego pociągłej twarzy łagodziły jedynie ciemnoszare oczy. Nosił czarny mundur polowy z czerwonym jastrzębiem herbowym na piersi. Jego wąską talię opinał posrebrzany pas tarczy pokryty patyną od częstego używania.

– Bardzo jesteś zajęty, synu?

Doszedłszy do stołu w kształcie litery L, rzucił okiem na rozłożone tam papiery, omiótł pokój spojrzeniem i zatrzymał je na Paulu. Był zmęczony, wręcz wyczerpany ciągłym ukrywaniem tego zmęczenia. „Muszę wykorzystać każdą okazję, by odpocząć w czasie podróży na Arrakis – pomyślał. – Tam nie będzie już na to czasu”.

– Nie bardzo – odparł Paul. – Wszystko jest takie… – Wzruszył ramionami.

– Tak. Więc jutro odlatujemy. Dobrze będzie urządzić się już w nowym domu i zostawić za sobą cały ten kram.

Chłopak kiwnął głową, znienacka przytłoczony wspomnieniem słów matki wielebnej: „…dla twojego ojca… nic”.

– Ojcze – spytał – czy Arrakis jest tak groźna, jak wszyscy mówią?

Książę z trudem wykonał niedbały gest, przysiadł na skraju stołu i się uśmiechnął. W jego umyśle powstał gotowy schemat rozmowy – coś, co mogłoby posłużyć zagrzaniu ludzi przed bitwą. Rozpadł się on jednak, nim został ubrany w słowa, pod wpływem myśli: „To jest mój syn”.

– Jest groźna – przyznał.

– Hawat mówi, że mamy plany wobec Fremenów – rzekł Paul. „Dlaczego nie powtórzę mu, co mówiła stara? – nie mógł pojąć. – W jaki sposób zamknęła mi usta?”

Książę zauważył przygnębienie syna i powiedział:

– Hawat, jak zwykle, widzi tylko główną szansę. A to nie wszystko. Ja widzę również Konsorcjum Honnete Ober Advancer Mercantiles: kompanię KHOAM. Dając mi Arrakis, Jego Wysokość jest też zmuszony dać nam mandat do zarządu KHOAM… a to korzyść nie bez znaczenia.

– KHOAM kontroluje przyprawę – stwierdził Paul.

– A Arrakis z jej przyprawą jest naszą bramą do KHOAM – mówił dalej książę. – KHOAM to coś więcej niż melanż.

– Czy matka wielebna ostrzegała cię? – nie wytrzymał chłopak. Zacisnął spotniałe dłonie w pięści. Spociły się od wysiłku, jakiego potrzebował, by zadać to pytanie.

– Hawat opowiadał, że nastraszyła cię, ostrzegając przed Arrakis – rzekł książę. – Nie pozwól, by kobiece lęki zamąciły ci w głowie. Nie ma kobiety, która by chciała narazić na niebezpieczeństwo swoich bliskich. A w tych przestrogach widzę dłoń twej matki. Potraktuj je jako przejaw jej miłości do nas.

– Czy ona wie o Fremenach?

– Tak, i o wielu innych sprawach.

– Jakich?

„Prawda mogłaby się okazać gorsza, niż on sobie wyobraża – pomyślał książę – ale nawet groźne fakty są cenne dla kogoś, kogo nauczono sobie z nimi radzić. A to jest właśnie ta dziedzina, w której niczego nie oszczędzono memu synowi: jak radzić sobie z niebezpiecznymi faktami. Trzeba to jednak złagodzić, jest młody”.

– Niewiele produktów omija KHOAM – powiedział. – Dłużyce, osły, konie, krowy, tarcica, obornik, rekiny, wielorybie futra… najpospolitsze i najbardziej egzotyczne. Nawet nasz skromny ryż pundi z Kaladanu. Gildia przewiezie jak leci dzieła sztuki z Ekaza, maszyny z Richese i z Ixa. Wszystko wszakże blednie przy melanżu. Za garść przyprawy kupisz dom na Tupile. Jej nie da się wyprodukować, ją trzeba pozyskiwać na Arrakis. Jest unikatowa i ma autentyczne właściwości leku geriatrycznego.

– I teraz my nią dysponujemy?

– Do pewnego stopnia, lecz należy mieć na uwadze wszystkie rody zależne od dochodów KHOAM. Nie zapominaj o astronomicznej skali zysków płynących z obrotu jednym tylko towarem: przyprawą. Wyobraź sobie, co by się stało, gdyby z jakiegoś powodu zmniejszyły się jej dostawy.

– Ktokolwiek zgromadziłby zapasy melanżu, mógłby łatwo zarobić niewyobrażalne sumy. Wszyscy inni zostaliby na lodzie.

Książę pozwolił sobie na moment ponurej satysfakcji, spoglądając na syna – doceniał przenikliwość i naukową rzetelność jego spostrzeżenia. Potwierdził skinieniem głowy.

– Harkonnenowie gromadzą zapasy od ponad dwudziestu lat.

– Chodzi im o zmniejszenie zbiorów przyprawy i zrzucenie winy na ciebie.

– Chcą, aby imię Atrydów stało się niepopularne – powiedział Leto. – Pomyśl o rodach Landsraadu, które w pewnej mierze uważają mnie za swego przywódcę, nieoficjalnego rzecznika. Pomyśl, jak by zareagowały, gdyby się okazało, że jestem odpowiedzialny za poważny spadek ich dochodów. Ostatecznie bliższa koszula ciału i do diabła z Wielką Konwencją! Nie pozwolimy, by ktoś nas rujnował! – Nieprzyjemny uśmiech wykrzywił jego wargi. – Odwróciliby się plecami bez względu na to, jak by mnie wykańczano.

– Nawet gdyby zaatakowano nas bronią jądrową?

– Po co aż taki skandal? Po cóż otwarcie gwałcić Konwencję? Poza tym jednak prawie wszystkie chwyty byłyby dozwolone… może nawet pył radioaktywny i lekkie zatrucie gleby.

– Więc dlaczego się w to pakujemy?

– Paulu! – Książę z dezaprobatą spojrzał na syna. – Pierwszy krok do ominięcia pułapki to uświadomienie sobie, gdzie ona jest. To przypomina pojedynek, synu, tylko na większą skalę: finta wewnątrz finty w fincie… pozornie bez końca. Trzeba to rozwikłać. Wiedząc, że Harkonnenowie gromadzą zapasy melanżu, stawiamy kolejne pytanie: Kto jeszcze to robi? Odpowiedź daje listę naszych wrogów.

– Kto?

– Wiemy, że niektóre rody są nam wrogie, inne uważamy za przyjazne. Nie musimy brać ich pod uwagę w tej chwili, ponieważ jest ktoś inny, nieporównanie ważniejszy: nasz ukochany Padyszach Imperator.

Paul usiłował przełknąć ślinę, ale zaschło mu w ustach.

– Nie mógłbyś zwołać Landsraadu, ujawnić…

– Ujawnić przeciwnikowi, że wiemy, w której ręce ma nóż? Ależ Paulu, teraz my ten nóż widzimy. Kto wie, gdzie mógłby zostać przerzucony? Przedkładając to Landsraadowi, wywołamy jedno wielkie zamieszanie.

Imperator zaprzeczy. I któż zada mu kłam? Zyskalibyśmy jedynie trochę czasu, ryzykując chaos. A skąd wyszedłby następny atak?

– Wszystkie rody mogłyby zacząć gromadzić zapasy przyprawy.

– Przeciwnicy wcześniej wystartowali. Mają za dużą przewagę, by ich prześcignąć.

– Imperator – rzekł Paul. – To znaczy sardaukarzy.

– Przebrani w mundury Harkonnenów, rzecz jasna – dodał Leto. – Niemniej to fanatyczni żołnierze.

– Jak mogą nam pomóc Fremeni przeciwko sardaukarom?

– Hawat mówił ci o Salusie Secundusie?

– Więziennej planecie Imperatora? Nie.

– A jeżeli jest ona czymś więcej niż więzieniem Imperatora, Paulu? Istnieje takie nigdy niezadane głośno pytanie dotyczące imperialnego korpusu sardaukarów: Skąd oni się biorą?

– Z więziennej planety?

– Skądś pochodzą.

– A owe posiłkowe zaciągi, których Imperator żąda od…

– W to właśnie mamy wierzyć. Mamy wierzyć, że sardaukarzy są po prostu rekrutami Imperatora, od młodych lat szkolonymi do perfekcji. Słyszy się sporadyczne plotki o szkoleniowych kadrach Imperatora, lecz układ naszej cywilizacji się nie zmienia: po jednej stronie są siły militarne wysokich rodów Landsraadu, po drugiej sardaukarzy i ich posiłkowe zaciągi. I ich posiłkowe zaciągi, Paulu. Sardaukarzy są sardaukarami.

– Ale wszystkie doniesienia o Salusie Secundusie mówią, że ta planeta jest piekłem!

– Niewątpliwie jest, lecz gdybyś zamierzał wychować ludzi twardych, mocnych i zaciekłych, to jakie warunki środowiskowe byś im stworzył?

– Jak można zyskać lojalność takich ludzi?

– Są na to wypróbowane sposoby: wygrywanie ich oczywistego przekonania, że są lepsi, mistycyzm tajnego przymierza, duch wspólnie dzielonej niedoli. To się da zrobić. To się udało zrobić na wielu planetach w wielu okresach.

Paul skinął głową, ani na moment nie odrywając wzroku od twarzy ojca. Czuł, że zanosi się na jakąś rewelację.

– Weźmy Arrakis – mówił książę. – Jeśli wyjść poza miasta i osady garnizonowe, jest ona nie mniej strasznym miejscem niż Salusa Secundus.

Paulowi rozszerzyły się źrenice.

– Fremeni!

– Mamy tam potencjalny korpus, korpus równie silny i straszliwy jak sardaukarzy. Trzeba będzie cierpliwości, by ich potajemnie wykorzystać, oraz majątku, by ich odpowiednio wyposażyć, ale Fremeni tam są… i jest tam przyprawowe bogactwo. Rozumiesz teraz, dlaczego pakujemy się w Arrakis, mając świadomość, że jest ona pułapką?

– Czy Harkonnenowie nie wiedzą o Fremenach?

– Harkonnenowie naigrawali się z Fremenów, polowali na nich dla sportu i nigdy nie zadali sobie trudu, by ich chociażby policzyć. Znamy politykę Harkonnenów wobec ludności planet: jak najmniej łożyć na jej utrzymanie. – Metaliczne nitki w godle jastrzębia na piersi księcia zalśniły, kiedy Leto zmieniał pozycję. – Teraz rozumiesz?

– Obecnie prowadzimy negocjacje z Fremenami – rzekł Paul.

– Wysłałem misję pod dowództwem Duncana Idaho – potwierdził książę. – Dumny i bezwzględny z niego człowiek, ale rozmiłowany w prawdzie. Myślę, że Fremeni będą go podziwiać. Przy odrobinie szczęścia może i nas osądzą według niego. Według Duncana bez Skazy.

– Duncan bez Skazy – powtórzył Paul. – I Gurney Waleczny.

– Trafnie ich nazywasz – powiedział książę.

Paul zaś pomyślał: „Gurney jest jednym z tych, których miała na myśli matka wielebna, mówiąc o »waleczności dzielnych«. On jest obrońcą światów”.

– Gurney mówił, że byłeś dziś dobry w fechtunku – rzekł Leto.

– Mnie powiedział co innego.

Książę roześmiał się na całe gardło.

– Domyślam się, że jest skąpy w pochwałach. Mówi, że masz finezyjne wyczucie różnicy – to jego słowa – pomiędzy ostrzem a sztychem.

– Gurney uważa, że nie ma artyzmu w zabiciu sztychem, że należy to zrobić ostrzem klingi.

– Gurney jest romantykiem – mruknął książę. To gadanie syna o zabijaniu nagle go zdenerwowało. – Wolałbym, żebyś nigdy nie musiał zabijać… ale gdy zaistnieje potrzeba, zrób to, jak się da: sztychem czy ostrzem, wszystko jedno. – Popatrzył na świetlik, o który dzwonił deszcz.

Podążając za spojrzeniem ojca, Paul pomyślał o burzowych chmurach nad głową, rzeczy według wszelkich danych niespotykanej na Arrakis, i ta refleksja o niebiosach wywiodła go duchem w przestrzeń kosmiczną.

– Czy statki Gildii rzeczywiście są ogromne?

Leto przyjrzał się synowi.

– Pierwszy raz opuścisz planetę – powiedział. – Tak, są duże. Polecimy liniowcem, bo droga daleka. Liniowiec jest naprawdę ogromny. Wszystkie nasze fregaty i pojazdy zmieszczą się w maleńkim zakamarku ładowni. Będziemy zaledwie drobnym podpunktem w manifeście statku.

– I nie będziemy mogli opuścić naszych fregat?

– To wchodzi w cenę płaconą za gwarancje Gildii. Obok nas mogłyby leżeć statki Harkonnenów i nic by nam nie groziło z ich strony. Harkonnenowie nie są tacy głupi, by narażać swoje przywileje przewozowe.

– Będę obserwował nasze ekrany i spróbuję wypatrzyć gildianina.

– Nie wypatrzysz. Gildianina nie widzieli nawet jego agenci. Gildia strzeże swego odosobnienia równie zazdrośnie jak monopolu. Nie rób niczego, co by zaszkodziło naszym przywilejom przewozowym, Paulu.

– Myślisz, że oni chowają się, ponieważ ulegli mutacji i już nie wyglądają… jak ludzie?

– Kto wie? – Książę wzruszył ramionami. – Tej zagadki chyba nie rozwiążemy. Mamy zresztą bardziej palące problemy, wśród nich ciebie.

– Mnie?

– Matka chciała, abym to ja ci o tym powiedział, synu. Widzisz… ty prawdopodobnie masz zdolności mentata.

Paul spojrzał z niedowierzaniem na ojca, nie mogąc przez moment wydobyć głosu.

– Mentata? Ja? Ale ja…

– Hawat to potwierdza, synu. To prawda.

– Ale ja sądziłem, że szkolenie mentata musi się zaczynać w okresie niemowlęcym i nie wolno mu o tym powiedzieć, gdyż mogłoby to powstrzymać początkowe… – Urwał, bo wszystko, co do tej pory przeżył, ześrodkowało się w jednej błyskawicznej kalkulacji. – Tak – powiedział.

– Przychodzi dzień – rzekł książę – kiedy potencjalny mentat musi się dowiedzieć, co się dzieje. To już się nie może dłużej dziać bez niego. Mentat musi uczestniczyć w podjęciu decyzji, czy iść dalej, czy dać sobie spokój ze szkoleniem. Jedni są w stanie iść dalej, inni nie. Jedynie potencjalny mentat może znaleźć w sobie odpowiedź.

Paul potarł brodę. Wszystkie dodatkowe nauki Hawata i matki – mnemonika, koncentracja świadomości, kontrolowanie mięśni, wyostrzenie zmysłów, języki i poznawanie niuansów głosów – wszystko to utworzyło nowego rodzaju świadomość wewnątrz jego umysłu.

– Pewnego dnia zostaniesz księciem, synu – powiedział Leto. – Książę mentat… to byłoby wspaniałe. Podejmiesz decyzję teraz czy potrzeba ci trochę czasu?

W odpowiedzi Paula nie było wahania.

– Będę się dalej szkolił.

– Zaiste wspaniałe – wyszeptał książę.

Chłopak zobaczył uśmiech dumy na obliczu ojca. Wstrząsnął nim ten uśmiech. Ze szczupłej twarzy Leto wyjrzała szczerząca zęby czaszka.

Paul zamknął oczy, czując, jak budzi się w nim ponownie jego straszliwe przeznaczenie.

„Może bycie mentatem jest straszliwym przeznaczeniem” – pomyślał, lecz nawet kiedy się uczepił tej myśli, jego nowa świadomość zaprzeczyła temu.

Z pojawieniem się lady Jessiki na Arrakis w pełni zaowocował stworzony przez Bene Gesserit system rozsiewania za pośrednictwem Missionaria Protectiva mitotwórczych ziaren. Od dawna doceniano mądrość omotania znanego wszechświata siatką proroctw mającą chronić personel Bene Gesserit, ale nigdy nie widzieliśmy *conditio ut extremis* z idealniejszym połączeniem osoby i przygotowanego gruntu. Prorocze legendy przyjęły się na Arrakis do tego stopnia, że przyswojono je z etykietami (łącznie z matką wielebną, suplikacjami i responsem oraz większością szariatu z panoplia prophetica). Uważa się też teraz powszechnie, że utajone zdolności lady Jessiki zostały skandalicznie niedocenione.

– z *Analizy. Kryzys arrakijski* pióra księżnej Irulany (obieg prywatny; numer katalogu BG: AR 81088587)

Wszędzie wokół lady Jessiki – zwalony w rogach ogromnego arrakińskiego westybulu i spiętrzony na dziedzińcu – zalegał dorobek ich życia: pudła, kufry, kartony, skrzynie, niektóre częściowo rozpakowane. Słyszała, jak tragarze z promu Gildii składają u wejścia kolejny ładunek.

Jessika stała pośrodku westybulu. Powolutku zaczęła się obracać w miejscu, wodząc wzrokiem po ocienionych rzeźbieniach u góry, po pęknięciach i głębokich wnękach okiennych. Swym anachronicznym ogromem pomieszczenie to przypominało jej żeński refektarz w szkole Bene Gesserit. Tyle że w szkole było przytulnie. Tutaj nic, tylko zimny kamień.

„Jakiś architekt sięgnął do bardzo odległej historii po te przypory i mroczne draperie” – pomyślała. Dwa piętra nad nią wznosiło się sklepienie z olbrzymimi belami rozporowymi, które – była pewna – zostały przywiezione na Arrakis za monstrualną cenę. Żadna planeta tego systemu nie zrodziła drzew pozwalających zrobić takie belki, chyba że były one imitacją drewna.

Nie wydawało jej się to prawdopodobne.

Znajdowała się w rządowej rezydencji z okresu Starego Imperium. Wtedy koszty nie miały większego znaczenia. Wszystko to wzniesiono przed Harkonnenami i ich nową metropolią Kartagin – tandetnym i jarmarcznym miastem położonym za Ziemią Skalistą, jakieś dwieście kilometrów na północny wschód. Mądrze postąpił Leto, wybierając to miejsce na ośrodek swej władzy. Nazwa Arrakin miała dobre, związane z tradycją brzmienie. I miasto było mniejsze, łatwiejsze do zaprowadzenia porządku i do obrony.

Ponownie rozległ się łoskot wyładowywanych w bramie skrzyń. Jessika westchnęła.

Na prawo od niej stał oparty o pudło portret ojca księcia. Sznurek pakowy zwisał z niego niczym poszarpana ozdoba. Kawałek tego sznurka ciągle jeszcze tkwił w zaciśniętej lewej dłoni Jessiki. Obok malowidła leżała czarna głowa byka zamocowana na wypolerowanej desce. Głowa tworzyła ciemną wyspę w morzu papierowych opakowań. Deska spoczywała na podłodze i lśniące nozdrza sterczały ku sufitowi, jakby zwierzę miało za chwilę ryknąć i rzucić wyzwanie w tę rezonującą echem salę.

Jessika zastanawiała się, pod wpływem jakiego nakazu odpakowała najpierw te dwie rzeczy – głowę i malowidło. Wiedziała, że w jej działaniu było coś symbolicznego. Od dnia, w którym agenci księcia zabrali ją ze szkoły, nigdy jeszcze nie czuła się tak wystraszona i niepewna.

Głowa i malowidło.

Oba przedmioty potęgowały w niej uczucie zagubienia. Zadrżała, podnosząc oczy na wysoko umieszczone okna szczelinowe. Nadal było wczesne popołudnie i na tych szerokościach geograficznych niebo

wydawało się czarne i zimne – o ileż ciemniejsze od ciepłego błękitu nad Kaladanem. Przeszedł ją dreszcz nostalgii.

„Jakże daleko od Kaladanu!”

– Jesteś!

To był głos księcia Leto. Odwróciła się błyskawicznie i ujrzała, jak wychodzi energicznym krokiem z łukowatego przejścia do sali jadalnej. Jego czarny mundur polowy z czerwonym jastrzębiem na piersi sprawiał wrażenie zakurzonego i wymiętego.

– A już myślałem, że się zgubiłaś w tej szkaradnej siedzibie – powiedział.

– Zimno tu – odparła.

Patrzyła na jego wysoką postać i na ciemną cerę przywodzącą jej na myśl gaje oliwne i złote promienie słońca na lazurowej toni. Szarość oczu księcia przypominała dym ogniska, ale twarz była drapieżna: wąska, pełna ostrych kątów i powierzchni.

Pierś jej ścisnął nagły strach. Stał się brutalny i bezwzględny, od kiedy postanowił wykonać rozkaz Imperatora.

– Całe miasto jest odpychająco zimne – dodała.

– To brudna, zapiaszczona garnizonowa mieścina – zgodził się. – Ale zmienimy ją. – Rozejrzał się po sali. – To pomieszczenia publiczne na oficjalne uroczystości. Dopiero co oglądałem apartamenty mieszkalne w południowym skrzydle. Są o wiele milsze.

Podszedł bliżej i dotknął ramienia Jessiki, napawając się jej majestatycznym wyglądem. I po raz któryś z kolei zastanowił się nad tajemnicą jej pochodzenia. Może jakiś ród renegacki? Jakaś czarna owca w rodzinie królewskiej? Wyglądała bardziej władczo niż potomstwo Imperatora.

Pod naciskiem jego spojrzenia na wpół odwróciła się, ukazując profil. Zdał sobie sprawę, że jej uroda nie skupiła się w żadnym określonym

szczególe. Owalna twarz pod kopułą włosów koloru wypolerowanego brązu. Szeroko rozstawione oczy, zielone i przejrzyste jak poranne niebo nad Kaladanem. Nos mały, usta szerokie i pełne. Zgrabna, choć szczupła – jej krągłości niknęły przy wysokiej, smukłej figurze.

Przypomniał sobie, że zatrudnione w szkole siostry nazywały ją chudzielcem, jak mu powiedzieli jego agenci, ale taki opis był przesadnym uproszczeniem. Jessika ponownie wniosła królewskie piękno do rodu Atrydów. Cieszył się, że Paul ją uwielbia.

– Gdzie Paul? – zapytał.

– Ma lekcję z Yuem gdzieś w budynku.

– Pewnie w południowym skrzydle – rzekł Leto. – Wydawało mi się, że słyszę głos Yuego, ale nie miałem czasu tam zajrzeć. – Zerknął na nią spod oka, z wahaniem. – Właściwie wpadłem tutaj tylko po to, by zawiesić w sali jadalnej klucz od zamku Kaladan.

Zaparło jej dech, o mało nie wyciągnęła do niego rąk. Zawieszenie klucza – w czynności tej była ostateczność, lecz ani pora, ani miejsce nie sprzyjały dodawaniu sobie otuchy.

– Widziałam naszą flagę na dachu, gdy wchodziliśmy – powiedziała.

Rzucił okiem na portret swego ojca.

– Gdzie zamierzałaś to powiesić?

– Gdzieś tutaj.

– Nie.

Słowo zabrzmiało sucho i kategorycznie i zrozumiała, że tylko uciekając się do wybiegu, może mu to wyperswadować, bo otwarty spór niczego tu nie da. Mimo to musiała spróbować, choćby akt ten miał jej jedynie przypomnieć, że księcia nie oszuka.

– Panie mój – odezwała się – gdybyś tylko…

– Odpowiedź niezmiennie brzmi: Nie. Aż wstyd, jak ci prawie we wszystkim ustępuję, ale w tej sprawie nie ustąpię. Wracam właśnie z jadalni, gdzie są…

– Panie mój! Błagam.

– Wybór jest pomiędzy twoją niestrawnością a moją dumą rodową, moja droga – powiedział. – Będą wisiały w jadalni.

Westchnęła.

– Tak, mój panie.

– Możesz wrócić do zwyczaju jadania w swoich pokojach, kiedy to tylko będzie możliwe. Oczekuję cię na należnym ci miejscu jedynie przy oficjalnych okazjach.

– Dziękuję, mój panie.

– I daj spokój z całą tą oziębłością i oficjalnym tonem! Bądź wdzięczna, że się z tobą nigdy nie ożeniłem. Wtedy siedzenie ze mną przy każdym posiłku byłoby twoim obowiązkiem.

Twarz Jessiki nie zmieniła wyrazu. Skłoniła głowę.

– Hawat umieścił już nasz wykrywacz trucizny nad stołem w jadalni – rzekł Leto. – W twoim pokoju znajduje się przenośny.

– Przewidziałeś ten… konflikt – powiedziała.

– Moja droga, myślę też o twojej wygodzie. Nająłem służbę. To miejscowi, ale Hawat dobrał ich starannie: wszyscy są Fremenami. Wystarczą do czasu, kiedy będziemy mogli zwolnić naszych ludzi z innych obowiązków.

– Czy komukolwiek stąd można ufać?

– Każdemu, kto nienawidzi Harkonnenów. Może nawet zechcesz zatrzymać ochmistrzynię. Nazywa się Szadout Mapes.

– Szadout – powtórzyła Jessika. – Fremeński tytuł?

– Powiedziano mi, że to znaczy „czerpiąca ze studni”. Ma to raczej ważne tutaj podteksty. Może nie zrobić na tobie wrażenia typowej służącej, ale Hawat wyraża się o niej z uznaniem na podstawie raportów Duncana. Obaj są przekonani, że ona pragnie u nas służyć. A dokładniej, że pragnie służyć tobie.

– Mnie?

– Fremeni dowiedzieli się, że jesteś Bene Gesserit – oznajmił. – Tutaj krążą o was legendy.

„Missionaria Protectiva – pomyślała Jessika. – Nie ominą żadnego miejsca”.

– Czy to znaczy, że Duncanowi się powiodło? – spytała. – Fremeni zostaną naszymi sojusznikami?

– To jeszcze nic pewnego – odparł. – Duncan uważa, że chcą się nam trochę przypatrzyć. Obiecali jednakże odstąpić od najeżdżania naszych pogranicznych osad na czas obecnego rozejmu. Ma to większe znaczenie, niż mogłoby się wydawać. Hawat mówi, że Fremeni byli jak cierń wbity głęboko w bok Harkonnenów, że rozmiary ich najazdów stanowiły pilnie strzeżoną tajemnicę. Imperator nie piałby z zachwytu na wieść o wojskowej nieudolności Harkonnenów.

– Ochmistrzyni Fremenka – zadumała się Jessika, wracając do tematu Szadout Mapes. – Całe oczy będzie miała błękitne.

– Nie daj się zwieść wyglądem tych ludzi – powiedział książę. – Tkwi w nich głęboko siła i zdrowa żywotność. Myślę, że mają wszystko, czego nam trzeba.

– To niebezpieczna gra – stwierdziła.

– Nie roztrząsajmy tego na nowo – uciął.

Uśmiechnęła się z wysiłkiem.

– To pewne, że kości zostały rzucone. – Wykonała skrócony obrzęd uspokojenia: dwa głębokie oddechy, rytualny namysł. Po chwili spytała: – Czy jakiś pokój mam zatrzymać specjalnie dla ciebie?

– Któregoś dnia musisz mnie nauczyć, jak to się robi – rzekł. – W jaki sposób odsuwasz na bok troski i zabierasz się do praktycznych zajęć. To musi być coś z Bene Gesserit.

– To coś kobiecego – powiedziała.

Uśmiechnął się.

– A więc przydzielamy pokoje. Nie zapomnij o obszernym gabinecie dla mnie tuż przy sypialni. Tutaj będzie więcej papierkowej roboty niż na Kaladanie. Pokój na wartownię, oczywiście. To by było wszystko. Nie martw się o bezpieczeństwo rezydencji. Ludzie Hawata przeczesali ją skrupulatnie.

– Nie wątpię.

Rzucił okiem na zegarek.

– I mogłabyś dopilnować, aby wszystkie nasze chronometry przestawiono na miejscowy czas arrakijski. Wyznaczyłem technika do tego zajęcia. Zjawi się lada chwila. – Odgarnął jej pasmo włosów z czoła. – Muszę już wracać na lądowisko. Za moment spodziewamy się drugiego promu z odwodami personelu.

– Nie mógłby ich przyjąć Hawat, mój panie? Wydaje się, że jesteś bardzo zmęczony.

– Zacny Thufir jest jeszcze bardziej zapracowany niż ja. Wiesz, że ta planeta jest dotknięta plagą harkonneńskich intryg. Poza tym muszę wyperswadować niektórym wyszkolonym poszukiwaczom przyprawy chęć wyjazdu. Mają tę możliwość, rozumiesz, przy zmianie lenna, a planetologa ustanowionego przez Imperatora i Landsraad sędzią zmiany nie da się

kupić. Pozwala im wybierać. Około ośmiuset wyszkolonych najemników czeka na odlot promem z melanżem, a na orbicie krąży towarowiec Gildii.

– Panie mój… – Urwała z wahaniem.

– Tak?

„Nie pozwoli się odciągnąć od prób zapewnienia nam bezpieczeństwa na tej planecie – pomyślała. – A ja nie jestem w stanie użyć wobec niego swoich sztuczek”.

– O której godzinie mają podać obiad? – spytała.

„Nie to chciała powiedzieć – pomyślał. – Ach, moja Jessiko, żebyśmy tak znaleźli się gdzie indziej, gdziekolwiek, byle z dala od tego straszliwego miejsca: sami, tylko we dwoje, wolni od zmartwień”.

– Zjem w mesie oficerskiej na lądowisku – odparł. – Nie spodziewaj się mnie dziś wcześniej niż bardzo późnym wieczorem. I… och, wkrótce przyślę samochód strażniczy po Paula. Chcę, by wziął udział w naszej radzie strategicznej.

Odchrząknął, jakby chciał coś jeszcze powiedzieć, po czym znienacka obrócił się na pięcie i pomaszerował do wyjścia, skąd dochodziły odgłosy składania kolejnych skrzyń. Raz jeszcze doleciały stamtąd jego słowa, wypowiedziane tonem władczym i lekceważącym, jakim zawsze zwracał się do służby, kiedy się spieszył:

– Lady Jessika jest w Wielkiej Sali. Idź do niej natychmiast.

Rozległo się trzaśnięcie drzwi.

Jessika odwróciła się, stając naprzeciwko portretu ojca Leto. Namalował go sławny artysta Albe, gdy Stary Książę był w średnim wieku. Przedstawiony został w kostiumie matadora z purpurową peleryną przerzuconą przez lewe ramię. Twarz miał młodą, niewiele starszą od obecnej twarzy Leto, z tymi samymi drapieżnymi rysami i spojrzeniem szarych oczu. Zacisnęła pięści u boków, spoglądając z furią na obraz.

– Zgiń, przepadnij! – wyszeptała. – Zgiń, przepadnij!

– Jakie są twoje rozkazy, szlachetnie urodzona?

Głos był cienki i metaliczny. Jessika odwróciła się i zmierzyła wzrokiem żylastą siwowłosą kobietę w bezkształtnej, workowatej sukni koloru poddańczego brązu. Zauważyła, że kobieta jest pomarszczona i zasuszona, jak wszyscy w tłumie witających ich tego ranka w drodze z lądowiska. Pomyślała, że wszyscy tubylcy, których tu zobaczyła, sprawiają wrażenie zagłodzonych i wysuszonych jak śliwki. A mimo to Leto uważał, że są silni i żywotni. No i te oczy, oczywiście – ów nalot najgłębszego, najciemniejszego błękitu bez śladu białek – sekretne i tajemnicze. Jessika zmusiła się do odwrócenia wzroku.

Kobieta sztywno skłoniła głowę.

– Nazywają mnie Szadout Mapes, szlachetnie urodzona. Czekam na twoje rozkazy.

– Możesz się do mnie zwracać „moja pani” – powiedziała Jessika. – Nie jestem szlachetnie urodzona. Jestem konkubiną przypisaną księciu Leto.

Znów ten dziwny ruch głowy, po którym kobieta przeszyła Jessikę chytrym, badawczym spojrzeniem.

– A więc ma żonę?

– Nie ma i nigdy nie miał. Ja jestem jedyną… towarzyszką księcia, matką jego prawowitego dziedzica.

Mówiąc to, Jessika śmiała się w duchu z dumy kryjącej się za jej słowami. „Co to powiedział święty Augustyn? – spytała samą siebie. – »Umysł rozkazuje ciału i ono jest posłuszne. Umysł rozkazuje sobie samemu i natrafia na opór«. Tak, ostatnio opór jest coraz silniejszy. Chciałabym się zaszyć w jakiejś mysiej dziurze”.

Przedziwny krzyk rozległ się na drodze przed budynkiem:

– *Suu-suu-suuk! Suu-suu-suuk!* – Po czym nastąpiło: – *Ikut-ej! Ikut-ej!* – I znowu: – *Suu-suu-suuk!*

– Co to jest? – zapytała Jessika. – Słyszałam to kilka razy dziś rano, kiedy przejeżdżaliśmy ulicami.

– To po prostu sprzedawca wody, moja pani, ale ty nie musisz interesować się takimi jak oni. Masz tu cysternę mieszczącą pięćdziesiąt tysięcy litrów wody, a my pilnujemy, by była ona zawsze pełna. – Spuściła oczy na swoją suknię. – No proszę. Spójrz tylko, moja pani, nawet nie muszę tutaj nosić swego filtraka. – Zachichotała. – A przecież żyję!

Jessika wahała się – chciała wypytać tę Fremenkę, gdyż potrzebowała informacji, które stanowiłyby jakieś wskazówki, lecz zaprowadzenie porządku w rezydencji było pilniejsze. Zmieszała się na myśl o tym, że woda jest tu głównym miernikiem bogactwa.

– Książę mówił mi o twym przydomku, Szadout. Rozpoznałam to słowo. Jest bardzo stare.

– Więc znasz stare języki? – spytała Mapes i czekała w dziwnym napięciu.

– Języki to pierwsza lekcja Bene Gesserit – odparła Jessika. – Znam bhotani dżib i chakobsa oraz wszystkie języki łowców.

Mapes kiwnęła głową.

– Tak jak głosi legenda.

„Po co ja gram tę komedię?” – zastanawiała się Jessika, lecz zawiłe i zniewalające były ścieżki Bene Gesserit.

– Znam Mroczne Sprawy i drogi Wielkiej Macierzy – oznajmiła. Dostrzegała coraz czytelniejsze sygnały w reakcjach i postawie Mapes, zdradzające ją drobne znaki. – *Miseces predżia* – odezwała się w języku chakobsa. – *Andral t’re pera! Trada cik buscakri miseces perakri…*

Mapes zrobiła krok w tył, jakby szykując się do ucieczki.

– Wiem o wielu sprawach – ciągnęła Jessika. – Wiem, że urodziłaś dzieci i że straciłaś ukochane osoby, że ukrywałaś się w trwodze, że przelałaś krew i że jeszcze ją przelejesz. Wiem wiele rzeczy.

– Nie chciałam cię obrazić, moja pani – wyszeptała Mapes.

– Mówisz o legendach i poszukujesz odpowiedzi – stwierdziła Jessika. – Strzeż się odpowiedzi, jakie możesz znaleźć. Wiem, że przyszłaś tu z bronią w zanadrzu, gotowa przelać krew.

– Moja pani, ja…

– Być może nawet moją – ciągnęła Jessika – lecz czyniąc to, sprowadziłabyś nieszczęście większe niż to, które podsuwają ci najstraszliwsze lęki. Są rzeczy gorsze od śmierci… nawet od śmierci całego ludu.

– Moja pani! – błagała Mapes. Wydawało się, że za chwilę padnie na kolana. – Broń przesłano jako dar dla ciebie, gdybyś się okazała Tą Jedyną.

– I jako narzędzie mej śmierci, gdyby się okazało inaczej – dodała Jessika.

Czekała pozornie rozluźniona, co czyniło wyszkolone Bene Gesserit tak straszliwymi w walce. „Teraz zobaczymy, jaka będzie decyzja” – pomyślała.

Mapes wolno sięgnęła za dekolt sukni i wyjęła ciemną pochwę. Wystawała z niej czarna rękojeść z głębokimi żłobieniami na palce. Ująwszy pochwę jedną dłonią, a rękojeść drugą, Fremenka wysunęła nóż i uniosła mlecznobiałe ostrze. Wydawało się, że świeci ono i migoce własnym światłem. Obosieczna jak w handżarze klinga miała mniej więcej dwadzieścia centymetrów długości.

– A to znasz, moja pani? – zapytała Mapes.

To mogło być tylko jedno – Jessika wiedziała o tym – legendarny krysnóż z Arrakis, ostrze, które nigdy nie opuściło planety i znane było

wyłącznie z pogłosek i fantastycznych plotek.

– To krysnóż.

– Nie wymawiaj tego tak niefrasobliwie – powiedziała Mapes. – Czy znasz sens tego słowa?

„W tym pytaniu jest haczyk – pomyślała Jessika. – To właśnie powód, dla którego ta Fremenka przyjęła służbę u mnie: aby zadać to jedno pytanie. Moja odpowiedź może spowodować przelew krwi… albo… albo co? Ona żąda ode mnie odpowiedzi. Chce wiedzieć, co znaczy ten nóż. Nazywa się Szadout w języku chakobsa. Nóż to w chakobsa »stworzyciel śmierci«. Zaczyna się denerwować. Muszę już odpowiedzieć. Zwłoka jest równie niebezpieczna jak niewłaściwa odpowiedź”.

– To stworzyciel…

– Ejjiiii! – zajęczała Mapes.

W jej głosie był żal i jednocześnie uniesienie. Dygotała tak silnie, że ostrze noża rzucało ogniste błyski na cały westybul.

Jessika czekała w bezruchu. Zamierzała powiedzieć, że nóż jest „stworzycielem śmierci”, a następnie dorzucić starożytne słowo, lecz wszystkie zmysły ostrzegały ją teraz, cała jej dogłębnie wytrenowana czujność wydobywająca znaczenia z najbardziej zdawkowego drgnienia mięśni.

Słowem kluczem był… stworzyciel.

Stworzyciel? Stworzyciel.

Mapes ciągle jeszcze trzymała nóż, jakby go miała za chwilę użyć.

– Sądziłaś – powiedziała Jessika – że ja, znająca tajemnice Wielkiej Macierzy, nie poznałabym stworzyciela?

Szadout opuściła nóż.

– Moja pani, kiedy tak długo obcuje się z proroctwem, chwila objawienia jest szokiem.

Jessika pomyślała o proroctwie – o szariacie i całej panoplia prophetica, o jakiejś Bene Gesserit z Missionaria Protectiva zrzuconej tu stulecia temu, dawno już zmarłej, która jednak osiągnęła swój cel: zaszczepiła tym ludziom mit dla ochrony sióstr Bene Gesserit, gdyby pewnego dnia któraś znalazła się w opałach.

Cóż, ten dzień nadszedł.

Mapes wsunęła nóż do pochwy.

– To niestałe ostrze, moja pani. Noś je przy sobie. Wystarczy, że będzie dłużej niż tydzień z dala od ciała, a zacznie się rozpadać. Ten ząb szej-huluda jest twój, na całe twoje życie.

Jessika wyciągnęła prawą rękę i zaryzykowała zagranie:

– Mapes, schowałaś bezkrwawe ostrze.

Fremence zaparło dech, upuściła nóż w pochwie na dłoń Jessiki i rozerwała brązowy stanik, zawodząc:

– Bierz wodę mojego życia!

Jessika wyjęła nóż z pochwy. Ależ lśnił! Skierowała czubek klingi w stronę Mapes i zauważyła, jak kobietę ogarnia strach większy niż lęk przed śmiercią.

„Czyżby trucizna w sztychu?” – przemknęło jej przez głowę. Odchyliła sztych do góry i delikatnie drasnęła Mapes ostrzem nad lewą piersią. Wypłynęła gęsta krew, która prawie natychmiast zakrzepła. „Ultraszybka koagulacja – pomyślała Jessika. – Mutacja zatrzymująca wilgoć?”

Wsunęła klingę do pochwy.

– Zapnij suknię, Mapes – rozkazała.

Fremenka usłuchała, drżąc na całym ciele. Pozbawione białek oczy wpatrzone były w Jessikę.

– Nasza jesteś – wymamrotała. – Jesteś Tą Jedyną.

Rozległ się łoskot towarzyszący kolejnemu wyładunkowi przy bramie. Mapes porwała tkwiący w pochwie nóż i wsunęła go Jessice za stanik.

– Każdego, kto ujrzy ten nóż, trzeba oczyścić lub zabić! – warknęła. – Wiesz o tym, moja pani!

„Teraz wiem” – pomyślała Jessika.

Tragarze odjechali, nie wchodząc do Wielkiej Sali. Mapes się uspokoiła.

– Nieoczyszczeni, którzy widzieli krysnóż, nie mogą żywi opuścić Arrakis. Nigdy o tym nie zapomnij, moja pani. Powierzono ci krysnóż. – Odetchnęła głęboko. – Teraz sprawa musi się toczyć własnym torem. Nie można tego przyspieszyć. – Spojrzała na stosy skrzyń i spiętrzone wokół nich rzeczy. – Mamy tu sporo roboty dla zabicia czasu.

Jessika biła się z myślami. „Sprawa musi się toczyć własnym torem”. Była to formuła typowa dla zaklęć magicznych Missionaria Protectiva: *Nadejście matki wielebnej wolność wam niosącej*.

„Ale ja nie jestem matką wielebną – pomyślała. I zaraz potem jęknęła w duchu: – Wielka Macierzy! I tę tu wsadzili! To dopiero musi być upiorne miejsce!”

– Od czego każesz mi zacząć, moja pani? – spytała Mapes rzeczowo.

Instynkt ostrzegł Jessikę, by podtrzymała jej obojętny ton.

– Tam stoi portret Starego Księcia – powiedziała. – Trzeba go zawiesić na bocznej ścianie w jadalni. Łeb byka musi pójść na ścianę naprzeciwko malowidła.

Szadout podeszła do głowy byka.

– Ależ to zwierzę musiało być wielkie, żeby nosić taki łeb – powiedziała. Nachyliła się. – Będę musiała to najpierw oczyścić, nieprawdaż, moja pani?

– Nie.

– Przecież rogi lepią mu się od brudu.

– To nie brud, Mapes. To krew ojca naszego księcia. Te rogi zostały spryskane przezroczystym utrwalaczem w parę godzin po tym, jak owo zwierzę zabiło Starego Księcia.

Fremenka się podniosła.

– Ach tak!

– To tylko krew – rzekła Jessika. – I do tego stara. Weź sobie kogoś do pomocy przy zawieszaniu. Te paskudztwa są ciężkie.

– Myślałaś, że krew robi na mnie wrażenie? – spytała Mapes. – Pochodzę z pustyni i widziałam mnóstwo krwi.

– To… to widać – powiedziała Jessika.

– W tym trochę własnej – dodała Szadout. – Więcej, niż upuściłaś mi swym draśnięciem.

– Wolałabyś, żebym cięła głębiej?

– Ach, nie! Wody ciała jest zbyt mało, żeby nią jeszcze szafować na powietrzu. Zrobiłaś to, co trzeba.

Zważając na słowa i sposób wyrażania się, Jessika podchwyciła znaczenia ukryte w określeniu „woda ciała”. Znów odczuła przygnębienie na myśl o tym, czym jest woda na Arrakis.

– Po której stronie ma zawisnąć każde z tych cacek, moja pani? – zapytała Fremenka.

„Wciąż praktyczna ta Mapes” – pomyślała Jessika.

– Zrób, jak uważasz, Mapes – odpowiedziała. – To w zasadzie bez różnicy.

– Jak sobie życzysz, moja pani. – Szadout schyliła się i zaczęła odwijać głowę z papierów i sznurków. – Zabiło się Starego Księcia, co? – zamruczała.

– Mam wezwać ci tragarza do pomocy? – zapytała Jessika.

– Dam sobie radę, moja pani.

„Tak, da sobie radę – pomyślała Jessika. – To tkwi w tym fremeńskim stworzeniu: instynkt radzenia sobie”.

Poczuła chłód pochwy krysnoża pod stanikiem i wyobraziła sobie długi łańcuch knowań Bene Gesserit, do którego zostało tutaj dołączone kolejne ogniwo. Dzięki owym knowaniom przetrwała w krytycznej chwili. „Nie można tego przyspieszyć” – powiedziała Mapes. A jednak wyczuwało się tu jakieś tempo na złamanie karku, które napełniało Jessikę złym przeczuciem. I ani wszystkie przygotowania Missionaria Protectiva, ani dokonana przez podejrzliwego Hawata inspekcja tej zwieńczonej blankami kamiennej budowli nie mogły rozwiać owego przeczucia.

– Kiedy to zawiesisz, zacznij rozpakowywać skrzynie – zarządziła Jessika. – Któryś z tragarzy przy bramie ma wszystkie klucze i wie, dokąd mają iść rzeczy. Weź od niego klucze i listę. Gdyby były jakieś wątpliwości, będę w południowym skrzydle.

– Jak sobie życzysz, moja pani.

„Hawat może uważać, że ta rezydencja jest bezpieczna – pomyślała Jessika, odchodząc – ale w tym domu jest coś złego. Czuję to”.

Nagle zapragnęła zobaczyć się z synem. Ruszyła w kierunku sklepionego wyjścia na korytarz prowadzący do sali jadalnej i skrzydeł mieszkalnych. Szła coraz szybciej, prawie już biegła.

Mapes przerwała zdzieranie opakowania z głowy byka i spojrzała na plecy odchodzącej.

– To Ta Jedyna, z całą pewnością – wymruczała. – Biedactwo.

„Yueh! Yueh! Yueh! – brzmi refren. – Milion śmierci za mało byłoby dla Yuego!”

– z *Historii dzieciństwa Muad’Diba* pióra księżnej Irulany

Drzwi stały otworem i Jessika przestąpiła próg, wkraczając do pokoju o żółtych ścianach. Z lewej strony ciągnęła się niska, obita czarną skórą ława, przy niej były dwa puste regały. Pękate boki wiszącej flaszki na wodę obrastał kurz. Pod prawą ścianą, przy drugich drzwiach, było więcej regałów oraz biurko z Kaladanu i trzy krzesła. Pod oknami dokładnie na wprost Jessiki stał odwrócony do niej tyłem doktor Yueh, zapatrzony na świat za szybą.

Po cichutku Jessika zrobiła następny krok w głąb pokoju.

Zauważyła, że Yueh ma wymiętą marynarkę z białą smugą na lewym łokciu, jakby oparł się o kredę. Od tyłu wyglądał jak bezcielesny pajac w za dużej czarnej odzieży, zawieszona w powietrzu karykatura czekająca na poruszenie sznurkami przez lalkarza. Żywa była jedynie kanciasta głowa o długich, hebanowych włosach ujętych na ramieniu w srebrny pierścień Akademii Suka, która obracała się nieznacznie w ślad za jakimiś poruszeniami na dworze.

Ponownie rozejrzała się po pokoju, nie znajdując śladu syna. Wiedziała jednak, że zamknięte drzwi z prawej strony prowadzą do niewielkiej sypialni, której Paul zapragnął.

– Dzień dobry, doktorze Yueh – powiedziała. – Gdzie jest Paul?

Yueh skinął głową, jakby pozdrawiał kogoś za oknem, i nie odwracając się, rzekł nieobecnym tonem:

– Twój syn był zmęczony, Jessiko. Odesłałem go do sąsiedniego pokoju, by odpoczął.

Nagle zesztywniał, odwrócił się raptownie, a wąsy opadły mu na purpurowe wargi.

– Wybacz, moja pani! Myślami byłem bardzo daleko… Nie chciałem, żeby to zabrzmiało tak poufale.

Uśmiechnęła się, podnosząc prawą rękę. Przez chwilę obawiała się, że doktor może uklęknąć.

– Daj spokój, Wellingtonie.

– Żeby tak się odezwać do ciebie… ja…

– Znamy się już sześć lat – powiedziała. – Najwyższy czas, by w cztery oczy dać sobie spokój z etykietą minionego okresu.

Yueh zdobył się na wątły uśmiech. „Wygląda na to, że mi się udało. Teraz będzie uważała, że każde moje niezwykłe zachowanie wynika z zakłopotania. Nie będzie się doszukiwać głębszych motywów, skoro już zna odpowiedź”.

– Zdaje się, że bujałem w obłokach – rzekł. – Obawiam się, że kiedy tylko… robi mi się ciebie szczególnie żal, myślę o tobie jako o… no, Jessice.

– Żal ci mnie? Dlaczego, u licha?

Doktor wzruszył ramionami. Dawno temu zdał sobie sprawę, że w przeciwieństwie do jego Wanny Jessika nie jest obdarzona całkowitym zmysłem prawdy. Mimo to, jeśli tylko się dało, w jej obecności trzymał się prawdy. Tak było bezpieczniej.

– Widziałaś tę planetę, moja… Jessiko. – Zająknął się przy imieniu, ale brnął dalej: – Jakże jałowa po Kaladanie. I ci ludzie! Te mieszczki, które mijaliśmy po drodze, zawodzące pod swymi zasłonami. Jak one na nas patrzyły!

Jessika złożyła ręce na piersiach, wyczuwając tam krysnóż, ostrze wytoczone, jeśli wierzyć doniesieniom, z zęba czerwia pustyni.

– To dlatego, że jesteśmy dla nich obcy: inni ludzie, inne obyczaje. Znali jedynie Harkonnenów. – Ominęła go spojrzeniem, wyglądając przez okno. – Co tam wypatrzyłeś?

Odwrócił się w jej kierunku.

– Ludzi.

Jessika przeszła przez pokój, stanęła u jego boku i spojrzała na lewo, w stronę fasady budynku, tam gdzie patrzył Yueh. Zobaczyła dwadzieścia drzew palmowych rosnących w rzędzie, a pod nimi wymiecioną do czysta ziemię. Tarczowy parkan odgradzał je od drogi, którą przechodzili ludzie w dżubbach. Pomiędzy sobą a ludźmi Jessika wyłowiła ledwo uchwytne migotanie powietrza – od tarczy domowej – i zaczęła oglądać tłum przechodniów, zastanawiając się, dlaczego tak zainteresowali Yuego.

Zauważyła prawidłowość i aż przycisnęła dłoń do policzka: spojrzenia, jakimi przechodnie mierzyli drzewa palmowe! Zobaczyła w nich zawiść, trochę nienawiści… a nawet nadzieję. Wszyscy wlepiali oczy w palmy z tym samym wyrazem.

– Wiesz, co oni myślą? – zapytał Yueh.

– Uprawiasz czytanie w myślach?

– W ich myślach – powiedział. – Oni spoglądają na te drzewa i myślą: „Tam jest nas stu”. To właśnie myślą.

Obróciła ku niemu zaintrygowaną twarz.

– Dlaczego?

– To daktylowce – rzekł. – Jedna palma daktylowa potrzebuje czterdzieści litrów wody dziennie. A człowiek zaledwie osiem. Przeto palma równa się pięciu ludziom. Tam jest dwadzieścia palm, a zatem stu ludzi.

– Lecz niektórzy z nich spoglądają na drzewa z nadzieją.

– Oni mają jedynie nadzieję, że spadnie trochę daktyli, tyle że to nie sezon.

– Patrzymy na tę planetę zbyt krytycznym okiem – powiedziała. – Ona jest naszym niebezpieczeństwem, lecz i nadzieją zarazem. Na przyprawie możemy się wzbogacić. Z pełną kiesą możemy urządzić ten świat, jak nam się spodoba. – I zaśmiała się z siebie w duchu: „Kogo ja usiłuję przekonać?”. Śmiech przedarł się przez krąg jej myśli, kruchy, niewesoły. – Ale bezpieczeństwa się nie kupi – dodała.

Yueh odwrócił się od niej, by nie widziała jego twarzy. „Gdyby tylko można było nienawidzić tych ludzi, zamiast ich kochać!” – pomyślał. Swoim zachowaniem Jessika pod wieloma względami przypominała mu Wannę. Jednak ta myśl narzucała własne rygory, umacniając go w dążeniu do wyznaczonego celu. Kręte są drogi okrucieństwa Harkonnenów. Może Wanna żyje. Musi się przekonać.

– Nie martw się o nas, Wellingtonie – powiedziała Jessika. – To nasza sprawa, nie twoja.

„Ona myśli, że się martwię o nią! – Mruganiem powstrzymał łzy. – Martwię się, oczywiście, ale muszę stanąć przed tym szatańskim baronem po wykonaniu zadania i wykorzystać swoją jedyną szansę uderzenia wtedy, gdy będzie najsłabszy: w momencie triumfu!”

Westchnął.

– Nie obudzę Paula, jeśli do niego zajrzę? – spytała.

– Bynajmniej. Dałem mu środek nasenny.

– Dobrze znosi zmianę?

– Jest tylko nieco przemęczony. I podekscytowany, ale któryż piętnastolatek by nie był w tej sytuacji. – Podszedł do drzwi i otworzył je. – Jest tutaj.

Podążywszy za nim, Jessika zajrzała w półmrok sypialni. Paul leżał na wąskim łóżku polowym z jedną ręką schowaną pod cienkim przykryciem, a drugą odrzuconą za głowę. Listewki żaluzji w oknie przy łóżku tkały kanwę cieni na jego twarzy i kocu.

Jessika zapatrzyła się na syna. Owal jego twarzy był bardzo podobny do jej, ale włosy miał po księciu – koloru węgla i niesforne. Długie rzęsy zakrywały żółtawozielone oczy.

Uśmiechnęła się, czując, jak opuszczają ją obawy. Znienacka uderzyło ją dziedziczne piętno w rysach syna – matczyne były kształt oczu i rysunek twarzy, ale ostre linie ojca wyzierały z tego rysunku niczym wyłaniająca się z dzieciństwa dojrzałość.

Pomyślała o rysach chłopca jako przecudownym efekcie wyklarowania przypadkowych kombinacji – nieskończonych łańcuchów zbiegów okoliczności spotykających się w tym ogniwie. Pod wpływem tej myśli zapragnęła uklęknąć przy łóżku i wziąć syna w ramiona, powstrzymała ją jednak obecność Yuego. Cofnęła się i zamknęła cicho drzwi.

Doktor dawno już wrócił pod okno, nie mogąc znieść spojrzenia, jakim Jessika mierzyła syna. „Dlaczego Wanna nie dała mi dzieci? – zadawał sobie pytanie. – Jako lekarz wiem, że nie istniała żadna fizyczna przyczyna. Czyżby dla jakichś racji Bene Gesserit? Może wyznaczono jej inne zadanie? Ale jakie? Kochała mnie, to pewne”.

Po raz pierwszy przyszło mu do głowy, że może jest fragmentem o wiele bardziej zawiłego i skomplikowanego układu, niż potrafi ogarnąć swoim umysłem.

Jessika stanęła przy nim.

– Ileż cudownej beztroski jest we śnie dziecka – odezwała się.

– Gdyby jeszcze dorośli potrafili się tak zapomnieć – odpowiedział machinalnie.

– Gdyby…

– Gdzie my to zaprzepaszczamy? – wyszeptał.

Spojrzała na niego, pochwyciwszy zastanawiające brzmienie jego głosu, ale duchem była wciąż przy Paulu, rozmyślając nad nowymi rygorami jego nauczania tutaj, nad zmianami w jego życiu – jakże różnym od życia, jakie kiedyś dla niego planowali.

– My rzeczywiście coś zaprzepaszczamy – stwierdziła.

Spojrzała w prawo, na skarpę z garbami sfatygowanych przez wiatr szarozielonych krzaków o zakurzonych liściach i wyschniętych, szponiastych gałęziach. Zanadto ciemne niebo zawisło nad skarpą niczym kleks, a mleczny blask słońca Arrakis zalewał krajobraz srebrzystą poświatą – jak światło ukrytego pod jej stanikiem krysnoża.

– Niebo jest takie ciemne – powiedziała.

– Częściowo z braku wilgoci.

– Woda! – fuknęła. – Wszystko, co tutaj zaczniesz, skończy się na braku wody!

– To największa tajemnica Arrakis – rzekł.

– Dlaczego tu jest tak mało wody? Są przecież skały wulkaniczne. Jest kilkanaście źródeł energii, które mogę wymienić. Jest lód polarny. Mówi się, że nie można wiercić na pustyni, bo samumy i piachopływy niszczą instalacje szybciej, niż się je montuje, o ile wcześniej jeszcze nie dopadną ich czerwie. Tak czy owak, nigdy nie natrafiono tam na ślad wody. Ale tajemnica, Wellingtonie, prawdziwa tajemnica, to studnie wywiercone w tutejszych basenach i nieckach. Czytałeś o nich?

– Z początku strumyczek i na tym koniec.

– Lecz, Wellingtonie, to dopiero tajemnica. Jest woda, potem źródło wysycha i nigdy już nie ma tam wody. Jednakże drugie wiercenie tuż obok

daje ten sam efekt: strumyczek, który się urywa. Czy nigdy to nikogo nie zaciekawiło?

– To ciekawe – przyznał. – Podejrzewasz jakieś procesy życiowe? Czy nie wyszłoby to w próbkach rdzenia?

– Co by wyszło? Obca substancja roślinna… albo zwierzęca? Kto by ją rozpoznał? – Ponownie odwróciła się do skarpy. – Woda zostaje zatrzymana. Coś zatyka jej ujście. To podejrzewam.

– Może przyczyna jest znana – powiedział. – Harkonnenowie pozamykali dostęp do wielu źródeł informacji na temat Arrakis. Może mieli powód, aby to ukryć.

– Jaki powód? – zapytała. – A poza tym jest wilgoć w atmosferze. Bardzo niewiele, owszem, ale jest. To główne źródło tutejszej wody, zbieranej w oddzielaczach wiatru i osadnikach. Skąd się bierze ta wilgoć?

– Z czap polarnych?

– Zimne powietrze absorbuje niewiele wilgoci, Wellingtonie. Jest tu za kurtyną Harkonnenów wiele spraw, które wymagają bliższego zbadania, i nie wszystkie one wiążą się bezpośrednio z przyprawą.

– Rzeczywiście jesteśmy za kurtyną Harkonnenów – rzekł. – Może by… – Urwał, spostrzegłszy intensywność, z jaką nagle zaczęła mu się przyglądać. – Czy coś się stało?

– Sposób, w jaki mówisz „Harkonnenowie” – odparła. – Nawet w głosie mojego księcia nie ma tyle jadu, kiedy wymawia to znienawidzone miano. Nie wiedziałam, że masz osobiste powody, by ich nienawidzić, Wellingtonie.

„Wielka Macierzy! Obudziłem w niej podejrzenia! – pomyślał. – Teraz muszę użyć wszelkich wybiegów, jakich nauczyła mnie Wanna. Mam tylko jedno wyjście: powiedzieć jak najwięcej prawdy”.

– Nie wiedziałaś, że moja żona, moja Wanna… – Wzruszył ramionami, nie mogąc mówić z powodu nagłego skurczu w gardle. – Oni… – Słowa uwięzły mu w krtani. Wpadł w popłoch, zacisnął mocno powieki, nic prawie nie czując prócz bólu w piersi, dopóki jakaś dłoń nie dotknęła delikatnie jego ramienia.

– Wybacz mi – powiedziała Jessika. – Nie miałam zamiaru otwierać starych ran. – I pomyślała: „A to bydlaki! Jego żoną była Bene Gesserit: widać to w nim jak na dłoni. I oczywiście Harkonnenowie ją zamordowali. Oto kolejna nieszczęsna ofiara złączona cheremem nienawiści z Atrydami”.

– Przepraszam – rzekł. – Nie mogę o tym mówić.

Otworzył oczy, zdając się na świadomość rozpaczy. To przynajmniej była prawda.

Jessika wodziła po nim wzrokiem, zatrzymując go na wystających kościach policzkowych, na ciemnych cekinach skośnych oczu, na kremowej cerze, na sznureczkach wąsów zwisających niczym portal nad purpurowymi wargami, na wąskim podbródku. Zauważyła, że bruzdy na czole i policzkach świadczą tyleż o wieku, co o troskach. Poczuła do niego głęboką sympatię.

– Żałuję, Wellingtonie, że sprowadziliśmy cię w to niebezpieczne miejsce – powiedziała.

– Przyjechałem z własnej woli – odparł.

To także była prawda.

– Ale cała ta planeta jest pułapką Harkonnenów. Musisz o tym wiedzieć.

– Trzeba czegoś więcej niż pułapki, by schwytać księcia Leto – stwierdził.

I to również była prawda.

– Może powinnam bardziej w niego wierzyć – rzekła. – Jest genialnym taktykiem.

– Zostaliśmy wyrwani z korzeniami. Dlatego czujemy się niepewnie.

– A jakże łatwo jest zabić wykorzenioną roślinę – powiedziała. – Szczególnie kiedy się ją wsadzi we wrogą glebę.

– Czy na pewno ta gleba jest wroga?

– Były rozruchy na tle wody, gdy się rozniosło, jak wielu ludzi książę tu sprowadza – odparła. – Ustały dopiero wtedy, kiedy miejscowi się dowiedzieli, że instalujemy nowe oddzielacze wiatru i skraplacze, by przejęły to brzemię.

– Wody jest tu tylko tyle, żeby utrzymać ludzi przy życiu – powiedział Yueh. – Oni wiedzą, że jeśli mieszkańców przybędzie, a nie zwiększy się ilość wody, jej cena pójdzie w górę i najbiedniejsi poumierają. Ale książę rozwiązał ten problem. Rozruchy wcale nie muszą świadczyć o trwałej wrogości do niego.

– I straże – powiedziała. – Wszędzie straże. I tarcze. Gdzie spojrzeć, widać tę mgiełkę. Inaczej żyliśmy na Kaladanie.

– Dajmy tej planecie szansę – rzekł doktor, lecz Jessika ponownie skierowała kamienne spojrzenie za okno.

– Czuję śmierć w tym miejscu – oznajmiła. – Hawat wyprawił tutaj przodem swych agentów w sile batalionu. Ci gwardziści na zewnątrz to jego ludzie. Tragarze to jego ludzie. Ze skarbca bez żadnych wyjaśnień pobiera się wielkie sumy. A to oznacza tylko jedno: łapówki w wysokich sferach. – Potrząsnęła głową. – Dokąd kroczy Thufir Hawat, tam idzie śmierć i zdrada.

– Oczerniasz go.

– Oczerniam? Ja go wychwalam. Śmierć i zdrada to teraz nasza jedyna nadzieja. Ja po prostu nie mam złudzeń co do metod Thufira.

– Powinnaś… się czymś zająć. Nie zostawić sobie ani chwili na takie niezdrowe…

– Zająć! A co innego zabiera mi prawie wszystkie chwile, Wellingtonie? Jestem sekretarką księcia, i to tak zajętą, że codziennie dowiaduję się, co jeszcze będzie mi spędzać sen z powiek, a jemu nawet nie przyjdzie do głowy, że wiem o tym. – Zacisnęła wargi i powiedziała bezbarwnym głosem: – Czasami zastanawiam się, na ile moje handlowe wykształcenie Bene Gesserit zaważyło na tym, że jego wybór padł na mnie.

– Jak mam to rozumieć? – Uderzył go jej cyniczny ton, gorycz, której nigdy przed nim nie ujawniła.

– Nie sądzisz, Wellingtonie, że związana miłością sekretarka jest o niebo pewniejsza?

– To poroniony pomysł, Jessiko.

Reprymenda przyszła sama. Uczucia księcia do konkubiny nie budziły wątpliwości. Wystarczyło spojrzeć, jak wodzi za nią oczami.

Jessika westchnęła.

– Masz rację. Poroniony. – Ponownie objęła się ramionami, przyciskając do ciała pochwę z krysnożem i myśląc o związanej z nim niezakończonej sprawie. – Wkrótce obficie poleje się krew – powiedziała. – Harkonnenowie nie spoczną, dopóki nie legną w grobie albo nie zniszczą księcia. Baron nie może zapomnieć, że Leto jest spokrewniony z królewskim rodem, nieważne jak daleko, podczas gdy godności Harkonnenów mają swe źródło w kiesie KHOAM. Ale zadra, która tkwi w nim głęboko do dziś, to świadomość, że po bitwie pod Corrinem jeden z Atrydów skazał Harkonnena na banicję za tchórzostwo.

– Dawna wendeta – mruknął Yueh.

Poczuł przypływ zapiekłej nienawiści. Wpadł w sidła tamtej dawnej wendety, która zabiła jego Wannę lub – co gorsza – wydała ją na tortury Harkonnenów do czasu, aż jej mąż spełni ich żądania. Dawna wendeta omotała go, a ci ludzie byli częścią tej morderczej gry. Na ironię zakrawało,

że taka śmierć mogłaby rozkwitać tutaj, na Arrakis, jedynym we wszechświecie źródle życiodajnego melanżu, dawcy zdrowia.

– O czym myślisz? – spytała Jessika.

– Myślę, że za przyprawę dają na wolnym rynku już sześćset dwadzieścia tysięcy solarisów za dekagram. Takie bogactwo pozwala mieć wiele rzeczy.

– Czy nawet ty nie jesteś wolny od chciwości, Wellingtonie?

– To nie chciwość.

– A co?

Wzruszył ramionami.

– Banał. – Spojrzał na nią. – Pamiętasz smak swej pierwszej przyprawy?

– Smakowała jak cynamon.

– Lecz nigdy dwa razy tak samo – rzekł. – Ona jest jak życie: ilekroć jej kosztujesz, ukazuje inną twarz. Niektórzy utrzymują, że przyprawa wywołuje smakowy odruch warunkowy. Przekonując się, że to mu dobrze robi, ciało przyjmuje smak jako przyjemny… z lekka euforyczny. I tak jak życia, nigdy nie uda się przyprawy wiernie zsyntetyzować.

– Myślę, że mądrzej byśmy zrobili, uchodząc jako renegaci poza granice Imperium – powiedziała.

Zorientował się, że go nie słucha, i zastanowił głęboko nad jej słowami. „Tak… Dlaczego nie zmusiła księcia, by tak zrobił? Może go zmusić dosłownie do wszystkiego”. Zaczął mówić szybko, ponieważ była w tym prawda i okazja do zmiany tematu.

– Czy uznasz to za zuchwałość z mojej strony… Jessiko, jeśli zadam ci osobiste pytanie?

Przywarła do wystającego parapetu przeszyta niewytłumaczalnym niepokojem.

– Oczywiście, że nie. Jesteś… moim przyjacielem.

– Dlaczego nie zmusiłaś księcia, by cię poślubił?

Odwróciła się z podniesioną głową i ogniem w oczach.

– Zmusić go do poślubienia mnie? Ale…

– Nie powinienem pytać – powiedział.

– Nie. – Wzruszyła ramionami. – Istnieją po temu ważne racje polityczne. Dopóki mój książę jest wolny, niektóre z wysokich rodów mogą nadal liczyć na koligację. Poza tym – westchnęła – motywowanie ludzi, naginanie ich do swojej woli wytwarza w nas cyniczny stosunek do człowieczeństwa. Poniża wszystko, czego dotknie. Gdybym zmusiła go do tego… byłoby tak, jakby nie on to zrobił.

– Coś takiego mogłaby powiedzieć moja Wanna – wyszeptał.

I to także była prawda.

Zakrył dłonią usta, przełykając nerwowo ślinę. Nigdy nie był bliżej wyznania, wyspowiadania się przed nią ze swojej potajemnej roli.

– Poza tym, Wellingtonie – odezwała się Jessika, niwecząc tę możliwość – książę to w istocie dwóch ludzi. Jednego z nich bardzo kocham. Jest uroczy, dowcipny, delikatny… czuły. Słowem, ma to wszystko, czego może zapragnąć kobieta. Jednak ten drugi jest zimny, gruboskórny, władczy, egoistyczny… ostry i okrutny jak zimowy wiatr. To człowiek ukształtowany przez ojca. – Jej twarz się wykrzywiła. – Szkoda, że ten staruch nie zmarł, gdy narodził się mój książę!

W ciszy, jaka zapadła, dał się słyszeć szmer zasłony muskanej powiewem wentylatora.

Po chwili Jessika odetchnęła pełną piersią i powiedziała:

– Leto ma rację. Te pokoje są milsze od tamtych w pozostałej części domu. – Odwróciwszy się, omiotła spojrzeniem pomieszczenie. – Jeśli nie masz nic przeciwko temu, Wellingtonie, obejdę raz jeszcze to skrzydło, zanim wyznaczę kwatery.

Kiwnął głową.

– Ależ oczywiście.

I pomyślał: „Gdybyż tylko istniał jakiś sposób, by nie zrobić tego, co muszę zrobić”.

Jessika opuściła ramiona, wyszła na korytarz i przystanęła na moment, bijąc się z myślami. „Przez cały czas on coś ukrywał, coś w sobie dusił – skonstatowała. – By nie zranić moich uczuć, zapewne. To dobry człowiek”. Ponownie opadły ją wątpliwości i mało nie zawróciła, by wydrzeć z niego to, co zataił. „Ale jedynie bym go zawstydziła, przestraszyłby się, widząc, jak łatwo go rozszyfrować. Powinnam pokładać więcej ufności w swoich przyjaciołach”.

Wielu podkreśla szybkość, z jaką Muad’Dib przyswoił sobie wymogi Arrakis. Bene Gesserit znają oczywiście źródła tej szybkości. Innym możemy powiedzieć, że Muad’Dib uczył się prędko, ponieważ najpierw przeszedł szkolenie, jak się uczyć. A najpierwszą ze wszystkich otrzymał lekcję podstawowej wiary, że może się nauczyć. Szokuje odkrycie, jak wielu ludzi nie wierzy, że mogą się nauczyć, a o ile więcej uważa, że nauka jest trudna. Muad’Dib wiedział, że każde zdarzenie niesie jakąś lekcję.

– z *Człowieczeństwa Muad’Diba* pióra księżnej Irulany

Paul leżał w łóżku i udawał, że śpi. Z łatwością schował w dłoni tabletkę nasenną Yuego, udając, że ją połyka. Pohamował śmiech. Nawet matka uwierzyła, że śpi. Pragnął się zerwać i wyprosić u niej pozwolenie na wędrówkę po rezydencji, ale zdawał sobie sprawę, że się nie zgodzi. Wszystko było jeszcze w zbytniej rozsypce. Nie. Tak jest najlepiej.

„Wymykając się bez pytania, nie złamię zakazów, no i zostanę w budynku, gdzie jest bezpiecznie”.

Słyszał rozmowę matki i Yuego w drugim pokoju. Ich słowa brzmiały niewyraźnie – coś o przyprawie… o Harkonnenach. Głosy wznosiły się i opadały.

Uwagę Paula zaprzątnęło rzeźbione wezgłowie łóżka – przytwierdzona do ściany imitacja wezgłowia kryła układ sterowania urządzeniami w pokoju. W drewnie przedstawiono rybę wyskakującą ponad wypukłe, brązowe fale. Wiedział, że kiedy naciśnie jedyne widoczne oko ryby, zapalą się lampy dryfowe. Przekręcenie jednej z fal regulowało wentylację. Innej – temperaturę.

Chłopak cichutko siadł na łóżku. Z lewej pod ścianą stał wysoki regał. Można go było odsunąć, a wtedy ukazywała się szafa wnękowa

z szufladami z jednej strony. Klamka drzwi na korytarz imitowała przepustnicę ornitoptera.

Wyglądało to tak, jakby pokój urządzono z zamiarem oczarowania Paula.

Pokój i całą planetę.

Przypomniał sobie księgofilm, który pokazał mu Yueh – *Arrakis. Stacja badawcza botaniki pustyni Jego Imperatorskiej Mości*. Księgofilm był stary, sprzed odkrycia przyprawy.

W pamięci Paula przemknęły nazwy, każda z obrazem odciśniętym mnemotechnicznym rytmem księgi: kaktus saguaro, ośli ogórek, palma daktylowa, werbena piaskowa, wiesiołek dwuletni, kaktus baryłkowaty, juka krótkolistna, perukowiec, krzew kreozytowy… lis długouchy, jastrząb pustynny, skoczek pustynny…

Nazwy i obrazy, nazwy i obrazy z ziemskiej przeszłości człowieka – a wielu nie można już spotkać nigdzie we wszechświecie poza Arrakis.

Trzeba się uczyć o tylu nowych rzeczach… O przyprawie.

I o czerwiach pustyni.

W sąsiednim pokoju trzasnęły drzwi. Paul usłyszał kroki matki oddalające się w głąb korytarza. Wiedział, że doktor Yueh znajdzie sobie coś do czytania i zostanie w przyległym pokoju.

Nadszedł moment, by wyruszyć na eskapadę.

Wykradł się z łóżka i skierował do regału otwierającego się na szafę. Przystanął, usłyszawszy szmer za plecami, i się odwrócił.

Rzeźbione wezgłowie łóżka opadło na miejsce, z którego się podniósł. Paul zamarł i bezruch ocalił mu życie. Zza wezgłowia wysunął się niewielki grot-gończak, najwyżej pięciocentymetrowy. Chłopak w mgnieniu oka rozpoznał pospolitą skrytobójczą broń, o której uczono od maleńkości każde dziecko królewskiej krwi. Drapieżna metalowa igła sterowana z bliska czyjąś ręką i okiem. Potrafiła wbić się w ruchome ciało

i po nitkach nerwów utorować sobie drogę do najbliższego z żywotnych narządów.

Gończak, uniósłszy się, przeleciał bokiem przez pokój tam i z powrotem.

Paul uzmysłowił sobie, co wie na jego temat, jakie zna ograniczenia tej broni: kompresja pola dryfowego zakłóca działanie oka przekaźnika. Skoro w zaciemnionym pokoju nie widać dobrze celu, operator będzie się kierował ruchem – jakimkolwiek.

Tarcza pozwoliłaby wyhamować gończak, dałaby czas na zniszczenie go, ale leżała na łóżku. Lance laserowe strącały gończaki, lecz były kosztowne i notorycznie się psuły, a poza tym zawsze istniała groźba wybuchu, gdyby wiązka lasera przecięła aktywną tarczę. Atrydzi wierzyli w osobiste tarcze i przytomność umysłu.

Zastygły w katatonicznym prawie bezruchu Paul wiedział, że teraz jedynie przytomność umysłu pozwoli mu stawić czoło niebezpieczeństwu.

Grot-gończak wzniósł się o dalsze pół metra. Kołysał się tam i z powrotem w smugach światła, przeszukując pokój.

„Muszę spróbować go złapać – pomyślał Paul. – Będzie śliski na spodzie od pola dryfowego. Muszę go mocno chwycić”.

Gończak opadł pół metra, zjechał na lewo i zawróciwszy, okrążył łóżko. Od broni dobiegało ciche buczenie.

„Kto tym draństwem steruje? – głowił się chłopak. – Musi być niedaleko. Mógłbym zawołać Yuego, ale to go dopadnie, jak tylko otworzy drzwi”.

Za jego plecami zaskrzypiały drzwi na korytarz. Ktoś w nie zapukał. Otworzyły się.

Grot-gończak śmignął mu koło głowy w kierunku ruchu. Prawa ręka Paula wystrzeliła do przodu i w dół i chwyciła śmiercionośne narzędzie. Gończak buczał i skręcał się w rozpaczliwie zaciśniętej na nim dłoni. Paul zamachnął się i z gwałtownego półobrotu trzasnął nosem igły w metalową

płytę drzwi. Usłyszał chrupnięcie miażdżonego oka na czubku i gończak zamarł w jego palcach. Mimo to dla pewności nie rozluźnił chwytu.

Podniósł wzrok i napotkał szczere spojrzenie błękitnych oczu Szadout Mapes.

– Twój ojciec przysyła po ciebie – powiedziała. – W sieni czekają ludzie z eskorty.

Paul kiwnął głową, skupiając wzrok i uwagę na dziwnej kobiecie w służebnym brązie workowatej sukni. Spoglądała teraz na przedmiot zaciśnięty w jego dłoni.

– Słyszałam o czymś takim – stwierdziła. – Zabiłoby mnie, prawda?

Musiał przełknąć ślinę, nim zdołał przemówić.

– To ja… byłem celem.

– Ale leciało na mnie.

– Bo się ruszałaś. – „Kim jest to stworzenie?” – zastanawiał się.

– Zatem uratowałeś mi życie – powiedziała.

– Uratowałem życie nam obojgu.

– Wygląda na to, że mogłeś mnie zostawić na pastwę tego czegoś, a sam uciec.

– Kim jesteś? – zapytał.

– Szadout Mapes, ochmistrzyni.

– Skąd wiedziałaś, gdzie mnie znaleźć?

– Twoja matka mi powiedziała. Spotkałam ją przy schodach do magicznego pokoju w końcu korytarza. – Wskazała w lewo. – Ludzie twojego ojca nadal czekają.

„To będą ludzie Hawata – pomyślał. – Musimy znaleźć operatora tego urządzenia”.

– Idź do ludzi mojego ojca. Powiedz im, że złapałem grota-gończaka w budynku i że mają się rozejść w poszukiwaniu operatora. Każ im

natychmiast otoczyć dom i teren. Będą wiedzieli, jak się do tego zabrać. To musi być ktoś obcy.

Zadumał się: „A może to ona?”. Ale był przekonany, że nie. Gończakiem ktoś kierował, gdy wchodziła.

– Zanim zrobię, co każesz, młodzieńcze – powiedziała Mapes – musimy wyrównać nasze rachunki. Złożyłeś na mnie brzemię wody, a nie bardzo mam ochotę je dźwigać. Jednak my, Fremeni, spłacamy długi, tak wdzięczności, jak nikczemności. I wiemy, że wśród was jest zdrajca. Nie znamy go, ale że jest, za to dajemy głowę. To zapewne jego ręka prowadziła ten krajak ciała.

Paul przyjął słowo „zdrajca” w milczeniu. Nim zdążył się odezwać, dziwna kobieta odwróciła się i pobiegła do wyjścia.

Przyszło mu na myśl, by ją przywołać, ale było w niej coś, co mówiło mu, że ją tym urazi. Powiedziała, co było jej wiadomo, i teraz zamierzała zrobić, co „kazał”. Lada chwila dom zaroi się ludźmi Hawata.

Wrócił pamięcią do innych fragmentów owej dziwnej rozmowy. „Magiczny pokój”. Spojrzał w lewo, we wskazanym przez nią kierunku. „My, Fremeni”. A więc to była Fremenka. Zatrzymał się na mrugnięcie mnemotechnicznej migawki rejestrującej w pamięci obraz jej twarzy: pomarszczona jak śliwka, ciemnobrązowa, błękitne w błękicie oczy bez białek. Dołączył imię: Szadout Mapes.

Ściskając strzaskany gończak, zawrócił w głąb pokoju, lewą ręką zgarnął pas tarczy z łóżka, owinął go wokół bioder i dopiął już w biegu. Wypadł z pokoju i popędził korytarzem w lewo.

Powiedziała, że gdzieś tutaj jest jego matka – schody… magiczny pokój.

Cóż takiego podtrzymywało lady Jessikę na duchu w godzinie próby? Zastanówcie się głęboko nad aforyzmem Bene Gesserit, a może zrozumiecie: „Każda przebyta do końca droga prowadzi dokładnie donikąd. Wejdź na górę tylko tyle, by sprawdzić, że jest górą. Nie zobaczysz góry z jej szczytu”.

– z *Muad’Dib. Uwagi o rodzinie* pióra księżnej Irulany

W końcu południowego skrzydła Jessika natknęła się na metalowe schody wznoszące się spiralą do owalnych drzwi. Zerknęła za siebie na korytarz i ponownie na drzwi. „Owalne? – zdumiała się. – Co za dziwny kształt domowych drzwi”.

Za oknami pod spiralą schodów widziała ogromne białe słońce Arrakis chylące się ku zachodowi. Długie cienie przeszywały korytarz. Zwróciła uwagę na schody. Ostre boczne światło wydobyło grudki wyschniętej ziemi na ażurowym metalu stopni.

Jessika położyła dłoń na poręczy i zaczęła wchodzić. Poręcz była chłodna. Stanęła pod drzwiami i ujrzała, że nie mają klamki – tam, gdzie powinna się ona znajdować, widniało lekkie wklęśnięcie.

„Przecież to nie zamek papilarny – powiedziała sobie. – Zamek papilarny musi być dostosowany do kształtu dłoni i linii jednego osobnika”. Jednak wyglądało to na zamek papilarny. Istniały zaś sposoby na otworzenie każdego zamka papilarnego – nauczono ją tego w szkole.

Jessika obejrzała się, by mieć pewność, że nikt jej nie obserwuje, i przycisnęła dłoń do wgłębienia. Delikatny dotyk zniekształcił linie papilarne, a wtedy poruszyła nadgarstkiem raz i drugi i poczuła kliknięcie. Wówczas jednak w korytarzu pod nią rozległy się pospieszne kroki. Jessika cofnęła dłoń, odwróciła się i ujrzała Mapes u stóp schodów.

– Ludzie w Wielkiej Sali mówią, że książę przysyła ich po panicza Paula – powiedziała Fremenka. – Mają książęcy sygnet i gwardzista ich zidentyfikował. – Spojrzała na drzwi i z powrotem na Jessikę.

„Ostrożna ta Mapes – pomyślała Jessika. – Dobry to znak”.

– Jest w piątym pokoju, licząc od tego końca korytarza. To taka mała sypialnia – oznajmiła. – Gdybyś miała kłopot z obudzeniem go, wezwij z sąsiedniego pokoju doktora Yuego. Paul może potrzebować czegoś na przebudzenie.

Mapes ponownie rzuciła przenikliwe spojrzenie na owalne drzwi i Jessice wydało się, że zobaczyła w jej oczach odrazę. Nim zdążyła zapytać o drzwi i o to, co kryją, ochmistrzyni zawróciła i w pośpiechu odeszła.

„Hawat poręczył za ten dom – pomyślała Jessika. – Nie może tu być nic szczególnie okropnego”.

Pchnęła drzwi. Otworzyły się do środka, ukazując małe pomieszczenie z drugimi owalnymi drzwiami naprzeciwko. Te miały jako klamkę obręcz.

„Śluza powietrzna!” – przemknęło Jessice przez myśl. Spojrzała w dół i zobaczyła podpórkę do drzwi, która upadła na podłogę maleńkiego pokoiku. Podpórka nosiła znak Hawata. „Drzwi podparto i zostawiono otwarte – pomyślała. – Ktoś pewnie przypadkowo zwalił podpórkę, nie zdając sobie sprawy, że drzwi zewnętrzne zamkną się na zamek papilarny”.

Przestąpiła krawędź, wchodząc do małego pomieszczenia. „Po co w domu śluza powietrzna?” – nie mogła zrozumieć. I nagle przyszły jej na myśl egzotyczne stworzenia pozamykane w sztucznych klimatach.

Sztuczny klimat!

To miałoby sens na Arrakis, gdzie najbardziej nawet sucholubne porosty spoza planety wymagały nawadniania.

Drzwi za jej plecami zaczęły się zamykać. Złapała je i zablokowała drążkiem zostawionym przez Hawata. Ponownie stanęła przed wewnętrznymi drzwiami z obręczą ryglującą. Tym razem zauważyła zatartą inskrypcję wyrytą w metalu ponad kołem. Rozpoznając słowa w galachu, odczytała: „Człowieku! Oto cudowna cząstka bożego świata. Zatem stań przed nią i naucz się miłować doskonałość Najwyższego Przyjaciela Twego”.

Naparła na koło. Obróciło się w lewo i wewnętrzne drzwi się uchyliły. Łagodny powiew musnął jej policzek, poruszył włosami. Poczuła zmianę w powietrzu, jego bogatszy aromat. Otworzyła drzwi na oścież, spoglądając przez nie w gąszcz zieleni zalanej żółtym blaskiem.

„Żółte słońce? – zdziwiła się. I po chwili uświadomiła sobie: – Szkło filtracyjne!”

Przestąpiła próg i drzwi zatrzasnęły się za nią.

– Oranżeria mokrej planety – wyszeptała.

Zewsząd otaczały ją rośliny doniczkowe i nisko przycięte drzewka. Poznała mimozę, kwitnącą pigwę, sondagi, zielono ukwieconą pleniscentę, akarso w zielone i białe pasy, róże…

„Nawet róże!”

Nachyliła się nad gigantycznym różowym kwiatem, wdychając jego woń, a po chwili wyprostowała się i przyjrzała pomieszczeniu.

Pochwyciła miarowy szmer. Rozsunęła gąszcz zachodzących na siebie liści i spojrzała na środek pokoju. Zobaczyła małą, niziutką fontannę z kanelurą na cokole. Regularny szmer wydawał opadający łukiem i rozszczepiający się strumień wody, która trafiała do metalowej misy z głuchym odgłosem galopady.

Jessika wykonała krótkie ćwiczenie na wyostrzenie zmysłów i rozpoczęła metodyczny obchód pokoju. Na oko miał on około dziesięciu

metrów kwadratowych. Z jego położenia nad szczytem korytarza oraz po subtelnych różnicach w konstrukcji zorientowała się, że został dobudowany na dachu tego skrzydła długo po tym, jak wzniesiono pierwotną budowlę.

Przystanęła na południowych obrzeżach pokoju przed szeroką taflą szkła filtracyjnego, rozglądając się wokoło. Cała powierzchnia była tu wypełniona egzotycznymi roślinami typowymi dla wilgotnego klimatu.

Coś zaszeleściło w zieleni. Jessika zastygła w napięciu, lecz zaraz spostrzegła prosty zegarowy serwok o ramionach z rur i węża. Jedno ramię uniosło się i rozpyliło wodną mgiełkę, która okryła jej policzki. Ramię złożyło się, a ona spojrzała, co zostało zroszone: była to paproć drzewiasta.

Wszędzie w tym pomieszczeniu była woda – na planecie, na której woda jest najcenniejsza, jest esencją życia. Jej marnotrawstwo było tak rażące, że w Jessice zamarło serce.

Wyjrzała na pożółcone filtrem słońce. Wisiało nisko nad szczerbatym horyzontem, ponad ścianami urwisk tworzącymi fragment olbrzymiego skalnego wypiętrzenia znanego jako Mur Zaporowy.

„Szkło filtracyjne – pomyślała. – Aby przemienić białe słońce w coś łagodniejszego i bliższego. Któż mógł wybudować takie pomieszczenie? Leto? To do niego podobne, taka niespodzianka jako podarunek dla mnie, tylko że nie było na to czasu. I miał na głowie poważniejsze sprawy”.

Przypomniały jej się doniesienia, że wiele domów w Arrakin izolowano śluzami powietrznymi w drzwiach i oknach dla zachowania i odzyskiwania wilgoci wnętrz. Leto powiedział, że zignorowanie takich środków w ich domu jest świadomą deklaracją potęgi i bogactwa, ich drzwi i okna bowiem zabezpieczono jedynie przed wszechobecnym pyłem. Jednak ten pokój deklarował coś o wiele bardziej znaczącego niż brak uszczelnień drzwi wejściowych. Oceniała, że to pomieszczenie rekreacyjne zużywało ilość

wody wystarczającą na Arrakis do utrzymania tysiąca osób – być może nawet więcej.

Przeszła wzdłuż okna, nie odrywając oczu od oranżerii. Dzięki zmianie pozycji dostrzegła przy fontannie metaliczny blat, a na nim mignęły jej biały notatnik i stylograf, częściowo przesłonięte zwisającym wachlarzowatym liściem. Podeszła do stolika, zauważając inskrypcje Hawata, i zapoznała się z wiadomością zapisaną na kartce.

Do lady Jessiki

Oby to miejsce dało ci tyle szczęścia, ile mnie dawało. Proszę, pozwól, aby ten pokój przekazał lekcję, jaką otrzymałyśmy od tych samych nauczycieli: bliskość pożądanej rzeczy kusi człowieka, by uległ słabościom. Na drodze tej czyha zguba.

Z najlepszymi życzeniami

Margot lady Fenring

Jessika pokiwała głową, przypomniawszy sobie, że Leto wymieniał hrabiego Fenringa jako poprzedniego namiestnika Imperatora na Arrakis, lecz natychmiastowej uwagi wymagała przemycona w liście informacja, której sposób ułożenia mówił, że jej autorka też jest Bene Gesserit.

Przelotna myśl napełniła Jessikę goryczą: hrabia poślubił swoją panią. Owa myśl kołatała się jej jeszcze w głowie, gdy pochylała się, szukając ukrytej wiadomości. Musiała tu być. Pozostawiony na widoku list zawierał kodowy zwrot, jaki każda Bene Gesserit niezwiązana zakazem szkoły miała obowiązek przekazać drugiej Bene Gesserit, kiedy wymagały tego okoliczności: „Na drodze tej czyha zguba”.

Jessika zbadała spód listu, przejechała dłonią po kartce w poszukiwaniu kropek kodu. Nic. Przebiegła palcami brzeg notatnika. Nic. Odłożyła list tak, jak go znalazła, odczuwając naglącą presję. „Coś w ułożeniu listu?” – zastanowiła się. Ale Hawat przeszukiwał to pomieszczenie i niewątpliwie

poruszył list. Spojrzała na liść ponad kartką. Liść? Przesunęła palcem po spodzie blaszki, wzdłuż krawędzi, po ogonku.

Jest tutaj! Palce odnalazły delikatne punkciki szyfru, przebiegły tekst jednym pociągnięciem: „Twój syn i książę są o krok od zguby. Jakąś sypialnię urządzono tak, by skusiła twego syna. H. naszpikował ją śmiercionośnymi pułapkami przeznaczonymi do wykrycia, zostawiając jedną, która może ujść uwagi”.

Jessika powstrzymała odruch, by natychmiast biec do Paula; należało zapoznać się z treścią przesłania do końca. Jej palce śmigały po kropkach.

„Nie orientuję się dokładnie w charakterze zagrożenia, ale wiąże się to jakoś z łóżkiem. Niebezpieczeństwo dla twego księcia ma związek ze zdradą któregoś z zaufanych towarzyszy lub adiutantów. H. zamierza zrobić z ciebie podarunek dla jakiegoś sługusa. O ile wiem, ta oranżeria jest bezpieczna. Wybacz, że nie jestem w stanie powiedzieć więcej. Moje źródła są ograniczone, jako że mój hrabia nie zaprzedał się H. Muszę kończyć. M.F.”

Jessika odepchnęła liść i obróciła się, by gnać z powrotem do Paula. W tym momencie otworzyły się z trzaskiem drzwi śluzy powietrznej. Paul wpadł przez próg, ściskając coś w prawej dłoni, a następnie zatrzasnął drzwi. Ujrzawszy matkę, przedarł się do niej pomiędzy liśćmi, rzucił okiem na fontannę i włożył dłoń z zaciśniętym w niej przedmiotem pod strugę wody.

– Paulu! – Złapała go za ramię, nie spuszczając oczu z jego palców. – Co to?

– Grot-gończak. – Mówił obojętnie, ale w jego tonie wyczuła wysiłek. – Złapałem go w swoim pokoju i zgniotłem mu nos, ale ostrożność nie zawadzi. Woda powinna go załatwić.

– Zanurz go! – rozkazała.

Usłuchał.

– Zabierz rękę – dodała po chwili. – Zostaw to w wodzie.

Wyciągnął dłoń i otrząsając z niej wodę, spoglądał na nieruchomy kawałek metalu w fontannie. Jessika odłamała łodygę rośliny i szturchnęła nią morderczy oścień. Był martwy. Upuściła łodygę do wody i popatrzyła na Paula. Mierzył wzrokiem pokój z przenikliwą natarczywością, w której rozpoznała metodę BG.

– W tym pomieszczeniu można wszystko ukryć – rzekł.

– Mam powody uważać, że jest bezpieczne – odparła.

– Mój pokój też miał być bezpieczny. Hawat powiedział…

– To był grot-gończak – przypomniała mu. – To zaś oznacza, że w budynku musiał być ktoś, kto nim sterował. Wiązka prowadząca grot ma ograniczony zasięg. Mogli tę zabawkę przeszmuglować tutaj po inspekcji Hawata.

Ale myślała o wiadomości z liścia. „…zdrada któregoś z zaufanych towarzyszy lub adiutantów”. „Nie Hawata przecież. Och, z pewnością to nie Hawat”.

– Ludzie Hawata właśnie przeszukują dom – oznajmił Paul. – Ten gończak omal nie trafił starej kobiety, która przyszła mnie obudzić.

– Szadout Mapes – powiedziała Jessika, przypomniawszy sobie spotkanie na schodach. – Ojciec wzywa cię na…

– Z tym możemy zaczekać – przerwał jej chłopak. – Dlaczego uważasz, że ten pokój jest bezpieczny?

Wskazała list i opowiedziała mu o nim. Odprężył się nieznacznie, lecz Jessiki nie opuściło wewnętrzne napięcie. „Grot-gończak! Matko Miłosierna!” Tylko swemu wyszkoleniu zawdzięczała to, że nie dostała napadu histerii.

Paul powiedział, jakby chodziło o zwykłą rzecz:

– To oczywiście Harkonnenowie. Musimy z nimi skończyć.

Rozległo się pukanie do drzwi śluzy powietrznej i ktoś wystukał hasło korpusu Hawata.

– Wejść! – zawołał Paul.

Drzwi stanęły otworem i do środka zerknął wysoki mężczyzna w mundurze Atrydów z insygniami Hawata na czapce.

– O, jesteś, sir – rzekł. – Ochmistrzyni powiedziała, że tu będziesz. – Rozejrzał się po pokoju. – W piwnicy była kamienna pryzma, a w niej człowiek. Miał konsolę gończaka.

– Chcę być przy przesłuchaniu – oświadczyła Jessika.

– Przykro mi, moja pani. Sponiewieraliśmy go w trakcie aresztowania. Umarł.

– Nie ma po czym go zidentyfikować?

– Jeszcze niczego nie znaleźliśmy, moja pani.

– Czy to był ktoś miejscowy? – zapytał Paul.

Jessika skinęła głową, doceniając bystrość pytania.

– Wyglądał na miejscowego – odparł człowiek Hawata. – Wydaje się, że wsadzili go do tej pryzmy z górą miesiąc temu i zostawili, by czekał w niej na nasze przybycie. Kamień i zaprawa w miejscu, gdzie przedostał się do piwnicy, były nienaruszone, kiedy badaliśmy wczoraj dom. Ręczę za to swą reputacją.

– Nikt nie kwestionuje twej sumienności.

– Ja ją kwestionuję, moja pani. Powinniśmy użyć sond akustycznych tam, na dole.

– Rozumiem, że właśnie teraz to robicie – powiedział Paul.

– Tak, sir.

– Przekaż mojemu ojcu, że się spóźnimy.

– Tak jest, sir. – Zerknął na Jessikę. – Jest rozkaz Hawata, by w takich okolicznościach jak te otoczyć panicza strażą w bezpiecznym miejscu. – Ponownie rozejrzał się po pokoju. – Co to za pomieszczenie?

– Mam powody uważać, że jest bezpieczne – stwierdziła. – Sprawdziliśmy je oboje, Hawat i ja.

– Postawię tu zatem wartę przed wejściem, moja pani, póki raz jeszcze nie przeczeszemy rezydencji. – Skłonił się, zasalutował Paulowi i wycofał się tyłem, zatrzaskując drzwi.

– Nie lepiej, żebyśmy później sami przeszukali dom? – Paul przerwał nagłą ciszę. – Twoje oczy potrafią zobaczyć rzeczy, które umkną innym.

– To skrzydło było jedynym miejscem, którego nie zbadałam – powiedziała. – Odłożyłam to na później, ponieważ…

– Ponieważ Hawat zajął się nim osobiście – dokończył chłopak.

Spojrzała mu w twarz.

– Nie ufasz Hawatowi? – spytała.

– Ufam, ale on się starzeje… Jest przepracowany. Moglibyśmy ulżyć mu trochę.

– To by go tylko upokorzyło i zmniejszyło jego sprawność – powiedziała. – Mucha się nie dostanie do tego skrzydła, gdy on o tym usłyszy. Będzie mu wstyd, że…

– Musimy poczynić własne kroki – rzekł Paul.

– Hawat służy z honorem trzeciemu już pokoleniu Atrydów – odparła. – Zasługuje na wszelki szacunek i zaufanie, na jakie nas stać… po wielekroć.

– Kiedy ojcu nie podoba się coś, co robisz, mówi „Bene Gesserit!”, jakby to było przekleństwo.

– A co takiego nie podoba się we mnie twemu ojcu?

– Że się z nim spierasz.

– Nie jesteś swoim ojcem, Paulu.

A chłopak pomyślał: „Zmartwię ją, ale muszę jej powiedzieć, co ta Mapes naplotła o zdrajcy wśród nas”.

– Co ty ukrywasz? – spytała Jessika. – To do ciebie niepodobne, Paulu.

Wzruszył ramionami i zrelacjonował matce rozmowę z Fremenką. A Jessika pomyślała o liściu z informacją. Nagle podjęła decyzję. Pokazała liść Paulowi i zdradziła mu treść ostrzeżenia.

– Ojciec musi się natychmiast o tym dowiedzieć – stwierdził. – Zakoduję wiadomość i wyślę mu radiogram.

– Nie. Zaczekasz, aż będziesz z nim w cztery oczy. O tym musi wiedzieć jak najmniej osób.

– Chcesz powiedzieć, że nie powinniśmy ufać nikomu?

– Jest jeszcze inna możliwość. Tu może chodzić tylko o to, by ta wiadomość do nas dotarła. Ludzie, którzy nam ją przekazali, może i wierzą w jej prawdziwość, ale kto wie, czy dotarcie do nas nie było jedynym zadaniem tej informacji.

Wyraz ponurej zawziętości nie schodził z twarzy Paula.

– Miała zasiać nieufność i podejrzliwość w naszych szeregach i osłabić nas w ten sposób – powiedział.

– Musisz przekazać to ojcu na osobności i naświetlić mu sprawę pod tym kątem.

– Rozumiem.

Odwróciła się do tafli szkła filtracyjnego i popatrzyła na południowy zachód, gdzie znikało słońce Arrakis – żółta kula tuż nad skalnymi urwiskami.

Paul odwrócił się wraz z nią.

– Ja też nie myślę, że to Hawat. Czyżby Yueh?

– Nie jest ani adiutantem, ani towarzyszem – powiedziała. – I mogę cię zapewnić, że nienawidzi Harkonnenów równie zawzięcie jak my.

Paul skierował uwagę ku urwiskom. „I na pewno nie Gurney… ani Duncan. Może któryś z podadiutantów? Wykluczone. Wszyscy oni pochodzą z rodzin od pokoleń nam wiernych, i nie bez powodów”.

Jessika potarła czoło; była zmęczona. „Ileż tu niebezpieczeństw!” – przemknęło jej przez głowę. Zaczęła studiować przefiltrowany na żółto pejzaż. Poza książęcymi włościami rozciągał się ogrodzony wysokim parkanem teren składowiska z rzędami przyprawowych silosów, wokół których rozstawiły się jak chmara najeżonych pająków szczudłonożne wieże strażnicze. Ogarniała wzrokiem przynajmniej dwadzieścia składowisk z silosami ciągnącymi się po urwiska Muru Zaporowego – silos za silosem, jakby kuśtykały przez basen.

Przefiltrowane słońce z wolna schowało się za horyzont. Wyprysły gwiazdy. Zauważyła jedną jasną gwiazdę tak nisko nad horyzontem, że migotała w wyraźnym, regularnym rytmie – mrugające światełko: mig-mig-mig-mig-mig…

Paul poruszył się przy niej w mrocznym pokoju, lecz Jessika skoncentrowała się na tej pojedynczej gwieździe, uświadomiwszy sobie, że jest ona zbyt nisko, że to światło musi dochodzić ze ścian Muru Zaporowego.

„Ktoś sygnalizuje!”

Spróbowała odczytać wiadomość, ale był to kod, jakiego się nigdy nie uczyła. Inne światełka rozbłysły w dole, na równinie pod urwiskami: maleńkie żółte punkty rozsiane na tle granatowej nocy. A na lewo od nich jedno światło rozjarzyło się jaśniej i zaczęło bardzo szybko mrugać ku urwiskom: mignięcie, migotanie, mig! I zgasło.

Fałszywa gwiazda na urwisku odpowiedziała natychmiast.

Sygnały… Napełniły ją one złym przeczuciem. „Dlaczego użyto świateł do komunikacji przez basen? – postawiła sobie pytanie. – Dlaczego nie

korzystali z sieci łączności?”

Odpowiedź nasuwała się sama: sieć telekomunikacyjna była już z pewnością na podsłuchu agentów księcia Leto. Sygnały świetlne mogły oznaczać tylko jedno: że wiadomości przesyłali sobie jego wrogowie – agenci Harkonnenów.

Za plecami usłyszeli pukanie do drzwi i głos człowieka Hawata:

– Wszystko w porządku, sir… Moja pani. Czas wyprawić panicza do ojca.

Mówi się, że książę Leto zamknął oczy na groźby Arrakis, że zrobił nierozważny krok w przepaść. Czyż nie bliższe prawdy będzie jednak stwierdzenie, że żyjąc tak długo w obliczu najwyższego zagrożenia, nie docenił zmiany w jego natężeniu? A może świadomie poświęcił siebie, aby jego synowi przypadło lepsze życie? Wszystkie fakty wskazują, że książę był człowiekiem, którego niełatwo wywieść w pole.

– z *Muad'Dib. Uwagi o rodzinie* pióra księżnej Irulany

Książę Leto Atryda wsparł się o parapet wieży kontrolnej lądowiska pod Arrakin. Pierwszy księżyc nocy – płaska, srebrna moneta – wisiał już całkiem wysoko nad południowym horyzontem. Pod nim zębate ściany Muru Zaporowego połyskiwały za mgiełką pyłu jak spękany lukier. Z lewej strony jarzyły się we mgle światła Arrakin – żółć… biel… granat.

Pomyślał o obwieszczeniach ze swym podpisem rozlepionych teraz we wszystkich zaludnionych miejscach planety: „Nasz Najjaśniejszy Padyszach Imperator nakazał mi wziąć we władanie tę planetę i położyć kres wszelkim waśniom".

Ich ceremonialna formuła przepełniła go poczuciem osamotnienia. „Kto się nabrał na ten dęty legalizm? Na pewno nie Fremeni. Ani członkowie niskich rodów mający w swych rękach handel wewnętrzny Arrakis… i będący prawie co do jednego ludźmi Harkonnenów".

„Targnęli się na życie mojego syna!"

Trudno mu było opanować wściekłość.

Zobaczył światła pojazdu zbliżającego się do lądowiska od strony Arrakin. Miał nadzieję, że to transportowiec gwardii i wojska wiozący Paula. Zwłoka była irytująca, chociaż wiedział, że wynikła z ostrożności porucznika w służbie Hawata.

„Targnęli się na życie mojego syna!"

Potrząsnął głową, by opędzić się od złych myśli. Spojrzał na lądowisko, gdzie pięć spośród jego fregat tkwiło na obwodzie niczym monolityczni strażnicy. „Lepsza ostrożna zwłoka niż…” Przypomniał sobie, że to dobry porucznik. Człowiek wyznaczony do awansu, całkowicie oddany.

„Nasz Najjaśniejszy Padyszach Imperator…”

Gdyby tylko mieszkańcy tego podupadłego garnizonowego miasta zobaczyli prywatny list Imperatora do swego „Szlachetnie urodzonego księcia” – pogardliwe aluzje do zakwefionych mężczyzn i kobiet… „Ale czegóż więcej można oczekiwać od dzikusów, których najgorętszym marzeniem jest żyć poza bezpiecznym ładem faufreluches?”

Książę czuł w tym momencie, że jego najgorętszym marzeniem jest położyć kres wszystkim różnicom klasowym, by móc zapomnieć na zawsze o morderczym ładzie. Spojrzał w górę, ponad pyłem, na nieruchome gwiazdy i pomyślał: „Wokół jednego z owych maleńkich światełek krąży Kaladan… lecz ja nigdy już nie zobaczę swojego domu”.

Z tęsknoty za Kaladanem nagle zabolało go w piersi. Czuł, że ból nie ma źródła w nim, że dosięgnął go z Kaladanu. Nie mógł zmusić się do nazwania tej wyschniętej, jałowej ziemi swoim domem i wątpił, by kiedykolwiek był w stanie.

„Muszę ukrywać swoje uczucia – pomyślał. – Dla dobra chłopaka. Jeśli kiedykolwiek ma mieć dom, musi to być tutaj. Ja mogę uważać Arrakis za piekło, do którego dostałem się przed śmiercią, lecz on musi odszukać tutaj coś, w czym znajdzie natchnienie. Coś musi tutaj być!”

Ogarnęła go fala litości nad sobą, wzgardzonej i odrzuconej natychmiast, i przyłapał się na tym, że z jakiegoś powodu czepia się jego pamięci dwuwiersz z kasydy powtarzanej często przez Gurneya Hallecka:

W pierś łapię oddech Czasu,

Za którym opadł piach…

„No tak, Gurney znajdzie tutaj sporo opadającego piachu” – pomyślał książę.

Centralne pustkowie za oszkliwionymi przez księżyc urwiskami było pustynią: naga skała, wydmy i tumany pyłu, niezbadana dzicz z grupkami Fremenów tu i ówdzie na skraju, a może i rozsianymi po tej pustyni. Jeśli cokolwiek miało zapewnić przyszłość Atrydom, mogli to zrobić właśnie Fremeni.

Pod warunkiem że Harkonnenowie nie zarazili ich swoimi krwawymi intrygami.

„Targnęli się na życie mojego syna!”

Zgrzytliwy metaliczny łoskot wprawił wieżę w drżenie, zatrząsł balustradą pod rękami księcia. Przeciwpodmuchowe osłony zapadły przed nim, zasłaniając widok.

„Przybywa prom – skonstatował. – Pora zejść i zabrać się do roboty”. Zawrócił ku schodom za swoimi plecami i ruszył na dół, do wielkiej sali przylotów, starając się odzyskać spokój i przygotować twarz na nadchodzące spotkanie.

„Targnęli się na życie mojego syna!”

Ludzie tłoczyli się już z lądowiska do środka, kiedy dotarł do nakrytej żółtą kopułą hali. Niosąc zarzucone na ramiona marynarskie worki, pokrzykiwali i dokazywali jak uczniowie wracający z kolonii.

– Hej! Wyczuwasz to pod swoimi platfusami? To ci dopiero ciążenie, brachu!

– Ile tu mają stałej grawitacyjnej? Czuje się wagę.

– Dziewięć dziesiątych *G*, tak stoi w księgach.

Bezładny gwar wypełnił ogromną salę.

– Przyjrzałeś się dobrze tej dziurze podczas lądowania? Gdzie cały ten szmal, jaki miał na nas czekać?

– Harkonneny wzięły go ze sobą!

– Ja pod gorący prysznic i buch do łóżka!

– Nie słyszałeś, idioto? Tutaj nie ma pryszniców. Szorujesz dupę piaskiem!

– Hej! Mordy w kubeł! Książę!

Leto wyszedł z klatki schodowej na ucichłą nagle salę.

Przy skraju tłumu kroczył Gurney Halleck. Na jednym ramieniu niósł torbę, w drugiej ręce ściskał gryf swej dziewięciostrunowej balisety. Miał długopalce dłonie z wielkimi kciukami, zdolne do drobnych ruchów, którymi dobywał z instrumentu tak delikatną muzykę.

Książę obserwował Hallecka, podziwiając zwalistego brzydala. Zauważył lustrzane refleksy źrenic, a w nich błysk barbarzyńskiego zrozumienia. „Oto człowiek, który żył poza faufreluches, przestrzegając go jednocześnie w każdym przykazaniu. Jak to go Paul nazwał? Gurney Waleczny”.

Kosmyki jasnych, cienkich włosów snuły się po wyłysiałej miejscami głowie. Szerokie usta wykrzywił w wesołym uśmiechu, a blizna po krwawinie ruszała się, jakby żyła własnym życiem. Z całej jego postaci biła niedbała niedźwiedzia siła. Podszedł do księcia i schylił się w ukłonie.

– Gurneyu – powiedział Leto.

– Mój panie. – Halleck wyciągnął balisetę w kierunku ludzi na sali. – To już reszta. Wolałbym przybyć z pierwszym rzutem, ale…

– Zostało dla ciebie jeszcze trochę Harkonnenów – rzekł książę. – Chodź ze mną na stronę, to pogadamy.

– Rozkazuj, mój panie.

Przeszli do alkowy koło sprzedającego wodę automatu na monety, podczas gdy ludzie kręcili się nerwowo po ogromnej poczekalni. Halleck cisnął torbę w kąt, nie wypuszczając balisety.

– Ilu ludzi możesz dać Hawatowi? – zapytał książę.

– Czy Thufir jest w tarapatach, wasza wysokość?

– Stracił zaledwie dwóch agentów, a jego straż przednia wspaniale rozpracowała całą tutejszą siatkę Harkonnenów. Jeśli będziemy działać szybko, zapewnimy sobie względne bezpieczeństwo, tak potrzebną nam chwilę wytchnienia. On chce tylu ludzi, ilu tylko możesz zwolnić. Ludzi, którzy nie zawahają się popracować i nożem.

– Mogę mu dać trzy setki moich najlepszych – powiedział Halleck. – Dokąd mam ich odesłać?

– Do głównej bramy. Czeka tam agent Hawata, który ich przejmie.

– Mam się tym zająć natychmiast, wasza wysokość?

– Za chwilę. Mamy jeszcze jeden problem. Komendant lądowiska pod jakimś pretekstem zatrzyma tu prom do świtu. Liniowiec Gildii, którym przybyliście, leci dalej w swoich interesach, prom zaś ma się spotkać z towarowcem zabierającym stąd ładunek przyprawy.

– Naszej przyprawy, mój panie?

– Naszej. Ale prom zabierze również niektórych poszukiwaczy przyprawy starego reżimu. Zdecydowali się na wyjazd przy zmianie lenna, a sędzia zmiany im tego nie zabrania. To cenni pracownicy, Gurneyu. Jest ich około ośmiuset. Do odlotu promu musisz namówić część z nich, by zaciągnęli się do nas.

– Jak mocno mam ich namawiać, wasza wysokość?

– Zależy mi na ich dobrowolnej współpracy, Gurneyu. Ci ludzie mają niezbędne nam doświadczenie i umiejętności. Fakt, że odlatują, sugeruje, iż nie są częścią machiny Harkonnenów. Hawat jest przekonany, że w grupie

tej będzie paru podstawionych łotrów, ale on widzi asasynów w każdym cieniu.

– W swoim życiu Thufir wypatrzył kilka wielce obiecujących cieni, mój panie.

– Są i takie, których nie wypatrzył, ale moim zdaniem podrzucenie takich kukułczych jaj do tego tłumu odjeżdżających to za dużo jak na wyobraźnię Harkonnenów.

– Możliwe, wasza wysokość. Gdzie są ci ludzie?

– Piętro niżej, w poczekalni. Proponuję, abyś zszedł tam i zagrał ze dwie chwytające za serce melodie, po czym ich przycisnął. Możesz oferować kierownicze stanowiska dla mających kwalifikacje. Zaproponuj płace wyższe o dwadzieścia procent od tych, które dostawali u Harkonnenów.

– Tylko dwadzieścia, wasza wysokość? Znam siatkę płac Harkonnenów. A w oczach ludzi z odprawą w kieszeniach i gorączką podróży w sercach… no cóż, mój panie… dwadzieścia procent to raczej słaba zachęta do pozostania.

– Więc sam decyduj w każdym przypadku z osobna – powiedział Leto ze zniecierpliwieniem. – Pamiętaj tylko, że skarbiec nie jest bez dna. Tam, gdzie zdołasz, trzymaj się dwudziestu procent. Zależy nam szczególnie na melanżerach, prognozerach, diunidach… na wszystkich obytych z otwartymi piaskami.

– Rozumiem, wasza wysokość. „Przybędą spragnieni gwałtu: chmarą nadlecą jako wschodni wiatr i będą zbierać, co piach więzi”.

– Bardzo wzruszający cytat – powiedział książę. – Przekaż swój oddział adiutantowi. Niech przeprowadzi krótkie szkolenie z reżimu wody, po czym zakwateruje ludzi na noc w koszarach przy lądowisku. Miejscowy personel wskaże im drogę. I nie zapomnij o ludziach dla Hawata.

– Trzy setki najlepszych, wasza wysokość. – Gurney podniósł swój marynarski worek. – Gdzie mam się zameldować po wykonaniu zadań?

– Zająłem pokój konferencyjny na górze. Odbędziemy tam naradę sztabową. Chcę ustalić nowy system rozmieszczenia sił na planecie, poczynając od rozlokowania brygad pancernych.

Halleck zatrzymał się w pół obrotu i spojrzał Leto w oczy.

– Spodziewasz się tego rodzaju kłopotu, wasza wysokość? Myślałem, że jest tutaj sędzia zmiany.

– I otwartej walki, i podchodów – powiedział książę. – Popłynie tu rzeka krwi, zanim będziemy to mieli za sobą.

– „A woda, którą czerpiesz z rzeki, w krew się przemieni na jałowej ziemi” – wyrecytował Halleck.

Książę westchnął.

– Wracaj jak najprędzej, Gurneyu.

– Doskonale, mój panie. – Pręga po krwawinie zafalowała od szerokiego uśmiechu. – „Syćcie oczy, bom jak dziki osioł pustyni kroczący do swej pracy”.

Odwrócił się, pomaszerował na środek sali, stanął, by wydać rozkazy, a następnie pospiesznie przecisnął się przez tłum.

Leto pokręcił głową. Halleck nie przestawał go zdumiewać – miał głowę nabitą pieśniami, sentencjami i kwiecistymi aforyzmami… a serce asasyna, gdy chodziło o Harkonnenów.

Po chwili książę ruszył wolnym krokiem na ukos przez salę w stronę windy, przyjmując honory niedbałym machnięciem ręki. Zauważył członka korpusu propagandy, zatrzymał się i przekazał mu wiadomość, którą należało podać ludziom przez radiowęzeł: ci, którzy przywieźli ze sobą kobiety, oczekiwali informacji, że są one bezpieczne i gdzie można je

znaleźć. Pozostali chcieliby wiedzieć, że tutejsza ludność szczyci się większą liczbą kobiet niż mężczyzn.

Klepnął oficera w ramię na znak, że wiadomość ma bezwzględne pierwszeństwo i musi być nadana natychmiast, po czym ruszył dalej przez salę. Kiwał ludziom głową, uśmiechał się, wymienił uprzejmości z młodszym oficerem.

„Władza musi zawsze sprawiać wrażenie pewnej siebie – myślał. – Trzeba dźwigać całe to brzemię zaufania na barkach, kiedy jest się w krytycznym położeniu, i nigdy tego po sobie nie pokazać". Wydał westchnienie ulgi, kiedy wchłonęła go winda, a on mógł się odwrócić i stanąć twarzą do bezosobowych drzwi.

„Targnęli się na życie mojego syna!"

Ponad wyjściem na płytę lądowiska w Arrakin widnieje toporny, jakby prymitywnym narzędziem ciosany napis, którego słowa Muad’Dib miał później powtarzać wiele razy. Zobaczył je owej pierwszej nocy na Arrakis, kiedy przywieziono go do książęcego stanowiska dowodzenia, aby wziął udział w pierwszej naradzie pełnego sztabu swego ojca. Słowa zawierały prośbę do opuszczających Arrakis, lecz zapadły mrocznym ciężarem w serce chłopca, który dopiero co umknął spod skrzydeł śmierci. Brzmiały: „O wy, którzy wiecie, jak tutaj cierpimy, nie zapomnijcie o nas w swoich modlitwach”.

– z *Księgi o Muad’Dibie* pióra księżnej Irulany

– Cała teoria sztuki wojennej sprowadza się do obliczenia ryzyka – powiedział książę – lecz kiedy przychodzi ryzykować własną rodzinę, element kalkulacji rozmywa się w… innych sprawach.

Wiedział, że nie panuje nad gniewem tak dobrze, jak powinien. Odwrócił się i wielkimi krokami przemierzył tam i z powrotem długość ogromnego stołu.

Książę i Paul znajdowali się sami w sali konferencyjnej lądowiska. Był to pokój z głuchym pogłosem, wyposażony jedynie w długi stół, stojące wokół niego trójnożne antyczne krzesła, tablicę na mapy oraz projektor w drugim końcu. Paul siedział przy stole pod tablicą. Opowiedział ojcu przygodę z grotem-gończakiem i przekazał informacje o grożącej mu zdradzie.

Leto zatrzymał się naprzeciwko syna i walnął pięścią w stół.

– Hawat mówił mi, że dom jest bezpieczny!

– Ja też byłem zły… z początku – odezwał się niepewnie Paul. – I obwiniałem Hawata. Ale ten atak wyszedł spoza rezydencji. Był prosty,

sprytny i bezpośredni. I powiódłby się, gdyby nie wyszkolenie, jakie otrzymałem pod kierunkiem twoim i wielu innych, łącznie z Hawatem.

– Bronisz go? – zapytał książę.

– Tak.

– On się starzeje. Ot co. Powinien…

– Jest mądry i ma ogromne doświadczenie – powiedział Paul. – Ile pomyłek Hawata możesz wymienić?

– To ja powinienem go bronić – rzekł książę. – Nie ty.

Paul się uśmiechnął. Leto przysiadł u szczytu stołu i objął syna ramieniem.

– Ostatnio… wydoroślałeś, synu. – Zabrał rękę. – Cieszy mnie to. – Odpowiedział uśmiechem na uśmiech chłopaka. – Hawat sam się ukarze. Większy będzie jego gniew na siebie z tego powodu niż gniew nas obu razem wzięty.

Paul spojrzał na pociemniałe okna za tablicą map i zatopił wzrok w czerni nocy. Światło sali odbijało się od balustrady balkonu za oknami. Dostrzegł ruch i rozpoznał sylwetkę strażnika w mundurze Atrydów. Przeniósł wzrok na białą ścianę za plecami ojca, a następnie w dół, ku błyszczącej powierzchni stołu, zauważając na niej swoje dłonie zaciśnięte w pięści.

Drzwi naprzeciwko księcia rozwarły się gwałtownie. Wkroczył przez nie Thufir Hawat, wyglądający starzej i jakby bardziej żylasty niż zwykle. Przeszedł całą długość stołu i stanął na baczność twarzą w twarz z Leto.

– Panie mój – odezwał się, mówiąc do jakiegoś punktu ponad głową księcia – dowiedziałem się właśnie, jak cię zawiodłem. Muszę złożyć rezyg…

– Och, siadaj i przestań się wygłupiać – przerwał mu Leto. Wskazał krzesło naprzeciwko Paula. – Jeżeli się pomyliłeś, to przeceniając

Harkonnenów. Ich prostackie umysły wpadły na prostacką zagrywkę. Nie braliśmy pod uwagę prostackich zagrywek. Syn mój zadał sobie wiele trudu, by mi dowieść, że wyszedł z tego głównie dzięki twoim naukom. Tutaj mnie nie zawiodłeś. – Poklepał oparcie wolnego krzesła. – Siadaj, mówię!

Hawat osunął się na krzesło.

– Ale…

– Nie chcę więcej o tym słyszeć – powiedział książę. – Incydent należy do przeszłości. Mamy pilniejsze sprawy. Gdzie reszta?

– Prosiłem ich, by zaczekali za drzwiami, kiedy ja…

– Zawołaj ich.

Hawat popatrzył Leto prosto w oczy.

– Wasza wysokość, ja…

– Wiem, kto jest moim prawdziwym przyjacielem, Thufirze – powiedział książę. – Zawołaj ludzi.

Hawat przełknął ślinę.

– Tak jest, mój panie. – Obróciwszy się na krześle, zawołał w stronę otwartych drzwi: – Gurneyu, wprowadź ich.

Halleck wprowadził do pokoju korowód ludzi. Na przedzie szli oficerowie sztabowi z ponurą powagą na twarzach, za nimi tryskający zapałem młodsi asystenci i eksperci. Krótkotrwałe szuranie rozeszło się echem w sali, kiedy ludzie zajmowali miejsca. Delikatny aromat stymulacyjnego rachagu unosił się nad stołem.

– Jest kawa, jeśli ktoś ma ochotę – powiedział książę. Popatrując po swoich ludziach, pomyślał: „Dobra z nich ekipa. Ten rodzaj wojny mógł bardziej człowieka wykończyć”.

Czekał, aż z sąsiedniego pokoju przyniesiono i podano kawę, dostrzegając na niektórych twarzach oznaki zmęczenia. Wkrótce

przywdział swą maskę spokoju i kompetencji, powstał i zastukał w blat knykciami dla przywołania uwagi.

– A więc, panowie – rzekł – nasza cywilizacja popadła, zdaje się, tak dalece w nałóg inwazji, że nawet nie możemy wykonać prostego rozkazu Imperium, żeby się nie napatoczyć na stare zwyczaje.

Rozległy się zduszone śmiechy i Paul zdał sobie sprawę, że jego ojciec powiedział właściwą rzecz właściwym tonem, aby poprawić nastrój na sali. Nawet ślad znużenia w jego głosie był na miejscu.

– Myślę, że najpierw powinniśmy się dowiedzieć, czy Thufir może cokolwiek dorzucić do swego raportu o Fremenach. Thufirze?

Hawat podniósł oczy.

– Muszę jeszcze przestudiować pewne ekonomiczne sprawy po moim ogólnym raporcie, wasza wysokość, ale mogę już powiedzieć, że Fremeni coraz bardziej wyglądają na takich sojuszników, jakich potrzebujemy. Chcą nabrać pewności, że mogą nam zaufać, lecz wydaje się, że postępują szczerze. Przysłali podarunek: filtraki własnego wyrobu i mapy pewnych rejonów pustyni, na których pozostały punkty oporu Harkonnenów… – Spojrzał wzdłuż stołu. – Doniesienia ich wywiadu okazały się absolutnie wiarygodne i pomogły nam znacznie w naszych stosunkach z sędzią zmiany. Przysłali również nieco drobiazgów: biżuterię dla lady Jessiki, przyprawowe trunki, słodycze, leki. Moi ludzie to teraz przetrząsają. Wydaje się, że nie ma w tym żadnego podstępu.

– Podobają ci się, Thufirze? – zapytał ktoś z końca stołu.

Hawat obrócił się do pytającego.

– Duncan Idaho twierdzi, że należy tych ludzi podziwiać.

Paul zerknął na ojca, potem znowu na mentata i zaryzykował pytanie:

– Masz jakąś nową informację w sprawie liczebności Fremenów?

Hawat spojrzał na Paula.

– Na podstawie przetwórstwa żywności i innych dowodów Idaho ocenia liczbę mieszkańców kompleksu jaskiń, w którym przebywał, na jakieś dziesięć tysięcy ludzi. Ich przywódca powiedział, że ma pod sobą sicz składającą się z dwóch tysięcy ognisk domowych. Mamy powody przypuszczać, że takich siczowych społeczności jest sporo. Wygląda na to, że wszystkie one składają hołd komuś, kto zwie się Liet.

– To coś nowego – powiedział Leto.

– Tu mogę się mylić, wasza wysokość. Pewne poszlaki wskazują, że ów Liet może być miejscowym bóstwem.

Ktoś inny, z dalszego miejsca, odchrząknął i zapytał:

– Czy to pewne, że prowadzą interesy z przemytnikami?

– W czasie pobytu Idaho w siczy wyruszyła stamtąd karawana przemytników obładowana przyprawą. Używali jucznych zwierząt i napomykali, że mają przed sobą osiemnastodniową wędrówkę.

– Przemytnicy podwoili, zdaje się, swoje operacje w tym niespokojnym okresie – powiedział książę. – Trzeba się nad tym dobrze zastanowić. Nie powinniśmy się zbytnio przejmować startami nieposiadających koncesji fregat, zawsze w końcu tak było, ale całkowicie stracić je z oczu byłoby niedobrze.

– Masz jakiś plan, wasza wysokość? – zapytał Hawat.

Książę popatrzył na Hallecka.

– Gurneyu, chcę, abyś powiódł delegację – poselstwo, jeśli wolisz – w celu nawiązania kontaktów z tymi romantycznymi ludźmi interesu. Powiesz im, że przymknę oczy na ich działalność, dopóki składać mi będą książęcą dziesięcinę. Nasz Hawat szacuje, że łapówki i dodatkowe oddziały wojowników kosztowały ich cztery razy tyle.

– A jeśli Imperator to wyniucha? – zapytał Halleck. – Jest bardzo zazdrosny o swoje zyski z KHOAM, mój panie.

Leto się uśmiechnął.

– Całą dziesięcinę złożymy w banku na koncie Szaddama IV, a odejmiemy ją legalnie od sumy płaconej na utrzymanie pomocniczych zaciągów wojskowych. Niech Harkonnenowie spróbują to ugryźć! A przy okazji oskubiemy paru miejscowych, którzy wzbogacili się w systemie Harkonnenów. Koniec z łapówkami!

Halleck wykrzywił usta w uśmiechu.

– Ach, mój panie, jaki piękny cios poniżej pasa. Chciałbym zobaczyć minę barona, kiedy się o tym dowie.

Książę zwrócił się do Hawata.

– Thufirze, masz te księgi rachunkowe, które, jak mówiłeś, możesz kupić?

– Tak, mój panie. Są szczegółowo badane nawet w tej chwili. Wszelako przerzuciłem je i mogę podać pierwszą, przybliżoną ocenę.

– Więc podaj, proszę.

– Harkonnenowie wyciągali tu dziesięć miliardów solarisów co trzysta trzydzieści dni standardowych.

Zduszone westchnienie obiegło stół. Nawet zdradzający pewne znudzenie młodsi asystenci wyprostowali się i patrzyli szeroko otwartymi oczami.

– „Albowiem będą czerpać z obfitości mórz i bogactwa, jakie piasek kryje” – zamruczał Halleck.

– Widzicie, panowie – powiedział Leto. – Czy jest tu ktoś na tyle naiwny, by wierzył, że Harkonnenowie grzecznie spakowali manatki i odeszli tylko dlatego, że tak przykazał Imperator?

Zebrani kręcili głowami, rozległ się szmer potakiwań.

– Wszystko musimy brać z mieczem w dłoni – rzekł Leto. – To dobry moment na sprawozdanie ze sprzętu. – Zwrócił się do Hawata. – Ile nam

zostawili gąsieników piaskowych, żniwiarek, przetwórni przyprawy i innych urządzeń?

– Pełny inwentarz, jak jest zapisane w imperialnym remanencie zbilansowanym przez sędziego zmiany, mój panie. – Skinął na asystenta, a ten podał mu prospekt. Thufir rozłożył go przed sobą na stole. – Zapomnieli tylko dodać, że na chodzie jest mniej niż połowa gąsieników, że zaledwie około jednej trzeciej ma zgarniarki pozwalające przerzucić je do przyprawowych piasków, słowem, że wszystko, co Harkonnenowie nam zostawili, lada chwila zepsuje się i rozleci na kawałki. Będziemy mieli szczęście, jeśli uruchomimy połowę sprzętu, a jeszcze większe, jeśli czwarta część urządzeń popracuje chociaż pół roku.

– Jest prawie tak, jak przypuszczaliśmy – powiedział książę. – Ile dokładnie mamy podstawowego sprzętu?

Hawat spojrzał na swój prospekt.

– Około dziewięciuset trzydziestu kombajnów żniwnych gotowych ruszyć za parę dni. Około sześciu tysięcy dwustu pięćdziesięciu ornitopterów do poszukiwań, zwiadu i obserwacji pogody… Zgarniarek nieco poniżej tysiąca.

– Czy nie byłoby taniej – spytał Halleck – wznowić negocjacje z Gildią w sprawie wprowadzenia na orbitę fregaty w charakterze satelity meteorologicznego?

Książę spojrzał na Hawata.

– Nic nowego w tej sprawie, co, Thufirze?

– Na razie musimy szukać innych rozwiązań – odparł Hawat. – Agent Gildii tak naprawdę z nami nie negocjował. Dawał jedynie do zrozumienia, jak mentat mentatowi, że cena jest poza naszym zasięgiem i pozostanie taka bez względu na to, jak daleko zajdziemy. Musimy się dowiedzieć dlaczego, zanim ponownie go zaczepimy.

Jeden z asystentów Hallecka w głębi sali poruszył się na krześle i warknął:

– I to ma być sprawiedliwość!

– Sprawiedliwość? – Leto zmierzył go wzrokiem. – Kto szuka sprawiedliwości? Zaprowadzimy własną sprawiedliwość. Zaprowadzimy ją tutaj, na Arrakis, zwyciężając albo ginąc. Czy żałujesz, że związałeś z nami swój los?

Mężczyzna wpatrywał się chwilę w księcia.

– Nie, wasza wysokość. Nie mogłeś nie przyjąć najbogatszego we wszechświecie planetarnego źródła dochodu… a mnie nie pozostało nic innego, jak pójść za tobą. Przepraszam za wybuch, ale… – Wzruszył ramionami. – Wszyscy chyba czasem odczuwamy rozgoryczenie.

– Rozgoryczenie to ja rozumiem – powiedział książę – ale przestańmy pomstować na sprawiedliwość, dopóki mamy broń i możemy nią władać. Czy ktoś jeszcze jest rozgoryczony? Jeśli tak, niech mówi. To przyjacielska narada, na której każdy może powiedzieć, co mu leży na sercu.

Halleck się poruszył.

– Sądzę, że gryzie nas, wasza wysokość, brak ochotników z innych wysokich rodów. Nazywają cię Leto Sprawiedliwym i przysięgają ci wieczną przyjaźń, byle tylko nic ich to nie kosztowało.

– Jeszcze nie wiedzą, kto wygra ten pojedynek – powiedział książę. – Większość rodów doszła do majątku dzięki unikaniu ryzyka. Nie można ich za to winić, można nimi co najwyżej pogardzać. – Spojrzał na Hawata. – Mówiliśmy o sprzęcie. Zechciałbyś przedstawić kilka maszyn, żeby ludzie zapoznali się z tymi urządzeniami?

Hawat kiwnął głową i dał znak asystentowi przy projektorze.

Trójwymiarowe solido pojawiło się na powierzchni stołu w mniej więcej jednej trzeciej długości blatu od księcia. Niektórzy mężczyźni z dalszych

miejsc powstawali, by lepiej widzieć.

Paul wychylił się do przodu, obserwując maszynę.

Mierzona skalą maleńkich ludzkich figurek dookoła, miała ze sto dwadzieścia metrów długości i około czterdziestu szerokości. W ogólnych zarysach był to długi, insektowaty korpus poruszający się na niezależnych zestawach szerokich gąsienic.

– To kombajn żniwny – wyjaśnił Hawat. – Wybraliśmy do projekcji egzemplarz w dobrym stanie. Jest tu też jednak zestaw linowłókowy przywieziony przez pierwszą ekipę ekologów imperialnych, wciąż jeszcze na chodzie, chociaż nie mam pojęcia, jak… ani po co.

– Jeżeli to ten zwany Starą Marią, to należy on do muzeum – powiedział któryś z asystentów. – Myślę, że Harkonnenowie utrzymywali go jako rodzaj kary, miecza zawieszonego nad głowami robotników. Bądź grzeczny, bo przydzielimy cię na Starą Marię.

Dookoła rozległy się chichoty. Paul nie brał udziału w tej wesołości. Jego uwagę zaprzątała projekcja i dręczące go pytanie. Wskazał obraz na blacie i zapytał:

– Thufirze, czy istnieją czerwie pustyni tak wielkie, by mogły to połknąć w całości?

Przy stole raptownie zapadła cisza. Książę zaklął pod nosem, ale po chwili pomyślał: „Nie, oni muszą stawić czoło tutejszej rzeczywistości”.

– W głębi pustyni żyją czerwie, które mogą wziąć cały ten kombajn na jeden raz – odparł Hawat. – Tutaj, bliżej Muru Zaporowego, gdzie prowadzi się większość prac wydobywczych, też jest mnóstwo czerwi zdolnych uszkodzić taki kombajn i spokojnie go pożreć.

– Dlaczego nie stosuje się tarcz? – zapytał Paul.

– Według doniesień Idaho – rzekł Hawat – na pustyni tarcze są niebezpieczne. Tarcza osobista zwabia wszystkie czerwie w promieniu

wielu kilometrów. Zdaje się, że dostają od niej szału. Tak twierdzą Fremeni i nie ma powodu im nie wierzyć. Idaho nie widział śladów wyposażenia siczy w tarcze.

– Żadnych? – zapytał Paul.

– Byłoby ciężko ukryć taki element wyposażenia kilku tysięcy ludzi – powiedział Thufir. – Idaho miał wolny wstęp do każdego zakamarka siczy. Nie zobaczył żadnej tarczy ani śladów ich użycia.

– To dziwne – rzekł książę.

– Jest pewne, że Harkonnenowie mieli tu mnóstwo tarcz – powiedział Hawat. – Utrzymywali składy remontowe we wszystkich garnizonach, a ich księgi wykazują duże wydatki na naprawy tarcz i części zamienne.

– Czy to możliwe, żeby Fremeni znali sposób neutralizowania tarcz? – spytał Paul.

– Nie wydaje się to prawdopodobne – odparł Hawat. – Teoretycznie jest to oczywiście możliwe. Przeciwny ładunek elektrostatyczny o wymiarach hrabstwa ma rzekomo dokazać tej sztuki, ale nikt tego jeszcze nie zdołał wypróbować.

– Słyszeliśmy już o tym – powiedział Halleck. – Przemytnicy są w dobrej komitywie z Fremenami, więc zdobyliby takie urządzenie, gdyby było osiągalne. I bez żadnych oporów znaleźliby na nie kupców poza planetą.

– Nie podoba mi się brak odpowiedzi w tak istotnej sprawie – rzekł Leto. – Thufirze, chcę, abyś nadał bezwzględny priorytet rozwiązaniu tej zagadki.

– Już się tym zajmujemy, mój panie. – Odchrząknął. – Aha, Idaho powiedział jedną rzecz: że nie można się pomylić, jeśli chodzi o stosunek Fremenów do tarcz. Stwierdził, że najczęściej śmieją się z nich.

Książę zmarszczył brwi.

– Tematem dyskusji jest sprzęt do pozyskiwania przyprawy – stwierdził nagle.

Hawat dał znak ręką asystentowi za projektorem. Solido kombajnu żniwnego ustąpiło miejsca obrazowi skrzydlatej machiny, przy której ludzie wyglądali jak mrówki.

– Zgarniarka – poinformował Hawat. – Właściwie jest to wielki ornitopter mający jedno zadanie: donieść kombajn na bogate w przyprawę piaski, a następnie ratować go, kiedy zjawi się czerw pustyni. One zawsze się zjawiają. Zbiór przyprawy odbywa się na zasadzie: dopaść, nachapać się i wiać, z czym się da.

– Pasuje to jak ulał do moralności Harkonnenów – rzekł książę.

Śmiech był raptowny i zbyt głośny. W soczewce projektora zgarniarkę zastąpił ornitopter.

– Te ornitoptery są dość konwencjonalne – mówił Hawat. – Zasadnicze modyfikacje dotyczyły zwiększenia zasięgu. Dodatkowych starań wymagało zabezpieczenie najważniejszych elementów przed piaskiem i pyłem. Zaledwie co trzydziesty ma osłonę. Być może zmniejszono ciężar o wagę generatora tarczy, żeby uzyskać większy zasięg.

– Nie podoba mi się to pomniejszanie roli tarcz – wymruczał książę i pomyślał: „Czy to jest sekret Harkonnenów? Czy to znaczy, że nie będziemy mogli nawet uciec w chronionych tarczami fregatach, gdyby wszystko obróciło się na naszą niekorzyść?”. Potrząsnąwszy energicznie głową, by odegnać te myśli, powiedział głośno: – Przejdźmy do kosztów wydobycia. Ile wyniesie nasz zysk?

Hawat przerzucił dwie kartki w swoim zeszycie.

– Po wycenie remontów i działającego sprzętu dokonaliśmy wstępnej kalkulacji kosztów eksploatacyjnych. Za podstawę przyjęliśmy naturalnie fundusz pomniejszony dla zapewnienia wyraźnego marginesu bezpieczeństwa o koszty amortyzacji. – Przymknął oczy w mentackim półtransie i zaczął: – Koszty utrzymania i płace nie przekraczały za

Harkonnenów czternastu procent. Będziemy mogli mówić o szczęściu, jeśli na początek uzyskamy trzydzieści procent. Uwzględniając nowe inwestycje i czynniki wzrostu, łącznie z odsetkami KHOAM i kosztami wojskowymi, nasz zysk skurczy się do sześciu, siedmiu procent, dopóki nie zdołamy wymienić zużytego sprzętu. Potem będziemy w stanie zwiększyć zysk do dwunastu, może piętnastu procent, czyli właściwego poziomu. – Otworzył oczy. – Chyba że mój pan życzy sobie przyjąć metody Harkonnenów.

– Walczymy o solidną i trwałą bazę planetarną – powiedział książę. – Musimy zadowolić wysoki procent ludności, zwłaszcza Fremenów.

– Fremenów przede wszystkim – zgodził się Hawat.

– Nasze panowanie nad Kaladanem – mówił Leto – opierało się na potędze morskiej i powietrznej. Tu musimy zbudować coś, co pozwolę sobie nazwać potęgą pustynną. Może ona obejmować siły powietrzne, ale niewykluczone, że nie musi. Zwracam uwagę na brak tarcz w ornitopterach. – Pokręcił głową. – Harkonnenowie werbowali część swego kluczowego personelu poza planetą. My nie odważymy się na to. Każda przybywająca grupa miałaby swoich prowokatorów.

– A więc będziemy się musieli zadowolić o wiele mniejszym zyskiem i skromniejszymi zbiorami – powiedział Hawat. – Nasza produkcja w pierwszych dwóch sezonach będzie niższa o jedną trzecią od średniej Harkonnenów.

– Zatem mamy dokładnie to – rzekł książę – czego się spodziewaliśmy. Musimy szybko zbliżyć się do Fremenów. Chciałbym dysponować pięcioma pełnymi batalionami wojsk fremeńskich przed najbliższym bilansem KHOAM.

– To niewiele czasu, wasza wysokość – stwierdził Hawat.

– Dobrze wiesz, że mamy niewiele czasu. Oni się tu pojawią przy najbliższej okazji, wraz z sardaukarami w harkonneńskich mundurach. Ilu

ich, twoim zdaniem, zostanie wyekspediowanych, Thufirze?

– Wszystkiego cztery do pięciu batalionów, wasza wysokość. Nie więcej przy opłatach, jakie Gildia pobiera za przewóz wojska.

– Zatem pięć batalionów Fremenów plus nasze siły powinno wystarczyć. Urządźmy przed Zgromadzeniem Landsraadu defiladę kilku pojmanych sardaukarów, a sprawy będą się miały zupełnie inaczej, bez względu na zyski.

– Dołożymy wszelkich starań, wasza wysokość.

Paul obrzucił ojca spojrzeniem i zatrzymał wzrok na Hawacie. Nagle zdał sobie sprawę z sędziwego wieku mentata, uprzytomnił sobie, że ten stary mężczyzna służy Atrydom od trzech pokoleń. „Jest taki stary…” – stwierdził. Widać to było w łzawym blasku piwnych oczu, w pomarszczonych i ogorzałych od egzotycznych klimatów policzkach, w opadającym łuku ramion, w cienkiej kresce ust zabarwionych na kolor żurawiny sokiem safo.

„Tak wiele zależy od jednego starego człowieka” – pomyślał Paul.

– Jesteśmy obecnie w stanie wojny asasynów – powiedział książę – ale nie osiągnęła ona jeszcze zenitu. Thufirze, jak wygląda tutejsza organizacja Harkonnenów?

– Wyeliminowaliśmy dwustu pięćdziesięciu dziewięciu ich prowodyrów, mój panie. Pozostały nie więcej niż trzy komórki Harkonnenów, w sumie może ze stu ludzi.

– Ci wyeliminowani przez ciebie słudzy Harkonnenów – zapytał książę – należeli do klasy posiadaczy?

– Większość była dobrze sytuowana, mój panie. Pochodzili z warstwy przedsiębiorców.

– Chcę, byś sfałszował świadectwa hołdu opatrzone podpisem każdego z nich – powiedział Leto. – Kopie złóż u sędziego zmiany. Zajmiemy

stanowisko, że przebywali tu na fałszywym hołdzie. Skonfiskuj ich własność, zabierz wszystko, eksmituj rodziny. I dopilnuj, żeby Korona dostała swoje dziesięć procent. To musi być absolutnie zgodne z prawem.

Thufir uśmiechnął się, odsłaniając zabarwione na czerwono zęby za karminowymi wargami.

– Krok godny twego przodka, mój panie. Wstyd mi, że pierwszy na to nie wpadłem.

Halleck zmarszczył brwi, dostrzegłszy głęboki mars na czole Paula.

„Fałszywy krok – pomyślał chłopak. – To tylko skłoni pozostałych do stawiania tym zacieklejszego oporu. Na poddaniu się niczego nie zyskują". Znał obowiązującą aktualnie w kanly konwencję, która nie chroniła własności, lecz tego rodzaju posunięcie, zamiast doprowadzić do zwycięstwa, mogło ich równie dobrze zgubić.

– „Obcy byłem w obcej krainie" – zacytował Halleck.

Paul wbił w niego wzrok, rozpoznawszy werset z Biblii P-K, dumając: „Czyżby również Gurney chciał położyć kres podstępnym intrygom?".

Książę spojrzał w ciemność za oknami i z powrotem na Hallecka.

– Gurneyu, ilu z tamtych piachmanów namówiłeś do pozostania z nami?

– Dwustu osiemdziesięciu sześciu, wasza wysokość. Myślę, że powinniśmy ich wziąć i uważać się za szczęściarzy. Wszyscy reprezentują przydatne specjalności.

– Tylko tylu? – Leto wydął wargi. – No cóż, przekaż dalej wiadomość…

Przerwał mu hałas w drzwiach. Przez wartę przecisnął się Duncan Idaho, szybkim krokiem doszedł do końca stołu i nachylił się do ucha księcia.

Leto odsunął go gestem.

– Mów głośno, Duncanie. Widzisz, że obraduje tu sztab.

Paul przypatrywał się uważnie Idaho, dostrzegając kocie ruchy i świetny refleks, cechy, które czyniły zeń tak niedościgłego nauczyciela fechtunku.

Ciemna, krągła twarz Duncana obróciła się ku niemu, oczy mieszkańca jaskini nie dały znaku, że go zauważają, lecz Paul pod maską spokoju zauważył podniecenie.

Idaho spojrzał wzdłuż stołu.

– Zgarnęliśmy oddział harkonneńskich najemników przebranych za Fremenów. Sami Fremeni wysłali do nas kuriera z ostrzeżeniem przed tą oszukańczą bandą. Podczas ataku okazało się jednak, że Harkonnenowie urządzili zasadzkę na kuriera Fremenów i zranili go ciężko. Zmarł, kiedy wieźliśmy go tutaj, by zajęli się nim nasi lekarze. Wiedziałem, w jakim stanie jest ten człowiek, więc zatrzymałem się, by zobaczyć, co mogę dla niego zrobić. Zaskoczyłem go, kiedy usiłował odrzucić coś od siebie. – Popatrzył na Leto. – Nóż, mój panie, jakiego nigdy nie widziałeś.

– Krysnóż? – spytał ktoś.

– Nie ma co do tego wątpliwości – odparł Idaho. – Mlecznobiały i jarzący się jak gdyby własnym światłem. – Sięgnął pod bluzę i wydobył pochwę z wystającą z niej czarną, karbowaną rękojeścią.

– Zostaw to ostrze w pochwie!

Głos doleciał z otwartych drzwi w końcu sali, wibrujący i przenikliwy, unieruchamiając ich wszystkich z wytrzeszczonymi oczami.

W progu stała wysoka, owinięta dżubbą postać odgrodzona skrzyżowanymi mieczami straży. Cienka brązowa szata spowijała ją całkowicie, z wyjątkiem szpary między kapturem a czarną przesłoną ukazującej zupełnie błękitne oczy bez śladu białek.

– Pozwól mu wejść – wyszeptał Idaho.

– Przepuścić tego człowieka – rozkazał książę.

Po chwili wahania gwardziści opuścili miecze. Postać wpłynęła do sali i zatrzymała się naprzeciwko księcia.

– To Stilgar, przywódca siczy, w której przebywałem, wódz tych, którzy ostrzegli nas przed bandą przebierańców – powiedział Idaho.

– Witaj, sir – rzekł Leto. – Dlaczegóż to nie powinniśmy dobywać tego ostrza z pochwy?

Stilgar spojrzał na Idaho.

– Ty przestrzegałeś wśród nas obyczajów czystości i honoru. Tobie pozwoliłbym patrzeć na ostrze należące do człowieka, któremu pospieszyłeś z pomocą. – Omiótł wzrokiem resztę ludzi w pokoju. – Ale tych nie znam. Czy dopuściłbyś, by zbrukali prawy oręż?

– Jestem książę Leto – powiedział książę. – Czy mnie pozwoliłbyś zobaczyć to ostrze?

– Pozwolę ci zasłużyć na prawo dobycia go z pochwy – odparł Stilgar, a kiedy wokoło rozległ się szmer protestów, uniósł szczupłą dłoń poznaczoną ciemnymi żyłami. – Przypominam, że jest to ostrze tego, który okazał wam przyjaźń.

W pełnej wyczekiwania ciszy Paul patrzył na tego człowieka, czuł bijącą od niego siłę. Miał przed sobą przywódcę – przywódcę Fremenów.

Ktoś po przeciwnej stronie, w pobliżu środka stołu, mruknął:

– Co to za jeden, by mówił nam, jakie mamy prawa na Arrakis?

– Opowiadają, że książę Leto Atryda panuje w zgodzie z poddanymi – rzekł Fremen. – Przeto powiem wam, jaki jest u nas obyczaj. Na tych, którzy widzieli krysnóż, spada pewna odpowiedzialność. – Rzucił mroczne spojrzenie w stronę Idaho. – Są nasi. Nie wolno im opuścić Arrakis bez naszej zgody.

Halleck, a za nim wielu innych, zaczął się podnosić z gniewną miną.

– To książę Leto decyduje – powiedział – czy…

– Chwileczkę – przerwał Leto, a jego łagodny ton ich powstrzymał. „Ta sytuacja nie może się wymknąć spod kontroli” – pomyślał. Zwrócił się do

Fremena. – Sir, poważam i szanuję godność każdego, kto szanuje moją godność. Jestem rzeczywiście twoim dłużnikiem, a ja zawsze spłacam swoje długi. Jeśli wasz zwyczaj wymaga, by ten nóż nie opuścił tutaj pochwy, ma tak być z mojego rozkazu. I jeśli jest jakikolwiek inny zwyczaj pozwalający uhonorować tego człowieka, który poległ w naszej służbie, wystarczy, byś go tylko wymienił.

Fremen utkwił w księciu wzrok, po czym z wolna odsunął swoją zasłonę, odkrywając wąski nos i pełne usta okolone połyskliwą czarną brodą. Niespiesznie nachylił się nad brzegiem blatu i splunął na politurę.

Mężczyźni zaczęli zrywać się od stołu, lecz głos Idaho jak grzmot przetoczył się po sali:

– Stać!

W pełnej napięcia ciszy Idaho rzekł:

– Dziękujemy ci, Stilgarze, za dar wilgoci twego ciała. Przyjmujemy go w duchu, w jakim został złożony. – I splunął na stół księciu pod nos, na stronie zaś powiedział: – Nie zapominaj, jak cenna jest tutaj woda, wasza wysokość. To był dowód szacunku.

Leto osunął się na krzesło i dojrzał wpatrzone w siebie oczy Paula oraz ponury uśmiech na jego twarzy. Wyczuwał powolne opadanie napięcia, w miarę jak jego ludzie zaczynali rozumieć, co się stało.

Fremen utkwił oczy w Idaho.

– Dobrze wypadłeś w mej siczy, Duncanie Idaho. Czy składałeś hołd księciu?

– Pyta mnie, czy nie zaciągnąłbym się do niego, wasza wysokość – powiedział Idaho.

– Zaakceptowałby podwójny hołd? – spytał Leto.

– Chcesz, abym z nim poszedł, wasza wysokość?

– Chcę, abyś sam podjął decyzję w tej sprawie – powiedział Leto i nie udało mu się ukryć nacisku w głosie.

Idaho przyjrzał się bacznie Fremenowi.

– Wziąłbyś mnie pod takim warunkiem, Stilgarze? Czasami musiałbym wracać na służbę do mego księcia.

– Dobrze walczysz i zrobiłeś wszystko, co mogłeś, dla naszego przyjaciela – rzekł Stilgar. Popatrzył na Leto. – Niechaj tak będzie: Idaho zatrzymuje krysnóż, który ma w dłoni, na znak przynależności do nas. Musi się poddać oczyszczeniu i dopełnić rytuału, ale to da się zrobić. Będzie i Fremenem, i żołnierzem Atrydów. Istnieje na to precedens: Liet służy dwóm panom.

– Duncanie? – spytał Leto.

– Rozumiem, wasza wysokość – powiedział Idaho.

– A zatem postanowione – stwierdził książę.

– Twoja woda jest nasza, Duncanie Idaho – powiedział Stilgar. – Ciało naszego przyjaciela zostaje przy twoim księciu. Jego woda jest wodą Atrydów. To jest ślub między nami.

Leto westchnął, zerknął na Hawata i wymienił spojrzenia ze starym mentatem. Hawat kiwnął głową z zadowoloną miną.

– Będę czekał na dole – oznajmił Stilgar – aż Idaho pożegna się ze swoimi przyjaciółmi. Turok to imię naszego zmarłego przyjaciela. Pamiętajcie je, kiedy przyjdzie czas uwolnić jego duszę. Jesteście przyjaciółmi Turoka. – Zawrócił do wyjścia.

– Nie zostaniesz ani chwili? – zapytał Leto.

Fremen obejrzał się, niedbałym ruchem zaciągając czarczaf i coś pod nim poprawiając. Paulowi mignęła cienka rurka, nim czarczaf znalazł się na swoim miejscu.

– Czy jest powód, bym został? – zapytał Stilgar.

– Przyjmiemy cię z honorem – powiedział książę.

– Honor wymaga, bym wkrótce znalazł się gdzie indziej – powiedział Fremen.

Rzucił jeszcze jedno spojrzenie na Idaho, zakręcił się i przemaszerował między strażami w drzwiach.

– Jeżeli inni Fremeni są do niego podobni, dobrze nam będzie ze sobą – rzekł Leto.

Idaho odezwał się bezbarwnym głosem:

– On jest niezłym przykładem, wasza wysokość.

– Wiesz, co masz robić, Duncanie?

– Jestem twoim ambasadorem wśród Fremenów, wasza wysokość.

– Wiele od ciebie zależy, Duncanie. Będziemy potrzebowali przynajmniej pięciu batalionów tych ludzi, nim spadną na nas sardaukarzy.

– To nie będzie takie proste, wasza wysokość. Fremeni to raczej niezależne towarzystwo. – Chwilę bił się z myślami. – I jeszcze jedno, wasza wysokość. Jeden z pojmanych najemników próbował odebrać to ostrze naszemu zmarłemu fremeńskiemu przyjacielowi. Najemnik ten twierdzi, że Harkonnenowie wyznaczyli milion solarisów jako nagrodę dla każdego, kto dostarczy choć jeden krysnóż.

Leto uniósł brodę wyraźnie zaskoczony.

– Dlaczego tak strasznie zależy im na jednym z tych noży?

– Ostrze jest wytoczone z zęba czerwia pustyni, to znak Fremena, wasza wysokość. Mając je przy sobie, błękitnooki człowiek mógłby przeniknąć do każdej siczy na tej ziemi. Mnie by zakwestionowano, chyba że byłbym znany. Nie wyglądam na Fremena. Ale…

– Piter de Vries – powiedział książę.

– Człowiek diabelskiej chytrości, mój panie – rzekł Hawat.

Idaho wsunął tkwiący w pochwie nóż pod bluzę.

– Strzeż tego noża – powiedział Leto.

– Rozumiem, mój panie. – Duncan poklepał umieszczony w pasie nadbiornik. – Zamelduję się jak najszybciej. Thufir ma mój kod wywoławczy. Używajcie języka walki. – Zasalutował, obrócił się na pięcie i pospieszył za Fremenem. Usłyszeli dudnienie jego oddalających się korytarzem kroków.

Leto i Hawat popatrzyli na siebie znacząco. Uśmiechali się.

– Mamy dużo roboty, wasza wysokość – powiedział Halleck.

– A ja cię od niej odrywam.

– Mam raport o bazach wypadowych – rzekł Hawat. – Czy przedstawić go innym razem, wasza wysokość?

– Długo to potrwa?

– Nie, jak na wprowadzenie. Wśród Fremenów krążą pogłoski, że w czasach stacji badawczych botaniki pustyni na Arrakis zbudowano ponad dwieście takich baz. Wszystkie podobno porzucono, ale mówi się, że przed opuszczeniem zostały zaplombowane.

– Ze sprzętem?

– Tak mi doniósł Duncan.

– Gdzie są położone?

– Na to pytanie – rzekł mentat – odpowiadają zawsze: „Liet wie”.

– Bóg wie – mruknął Leto.

– Może nie bóg, wasza wysokość – powiedział Hawat. – Słyszałeś to imię z ust Stilgara. Czy on mógł mieć na myśli konkretną osobę?

– Służy dwóm panom – powtórzył Halleck. – To brzmi jak cytat religijny.

– A ty się na tym znasz – stwierdził książę.

Halleck uśmiechnął się.

– Ten sędzia zmiany – rzekł Leto – imperialny ekolog Kynes… Nie wiedziałby, gdzie są te bazy?

– Wasza wysokość – przestrzegł Hawat – Kynes jest urzędnikiem imperialnym.

– Ale znajduje się bardzo daleko od Imperatora – powiedział książę. – Potrzebuję tych baz. Mogą być pełne materiałów i rozporządzając nimi, moglibyśmy wyremontować nasze urządzenia wydobywcze.

– Wasza wysokość! – powiedział Hawat. – Te bazy prawnie nadal stanowią własność Jego Imperatorskiej Mości.

– Tutejszy klimat jest wystarczająco surowy, żeby wszystko uległo zniszczeniu – rzekł książę. – Zawsze możemy zrzucić to na pogodę. Zabierz się do tego Kynesa i przynajmniej dowiedz się, czy bazy istnieją.

– Zarekwirować je byłoby niebezpiecznie – stwierdził Hawat. – Duncan jedną sprawę stawiał jasno: bazy, czy też ich idea, mają dla Fremenów jakieś ukryte znaczenie. Zajmując bazy, możemy ich do siebie zrazić.

Paul popatrzył po twarzach otaczających ich ludzi i zauważył napięcie, z jakim chłonęli każde słowo. Wyglądali na mocno zaniepokojonych stanowiskiem jego ojca.

– Posłuchaj go, ojcze – odezwał się cicho. – On mówi prawdę.

– Wasza wysokość – rzekł Hawat – owe bazy mogłyby nam dostarczyć części do każdej sztuki pozostawionego tu sprzętu, tyle że ze względów strategicznych są poza naszym zasięgiem. Nie róbmy pochopnego kroku, dopóki się czegoś więcej nie dowiemy. Kynes ma arbitrażowe pełnomocnictwa Imperium. Nie wolno nam o tym zapominać. I cieszy się szacunkiem Fremenów.

– Więc zrób to delikatnie – powiedział książę. – Chciałbym jedynie wiedzieć, czy te bazy istnieją.

– Jak sobie życzysz, wasza wysokość.

Hawat opadł na oparcie i spuścił wzrok.

– No dobrze – powiedział Leto. – Wiemy, co nas czeka: robota. Zostaliśmy do niej przeszkoleni. Mamy niejakie doświadczenie. Znamy wysokość zapłaty, alternatywa zaś jest jasna. Zadania dla wszystkich zostały wyznaczone. – Spojrzał na Hallecka. – Gurneyu, najpierw zajmij się tą aferą przemytniczą.

– „Udam się do nieposłusznych, co niegościnną zamieszkują ziemię” – zadeklamował Halleck.

– Któregoś dnia przyłapię tego człowieka na braku cytatu i będzie wyglądał jak bez gaci – rzekł książę.

Chichoty rozeszły się echem wokół stołu, ale Paul usłyszał w nich przymus.

Książę zwrócił się do Hawata.

– Załóż na tym piętrze jeszcze jedno stanowisko dowodzenia dla wywiadu i łączności, Thufirze. Kiedy z tym skończysz, będę chciał się z tobą zobaczyć.

Hawat wstał, rozglądając się po sali, jakby szukał wsparcia. Odwrócił się i wyprowadził swoich ludzi. Pozostali pospieszyli za nimi, szurając krzesłami i tworząc niewielkie zatory.

„Skończyło się to bałaganem” – pomyślał Paul, wpatrując się w plecy wychodzących na końcu. Jak dotąd sztab zawsze rozchodził się pełen werwy. To spotkanie jakby przeciekło im między palcami, wyczerpując się we własnych niedomaganiach, a uwieńczyła je rozbieżność zdań.

Po raz pierwszy Paul dopuścił do świadomości możliwość klęski, licząc się z nią nie ze strachu czy pod wpływem ostrzeżeń w rodzaju krakania starej matki wielebnej, lecz zmuszony do tego własną oceną sytuacji.

„Ojciec jest zdesperowany – przyznał w duchu. – Sprawy nie toczą się po naszej myśli”. A Hawat – Paul przypomniał sobie zachowanie starego

mentata w trakcie konferencji – wahał się, zdradzał oznaki zaniepokojenia. Hawata coś bardzo gnębiło.

– Najlepiej zostań tu na resztę nocy, synu – powiedział książę. – I tak niebawem wstanie świt. Zawiadomię twą matkę. – Podniósł się z wolna, ociężale. – Zestaw sobie parę krzeseł i wyciągnij się na nich, by trochę rozprostować kości.

– Nie jestem bardzo zmęczony, sir.

– Jak sobie życzysz.

Książę założył ręce do tyłu i zaczął chodzić tam i z powrotem wzdłuż stołu.

„Jak zwierz w klatce” – pomyślał chłopak.

– Przedyskutujesz ewentualność zdrady z Hawatem? – spytał.

Książę zatrzymał się naprzeciwko syna po drugiej stronie stołu, lecz jego słowa były skierowane do ciemnych okien.

– Omawialiśmy tę ewentualność wiele razy.

– Ta stara kobieta wyglądała na bardzo pewną swego – rzekł Paul. – I wiadomość, jaką matka…

– Podjęliśmy środki ostrożności – oświadczył Leto. Rozejrzał się po sali i Paul dostrzegł w jego oczach panikę zaszczutego stworzenia. – Zostań tutaj. Chciałbym omówić z Thufirem parę spraw związanych ze stanowiskami dowodzenia. – Obrócił się i wyszedł z pokoju, lekko skinąwszy wartownikom w drzwiach.

Paul wpatrywał się w miejsce, w którym przed chwilą stał ojciec. Przestrzeń była już pusta, zanim książę wyszedł z pokoju. I przypomniało mu się ostrzeżenie starej kobiety: „…dla twojego ojca… nic”.

Owego pierwszego dnia, kiedy Muad’Dib ze swą rodziną jechał ulicami Arrakin, niektórzy ludzie na trasie przejazdu przypomnieli sobie legendy i przepowiednię i zaczęli wołać: „Mahdi!”. Lecz ich okrzyk był bardziej pytaniem niż stwierdzeniem, gdyż jak dotąd mogli jedynie żywić nadzieję, że jest on tym zapowiedzianym Lisanem al-Gaibem, Głosem Spoza Świata. Uwagę ich przyciągnęła również matka, albowiem słyszeli o niej, że jest Bene Gesserit, a więc – co dla nich było oczywiste – drugim Lisanem al-Gaibem.

– z *Księgi o Muad’Dibie* pióra księżnej Irulany

Książę zastał Thufira Hawata w narożnym pokoju, do którego drogę wskazał mu strażnik. Z przyległego pomieszczenia docierały odgłosy krzątaniny ludzi zakładających łącza telekomunikacyjne. Książę rozglądał się, gdy Hawat wstawał od zawalonego papierami stołu. Była to mała izolatka o zielonych ścianach, a prócz stołu znajdowały się w niej jeszcze trzy krzesła dryfowe, z których pospiesznie zdarto „H” Harkonnenów, co pozostawiło jaśniejsze łaty.

– Krzesła są zdobyczne, ale zupełnie bezpieczne – powiedział Hawat. – Gdzie jest Paul, wasza wysokość?

– Zostawiłem go w sali konferencyjnej. Mam nadzieję, że trochę tam odpocznie z dala od mojej absorbującej osoby.

Hawat kiwnął głową, powędrował do drzwi przyległego pokoju i zamknął je, odcinając elektrostatyczne szumy i elektroniczne trzaski.

– Thufirze – rzekł Leto – zapasy przyprawy Imperium i Harkonnenów nie dają mi spokoju.

– Mój panie?

Książę wydął wargi.

– Składy są podatne na zniszczenie. – Podniósł rękę, gdy Hawat chciał coś powiedzieć. – Nie bierz pod uwagę skarbu Imperatora. Ale on by się po cichu ucieszył z tarapatów Harkonnenów. A czy baron może protestować, jeśli ulegnie zniszczeniu coś, do posiadania czego nie może się otwarcie przyznać?

Hawat pokręcił głową.

– Mamy mało ludzi na zbyciu, wasza wysokość.

– Weź część ludzi Idaho. Może też jacyś Fremeni mieliby ochotę na wycieczkę poza planetę. Rajd na Giedi Prime… z takiej dywersji płyną taktyczne korzyści, Thufirze.

– Twoja wola, mój panie.

Hawat odwrócił się, a książę, widząc oznaki zdenerwowania u starego mężczyzny, pomyślał: „Może podejrzewa, że mu nie ufam. Musi wiedzieć o moich prywatnych informacjach dotyczących zdrajców. Tak, najlepiej od razu rozproszyć jego obawy”.

– Thufirze – rzekł – należysz do niewielu ludzi, których darzę całkowitym zaufaniem, więc musimy omówić jeszcze jedną sprawę. Obaj wiemy, że trzeba się mieć nieustannie na baczności, by nie dopuścić do infiltracji naszych sił przez zdrajców… ale mam dwa nowe doniesienia.

Hawat obrócił się i wbił w niego wzrok. Leto powtórzył opowiedziane przez Paula historie. Wiadomości te, zamiast wprawić Thufira w stan wytężonej koncentracji mentackiej, wzmogły jedynie jego podniecenie.

Leto przyglądał mu się uważnie.

– Ukrywasz coś, stary druhu – odezwał się po chwili. – Powinienem był się domyślić w trakcie narady, kiedy siedziałeś jak na szpilkach. Cóż jest tak trefne, że nie mogłeś powiedzieć tego przed całym sztabem?

Zabarwione safo wargi Hawata ściągnięte były w sztywną, prostą linię z biegnącymi ku niej drobniutkimi zmarszczkami. Nie straciły swej

pomarszczonej sztywności, gdy powiedział:

– Panie mój, zupełnie nie wiem, jak to poruszyć.

– Wiele blizn nosimy jeden za drugiego, Thufirze – rzekł książę. – Wiesz, że ze mną możesz poruszyć każdy temat.

Hawat nie spuszczał z niego oczu. „Takiego właśnie lubię go najbardziej – myślał. – Oto człowiek honoru, godzien mej wierności i służby do ostatniej kropli krwi. Dlaczego muszę go zranić?”

– No więc? – ponaglił Leto.

Mentat wzruszył ramionami.

– Chodzi o strzępek listu znaleziony przy kurierze Harkonnenów. List był przeznaczony dla agenta imieniem Pardee. Mamy wszelkie powody mniemać, że Pardee stał na czele tutejszego podziemia Harkonnenów. Ten list może mieć albo ogromne konsekwencje, albo zgoła żadnych. Zależy, jak go tłumaczyć.

– Co jest takiego drażliwego w tym liście?

– W strzępku listu, mój panie. Niekompletnym. Był na filmie minimikowym z dołączoną, jak zwykle, kapsułą niszczącą. Wstrzymaliśmy działanie kwasu na moment przed całkowitym wymazaniem tekstu, ocalając zaledwie fragment. Fragment ów jednak jest wyjątkowo sugestywny.

– Tak?

Hawat potarł wargi.

– Mówi on: „…eto nigdy nie będzie podejrzewał, a kiedy spadnie na niego cios z ukochanej ręki, już samo to winno go zgubić”. List opatrzony był pieczęcią barona, której autentyczność sprawdziłem.

– Twoje podejrzenia są oczywiste – powiedział książę i nagle jego głos zrobił się zimny.

– Prędzej uciąłbym sobie ręce, niż cię zranił – oznajmił Hawat. – Panie mój, a jeśli…

– Lady Jessika – rzekł Leto, czując, jak ogarnia go wściekłość. – Nie mogłeś wydusić faktów z tego Pardeego?

– Na nieszczęście Pardeego nie było już wśród żywych, kiedy przejęliśmy kuriera. Kurier zaś, jestem pewny, nie wiedział, co przewoził.

– Rozumiem. – Leto potrząsnął głową. „Cóż za śliska sprawa – myślał. – Niemożliwe, by coś w tym było. Znam swoją kobietę”.

– Mój panie, a jeśli…

– Nie! – warknął książę. – W tym jest jakaś pomyłka, która…

– Nie możemy tego zlekceważyć, mój panie.

– Ona jest ze mną szesnaście lat! Okazji ku temu było bez liku… Sam zresztą sprawdziłeś szkołę i tę kobietę!

– Wiadomo o sprawach, które mi umknęły – powiedział z goryczą mentat.

– To niemożliwe, mówię ci! Harkonnenowie chcą zniszczyć ród Atrydów, łącznie z Paulem. Raz już próbowali. Czy kobieta byłaby zdolna spiskować przeciwko własnemu synowi?

– Może ona nie spiskuje przeciwko synowi. A wczorajszy zamach mógł być sprytną mistyfikacją.

– Nie mógł być mistyfikacją.

– Wasza wysokość, ona nie powinna znać swego pochodzenia, ale jeśli je poznała? A gdyby tak była sierotą, załóżmy, przez Atrydę?

– Zrobiłaby to już dawno. Trucizna w szklance… sztylet pośród nocy. Któż miał lepszą okazję?

– Harkonnenowie zamierzają cię zniszczyć, mój panie. Nie po prostu zabić. W kanly istnieje cała gama subtelnych rozróżnień. Ta może być dziełem sztuki wśród wendet.

Księciu opadły ramiona. Gdy przymknął oczy, wydawał się stary i zmęczony. „To niemożliwe – myślał. – Ta kobieta otworzyła przede mną serce”.

– Czyż jest lepszy sposób zniszczenia mnie niż rzucenie podejrzeń na kobietę, którą kocham? – zapytał.

– Brałem taką możliwość pod rozwagę – powiedział mentat. – Mimo to…

Książę otworzył oczy i utkwił je w Hawacie, myśląc: „Niech będzie podejrzliwy. Podejrzliwość to jego fach, nie mój. Może gdy sprawię wrażenie, że w to wierzę, ktoś inny popełni błąd”.

– Co radzisz? – wyszeptał.

– Na razie stałą inwigilację, mój panie. Powinna być pod nadzorem o każdej porze dnia i nocy. Postaram się, by robiono to dyskretnie. Idaho byłby idealnym kandydatem do tego zajęcia. Może za jakiś tydzień ściągniemy go z powrotem. W oddziale Idaho szkolimy młodego człowieka, który doskonale może go zastąpić u Fremenów. To urodzony dyplomata.

– Nie narażaj na szwank naszego przyczółka u tych ludzi.

– Rzecz jasna, wasza wysokość.

– A co z Paulem?

– Może moglibyśmy zaalarmować doktora Yuego.

Leto odwrócił się plecami do Hawata.

– Rób, jak uważasz.

– Zachowam ostrożność, mój panie.

„Na to przynajmniej mogę liczyć” – pomyślał książę.

– Przejdę się – oświadczył. – Gdybyś mnie potrzebował, będę na terenie. Straż ci…

– Mój panie, zanim odejdziesz, mam tu wycinek filmowy, z którym powinieneś się zapoznać. Pierwsza próba analizy fremeńskiej religii. Przypominasz sobie, że prosiłeś mnie o sprawozdanie na ten temat?

Książę przystanął i nie odwracając się, spytał:

– Nie możesz z tym zaczekać?

– Oczywiście, mój panie. Pytałeś jednak, co oni wykrzykiwali. To było „Mahdi!” Kierowali to określenie do panicza. Kiedy…

– Do Paula?

– Tak, mój panie. Mają tutaj legendę, przepowiednię, że objawi im się jakiś wódz, dziecko Bene Gesserit, aby poprowadzić ich ku prawdziwej wolności. Jeszcze jedna wersja schematu mesjasza.

– Oni myślą, że Paul jest tym… tym…

– Mają jedynie nadzieję, mój panie – odparł Hawat i wyciągnął kapsułę z wycinkiem filmu.

Książę przyjął ją, po czym wsadził do kieszeni.

– Później sobie to obejrzę.

– Oczywiście, mój panie.

– Teraz potrzebny mi jest czas do… namysłu.

– Tak, mój panie.

Leto wziął głęboki wdech, westchnął i wyszedł z pokoju wielkimi krokami. Na korytarzu skręcił w prawo i ruszył powoli z rękami założonymi do tyłu, nie zwracając uwagi, gdzie się znajduje. Mijał korytarze i schody, balkony i sale. Ludzie salutowali i odsuwali się, robiąc mu przejście.

Po pewnym czasie wrócił do sali konferencyjnej. Była pogrążona w ciemnościach, Paul zaś spał na stole przykryty płaszczem strażnika, z marynarskim workiem zamiast poduszki.

Książę cicho przeszedł przez całą salę ku balkonowi wychodzącemu na lądowisko. W rogu balkonu wartownik wyprężył się na baczność, poznawszy władcę w nikłym odblasku świateł lądowiska.

– Spocznij – mruknął książę.

Oparł się o zimny metal balustrady. Pustynny basen tchnął spokojem przedświtu. Leto spojrzał w górę. Wprost nad jego głową gwiazdy tworzyły cekinową wstęgę rozpostartą na tle niebieskawej czerni. Nisko nad południowym horyzontem drugi księżyc nocy wyzierał z leciutkiej mgiełki pyłu – księżyc niedowiarek spoglądający nań cynicznym blaskiem.

Książę patrzył, jak księżyc nurkuje pod Mur Zaporowy, srebrząc jego urwiska, i w nagłym zagęszczeniu mroku poczuł ziąb. Zadrżał. Przeszył go gniew.

„Po raz ostatni Harkonnenowie mi brużdżą, judzą i polują na mnie – pomyślał. – Gnoje o mentalności hycla. Tutaj stawię im czoło!” I dodał z nutą smutku: „Muszę panować okiem i szponem, jak jastrząb wśród pośledniejszego ptactwa”. Jego dłoń nieświadomie musnęła emblemat jastrzębia na bluzie.

Noc na wschodzie zrodziła smugę błyszczącej szarości, a po niej perłową opalizację, która przyćmiła gwiazdy. Nadciągnął świt, szerokim zamachem rozkołysanego dzwonu uderzając w horyzont. Była to scena tak piękna, że książę zapomniał o bożym świecie. „Są rzeczy niepowtarzalne” – pomyślał.

Nigdy nie wyobrażał sobie, że może być tutaj coś tak pięknego jak ten zgruchotany, czerwony horyzont z purpurą i ochrą urwisk. Poza lądowiskiem, gdzie skąpa nocna rosa tchnęła życie w spieszne nasiona Arrakis, ujrzał ogromne łany czerwonego kwiecia i przecinający je wyraźny trakt fioletu… niczym ślad gigantycznych stóp.

– Piękny poranek, wasza wysokość – powiedział strażnik.

– Tak, piękny. – Książę kiwnął głową. „Być może ta planeta potrafi zauroczyć – dumał. – Być może potrafi się stać prawdziwym domem dla mego syna”.

Nagle zobaczył postacie wkraczające na pola kwiatów i omiatające je dziwacznymi, przypominającymi kosy narzędziami – żeńców rosy. Woda jest tutaj tak cenna, że nawet rosę trzeba zbierać.

„I potrafi też być ta planeta miejscem upiornym” – pomyślał książę.

Chyba nie ma straszliwszego olśnienia nad to, w którym odkrywasz, iż twój ojciec jest człowiekiem w ludzkim ciele.

– z *Myśli zebranych Muad'Diba* w opracowaniu księżnej Irulany

– Paulu, nienawidzę tego, co robię, ale nie mam wyjścia – powiedział książę.

Stał obok przenośnego wykrywacza trucizny wniesionego do sali konferencyjnej na czas śniadania. Sensorowe macki urządzenia zwisały bezwładnie nad stołem, przywodząc Paulowi na myśl jakiegoś nieznanego owada, który zdechł właśnie przed chwilą.

Uwagę księcia pochłaniało lądowisko za oknami i kłębiący się nad nim tuman pyłu na tle porannego nieba.

Paul miał przed sobą przeglądarkę z krótkim wycinkiem filmu na temat religijnych praktyk Fremenów. Materiał zebrany przez jednego z ekspertów Hawata bulwersował młodzieńca aluzjami do jego osoby.

„Mahdi!"

„Lisan al-Gaib!"

Zamykając oczy, słyszał jeszcze okrzyki tłumów. „A więc to na to czekają" – pomyślał. I przypomniał sobie słowa matki wielebnej: „Kwisatz Haderach". Na ich wspomnienie ożyły w nim emocje straszliwego przeznaczenia, mrocząc ten obcy świat poczuciem swojskości, której nie pojmował.

– Nienawidzę – powiedział książę.

– Co masz na myśli, ojcze?

Leto odwrócił się i popatrzył z góry na syna.

– Ponieważ Harkonnenowie zamierzają mnie zwieść, rzucając podejrzenie na twoją matkę. Nie wiedzą, że prędzej bym podejrzewał samego siebie.

– Nie rozumiem.

Leto ponownie spojrzał na zewnątrz. Białe słońce płonęło już całkiem wysoko w kwadrancie przedpołudnia. Mleczne światło wydobywało kipiel obłoków pyłu wsypującego się do ślepych kanionów, którymi ponacinany był Mur Zaporowy.

Niespiesznie, cichym od hamowanego gniewu głosem książę opowiedział Paulowi o tajemniczym liście.

– Równie dobrze mógłbyś podejrzewać mnie – stwierdził chłopak.

– Oni muszą uznać, że im się udało – rzekł książę. – Muszą sądzić, że jestem taki głupi. I musi na to wyglądać. Nawet twoja matka nie powinna wiedzieć o tej mistyfikacji.

– Ależ ojcze! Dlaczego?

– Reakcja twojej matki nie może być udawana. Och, ona potrafi doskonale udawać… lecz zbyt wiele od tego zależy. Mam nadzieję wykurzyć zdrajcę z nory. Musi się wydawać, że zostałem wyprowadzony w pole. Trzeba zadać jej w ten sposób ból, by ominęło ją większe cierpienie.

– Dlaczego mi o tym mówisz, ojcze? Mogę się zdradzić.

– Na ciebie nie będą patrzeć pod tym kątem. Dotrzymasz tajemnicy. Musisz dotrzymać. – Przybliżył się do okien i mówił odwrócony tyłem: – W ten sposób, gdyby coś mi się stało, będziesz mógł jej powiedzieć prawdę: że nigdy w nią nie zwątpiłem, nawet na mgnienie oka. Chciałbym, żeby o tym wiedziała.

W słowach ojca Paul wyczytał myśli o śmierci, więc powiedział szybko:

– Nic ci się nie stanie, ojcze. Oni…

– Cicho bądź, synu.

Paul nie spuszczał wzroku z pleców ojca, dostrzegając zmęczenie w nachyleniu szyi, w linii ramion, w zwolnionych ruchach.

– Jesteś po prostu zmęczony, ojcze.

– Jestem zmęczony – zgodził się książę. – Jestem moralnie zmęczony. Pewnie dopadła mnie wreszcie melancholia degeneracji wysokich rodów. A byliśmy kiedyś tak mocnymi ludźmi.

Chłopak rzekł z nagłym rozdrażnieniem:

– Nasz ród się nie zdegenerował!

– Nie? – Leto odwrócił się do syna, ukazując ciemne kręgi pod chłodnymi oczami. Na ustach miał cyniczny grymas. – Powinienem poślubić twą matkę, uczynić ją księżną, ale… mój wolny stan daje jeszcze pewnym rodom nadzieję na koligację ze mną przez ich córki na wydaniu. – Wzruszył ramionami. – Więc ja…

– Matka mi to wytłumaczyła.

– Wódz niczym tak nie zdobywa serc jak imponowaniem brawurą – powiedział książę. – Przeto obnoszę się ze swoją brawurą.

– Jesteś dobrym przywódcą – zaprotestował Paul. – Dobrym władcą. Ludzie idą za tobą chętnie i z miłością.

– Mam jeden z najlepszych korpusów propagandy – rzekł Leto. Znowu zatonął spojrzeniem w basenie. – Tu, na Arrakis, mamy większą szansę, niż Imperium mogłoby podejrzewać. A jednak czasami myślę, że lepiej byłoby uciec, zostać renegatem. Czasami chciałbym, byśmy się pogrążyli w anonimowości rzesz ludzkich, mniej wystawieni na…

– Ojcze!

– Tak, jestem zmęczony – przyznał książę. – Czy wiedziałeś, że osad przyprawy wykorzystujemy jako surowiec i że mamy już własną fabrykę podłoża filmów?

– Sir?

– Nie może nam zabraknąć folii podłożowej – powiedział Leto. – Jakże tu bez niej zalewać wsie i miasta naszymi informacjami? Ludzie muszą się dowiedzieć, jak dobrze nimi rządzę. Skąd by wiedzieli, gdybyśmy im o tym nie donosili?

– Powinieneś trochę odpocząć – powiedział Paul.

Książę ponownie stanął twarzą w twarz z synem.

– O mało nie zapomniałem wymienić jeszcze jednej zalety Arrakis. Tutaj we wszystkim jest przyprawa. Oddychasz nią i jesz ją prawie we wszystkim. I dochodzę do wniosku, że daje ona pewną naturalną odporność na niektóre najbardziej popularne trucizny z *Poradnika asasyna*. A konieczność liczenia każdej kropli wody sprawia, że cały przemysł spożywczy – hodowla drożdży, hydroponika, chemia spożywcza, wszystko – znajduje się pod najściślejszym nadzorem. Nie możemy wymordować znacznej części naszej populacji za pomocą trucizny ani też nie można nas w ten sposób zaatakować. Arrakis czyni nas moralnymi i etycznymi.

Paul chciał coś powiedzieć, ale książę nie dopuścił go do głosu.

– Muszę się przed kimś wygadać, synu – rzekł z westchnieniem. Zerknął przez ramię na wypalony krajobraz, z którego zniknęły już teraz nawet kwiaty, stratowane przez żeńców rosy i zwarzone przedpołudniowym słońcem. – Na Kaladanie władaliśmy za pomocą potęg morskiej i powietrznej – stwierdził. – Tutaj musimy się dochrapać potęgi pustynnej. Oto twoje dziedzictwo, Paulu. Co z tobą będzie, jeśli mnie zabraknie? Nie, nie zostaniesz głową rodu renegatów, lecz partyzantów… uciekającym, ściganym.

Paul rozpaczliwie szukał słów, nie wiedząc, co powiedzieć. Nigdy nie widział ojca aż tak przybitego.

– Kto chce utrzymać Arrakis – mówił książę – staje przed podjęciem decyzji, których ceną może się okazać własna godność. – Wskazał zielono-czarny sztandar Atrydów zwisający martwo z masztu na skraju lądowiska. – Ten chlubny sztandar może się stać symbolem wielu strasznych rzeczy.

Paul usiłował przełknąć ślinę, ale miał sucho w ustach. W słowach ojca była beznadzieja, przeczucie nieuchronnego losu, które zostawiło pustkę w piersi chłopca.

Książę wyjął z kieszeni pigułkę energetyczną i połknął ją, nie popijając.

– Siła i strach – powiedział. – Narzędzia sprawowania rządów. Muszę nakazać, by położono silniejszy nacisk na twoje szkolenie partyzanckie. W tym wycinku filmu nazywają cię „Mahdi” i „Lisan al-Gaib”. To może stać się dla ciebie ostatnią deską ratunku.

Paul wpatrywał się w ojca, dostrzegając, jak pod wpływem pigułki prostują mu się ramiona, ale w pamięci miał jego słowa, pełne lęku i niepewności.

– Co zatrzymało ekologa? – wymamrotał książę. – Mówiłem Hawatowi, żeby przysłał go wcześnie.

> Pewnego dnia ojciec mój, Padyszach Imperator, wziął mnie za rękę i wyczułam dzięki metodom, jakich nauczyła mnie matka, że coś go gnębi. Powiódł mnie przez Salę Portretową pod egoportret księcia Leto Atrydy. Zauważyłam silne podobieństwo między nimi – moim ojcem i tym mężczyzną na portrecie. Obaj mieli pociągłe, arystokratyczne twarze o ostrych rysach, którym ton nadawało spojrzenie zimnych oczu. „Córko księżniczko – powiedział mój ojciec – żałuję, że nie byłaś starsza, kiedy nadeszła pora wyboru kobiety dla tego mężczyzny”. Mój ojciec miał wtedy siedemdziesiąt jeden lat i nie wyglądał starzej od człowieka na portrecie, ja zaś miałam lat zaledwie czternaście, ale pamiętam, jak zrozumiałam w tamtym momencie, że ojciec skrycie pragnął mieć księcia za syna i czuł awersję do politycznych układów, które uczyniły ich wrogami.
>
> – z *W domu mojego ojca* pióra księżnej Irulany

Pierwsze spotkanie z ludźmi, których przykazano mu zdradzić, wstrząsnęło doktorem Kynesem. Chlubił się tym, że jako uczony uważa legendy jedynie za interesujące przesłanki do zrozumienia kulturowych korzeni, ale chłopak pasował jak ulał do starożytnej przepowiedni. Miał „oczy, które widzą” i wyczuwało się w nim „ukrytą prawość”.

Wyrocznia pozostawiła oczywiście pewną swobodę co do kwestii, czy Bogini Matka przywiedzie Mesjasza ze sobą czy zrodzi go na miejscu. Jednak istniała zadziwiająca zgodność przepowiedni z osobami.

Spotkali się późnym rankiem pod budynkiem zarządu lądowiska w Arrakin. Nieoznakowany ornitopter przycupnął opodal w pogotowiu startowym, brzęcząc cicho jak ospały owad. Z obnażonym mieczem stał przy nim gwardzista Atrydów w lekkiej dystorsji powietrza od okalającej go tarczy.

Kynes uśmiechnął się szyderczo na widok konturów tarczy i pomyślał: „Tutaj Arrakis szykuje im niespodziankę”.

Planetolog podniósł rękę, dając znak Fremenom ze swojej straży przybocznej, by zostali w tyle. Sam pomaszerował prosto do wejścia budynku – ciemniejszego otworu w powleczonej tworzywem sztucznym skale. „Jakże odsłonięty jest ten monolityczny budynek – myślał. – O ileż lepsza jest jaskinia”.

Ruch w wejściu zwrócił jego uwagę. Zatrzymał się, wykorzystując ten moment, by poprawić okrycie i fałdę na lewym ramieniu filtraka.

Drzwi rozwarły się na oścież. Gwardziści Atrydów wysypali się pospiesznie, co do jednego uzbrojeni po zęby – w głuszaki na pociski moderacyjne, miecze i tarcze. Za nimi nadchodził wysoki mężczyzna o jastrzębich rysach, ciemnoskóry i ciemnowłosy. Miał na sobie dżubbę z herbem Atrydów na piersi i nosił ją w sposób zdradzający brak obycia z tego rodzaju ubiorem. Poła dżubby czepiała mu się nogawek filtraka, brakowało rozbujanego w rytmie kroków falowania.

U boku mężczyzny szedł młodzieniec z równie ciemnymi włosami, lecz pełniejszy na twarzy. Był niski jak na swoje piętnaście lat, o których Kynes wiedział, ale wyczuwało się w nim majestat i niewzruszoną pewność siebie, jakby dookoła widział i rozpoznawał rzeczy dla innych niedostrzegalne. Płaszcz identycznego jak u ojca kroju nosił z niedbałą swobodą, sprawiając wrażenie, że przywdziewa takie okrycie od urodzenia.

„Mahdi świadom będzie spraw niewidzialnych dla innych” – głosiła przepowiednia.

Kynes potrząsnął głową, przekonując sam siebie: „Ludzie jak wszyscy inni”.

Z tymi dwoma, i jak oni w ubiorze pustynnym, zbliżał się człowiek Kynesowi znany – Gurney Halleck. Planetolog wciągnął głęboko powietrze, tłumiąc niechęć do Hallecka, który udzielił mu pouczeń, jak należy się zachowywać w obecności księcia i książęcego dziedzica.

„Wolno ci się zwracać do księcia »mój panie« lub »wasza wysokość«. »Szlachetnie urodzony« też ujdzie, ale to zwrot na bardziej oficjalne okazje. Do syna można mówić »paniczu« albo »mój panie«. Książę jest człowiekiem wielce wyrozumiałym, ale nie znosi zbytniej poufałości”.

„Bardzo prędko dowiedzą się, kto jest panem Arrakis – pomyślał Kynes, obserwując zbliżającą się grupę. – Kazać jakiemuś mentatowi maglować mnie przez pół nocy? Spodziewać się po mnie, że zabiorę ich na inspekcję przyprawowych piasków?”

Cel pytań Hawata nie uszedł uwagi Kynesa. Oni chcieli imperialnych baz. I nie ulegało wątpliwości, że o bazach dowiedzieli się od Idaho. „Każę Stilgarowi odesłać temu księciu głowę Idaho” – obiecał sobie Kynes.

Książęcy orszak znajdował się teraz zaledwie o parę kroków, piasek chrzęścił pod podeszwami butów pustynnych. Planetolog schylił głowę w ukłonie.

– Mój panie, książę.

Zbliżając się do mężczyzny stojącego w sąsiedztwie ornitoptera, Leto przyglądał mu się z uwagą: wysoki, szczupły, odziany na pustynną modłę w luźny płaszcz, filtrak i buty z krótkimi cholewami. Zarzucony na plecy kaptur ze zwisającym u boku czarczafem odsłaniał rudoblond włosy i rzadką brodę. Oczy pod krzaczastymi brwiami były owym niezgłębionym błękitem w błękicie. W oczodołach znać było resztki jakiegoś ciemnego barwnika.

– Ty jesteś ekologiem – powiedział książę.

– My tutaj wolimy stary tytuł, mój panie – odparł Kynes. – Planetolog.

– Jak sobie życzysz – rzekł Leto. – Synu, to jest sędzia zmiany, arbiter w sporze, człowiek, który z urzędu ma czuwać tutaj nad przestrzeganiem form objęcia przez nas tego lenna. – Zerknął na Kynesa. – A to jest mój syn.

– Mój panie – powiedział Kynes.

– Jesteś Fremenem? – spytał Paul.

Planetolog się uśmiechnął.

– Przyjmuje mnie i sicz, i wioska, paniczu, ale jestem imperialnym planetologiem w służbie Jego Imperatorskiej Mości.

Chłopak skinął głową; był pod wrażeniem bijącej od mężczyzny siły. Halleck wskazał Paulowi Kynesa z górnego okna budynku zarządu.

– To ten mężczyzna w eskorcie Fremenów, który idzie teraz w stronę ornitoptera.

Paulowi mignęły w lornetce dumne, proste usta i wysokie czoło planetologa.

– Dziwaczny facet. Wysławia się krótko, węzłowato, bez owijania w bawełnę – rzekł Halleck młodemu Atrydzie do ucha.

A książę za ich plecami powiedział:

– Typowy naukowiec.

Teraz, stojąc zaledwie parę kroków od tego człowieka, Paul wyczuwał w nim moc, emanację osobowości obdarzonej wrodzoną charyzmą przywódcy, jakby w żyłach Kynesa płynęła królewska krew.

– Rozumiem, że tobie winniśmy podziękowanie za nasze filtraki i te płaszcze – powiedział książę.

– Mam nadzieję, że leżą dobrze, mój panie – rzekł Kynes. – To fremeńska robota, a wielkość ich jest możliwie najbliższa wymiarów, które podał mi twój człowiek, obecny tu Halleck.

– Zaniepokoiło mnie twoje stwierdzenie, że nie zabierzesz nas na pustynię, jeśli nie włożymy tych strojów – powiedział Leto. – Możemy wziąć dużo wody. Nie planujemy długiego lotu i będziemy mieli powietrzną osłonę, eskortę, którą widzisz w tej chwili nad głową. Nie wydaje się prawdopodobne, byśmy musieli przymusowo lądować.

Kynes przeszył go spojrzeniem, mierząc napęczniałe wodą ciało.

– Na Arrakis nigdy nie mówi się o prawdopodobieństwach – stwierdził ozięble. – Mówi się tylko o ślepym trafie.

Halleck się najeżył.

– Do księcia należy się zwracać „mój panie” albo „wasza wysokość”!

Leto wykonał sekretny znak dłonią, by dał on spokój, i powiedział:

– Nasze zwyczaje są tu nowe, Gurneyu. Musimy brać to pod uwagę.

– Twoja wola, wasza wysokość.

– Jesteśmy twymi dłużnikami, doktorze Kynesie – rzekł Leto. – Te ubiory i troska o nasze dobro nie pójdą w niepamięć.

Paul przypomniał sobie werset z Biblii P-K i pod wpływem chwili wyrecytował:

– „Dar jest błogosławieństwem ofiarodawcy”.

W martwym powietrzu słowa były nienaturalnie donośne. Fremeńska eskorta, którą Kynes zostawił w cieniu pod budynkiem zarządu, zerwała się na równe nogi, szemrząc w wyraźnym podnieceniu. Jeden z nich krzyknął:

– Lisan al-Gaib!

Kynes obrócił się jak ukąszony w ich stronę, wykonał krótki, błyskawiczny ruch dłonią i machnięciem ręki odprawił eskortę. Sarkając między sobą, cofnęli się i powlekli za róg budynku.

– Nader ciekawe – powiedział Leto.

Planetolog zmierzył księcia i Paula twardym spojrzeniem.

– Większość tubylców to zabobonna gromada. Nie zwracajcie na nich uwagi. Nie mają złych intencji. – Ale myślał o słowach przepowiedni: „Powitają was Świętymi Słowy i błogosławieństwem będą wasze dary”.

Opinia Leto o Kynesie, w części oparta na krótkim ustnym raporcie Hawata (ostrożnym i pełnym podejrzeń), nagle się skrystalizowała: ten człowiek jest Fremenem. Planetolog przybył z fremeńską eskortą, co mogło oznaczać po prostu, że Fremeni sprawdzają nabyte niedawno prawo do

swobodnego przebywania w miastach, lecz wyglądało to na kompanię honorową. A sądząc z zachowania, Kynes był człowiekiem dumnym, przywykłym do wolności, którego język i maniery trzymały na wodzy jedynie jego uprzedzenia. Pytanie Paula było na miejscu i na temat. Kynes się zasymilował.

– Czy nie powinniśmy ruszać, wasza wysokość? – spytał Halleck.

Książę skinął głową.

– Sam poprowadzę swój ornitopter. Kynes niech siądzie ze mną z przodu, by pokazywać mi drogę. Ty i Paul zajmijcie tylne siedzenia.

– Jeszcze chwilkę – rzekł planetolog. – Za pozwoleniem, wasza wysokość, muszę sprawdzić stan zabezpieczenia waszych ubiorów. – Leto zamierzał coś powiedzieć, ale Kynes dodał z naciskiem: – Chodzi o moją skórę tak samo jak o twoją… mój panie. Doskonale zdaję sobie sprawę, czyje gardło poderżną, jeśli wam dwóm coś się przytrafi pod moją opieką.

Książę zmarszczył brwi. „Co za delikatny moment! Jeżeli odmówię, gotów się obrazić. A to może być bezcenny dla mnie człowiek. Mimo to… wpuścić go za tarczę, zezwolić na dotykanie mnie, gdy tak niewiele o nim wiem?” Myśli te przemknęły mu przez głowę błyskawicznie, decyzja przyszła tuż po nich.

– Oddajemy się w twoje ręce – powiedział. Zrobił krok do przodu, rozsuwając płaszcz, i dostrzegł, że Halleck przenosi ciężar ciała na palce, zebrany w sobie i czujny, ale nie rusza się z miejsca. – I gdybyś był taki uprzejmy – dodał książę – z wdzięcznością przyjmę objaśnienia dotyczące tego stroju od kogoś, kto żyje z nim na co dzień.

– Oczywiście – odparł Kynes. Zmacał pod płaszczem uszczelki ramienne, mówiąc w trakcie sprawdzania stroju. – Podstawą jest tkanina mikrowarstwowa: wysokiej wydajności system filtracyjny i wymiany ciepła. – Dopasował uszczelki ramion. – Warstwa stykająca się ze skórą jest

porowata. Po ochłodzeniu ciała przenika przez nią pot… To prawie naturalny proces parowania. Następne dwie warstwy – mocniej ściągnął pierś – zawierają włókna wymiany ciepła i osadniki soli. Sól jest odzyskiwana.

Na dany znak książę podniósł ramiona.

– Nader ciekawe – powiedział.

– Oddychać głęboko – rzekł Kynes.

Książę wykonał polecenie, planetolog zaś przyglądał się uszczelkom pod pachami. Jedną poprawił.

– Ruchy ciała – oznajmił – szczególnie przy oddychaniu, i w części działanie osmotyczne dostarczają siły pompującej. – Poluzował lekko ściągacz na piersi. – Odzyskana woda przepływa do kieszeni łownych, z których czerpie się ją przez tę rurkę w chomątku na szyi.

Książę przycisnął brodę do piersi, by zobaczyć wylot rurki.

– Skuteczne i wygodne – rzekł. – Świetne rozwiązanie techniczne.

Kynes przyklęknął, zbadał uszczelki nóg.

– Mocz i fekalia przetwarzane są w podkładkach udowych – powiedział, po czym wstał i sprawdził szczelność kołnierza. Uniósł na nim osobną klapę. – Na otwartej pustyni nosi się ten filtr na twarzy, a tę rurkę zakończoną uszczelniającymi wtykami w nozdrzach. Wdech przez filtr ustny, wydech przez rurkę nosową. W dobrze działającym fremeńskim stroju tracimy nie więcej niż naparstek wilgoci dziennie, nawet jeśli się ugrzęźnie w sercu Wielkiego Ergu.

– Naparstek dziennie – powtórzył książę.

Kynes docisnął palcem podkładkę naczółka stroju i powiedział:

– Tu czasami trochę uwiera. Jeśli będzie ocierać, proszę mi powiedzieć. Mógłbym to nieco ściślej dopasować.

– Dziękuję – rzekł książę.

Gdy Kynes się cofnął, poruszył ramionami i poczuł, że wszystko leży lepiej: bardziej przylega i mniej drażni.

Planetolog zwrócił się do Paula.

– Teraz kolej na ciebie, zuchu.

„Dobry człowiek, ale musi się nauczyć odpowiednio do nas zwracać” – pomyślał Leto.

Paul stał biernie, kiedy Kynes sprawdzał mu ubiór. Miał dziwne uczucie w trakcie wkładania tego stroju o pomarszczonej, śliskiej powierzchni. W jego przedświadomości była absolutna pewność, że nigdy wcześniej nie nosił filtraka. Mimo to każde dociągnięcie przylepnych patek pod niedoświadczonym okiem Gurneya wydawało mu się naturalne, instynktowne. Gdy ściągnął się w piersi, by uzyskać maksymalne działanie pompujące przy oddechu, wiedział, co robi i dlaczego. Gdy ściśle dopasował patki szyjne i naczółka, wiedział, że zrobił to, by nie dopuścić do powstania otarć i pęcherzy.

Kynes wyprostował się i cofnął z zaintrygowaną miną.

– Nosiłeś już kiedyś filtrak? – zapytał.

– Mam go na sobie po raz pierwszy.

– A więc ktoś ci go dopasował?

– Nie.

– Twoje pustynne buty są przewiązane na ukos w kostkach. Kto ci tak kazał zrobić?

– Wydawało mi się… że tak trzeba.

– Bo rzeczywiście tak trzeba.

Pocierając policzek, planetolog wspomniał słowa legendy: „On będzie znał wasze zwyczaje, jakby się do nich urodził”.

– Tracimy czas – rzekł książę.

Wskazał w stronę czekającego ornitoptera i ruszył przodem, oddając wartownikowi salut kiwnięciem głową. Wdrapał się do środka, zapiął pasy bezpieczeństwa, sprawdził stery i przyrządy. Statek skrzypiał, kiedy pozostali gramolili się na pokład.

Kynes zapiął swoje pasy i zwrócił uwagę na komfortowe wnętrze ornitoptera: puchowy luksus szaro-zielonej tapicerki, światła przyrządów oraz smak przefiltrowanego i nawilżonego powietrza, gdy po zatrzaśnięciu drzwi ożyły z furkotem wentylatory. „Jak w łóżku!” – pomyślał.

– Wszystko gotowe, wasza wysokość – powiedział Halleck.

Leto podał napęd na skrzydła, poczuł, jak wznoszą się i opadają – raz i drugi. Po dziesięciu metrach byli w powietrzu z usztywnionymi skrzydłami, a silniki w ogonie z szumem zapewniały im strome wznoszenie.

– Południowy wschód za Murem Zaporowym – powiedział Kynes. – Tam właśnie kazałem waszemu piachmistrzowi skierować sprzęt.

– Dobrze.

Książę wszedł wirażem w szyk swej powietrznej osłony, której maszyny zajmowały pozycje ubezpieczające, gdy kierował się na południowy wschód.

– Projekt i wykonanie tych filtraków świadczą o wysokim poziomie myśli technicznej – powiedział.

– Któregoś dnia mogę wam pokazać wytwórnię w siczy – zaproponował Kynes.

– Będzie to interesujące – rzekł książę. – Wiem, że filtraki wyrabia się też w niektórych miastach garnizonowych.

– Nieudolne imitacje – odparł planetolog. – Każdy dbający o własną skórę diunida nosi filtrak Fremenów.

– I dzięki temu traci nie więcej niż naparstek wody dziennie?

– W sprawnym filtraku, przy dociśniętej pokrywie naczółka, z wszystkimi uszczelkami w porządku, tracimy wodę głównie przez dłonie – powiedział Kynes. – Można założyć filtrakowe rękawice, jeśli to, co robimy, nie wymaga precyzji, lecz większość Fremenów na otwartej pustyni naciera sobie dłonie sokiem z liści krzewu kreozytowego. On powstrzymuje pocenie.

Książę spojrzał w lewo na popękany krajobraz Muru Zaporowego – rozpadliny udręczonej skały, plamy żółtawego brązu porozrywane czarnymi liniami uskoków. Wyglądało to tak, jakby ktoś upuścił ten ląd z niebios i zostawił tam, gdzie się roztrzaskał.

Przecięli płytki basen z wyraźnymi konturami szarej łachy piasku rozlewającej się po nim z południowego wylotu kanionu. Jęzory piachu wpadały do basenu suchą deltą zarysowaną na tle ciemniejszej skały.

Kynes opadł na oparcie, myśląc o bogatych w wodę ciałach, które wyczuł pod filtrakami. Na płaszczach nosili pasy tarcz, u bioder głuszaki na pociski moderacyjne, z szyj zwisały im na sznurkach alarmowe nadajniki wielkości monety. Obaj, książę i syn, mieli noże w pochwach na nadgarstkach, a pochwy te były nieźle podniszczone. Ci ludzie zafrapowali Kynesa dziwną kombinacją miękkości i zbrojnej siły. W ich postawie było coś zupełnie niepodobnego do Harkonnenów.

– Kiedy przyjdzie ci zameldować Imperatorowi o zmianie tutejszego rządu, czy powiesz, że przestrzegaliśmy prawa? – spytał Leto. Spojrzał na planetologa, po czym skoncentrował się na prowadzeniu maszyny.

– Harkonnenowie odeszli, wy przyszliście – powiedział Kynes.

– I wszystko jest w porządku?

Na chwilę mięśnie szczęki Kynesa stężały, zdradzając jego podenerwowanie.

– Jako planetolog i sędzia zmiany jestem bezpośrednim poddanym Imperium… mój panie.

Książę uśmiechnął się ponuro.

– Przecież obaj jesteśmy realistami.

– Pragnę przypomnieć, że Jego Wysokość popiera to, co tu robię.

– Rzeczywiście? A co właściwie tutaj robisz?

W chwili krótkiej ciszy Paul pomyślał: „Za mocno go naciska”. Zerknął na Hallecka, ale trubadur i wojownik oglądał pustynny pejzaż.

– Oczywiście masz na myśli obowiązki planetologa, mój panie – powiedział sztywno Kynes.

– Oczywiście.

– Przeważnie zajmuję się biologią pustyni i botaniką… Prowadzę też trochę badań geologicznych: wiercenia skorupy i analiza. Nigdy nie wyczerpie się możliwości całej planety.

– Zajmujesz się również badaniami przyprawy?

Kynes zwrócił się do księcia i Paul zauważył twardą linię policzka tego mężczyzny.

– Dziwne pytanie, wasza wysokość.

– Miej na uwadze, Kynesie, że teraz to moje lenno. Moje metody różnią się od metod Harkonnenów. Nie obchodzą mnie twoje badania nad przyprawą, dopóki mam udział w twych odkryciach. – Spojrzał na planetologa. – Harkonnenowie byli przeciwni badaniom przyprawy, nieprawdaż?

Kynes nie odpowiedział, odwzajemniając spojrzenie.

– Możesz mówić otwarcie – oświadczył książę – bez obawy o swoją skórę.

– Dwór imperialny jest rzeczywiście bardzo daleko – wymruczał Kynes i pomyślał: „Czego ten nasiąknięty wodą mięczak się spodziewa? Czy

wydaje mu się, że jestem aż tak głupi, by służyć intruzowi?”.

Książę parsknął śmiechem i skupił się na trzymaniu kursu.

– Wyczuwam nutę goryczy w twoim głosie, sir. Wtargnęliśmy tutaj z naszą hałastrą obłaskawionych morderców, tak? I spodziewamy się, że natychmiast dostrzeżesz, iż jesteśmy inni od Harkonnenów.

– Czytałem propagandówki, którymi zalewacie sicz i wioski – rzekł Kynes. – „Kochajcie dobrego księcia!” Wasz korpus prop…

– Ejże! – warknął Halleck. Oderwał wzrok od okna i pochylił się do przodu.

Paul położył mu dłoń na ramieniu.

– Gurneyu! – powiedział książę i się obejrzał. – Ten człowiek był długo pod rządami Harkonnenów.

Halleck opadł na oparcie fotela.

– Aha.

– Twój człowiek, Hawat, jest subtelny – stwierdził Kynes – ale jego cel był wystarczająco jasny.

– Udostępnisz nam więc owe bazy? – zapytał książę.

Planetolog uciął oschle:

– Są własnością Jego Imperatorskiej Mości.

– Nie są wykorzystywane.

– Ale mogą być.

– Jego Imperatorska Mość też tak myśli?

Kynes rzucił księciu twarde spojrzenie.

– Arrakis byłaby rajem, gdyby jej władców interesowało coś więcej prócz rycia za przyprawą!

„Nie odpowiedział na moje pytanie” – pomyślał książę.

– Jak planeta ma się stać rajem bez pieniędzy? – zapytał.

– Cóż po pieniądzach, skoro nie da się kupić tego, co potrzeba?

„Ach tak!” – pomyślał książę.

– Porozmawiamy o tym innym razem – powiedział. – Chyba zbliżamy się już do krawędzi Muru Zaporowego. Mam trzymać kurs?

– Trzymać kurs – wymamrotał Kynes.

Paul wyjrzał przez okno. Pod nimi spękany grunt zaczynał opadać wzburzonymi falami ku gołej skalnej płaszczyźnie i ostremu jak nóż szelfowi. Za szelfem półksiężyce wydm szły aż po horyzont, z rozmazaną tu i ówdzie w dali plamką, ciemniejszym kleksem czegoś, co nie było piaskiem. Być może wychodniami warstwy skalnej. W tym stężałym od upału powietrzu chłopak nie był niczego pewny.

– Czy tam, na dole, są jakieś rośliny? – zapytał.

– Trochę – odparł Kynes. – W strefie życia na tej szerokości występuje przeważnie to, co nazywamy drugorzędnymi złodziejami wody: roślinność przystosowana do wzajemnego ograbiania się z wilgoci, pochłaniająca śladową rosę. Pewne rejony pustyni obfitują w życie, ale wszystko, co żyje, posiadło sztukę przetrwania w tych trudnych warunkach. Tam, na dole, musisz naśladować owo życie albo zginąć.

– To znaczy okradać innych z wody? – zapytał Paul. Sama idea oburzyła go, co zdradzał jego głos.

– Robi się to – powiedział Kynes – ale niezupełnie o to mi chodziło. Widzisz, mój klimat wymaga specyficznego podejścia do wody. Nie zapomina się o niej ani na chwilę. Nie marnuje się niczego, co zawiera wilgoć.

„Mój klimat!” – pomyślał książę.

– Skręć dwa stopnie bardziej na południe, mój panie – rzekł planetolog. – Z zachodu idzie wichura.

Książę skinął głową. Sam zauważył kłęby brązowego pyłu. Położył ornitopter w zakręt i zobaczył, jak skrzydła eskorty przechylają się

w wirażu, by go nie zgubić, i odbijają mleczny pomarańcz załamanego w pyle światła.

– Dzięki temu powinniśmy obejść czoło huraganu – rzekł Kynes.

– Taki piasek musi być niebezpieczny, kiedy się w niego wleci – zauważył Paul. – Czy rzeczywiście przecina najtwardsze metale?

– Na tej wysokości to nie jest piasek, tylko pył – wyjaśnił planetolog. – Niebezpieczeństwo, jakie stwarza, to brak widoczności, turbulencja i zatkanie wlotów powietrza.

– Zobaczymy dziś samo wydobywanie przyprawy? – spytał Paul.

– Najprawdopodobniej – odparł Kynes.

Chłopak zagłębił się w fotelu. Za pomocą pytań i nadświadomości dokonał czegoś, co jego matka nazywała „rejestracją” osobnika. Znał teraz Kynesa na pamięć – barwę głosu, każdy szczegół twarzy i gestu. Nienaturalna fałda lewego rękawa zdradzała nóż w pochwie na ramieniu. Talia była dziwnie wybrzuszona. Słyszał, że ludzie pustyni noszą w pasie szarfę, za którą wtykają niezbędne drobiazgi. Może wybrzuszenie tworzyła taka właśnie szarfa, bo na pewno nie ukryty pas tarczy. Miedziana zapinka z wygrawerowanym zającem spinała kołnierz jego płaszcza. Drugą, mniejszą, z podobnym wizerunkiem, miał przy zarzuconym na plecy kapturze.

Halleck okręcił się w fotelu obok Paula, sięgnął do przedziału w ogonie i wyciągnął swoją balisetę. Kynes obejrzał się, kiedy trubadur stroił instrument, po czym wrócił do obserwowania kursu.

– Czego chciałbyś posłuchać, paniczu? – zapytał Halleck.

– Sam coś wybierz, Gurneyu – rzekł Paul.

Halleck przysunął ucho do pudła rezonansowego, wziął akord i zaśpiewał cichutko:

Nasi ojce jedli mannę na pustyni,
W żarze miejsc, gdzie latają cyklony.
Panie, zbaw nas od strasznej ziemi!
Zbaw nas… aaach, zbaw nas
Od martwej, suchej ziemi.

Kynes zerknął na księcia i powiedział:

– Podróżujesz z małym zaiste oddziałem straży, mój panie. Czy wszyscy twoi ludzie mają tak wiele talentów?

– Gurney? – Leto się roześmiał. – Gurney jest jedyny w swoim rodzaju. Lubię go mieć przy sobie dla jego oczu. Niewiele przegapią.

Planetolog zmarszczył czoło.

Nie gubiąc rytmu swej melodii, Halleck dośpiewał:

Bo jam jest jak sowa pustyni, o!
O tak! Jam jest jak sowa pus-ty-ni!

Książę sięgnął w dół, zdjął z tablicy przyrządów mikrofon, włączył go kciukiem i powiedział:

– Dowódca do Eskorty Gemma. Obiekt latający na godzinie dziewiątej, sektor B. Jak z rozpoznaniem?

– To tylko duży ptak – rzekł Kynes i dodał: – Masz bystre oczy, wasza wysokość.

Głośnik odpowiedział trzaskami, po czym usłyszeli:

– Eskorta Gemma. Obiekt zbadany w pełnym powiększeniu. To duży ptak.

Paul spojrzał we wskazanym kierunku, dostrzegł odległy punkt, poruszającą się co jakiś czas kropkę, i uświadomił sobie, jak

przewrażliwiony musi być jego ojciec. Wszystkie zmysły w pełnym pogotowiu.

– Nie zdawałem sobie sprawy, że tak daleko w głębi pustyni spotyka się takie wielkie ptaki – powiedział książę.

– To zapewne orzeł – odparł Kynes. – Wiele stworzeń przystosowało się do tego miejsca.

Ornitopter przemknął nad nagą skalną równiną. Paul spojrzał w dół z wysokości dwóch tysięcy metrów i zobaczył pomarszczony cień ich statku oraz eskorty. Grunt pod nimi wyglądał płasko, lecz zmarszczki cienia świadczyły o czymś przeciwnym.

– Czy ktoś wyszedł kiedyś z pustyni? – zapytał książę.

Halleck przestał grać. Nachylił się, by usłyszeć odpowiedź.

– Nie z głębokiej pustyni – powiedział Kynes. – Ludzie wychodzili z drugiej strefy wiele razy. Przeżyli dzięki temu, że szli przez skaliste obszary, na które rzadko zapuszczają się czerwie.

Ton głosu planetologa przykuł uwagę Paula. Czuł, że wszystkie jego zmysły zostały zaalarmowane tak, jak je wyszkolono.

– Aaach, czerwie – rzekł książę. – Muszę kiedyś zobaczyć jednego.

– Może zobaczysz go już dzisiaj – powiedział Kynes. – Gdziekolwiek jest przyprawa, tam są czerwie.

– Zawsze? – spytał Halleck.

– Zawsze.

– Czy istnieje związek między czerwiem a przyprawą? – spytał Leto.

Kynes obrócił się i Paul zobaczył zasznurowane usta, gdy przemówił:

– One bronią piasków przyprawowych. Każdy czerw ma określone… terytorium. Jeśli chodzi o przyprawę… Kto wie? Zbadane przez nas okazy czerwi każą podejrzewać złożone chemiczne przemiany wewnętrzne. Znajdujemy ślady kwasu chlorowodorowego w przewodach

anatomicznych, bardziej złożone związki kwasowe w innych miejscach. Polecam swoją monografię na ten temat.

– I tarcza nie jest żadną obroną? – spytał książę.

– Tarcze! – zadrwił Kynes. – Włącz tarczę w strefie czerwia, a przypieczętujesz swój los. Czerwie ignorują granice terytoriów i ściągają z oddali, by zaatakować tarczę. Żaden człowiek noszący tarczę nie przeżył takiego ataku.

– Więc w jaki sposób się je chwyta?

– Porażenie każdego pierścienia z osobna prądem o wysokim napięciu jest jedynym znanym sposobem na zabicie bądź pojmanie czerwia w całości – powiedział Kynes. – Można je oszołomić i porozrywać materiałami wybuchowymi, lecz każdy pierścień z osobna żyje. Oprócz energii atomowej nie znam materiału wybuchowego o sile dostatecznej, by zabić dużego czerwia. One są niewiarygodnie odporne.

– Dlaczego nie próbowano ich wytępić? – zapytał Paul.

– To zbyt kosztowne – odparł Kynes. – Zbyt wielki obszar na taką operację.

Chłopak odchylił się do tyłu w swoim kącie. Jego zmysł prawdy, wrażliwość na odcienie tonu mówiły mu, że planetolog kłamie i opowiada półprawdy. I pomyślał: „Jeśli istnieje relacja między przyprawą a czerwiami, wytępienie czerwi zniszczyłoby przyprawę”.

– Niebawem nikt nie będzie musiał wychodzić z pustyni – powiedział książę. – Wystarczy pstryknąć tymi małymi nadajniczkami na naszych szyjach i ratunek jest w drodze. Wkrótce będą je nosili wszyscy nasi robotnicy. Organizujemy specjalną służbę ratowniczą.

– Wielce chwalebne – powiedział Kynes.

– Twój ton świadczy, że się z tym nie zgadzasz – stwierdził książę.

– Nie zgadzam? Oczywiście, że się zgadzam, ale niewielki będzie z tego pożytek. Elektryczność statyczna towarzysząca burzom piaskowym zagłusza wiele sygnałów. Nadajniki milkną po zwarciach. Już ich tu próbowano, nie wiecie? Arrakis jest okrutna dla sprzętu. A jeśli czerw na kogoś poluje, czasu jest niewiele. Często nie więcej niż piętnaście do dwudziestu minut.

– Co byś radził? – zapytał Leto.

– Pytasz mnie o radę?

– Jako planetologa, tak.

– Posłuchasz mojej rady?

– Jeśli będzie sensowna…

– Doskonale, mój panie. Nigdy nie podróżuj samotnie.

Książę odwrócił się od przyrządów.

– To wszystko?

– To wszystko. Nigdy nie podróżuj samotnie.

– A jeżeli człowiek zgubi się w burzy i będzie zmuszony lądować? – zapytał Halleck. – Czy może coś zrobić?

– „Coś” to bardzo ogólne sformułowanie.

– Co ty byś zrobił? – zapytał Paul.

Kynes spojrzał na niego zimnym wzrokiem i zwrócił się do księcia.

– Pamiętałbym o ochronie filtraka przed uszkodzeniem. Poza strefą czerwia lub na skałach zostałbym przy ornitopterze. Gdybym wylądował na otwartych piaskach, uciekałbym od statku co sił w nogach. Wystarczy około tysiąca metrów. Potem ukryłbym się pod płaszczem. Czerw dopadłby statku, a mnie może by przegapił.

– Co potem? – zapytał Halleck.

Planetolog wzruszył ramionami.

– Czekałbym, aż czerw odejdzie.

– To wszystko? – rzucił Paul.

– Jak czerwia już nie ma, można spróbować wyjść – odparł Kynes. – Trzeba iść ostrożnie, omijając grające piaski i baseny pyłopływów, w stronę najbliższej strefy skał. Takich stref jest wiele. Jest szansa powodzenia.

– Grające piaski? – zapytał Gurney.

– Piasek w stanie zagęszczenia – wyjaśnił Kynes. – Najlżejsze stąpnięcie powoduje, że dudni. To zawsze ściąga czerwie.

– A baseny pyłopływów? – chciał wiedzieć książę.

– Różne zapadliska przez stulecia wypełniły się pyłem. Niektóre są tak rozległe, że mają prądy i pływy. Wszystkie pochłoną tego, kto nieopatrznie tam wejdzie.

Halleck oparł się wygodnie, wziął akord na balisecie. Po chwili zaśpiewał:

Tam gonią dzikie bestie pustyni,
Dybią na niewiniątek szeregi,
Oooch, nie kuś bogów pustyni,
Bo znajdziesz się w elegii.
Pułapki tej…

Urwał, pochylając się do przodu.

– Kurzawa przed nami, wasza wysokość.

– Widzę, Gurneyu.

– Tego właśnie szukamy – rzekł Kynes.

Paul wyciągnął szyję, by zerknąć w przód, i dojrzał kłębiącą się żółtą chmurę nisko nad pustynią, jakieś trzydzieści kilometrów przed ornitopterem.

– To jeden z waszych kombajnów gąsienikowych – powiedział planetolog. – Jest na powierzchni, co znaczy, że trafił na przyprawę. Chmura to piasek wydmuchiwany po odwirowaniu przyprawy. Nie ma drugiej takiej chmury na świecie.

– Statek nad nią – stwierdził książę.

– Widzę dwa… trzy… cztery szperacze – rzekł Kynes. – Wypatrują znaku czerwia.

– Znaku czerwia? – zapytał Leto.

– Fali piasku sunącej na gąsienik. Będą też mieli sondy sejsmiczne na ziemi. Czasami czerwie wędrują zbyt głęboko, by fala się pokazała. – Omiótł spojrzeniem niebo. – W pobliżu powinna być zgarniarka, ale jej nie widzę.

– Czerw przychodzi zawsze, co? – zapytał Halleck.

– Zawsze.

Paul wychylił się przed siebie i dotknął ramienia Kynesa.

– Jak duże jest terytorium czerwia?

Planetolog zmarszczył brwi. Ten dzieciak nie przestawał zadawać dorosłych pytań.

– To zależy od rozmiarów czerwia.

– Jaki jest rząd wielkości? – zapytał książę.

– Duże mogą zajmować trzysta, czterysta kilometrów kwadratowych. Małe… – Przerwał, gdyż Leto nadepnął hamulce strumieniowe. Maszyną szarpnęło, silniki w ogonie zaszeptały i ucichły. Szczątkowe skrzydła wydłużyły się, zagarnęły powietrze. Statek zmienił się w pełny ornitopter, gdy książę wchodził w zakręt, utrzymując skrzydła w łagodnym łopocie i wskazując lewą ręką na wschód, poza kombajn gąsienikowy.

– Czy to znak czerwia?

Kynes przechylił się przez księcia, by spojrzeć.

Paul i Halleck stłoczyli się, patrząc w tym samym kierunku, a chłopak zauważył, jak ich eskorta, zaskoczona nagłym manewrem, pomknęła naprzód i teraz zawraca. Kombajn gąsienikowy znajdował się przed nimi, w odległości około trzech kilometrów.

Tam, gdzie wskazał książę, dukty sierpowatych wydm ścieliły się cieniowanymi zmarszczkami po horyzont, a przecinając je prostą, nadbiegającą z oddali linią, sunął podłużny, ruchomy pagórek – fala piasku. Paulowi przypominało to lustro wody, które marszczy płynąca tuż pod powierzchnią wielka ryba.

– Czerw – powiedział Kynes. – I to duży.

Cofnął się, chwycił mikrofon z tablicy rozdzielczej i przerzucił selektor na inną częstotliwość. Wpatrując się w siatkę współrzędnych na wałkach pod sufitem kabiny, powiedział do mikrofonu:

– Wzywam gąsienik dziewiątkę Delta Ajax. Ostrzegawczy znak czerwia. Gąsienik dziewiątka Delta Ajax. Ostrzegawczy znak czerwia. Proszę potwierdzić.

Czekał. Z głośnika dobiegały trzaski, po czym padła odpowiedź:

– Kto wzywa dziewiątkę Delta Ajax? Odbiór.

– Nie wygląda na to, żeby się specjalnie przejęli – zauważył Halleck.

Kynes odezwał się do mikrofonu:

– Nierejestrowany lot około trzech kilometrów na północny wschód od was. Znak czerwia na kursie przechwytującym, namiar na waszą pozycję, przypuszczalny kontakt za dwadzieścia pięć minut.

– Tu dozorowiec szperaczy – zaburczał w głośniku inny głos. – Potwierdzam namiar. Zostańcie na nasłuchu do zliczenia kontaktu.

Zapadła cisza.

– Kontakt za dwadzieścia sześć minut zero zero – usłyszeli. – Kto jest w tym nierejestrowanym locie? Odbiór.

Zerwawszy z siebie pasy, Halleck rzucił się między Kynesa a księcia.

– Czy to normalna częstotliwość robocza, Kynesie?

– Tak, a bo co?

– Kto jest na nasłuchu?

– Tylko załogi pracujące w tym rejonie. To zmniejsza interferencję.

Głośnik zatrzeszczał i ponownie usłyszeli:

– Tu dziewiątka Delta Ajax. Kto bierze premię za ten znak? Odbiór.

Gurney zerknął na księcia.

– Premię zależną od urobku przyprawy przyznaje się temu, kto pierwszy ostrzeże przed czerwiem – wyjaśnił Kynes. – Oni chcą wiedzieć…

– Powiedz im, kto pierwszy dostrzegł tego czerwia – rzekł Halleck.

Leto kiwnął głową.

Kynes chwilę bił się z myślami, po czym podniósł mikrofon.

– Premia szperacza dla księcia Leto Atrydy. Książę Leto Atryda. Odbiór.

– Zrozumieliśmy i dziękujemy. – Głos był bezbarwny i częściowo zniekształcony przez zakłócenia.

– A teraz powiedz im, by podzielili premię między siebie – rozkazał trubadur. – Powiedz im, że takie jest życzenie księcia.

Planetolog wziął głęboki wdech.

– Książę życzy sobie, żeby premię rozdzielić wśród załogi. Słyszycie mnie? Odbiór.

– Słyszymy i dziękujemy – dobiegło z głośnika.

– Zapomniałem nadmienić – wtrącił Leto – że Gurney zdradza również wielki talent w dbaniu o wizerunek księcia.

Kynes popatrzył zaintrygowany na Hallecka.

– W ten sposób ludzie zobaczą, że książę troszczy się o ich bezpieczeństwo – rzekł Halleck. – Wieść się rozniesie. To było na roboczej częstotliwości obszaru. Niepodobna, by odbierali ją agenci Harkonnenów. –

Zerknął przez okno na powietrzną osłonę. – I jesteśmy w niemałej sile. Warto było zaryzykować.

Książę wykonał zwrot, kierując statek na tuman piasku buchający z gąsienikowego kombajnu.

– Co teraz będzie?

– Gdzieś w pobliżu znajduje się zgarniarka – powiedział Kynes. – Nadleci i zabierze gąsienik.

– A jeśli zgarniarka się rozbije? – spytał Halleck.

– Będzie o kilka maszyn mniej – odparł planetolog. – Zejdź nisko nad gąsienik, mój panie, to cię zainteresuje.

Książę popatrzył spode łba i zajął się sterami, ponieważ wpadli w turbulencję nad gąsienikiem.

Paul spojrzał w dół i zobaczył rzygające nadal piaskiem metalowo-plastikowe monstrum. Wyglądało jak ogromny brązowo-niebieski żuk z mnóstwem szerokich gąsienic na rozpostartych wokoło ramionach. Na przedzie dostrzegł odwrócony lejek gigantycznego ryja wsunięty w ciemny piasek.

– Bogate złoże przyprawy, sądząc po barwie – oświadczył Kynes. – Nie przerwą pracy aż do ostatniej chwili.

Książę dał więcej mocy na skrzydła i usztywnił je, by stromiej opadały podczas schodzenia w kołującym ślizgu nad gąsienik. Rzut oka w lewo i w prawo upewnił go, że osłona pozostała na tym samym pułapie i krąży nad jego głową.

Paul przypatrzył się dokładnie żółtemu obłokowi buchającemu z wylotów dmuchaw gąsienika i odszukał na pustyni nadciągający znak czerwia.

– Nie powinniśmy usłyszeć wezwania zgarniarki? – spytał Halleck.

– Zwykle mają skrzydło na innej częstotliwości – odparł Kynes.

– Czy na wszelki wypadek nie powinni mieć dwóch zgarniarek na każdy gąsienik? – nie wytrzymał książę. – Na tej maszynie w dole jest dwudziestu sześciu ludzi, nie mówiąc już o cenie urządzenia.

– Nie macie tyle dod… – zaczął planetolog, ale nie dokończył, gdyż głośnik wybuchnął rozeźlonym głosem:

– Nikt nie widzi skrzydła? Nie zgłasza się.

Głośnik wypełniły trzaski, które zagłuszył nagle sygnał przeciążenia. Potem zapadła cisza i w końcu rozległ się ten sam głos:

– Meldować numerami! Odbiór.

– Tu dozorowiec szperaczy. Ostatni raz widziałem skrzydło dość wysoko, krążyło, oddalając się na północny zachód. Nie widzę go. Odbiór.

– Szperacz pierwszy: wynik negatywny. Odbiór.

– Szperacz drugi: wynik negatywny. Odbiór.

– Szperacz trzeci: wynik negatywny. Odbiór.

Cisza.

Książę spojrzał w dół. Cień jego statku przesuwał się właśnie nad gąsienikiem.

– Tylko cztery szperacze, zgadza się?

– Zgadza – potwierdził Kynes.

– Pięć w naszej eskadrze – powiedział Leto. – Nasze statki są większe. Możemy upchać dodatkowo trójkę do każdego. Każdy z ich szperaczy powinien oderwać się od ziemi z dwójką.

Paul wykonał rachunek w pamięci i zauważył:

– Zostaje trzech.

– Dlaczego nie mają dwóch zgarniarek na każdy gąsienik? – warknął książę.

– Nie macie tyle dodatkowego sprzętu – powiedział Kynes.

– Tym bardziej powinniśmy chronić ten, który posiadamy!

– Gdzie mogła się zawieruszyć ta zgarniarka? – spytał Halleck.

– Mogła gdzieś przymusowo lądować poza zasięgiem wzroku – odparł planetolog.

Książę złapał mikrofon, lecz zawahał się z kciukiem nad przyciskiem.

– Jak oni mogli stracić z oczu zgarniarkę?

– Całą uwagę skupiają na ziemi, wypatrując znaku czerwia – rzekł Kynes.

Leto wgniótł kciukiem przycisk i powiedział do mikrofonu:

– Mówi wasz książę. Schodzimy do lądowania, by zabrać załogę dziewiątki Delta Ajax. Rozkazuję to samo szperaczom. Szperacze siadają po wschodniej stronie. My zajmiemy zachodnią. Odbiór.

Sięgnął do tablicy rozdzielczej, ustawił własną częstotliwość dowodzenia i powtórzywszy rozkaz osłonie powietrznej, oddał mikrofon Kynesowi. Planetolog wrócił na częstotliwość roboczą i z głośnika bluznęło:

– …prawie pełną ładownię przyprawy! Mamy prawie pełną ładownię! Nie możemy tego zostawić jakiemuś cholernemu czerwiowi! Odbiór.

– Do cholery z przyprawą! – warknął książę. Chwycił mikrofon i powiedział: – Przyprawy nam nie zabraknie. Dla trzech spośród was nie wystarczy miejsc w naszych statkach. Ciągnijcie losy albo inaczej ustalcie, kto ma lecieć, ale lecicie. To rozkaz!

Ponownie wbił Kynesowi mikrofon w dłonie i wymamrotał „Przepraszam”, gdy planetolog zamachał stłuczonym palcem.

– Ile zostało czasu? – spytał Paul.

– Dziewięć minut – powiedział Kynes.

– Ten statek ma większą moc niż reszta – rzekł książę. – Jeśli wystartujemy na silniku przy trzech czwartych skrzydeł, możemy wcisnąć dodatkowego człowieka.

– Piasek jest tu grząski – ostrzegł planetolog.

– Z czterema dodatkowymi ludźmi na pokładzie moglibyśmy przy starcie silnikiem połamać skrzydła, wasza wysokość – rzekł Halleck.

– Nie w tym statku – rzucił książę.

Pociągnął stery do siebie, siadając lotem ślizgowym obok gąsienika. Skrzydła przechyliły się i wyhamowały ornitopter, który zarył się płozami nie dalej niż dwadzieścia metrów od kombajnu.

Gąsienik był teraz cichy, przestał rzygać piaskiem z odpowietrzników. Dobiegał od niego jedynie słaby, mechaniczny pomruk, który stał się nieco wyraźniejszy, kiedy książę otworzył drzwi po swojej stronie.

Natychmiast uderzył ich w nozdrza zapach cynamonu – ciężki, gryzący. Z głośnym łopotem szperacz osiadł ślizgiem z drugiej strony gąsienika. Eskorta pikowała, by wylądować w jednej linii z księciem.

Spoglądając na kombajn, Paul ujrzał, jak zmalały przy nim wszystkie ornitoptery – komary przy drapieżnym żuku.

– Gurneyu, wyrzućcie z Paulem to tylne siedzenie – polecił książę. Własnoręcznie skręcił korbą skrzydła do trzech czwartych, ustawił ich kąt i sprawdził stery silników gondoli. – Dlaczego, u diabła, nie wyłażą z tej maszyny?

– Liczą, że pokaże się zgarniarka – powiedział Kynes. – Mają jeszcze parę minut. – Uciekł wzrokiem na wschód.

Wszyscy spojrzeli w tym samym kierunku, ale nie wypatrzyli żadnego znaku czerwia. Tylko w powietrzu czuło się ciężar pełnego napięcia niepokoju.

Książę wziął mikrofon, włączył częstotliwość dowodzenia i rozkazał:

– Dwóch z was wyrzuci generatory tarcz. Po kolei. W ten sposób zabierzecie jeszcze po jednym człowieku. Nie zostawimy nikogo temu potworowi. – Przełączył się z powrotem na częstotliwość roboczą i warknął: – No dobra, wy w dziewiątce Delta Ajax! Wyłazić! Już! To

rozkaz waszego księcia! W podskokach, bo wezmę rusznicę laserową i potnę ten gąsienik na kawałki!

Na przodzie kombajnu uniosła się pokrywa luku, z tyłu druga, kolejna na szczycie. Ludzie wysypali się, zjeżdżając i staczając na piasek. Ostatni wyłonił się wysoki mężczyzna w połatanym płaszczu roboczym. Zeskoczył na gąsienicę, a potem na ziemię.

Książę odwiesił mikrofon na tablicę i wychyliwszy się na płat skrzydła, zawołał:

– Po dwóch ludzi do każdego z waszych szperaczy!

Mężczyzna w połatanym płaszczu zaczął dzielić załogę na dwójki, a następnie popychać je w kierunku czekających po drugiej stronie maszyn.

– Czterech tutaj! – krzyknął Leto. – Czterech do statku za mną! – Wskazał palcem ornitopter eskorty zaraz za swoim. Gwardziści wyrywali właśnie z niego generator tarczy. – I czterech do tamtego statku dalej! – Pokazał drugi eskortowiec pozbawiony już generatora. – Po trzech do każdego z pozostałych. Biegiem, szczury piaskowe!

Wysoki mężczyzna, dokończywszy podziału załogi, brnął przez piasek, prowadząc trzech towarzyszy.

– Słyszę czerwia, ale go nie widzę – rzekł Kynes.

Nagle usłyszeli to wszyscy pozostali – ślizgowy chrzęst, daleki, lecz coraz głośniejszy.

– Partacka robota – mruknął książę.

Wokoło statki zaczęły się podrywać z piasku. Przypomniało to księciu obrazek z dżungli na rodzimej planecie – nagłe wyjście na porębę i ścierwniki zrywające się w niebo znad padliny bawołu.

Przyprawiarze dobrnęli do burty ornitoptera i zaczęli wchodzić do środka za plecami księcia. Halleck pomagał, wciągając ich do tyłu.

– Włazimy, chłopaki! – rzucił. – Raz-dwa!

Wciśnięty przez zapoconych mężczyzn w kąt, Paul wdychał lepką woń strachu. Zobaczył, że dwaj z nich mają marnie spasowane przy szyjach filtraki. Zatrzymał informację w pamięci, by zapobiec temu na przyszłość. Ojciec będzie musiał wprowadzić ostrzejsze rygory w związku z filtrakami. Ludzie stają się niedbali, jeśli się nie pilnuje takich spraw.

Ostatni mężczyzna wpadł na tył zdyszany, wołając:

– Czerw! Jest tuż-tuż! Odpalajcie!

Książę usadowił się w fotelu i powiedział nachmurzony:

– Mamy jeszcze prawie trzy minuty według pierwotnego zliczenia kontaktu. Zgadza się, Kynesie? – Zatrzasnął i sprawdził drzwi.

– Prawie co do joty, mój panie – odparł planetolog i pomyślał: „Opanowany typ ten książę".

– Tutaj wszystko w porządku, wasza wysokość – zameldował Halleck.

Leto kiwnął głową, prześledził start swego ostatniego eskortowca. Ustawił zapłon, raz jeszcze zerknął na skrzydła i przyrządy, wcisnął kolejność odpalania.

Start wgniótł księcia i Kynesa głęboko w fotele, sprasował ludzi w ogonie. Planetolog obserwował, jak Leto operuje sterami – delikatnie, pewnie. Ornitopter oderwał się już od ziemi. Książę przestudiował przyrządy, obejrzał się w jedną i drugą stronę na skrzydła.

– Jest bardzo ciężki, wasza wysokość – powiedział Halleck.

– W granicach tolerancji dla tej maszyny – odparł książę. – Chyba nie myślałeś, że naraziłbym na szwank jej ładunek, co, Gurneyu?

– Ani przez chwilę, wasza wysokość – rzekł Halleck z uśmiechem.

Leto przechylił statek w długim, łagodnym wirażu, wzbijając się nad gąsienikiem. Wgnieciony w kąt pod oknem Paul obserwował ucichłą maszynę na piasku. Znak czerwia urwał się jakieś czterysta metrów od gąsienika. Piasek wokół kombajnu zafalował.

– Czerw znajduje się teraz pod gąsienikiem – powiedział Kynes. – Za chwilę będziecie świadkami czegoś, co niewielu oglądało.

Drobiny pyłu zaćmiły piach przy gąsieniku. Wielka machina zaczęła się chylić na prawą stronę. Tam, po jej prawej, formował się gigantyczny lej wirującego piasku. Wirował coraz szybciej i szybciej. Piach i pył wypełniły powietrze w promieniu setek metrów.

I wtedy go zobaczyli!

Z piasku wynurzył się przepastny otwór. Światło słoneczne zamigotało na połyskliwych, białych ostrokołach w jego głębi. Paul ocenił, że średnica otworu przynajmniej dwukrotnie przekracza długość gąsienika. Patrzył, jak maszyna osuwa się weń w kipieli piasku i pyłu. Otwór się wycofał.

– Bogowie, co za potwór! – wyszeptał mężczyzna obok Paula.

– Zagarnął całą naszą cholerną przyprawę! – warknął inny.

– Ktoś za to zapłaci – powiedział książę. – Obiecuję wam.

Po determinacji w głosie ojca chłopak odgadł jego głęboki gniew. Odnalazł go też w sobie. To było karygodne niedbalstwo!

W ciszy, jaka zapadła, usłyszeli głos Kynesa:

– Niech będzie błogosławiony Stworzyciel i Jego woda – szeptał. – Błogosławione Jego przybycie i odejście. Niechaj Jego droga oczyści świat. Niech zachowa On świat dla Swych ludzi.

– Co tam mruczysz? – spytał Leto, ale Kynes zachował milczenie.

Paul popatrzył po stłoczonych wokół siebie ludziach. Spoglądali z lękiem na tył głowy planetologa. Jeden wyszeptał:

– Liet.

Kynes obejrzał się, rzucając groźne spojrzenia. Mężczyzna schował się, skonsternowany.

Któryś z uratowanych począł kasłać – sucho, rozdzierająco. Po chwili wykrztusił:

– Niech piekło pochłonie tę diabelną dziurę!

Wysoki diunida, który ostatni opuścił gąsienik, powiedział:

– Nie gadaj tyle, Coss. To źle robi na kaszel. – Poruszał się, aż wypatrzył między mężczyznami tył głowy księcia Leto. – Mniemam, żeś książę Leto. Tobie to składamy dzięki za życie. Byliśmy o krok od śmierci, zanim się zjawiłeś.

– Siedź cicho, człowieku, i daj księciu prowadzić statek – mruknął Halleck.

Paul zerknął na niego. Gurney również widział zmarszczki na szczęce jego ojca. Kiedy książę był wściekły, należało chodzić na palcach.

Leto zaczął wyprowadzać przechylony ornitopter z szerokiego wirażu, lecz wstrzymał się, widząc, że znowu coś się rusza na piasku. Czerw wycofał się w głębiny, a teraz w pobliżu miejsca, w którym stał gąsienik, widoczne były dwie sylwetki uchodzące od leja na północ. Wydawało się, że ślizgają się one po powierzchni, ledwie wzbijając pył za sobą.

– Co to za jedni tam, w dole? – warknął książę.

– Dwaj faceci, którzy zabrali się na przejażdżkę, seer – odparł diunida.

– Dlaczego nie wspomniano o nich ani słowem?

– Zrobili to na własne ryzyko, seer.

– Mój panie – powiedział Kynes – ci ludzie wiedzą, jak niewiele można zrobić dla ofiar pustyni w krainie czerwia.

– Wyślemy po nich statek z bazy – oznajmił książę.

– Jak sobie życzysz, mój panie – rzekł planetolog. – Ale kiedy tutaj dotrze, prawdopodobnie nie będzie kogo ratować.

– Wyślemy statek tak czy owak – odparł Leto.

– Byli prawie dokładnie tam, gdzie wyszedł czerw – powiedział Paul. – Jak uciekli?

– Ściany krateru osuwają się i stąd złudna ocena odległości – stwierdził Kynes.

– Marnujemy tu paliwo, wasza wysokość – ośmielił się zauważyć Halleck.

– Nie da się ukryć, Gurneyu.

Książę zawrócił w kierunku Muru Zaporowego. Jego eskorta przerwała krążenie pozycyjne i zajęła stanowiska nad nimi i na skrzydłach.

Paul rozmyślał nad tym, co powiedzieli diunida i Kynes. Wyczuwał półprawdy, zwyczajne kłamstwa. Tamci ludzie ślizgali się po piasku z taką pewnością, posuwali się w przemyślany sposób, aby uniknąć ponownego wywabienia czerwia.

„Fremeni! – pomyślał Paul. – Któż inny czułby się tak pewnie na piaskach? Kogóż innego można było spokojnie pozostawić samemu sobie, bo nic mu nie groziło? Oni potrafią tu żyć! Umieją przechytrzyć czerwia!”

– Co robili Fremeni na tym gąsieniku? – zapytał.

Kynes odwrócił się do tyłu.

Wysoki diunida wbił w Paula szeroko otwarte oczy – błękit wśród błękitu w błękicie.

– Co to za chłopak? – zapytał.

Halleck przesunął się, stając między nim a Paulem.

– Paul Atryda, książęcy dziedzic.

– Czemu plecie, że na naszej landarze byli Fremeni?

– Tak wyglądali – odparł Paul.

Kynes prychnął.

– Fremenów nie poznaje się po wyglądzie! – Zmierzył diunidę wzrokiem. – Ty, co to byli za ludzie?

– Kumple jednego z naszych – powiedział mężczyzna. – Po prostu kumple z wioski, którzy chcieli zobaczyć piaski przyprawowe.

Kynes odwrócił głowę.

– Fremeni! – rzekł. Ale wspomniał słowa wyroczni: „Lisan al-Gaib przejrzy wszelkie wybiegi”.

– Oni pewnikiem są już martwi, paniczu – powiedział diunida. – Nie powinniśmy się źle o nich wyrażać.

Jednak Paul słyszał fałsz w ich głosach, czuł groźbę, która sprawiła, że Halleck instynktownie przyjął obronną pozycję.

– Wybrali sobie straszliwe miejsce na śmierć – stwierdził oschle.

Nie odwracając się, Kynes rzekł:

– Kiedy Bóg wyznacza jakiejś istocie miejsce śmierci, sprawia On, by potrzeby ją w owo miejsce przywiodły.

Leto spojrzał twardo na planetologa, a Kynes, odwzajemniając to spojrzenie, poczuł się zakłopotany tym, czego tutaj był świadkiem.

„Tego księcia bardziej obchodzili ludzie niż przyprawa. Zaryzykował życie własne i syna dla ratowania ludzi. Machnął ręką na stratę gąsienika. Zagrożenie czyjegoś życia wprawiło go we wściekłość. Takiemu przywódcy jest się wiernym na śmierć. Trudno go pobić”.

Wbrew swej woli i wszystkim poprzednim sądom Kynes przyznał się przed sobą: „Podoba mi się ten książę”.

> Wielkość to chwilowe przeżycie. Nigdy nie jest racjonalna. Poniekąd zależy od mitotwórczej wyobraźni rodzaju ludzkiego. Człowiek przeżywający wielkość musi czuć mit, w którym istnieje. Musi odbijać to, co nań pada. I musi umieć śmiać się z siebie. Tylko tak wyzwoli się z wiary we własne aspiracje. Śmiech jest wszystkim, co pozwala mu się poruszać wewnątrz siebie. Bez śmiechu nawet chwilowa wielkość zniszczy człowieka.
>
> – z *Myśli zebranych Muad'Diba* w opracowaniu księżnej Irulany

W sali jadalnej wielkiej rezydencji w Arrakin zapalono lampy dryfowe na wypadek wczesnych ciemności. Rzucały żółte łuny ku górze, na czarny łeb byka i jego zakrwawione rogi oraz na połyskujący mrocznie portret olejny Starego Księcia.

Pod owymi talizmanami białe płótno jaśniało pośród refleksów wypolerowanych atrydzkich sreber rozstawionych w pedantycznym szyku na ogromnym stole – małe archipelagi nakryć czekających przy kryształowych szklanicach, wszystko rozmieszczone w kwadraty przed ciężkimi drewnianymi krzesłami. Klasyczny centralny kandelabr nie został zapalony, a jego splatające się w górze z cieniami łańcuchy skrywały mechanizm wykrywacza trucizny.

Zatrzymawszy się w drzwiach, by sprawdzić stan przygotowań, książę myślał o wykrywaczu trucizny i znaczeniu tego urządzenia w jego sferach. „Wszystko podciągnięte pod szablon. Można nas przykroić według języka: precyzyjnych i subtelnych określeń na perfidne sposoby zadawania śmierci. Czy dziś wieczorem ktoś spróbuje chaumurky: trucizny w napoju? A może raczej będzie to chaumas: trucizna w jedzeniu?”

Potrząsnął głową.

Przy każdym talerzu na długim stole znajdowała się karafka z wodą. Wody tej wystarczyłoby, jak oszacował książę, do utrzymania przy życiu biednej arrakijskiej rodziny przez ponad rok. Po obu stronach drzwi, w których się zatrzymał, stały szerokie misy z bogato zdobionej żółtej i zielonej glazury. Do każdej misy był osobny wieszak z ręcznikami. Jest tu taki zwyczaj, wyjaśniła ochmistrzyni, że wchodzący goście ceremonialnie zanurzają dłonie w misie, wychlapują parę filiżanek wody na podłogę, wycierają dłonie w ręcznik, a ręczniki rzucają w rosnącą pod drzwiami kałużę. Po przyjęciu u bramy zbierają się żebracy, którzy otrzymują wodę wyciśniętą z ręczników.

„Jakże to typowe dla lenna Harkonnenów – dumał książę. – Wszelkie przychodzące na myśl upodlenia ducha”. Odetchnął głęboko, czując, że zalewa go wściekłość.

– Od dzisiaj koniec z tym zwyczajem! – mruknął.

Po drugiej stronie dostrzegł kobietę ze służby – jedną z owych poleconych przez ochmistrzynię łykowatych bab – kręcącą się przy drzwiach od kuchni. Przywołał ją gestem. Spiesząc do niego wokół stołu, wysunęła się z cieni i zobaczył twarz jak skórzana podeszwa oraz błękitne w błękicie oczy.

– Mój pan sobie życzy? – Pochyliła głowę i spuściła wzrok.

Machnął ręką.

– Usunąć te misy i ręczniki.

– Ależ… szlachetnie urodzony… – Podniosła oczy, usta miała rozdziawione.

– Wiem o zwyczaju! – warknął. – Zabierz te misy do wejścia. Kiedy będziemy jedli i dopóki nie skończymy, każdy żebrak, który się zgłosi, ma dostać pełen kubek wody. Jasne?

Grymas jej wysuszonej twarzy zdradzał mieszaninę uczuć: konsternację, złość…

W przebłysku intuicji Leto zdał sobie sprawę, że musiała nosić się z zamiarem sprzedaży wody z podeptanych ręczników, wyciśnięcia paru groszy z przybyłych pod drzwi nędzarzy. Możliwe, że to również był zwyczaj.

Nachmurzył się i burknął:

– Stawiam gwardzistę, który przypilnuje, żeby moje rozkazy zostały wykonane co do joty.

Obrócił się na pięcie i sążnistymi krokami ruszył korytarzem do Wielkiej Sali. Wspomnienia nękały go jak mamrotanie bezzębnych staruch. Przypomniały mu się otwarte wody i fale – dni trawy miast piasku – oszołamiające wiosny, które przemknęły obok niego niczym niesione huraganem liście.

Wszystko przeminęło.

„Starzeję się – pomyślał. – Poczułem zimną dłoń swojej śmiertelności. I to w czym? W chciwości starej kobiety”.

W Wielkiej Sali lady Jessika stanowiła centrum mieszanego towarzystwa stojącego przy kominku. Żywe płomienie trzaskały, rzucając migotliwe pomarańczowe błyski na klejnoty, koronki i bogate tkaniny. W grupie rozpoznał producenta filtraków aż z Kartagin, importera sprzętu elektronicznego, dostawcę wody, który miał letnią rezydencję w pobliżu swej wytwórni na czapie polarnej, przedstawiciela Banku Gildii (szczupły typ trzymający się nieco na uboczu), hurtownika części zamiennych do urządzeń pozyskujących przyprawę, chudą i zimną kobietę, której usługi przewodniczki obcoświatowców służyły rzekomo za przykrywkę dla różnorodnej działalności przemytniczej, szpiegowskiej i szantażu.

Większość obecnych w sali kobiet sprawiała wrażenie odlanych według określonego modelu – strojne, w każdym calu szykowne, z dziwną domieszką nieuchwytnej zmysłowości.

„Nawet gdyby Jessika nie była gospodynią, przyćmiłaby to całe towarzystwo” – pomyślał. Nie założyła biżuterii i zdecydowała się na ciepłe kolory: długą suknię w odcieniu niemal ognia i ciemnobrązową wstążkę w miedzianych włosach.

Zrozumiał, że to delikatne wyzwanie, wyrzut z powodu jego oziębłego ostatnio zachowania. Wiedziała doskonale, że w tych kolorach podoba mu się najbardziej – że jawi mu się jako szelest ciepłych barw.

W pobliżu, raczej na obrzeżach grupy, stał Duncan Idaho w lśniącym paradnym mundurze, z nieodgadnioną twarzą i starannie zaczesanymi czarnymi lokami. Został odwołany od Fremenów i otrzymał od Hawata rozkaz: „Pod pretekstem ochrony lady Jessiki będziesz ją miał stale na oku”.

Książę rozejrzał się po sali.

W rogu Paula otaczał tłumek nadskakujących mu młodszych richeków z Arrakin i trzymający się nieco na uboczu trzej oficerowie gwardii pałacowej. Uwagę księcia przyciągnęły szczególnie młode panny. Jaką wspaniałą partię stanowiłby książęcy dziedzic! Jednak Paul traktował je wszystkie równo, z arystokratyczną rezerwą.

„Dobrze będzie nosił tytuł” – pomyślał Leto i uświadomił sobie z uczuciem nagłego chłodu, że to jego kolejna myśl o śmierci.

Paul zobaczył ojca w drzwiach i umknął przed jego spojrzeniem. Obejrzał zbitych w gromadki gości, upierścienione palce ściskające drinki i dyskretne próby miniaturowych, zdalnie sondujących wykrywaczy trucizny. Patrząc na twarze tych paplających ludzi, chłopak poczuł do nich

gwałtowną odrazę. Tanie maski nałożone na gnijące myśli – bełkot dla zagłuszenia ciszy krzyczącej w każdej z piersi.

„Jestem zgorzkniały” – pomyślał i zastanowił się, co by na to powiedział Gurney. Znał przyczyny swego nastroju. Nie chciał występować w obecnej roli, lecz ojciec był stanowczy.

– Masz pozycję, masz stanowisko. Dorosłeś już do tego. Jesteś prawie mężczyzną.

Paul zauważył, że ojciec opuszcza drzwi, rozgląda się po sali, a następnie podchodzi do towarzystwa otaczającego Jessikę.

Leto nadszedł, kiedy dostawca wody zapytał:

– Czy to prawda, że książę ma zamiar wprowadzić nadzór pogody?

– Nie wybiegaliśmy myślą aż tak daleko, sir – odezwał się Leto zza jego pleców.

Mężczyzna odwrócił się, odsłaniając dobroduszne, krągłe oblicze ciemne od opalenizny.

– Ach, książę – powiedział. – Brakowało nam was.

Atryda spojrzał na Jessikę.

– Musiałem załatwić pewną sprawę. – Zwracając się ponownie do dostawcy, wyjaśnił, co kazał zrobić z misami, i dodał: – Co do mnie, koniec ze starym zwyczajem.

– Czy to książęcy rozkaz, mój panie? – spytał mężczyzna.

– Pozostawiam to waszemu… hmm… sumieniu – odparł książę. Obejrzał się i zobaczył idącego w stronę towarzystwa Kynesa.

– Moim zdaniem to gest świadczący o hojności – powiedziała któraś z kobiet. – Rozdawanie wody tym…

Ktoś ją uciszył. Książę patrzył na Kynesa. Zauważył, że planetolog włożył staromodny ciemnobrązowy mundur z epoletami imperialnego

urzędnika państwowego i z drobną łezką ze złota na kołnierzu, dystynkcją szarży.

– Czy książę posuwa się do krytyki naszych zwyczajów? – zapytał rozeźlony dostawca wody.

– Ten zwyczaj został zmieniony – oświadczył Leto. Skinął głową Kynesowi i dostrzegł chmurę na czole Jessiki. „Nie pasuje do niej chmurna mina – pomyślał – ale podsyci plotki o nieporozumieniach między nami”.

– Za pozwoleniem księcia – rzekł dostawca wody – chciałbym zasięgnąć dodatkowych informacji o zwyczajach.

Leto usłyszał przymilny ton mężczyzny, zauważył wyczekującą ciszę w towarzystwie, głowy, które zaczęły się odwracać w ich stronę.

– Czy to już nie czas na obiad? – spytała Jessika.

– Nasz gość ma jakieś pytania – powiedział Leto.

Utkwił wzrok w dostawcy wody, przyglądając się okrągłemu obliczu mężczyzny, jego wielkim oczom i grubym wargom. Przypomniała mu się notatka Hawata: „…i człowiekiem, na którego trzeba uważać, jest ten dostawca wody – Lingar Bewt. Zapamiętaj to imię. Harkonnenowie wykorzystywali go, ale nigdy nie mieli nad nim całkowitej władzy”.

– Wodne zwyczaje są tak interesujące – powiedział Bewt i na jego ustach pojawił się uśmiech. – Mnie ciekawi, co zamierzacie zrobić z dobudowaną do tej rezydencji oranżerią. Czy nadal będziecie kłuć nią ludzi w oczy… mój panie?

Leto wstrzymywał gniew, wpatrując się w mężczyznę. Bił się z myślami. Rzucenie księciu rękawicy w jego siedzibie wymagało odwagi, szczególnie teraz, gdy mieli podpis Bewta na umowie wasalnej. Dowodziło również świadomości własnej siły. Woda była tu istotnie źródłem siły. Gdyby na przykład instalacje wodne zostały zaminowane, gotowe do wysadzenia na dany znak… Ten człowiek wydawał się zdolny do takiej rzeczy.

Zniszczenie instalacji wodnych zniszczyłoby również Arrakis. To mógł być ów miecz Damoklesa, który Bewt trzymał nad głowami Harkonnenów.

– Pan mój, książę, i ja mamy inne plany co do tej oranżerii – powiedziała Jessika. Uśmiechnęła się do Leto. – Zamierzamy ją zachować, oczywiście, ale wyłącznie dla ludności Arrakis. Marzy nam się, że nadejdzie dzień, kiedy uda się zmienić tutejszy klimat na tyle, by takie rośliny mogły rosnąć w dowolnym miejscu.

„Bądź błogosławiona – pomyślał Leto. – Ciekawe, jak to strawi nasz dostawca”.

– Twoje zainteresowanie wodą i nadzorem pogody jest zrozumiałe – rzekł – ale radziłbym ci zdywersyfikować posiadane akcje. Pewnego dnia woda przestanie być tak cennym towarem na Arrakis. – „Hawat musi zdwoić wysiłki, by przeniknąć do organizacji tego Bewta – pomyślał. – I natychmiast trzeba się zająć awaryjnymi urządzeniami wodnymi. Żaden miecz Damoklesa nie będzie wisiał nade mną”.

Bewt kiwnął głową z uśmiechem.

– Chwalebne marzenie, mój panie.

Odstąpił na krok.

Uwagę Leto przykuł wyraz twarzy Kynesa. Planetolog nie odrywał oczu od Jessiki. Wydawał się zauroczony – jak zakochany mężczyzna albo człowiek pogrążony w religijnym transie.

Rozum Kynesa ugiął się wreszcie pod słowami przepowiedni: „I będą dzielić z wami najgorętsze wasze marzenie”. Zwrócił się wprost do Jessiki:

– Czy przynosisz skrócenie drogi?

– Ach, doktor Kynes! – powiedział dostawca wody. – Przerwał pan włóczęgę ze swymi bandami Fremenów. Jakże łaskawie z pańskiej strony.

Planetolog obrzucił Bewta nieodgadnionym spojrzeniem i powiedział:

– Na pustyni mawiają, że posiadanie wielkiej ilości wody może porazić człowieka fatalną lekkomyślnością.

– Na pustyni mają wiele dziwacznych porzekadeł – stwierdził Bewt, ale jego głos zdradzał niepokój.

Jessika podeszła do Leto i wsunęła mu rękę pod ramię, by zyskać na czasie i ochłonąć. Kynes powiedział: „skrócenie drogi”. W dawnej mowie wyrażenie to tłumaczyło się na „Kwisatz Haderach”. Dziwne pytanie planetologa przeszło jakby niezauważone i teraz Kynes pochylał się ku jednej z dam do towarzystwa, słuchając kokieteryjnego szeptu.

„Kwisatz Haderach – pomyślała Jessika. – Czyżby nasza Missionaria Protectiva zaszczepiła tutaj i tę legendę?” Ta myśl podsyciła ukryte nadzieje, jakie wiązała z Paulem. „On może być Kwisatz Haderach. On może być”.

Przedstawiciel Banku Gildii wdał się w konwersację z dostawcą wody i głos Bewta wzniósł się ponad szmer podjętych na nowo rozmów.

– Wielu próbowało zmienić Arrakis.

Książę spostrzegł, że słowa te jakby przeszyły Kynesa. Wyprostował się gwałtownie i odstąpił od flirtującej z nim kobiety.

W niespodziewanej ciszy pałacowy gwardzista w liberii lokaja odchrząknął za plecami Leto i powiedział:

– Podano do stołu, mój panie.

Książę skierował pytające spojrzenie na Jessikę.

– Tutejszy zwyczaj nakazuje gospodarzowi i gospodyni podążać do stołu za gośćmi – powiedziała z uśmiechem. – Zmienimy również ten, mój panie?

– To wygląda na dostojny obyczaj. Zachowamy go na razie – rzekł chłodno. „Trzeba podtrzymywać złudzenie, że podejrzewam ją o zdradę” –

pomyślał. Zerknął na defilujących przed nim gości. „Ciekawe, który z was wierzy w to kłamstwo?”

Wyczuwając jego rezerwę, Jessika zastanowiła się nad nią jak już nieraz w minionym tygodniu. „Zachowuje się jak człowiek, który walczy ze sobą – myślała. – Czy to dlatego, że postąpiłam pochopnie, wydając przyjęcie? Ale przecież on wie, jak ważne jest, byśmy stworzyli wspólną płaszczyznę towarzyską dla naszych i miejscowych notabli. Jesteśmy dla nich wszystkich namiastką ojca i matki, a nic nie umacnia tej świadomości silniej niż taka więź towarzyska”.

Obserwując przechodzący szereg gości, Leto wspomniał, co Thufir Hawat powiedział na wieść o tej imprezie: „Wasza wysokość! Zabraniam!”.

Ponury uśmiech przemknął przez usta księcia. Cóż to była za scena. Kiedy Leto pozostał nieugięty w sprawie swojego udziału w obiedzie, Hawat potrząsnął głową.

– Mam co do tego złe przeczucia, mój panie – rzekł. – Na Arrakis sprawy toczą się zbyt szybko. To niepodobne do Harkonnenów. Zupełnie do nich niepodobne.

Paul minął ojca, prowadząc wyższą od siebie o pół głowy pannę. Rzucił mu kwaśne spojrzenie i przytaknął czemuś, co powiedziała dziewczyna.

– Jej ojciec produkuje filtraki – odezwała się Jessika. – Mówią, że tylko dureń wybrałby się w głąb pustyni, mając na sobie któryś z wyrobów tego człowieka.

– Kim jest ten mężczyzna z blizną na twarzy przed Paulem? – spytał książę. – Nie przypominam go sobie.

– Najświeższy dodatek do listy – wyszeptała. – Gurney to zorganizował. Przemytnik.

– Gurney to zorganizował?

– Na moje żądanie. Hawat zaś zatwierdził, chociaż wydaje mi się, że patrzył na to krzywym okiem. Przemytnik nazywa się Tuek, Esmar Tuek. To gruba ryba w tym fachu. Znają go tu wszyscy. Bywa na przyjęciach w wielu domach.

– Co on tu robi?

– Każdy z obecnych zada sobie to pytanie – powiedziała. – Tuek zasieje wątpliwości i podejrzenia samą swoją obecnością. Posłuży również za ostrzeżenie, że w walce z korupcją gotów jesteś się oprzeć nawet na przemytnikach. Ten argument trafił, zdaje się, do Hawata.

– Zdaje się, że nie trafia do mnie. – Skinął głową przechodzącej parze i zobaczył, że przed nimi zostało ledwie kilkoro gości. – Dlaczego nie zaprosiłaś jakichś Fremenów?

– Jest Kynes – odparła.

– Tak, jest Kynes. Przygotowałaś dla mnie jeszcze jakieś drobne niespodzianki? – Powiódł ją na koniec procesji gości.

– Cała reszta to już nic nadzwyczajnego – stwierdziła. „Mój drogi – myślała – czyż nie widzisz, że ten przemytnik ma pod sobą szybkie statki i że można go przekupić? Musimy mieć wyjście, drogę ucieczki z Arrakis, gdy wszystko inne nas tutaj zawiedzie”.

Kiedy zjawili się w sali jadalnej, uwolniła rękę i pozwoliła Leto zaprowadzić się na miejsce. Książę poszedł na swój koniec stołu. Lokaj podsunął mu krzesło. Wszyscy zasiedli wśród szelestu tkanin i szurania krzeseł, tylko książę pozostał na nogach. Dał znak ręką i pałacowi gwardziści w liberiach służby, cofnąwszy się, stanęli na baczność.

W sali zapadła niezręczna cisza.

Patrząc przez całą długość stołu, Jessika spostrzegła lekkie drżenie kącików ust Leto i ciemny rumieniec gniewu na jego policzkach. „Co go

tak rozzłościło? – zadała sobie pytanie. – Przecież chyba nie zaproszenie tego przemytnika”.

– Niektórzy kwestionują zmianę zwyczaju dotyczącego mis – powiedział Leto. – Chciałem w ten sposób pokazać, że zmieni się wiele rzeczy.

Przy stole zapadło kłopotliwe milczenie.

„Im się wydaje, że jest pijany” – przemknęło Jessice przez myśl.

Leto uniósł puchar wody i dźwignął go wysoko nad głowę, gdzie lampy dryfowe krzesały z niego refleksy światła.

– Jako Kawaler Imperium – powiedział – wznoszę toast na waszą cześć.

Wszyscy złapali swoje puchary, wszystkie oczy skupiły się na księciu. Wśród nagłego bezruchu zbłąkany powiew przywiał ze służbowego przejścia do kuchni lampę dryfową. Cienie zatańczyły na krogulczych rysach księcia.

– Jestem tu i tu zostanę! – rzucił Leto.

Puchary zastygły w pół drogi do ust, jako że książę nie opuścił ręki.

– Toast mój jest wyrazem jednej z owych jakże bliskich naszym sercom maksym: „Pieniądz dźwignią postępu! Fortuna wszędzie się toczy!”. – Umoczył usta w wodzie.

Reszta poszła w jego ślady. Wymieniano pytające spojrzenia.

– Gurneyu! – zawołał Leto.

Z niszy w końcu sali za księciem dobiegł głos Hallecka:

– Jestem, mój panie.

– Zagraj, Gurneyu!

Z niszy poszybowały ku sali minorowe dźwięki balisety. Na przyzwalające skinienie księcia służba zaczęła stawiać na stole półmiski z potrawami: pieczonym zającem pustynnym w sosie cepeda, *aplomage sirian*, czukką w polewie. Była też kawa z melanżem (intensywna,

cynamonowa woń przyprawy rozeszła się w powietrzu) i prawdziwe *pot-a-oie* do musującego wina z Kaladanu.

Leto w dalszym ciągu nie siadał. Kiedy goście czekali z uwagą podzieloną między potrawy a stojącego księcia, powiedział:

– W zamierzchłej przeszłości do obowiązków gospodarza należało zabawianie gości własnymi popisami. – Knykcie zbielały mu, tak zapamiętale ściskał puchar z wodą. – Ja nie umiem śpiewać, za to dedykuję wam słowa pieśni Gurneya. Potraktujcie to jako jeszcze jeden toast, toast za tych wszystkich, którzy swą śmiercią opłacili nasze przybycie na Arrakis.

Ze wszystkich stron rozległy się odgłosy nerwowych ruchów.

Jessika spuściła wzrok, zerkając na najbliższych sąsiadów. Przy niej siedział krągłolicy dostawca wody ze swoją kobietą, blady i surowy przedstawiciel Banku Gildii (wyglądał jak strach na wróble ze wzrokiem wbitym w Leto), Tuek o kanciastej, poznaczonej bliznami twarzy i spuszczonych błękitnych w błękicie oczach.

– „Stańmy, bracia, wśród poległej braci – zaintonował książę. – Jedno życie i śmierć jedną mamy. Duchy zawsze pójdą razem z nami. Stańmy, bracia, wśród poległej braci, czas obłudy odrzućmy za siebie. Ich nie straszą już pokusy losu. Stańmy, bracia, wśród poległej braci, a gdy czas nasz się w śmiechu pogrzebie, nie wystraszą nas pokusy losu”.

Głos księcia przebrzmiał z tą ostatnią linijką. Leto pociągnął głęboki łyk ze szklanicy i odstawił ją z trzaskiem na stół. Woda prysnęła przez krawędź na obrus. Inni wypili w krępującej ciszy. Książę ponownie wzniósł szklanicę, lecz tym razem opróżnił ją na podłogę, wiedząc, że pozostali muszą zrobić to samo.

Pierwsza poszła w jego ślady Jessika.

Na moment wszyscy skamienieli. Jessika zauważyła, że siedzący przy ojcu Paul obserwuje reakcje biesiadników. Ją również zafascynowało to, co

ujawniły – szczególnie w wypadku kobiet. Była to czysta woda pitna, żadne pomyje z namoczonego ręcznika. Niechęć, by ją tak po prostu wylać, przejawiała się w drżeniu rąk, grze na zwłokę, nerwowych chichotach… a także w gwałtownym spełnieniu powinności. Jakaś kobieta upuściła swój puchar i patrząc w drugą stronę, czekała, aż go podniesie jej partner.

Szczególnie uwagę Jessiki zwrócił jednak Kynes. Planetolog zawahał się, a następnie przelał wodę do pojemnika pod marynarką. Uśmiechnął się do Jessiki, spostrzegłszy, że go obserwuje, i wzniósł opróżniony puchar, przepijając do niej w niemym toaście. Wydawał się zupełnie nieskrępowany tym, co zrobił.

Muzyka Hallecka nadal szybowała przez salę, lecz zeszła z minorowej tonacji, rytmiczna teraz i żywa, jakby grający starał się poprawić nastrój.

– Rozpocznijmy bankiet – rzekł książę i osunął się na krzesło.

„Jest rozdrażniony i brak mu pewności – pomyślała Jessika. – Strata owego gąsienikowego kombajnu zraniła go dotkliwiej, niż powinna. W tym musi być coś więcej. Zachowuje się jak desperat”. Wzięła widelec, licząc, że tym ruchem ukryje własną gorycz. „Czemuż by nie? Jest zdesperowany”.

Na początku powoli, później z rosnącym ożywieniem, bankiet się rozkręcał. Producent filtraków pogratulował Jessice kuchmistrza i wina.

– Jedno i drugie przywieźliśmy z Kaladanu – powiedziała.

– Wyborne! – rzekł, kosztując czukki. – Po prostu wyborne. I zupełnie nie czuje się melanżu. Ta przyprawa we wszystkim staje już człowiekowi w gardle.

Przedstawiciel Banku Gildii spojrzał przez stół na Kynesa.

– Rozumiem, doktorze Kynesie, że kolejny kombajn gąsienikowy padł łupem czerwia.

– Wieści rozchodzą się szybko – stwierdził książę.

– A więc to prawda? – zapytał bankier, przenosząc spojrzenie na Leto.

– Oczywiście, że prawda! – warknął książę. – Ta przeklęta zgarniarka gdzieś się zapodziała. Nie rozumiem, jak to możliwe, żeby zginęło coś tak wielkiego!

– Kiedy nadciągnął czerw, nie było czym sprzątnąć gąsienika – powiedział planetolog.

– Nie rozumiem, jak to możliwe! – powtórzył książę.

– Nikt nie zauważył odlotu zgarniarki? – spytał bankier.

– Szperacze zwykle nie odrywają oczu od piasku – oznajmił Kynes. – Interesują ich przede wszystkim znaki czerwia. Załoga zgarniarki liczy z reguły czterech ludzi: dwóch pilotów i dwóch odkomenderowanych czeladników. Jeśli jeden, a może i dwóch członków tej załogi zostało opłaconych przez wrogów księcia…

– Aaach, rozumiem – rzekł bankier. – A wy, jako sędzia zmiany, wnosicie protest?

– Będę musiał starannie przemyśleć swoje stanowisko – odparł Kynes – ale na pewno nie będę omawiał tej sprawy przy stole. – I pomyślał: „A to blada glista ludzka! Wie, że zostałem poinstruowany, by ignorować tego rodzaju pogwałcenie prawa”.

Bankier uśmiechnął się i powrócił do jedzenia.

Jessika siedziała, rozpamiętując jeden z wykładów ze swoich szkolnych czasów w Bene Gesserit. Tematem były wywiad i kontrwywiad. Wykład prowadziła pulchna matka wielebna o figlarnej twarzy, a jej wesolutki głos dziwnie kontrastował z tematem.

„Jedno warto pamiętać o każdej szkole wywiadu czy też kontrwywiadu: że istnieje podobny wzorzec podstawowych zachowań u wszystkich jej absolwentów. Każda zamknięta dyscyplina wyciska swoje piętno, swój model na studentach. Ten model poddaje się analizie i prognozowaniu. Tak

więc schematy motywacyjne będą zbliżone u wszystkich agentów wywiadu. To znaczy, że będą występowały pewne typy motywacji, które są podobne mimo odmiennych szkół czy przeciwstawnych celów. Na wstępie zapoznacie się z metodą wyodrębniania tego elementu na potrzeby analizy, najpierw poprzez schematy indagacji, które zdradzają nastawienie pytającego, następnie poprzez dokładną obserwację jego nastawienia myślowo-językowego. Zobaczycie, jak proste okaże się określenie korzeni językowych badanych osobników, oczywiście na podstawie zarówno modulacji głosu, jak i sposobu wysławiania się”.

Siedząc teraz przy stole z synem, księciem i gośćmi i słuchając przedstawiciela Banku Gildii, Jessika poczuła dreszcz zrozumienia – ten człowiek był szpiegiem Harkonnenów. Wysławiał się w sposób typowy dla urodzonych na Giedi Prime – chytrze maskowany, ale dla jej wyćwiczonej świadomości przejrzysty, jakby sam się ujawnił.

„Czy to znaczy, że nawet Gildia jest przeciwna Atrydom?” – zastanawiała się. Ta myśl była szokująca, więc Jessika ukryła swoje uczucie, polecając podać następną potrawę. Cały czas nasłuchiwała, czy ten człowiek nie zdradzi się ze swoim celem. „Zmieni temat na coś pozornie niewinnego, ale o złowieszczych podtekstach – pomyślała. – To jego schemat działania”.

Bankier przełknął, pociągnął łyk wina i zaśmiał się z czegoś, co powiedziała kobieta po jego prawej stronie. Wydawało się, że przez moment słucha mężczyzny po drugiej stronie stołu, który wyjaśniał księciu, iż rodzime rośliny Arrakis nie mają kolców.

– Lubię oglądać ptaki nad Arrakis – powiedział bankier, kierując swoje słowa do Jessiki. – Wszystkie nasze ptaki są oczywiście padlinożerne, a wiele z nich, zostawszy krwiopijcami, egzystuje bez wody.

Córka producenta filtraków, siedząca pomiędzy Paulem a swoim ojcem na drugim końcu stołu, wykrzywiła ładniutką buzię w grymasie dezaprobaty.

– Och, Suu-suu, mówisz o takich okropnych rzeczach…

Bankier się uśmiechnął.

– Nazywają mnie Suu-suu, ponieważ jestem doradcą finansowym Związku Kramarzy Wodnych. – A kiedy Jessika dalej wpatrywała się w niego bez słowa komentarza, dodał: – Od zawołania sprzedawców wody: *Suu-suu-suuk!*

Naśladował okrzyk tak wiernie, że spowodował wybuchy wesołości w wielu miejscach przy stole. Jessika pochwyciła jego chełpliwy ton, lecz przede wszystkim odnotowała, iż towarzysząca mu młoda kobieta na dany sygnał wypowiedziała ustaloną kwestię, dając pretekst do wygłoszenia tego, co powiedział. Spojrzała na Lingara Bewta. Magnat wodny miał ponurą minę; skoncentrował się na jedzeniu. Jessika uświadomiła sobie, że bankier powiedział właśnie: „Ja również mam w garści owo kluczowe źródło potęgi na Arrakis: wodę”.

Paul zauważył fałsz w głosie swego sąsiada, spostrzegł, że matka śledzi rozmowę z napięciem Bene Gesserit. Pod wpływem impulsu zdecydował się dolać oliwy do ognia, ożywić wymianę zdań. Zwrócił się do bankiera.

– Chcecie powiedzieć, panie, że te ptaki są kanibalami?

– Dziwne pytanie, paniczu – odparł bankier. – Powiedziałem jedynie, że one piją krew. To nie musi być krew ich gatunku, nieprawdaż?

– Pytanie nie było dziwne – rzekł Paul i Jessika usłyszała wyraźną nutę zimnej riposty ze swoich nauk. – Większość wykształconych ludzi wie, że największe zagrożenie dla bytu każdego młodego organizmu stanowi jego własny gatunek. – Niespiesznie nadział na widelec kęs z talerza swego

rozmówcy i włożył do ust. – Jedzą z jednej miski. Mają te same podstawowe potrzeby.

Bankier zesztywniał i popatrzył spode łba na księcia.

– Nie daj się nabrać na dziecinny wygląd mojego syna – powiedział książę i się uśmiechnął.

Jessika popatrzyła po zebranych i stwierdziła, że Bewt się rozpromienił, a Kynes i przemytnik Tuek szczerzą zęby.

– To prawo ekologii – powiedział Kynes – które panicz, jak się wydaje, całkiem nieźle rozumie. Walka pomiędzy żywymi organizmami toczy się o wolną energię systemu. Krew jest wydajnym źródłem energii.

Bankier odłożył widelec i rzekł wyraźnie zły:

– Podobno fremeńska hołota pije krew swoich umrzyków.

Kynes pokręcił głową, odpowiadając tonem wykładowcy:

– Nie krew, sir, ale cała woda w człowieku należy ostatecznie do jego ludzi, do jego plemienia. To konieczne, kiedy się żyje na pograniczu Wielkiej Równiny. Wszelka woda jest tam drogocenna, ciało ludzkie zaś składa się z niej w mniej więcej siedemdziesięciu procentach. Zmarły z całą pewnością już jej nie potrzebuje.

Bankier położył ręce obok talerza i Jessika odniosła wrażenie, że odepchnie się zaraz i podniesie z wściekłością.

Kynes spojrzał na Jessikę.

– Wybacz, moja pani, że roztrząsałem tak nieprzyjemny temat przy stole, ale powiedziano ci nieprawdę i wymagała ona sprostowania.

– Tak długo przestajesz z Fremenami, że zatraciłeś wszelki takt – warknął bankier.

Planetolog spokojnie przypatrywał się pobladłej twarzy.

– Wyzywasz mnie, sir?

Bankier skamieniał. Przełknął ślinę i z wysiłkiem powiedział:

– Skądże znowu. Nie dopuściłbym się takiej obrazy naszego gospodarza i gospodyni.

Jessika uchwyciła strach w głosie mężczyzny, dostrzegła go na jego twarzy, w przyspieszonym oddechu, w pulsowaniu żyły na czole. Ten człowiek panicznie bał się Kynesa!

– Nasi gospodarze sami są w stanie zdecydować, kiedy zostali obrażeni, a kiedy nie. To dzielni ludzie, którzy rozumieją, co znaczy bronić honoru. My wszyscy możemy zaświadczyć o ich odwadze, choćby na podstawie faktu, że są tutaj… teraz… na Arrakis.

Jessika widziała, że Leto bawi się doskonale, czego nie można było powiedzieć o większości biesiadników. Ludzie siedzieli, gotowi zerwać się w każdej chwili, z rękami pod obrusem. Dwa rzucające się w oczy wyjątki stanowili Bewt, który otwarcie cieszył się zmieszaniem bankiera, oraz przemytnik Tuek, który jak gdyby oczekiwał od Kynesa znaku. Jessika zobaczyła, że Paul spogląda z podziwem na planetologa.

– No więc? – spytał Kynes.

– Nie chciałem nikogo obrazić – wymamrotał bankier. – Jeśli obraziłem, proszę przyjąć moje przeprosiny.

– Z ochotą złożone z ochotą przyjmuję – rzekł Kynes. Uśmiechnął się do Jessiki i zabrał do jedzenia, jakby nic nie zaszło.

Jessika zauważyła, że i przemytnik się odprężył. Odnotowała w pamięci, iż człowiek ten robił wrażenie gotowego pójść w sukurs planetologowi. Istnieje jakieś porozumienie między Kynesem a Tuekiem.

Leto, bawiąc się widelcem, patrzył z namysłem na Kynesa. Zachowanie planetologa dowodziło zmiany jego stosunku do rodu Atrydów. W trakcie ich wycieczki przez pustynię wydawał się bardziej oziębły.

Jessika zarządziła gestem podanie następnych dań i napojów. Pokazali się lokaje z *langues de lapins de garenne* z czerwonym winem i sosem

grzybowo-drożdżowym.

Rozmowy ożywały z wolna, lecz Jessika słyszała w nich niepokój i chłód. Zobaczyła, że bankier je w posępnym milczeniu. „Kynes zabiłby go bez mrugnięcia okiem” – pomyślała. I zdała sobie sprawę, że postawa planetologa wyrażała jego bezceremonialne podejście do zabijania. Był urodzonym zabójcą, ona zaś odgadywała, że to fremeńska cecha.

Zwróciła się do producenta filtraków po swej lewej ręce.

– Nie mogę się nadziwić znaczeniu wody na Arrakis.

– Jest bardzo ważna – zgodził się. – Co to za potrawa? Wyśmienita.

– Języki dzikich królików w specjalnym sosie – powiedziała. – Bardzo stary przepis.

– Muszę go mieć – rzekł mężczyzna.

Skinęła głową.

– Dopilnuję, żebyście go dostali.

Kynes popatrzył na Jessikę.

– Przybywający na Arrakis często nie doceniają znaczenia, jakie ma tutaj woda – powiedział. – Tu stykamy się z zasadą minimum.

Pochwyciwszy badawczą nutę w jego głosie, Jessika odparła:

– Wąskim gardłem wzrostu jest ten artykuł pierwszej potrzeby, który występuje w najmniejszej ilości. I, naturalnie, ów najmniej korzystny czynnik dyktuje tempo wzrostu.

– Nieczęsto widuje się członków wysokiego rodu świadomych zagadnień planetologicznych – stwierdził Kynes. – Czynnikiem najmniej sprzyjającym życiu na Arrakis jest woda. I proszę pamiętać, że sam „wzrost” jako taki może stanowić niesprzyjającą okoliczność, jeśli nie jest traktowany z największą ostrożnością.

Jessika czuła, że słowa Kynesa mają ukryte znaczenie, ale wiedziała, że wymyka jej się ono.

– Wzrost – powtórzyła. – Chce pan powiedzieć, że w korzystniejszych warunkach Arrakis mogłaby mieć normalny obieg wody niezbędny ludziom do życia?

– Niemożliwe! – rzucił magnat wodny.

Jessika zwróciła się do Bewta.

– Niemożliwe?

– Na Arrakis niemożliwe – powtórzył. – Nie słuchajcie tego marzyciela. Wszystkie wyniki doświadczeń laboratoryjnych przemawiają przeciwko niemu.

Kynes zmierzył Bewta wzrokiem. Jessika zauważyła, że rozmowy wokół nich się urwały, ludzie zaś skupili uwagę na tej nowej wymianie zdań.

– Wyniki doświadczeń laboratoryjnych przysłaniają nam bardzo prosty fakt – powiedział Kynes – a mianowicie, że mamy tutaj do czynienia ze zjawiskami zrodzonymi i istniejącymi pod gołym niebem, gdzie rośliny i zwierzęta wiodą normalną egzystencję.

– Normalną! – parsknął Bewt. – Na Arrakis nic nie jest normalne!

– Wręcz przeciwnie – stwierdził planetolog. – Można by tu ożywić określone współzależności, a reszta to już proces automatyczny. Trzeba jedynie rozumieć ograniczenia planety i działające na nią siły.

– To się nigdy nie uda – rzekł Bewt.

Książę w nagłym olśnieniu ustalił moment, kiedy zmieniło się nastawienie Kynesa. Było to wtedy, gdy Jessika powiedziała o zachowaniu w depozycie dla Arrakis roślin z oranżerii.

– Czego potrzeba, aby uruchomić ten automatyczny proces, doktorze Kynesie? – zapytał.

– Jeśli doprowadzimy do tego, że trzy procent powierzchni Arrakis zajmie żywioł roślin zielonych, wytwarzających związki węgla jako składniki pokarmowe, uruchomimy system obiegu – odparł planetolog.

– Woda to jedyny problem? – zapytał książę.

Wyczuwał podniecenie Kynesa i sam był podekscytowany.

– Woda przytłacza inne problemy – oświadczył naukowiec. – Ta planeta ma dużo tlenu bez elementów towarzyszących mu w naturze: rozległych połaci szaty roślinnej i obfitych źródeł niezwiązanego dwutlenku węgla, czyli takich na przykład zjawisk jak wulkany. Tutaj nad rozległymi połaciami pustyni zachodzą nienaturalne reakcje chemiczne.

– Macie wstępny projekt?

– Mieliśmy dużo czasu na odtworzenie zjawiska Tansleya: doświadczenia w małych zespołach na amatorską skalę, z których moja nauka może teraz czerpać robocze dane – wyjaśnił Kynes.

– Tu nie ma tyle wody – oświadczył Bewt. – Tu po prostu nie ma tyle wody.

– Mistrz Bewt jest ekspertem od wody – rzekł Kynes. Uśmiechnął się i wrócił do przerwanego obiadu.

Książę grzmotnął prawą ręką w stół.

– Nie! Żądam odpowiedzi! Czy jest dosyć wody, doktorze Kynesie?

Planetolog wbił oczy w talerz. Jessika śledziła grę emocji na jego twarzy. „Doskonale się maskuje” – pomyślała, ale mając go już zarejestrowanego, widziała, że żałuje swoich słów.

– Czy jest dosyć wody? – powtórzył książę.

– Może… jest – odparł Kynes.

„Udaje niepewność!” – pomyślała Jessika.

Swym przenikliwym zmysłem prawdy Paul uchwycił zasadniczy motyw i ledwie się opanował, wezwawszy na pomoc całe swoje wyszkolenie. „Wody jest dosyć! Tylko Kynes nie chce, by się o tym dowiedziano”.

– Nasz planetolog ma wiele interesujących snów – powiedział Bewt. – Śni wraz z Fremenami o przepowiedniach i mesjaszach.

W paru miejscach za stołem rozległy się chichoty. Jessika zliczyła je: przemytnik, córka producenta filtraków, Duncan Idaho, tajemnicza dama do towarzystwa i mętnych interesów. „Osobliwie rozkłada się tu napięcie dziś wieczorem – pomyślała. – Za dużo dzieje się rzeczy, o których nie mam pojęcia. Będę musiała znaleźć sobie nowe źródła informacji”.

Książę przesunął spojrzenie z Kynesa na Bewta, z niego zaś na Jessikę. Czuł się dziwnie zawiedziony, jakby ominęło go coś istotnego.

– Może jest – zamruczał.

Kynes powiedział szybko:

– Może powinniśmy omówić to kiedy indziej, mój panie. Jest tak wiele…

Umilkł, gdyż drzwiami służbowymi wpadł umundurowany żołnierz Atrydów i po przejściu straży pospieszył do księcia. Nachylił się, szepcząc mu coś do ucha.

Rozpoznawszy na czapce insygnia korpusu Hawata, Jessika skryła niepokój. Odwróciła się do towarzyszki producenta filtraków, drobnej, ciemnowłosej kobiety o lalkowatej buzi i z kurzymi łapkami w kącikach oczu.

– Prawie nie tknęłaś jedzenia, moja kochana – powiedziała. – Mogę coś dla ciebie zamówić?

Kobieta zerknęła na producenta filtraków, nim odpowiedziała:

– Nie bardzo chce mi się jeść.

Książę podniósł się gwałtownie i stając obok swego żołnierza, przemówił ostrym tonem:

– Zostańcie na miejscach, wszyscy. Musicie mi wybaczyć, ale pewna sprawa wymaga mojej obecności. – Odstąpił na bok. – Paulu, bądź łaskaw i przejmij obowiązki gospodarza.

Paul wstał. Pragnął zapytać ojca, dlaczego odchodzi, ale wiedział, że musi okazać wielkopańskie maniery. Obszedł stół aż do krzesła księcia

i usiadł.

Leto odwrócił się do niszy, w której przebywał Halleck.

– Gurneyu, zajmij, proszę, miejsce Paula przy stole. Nie może być nieparzystej liczby gości. Po bankiecie może będę chciał, byś odprowadził Paula do stanowiska dowodzenia na lądowisku. Czekaj na moje wezwanie.

Halleck wychylił się z alkowy odziany w galowy mundur. Ze swą niedźwiedziowatą brzydotą wydawał się nie na miejscu wśród błyszczących kobiecych strojów. Odstawił balisetę pod ścianę, powędrował do krzesła zajmowanego dotąd przez chłopaka i usiadł.

– Nie ma powodu do niepokoju – powiedział książę – ale zmuszony jestem prosić, aby nikt nie wychodził, dopóki nasza straż nie uzna tego za bezpieczne. Włos nie spadnie wam z głowy, póki tu jesteście, my zaś bardzo szybko wyjaśnimy tę drobnostkę.

Paul wyłowił w wypowiedzi ojca słowa kodu: „niepokój – straż – bezpieczne – szybko”. Problem dotyczył bezpieczeństwa, nie walki zbrojnej. Zauważył, że matka odebrała tę samą informację. Oboje odetchnęli.

Książę skinął nieznacznie głową, zrobił w tył zwrot i wymaszerował przez służbowe drzwi z depczącym mu po piętach żołnierzem.

Paul zabrał głos:

– Proszę nie przerywać sobie obiadu. Wydaje mi się, że doktor Kynes mówił coś o wodzie.

– Możemy pomówić o tym innym razem? – spytał planetolog.

– Ależ proszę bardzo – powiedział chłopak.

Jessika z dumą zauważyła dostojeństwo swego syna, dojrzałe poczucie pewności siebie.

Bankier wzniósł swój puchar wody i skinął nim w stronę Bewta.

– Nikt z nas, obecnych tutaj, nie dorówna mistrzowi Lingarowi Bewtowi w gładkich słowach. Ktoś mógłby uznać, że aspiruje on do wysokiego rodu. No, mistrzu Bewcie, wznieście toast. Pewnie macie w zanadrzu mnóstwo mądrości dla chłopca, którego należy traktować jak mężczyznę.

Jessika zwinęła pod stołem prawą dłoń w pięść. Dostrzegła sygnał migowy Hallecka do Idaho, zobaczyła, jak gwardziści zajmują najdogodniejsze dla ochrony pozycje.

Bewt utkwił w bankierze jadowite spojrzenie.

Paul zerknął na Hallecka, objął wzrokiem swoje straże w gotowości i zatrzymał oczy na bankierze, aż ten opuścił puchar.

– Kiedyś na Kaladanie – powiedział – widziałem zwłoki utopionego rybaka. Inte…

– Utopionego? – To był głos córki producenta filtraków.

Paul się zawahał.

– Tak. Zanurzonego w wodzie, aż umarł. Utopionego.

– Cóż za interesujący rodzaj śmierci – wyszeptała.

Uśmiech Paula zlodowaciał. Ponownie zwrócił się do bankiera.

– Interesujące były rany na ramionach tego człowieka, zadane kolcami butów innego rybaka. Topielec był jednym z wielu na łodzi, statku do podróżowania po wodzie, który zatonął… zniknął pod wodą. Jakiś rybak, który pomagał wyłowić ciało, powiedział, że wiele razy widywał ślady podobne do ran owego mężczyzny. Świadczyły one o tym, że jeden z tonących rybaków próbował stanąć na ramionach tego biedaka, by dosięgnąć powierzchni… Dosięgnąć powietrza.

– Dlaczego to jest interesujące? – zapytał bankier.

– Z powodu uwagi rzuconej wtedy przez mego ojca. Powiedział on, że można zrozumieć tonącego człowieka, który wdrapuje ci się na ramiona, by ratować własne życie… chyba że dzieje się to w salonie. – Zawiesił głos na

tyle, by bankier zrozumiał, co się święci. – I chyba że, powinienem dodać, dzieje się to przy biesiadnym stole.

Nagła cisza zmroziła salę.

„To było zbyt pochopne – pomyślała Jessika. – Ten bankier może mieć wystarczającą pozycję, by wyzwać mego syna na pojedynek". Spostrzegła, że Idaho jest gotów do natychmiastowego działania. Gwardia pałacowa czekała w pogotowiu. Gurney Halleck nie spuszczał z oka mężczyzn po przeciwnej stronie stołu.

– Ho-ho-ho-o-o-o!

To przemytnik Tuek, z odrzuconą do tyłu głową, zanosił się śmiechem. Na twarzach biesiadników pojawiły się ukradkowe uśmieszki. Bewt szczerzył zęby od ucha do ucha.

Bankier odepchnął się z krzesłem od stołu, wbijając w Paula wściekłe spojrzenie.

Kynes powiedział:

– Każdy kąsa Atrydę na własny rachunek.

– Czy obrażanie gości jest zwyczajem Atrydów? – zapytał bankier.

Nim Paul zdążył odpowiedzieć, Jessika wychyliła się do przodu.

– Sir! – „Musimy przejrzeć grę tej kreatury. Czy jest tutaj, by dopaść Paula? Czy ma wspólników?" – myślała. – Mój syn paraduje w pospolitej szacie, a wy utrzymujecie, jakoby została skrojona na waszą miarę? – spytała. – Cóż za fascynująca rewelacja.

Zsunęła dłoń po nodze, do krysnoża w przypiętej nad kostką pochwie. Bankier przeniósł na nią wściekłe spojrzenie. Oczy gości umknęły od Paula i Jessika zobaczyła, jak jej syn odsuwa się od stołu, by mieć swobodę ruchów. Skoncentrował się na słowie kluczu „szata": przygotuj się do walki.

Kynes spojrzał ciekawie na Jessikę, przesyłając Tuekowi dyskretny sygnał dłonią.

Przemytnik dźwignął się na nogi i wzniósł puchar.

– Ja wygłoszę toast – powiedział. – Za młodego Paula Atrydę, z pozoru jeszcze chłopca, ale mężczyznę z czynów.

„Po co się wtrącają?” – zastanawiała się Jessika.

Bankier wbił teraz wzrok w Kynesa i Jessika zobaczyła powracające na twarz agenta przerażenie.

Jak stół długi ludzie zaczynali odpowiadać na toast.

„Gdzie Kynes wskaże, tam ludzie idą – pomyślała. – Powiedział nam, że jest po stronie Paula. Skąd bierze się jego władza? Niemożliwe, że z tego, iż jest sędzią zmiany. To przejściowe. I na pewno nie z tego, że jest urzędnikiem państwowym”.

Zdjęła dłoń z rękojeści krysnoża i podniosła swoją szklanicę w kierunku Kynesa, a ten odpowiedział jej tym samym. Tylko Paul i bankier Gildii („Suu-suu! Cóż za idiotyczny przydomek!” – pomyślała) pozostawali z pustymi rękoma. Bankier nie odrywał oczu od planetologa.

Paul wpatrywał się we własny talerz. „Załatwiłem to, jak należało – myślał. – Dlaczego oni się mieszają?” Rzucił ukradkowe spojrzenie na głowy gości po drugiej stronie stołu.

– W naszych sferach ludzie nie powinni się tak łatwo obrażać. Często jest to równoznaczne z samobójstwem. – Spojrzał na swą sąsiadkę, córkę producenta filtraków. – Nie sądzi pani?

– Och, tak. Tak. Oczywiście. Za dużo jest gwałtu. Niedobrze mi się od tego robi. I wiele razy nikt nikogo nie zamierza obrazić, a ludzie mimo wszystko umierają. To nie ma sensu.

– Rzeczywiście, nie ma – powiedział Halleck.

Ujrzawszy bliską perfekcji grę dziewczyny, Jessika uświadomiła sobie: „Ta mała kobietka z kurzym móżdżkiem wcale nie jest małą kobietką z kurzym móżdżkiem”. Dostrzegła linię ataku i zrozumiała, że Halleck również ją wykrył. Zamierzali złapać Paula na seks. Jessika się odprężyła. Prawdopodobnie jej syn pierwszy to zauważył – jego szkolenie nie pominęło tak oczywistego gambitu.

Kynes zwrócił się do bankiera:

– Czy nie kolej teraz na następne przeprosiny?

Mężczyzna przesłał Jessice mdły uśmiech.

– Moja pani, obawiam się, że nadużyłem waszych win. Serwujecie mocne trunki, do czego nie jestem przyzwyczajony.

Jessika wyczuła jad w jego tonie i odpowiedziała słodko:

– Spotkania obcych wymagają wielkiej tolerancji dla odmiennych obyczajów i wychowania.

– Dziękuję, moja pani.

Ciemnowłosa towarzyszka producenta filtraków nachyliła się ku Jessice.

– Książę mówił, że tutaj nic nam nie grozi. Spodziewam się, że nie wróży to dalszych walk.

„Polecono jej skierować rozmowę na te tory” – przemknęło przez myśl Jessice.

– Pewnie okaże się, że to nic ważnego – odparła – ale tyle jest obecnie drobiazgów wymagających obecności księcia. Dopóki Atrydzi i Harkonnenowie pozostają na stopie wojennej, ostrożności nigdy za wiele. Książę poprzysiągł kanly. Nie pozostawi oczywiście przy życiu żadnego agenta Harkonnenów na Arrakis. – Spojrzała na przedstawiciela Banku Gildii. – Naturalnie ma za sobą Konwencję. – Przeniosła wzrok na Kynesa. – Czyż tak nie jest, doktorze Kynesie?

– Naturalnie – powiedział planetolog.

Producent filtraków odciągnął delikatnie swą partnerkę. Obejrzała się na niego.

– Chyba teraz coś zjem – powiedziała. – Mam ochotę na odrobinę tej potrawy z ptaka, którą podano poprzednio.

Jessika skinęła służącemu i zwróciła się do bankiera:

– A pan, sir, mówił poprzednio o ptakach i ich zwyczajach. Odkrywam tyle interesujących rzeczy związanych z Arrakis. Powiedzcie mi, gdzie się znajduje przyprawę. Czy poszukiwacze chodzą w głąb pustyni?

– Och, nie, moja pani. Niewiele wiemy o głębokiej pustyni. A prawie nic o regionach południowych.

– Mówi się, że w południowych regionach jest ogromna żyła macierzysta przyprawy – rzekł Kynes – ale podejrzewam w tym wytwór fantazji istniejący wyłącznie w pieśni. Niektórzy śmiali poszukiwacze przyprawy rzeczywiście zapuszczają się od czasu do czasu na obrzeża pasa centralnego, ale to wyjątkowo niebezpieczne: niepewna nawigacja, częste samumy, straty w ludziach rosną zastraszająco, im dalej od baz Muru Zaporowego prowadzi się operacje. Ustalono, że zapędzanie się zbyt daleko na południe nie jest opłacalne. Może gdybyśmy mieli satelitę meteorologicznego…

Bewt podniósł wzrok.

– Powiadają – odezwał się z pełnymi ustami – że zapuszczają się tam Fremeni, że oni wędrują, gdzie chcą, i że odkryli wysięki i haust-studnie nawet na południowych szerokościach.

– Wysięki i haust-studnie? – zapytała Jessika.

– Wyssane z palca plotki, moja pani – rzekł szybko Kynes. – Takie rzeczy spotyka się na innych planetach, nie na Arrakis. Wysięk to miejsce, w którym woda przesącza się na powierzchnię albo wystarczająco blisko powierzchni, by można było do niej dotrzeć, kopiąc według pewnych

znaków. Haust-studnia jest formą wysięku, z którego ciągnie się wodę przez słomkę… Tak powiadają.

„Jest jakieś oszustwo w jego słowach” – pomyślała Jessika.

„Dlaczego kłamie?” – zastanawiał się Paul.

– Jakież to interesujące – stwierdziła Jessika i pomyślała: „Powiadają… Co za dziwna maniera językowa. Gdyby tylko wiedzieli, jak ona zdradza ich zależność od przesądów”.

– Słyszałem o waszym powiedzeniu – zabrał głos Paul – że blichtr płynie z miast, a mądrość z pustyni.

– Arrakis zna wiele powiedzeń – odparł Kynes.

Zanim Jessika zdążyła postawić nowe pytanie, nachylił się nad nią służący z listem. Otworzyła go, zobaczyła charakter pisma i znaki szyfru księcia. Przebiegła po nich wzrokiem.

– Wszystkich was ucieszy zapewne wiadomość, że nasz książę śle słowa otuchy – rzekła. – Sprawa, która go wezwała, jest załatwiona. Znaleziono zaginioną zgarniarkę. Wśród załogi był agent Harkonnenów, który sterroryzował pozostałych i odleciał maszyną do bazy przemytników w nadziei, że tam ją sprzeda. Zarówno ten człowiek, jak i zgarniarka zostały przekazane naszym siłom.

Skłoniła głowę przed Tuekiem. Przemytnik się odkłonił. Jessika złożyła pismo i wsunęła je do rękawa.

– Cieszę się, że nie doszło do otwartej bitwy – oświadczył bankier. – Ludzie mają tak wielką nadzieję, że Atrydzi przyniosą pokój i dobrobyt.

– Szczególnie to drugie – dorzucił Bewt.

– Czy zjemy już deser? – zapytała Jessika. – Poleciłam naszemu kuchmistrzowi przygotować kaladańską leguminę: ryż pongi w sosie dolsa.

– Brzmi wspaniale – rzekł producent filtraków. – Mógłbym dostać przepis?

– Jaki tylko pan zechce – odparła Jessika, rejestrując sobie tego człowieka w pamięci, by później wspomnieć o nim Hawatowi. Producenta filtraków, bojaźliwego, małego karierowicza, można było łatwo kupić.

Wokół Jessiki podjęto rozmowy.

– Jaki śliczny materiał…

– Zamówił oprawę odpowiednią do kamienia…

– Moglibyśmy się pokusić o wzrost produkcji w następnym kwartale…

Jessika utkwiła wzrok w talerzu, rozmyślając o zakodowanym fragmencie listu: „Harkonnenowie próbowali przemycić transport rusznic laserowych. Przechwyciliśmy je. Może to znaczyć, że powiodło im się z innymi transportami. Na pewno znaczy, że nie przywiązują większej wagi do tarcz. Podejmijcie odpowiednie środki ostrożności”.

Rusznice laserowe zaprzątnęły myśli Jessiki. Rozpalone do białości wiązki promieni niszczycielskiego światła mogły przeciąć każdą ze znanych substancji, pod warunkiem że nie osłaniała jej tarcza. Tym, że sprzężenie zwrotne z tarczą wysadziłoby i rusznicę, i tarczę, Harkonnenowie się nie przejmowali. Dlaczego? Eksplozja tarczy z rusznicą laserową była niebezpieczną zmienną; mogła być potężniejsza od jądrowej lub zabić wyłącznie strzelca i jego osłonięty cel.

Niewiadome przepełniły ją niepokojem.

Usłyszała Paula:

– Ani przez chwilę nie wątpiłem, że odnajdziemy zgarniarkę. Jak mój ojciec zabiera się już do czegoś, doprowadza rzecz do końca. Ta prawda zaczyna powoli docierać do Harkonnenów.

„Przechwala się – pomyślała Jessika – a nie powinien. Nie ma prawa do przechwałek nikt, kto będzie spać tej nocy głęboko pod ziemią z obawy przed rusznicami laserowymi”.

Nie ma ucieczki – płacimy za gwałty naszych przodków.

– z *Myśli zebranych Muad’Diba* w opracowaniu księżnej Irulany

Usłyszawszy krzyki w Wielkiej Sali, Jessika zapaliła nocną lampkę. Jej zegara nie przestawiono na czas miejscowy, więc musiała odjąć dwadzieścia jeden minut, by ustalić, że jest około drugiej w nocy.

Krzyki były głośne i chaotyczne.

„Czyżby atak Harkonnenów?” – zastanowiła się.

Wyśliznąwszy się z łóżka, sprawdziła na ekranach monitorów miejsca pobytu swej rodziny. Ekran ukazał pogrążonego we śnie Paula w głębokiej piwnicy, którą pospiesznie przerobiono dla niego na sypialnię. Do jego kwatery hałas z pewnością nie docierał. Sypialnia księcia była pusta, pościel nietknięta. Czyżby przebywał ciągle na stanowisku dowodzenia przy lądowisku?

Nie założono jeszcze monitorów na front budynku. Jessika znieruchomiała pośrodku sypialni, nasłuchując. Ktoś wydzierał się bez ładu i składu. Ktoś inny wołał doktora Yuego. Znalazła szlafrok, narzuciła go na ramiona, wsunęła stopy w pantofle, do łydki przypięła krysnóż.

Znowu ktoś wzywał Yuego.

Owiązała się paskiem i wyszła na korytarz. Nagle poraziła ją myśl: „A jeśli to Leto jest ranny…?”.

Korytarz zdawał się ciągnąć bez końca. Skręciwszy pod zamykającym go łukiem, przebiegła przez salę jadalną i kruchtę i wpadła do Wielkiej Sali. Była zalana światłem wszystkich lamp dryfowych, rozjarzonych do maksimum.

Na prawo, przy drzwiach frontowych, ujrzała dwóch ludzi ze straży pałacowej trzymających między sobą Duncana Idaho. Głowa opadła mu na pierś, raptownie zaległa cisza.

Jeden ze strażników powiedział z wyrzutem do Idaho:

– Widzisz, co narobiłeś? Obudziłeś lady Jessikę.

Za plecami mężczyzn falowały ogromne kotary, wskazując, że zostawili otwarte drzwi. Stojąca z boku Mapes mierzyła Idaho zimnym spojrzeniem. Miała na sobie długą brązową szatę z wijącym się ornamentem na skraju. Jej stopy tkwiły w niezasznurowanych butach pustynnych.

– No i obudziłem lady Jessikę – wymamrotał Idaho. Wzniósłszy oczy do sufitu, zaryczał: – Erfszy ras mój miesz sie skrwawił na Grummanie!

„Wielka Macierzy! On jest pijany!” – pomyślała Jessika.

Ponury grymas wykrzywiał smagłą, okrągłą twarz Idaho. Ziemia przylgnęła mu do kędzierzawych jak futro czarnego kozła włosów. Wydarta w bluzie dziura odsłaniała gors wieczorowej koszuli, którą miał na przyjęciu.

Jessika zbliżyła się do niego.

Gwardzista skłonił się, nie wypuszczając Idaho.

– Nie wiedzieliśmy, co z nim począć, moja pani. Awanturował się pod bramą i nie chciał wejść do środka. Baliśmy się, że mogą nadejść tutejsi i go zobaczyć. To byłoby niewskazane. Zepsułoby nam opinię.

– Gdzie on się podziewał? – spytała Jessika.

– Odprowadzał do domu jakąś panienkę z przyjęcia, moja pani. Z rozkazu Hawata.

– Którą panienkę?

– Którąś z dziewczynek do towarzystwa. Wiesz, o co chodzi, moja pani? – Zerknął na Mapes i ściszył głos. – Do szczególnej inwigilacji dam zawsze bierze się Idaho.

„Owszem, bierze się – pomyślała Jessika – ale dlaczego on jest pijany?” Ze zmarszczonymi brwiami zwróciła się do Fremenki:

– Mapes, przynieś coś na pobudzenie. Najlepiej kofeinę. Może zostało trochę kawy z przyprawą?

Szadout wzruszyła ramionami i podążyła do kuchni. Jej niezasznurowane buty pustynne człapały po kamiennej posadzce. Idaho odwrócił chwiejną głowę, by spojrzeć z ukosa na Jessikę.

– Zabiłem więsej nisz szysta luzi dla księsia – wybełkotał. – Ja chsę tylko wieźeś, dlaszego tu jesstem. Nie mogę tu żyś potziemio. Nie mogę tu żyś natziemio. So to za miejsse, ee?

Uwagę Jessiki zwrócił dźwięk dochodzący z bocznego korytarza. Odwróciwszy się, zobaczyła Yuego, który szedł ku nim, wymachując trzymaną w lewej ręce torbą lekarską. Był kompletnie ubrany, wydawał się bledszy i jakby przemęczony. Na jego czole ostro odcinał się romb tatuażu.

– Poszsiwy konował! – wrzasnął Idaho. – Chtoś ty, wale? Łubek i czopek? – Zwrócił się bełkotliwie do Jessiki: – Robie ssiebie, uh, cholerneho, uh, idiotę, co?

Jessika zmarszczyła brwi, zastanawiając się w milczeniu: „Dlaczego Idaho miałby się upić? Dosypano mu czegoś?”.

– Za dużo piwa przyprawowego – rzekł Idaho, usiłując stanąć prosto.

Mapes wróciła z parującą filiżanką w dłoniach i przystanęła niezdecydowana za Yuem. Popatrzyła na Jessikę, a ta pokręciła głową.

Yueh postawił torbę na podłodze, pochylił głowę przed Jessiką.

– Piwo przyprawowe, co? – powiedział.

– Nalepsze darańswo, jakie piłem w żyśu – stwierdził Idaho. Spróbował stanąć na baczność. – Erfszy ras mój miesz sie skrwawił na Grummanie! Zabiłem Harkon… Harkon… Zabiłem tla mego księsia.

Yueh spojrzał na filiżankę w dłoni Mapes.

– Co to jest?

– Kofeina – powiedziała Jessika.

Doktor wziął filiżankę i podsunął ją Idaho.

– Wypij to, chłopcze.

– Nie chse nis wiesej piś.

– Wypij, mówię!

Idaho wyciągnął głowę do Yuego i poleciał krok w przód, pociągając za sobą strażników.

– Mam po ziurki w nosie podlizywania się Imperium Fszechświata, doktorze. Jeden ras załatwimy rzesz po mojemu.

– Jak to wypijesz – rzekł Yueh. – To tylko kofeina.

– Rospieprzone jak wszysko tutaj! Cholerne słońse jessa jasne. Nis tu nie ma nolmarnego korolu. Nis tu nie gra albo…

– No cóż, mamy teraz noc – powiedział lekarz; próbował go namówić. – Wypij to jak grzeczny chłopak. Poczujesz się lepiej.

– Nie chse poszuś sie lepiej!

– Nie możemy namawiać go całą noc – odezwała się Jessika. „Tu trzeba kuracji wstrząsowej” – przyszło jej na myśl.

– Nie ma potrzeby, żebyś tu czekała, moja pani – powiedział Yueh. – Dam sobie z tym radę.

Jessika pokręciła głową. Postąpiła o krok i wymierzyła Idaho siarczysty policzek. Zatoczył się w tył razem ze strażnikami, przeszywając ją nienawistnym spojrzeniem.

– Kto się zachowuje w ten sposób w domu swego księcia? – rzuciła. Wyrwała Yuemu filiżankę z rąk, rozlewając część jej zawartości, i podetknęła ją Duncanowi. – Wypij natychmiast! To rozkaz!

Idaho wyprostował się raptownie, spojrzał na nią wilkiem, po czym powiedział wolno, ze staranną i wyraźną dykcją:

– Ja nie słucham rozkazów parszywego szpiega Harkonnenów.

Yueh odwrócił się do Jessiki jak uderzony.

Pobladła, ale kiwała ze zrozumieniem głową. Wszystko stało się jasne: oderwane strzępki znaczeń, które przez te parę minionych dni chwytała w słowach i zachowaniu otaczających ją ludzi, teraz dały się złożyć w całość. Poczuła, jak rośnie w niej gniew, tak ogromny, że chyba od niego pęknie. Sięgnęła do najgłębszych zasobów swojego wyszkolenia Bene Gesserit, by uspokoić puls i wyrównać oddech. Nawet wtedy wszędzie widziała strzelające płomienie. „Do inwigilacji dam zawsze bierze się Idaho!”

Przeszyła Yuego spojrzeniem. Doktor spuścił wzrok.

– Wiedziałeś? – spytała.

– Ja… Słyszałem pogłoski, moja pani, ale nie chciałem przysparzać ci zmartwień.

– Hawat! – warknęła. – Dawać mi w tej chwili Thufira Hawata!

– Ale, moja pani…

– Natychmiast! – „To musi być Hawat – myślała. – Takie podejrzenie nie mogło wyjść od nikogo innego, bo odrzucono by je w jednej chwili”.

Idaho potrząsnął głową i wymamrotał:

– Wszystko, cholera, wyszczekałem.

Jessika spuściła wzrok na filiżankę w swej dłoni i nagle chlusnęła jej zawartością Idaho w twarz.

– Zamknijcie go w jakimś pokoju gościnnym we wschodnim skrzydle – poleciła. – Niech to odeśpi.

Dwaj strażnicy wpatrywali się w nią nieszczęśliwymi oczami. Jeden z nich rzekł:

– Może lepiej zabierzmy go gdzie indziej, moja pani. Moglibyśmy…

– On musi być tutaj! – warknęła Jessika. – Musi tu pełnić służbę. – Głos jej wezbrał goryczą. – Jest taki dobry w pilnowaniu dam.

Strażnik przełknął ślinę.

– Wiecie, gdzie jest książę? – zapytała.

– Na stanowisku dowodzenia, moja pani.

– Z Hawatem?

– Hawat jest w mieście, moja pani.

– Sprowadźcie mi natychmiast Hawata – poleciła. – Będę czekała na niego w salonie.

– Ale, moja pani…

– Jeśli zajdzie potrzeba, wezwę księcia – oświadczyła. – Mam nadzieję, że to nie będzie konieczne. Nie chciałabym go tym niepokoić.

– Tak jest, moja pani.

Jessika wcisnęła pustą filiżankę w dłonie Mapes, natykając się na pytające spojrzenie błękitnych w błękicie oczu.

– Możesz wracać do łóżka, Mapes.

– Na pewno nie będę potrzebna?

Jessika uśmiechnęła się ponuro.

– Na pewno.

– Może by zaczekać z tym do jutra – odezwał się Yueh. – Dałbym ci środek nasenny i…

– Wracaj do siebie i daj mi to załatwić. – Poklepała go po ramieniu, by złagodzić ostrość tonu. – To jedyny sposób.

Odwróciła się raptownie i z uniesioną wysoko głową oddaliła dumnym krokiem w głąb rezydencji, do swoich pokojów. Zimne mury… korytarze… znajome drzwi… Otworzyła je szarpnięciem, wkroczyła do środka i zatrzasnęła za sobą. Przystanęła, wbijając spojrzenie w pustkę tarcz na

oknach swego salonu. „Hawat! – pomyślała. – Czyżby Harkonnenowie go kupili? Zobaczymy”.

Podeszła do głębokiego, staromodnego fotela obitego haftowaną skórą ze szlaga i przeciągnęła go na takie miejsce, by mieć drzwi na oku. Z nagłą siłą uświadomiła sobie obecność pochwy z krysnożem. Odpięła ją i z nogi przeniosła na przedramię. Sprawdziła, jak wysuwa się nóż. Raz jeszcze obrzuciła spojrzeniem pokój, na wszelki wypadek utrwalając wszystko dokładnie w pamięci: szezlong blisko kąta, pod ścianą zwykłe krzesła, dwa niskie stoliki, cytra na stojaku pod drzwiami do sypialni.

Lampy dryfowe płonęły bladoróżowym światłem. Przygasiła je, zasiadła w fotelu i pogładziła obicie, ciesząc się, że na taką okazję ma siedzisko o królewskiej dostojności.

„Niechaj teraz wchodzi – pomyślała. – Co będzie, to będzie”. I na sposób Bene Gesserit przygotowała się na oczekiwanie, mobilizując cierpliwość oraz oszczędzając siły.

Szybciej, niż się spodziewała, zabrzmiało pukanie do drzwi i na wezwanie z jej strony wkroczył Hawat.

Patrzyła na niego, nie wstając z fotela. Widziała kruchość otoczki narkotycznego ożywienia w jego ruchach, a pod nią zmęczenie. Starcze, załzawione oczy mentata połyskiwały. Jego skóra jak rzemień wydawała się lekko żółtawa w tym oświetleniu, a na rękawie władającej nożem ręki widniała pokaźnych rozmiarów świeża plama. Jessikę doleciał zapach krwi.

Wskazała dłonią jedno z krzeseł o prostych oparciach.

– Przynieś to krzesło i usiądź naprzeciw mnie.

Hawat ukłonił się i wykonał polecenie. „Co za pijany dureń z tego Idaho!” – pomyślał. Śledził bacznie twarz Jessiki, zastanawiając się, jak wybrnąć z tej sytuacji.

– Dawno już należało oczyścić między nami atmosferę – powiedziała Jessika.

– Co trapi moją panią? – Usiadł i położył dłonie na kolanach.

– Nie udawaj niewiniątka! – rzuciła zimno. – Jeśli Yueh nie powiedział ci, dlaczego cię wezwaliśmy, to zrobił to jeden z twoich szpiegów wśród mojej służby. Czy nie powinniśmy być szczerzy ze sobą przynajmniej na tyle?

– Jak sobie życzysz, moja pani.

– Najpierw odpowiedz mi na jedno pytanie. Jesteś agentem Harkonnenów?

Hawat uniósł się do połowy z krzesła, twarz mu pociemniała z wściekłości.

– Ośmielasz się aż tak mnie obrażać?

– Siadaj – powiedziała. – Tyś mnie tak obraził.

Mentat z wolna opadł na krzesło, a Jessika, czytając w jego twarzy tak dobrze jej znane oznaki, pozwoliła sobie na głębokie westchnienie. „To nie Hawat”.

– Teraz wiem, że pozostałeś wierny księciu – oświadczyła. – Jestem przeto gotowa wybaczyć ci twój afront wobec mnie.

– Czy coś tu jest do wybaczania?

Jessika zmarszczyła brwi. „Mam wyciągnąć swój atut? – zastanawiała się. – Mam mu powiedzieć o córce księcia, którą noszę w sobie od kilku tygodni? Nie… Sam Leto o tym nie wie. To by mu jedynie skomplikowało życie, odwróciło jego uwagę w chwili, kiedy musi się skoncentrować na naszym przetrwaniu. Jeszcze jest czas na wykorzystanie tego atutu”.

– Prawdomówczyni rozwiązałaby ten problem – rzekła – ale nie mamy prawdomówczyni z dyplomem Wysokiej Rady.

– No właśnie. Nie mamy prawdomówczyni.

– Czy jest wśród nas zdrajca? – zapytała. – Analizowałam naszych ludzi z wielką uwagą. Kto może być zdrajcą? Nie Gurney. Na pewno nie Duncan. Ich adiutanci nie zajmują odpowiednich pozycji, by brać ich pod uwagę. I nie ty, Thufirze. Nie może to być Paul. Ja wiem, że to nie ja. A zatem doktor Yueh? Mamy go wezwać i poddać próbie?

– Wiesz, że to czczy gest – rzekł Hawat. – On jest uwarunkowany przez Akademię. To z kolei ja wiem na pewno.

– Nie mówiąc o tym, że jego żoną była Bene Gesserit zamordowana przez Harkonnenów – powiedziała Jessika.

– Więc to tak z nią było…

– Nie słyszałeś nienawiści w jego głosie, gdy wspomina o Harkonnenach? – spytała Jessika.

– Wiesz, że nie mam ucha.

– Co ściągnęło na mnie to podłe podejrzenie?

– Stawiasz, pani, swego sługę w sytuacji bez wyjścia. Jestem lojalny przede wszystkim wobec księcia.

– Gotowa jestem wiele wybaczyć z powodu tej lojalności – rzekła.

– I znowu muszę zapytać: Czy jest coś do wybaczania?

– Pat? – zapytała.

Wzruszył ramionami.

– Pomówmy więc przez chwilę o czym innym – powiedziała. – Duncan Idaho, wspaniały wojownik, którego talenty z zakresu ochrony i inwigilacji są tak cenione. Dziś w nocy przeholował z czymś, co nazywają piwem przyprawowym. Dochodzą mnie wieści, że inni nasi ludzie również doprawiają się tą miksturą. Czy to prawda?

– Masz swoje raporty, moja pani.

– Ano mam. Nie uważasz tego picia za symptomatyczne, Thufirze?

– Moja pani mówi zagadkami.

– To wykorzystaj swoje zdolności mentackie – rzuciła sucho. – Co jest z Duncanem i resztą? Mogę ci powiedzieć w czterech słowach: oni nie mają domu.

Wycelował palec w podłogę.

– Arrakis, oto ich dom.

– Arrakis to niewiadoma! Ich domem był Kaladan, ale wyrwaliśmy ich z korzeniami. Oni nie mają domu. I boją się, że książę ich zawodzi.

Mentat zesztywniał.

– Takie słowa w ustach któregoś z moich ludzi stanowiłyby wystarczający powód do…

– Och, przestań, Thufirze. Czy to defetyzm albo zdrada ze strony lekarza, jeśli stawia właściwą diagnozę? Pragnę jedynie uporać się z chorobą.

– Mnie książę poruczył takie sprawy.

– Ale rozumiesz, że i ja z oczywistych powodów jestem zainteresowana postępami tej choroby – rzekła. – I chyba przyznasz, że mam pewne zdolności w tej materii. – „Czy będę zmuszona wstrząsnąć nim mocno? – zastanawiała się. – Potrzebny mu solidny wstrząs, coś, co go wyrwie z rutyny”.

– Różnie można sobie tłumaczyć powody twego zainteresowania. – Hawat wzruszył ramionami.

– Więc już mnie skazałeś?

– Skądże znowu, moja pani, ale w obecnej sytuacji nie mogę sobie pozwolić na żadne ryzyko.

– Wrogowie mego syna przeniknęli pod twoim nosem do samego domu – stwierdziła. – Kto wtedy ryzykował?

Krew napłynęła mu do twarzy.

– Złożyłem księciu rezygnację.

– A mnie ją złożyłeś… albo Paulowi?

Teraz był otwarcie rozgniewany, co zdradzały przyspieszony oddech, rozdęte nozdrza i nieustępliwe spojrzenie. Widziała pulsującą żyłę na jego skroni.

– Jestem człowiekiem księcia – wycedził.

– Nie ma zdrajcy – oświadczyła. – Grozi nam coś innego. Może ma to jakiś związek z rusznicami laserowymi. Może oni zaryzykują i parę rusznic z mechanizmami zegarowymi wymierzą z ukrycia w tarcze rezydencji. Może…

– A kto po odpaleniu stwierdziłby, czy to nie była eksplozja jądrowa? – zapytał. – Nie, moja pani, oni nie zaryzykują niczego aż tak nielegalnego. Promieniowanie zostaje. Trudno zatrzeć takie ślady. Nie. Oni nie naruszą podstawowych form. To musi być zdrajca.

– Jesteś człowiekiem księcia – powiedziała z szyderczym uśmiechem. – Chciałbyś go zniszczyć, próbując ocalić?

Hawat odetchnął głęboko i dopiero potem odparł:

– Jeśli jesteś niewinna, przyjmij moje najpokorniejsze przeprosiny.

– Spójrzmy teraz na ciebie, Thufirze – powiedziała. – Człowiek cieszy się życiem, kiedy ma swoje miejsce, kiedy wie, gdzie jest jego miejsce w porządku wszechrzeczy. Zniszczyć miejsce to zniszczyć człowieka. Spośród wszystkich tych, którzy kochają księcia, Thufirze, nam dwojgu najłatwiej jest zniszczyć sobie nawzajem to miejsce. Czyż nie mogłabym podejrzeń pod twoim adresem wyszeptać księciu w nocy do ucha? W chwili, gdy byłby najpodatniejszy na takie szepty, Thufirze? Czy muszę ci to jaśniej przedstawić?

– Grozisz mi?! – warknął.

– Skądże znowu. Ja po prostu zwracam ci uwagę, że ktoś atakuje porządek naszego życia. Sprytnie i diabolicznie. Proponuję odeprzeć ten

atak, wprowadzając do naszego życia taki ład, by tego rodzaju ciernie nie znalazły w nim najmniejszej szczeliny.

– Oskarżasz mnie o rzucanie bezpodstawnych podejrzeń?

– Bezpodstawnych, tak.

– I odpowiesz plotkami?

– To twoje życie składa się z plotek, nie moje, Thufirze.

– Więc podajesz w wątpliwość moje kwalifikacje?

Westchnęła.

– Thufirze, chcę, abyś przeanalizował swoje emocjonalne zaangażowanie w tę sprawę. Człowiek jest z natury zwierzęciem pozbawionym logiki. Twoja projekcja logiki na wszystkie sprawy jest nienaturalna, ale niestety nieodzowna z racji swej użyteczności. Jesteś ucieleśnieniem logiki: mentatem. Jednak twoje rozwiązania problemów to koncepcje w dosłownym sensie wyrzucane przez ciebie na zewnątrz, gdzie trzeba je gruntownie badać, roztrząsać i prześwietlać ze wszystkich stron.

– Chcesz mnie teraz uczyć mego fachu? – spytał, nawet nie starając się ukryć lekceważenia.

– Cokolwiek jest poza tobą, możesz to zobaczyć i zastosować do tego swoją logikę – stwierdziła – lecz taki już mamy charakter, że w obliczu problemów osobistych te najintymniejsze sprawy najtrudniej nam wydobyć na światło naszej logiki. Zaczynamy się plątać i winimy wszystko prócz rzeczywistego problemu, który tkwi gdzieś głęboko i nas gryzie.

– Usiłujesz z premedytacją podkopać we mnie wiarę w moje możliwości mentata – wychrypiał. – Gdybym się przekonał, że któryś z naszych ludzi próbuje w ten sposób sabotować jakąkolwiek broń z naszego arsenału, zdemaskowałbym go i zabił bez wahania.

– Najlepsi mentaci przejawiają zdrowy respekt dla współczynnika błędu w swych obliczeniach – odparła.

– Nigdy nie twierdziłem inaczej!

– Więc nie lekceważ symptomów, które oboje widzimy: pijaństwa wśród ludzi, kłótni, plotek i rozsiewania niesamowitych pogłosek o Arrakis, ignorowania najprostszych…

– Bezczynność, nic więcej! – rzekł Hawat. – Nie staraj się odwrócić mojej uwagi, próbując z prostej rzeczy robić tajemnicę.

Przyglądała mu się, myśląc o żołnierzach Leto w koszarach, o ludzkich niedolach ocierających się o siebie, tak że powstawało niemal wyczuwalne napięcie i zapach jak z przepalonej izolacji. „Upodabniają się do żołnierzy z przedgildyjskiej legendy – stwierdziła. – Są jak ludzie zagubionego łowcy gwiazd *Ampolirosa*, przykuci do swych dział, wiecznie w pościgu, wiecznie w pogotowiu i wiecznie nieprzygotowani”.

– Dlaczego nigdy nie wykorzystałeś w pełni moich umiejętności w swej służbie dla księcia? – zapytała. – Obawiasz się rywala?

Wbił w nią rozpalone starcze oczy.

– Wiem co nieco o szkoleniu, jakie przechodzicie wy… – Urwał nachmurzony.

– Śmiało, dokończ – powiedziała. – Czarownice Bene Gesserit.

– Wiem co nieco o prawdziwym szkoleniu, jakie przechodzicie – podjął. – Widzę, jak to wyłazi z Paula. Nie dam się nabrać na to, co wasze szkoły głoszą publicznie: że istniejecie tylko po to, aby służyć.

„Wstrząs musi być gwałtowny i on już prawie do tego dojrzał” – pomyślała.

– Słuchasz mnie uważnie w radzie – stwierdziła – a jednak rzadko liczysz się z moimi opiniami. Dlaczego?

– Nie ufam motywom Bene Gesserit. Możesz sobie myśleć, że potrafisz przejrzeć człowieka na wylot, możesz sobie myśleć, że potrafisz zmusić człowieka, by zrobił dokładnie to, czego ty…

– Jesteś nieszczęsnym głupcem, Thufirze! – wybuchnęła. – Prawda dalece przekracza wszelkie pogłoski o naszych szkołach, które dotarły do twych uszu. Jeśli zechcę zniszczyć księcia… ciebie lub jakąkolwiek osobę, nie powstrzymasz mnie. – „Dlaczego pozwalam, by duma dyktowała mi takie słowa? – pomyślała. – Nie tak mnie szkolono. Nie tak miałam nim wstrząsnąć”.

Hawat wsunął dłoń pod bluzę i dotknął miniaturowego miotacza zatrutych bolców. „Nie nosi tarczy – pomyślał. – Czy to brawura z jej strony? Mógłbym ją teraz zabić… ale, aaach, jakież konsekwencje, gdybym się mylił”.

Jessika spostrzegła ruch jego ręki w stronę kieszeni i powiedziała:

– Módlmy się, by nigdy nie było między nami gwałtu.

– Słuszna modlitwa – zgodził się.

– Tymczasem szerzy się wśród nas choroba – rzekła. – Muszę zapytać cię ponownie: Czy nie sensowniej jest posądzać Harkonnenów, że zasiali owo podejrzenie, by skłócić nas dwoje?

– Wygląda na to, że znów wróciliśmy do pata – odparł Hawat.

„Prawie do tego dojrzał” – pomyślała, westchnąwszy.

– Książę i ja jesteśmy namiastką ojca i matki dla naszych ludzi – powiedziała. – Taka pozycja…

– Nie poślubił cię – rzekł Hawat.

Zmusiła się do zachowania spokoju, przyznając w duchu: „Dobra riposta”.

– Ale nie poślubi żadnej innej – odparła. – Dopóty, dopóki ja żyję. I jesteśmy tą namiastką, jak powiedziałam. A kto stanowi najponętniejszy cel dla Harkonnenów, by zburzyć ów naturalny porządek naszego życia, by go zakłócić, zniszczyć nas i ogłupić?

Wyczuł, do czego zmierza, i ściągnął brwi w ponurym grymasie.

– Książę? – zapytała. – Atrakcyjny to cel, owszem, ale nikt, z wyjątkiem może Paula, nie jest lepiej strzeżony. Ja? Kuszę ich niewątpliwie, ale muszą wiedzieć, że Bene Gesserit są trudnymi celami. I że jest cel lepszy, ktoś, czyje obowiązki siłą rzeczy tworzą monstrualny martwy punkt. Ktoś, dla kogo podejrzliwość jest czymś równie naturalnym jak oddychanie. Ktoś, kto całe swoje życie opiera na insynuacji i tajemnicy. – Wyrzuciła ku niemu prawą dłoń. – Ty!

Hawat się poderwał.

– Nie odprawiłam cię, Thufirze! – wybuchnęła.

Stary mentat niemal zwalił się z powrotem na krzesło, tak raptownie mięśnie odmówiły mu posłuszeństwa.

Uśmiechnęła się smutno.

– Teraz wiesz co nieco o prawdziwym szkoleniu, jakie przechodzimy – powiedziała.

Hawat starał się przełknąć ślinę, ale zaschło mu w gardle. Jej rozkaz był królewski, nieodwołalny, a tonowi i modulacji głosu absolutnie nie sposób było się oprzeć. Usłuchał, zanim to sobie uświadomił. Nic nie mogło powstrzymać tej reakcji – ani logika, ani ogień gniewu… nic. To, co zrobiła, świadczyło o zmysłowej, intymnej znajomości osoby, do której skierowano rozkaz, o dominacji tak głębokiej, że jej istnienie wydawało mu się niemożliwe.

– Powiedziałam ci wcześniej, że powinniśmy się nawzajem zrozumieć – rzekła. – Miałam na myśli, że to ty powinieneś zrozumieć mnie. Ja ciebie już rozumiem. I oświadczam ci teraz, że tylko twoja lojalność wobec księcia zapewnia ci bezpieczeństwo z mojej strony.

Zwilżył językiem wargi, nie spuszczając z niej oczu.

– Gdybym chciała mieć marionetkę, książę by mnie poślubił – powiedziała. – Nawet mogłoby mu się wydawać, że zrobił to z własnej,

nieprzymuszonej woli.

Hawat spuścił głowę. Patrzył ku górze przez rzadkie rzęsy. Jedynie żelazna siła woli powstrzymywała go od wezwania straży. Żelazna siła woli… i podejrzenie, że ta kobieta może do tego nie dopuścić. Skóra mu cierpła, gdy wspominał, jak nim zawładnęła. W chwili jego wahania mogła dobyć broni i zabić go! „Czy każdy człowiek ma taki martwy punkt? – zastanawiał się. – Czy każdego z nas można zmusić do działania, zanim potrafi stawić opór?” Ta myśl przyprawiła go o zawrót głowy. „Kto powstrzymałby osobę obdarzoną taką siłą?”

– Mignęła ci pięść w rękawiczce Bene Gesserit – stwierdziła. – Niewielu z tych, którzy ją widzieli, żyje. A to, co zrobiłam, jest dla nas rzeczą dość trywialną. Nie znasz całego mojego arsenału. Zastanów się nad tym.

– Dlaczego więc nie zniszczysz wrogów księcia? – zapytał.

– Co miałabym według ciebie zniszczyć? Chciałbyś, żebym zrobiła z księcia kalekę, by wiecznie opierał się na mnie jak na kuli?

– Ale z taką władzą…

– Władza to obosieczny miecz, Thufirze – powiedziała. – Myślisz: Jakże jej łatwo posłużyć się człowiekiem do zadania ciosu w samo serce wroga. Tak, Thufirze, nawet w twoje serce. Cóż bym jednak osiągnęła? Gdyby Bene Gesserit tego nadużywały, czyż wszystkie nie byłyby podejrzane? Nie chcemy tego, Thufirze. Nie chcemy same się zgubić. – Pokiwała głową. – My naprawdę istniejemy tylko po to, aby służyć.

– Nie potrafię ci odpowiedzieć – rzekł. – Wiesz, że nie potrafię.

– Nie powiesz nikomu ani słowa o tym, co tu zaszło. Znam cię, Thufirze.

– Moja pani… – Stary mentat znowu próbował przełknąć ślinę. „Ma ogromne moce, zgoda, ale czy te moce nie zrobiłyby z niej jeszcze groźniejszego narzędzia Harkonnenów?” – myślał.

– Przyjaciele mogą zniszczyć księcia równie szybko jak jego wrogowie – powiedziała. – Ufam, że teraz dotrzesz do sedna tego podejrzenia i odrzucisz je.

– Jeśli okaże się bezpodstawne.

– Jeśli – zadrwiła.

– Jeśli – powtórzył.

– Jesteś uparty.

– Ostrożny – powiedział – i świadom współczynnika błędu.

– Więc zadam ci nową zagadkę. Co oznacza twoim zdaniem to, że stoisz przed drugim człowiekiem, związany i bezbronny, podczas gdy człowiek ten trzyma nóż na twoim gardle, a jednak wstrzymuje się on od zabicia ciebie, uwalnia cię z więzów i daje ci nóż, byś go użył według własnego uznania? – Podniosła się z fotela i odwróciła do niego plecami. – Możesz już odejść, Thufirze.

Stary mentat wstał, niepewnie przesuwając dłoń ku śmiercionośnej broni pod bluzą. Przypomniała mu się arena i ojciec księcia (który był odważny, cokolwiek by o nim powiedzieć) oraz pewna korrida, dawno temu: dzika czarna bestia z pochylonym łbem, nieruchoma i ogłupiała. Stary Książę odwrócił się plecami do rogów, z muletą elegancko przerzuconą przez ramię, a tymczasem z lóż sypały się owacje.

„Byk to ja, a ona jest matadorem” – pomyślał Hawat. Cofnął rękę i spojrzał na lśniącą od potu pustą dłoń. Wiedział już, że bez względu na ostateczną wymowę faktów nigdy nie zapomni tej chwili ani nie straci najwyższego podziwu dla lady Jessiki.

Obrócił się i bezszelestnie opuścił pokój.

Jessika spuściła wzrok z odbicia w oknie, odwróciła się i wpatrzyła w zamknięte drzwi.

– Teraz się zacznie – wyszeptała.

Czy walczysz z marami?
Czy wojujesz z cieniami?
Czy poruszasz się jak we śnie?
Czas dobiegł końca.
Życie ci skradli.
Wszystkoś zmarnotrawił.
Twój obłęd cię zabił.

– lament z pogrzebu Dżamisa na Równinie Żałobnej według *Pieśni Muad'Diba* zebranych przez księżną Irulanę

Leto przystanął w holu swej rezydencji, studiując bilecik w świetle osamotnionej lampy dryfowej. Do świtu brakowało jeszcze paru godzin, a zmęczenie dawało już o sobie znać. Fremeński goniec dostarczył wiadomość na odwach w chwili, gdy książę przybył ze stanowiska dowodzenia. Brzmiała ona: „Kolumna dymu dniem, słup ognia nocą". Podpisu nie było. „Co to znaczy?" – zastanawiał się.

Goniec zniknął, nie czekając na odpowiedź, nim zdołano go wypytać. Wsiąkł w noc niby czarny dym.

Leto wepchnął kartkę do kieszeni bluzy, zamierzając pokazać ją później Hawatowi. Odgarnął kosmyk włosów z czoła, z westchnieniem wciągnął powietrze. Pigułki energetyczne przestawały działać. Od przyjęcia minęły dwa długie dni, a jeszcze więcej od ostatniego snu.

Do wszystkich kłopotów wojskowych doszła ponadto niepokojąca sesja z Hawatem, jego sprawozdanie ze spotkania z Jessiką.

„Mam obudzić Jessikę? – bił się z myślami. – Nie ma sensu bawić się z nią dalej w ciuciubabkę. A może jednak? Niech diabli wezmą tego cholerę Duncana Idaho! – Pokręcił głową. – Nie, nie Duncana. Zrobiłem głupstwo,

nie zwierzając się od razu Jessice. Muszę to zrobić teraz, zanim stanie się coś gorszego”.

Decyzja poprawiła mu samopoczucie i z holu pospieszył przez Wielką Salę i korytarze do skrzydła mieszkalnego. Zatrzymał się na zakręcie, tam gdzie korytarz rozwidlał się ku pomieszczeniom służby. Gdzieś z korytarza służbowego doleciało osobliwe kwilenie.

Leto położył lewą dłoń na włączniku tarczy w pasie, wsunął handżar do prawej. Nóż przywrócił mu pewność siebie. Niesamowity dźwięk przeszywał dreszczem.

Klnąc niedostateczne oświetlenie, książę po cichu zagłębiał się w służbowy korytarz. Co jakieś osiem metrów wisiały w nim najmniejsze z dryfówek, do tego maksymalnie przygaszone. Ciemne kamienie murów pochłaniały światło.

Z mroku przed nim wyłonił się niewyraźny, rozmazany po podłodze kleks.

Leto przystanął, o mało nie włączając tarczy, powstrzymał się jednak, by nie krępować sobie ruchów i nie przytępiać słuchu… Ponadto przechwycenie transportu rusznic laserowych napełniło go wątpliwościami.

Bezgłośnie zbliżył się do szarego kleksa i zobaczył, że to ludzka postać, mężczyzna leżący twarzą do posadzki.

Leto odwrócił go stopą, trzymając nóż w pogotowiu, i nachylił się, by dojrzeć rysy w nikłym świetle. Był to przemytnik, Tuek, z wilgotną plamą na piersi. Z jego martwych źrenic wyzierała ciemna pustka. Leto dotknął plamy – była ciepła.

„Jak mógł tutaj zginąć ten człowiek? – zadawał sobie pytanie. – Kto go zabił?”

Kwilący dźwięk rozlegał się tu głośniej. Dochodził z przodu, z głębi odgałęzienia korytarza prowadzącego do siłowni, w której mieścił się

generator głównej tarczy rezydencji.

Z dłonią na włączniku w pasie i z wysuniętym handżarem książę wyminął ciało, zapuścił się w korytarz i wyjrzał zza rogu w stronę siłowni generatora tarczy.

Parę kroków od niego widniał na podłodze drugi kleks. Książę od razu się zorientował, że ma przed sobą źródło dźwięku. Kształt pełznął ku niemu z bolesnym mozołem, dysząc ciężko i coś mamrocząc.

Leto stłumił nagły skurcz strachu, przemknął do bocznego korytarza i kucnął przy czołgającej się postaci. Była to Mapes, fremeńska ochmistrzyni, z ubraniem w nieładzie i włosami rozsypanymi po twarzy. Zmatowiały blask ciemnej plamy rozszerzał się z pleców na bok. Książę dotknął jej ramienia i Mapes uniosła się na łokciach z odchyloną głową, przyglądając mu się ocienionymi czernią oczami bez wyrazu.

– To ty… – wydyszała. – Zabił… strażnika… posłano… wezwać… Tueka… uciekaj… moja pani… ty… ty… tutaj… nie…

Zwaliła się na podłogę, aż jej głowa zadudniła o kamienie.

Leto szukał palcami pulsu na skroni. Nie znalazł. Spojrzał na plamę – Mapes dźgnięto w plecy. Kto? Przeżywał gonitwę myśli. Czy chciała mu powiedzieć, że ktoś zabił strażnika? A Tuek… Czy Jessika posłała po Tueka? Po co?

Zaczął się podnosić. Ostrzegł go szósty zmysł. Sięgnął do włącznika tarczy – za późno. Paraliżujący wstrząs odrzucił mu rękę. Poczuł w niej ból i zobaczył sterczący z rękawa bolec: paraliż rozchodził się stamtąd w górę ramienia. Z bolesnym wysiłkiem uniósł głowę, spoglądając w głąb korytarza.

W otwartych drzwiach siłowni stał Yueh. Twarz świeciła mu żółtym blaskiem pojedynczej, jaśniejszej dryfówki nad drzwiami.

W pomieszczeniu za jego plecami było cicho – żadnego szmeru generatorów.

„Yueh! – pomyślał Leto. – To on dokonał sabotażu generatorów rezydencji! Jesteśmy bezbronni!”

Yueh począł się zbliżać do niego, wsuwając do kieszeni bolcówkę.

Stwierdziwszy, że może jeszcze mówić, Leto wydyszał:

– Yueh! Jakim cudem?

W tym momencie paraliż dosięgnął jego nóg i książę osunął się na podłogę, oparty plecami o kamienną ścianę.

Twarz Yuego była smutna, kiedy pochylał się i dotykał czoła Leto. Książę zorientował się, że odczuwa dotknięcie, ale jakże dalekie… przytępione.

– Narkotyk w bolcu działa selektywnie – powiedział Yueh. – Możesz mówić, jakkolwiek ci to odradzam.

Zajrzał w głąb korytarza i znowu pochylił się nad Leto. Wyciągnął bolec, po czym odrzucił go na bok. Brzęk bolca na kamieniach był nikły i odległy dla uszu księcia.

„To nie może być Yueh – pomyślał książę. – On jest uwarunkowany”.

– Jak? – szepnął.

– Przykro mi, mój drogi książę, ale w pewnych sytuacjach są nakazy silniejsze od tego. – Yueh dotknął wytatuowanego na czole rombu. – Mnie samego zadziwia to przełamanie mojej piroświadomości, lecz pragnę zabić człowieka. Tak, naprawdę tego pragnę. Nie cofnę się przed niczym, aby dopiąć swego. – Spojrzał z góry na księcia. – Och, nie ciebie, mój drogi książę. Barona Harkonnena. Pragnę zabić barona.

– Bar… ona Har…

– Cicho bądź, proszę, mój biedny książę. Nie mam wiele czasu. Ten kieł, który wstawiłem ci po upadku w Narcal… otóż ten kieł musimy wymienić.

Za chwilę uśpię cię i wymienię ten ząb. – Otworzył dłoń i wpatrzył się w coś leżącego na niej. – To idealny duplikat. Nader kunsztownie nadano jego rdzeniowi kształt nerwu. Ujdzie zwykłym wykrywaczom, a nawet powierzchownemu badaniu, lecz jeśli go mocno przygryźć, korona trzaśnie. Potem wystarczy silnie dmuchnąć i powietrze dookoła wypełni się trującym gazem, śmiertelnie trującym.

Spoglądając na Yuego, Leto widział szaleństwo w oczach mężczyzny, krople potu na jego czole i brodzie.

– I tak śmierć ci pisana, mój biedny książę – mówił Yueh. – Ale zanim umrzesz, zbliżysz się do barona. On będzie myślał, że jesteś oszołomiony narkotykami, i wykluczy ostatnią próbę ataku z twojej strony. Rzeczywiście, będziesz oszołomiony i związany, ale atak może przybierać przedziwne formy. A ty będziesz pamiętał o tym zębie. O zębie, książę Leto Atrydo. Będziesz pamiętał o zębie.

Stary doktor pochylał się coraz niżej i niżej, aż wreszcie jego twarz i obwisłe wąsy przesłoniły wąskie pole widzenia Leto.

– O zębie – mruknął Yueh.

– Dlaczego? – wyszeptał Leto.

Yueh opadł na kolano przy księciu.

– Dobiłem szejtańskiego targu z baronem. I muszę mieć pewność, że on dotrzymał swojej części umowy. Kiedy się z nim zobaczę, będę wiedział. Kiedy spojrzę na barona, będę wiedział. Ale ja nigdy nie stanę przed jego obliczem bez okupu. Ty jesteś tym okupem, mój biedny książę. I będę wiedział, kiedy go zobaczę. Moja biedna Wanna nauczyła mnie wielu rzeczy, w tym dostrzegania nagiej prawdy w chwilach wielkiego napięcia. Nie umiem tego robić za każdym razem, lecz gdy zobaczę barona, będę wiedział.

Leto starał się spojrzeć w dół, na ząb na dłoni Yuego. Miał wrażenie, że to koszmar senny – to nie mogła być jawa.

Purpurowe wargi lekarza wykrzywiły się ku górze.

– Nie znajdę się dostatecznie blisko barona, inaczej sam bym to zrobił. O, nie. Zatrzymają mnie w bezpiecznej odległości. Ale ty… Ach, otóż to! Ty, moja cudowna broń! Będzie chciał mieć cię blisko, zatriumfować nad tobą, popysznić się nieco.

Leto czuł się niemal zahipnotyzowany widokiem mięśnia z lewej strony szczęki Yuego. Mięsień skręcał się przy każdym słowie mężczyzny.

Yueh pochylił się niżej.

– A ty, mój poczciwy książę, mój drogocenny książę, musisz pamiętać o tym zębie. – Pokazał go, trzymając między kciukiem a palcem wskazującym. – On jest wszystkim, co ci pozostało.

Usta Leto poruszyły się bezgłośnie, a potem znowu spróbowały:

– Odmawiam.

– Aaach, nie! Nie możesz odmówić! Ponieważ w zamian za tę drobną przysługę ja zrobię coś dla ciebie. Ocalę twojego syna i twoją kobietę. Nikt inny tego nie dokona. Można ich wysłać w takie miejsce, gdzie żaden Harkonnen ich nie dosięgnie.

– Jak… ich… ocalić? – wyszemrał Leto.

– Sprawić, by wydawało się, że nie żyją, ukryć ich wśród ludzi, którzy dobywają noża na dźwięk słowa „Harkonnen”, którzy nienawidzą Harkonnenów tak bardzo, że spalą krzesło, na którym siedział Harkonnen, i zasolą ziemię, po której przeszedł Harkonnen. – Dotknął szczęki Leto. – Czujesz tam cokolwiek?

Leto stwierdził, że nie może odpowiedzieć. Odczuł dalekie szarpnięcie i zobaczył dłoń Yuego unoszącą książęcy sygnet.

– To dla Paula – powiedział Yueh. – Niebawem stracisz przytomność. Żegnaj, mój biedny książę. Kiedy się spotkamy następnym razem, nie będziemy mieli czasu na rozmowę.

Chłodna drętwota rozeszła się od szczęki po policzkach Leto. Mroczny korytarz skurczył się do rozmiarów czubka szpilki z ześrodkowaną w nim purpurą warg Yuego.

– Pamiętaj o zębie! – syknął lekarz. – O zębie!

Powinna istnieć nauka goryczy. Ludziom trzeba ciężkiego życia i ucisku, żeby nabrali tężyzny psychicznej.

– z *Myśli zebranych Muad'Diba* w opracowaniu księżnej Irulany

Jessika przebudziła się pośród ciemności, wyczuwając ostrzeżenie w otaczającej ją martwocie. Nie mogła zrozumieć, dlaczego jej duch i ciało są takie niemrawe. Ciarki strachu przebiegały jej po nerwach. Chciała usiąść i zapalić światło, ale coś jakby odwlekało tę decyzję. Własne usta wydawały jej się… obce.

Łup-łup-łup-łup!

W ciemnościach dochodził ją stłumiony dźwięk. Nie wiadomo skąd.

Moment wyczekiwania był nabrzmiały czasem, szelestem drgnień kąśliwych jak igły.

Zaczęła odczuwać swoje ciało, zdała sobie sprawę z więzów na kostkach i nadgarstkach, z knebla w ustach. Leżała na boku, z rękami związanymi na plecach. Zbadała więzy i zrozumiała, że to włókno krimskellowe, że tylko zaciągną się mocniej od szarpania.

I wreszcie przypomniała sobie.

Coś się poruszyło w ciemności jej sypialni, coś mokrego i gryzącego opadło na jej twarz, wypełniło usta. Pochwyciły ją jakieś ręce. Nabierając tchu – jeden wdech – wyczuła w wilgoci narkotyk. Traciła świadomość, pogrążając się w czarnym pudle przerażenia.

„Stało się – pomyślała. – Jakże łatwo było pokonać Bene Gesserit. Wystarczyła tylko zdrada. Hawat miał rację".

Pilnowała się, by nie naprężać więzów.

„To nie jest moja sypialnia – stwierdziła. – Przenieśli mnie gdzie indziej”.

Z wolna wzięła się w garść. Dotarł do niej zapach jej kwaśnego potu z chemiczną domieszką trwogi.

„Gdzie jest Paul? – zapytała samą siebie. – Mój syn… Co z nim zrobili?”

Spokój.

Narzuciła go sobie za pomocą starożytnych praktyk, lecz przerażenie pozostało, jakże blisko.

„Leto? Gdzie jesteś, Leto?”

Wyczuła ubywanie mroku. Rozpoczęło się od cieni. Wymiary rozdzieliły się, zamieniając w nowe ciernie świadomości. Biel. Szpara pod drzwiami. „Leżę na podłodze”.

Ktoś chodził. Wyczuła to przez podłogę. Zdusiła w sobie wspomnienie strachu.

„Muszę zachować spokój, czujność, gotowość – upomniała się. – Być może będę miała tylko jedną szansę”.

Znów wzięła się w garść.

Bezładne bicie serca wyrównało się, kształtując czas. Odliczyła w tył. „Byłam nieprzytomna godzinę” – doszła do wniosku.

Zamknęła oczy, skupiając uwagę na zbliżających się krokach. „Czterech ludzi” – stwierdziła. Notowała różnice w ich chodzie. „Muszę udawać, że nadal jestem nieprzytomna”. Rozluźniła się na zimnej podłodze, badając gotowość swego ciała. Usłyszała otwieranie drzwi i przez powieki wyczuła dopływ światła.

Kroki się przybliżyły; ktoś nad nią stał.

– Obudziłaś się – zahuczał basowy głos. – Nie udawaj.

Otworzyła oczy. Stał nad nią baron Vladimir Harkonnen. Rozpoznała piwniczne pomieszczenie, w którym sypiał Paul, pod ścianą zobaczyła jego

łóżko – było puste. Strażnicy wnieśli lampy dryfowe i rozmieścili je w pobliżu otwartych drzwi. Za nimi, w korytarzu, jarzyło się światło, kłując ją w oczy.

Spojrzała na barona. Miał na sobie żółtą pelerynkę wzdymającą się na przenośnych dryfach. Tłuste policzki cherubina wydymały się niczym dwa pagórki pod czarnymi oczami pająka.

– Czas działania narkotyku był wyliczony – zadudnił. – Wiedzieliśmy co do minuty, kiedy zaczniesz z tego wychodzić.

„Jak to możliwe? – zdziwiła się. – Musieliby znać dokładnie moją wagę, mój metabolizm, moje… Yueh!”

– Jaka szkoda, że musisz pozostać zakneblowana – powiedział baron. – Moglibyśmy odbyć taką interesującą rozmowę.

„To mógł być tylko Yueh – pomyślała. – Jakim cudem?”

Baron zerknął przez ramię na drzwi.

– Wejdź, Piterze.

Nigdy nie spotkała mężczyzny, który stanął przy baronie, ale jego twarz była znajoma… i człowiek też: Piter de Vries, mentat i asasyn. Przyglądała mu się uważnie – jastrzębie rysy, błękitne oczy wskazujące na pochodzenie z Arrakis, czemu przeczyły jednak subtelności w sposobie poruszania się i postawie. I zbytnio nasycone wodą ciało. Był wysoki, lecz szczupły, a coś nieuchwytnego w nim sugerowało zniewieściałość.

– Jaka szkoda, że nie możemy porozmawiać, moja droga lady Jessiko – rzekł baron. – Jednakże świadom jestem twoich talentów. – Spojrzał na mentata. – Nieprawdaż, Piterze?

– Jako rzeczesz, baronie – odparł mężczyzna.

Jego tenor poraził jej stos pacierzowy falą chłodu. Nigdy nie słyszała tak zimnego głosu. Do każdej Bene Gesserit głos ten wołał: „Morderca!”.

– Przygotowałem dla Pitera niespodziankę – oznajmił Vladimir. – On myśli, że przyszedł tu po odbiór swojej nagrody: po ciebie, lady Jessiko. Ale ja pragnę udowodnić, że tak naprawdę on ciebie nie chce.

– Igrasz ze mną, baronie? – spytał de Vries i się uśmiechnął.

Na widok tego uśmiechu Jessikę zdumiało, że baron nie wyciąga noża w obronie przed Piterem. Po chwili poprawiła się. Baron nie mógł go odczytać. Nie miał za sobą szkolenia.

– Pod wieloma względami Piter jest naiwny jak dziecko – powiedział baron. – Nie przyjmie do wiadomości, jakie z ciebie śmiertelnie niebezpieczne stworzenie, lady Jessiko. Pokazałbym mu, ale byłaby to lekkomyślność. – Uśmiechnął się do mentata, którego twarz przybrała maskę wyczekiwania. – Ja wiem, czego Piter chce naprawdę. Piter chce władzy.

– Obiecałeś mi tę kobietę – przypomniał Piter. Tenorowy głos stracił nieco ze swej chłodnej rezerwy.

Uchwyciwszy tonację mężczyzny, Jessika poddała się wewnętrznemu drżeniu. „Jak baron mógł zrobić takie zwierzę ze swego mentata?”

– Daję ci wybór, Piterze – rzekł baron.

– Jaki?

Vladimir pstryknął tłustymi paluchami.

– Ta kobieta i wygnanie z Imperium albo władasz w moim imieniu Atrydzkim Księstwem Arrakis według swych upodobań.

Jessika obserwowała pajęcze oczy barona świdrujące Pitera.

– Mógłbyś zostać tu księciem we wszystkim prócz tytułu – powiedział Vladimir.

„Czy zatem mój Leto nie żyje?” – pomyślała Jessika. Czuła, jak bezgłośny lament wzbiera gdzieś w jej głowie.

Baron nie spuszczał oczu z mentata.

– Zrozum, Piterze. Chcesz jej, ponieważ była kobietą księcia, symbolem jego władzy: piękna, użyteczna, świetnie wyszkolona do swej roli. Ale całe księstwo, Piterze! To więcej niż symbol, to rzeczywistość. Mając księstwo, możesz mieć wiele kobiet… i coś więcej.

– Nie dworujesz sobie z Pitera?

Baron odwrócił się do niego z baletową gracją, jaką dawały mu dryfy.

– Dworuję? Ja? Pamiętaj, że rezygnuję z chłopca. Słyszałeś, co zdrajca powiedział o jego edukacji. Oni – i matka, i syn – są tacy sami: śmiertelnie niebezpieczni. – Uśmiechnął się. – Muszę już iść. Przyślę strażnika, którego zatrzymałem na tę chwilę. Jest głuchy jak pień. Ma rozkaz konwojować was przez pierwszy etap podróży na wygnanie. Zrobi porządek z tą kobietą, jeśli zobaczy, że jej ulegasz. Nie pozwoli ci wyjąć jej knebla, dopóki nie opuścicie Arrakis. Na wypadek gdybyś zdecydował się pozostać, ma inne rozkazy.

– Nie musisz odchodzić – powiedział Piter. – Już wybrałem.

– Cha! Cha! Cha! – zarechotał baron. – Tak szybka decyzja może oznaczać tylko jedno.

– Wezmę księstwo – rzekł mentat.

„Czy Piter nie wie, że baron go okłamuje? – myślała Jessika. – No tak, ale skąd może wiedzieć? Jest wypaczonym mentatem”.

Baron spuścił wzrok na Jessikę.

– Czyż to nie cudowne, że tak dobrze znam Pitera? Założyłem się z moim zbrojmistrzem, że Piter wybierze księstwo. Ha! No, idę już. Tak jest lepiej. Ba, znacznie lepiej. Ty to rozumiesz, lady Jessiko? Nie żywię do ciebie urazy. To konieczność. Znacznie lepiej, że tak wyszło. Tak. W gruncie rzeczy nie kazałem cię zlikwidować. Kiedy mnie zapytają, co się z tobą stało, wybrnę z tego, mówiąc prawdę.

– Więc mnie to zostawiasz? – spytał mentat.

– Strażnik, którego ci przysyłam, jest na twoje rozkazy – rzekł baron. – Cokolwiek ma się stać, zostawiam to tobie. – Utkwił wzrok w Piterze. – Tak. Ja o niczym nie wiem. Zaczekasz, aż odejdę, zanim zrobisz to, co musisz zrobić. Tak. Cóż… ach, tak. Tak. Dobrze.

„Boi się przesłuchania przez prawdomówczynię – pomyślała Jessika. – Którą? Aaach, matkę wielebną Gaius Helenę, rzecz jasna! Skoro wie, że musi stawić czoło jej pytaniom, to jak nic Imperator macza w tym palce. Aaach, mój nieszczęsny Leto!”

Baron po raz ostatni rzucił okiem na Jessikę, odwrócił się i wymaszerował z piwnicy. Odprowadzając go wzrokiem, pomyślała: „Jest tak, jak przestrzegała matka wielebna: to zbyt potężny przeciwnik”.

Weszli dwaj harkonneńscy żołnierze. Za nimi wszedł trzeci, z twarzą jak jedna wielka szrama. Zatrzymał się w drzwiach z laserową rusznicą w dłoni.

„To ten głuchy – pomyślała Jessika, oglądając pokrytą szramami twarz. – Baron wie, że mogłabym użyć Głosu na każdego innego człowieka”.

Szrama spojrzał na Pitera.

– Na noszach przed drzwiami mamy chłopaka. Co z nim zrobić?

Asasyn odezwał się do Jessiki:

– Zamierzałem trzymać cię w szachu tym, że mamy twego syna, ale zaczynam rozumieć, że nic by z tego nie wyszło. Pozwoliłem, by emocje wzięły górę nad rozumem. Zła to polityka jak na mentata. – Spojrzał na dwóch pierwszych żołnierzy, obracając się tak, by głuchy mógł czytać z jego warg. – Zabierzcie ich na pustynię, jak zdrajca radził zrobić z chłopcem. Jego pomysł jest dobry. Czerwie zniszczą wszelkie ślady. Ich ciała muszą zniknąć na zawsze.

– Nie chcesz sam ich załatwić? – zapytał Szrama.

„Czyta z ruchu warg” – stwierdziła Jessika.

– Biorę przykład z mojego barona – rzekł Piter. – Zabierzcie ich tam, gdzie radził zdrajca.

Jessika wyłowiła chrapliwą mentacką modulację w głosie de Vriesa. „On też się boi prawdomówczyni” – pomyślała.

Piter wzruszył ramionami, zrobił zwrot i poszedł do wyjścia. Tam przystanął niezdecydowany i Jessika sądziła, że zawróci, by spojrzeć na nią po raz ostatni, lecz on wyszedł, nie obejrzawszy się za siebie.

– Co do mnie, nie podoba mi się perspektywa spotkania z prawdomówczynią po robocie tej nocy – powiedział Szrama.

– Masz małe szanse nadziać się kiedykolwiek na tę starą jędzę – odparł jeden z dwójki żołnierzy. Zaszedł Jessikę od głowy i pochylił się nad nią. – Nie odwalimy roboty, stojąc tu i trzaskając dziobami. Łap ją za nogi i…

– Czemu nie zarżnąć ich tutaj? – zapytał Szrama.

– Za dużo babraniny. Chyba że chcesz ich udusić. Ja to lubię czystą, prostą robotę. Wyrzucić ich na pustyni, jak mówił zdrajca, tu i ówdzie skaleczyć i zostawić dowody czerwiom. Żadnego po tym sprzątania.

– Taak… Chyba masz rację – stwierdził Szrama.

Jessika przysłuchiwała się im, patrząc i rejestrując, lecz knebel wykluczał użycie Głosu, a na dodatek trzeba było uwzględnić jednego głuchego.

Szrama wsunął rusznicę do pochwy i wziął Jessikę za nogi. Podnieśli ją jak worek mąki, przemanewrowali przez drzwi i cisnęli na podtrzymywane boją dryfową nosze z drugą spętaną postacią. Kiedy ją przekręcili, układając na noszach, zobaczyła Paula. Był związany, ale bez knebla. Jego twarz znajdowała się nie dalej niż dziesięć centymetrów od jej twarzy, oczy miał zamknięte, oddech równy.

„Jest pod działaniem narkotyku?” – zastanawiała się.

Żołnierze chwycili nosze i powieki Paula uniosły się na moment; ciemne szczeliny popatrzyły na nią.

„Oby tylko nie próbował użyć Głosu! – modliła się. – Głuchy strażnik!”

Paul zamknął oczy. Ćwicząc świadome oddychanie, uspokajał swój umysł i słuchał zwycięzców. Ten głuchy stanowił problem, ale chłopak panował nad swoją rozpaczą. Uspokajający rytuał Bene Gesserit, którego nauczyła go matka, przywrócił mu równowagę i gotowość wykorzystania najmniejszej okazji.

Uchyliwszy powieki, po raz drugi obserwował twarz matki. Wyglądało na to, że nie odniosła obrażeń, aczkolwiek była zakneblowana.

Zastanawiał się, kto mógł ją pojmać. Sam całkiem prosto dostał się do niewoli: zasnął w łóżku z przepisaną przez Yuego tabletką, a obudził się przywiązany do tych noszy. Możliwe, że coś podobnego spotkało i ją. Logika wskazywała, że zdrajcą jest Yueh, ale wstrzymywał się z ostateczną decyzją. Trudno to było pojąć – doktor Akademii Suka zdrajcą.

Nosze przechyliły się z lekka, gdy żołnierze Harkonnenów manewrowali nimi w drzwiach, wychodząc w rozgwieżdżoną noc. Boja dryfowa zachrobotała o podjazd, po czym znaleźli się na piasku, który chrzęścił pod stopami. W górze zamajaczyło skrzydło ornitoptera, przysłaniając gwiazdy. Nosze osiadły na ziemi.

Źrenice Paula dostosowały się do nikłego światła. W mężczyźnie, który otworzył drzwi ornitoptera i zaglądał w zielony od iluminowanej tablicy przyrządów mrok, rozpoznał głuchego żołnierza.

– To ten ornitopter? – spytał Szrama i odwrócił się, by zobaczyć wargi swego towarzysza.

– Ten, co zdrajca powiedział, że jest przystosowany do latania na pustyni – odpowiedział żołnierz.

Szrama pokiwał głową.

– Ale to jeden z tych łącznikowych liliputów. Miejsca w nim tyle, co dla nich i dwóch z nas.

– Dwóch wystarczy – powiedział noszowy, podchodząc blisko i ukazując wyraźnie wargi. – Dalej już damy sobie radę, Kinet.

– Baron kazał mi się upewnić co do losu tych dwojga.

– O co cię boli głowa? – rzekł drugi żołnierz zza noszowego.

– To czarownica Bene Gesserit – powiedział głuchy. – One mają wielkie moce.

– Aaach… – Noszowy potrząsnął pięścią przy uchu. – To ona taka, hę? Wiem, o co ci biega.

Żołnierz za jego plecami odchrząknął.

– Niedługo będzie strawą czerwia. Myślę, że nawet czarownicy Bene Gesserit zabraknie mocy na tak dużego robala. Co, Czigo? – Szturchnął noszowego.

– Ano – przytaknął żołnierz. Zawrócił do noszy i chwycił Jessikę za ramię. – Chodź, Kinet. Możesz się zabrać, skoro chcesz się przekonać, jak to będzie.

– Miło, żeś mnie zaprosił, Czigo – rzekł Szrama.

Jessika poczuła, jak ją podnoszą, zawirował cień skrzydła, ukazały się gwiazdy. Wepchnięto ją na tył ornitoptera, sprawdzono pęta z włókna krimskellowego i przymocowano pasami. Obok niej wciśnięto Paula, przywiązując go dokładniej. Zauważyła, że został spętany zwyczajnym sznurem.

Szrama, ów głuchy zwany Kinetem, zajął miejsce z przodu. Noszowy, którego wołali Czigo, przeszedł dookoła i usiadł na fotelu pilota.

Kinet zamknął drzwi po swojej stronie i nachylił się ku przyrządom. Ornitopter wystartował z szarpnięciem składanych skrzydeł, kierując się na południe, poza Mur Zaporowy. Czigo klepnął swego kompana w ramię.

– Może obróć się i miej tych dwoje na oku, co?

– Na pewno wiesz, dokąd lecieć? – Kinet śledził wargi Czigo.

– Słyszałem, co mówił zdrajca, tak jak i ty.

Kinet okręcił się z fotelem.

Jessika dostrzegła migotliwy blask gwiazd na rusznicy laserowej w jego dłoni. Wnętrze ornitoptera w miarę akomodacji jej oczu jakby się rozjaśniało, lecz szramy na twarzy strażnika pozostały zamazane. Sprawdziła pas swojego fotela i odkryła, że jest obluzowany. Lewą ręką wymacała chropowate miejsce i zrozumiała, że został on prawie przecięty, że trzaśnie przy nagłym szarpnięciu.

„Czyżby ktoś był w tym ornitopterze i przygotował go dla nas? – zdziwiła się. – Ale kto?” Powoli wyplątała spętane stopy spod nóg Paula.

– To wstyd zmarnować taką ładną kobitę – odezwał się Szrama. – Miałeś już jakieś szlachetnie urodzone? – Odwrócił się, by widzieć pilota.

– Nie wszystkie Bene Gesserit są szlachetnie urodzone – powiedział Czigo.

– Ale wszystkie wyglądają jak damy.

„Widzi mnie wystarczająco wyraźnie” – pomyślała Jessika. Podciągnęła związane nogi na fotel i zwinęła się w kuszący kłębek, nie spuszczając Szramy z oka.

– Ta tutaj jest naprawdę ładna – powiedział Kinet. Oblizał wargi. – To wstyd – powtórzył i spojrzał na Czigo.

– Myślisz o tym, co ja myślę, że ty myślisz? – zapytał pilot.

– Kto się dowie? – rzekł strażnik. – Potem… – Wzruszył ramionami. – Po prostu nie podłapałem nigdy jaśnie pani. Może nie będę już miał takiej okazji.

– Spróbuj tylko tknąć moją matkę…! – warknął Paul i utkwił w Szramie nienawistne spojrzenie.

– Hej! – Pilot się roześmiał. – Szczenię dało głos, ale jeszcze nie ma kłów.

Jessika zaś pomyślała: „Paul przesadza z wysokością głosu, ale może się uda”.

Lecieli dalej w milczeniu.

„Nieszczęśni durnie – stwierdziła, przypatrując się strażnikom i wspominając słowa barona. – Zostaną zamordowani, gdy tylko zameldują o wykonaniu zadania. Baron nie życzy sobie żadnych świadków”.

Ornitopter przechylił się w wirażu nad południową krawędzią Muru Zaporowego i Jessika ujrzała w dole przestrzeń piasku i księżycowych cieni.

– Starczy tego latania – powiedział pilot. – Zdrajca mówił, by wyrzucić ich byle gdzie pod Murem Zaporowym.

Zapikował ku wydmom i wyrównał ciężko nad powierzchnią.

Jessika zauważyła, że Paul oddycha rytmicznie, wykonując ćwiczenie uspokajające. Zamknął oczy, a następnie je otworzył. Wpatrywała się weń, nie mogąc przyjść mu z pomocą. „Jeszcze nie posiadł Głosu – pomyślała. – Jeżeli zawiedzie…”

Ornitopter dotknął piasku w lekkim przechyle i Jessika, spoglądając za siebie na północ, ponad Murem Zaporowym, dostrzegła wysoko cień skrzydeł trzymających się poza zasięgiem wzroku. „Ktoś leci za nami – stwierdziła. – Ale kto? – I zaraz przyszło jej do głowy: – Ci, którym baron kazał obserwować tych dwóch. A obserwatorzy też będą mieli obserwatorów”.

Czigo wyłączył rotory skrzydeł. Opadła ich cisza.

Jessika odwróciła głowę. Przez okno za Szramą widziała mglistą poświatę wschodzącego księżyca i wyłaniający się z pustyni oszroniony wieniec skał. Wyostrzone piaskiem granie rysowały jego ściany.

Paul odchrząknął.

– No to jak, Kinet? – spytał pilot.

– Bo ja wiem, Czigo.

Czigo się odwrócił.

– Aaach, popatrz – rzekł i sięgnął ręką do spódnicy Jessiki.

– Usuń jej knebel – zakomenderował Paul.

Jessika czuła, jak te słowa toczą się w powietrzu. Barwa i ton były bez zarzutu – rozkazujące, twarde. Głos mógłby być nieco niższy, ale i tak mieścił się w spektrum tego człowieka.

Czigo sięgnął do taśmy na ustach Jessiki i rozsupłał węzeł knebla.

– Przestań! – rozkazał Kinet.

– Och, zamknij dziób – odparł Czigo. – Ręce ma związane.

Rozplątał węzeł i taśma opadła. Oczy mu się zaświeciły, kiedy wlepił je w Jessikę.

Kinet położył dłoń na ramieniu pilota.

– Słuchaj no, Czigo, nie ma potrzeby…

Jessika wykręciła szyję i wypluła knebel. Nastroiła głos na niskie, intymne tony.

– Panowie! Nie ma potrzeby bić się o mnie.

Równocześnie poruszyła swoimi krągłościami na użytek Kineta.

Widząc, jak obaj sztywnieją, zrozumiała, że w tym momencie są już przekonani o konieczności walki. To wystarczyło, by ich skłócić. W myślach już się o nią bili. Twarz trzymała wysoko, w łunie od instrumentów, chcąc mieć pewność, że Kinet będzie mógł czytać z jej warg.

– Nie kłóćcie się.

Odsunęli się od siebie, popatrując po sobie ukradkiem.

– Czy w ogóle warto walczyć o kobietę? – spytała.

Przez te słowa, przez samą swoją obecność stała się po stokroć warta walki.

Paul zacisnął usta, zmuszając się do milczenia. Wykorzystał jedyną szansę skutecznego użycia Głosu. Teraz wszystko zależało od jego matki, która była znacznie bardziej doświadczona.

– Taak – rzekł Szrama. – Nie ma potrzeby walczyć o…

Jego dłoń śmignęła ku szyi pilota. Napotkała jednak metal, który uderzył go w ramię i, przedłużając swoją drogę, trzasnął w pierś. Szrama jęknął, po czym osunął się plecami na drzwi.

– Myślał, że trafił na frajera, który nie zna tej sztuczki – powiedział Czigo. Cofnął rękę, ujawniając nóż. Ostrze połyskiwało w blasku księżyca. – A teraz szczeniak – rzekł i nachylił się do Paula.

– Nie ma potrzeby – wyszeptała Jessika.

Czigo znieruchomiał, niezdecydowany.

– Nie zależy ci na mojej współpracy? – zapytała Jessika. – Daj chłopcu szansę. – Jej wargi wywinęły się w szyderczym uśmiechu. – Będzie mizerna tam, w tym piachu. Daj mu ją, a – uśmiechnęła się – przekonasz się, że dobrze cię wynagrodzę.

Czigo rozejrzał się na boki i ponownie zatrzymał spojrzenie na Jessice.

– Słyszałem, co może spotkać człowieka na tej pustyni – powiedział. – Nóż to łaska dla chłopca.

– Czy rzeczywiście proszę o tak wiele? – upierała się Jessika.

– Próbujesz mnie wykiwać – mruknął Czigo.

– Nie chcę patrzeć na śmierć syna – odparła. – To nazywasz kiwaniem?

Czigo cofnął się i zwolnił łokciem zatrzask drzwi. Chwycił Paula, przeciągnął go przez fotel i do połowy wywiesił z maszyny, trzymając nóż w pogotowiu.

– Co zrobisz, jak ci przetnę sznury, szczeniaku?

– Odejdzie stąd natychmiast w stronę tamtych skał – rzekła Jessika.

– Tak będzie, co, szczeniaku? – spytał Czigo.

– Tak. – Głos Paula był odpowiednio burkliwy.

Nóż opadł, przecinając mu więzy na nogach. Chłopak wyczuł na plecach rękę, która miała go zepchnąć na piasek. Udał, że zatoczył się na futrynę drzwi, szukając oparcia, obrócił się, jakby łapał równowagę, i wziął zamach prawą nogą.

Duży palec stopy został wymierzony z precyzją przysparzającą chluby wieloletniemu szkoleniu Paula, jak gdyby cały efekt owego szkolenia przypadł na ten właśnie moment. Niemal wszystkie mięśnie ciała wzięły udział w tym wysiłku. Palec uderzył w miękką część brzucha Czigo, tuż pod mostkiem, z przeraźliwą siłą przebił się ku górze ponad wątrobą i przez przeponę i zmiażdżył prawą komorę serca mężczyzny.

Strażnik wrzasnął bulgotliwie i zwalił się plecami na fotele. Nie mogąc użyć rąk, Paul nie powstrzymał swego upadku na piasek – wykonał przewrót, który zamortyzował siłę uderzenia i postawił go na nogi. Zanurkował z powrotem do kabiny, odnalazł nóż i trzymał go w zębach, dopóki matka nie przecięła swoich więzów. Wtedy wzięła go od niego i uwolniła mu ręce.

– Ja bym go załatwiła – powiedziała. – Musiałby przeciąć moje pęta. To było lekkomyślne ryzyko.

– Dostrzegłem sposobność i skorzystałem z niej – rzekł.

Usłyszała twardy ton w jego opanowanym głosie.

– Na suficie kabiny nagryzmolony jest znak rodu Yuego – oznajmiła.

Popatrzył w górę i przyjrzał się zawijasom.

– Wysiądźmy i zbadajmy ten statek – powiedziała. – Pod siedzeniem pilota jest jakiś tobół. Wyczułam go, gdy wsiadaliśmy.

– Bomba?

– Wątpię. Tutaj jest coś dziwnego.

Paul zeskoczył na piasek, a Jessika za nim. Kiedy się odwróciła i sięgnęła pod fotel po tajemniczy pakunek, stopy Czigo znalazły się przy jej twarzy. Poczuła wilgoć na tobołku i zrozumiała, że to krew pilota.

„Co za marnotrawstwo” – pomyślała i uświadomiła sobie, że to arrakijski sposób myślenia.

Paul rozejrzał się i dostrzegł skalną skarpę, która wyrastała z pustyni tak, jak wyrasta plaża z morza, a ponad nią powyrzynane wiatrem palisady. Odwrócił się, gdy matka dźwignęła pakunek z ornitoptera, i ujrzał, że spogląda ponad wydmami w stronę Muru Zaporowego. Kierując tam wzrok, by zobaczyć, co przyciągnęło jej uwagę, spostrzegł pikujący na nich inny ornitopter i zdał sobie sprawę, że nie będą mieli czasu na uprzątnięcie zwłok i ucieczkę.

– Uciekaj, Paulu! – krzyknęła Jessika. – Harkonnenowie!

Arrakis naucza filozofii noża – odrąbujemy to, co niekompletne, i mówimy: „Teraz jest kompletne, ponieważ tutaj się kończy”.

– z *Myśli zebranych Muad’Diba* w opracowaniu księżnej Irulany

Mężczyzna w harkonneńskim mundurze zatrzymał się raptownie u wylotu korytarza i zmierzył wzrokiem Yuego, obejmując tym samym spojrzeniem ciało Mapes, rozciągniętą postać księcia i stojącego nad nimi doktora. Mężczyzna trzymał rusznicę laserową w prawej dłoni. Biły od tego człowieka pierwotne okrucieństwo, brutalność i drapieżność, które przejmowały Yuego dreszczem.

„Sardaukar – pomyślał. – Baszar, sądząc po wyglądzie. Pewnie jeden z imperatorskich wysłanników, który przybył, żeby mieć na oku bieg wypadków. Żaden mundur ich nie ukryje”.

– Jesteś Yueh – powiedział mężczyzna.

Popatrzył z namysłem na pierścień Akademii Suka we włosach doktora, potem na romb tatuażu, a wreszcie spojrzał mu prosto w oczy.

– Jestem Yueh – potwierdził lekarz.

– Możesz się odprężyć, Yueh – rzekł żołnierz. – Przybyliśmy, jak tylko opuściłeś tarcze rezydencji. Panujemy nad sytuacją. Czy to książę?

– To książę.

– Martwy?

– Tylko nieprzytomny. Radzę go związać.

– Ty załatwiłeś pozostałych? – Obejrzał się w głąb korytarza, gdzie leżało ciało Mapes.

– Tym większa szkoda – mruknął Yueh.

– Szkoda! – powtórzył drwiąco sardaukar. Zbliżył się i spojrzał z góry na Leto. – Więc to jest ów wielki Czerwony Książę.

„Gdybym przedtem miał wątpliwości, kim jest ten człowiek, teraz już bym był pewny – pomyślał Yueh. – Tylko Imperator nazywa Atrydów Czerwonymi Książętami”.

Sardaukar sięgnął w dół i odciął herbowego czerwonego jastrzębia od munduru Leto.

– Mała pamiątka – powiedział. – Gdzie jest książęcy sygnet?

– Nie ma go na palcu – odparł Yueh.

– To widzę! – warknął sardaukar.

Yueh zdrętwiał i przełknął ślinę. „Jeżeli mnie przyduszą, jeżeli ściągną prawdomówczynię, dowiedzą się o pierścieniu i o przygotowanym ornitopterze, a wtedy wszystko przepadnie”.

– Czasami książę wysyłał gońca z pierścieniem na znak, że rozkaz pochodzi bezpośrednio od niego – powiedział.

– Diablo zaufani musieli być ci gońcy – mruknął sardaukar.

– Nie zwiążesz go? – odważył się zapytać doktor.

– Jak długo będzie nieprzytomny?

– Ze dwie godziny. Nie odmierzyłem jego dawki tak dokładnie jak w wypadku kobiety i chłopca.

Żołnierz trącił księcia końcem stopy.

– Czego tu się bać, nawet gdyby toto było przytomne? Kiedy obudzą się kobieta i chłopiec?

– Za jakieś dziesięć minut.

– Tak szybko?

– Powiedziano mi, że zaraz przybędzie baron ze swoimi ludźmi.

– I przybędzie. Czekaj na zewnątrz, Yueh. – Rzucił mu twarde spojrzenie. – Już!

Doktor zerknął na Leto.

– Co z…?

– Zostanie dostarczony baronowi w całości i spętany jak jagnię na rożnie. – Sardaukar raz jeszcze popatrzył na romb wytatuowany na czole Yuego. – Wiedzą o tobie. Nic ci się nie powinno stać w korytarzach. Nie mamy więcej czasu na pogaduszki, zdrajco. Słyszę, że pozostali nadchodzą.

„Zdrajco” – pomyślał Yueh. Spuścił oczy i przecisnął się obok sardaukara, mając przedsmak tego, jak zapamięta go historia: „zdrajca Yueh”.

W drodze do głównego wejścia mijał coraz więcej ciał i zerkał na nie przerażony, że któreś z nich okaże się Paulem lub Jessiką. Wszyscy byli jednak z gwardii pałacowej lub nosili mundury Harkonnenów.

Nadbiegły zaalarmowane straże Harkonnenów, kiedy wyszedł z frontowych drzwi w rozjaśnioną płomieniami noc. Aby oświetlić budynek, podpalono przydrożne palmy. Czarny dym z użytych do tego materiałów palnych bił do góry przez pomarańczowe języki ognia.

– To zdrajca – powiedział ktoś.

– Baron będzie chciał cię niebawem widzieć – rzekł inny.

„Muszę się dostać do ornitoptera – myślał Yueh. – Muszę włożyć książęcy sygnet tam, gdzie Paul go odnajdzie. – I przeszył go strach. – Jeśli Idaho mnie podejrzewa albo straci cierpliwość – jeśli nie czeka i nie uda się tam, gdzie mu kazałem – Jessika i Paul nie uratują się z pogromu. Zostanę pozbawiony choćby najmniejszego pocieszenia za swój czyn”.

Harkonneński wartownik puścił jego ramię.

– Zaczekaj tam, na uboczu – rozkazał.

Nagle Yueh zobaczył, że go odtrącono w tym miejscu zniszczenia, że mu niczego nie oszczędzono, nie okazano nawet odrobiny litości.

„Idaho nie może zawieść!”

– Hej, ty, nie plącz się pod nogami! – warknął inny strażnik, wpadłszy na niego.

„Wykorzystać to mnie umieli, a nie umieją się zdobyć na to, żeby mnie ścierpieć” – pomyślał Yueh. Wyprostował się, gdy go odepchnięto, odzyskał nieco godności.

– Czekaj na barona! – warknął oficer gwardii.

Doktor kiwnął głową, przeszedł z rozmyślną nonszalancją wzdłuż frontu budynku i skręcił za róg w cień, z dala od płonących palm. Szybko, każdym krokiem zdradzając podniecenie, dotarł na tylny dziedziniec, pod oranżerię, gdzie czekał ornitopter mający zabrać Paula i jego matkę.

Wartownik stał w otwartych drzwiach na tyłach rezydencji, patrząc na oświetlony hol i tłoczących się tam ludzi, którzy przeszukiwali pokój za pokojem.

Jakże pewni siebie byli!

Trzymając się cienia, Yueh obszedł ornitopter i uchylił drzwi w niewidocznej dla wartownika burcie. Pod przednim siedzeniem wymacał ukryty przez siebie fremsak, podniósł klapę i wsunął do środka dłoń z książęcym sygnetem. Poczuł szeleszczący papier przyprawowy swojego listu, a potem wcisnął sygnet w kartkę. Wyjął rękę i zapiął fremsak.

Zamknął delikatnie drzwi ornitoptera, tą samą drogą przedostał się do narożnika rezydencji i skręcił za róg, pod płonące drzewa.

„Zrobione” – pomyślał.

Po raz drugi wyłonił się w świetle buchających płomieniami palm. Otulił się płaszczem i zatopił spojrzenie w ogniu.

„Niebawem będę wiedział. Niebawem stanę przed baronem i będę wiedział. A baron… baron napotka niewielki ząb”.

Legenda głosi, że kiedy książę Leto Atryda umierał, meteor przeciął nieboskłon ponad jego rodowym pałacem na Kaladanie.

– z *Wstępu do historii dzieciństwa Muad'Diba* pióra księżnej Irulany

Baron Vladimir Harkonnen stał przed bulajem zacumowanej lichtugi, w której założył stanowisko dowodzenia. Widział rozświetloną płomieniami noc nad Arrakin. Uwagę skupił na odległym Murze Zaporowym, gdzie dokonywała swego dzieła jego tajna broń.

Artyleria.

Armaty nadgryzały groty, do których wycofali się wojownicy księcia, by bronić się w nich do ostatka. Powolny rytm ukąszeń pomarańczowej łuny, kaskady kamienia i pyłu w krótkich iluminacjach grzebały ludzi Leto osaczonych jak zwierzęta w norach, skazując ich na śmierć głodową.

Baron wyczuwał odległe tąpnięcia – dudnienie dochodzące doń za pośrednictwem metalu statku: łup… łup. I znów: łłłup… łłłup!

„Komu przyszłoby do głowy wskrzeszać artylerię w epoce tarcz?" Ta myśl była chichotem jego duszy. „Można było przewidzieć, że ludzie księcia uciekną do tych grot. A Imperator doceni spryt, z jakim ustrzegłem przed stratami naszą wspólną armię".

Poprawił jeden z maleńkich dryfów chroniących jego otyłe ciało przed wpływem siły ciążenia. Uśmiech zmarszczył mu usta, napiął fałdy podbródka.

„Żal marnować takich wojowników jak żołnierze księcia – pomyślał. Uśmiechnął się szerzej i zaśmiał z siebie. – Żal powinien być okrutny!" Pokiwał głową. Niepowodzenie jest kosztowne z definicji. Przed człowiekiem potrafiącym podejmować właściwe decyzje cały wszechświat

stoi otworem. Niepewne króliki należało zapędzić do nor, zmusić do ucieczki. Jakżeby inaczej nimi rządzić i je hodować? Wyobraził sobie swoich żołnierzy jako pszczoły zaganiające króliki. I pomyślał: „Dzień słodko nuci, kiedy masz dość pszczół, które na ciebie pracują”.

Za jego plecami otworzyły się drzwi. Baron przyjrzał się bacznie odbiciu w czarnym bulaju, nie odwracając głowy.

Do kabiny wśliznął się Piter de Vries, któremu po piętach deptał Umman Kudu, kapitan straży przybocznej barona. Tuż za drzwiami zrobił się ruch – tępawe oblicza członków gwardii wyrażały przezorną bojaźń w obecności Vladimira Harkonnena.

Baron się odwrócił. Piter przyłożył palec do pukla włosów w żartobliwym salucie.

– Dobre wieści, mój panie. Sardaukarzy dostarczyli księcia.

– To oczywiste, że dostarczyli – zahuczał baron.

Przyjrzał się mrocznej masce nikczemności na zniewieściałej twarzy Pitera. I jego oczom: tym cienistym szparkom najbłękitniejszego błękitu w błękicie.

„Muszę się go wkrótce pozbyć – pomyślał. – Osiągnął już niemal punkt krytyczny swego życia: właściwie przestał być użyteczny, a stał się groźny dla mnie. Najpierw jednak musi zasłużyć sobie na nienawiść ludności Arrakis. Wtedy powitają tu mego kochanego Feyda-Rauthę jak zbawiciela”.

Baron przeniósł wzrok na kapitana straży, Ummana Kudu – na szczęki jak imadło i podbródek jak szpic buta. Temu człowiekowi można było ufać, ponieważ znane były jego słabości.

– Po pierwsze, gdzie jest zdrajca, który wydał mi księcia? – zapytał baron. – Muszę dać zdrajcy nagrodę.

Piter okręcił się jak baletnica i skinął komuś za drzwiami.

Mignęło tam przez moment coś czarnego i wkroczył Yueh. Zbliżał się sztywno, jak marionetka. Wąsy obwisły mu po obu stronach rubinowych warg. Jedynie postarzałe oczy wydawały się żywe.

Zrobiwszy trzy kroki, doktor zatrzymał się posłusznie na skinienie Pitera i nie ruszając się z miejsca, spoglądał na barona.

– Aaach, doktor Yueh.

– Mój pan Harkonnen.

– Słyszę, że wydałeś nam księcia.

– Moja część umowy, mój panie.

Baron popatrzył na Pitera. Ten kiwnął głową. Baron zwrócił oczy na Yuego.

– Litera umowy, co? A ja… – Wypluł z siebie słowa: – Co ja miałem zrobić w zamian?

– Pamiętacie bardzo dobrze, mój panie Harkonnenie.

I Yueh znalazł czas do namysłu, słysząc już ogłuszającą ciszę zegarów zatrzymanych w swoim umyśle. Dostrzegał ledwo uchwytne znaki w zachowaniu barona. Wanna rzeczywiście nie żyła – odeszła tam, gdzie jej nie dosięgną. Inaczej bowiem nadal trzymaliby w garści słabego doktora. Zachowanie barona zdradzało, że tak nie jest, że to się skończyło.

– Pamiętam? – zapytał Vladimir.

– Obiecałeś wybawić moją Wannę od katuszy.

Baron pokiwał głową.

– Ach, tak. Teraz sobie przypominam. Obiecałem. Taka była moja obietnica. W ten sposób przełamaliśmy najwyższe warunkowanie. Nie mogłeś znieść widoku swojej czarownicy Bene Gesserit wijącej się we wzmacniaczach bólu Pitera. Cóż, baron Vladimir Harkonnen zawsze dotrzymuje obietnic. Powiedziałem ci, że uwolnię ją od męczarni i że

pozwolę ci do niej dołączyć. Więc niech tak się stanie. – Skinął ręką Piterowi.

Błękitne oczy mentata przybrały szklisty wyraz. Jego błyskawiczny ruch miał w sobie kocią płynność. Nóż błysnął w dłoni niczym pazur, zatapiając się w plecach Yuego. Stary człowiek zesztywniał, ani przez moment nie spuszczając wzroku z barona.

– Więc dołącz do niej! – wypluł z siebie baron.

Yueh stał, słaniając się na nogach. Jego wargi poruszały się z ostrożną precyzją, a głos rozbrzmiewał w osobliwie odmierzanej kadencji:

– Myślisz… że… mnie… po… konałeś… Myślisz… że… nie… wie… działem… co… kupiłem… za… moją… Wannę.

Upadł. Nie zgiął się ani nie zwiotczał. Runął niczym drzewo.

– Więc dołącz do niej – powtórzył baron, lecz jego słowa zabrzmiały jak słabe echo.

Yueh napełnił go złym przeczuciem. Podniósł wzrok na mentata, przyglądając się, jak wyciera ostrze w kawałek szmaty z wyrazem rozmarzenia i satysfakcji w błękitnych oczach.

„A więc to tak zabija własnymi rękami – pomyślał baron. – Warto wiedzieć”.

– Wydał nam księcia? – zapytał.

– Ależ oczywiście, mój panie – powiedział Piter.

– Więc dawajcie go tutaj!

Mentat spojrzał na kapitana straży, a ten posłusznie obrócił się na pięcie.

Baron popatrzył z góry na Yuego. Doktor padł tak, że można by podejrzewać, iż miał twardą dębinę zamiast kości.

– Nigdy nie potrafiłem się przełamać i zaufać zdrajcy – rzekł Vladimir. – Nawet zdrajcy, którego sam stworzyłem.

Rzucił okiem na przesłonięty całunem nocy bulaj. Wiedział już, że cała ta czarna cisza na zewnątrz należy do niego. Ustał ostrzał artyleryjski grot Muru Zaporowego, podziemne pułapki były odcięte. Zupełnie niespodziewanie baron stwierdził, że nie może sobie wyobrazić nic piękniejszego od owej całkowitej pustki czerni. Chyba że byłaby to biel na czerni. Biel srebra na czerni. Biel porcelany.

Ale niepewność nadal go nie opuszczała. Co miał na myśli ten stary dureń doktor? Oczywiście wiedział zapewne, co go w końcu czeka, lecz to jego gadanie o rzekomej klęsce: „Myślisz, że mnie pokonałeś”.

O co mu chodziło?

Książę Leto Atryda przestąpił próg kabiny. Ręce miał spętane kajdanami, orlą twarz pobrudzoną ziemią. Jego mundur był rozdarty w miejscu, skąd ktoś oderwał insygnia. W talii wisiały strzępy wiązań pasa tarczy, który usunięto bez odpinania od munduru. Oczy księcia miały szklisty, obłąkany wyraz.

– No, no, no – powiedział baron.

Zawahał się i zrobił głęboki wdech. Wiedział, że przemówił zbyt głośno. Ten moment, z dawna wyczekiwany, stracił nieco swego smaczku. „Niech piekło pochłonie przeklętego doktora na całą wieczność!”

– Przypuszczam, że poczciwego księcia uraczono narkotykiem – rzekł Piter. – W ten sposób Yueh go dla nas złapał. – Zwrócił się do księcia. – Czyż nie jesteś pod wpływem narkotyku, mój drogi książę?

Głos dochodził z oddali. Leto czuł łańcuchy, ból mięśni, spękane wargi, piekące policzki i suchy posmak pragnienia jak szelest piasku w ustach, ale dźwięki były stłumione przez kokon waty. Przez tę watę widział też jedynie mgliste zarysy.

– Co z kobietą i chłopcem, Piterze? – spytał baron. – Jeszcze nie ma wiadomości?

Mentat przesunął językiem po wargach.

– Ty coś wiesz – burknął Vladimir. – Co?

Piter obejrzał się na kapitana straży i znów spojrzał na barona.

– Ludzi wysłanych do wykonania tej roboty, mój panie… hm… ich… hm… odnaleziono.

– Więc zameldowali, że wszystko w porządku?

– Są martwi, mój panie.

– Oczywiście, że są! Chcę tylko wiedzieć, co…

– Byli martwi, kiedy ich znaleziono, mój panie.

Twarz barona posiniała.

– A kobieta i chłopiec?

– Ani śladu, mój panie, ale był tam czerw. Zjawił się w trakcie badania tego miejsca. Być może jest tak, jak sobie życzyliśmy… wypadek. Prawdopodobnie…

– Nas nie interesują prawdopodobieństwa, Piterze. Co z tym brakującym ornitopterem? Mówi to coś mojemu mentatowi?

– Któryś z ludzi księcia bez wątpienia nim uciekł, mój panie. Zabił naszego pilota i uciekł.

– Który?

– To była czysta, cicha robota, mój panie. Być może Hawat albo ten typ Halleck. A może Idaho. Lub którykolwiek z najwyższych adiutantów.

– Same prawdopodobieństwa… – mruknął baron. Spojrzał na słaniającego się, zamroczonego księcia.

– Panujemy nad sytuacją, mój panie.

– Nie, nie panujemy! Gdzie jest ten kretyn planetolog? Gdzie jest ten Kynes?

– Mamy informacje, gdzie go znaleźć. Posłano po niego, mój panie.

– Nie podoba mi się sposób, w jaki pomaga nam ten sługa Imperatora – burknął Vladimir.

Kokon waty oddzielał słowa, lecz niektóre z nich zapłonęły w umyśle Leto. „A kobieta i chłopiec? Ani śladu”. Paul z Jessiką uciekli. I nieznane były ciągle losy Hawata, Hallecka i Idaho. Jeszcze była nadzieja.

– Gdzie jest książęcy sygnet? – spytał baron. – Nie ma go na palcu.

– Sardaukarzy mówią, że nie miał go przy sobie w chwili pojmania – odparł kapitan straży.

– Za wcześnie zabiłeś doktora – rzekł baron. – To był błąd. Powinieneś mnie ostrzec, Piterze. Postąpiłeś zbyt pochopnie z punktu widzenia dobra naszego przedsięwzięcia. – Nachmurzył się. – Prawdopodobieństwa!

W umyśle Leto plątała się sinusoidalną falą jedna myśl: „Paul i Jessika uciekli!”. I było coś jeszcze w jego pamięci: Umowa! Prawie ją sobie przypominał.

„Ząb!”

Pamiętał już jej część: kapsułka z gazem trującym w formie sztucznego zęba. Ktoś kazał mu pamiętać o zębie. Ząb ma w ustach. Wystarczy tylko przygryźć go mocno. „Jeszcze nie!” Ten ktoś polecił mu zaczekać, aż znajdzie się blisko barona. Ale kto to był? Nie mógł sobie przypomnieć.

– Jak długo on będzie w takim stanie? – zapytał Vladimir.

– Może jeszcze godzinę, mój panie.

– Może… – mruknął baron. Ponownie odwrócił się do czarnego okna. – Jestem głodny.

„To jest baron, tamten rozmazany, szary kształt” – pomyślał Leto. Kształt tańczył na wszystkie strony, chwiejąc się w takt kołysania pokoju. A pokój rozszerzał się i kurczył. Rozjaśniał się i ciemniał. Otulał to czernią, to bielą.

Czas stał się dla księcia sekwencją warstw, przez które wypływał na powierzchnię. „Muszę czekać”.

Był tam stół. Leto widział go całkiem wyraźnie. I opasłego, tłustego mężczyznę po drugiej stronie stołu, a przed nim resztki posiłku. Książę poczuł, że siedzi naprzeciw tłustego człowieka, czuł łańcuchy i pasy, które utrzymywały jego mrowiące ciało na krześle. Był świadom upływu czasu, ale jego wymiar mu umknął.

– Przypuszczam, że on dochodzi do siebie, baronie.

„Ten jedwabisty głos. To Piter” – stwierdził Leto.

– Widzę to, Piterze.

„Dudniący bas. To baron”.

Zmysły Leto odbierały otoczenie z coraz większą ostrością. Krzesło pod nim zrobiło się twarde, więzy mocniej wrzynały się w ciało. I widział już wyraźnie barona. Śledził wędrówkę dłoni tego człowieka, ich kompulsywne ruchy: dotknięcie brzegu talerza, łyżki, wodzenie palcem po fałdzie brody.

Leto obserwował poruszającą się dłoń, zafascynowany.

– Słyszysz mnie, książę Leto? – rzekł baron. – Wiem, że mnie słyszysz. Chcemy się dowiedzieć, gdzie znaleźć twoją konkubinę i dziecko, które z nią spłodziłeś.

Uwagi Leto nie umknął żaden znak, słowa zaś napełniły go spokojem. „Więc to prawda: nie mają Paula i Jessiki”.

– To nie dziecinna zabawa – mruknął Vladimir. – Musisz o tym wiedzieć.

Pochylił się ku Leto, przyglądając mu się badawczo. Bolało go, że nie może tego załatwić prywatnie, tylko między nimi dwoma. Dopuszczenie innych do oglądania członka rodziny królewskiej w takich opałach ustanawiało niekorzystny precedens.

Książę czuł, że wracają mu siły. Pamięć o sztucznym zębie tkwiła teraz w jego umyśle niczym strzelista wieża na płaskim pejzażu. Kapsuła w kształcie nerwu wewnątrz owego zęba: trujący gaz – pamiętał, kto umieścił śmiercionośną broń w jego ustach.

„Yueh”.

Zamglone narkotykiem wspomnienie bezwładnego ciała wleczonego w tym pomieszczeniu unosiło się jak opary w pamięci Leto. Wiedział, że to był Yueh.

– Słyszysz ten hałas, książę? – zapytał baron.

Do Leto dotarł jakiś skrzekliwy dźwięk, gardłowe kwilenie czyjejś męki.

– Złapaliśmy jednego z twoich ludzi przebranego za Fremena – powiedział Vladimir. – Przejrzeliśmy tę maskaradę z dziecinną łatwością. Oczy, wiesz. On się upiera, że został wysłany między Fremenów na przeszpiegi. Mieszkałem jakiś czas na tej planecie, *cher cousin*. Nie szpieguje się tej łachmaniarskiej pustynnej hałastry. Powiedz mi, kupiłeś ich pomoc? Wysłałeś do nich swoją kobietę i syna?

Leto poczuł ucisk strachu w piersi. „Jeśli Yueh wysłał ich do pustynnego ludu… to nie przestaną ich tropić, aż znajdą”.

– No, dalej – powiedział baron. – Nie mamy wiele czasu, a ból jest prędki. Proszę, nie doprowadzaj do tego, mój drogi książę. – Podniósł oczy na mentata stojącego przy ramieniu Leto. – Piter nie ma tutaj wszystkich swoich narzędzi, ale nie wątpię, że stać go na improwizację.

– Czasami improwizacja jest najlepsza, baronie.

„Jaki jedwabisty, ujmujący głos!” Leto słyszał go tuż przy uchu.

– Miałeś plan na wypadek zagrożenia – rzekł baron. – Dokąd została wysłana twoja kobieta z chłopcem? – Spojrzał na dłoń księcia. – Zginął twój pierścień. Czy ma go chłopiec? – Podniósł wzrok i popatrzył Leto w oczy. – Nie odpowiadasz – stwierdził. – Chcesz mnie zmusić do zrobienia rzeczy, której nie chcę zrobić? Piter zastosuje proste, bezpośrednie metody. Zgadzam się, że one są czasami najlepsze, ale nie byłoby dobrze, gdybyś został im poddany.

– Może gorący łój na grzbiet albo na powieki – powiedział Piter. – Może na inne części ciała. Jest to szczególnie skuteczne, kiedy osobnik nie wie, gdzie łój kapnie następnym razem. To dobry sposób i jest coś pięknego w deseniu białych ropnych pęcherzy na gołej skórze, co, baronie?

– Wyśmienity – powiedział Vladimir. Jego głos zabrzmiał szorstko.

„Jakie wrażliwe palce!” Leto śledził tłuste ręce, klejnoty połyskujące na niemowlęco pulchnych dłoniach – ich kompulsywną wędrówkę.

Odgłosy męczarni dochodzące przez drzwi za jego plecami szarpały nerwy księcia. „Kogo oni złapali? – zastanawiał się. – Czyżby to był Idaho?”

– Wierz mi, *cher cousin* – rzekł baron. – Nie chcę, aby do tego doszło.

– Pomyśl o nerwokurierach spieszących po pomoc, która nie może nadejść – odezwał się Piter. – W tym jest coś ze sztuki, pojmujesz.

– Jesteś nadzwyczajnym artystą – warknął baron. – A teraz miej trochę przyzwoitości i się zamknij.

Leto nagle przypomniał sobie, co Gurney Halleck powiedział kiedyś na widok fotografii barona: „I stanąwszy na piasku plaży, ujrzałem z morza powstającą bestię… a na jej łbach wypisane bluźnierstwo”.

– Tracimy czas, baronie – powiedział Piter.

– Być może. – Vladimir pokiwał głową. – Wiesz, mój drogi Leto, że w końcu powiesz nam, gdzie oni są. Istnieje poziom bólu, który jest twoją ceną.

„On najprawdopodobniej ma rację – myślał Leto. – Gdyby nie ząb… i fakt, że ja naprawdę nie wiem, gdzie oni są…”

Baron wziął plaster mięsa, wcisnął kąsek do ust, pogryzł powoli i przełknął. „Musimy spróbować z innej beczki” – pomyślał.

– Przyjrzyj się tej bezcennej osobie, która zaprzecza, że można ją kupić – rzekł. – Przyjrzyj mu się, Piterze. – I zamyślił się: „Tak! Obejrzyj go sobie,

tego mężczyznę, który wierzy, że nie jest na sprzedaż. Zobacz go, tego więźnia milionów cząstek własnego jestestwa, sprzedawanych po trochu w każdej sekundzie życia! Postaw go na nogi i potrząśnij nim, a zagrzechocze. Bo jest pusty! Wyprzedany! Co za różnica, jak on umrze?”.

Chrapliwe krzyki na dalszym planie ustały.

Baron zobaczył, jak Umman Kudu, kapitan straży, pojawia się w drzwiach po drugiej stronie pokoju i kręci głową. Jeniec nie udzielił żądanej informacji. Kolejne niepowodzenie.

„Czas skończyć zabawę z tym durnym księciem, z tym głupim, miękkim idiotą, który nie zdaje sobie sprawy, jakie piekło goreje tuż przy nim… zaledwie na grubość nerwu od niego”.

Myśl ta uspokoiła barona, przełamując jego opory przed wydaniem osoby królewskiego rodu na tortury. Zobaczył nagle siebie w roli chirurga dokonującego za pomocą nożyczek nieprzeliczonych wiwisekcji – odkrawania głupcom masek, by wyjrzało spod nich piekło.

„Króliki, wszyscy to króliki – stwierdził. – A jak truchleją ze strachu na widok drapieżcy!”

Leto spoglądał przez stół, dziwiąc się, dlaczego zwleka. Ząb szybko położyłby kres temu wszystkiemu. Dobre jednak było to jego życie, ogólnie rzecz biorąc. Zorientował się, że wspomina latawiec antenowy, szybujący wysoko w błękitnych przestworzach Kaladanu, i Paula śmiejącego się radośnie na ten widok. I zachód słońca tutaj, na Arrakis – pokolorowane warstwy Muru Zaporowego, zaksamitniałe w pylistym omgleniu.

– Wielka szkoda – wymruczał baron.

Odsunął się od stołu, uniósł z lekka w swych dryfach i znieruchomiał niezdecydowany, dostrzegłszy zmianę w księciu. Widział, jak wciąga on głęboko powietrze, zarys jego szczęk twardnieje i marszczą się mięśnie, gdy Leto zaciska zęby niczym imadło. „Ale się mnie boi!” – pomyślał.

Porażony strachem, że baron może mu umknąć, Leto zgryzł raptownie kapsułkę zęba. Poczuł, jak ją kruszy. Otworzył usta i wydmuchnął gryzący opar, którego powstawanie czuł na języku. Baron zmalał mu, widział jego postać niczym w oddalającym się wylocie tunelu. Usłyszał sapnięcie przy swoim uchu – tego o jedwabistym głosie: Pitera.

„Jemu też się dostało!”

– Piterze! Co jest?

Dudniący głos huczał hen, w oddali.

Leto poczuł, jak wspomnienia przetaczają się przez jego pamięć starczym mamrotaniem bezzębnych wiedźm. Pokój, stół, baron, para przerażonych oczu – błękit w błękicie – wszystko to zacieśniło się wokół niego w zrujnowanej symetrii.

Był jakiś człowiek z brodą jak szpic buta, padający człowiek zabawka. Człowiek zabawka miał złamany, przekrzywiony w lewo nos: zepsuty metronom na zawsze zastygły na starcie. Leto usłyszał odgłos tłuczonej porcelany – jakże daleki – niby grzmot. Jego świadomość była jak wiadro, do którego wpadało wszystko: każdy krzyk, każdy szept, każda… cisza.

Pozostała mu jedna myśl. Widział ją w bezkształtnym świetle na promieniach czerni: „Dzień, który kształtuje ciało, ciało, które kształtuje dzień”. Myśl ta poraziła go swą pełnią, której jak wiedział, nigdy już nie zrozumie.

Cisza.

Baron opierał się plecami o swoje ukryte drzwi, o swoją mysią dziurę za stołem. Zatrzasnął je, by oddzielić się od kabiny pełnej trupów. Jego zmysły wyczuwały kręcące się dookoła straże. „Czy ja to wciągnąłem do płuc? – zadawał sobie pytanie. – Obojętnie, co to było… czy i mnie się dostało?”

Powracał mu słuch… i zdolność rozumowania. Słyszał wykrzykiwane przez kogoś rozkazy:

– Maski gazowe… Nie otwierać drzwi… Włączyć dmuchawy.

„Inni padli szybko – pomyślał. – Ja nadal stoję. Nadal oddycham. Co za piekło! Niewiele brakowało!”

Mógł już teraz analizować sytuację. Jego tarcza była ustawiona na niską aktywność, lecz mimo to wystarczającą, by zwolnić wymianę cząsteczek przez osłonę. I odsuwał się od stołu… to oraz sapnięcie porażonego Pitera, które sprawiło, że kapitan straży rzucił się ku niemu na własną zgubę.

Przypadek i ostrzeżenie w postaci westchnienia umierającego człowieka – oto co go ocaliło.

Baron nie czuł wdzięczności dla Pitera. Dureń sam dał się zabić. I ten idiota kapitan straży! Powiedział, że prześwietla każdego przed doprowadzeniem do barona! Jak to możliwe, żeby książę…? Bez żadnego ostrzeżenia. Nawet wykrywacz trucizny nad stołem… a potem było już za późno. Jak to się stało?

„Cóż, teraz to już bez znaczenia – pomyślał, coraz pewniejszy siebie. – Następny kapitan straży zacznie od znalezienia odpowiedzi na te pytania”.

Zdał sobie sprawę z zamętu w końcu korytarza – za zakrętem, pod drugimi drzwiami do owej celi śmierci. Odepchnął się od drzwi i popatrzył po otaczających go sługusach. Stali i w milczeniu gapili się w przestrzeń, czekając na reakcję barona. „Czy baron będzie się gniewał?”

Uświadomił sobie, że od ucieczki z tego strasznego pokoju upłynęło zaledwie parę sekund. Niektórzy strażnicy trzymali broń wycelowaną w drzwi. Inni spoglądali wrogo w stronę pustego korytarza – tam, gdzie zza zakrętu w prawo dochodził hałas.

Zza rogu wyszedł mężczyzna z maską gazową dyndającą mu u szyi na paskach i z oczami bacznie wpatrzonymi w wykrywacze trucizny rozstawione rzędem w korytarzu. Miał żółte włosy, płaską twarz, zielone oczy. Wokół jego ust o grubych wargach rozchodziły się promieniście

głębokie zmarszczki. Wyglądał jak stworzenie wodne, zupełnie nie na miejscu wśród tych, którzy chodzą po ziemi.

Baron wpatrywał się w nadchodzącego mężczyznę, przypominając sobie jego nazwisko: Nefud. Iakin Nefud. Kapral straży. Nefud miał nałogową słabość do semuty, kombinacji narkotyczno-muzycznej działającej na najgłębszą podświadomość. Była to pożyteczna informacja.

Mężczyzna stanął przed baronem i zasalutował.

– Korytarz czysty, mój panie. Obserwowałem sytuację z zewnątrz i zorientowałem się, że to musi być gaz trujący. Wentylatory twego pokoju ciągną powietrze z tych korytarzy. – Zerknął do góry na wykrywacz nad głową barona. – Ani odrobina tego paskudztwa się nie wymknęła. Oczyściliśmy już pomieszczenie. Czekam na rozkazy.

Vladimir rozpoznał głos mężczyzny – to on wykrzykiwał polecenia. „Sprawny jest ten kapral” – pomyślał.

– Tamci wszyscy są martwi? – zapytał.

– Tak, mój panie.

„Cóż, musimy dokonać poprawek” – stwierdził baron.

– Najpierw – powiedział – pozwól, że ci pogratuluję, Nefudzie. Jesteś nowym kapitanem mojej straży. I mam nadzieję, że weźmiesz sobie do serca lekcję, jaką stanowi los twojego poprzednika.

Vladimir przyglądał się, jak jego słowa zapadają w świadomość świeżo promowanego gwardzisty. Nefud wiedział, że już nigdy nie zabraknie mu semuty. Skłonił głowę.

– Pan mój wie, że całkowicie poświęcę się sprawie jego bezpieczeństwa.

– Tak, ale do rzeczy. Podejrzewam, że książę miał coś w ustach. Znajdziesz to, sprawdzisz, jak zostało użyte i kto pomógł mu to tam włożyć. Podejmiesz wszelkie środki…

Urwał, a tok jego myśli poszedł w rozsypkę z powodu awantury, jaka wybuchła w korytarzu za jego plecami. Strażnicy przy drzwiach windy na niższe pokłady lichtugi próbowali nie przepuścić wysokiego pułkownika baszara, który przed chwilą się z niej wyłonił.

Baron nie wiedział, skąd zna twarz pułkownika baszara: wąską, o ustach jak rozcięcie na skórze, z bliźniaczymi atramentowymi plamkami w miejscu oczu.

– Łapy przy sobie, bando ścierwojadów! – ryknął mężczyzna, odrzucając strażników na boki.

„Aaach, jakiś sardaukar” – pomyślał Vladimir.

Pułkownik baszar podążał wielkimi krokami w stronę barona, którego oczy zwęziły się pod wpływem złego przeczucia. Oficerowie sardaukarów napawali go niepokojem. Wszyscy oni przypominali z wyglądu krewnych księcia… świętej pamięci księcia. A ich maniery wobec barona!

Pułkownik baszar zatrzymał się pół kroku przed baronem z rękami na biodrach. Za nim w nerwowej niepewności czaili się strażnicy.

Uwagi Vladimira nie uszedł fakt, że sardaukar nie oddał mu honorów i że zachowywał się lekceważąco, i jego niepokój wzrósł. Na miejscu był zaledwie jeden legion sardaukarów – czyli dziesięć brygad – jako wsparcie dla harkonneńskich legionów, ale baron nie miał złudzeń. Ów legion mógł z powodzeniem zaatakować i pobić Harkonnenów.

– Powiedz swoim ludziom, że mają mi nie przeszkadzać w spotkaniu z tobą – warknął sardaukar. – Moi ludzie dostarczyli ci księcia, nim zdążyłem omówić z tobą jego los. Zrobimy to teraz.

„Nie mogę stracić twarzy w oczach swoich ludzi” – pomyślał baron.

– A więc? – Były to oziębłe, wyważone słowa i Vladimir poczuł się z nich dumny.

– Imperator polecił mi się upewnić, że jego królewski krewniak umrze przyzwoicie, bez męczarni – rzekł pułkownik baszar.

– Takie właśnie otrzymałem rozkazy od władz imperialnych – skłamał baron. – Sądzisz, że bym się do nich nie zastosował?

– Mam zameldować Imperatorowi, co widziały moje oczy – stwierdził sardaukar.

– Książę już zginął – uciął baron i odprawił natręta gestem.

Ale pułkownik baszar w dalszym ciągu tkwił przed nim. Najmniejszym drgnieniem powieki czy mięśnia nie potwierdził, że przyjął odprawę do wiadomości.

– Jak? – warknął.

„Doprawdy – pomyślał baron – tego już za wiele”.

– Z własnej ręki, jeśli już musisz wiedzieć – odparł. – Zażył truciznę.

– Obejrzę ciało – rzekł żołnierz.

Baron wzniósł oczy do sufitu z udaną irytacją; w jego głowie kłębiły się myśli. „Przekleństwo! Ten sokolooki sardaukar zobaczy pomieszczenie, zanim cokolwiek zmienimy!”

– Teraz – warknął pułkownik. – Muszę to wszystko zobaczyć na własne oczy.

Baron zdał sobie sprawę, że nie da się temu zapobiec. Sardaukar zobaczy wszystko. Będzie wiedział, że książę zabił Harkonnenowi ludzi… że sam baron najprawdopodobniej o włos uniknął śmierci. Świadczyły o tym resztki obiadu na stole i trup Leto naprzeciwko, wśród otaczających go śladów zniszczenia. To nieuniknione, nie da się temu zapobiec.

– Nie pozwolę się zbyć – burknął pułkownik baszar.

– Nikt nie próbuje cię zbyć – rzekł baron i spojrzał w obsydianowe oczy sardaukara. – Nie mam nic do ukrycia przed Imperatorem. – Skinął głową

Nefudowi. – Proszę natychmiast pokazać wszystko pułkownikowi baszarowi. Wprowadź go przez drzwi, za którymi stałeś, Nefudzie.

– Proszę tędy, sir – powiedział kapitan.

Niespiesznie, wyniośle sardaukar obszedł barona i przepchnął się przez straże.

„To jest nie do zniesienia – pomyślał Vladimir. – Teraz Imperator dowie się, jaką strzeliłem gafę. Poczyta to za oznakę słabości”.

Dręcząca była świadomość, że Imperator i jego sardaukar mają podobną pogardę dla słabości. Baron zagryzał dolną wargę, pocieszając się, że Szaddam IV nie dowiedział się przynajmniej o atrydzkim rajdzie na Giedi Prime i zniszczeniu harkonneńskich zasobów przyprawy.

„Do cholery z tym szczwanym księciem!”

Śledził oddalające się plecy aroganckiego sardaukara i krępego, kompetentnego Nefuda.

„Musimy dokonać poprawek – myślał. – Trzeba raz jeszcze ustanowić Rabbana zarządcą tej przeklętej planety. Bez żadnych hamulców. Muszę przelać harkonneńską krew, by przygotować Arrakis na odpowiednie przyjęcie Feyda-Rauthy. Przeklęty Piter! Zachciało mu się ginąć, zanim z nim skończyłem. – Westchnął. – I muszę zaraz posłać na Tleilaxa po nowego mentata. Niewątpliwie mają już dla mnie gotowego”.

Jakiś gwardzista zakasłał w pobliżu. Baron zwrócił się do tego człowieka.

– Jestem głodny.

– Tak jest, mój panie.

– I pragnę się rozerwać, zanim posprzątacie ten pokój i przygotujecie dla mnie wyjaśnienie jego sekretów – zagrzmiał.

Gwardzista spuścił oczy.

– Jakiej rozrywki mój pan sobie życzy?

– Będę w swoich sypialniach – powiedział baron. – Przyprowadźcie mi owego młodzieńca kupionego na Gamoncie, tego z pięknymi oczami. Nie żałujcie mu narkotyku. Nie mam ochoty się z nim szarpać.

– Tak jest, mój panie.

Vladimir odszedł do swoich komnat tanecznym krokiem, niesiony dryfami. „Tak – pomyślał. – Tego z pięknymi oczami, który tak bardzo przypomina młodego Paula Atrydę”.

O morza Kaladanu,
O ludzie księcia Leto,
Wieża Leto upadła,
Legła na wieki…

– z *Pieśni Muad’Diba* zebranych przez księżną Irulanę

Paul miał wrażenie, że cała jego przeszłość, każde przeżycie sprzed tej nocy jest osypującym się w klepsydrze piaskiem. Objąwszy kolana, siedział przy matce w niewielkiej budce z tkaniny i plastiku – filtrnamiocie pochodzącym, podobnie jak ubiory, które mieli na sobie, z pozostawionego w ornitopterze fremsaka.

Chłopak nie miał wątpliwości, kto go tam podłożył, kto wyznaczył kurs ornitoptera wiozącego ich w charakterze jeńców.

„Yueh”.

Zdrajca wysłał ich prosto w ramiona Duncana Idaho.

Paul wyglądał przez przezroczystą część filtrnamiotu na księżycowe zjawy skał urozmaicające miejsce, w którym ukrył ich Idaho. „Żeby chować się jak dziecko teraz, kiedy jestem księciem” – pomyślał. Odczuwał gorycz tej myśli, lecz nie mógł odmówić słuszności temu, co zrobili.

Tej nocy coś się stało z jego świadomością – wszelkie wydarzenia i zjawiska wokół siebie widział ze szczególną ostrością. Czuł, że nie potrafi powstrzymać napływu danych ani chłodnej precyzji, z jaką każda nowa pozycja wzbogacała jego wiedzę, podczas gdy świadomość stawała się ośrodkiem kalkulacji. Do możliwości mentata doszło coś jeszcze.

Cofnął się myślą do momentu bezsilnej wściekłości, gdy z głębi nocy spadł na nich obcy ornitopter, pikując nad pustynią wśród wycia wiatru

w skrzydłach niczym gigantyczny jastrząb. Wtedy to w świadomości Paula zaszło owo coś. Ślizgając się po piaskowej redlinie, ornitopter kierował się na uciekające postacie – matkę i jego. Pamiętał woń spalonej siarki od tarcia płóz maszyny o piasek. Matka odwróciła się, czekając na – wiedział to dobrze – wymierzoną w nich lufę rusznicy laserowej w rękach harkonneńskich żołdaków, i rozpoznała Duncana Idaho wychylonego z otwartych drzwi ornitoptera.

– Szybko! Znak czerwia z południa! – wołał.

Ale Paul, odwróciwszy się, wiedział od razu, kto pilotuje jednostkę. Nagromadzenie drobnych szczegółów w sposobie pilotażu i zetknięcia z ziemią – poszlak tak drobnych, że nawet jego matka ich nie wykryła – powiedziało mu dokładnie, kto siedzi za sterami.

W drugim kącie filtrnamiotu poruszyła się Jessika.

– Może być tylko jedno wytłumaczenie – stwierdziła. – Harkonnenowie więzili żonę Yuego. On nienawidził Harkonnenów! Co do tego nie mogę się mylić. Czytałeś jego list. Ale dlaczego ocalił nas z pogromu?

„Dopiero teraz widzi te rzeczy, i to kiepsko” – pomyślał Paul. Wstrząsnęło nim to odkrycie. Sam przyjął ten fakt mimochodem, kiedy czytał list dołączony do książęcego sygnetu we fremsaku.

> „Nie próbujcie mi wybaczać – pisał Yueh. – Nie chcę waszego przebaczenia. Moje brzemię jest już dostatecznie ciężkie. To, co uczyniłem, uczyniłem bez złej woli ani nadziei na zrozumienie. To jest mój tahaddi al-burhan, moja ostateczna próba. Daję wam książęcy sygnet Atrydów na znak, że piszę prawdę. Kiedy będziecie to czytali, książę Leto już nie będzie żył. Znajdźcie pociechę w mym zapewnieniu, że ten, którego nienawidzimy nade wszystko, umarł wraz z nim”.

Brakowało adresu i podpisu, ale nie można się było pomylić co do autora znajomych gryzmołów.

Przypominając sobie list, Paul przeżył raz jeszcze rozpacz tamtej chwili – uczucie ostre i bolesne, którego doznawał jak gdyby poza swoją nową, wyostrzoną świadomością. Przeczytał, że jego ojciec nie żyje, wiedział, że te słowa mówią prawdę, lecz odczuwał je jedynie jako kolejną informację, którą należało wprowadzić do pamięci i w odpowiednim momencie wykorzystać.

„Kochałem ojca – myślał i wiedział, że tak było naprawdę. – Powinienem go opłakiwać. Powinienem coś czuć".

Ale czuł tylko jedno: to ważny fakt. Podobny do wszystkich innych faktów. Przez cały czas jego umysł gromadził wrażenia zmysłowe, ekstrapolując i kalkulując. Wróciły doń słowa Hallecka: „Nastrój można mieć do przejażdżki, do amorów albo do gry na balisecie. Walczysz, kiedy zachodzi konieczność, i to bez względu na nastroje".

„Może o to chodzi – pomyślał. – Opłaczę ojca później… kiedy przyjdzie pora". Jednak chłodna precyzja go nie opuszczała. Domyślał się, że ta nowa świadomość to dopiero początek, że ona wzrasta. Wypełniło go przeczucie straszliwego przeznaczenia, którego doznał po raz pierwszy w trakcie próby z matką wielebną Gaius Heleną Mohiam. Jego prawa dłoń – dłoń zapamiętanego bólu – mrowiła i pulsowała. „Czy na tym właśnie polega bycie Kwisatz Haderach?" – zachodził w głowę.

– Przez chwilę myślałam, że Hawat znowu nas zawiódł – powiedziała Jessika. – Myślałam, że może Yueh nie był doktorem Suka.

– Był tym, za kogo go mieliśmy… i kimś więcej – rzekł Paul. I pomyślał: „Dlaczego tak opornie docierają do niej te sprawy?". – Jeśli Idaho nie dotrze do Kynesa, będziemy…

– On nie jest naszą ostatnią nadzieją – powiedziała.

– Niczego takiego nie sugerowałem – odparł.

Usłyszała w jego głosie twardość stali, władczy ton i spojrzała nań przez szarą ciemność filtrnamiotu. Sylwetka Paula rysowała się na tle posrebrzonych księżycem skał widocznych za przezroczystą ścianą ich schronienia.

– Inni ludzie twego ojca już pouciekali – stwierdziła. – Musimy ich pozbierać, odszukać…

– Będziemy polegać na sobie – rzekł. – Najpilniejszą dla nas sprawą jest broń jądrowa naszego rodu. Musimy ją zabrać, nim zostanie odnaleziona przez Harkonnenów.

– Nie wydaje mi się, by ją odnaleźli w takim ukryciu.

– Nie wolno tego zdać na przypadek.

„Szantaż za pomocą broni jądrowej rodu, zagrożenie planecie i jej przyprawie, oto co mu chodzi po głowie – pomyślała. – Ale jedyne, na co może potem liczyć, to ucieczka w anonimowość banicji”.

Słowa matki wywołały u Paula inny ciąg myśli – troskę księcia o tych wszystkich, których utracili tej nocy. „Ludzie to faktyczna siła wysokiego rodu” – pomyślał i wspomniał wypowiedź Hawata: „Smutek jest w rozstaniu z przyjaciółmi. Miejsce to tylko miejsce”.

– Wykorzystują sardaukarów – stwierdziła Jessika. – Musimy zaczekać, aż sardaukarzy zostaną wycofani.

– Chcą nas uwięzić między pustynią a sardaukarami – rzekł Paul. – Zamierzają nie pozostawić żadnych atrydzkich niedobitków. Totalna eksterminacja. Nie licz na to, że ktokolwiek z naszych ludzi zdoła uciec.

– Nie mogą ciągnąć tego bez końca, ryzykując wyjście na jaw udziału Imperatora.

– Nie mogą?

– Jacyś nasi ludzie muszą uciec.

– Muszą?

Jessika odwróciła głowę, przerażona siłą zawziętości w głosie syna, kiedy mówił, precyzyjnie ważąc szanse. Wyczuwała, że Paul mentalnie wysforował się przed nią, że pod niektórymi względami widzi teraz więcej niż ona. Sama pomogła szkolić inteligencję, która tego dokonała, a teraz poczuła strach przed nią. Podążyła myślą ku utraconemu azylowi u boku księcia i łzy zapiekły ją w oczach.

„Tak to już musi być, Leto – pomyślała. – Jest czas miłości i czas płaczu”. Wsparła dłoń na brzuchu, skupiając całą świadomość na płodzie, który nosiła. „Mam atrydzką córkę, którą przykazano mi zrodzić, ale matka wielebna nie miała racji: córka nie ocaliłaby mojego Leto. To dziecko to jedynie pomost życia przerzucony ze środka śmierci w przyszłość. Poczęłam je za sprawą instynktu, a nie posłuszeństwa”.

– Spróbuj raz jeszcze nastawić odbiornik ogólnej emisji – powiedział Paul.

„Umysł pracuje dalej, nie zważając na to, że próbujemy go powstrzymać” – stwierdziła Jessika.

Znalazła maleńki odbiornik zostawiony im przez Idaho, pstryknęła wyłącznikiem. Na skali aparatu rozjarzyło się zielone światełko, z głośnika dobiegło metaliczne skrzeczenie. Ściszyła, przeleciała przez pasma. Do namiotu wdarł się głos mówiący w języku walki Atrydów:

– …do tyłu i przegrupować się na grani. Fedor melduje, że w Kartagin nikt nie ocalał, a Bank Gildii złupiono.

„Kartagin! – pomyślała Jessika. – To było gniazdo Harkonnenów”.

– To sardaukarzy – powiedział głos. – Uwaga na sardaukarów w mundurach Atrydów. Oni są…

Głośnik wypełniły wrzaski, a po nich zaległa cisza.

– Spróbuj innego pasma – poprosił Paul.

– Zdajesz sobie sprawę, co to znaczy? – spytała Jessika.

– Spodziewałem się tego. Chcą, by Gildia winiła nas za zniszczenie jej banku. Mając Gildię przeciwko sobie, jesteśmy na Arrakis w potrzasku. Daj inne pasmo.

Zważyła na jego słowa: „Spodziewałem się tego”. Co się z nim stało? Z wolna wróciła do aparatu. W miarę jak przesuwała selektor pasm, łapali odgłosy bitwy, które rozpoznawała dzięki zawołaniom w języku walki Atrydów: „Wycofać się… Spróbujcie się przegrupować w… Odcięci w grocie przy…”.

Nie można się było pomylić co do zwycięskiego upojenia, które pobrzmiewało w harkonneńskim szwargocie wylewającym się z pozostałych pasm. Ostre komendy, meldunki z walk. Za mało było tego, by Jessika mogła zarejestrować i zrozumieć ten język, ale ton był oczywisty.

Zwycięstwo Harkonnenów.

Paul potrząsnął sakwą u swego boku, usłyszał bulgot dwóch literjonów wody. Wziął głęboki wdech i podniósł oczy na skalne bastiony zarysowane za przezroczystą ścianą namiotu na tle gwiazd. Lewą dłonią namacał zwieracz plomby wejściowej.

– Wkrótce będzie świtać – stwierdził. – Możemy czekać na Idaho cały dzień, ale już nie następną noc. Na pustyni trzeba podróżować nocą i odpoczywać w cieniu za dnia.

Zapamiętana nauka sama znalazła drogę do świadomości Jessiki: „Człowiek bez filtraka potrzebuje w cieniu na pustyni pięć litrów wody dziennie do zachowania wagi ciała”. Odczuwając miękką gładź filtraka, myślała, jak dalece od tych ubiorów zależy ich życie.

– Jeżeli stąd odejdziemy, Idaho nas nie znajdzie – powiedziała.

– Każdego człowieka można zmusić do mówienia – rzekł Paul. – Jeżeli Idaho nie wróci do świtu, musimy się liczyć z tym, że go schwytano. Jak

długo, twoim zdaniem, mógłby wytrzymać?

Pytanie nie wymagało odpowiedzi, więc siedziała w milczeniu. Paul rozpiął fremsak, wyciągnął filigranowy mikroleksykon z fiszką jarzeniową i szkłem powiększającym. Na stronicach leksykonu rozjarzyły się zielono-pomarańczowe słowa: „literjony, filtrnamiot, pigułki energetyczne, odłówki, piachochrapy, lorneta, niezbędnik do filtraka, barwolwer, nieckogram, filtrwtyki, parakompas, haki stworzyciela, dudniki, fremsak, słup ognia…”.

Ileż trzeba tych przedmiotów, żeby przeżyć na pustyni. Po chwili odłożył leksykon na podłogę.

– Dokąd powinniśmy pójść? – zapytała Jessika.

– Ojciec mówił o potędze pustynnej – rzekł Paul. – Harkonnenowie nie mogą bez niej władać tą planetą, ale oni nią nigdy nie władali i władać nie będą. Nawet z dziesięcioma tysiącami legionów sardaukarów.

– Paulu, chyba nie myślisz…

– Mamy w ręku wszystkie dowody – powiedział. – Właśnie tu, w tym namiocie: sam namiot, tę sakwę i jej zawartość, filtraki. Wiemy, że Gildia wyznaczyła zaporowe ceny za satelity meteorologiczne. Wiemy, że…

– Co mają do tego satelity meteorologiczne? Przecież one nie mogą… – Urwała.

Paul czuł, jak jego żywy umysł rejestruje reakcje matki, oglądając najdrobniejsze szczegóły.

– Właśnie to dostrzegłaś – stwierdził. – Satelity obserwują teren pod sobą. W głębokiej pustyni są rzeczy, które nie zniosą częstych oględzin.

– Chcesz powiedzieć, że to Gildia włada tą planetą?

Jakże mało była bystra!

– Nie! – rzekł. – Fremeni! Oni płacą Gildii za ukrycie przed światem. I to w walucie dostępnej bez ograniczeń każdemu, kto włada potęgą pustynną:

w przyprawie. To już nawet nie jest kolejne przybliżenie rozwiązania. To zwykła arytmetyka. Możesz mi wierzyć.

– Paulu – powiedziała Jessika – jeszcze nie jesteś mentatem, nie możesz wiedzieć na pewno…

– Nigdy nie będę mentatem – odparł. – Jestem czymś innym… wynaturzeniem.

– Paulu! Jak możesz wygadywać takie…

– Daj mi spokój!

Odwrócił się od niej i zapatrzył w ciemności. „Dlaczego nie mogę płakać?” – myślał. Czuł, że każdą cząsteczką swej istoty łaknie tej ulgi, która miała mu być odmówiona na zawsze.

Jessika nigdy nie słyszała w głosie syna takiej rozpaczy. Pragnęła wyciągnąć ramiona, objąć go, ukoić, pomóc mu – ale czuła, że nic nie może zrobić. Sam musiał rozwiązać ten problem.

Jej wzrok przyciągnęła leżąca między nimi na podłodze namiotu fiszka jarzeniowa leksykonu z fremsaka. Podniósłszy ją, zerknęła na wklejkę i przeczytała: „Przewodnik po przyjaznej pustyni, miejscu życiem kipiącym. Tu są ajat i burhan życia. Miej wiarę, a al-Lat nigdy cię nie spali”.

„To brzmi jak *Księga Azhara* – pomyślała, przypominając sobie swoje studia nad Wielkimi Tajemnicami. – Czyżby na Arrakis bawił manipulator religii?”

Paul wyjął z fremsaka parakompas, po czym go odłożył.

– Zastanów się nad tymi wszystkimi fremeńskimi przyrządami specjalnego przeznaczenia – powiedział. – Są niedościgłe w swym zaawansowaniu. Przyznaj to. Kultura, która stworzyła te przedmioty, zdradza głębie, jakich nikt nie podejrzewał.

Ociągając się, nadal zaniepokojona szorstkością jego głosu, Jessika powróciła do książki. Oglądała ilustrację gwiazdozbioru z arrakijskiego nieba: „Muad'Dib – Mysz". Zwróciła uwagę, że ogon tej myszy wskazuje północ.

W mroku namiotu Paul widział majaczące niewyraźnie ruchy matki, które zdradzała fiszka jarzeniowa leksykonu.

„Pora spełnić życzenie ojca – pomyślał. – Muszę przekazać jej tę wiadomość teraz, kiedy ma czas na łzy. Później łzy będą nam przeszkadzać". Precyzja tej logiki wstrząsnęła nim.

– Matko – powiedział.

– Tak?

Usłyszała zmianę w jego głosie i poczuła wewnątrz chłód od samego tonu. Nigdy nie spotkała się z tak bezwzględnym opanowaniem.

– Mój ojciec nie żyje.

Odszukała w sobie i skojarzyła fakt z faktem i z jeszcze jednym faktem – metodą Bene Gesserit szacowania danych – i wtedy to do niej dotarło: uczucie potwornej straty.

Kiwnęła głową, niezdolna się odezwać.

– Ojciec polecił mi kiedyś – rzekł Paul – przekazać ci wiadomość, gdyby coś mu się stało. Obawiał się, że mogłabyś uwierzyć, że ci nie ufał.

„Tamto bezsensowne podejrzenie" – pomyślała.

– Chciał, byś wiedziała, że nigdy cię nie podejrzewał – oznajmił Paul i wyjaśnił tamtą grę. – Chciał, byś wiedziała, że zawsze ufał ci bezgranicznie, że zawsze kochał cię i miłował. Powiedział, że prędzej zwątpiłby w siebie i żałuje tylko jednego: że nigdy nie uczynił cię księżną.

Otarła łzy spływające jej po policzkach, myśląc: „Cóż za idiotyczne marnotrawstwo wody!". Wiedziała, że ta myśl jest próbą ucieczki od rozpaczy w gniew. „Leto, mój Leto – westchnęła w duchu. – Jakież straszne

krzywdy wyrządzamy tym, których kochamy!” Gwałtownym ruchem zgasiła fiszkę jarzeniową maleńkiego leksykonu.

Wstrząsnął nią szloch.

Paul słyszał rozpaczającą matkę i czuł w sobie pustkę. „Nie ma we mnie rozpaczy – stwierdził. – Dlaczego? Dlaczego?” Niemożność oddania się rozpaczy odbierał jako straszną ułomność.

„Jest czas brania i czas tracenia – powtarzała sobie Jessika, cytując Biblię P-K – jest czas posiadania i czas odrzucania; jest czas miłości i czas nienawiści; jest czas wojny i czas pokoju”.

Myśl Paula poszybowała naprzód z lodowatą precyzją. Dojrzał przed nimi aleje wiodące przez tę wrogą planetę. Nawet bez zaworu bezpieczeństwa w postaci snu zogniskował swoją proroczą świadomość, traktując to jako rachunek najprawdopodobniejszych wariantów przyszłości, ale z dodatkową otoczką tajemnicy – jak gdyby zanurzał się myślą w jakąś bezczasową warstwę i doświadczał prądów przyszłości.

Znienacka, jakby znalazł niezbędny klucz, jego umysł zdobył następną przełęcz w świadomości. Poczuł, jak chwyta się z całych sił tego nowego poziomu, jak czepia się kurczowo ryzykownego oparcia i rozgląda dookoła. Czuł się niczym we wnętrzu kuli, z której promieniście rozchodzą się drogi… jednakże obraz ten tylko w przybliżeniu oddawał owo doznanie.

Przypomniał sobie, jak widział kiedyś chustę z gazy, którą porwał wiatr. Teraz odczuwał przyszłość jako coś wijącego się po powierzchni równie falującej i niestałej jak niesiona wiatrem chusta.

Zobaczył ludzi.

Poczuł żar i chłód nieprzebranych możliwości.

Poznał imiona i miejsca, przeżył niezliczone emocje, zgłębił niezliczone, niezbadane umysły. Miał czas, by sondować i badać, ale nie miał czasu, by kształtować.

Było to całe spektrum szans, od najodleglejszej przeszłości po najodleglejszą przyszłość, od najmniej prawdopodobnego po najbardziej prawdopodobne. Ujrzał swą śmierć w nieprzeliczonych postaciach. Ujrzał nowe planety, nowe cywilizacje.

Ludzi. Mnóstwo ludzi.

Zobaczył takie ich rojowiska, że nie zmieściliby się w żadnym spisie, a jednak jego umysł ich skatalogował.

I nawet gildian.

„Gildia – pomyślał. – Tam znalazłoby się dla nas miejsce. Moją odmienność przyjęto by jako rzecz swojską i cenną, zawsze też mielibyśmy niezbędną już teraz przyprawę".

Odstręczała go wszakże perspektywa spędzania życia na błądzeniu-myślą-po-omacku-wśród-możliwych-przyszłości – w charakterze latarni dla przemierzających kosmos statków. Jednak była to jakaś droga. Ujrzawszy zaś prawdopodobną przyszłość, a w niej gildian, dostrzegł swoją odmienność.

„Mam inny rodzaj widzenia. Widzę innego rodzaju terytorium: dostępne ścieżki". Konstatacja ta przyniosła spokój, ale i obawę – tak wiele miejsc w owym innego rodzaju terytorium kryło się przed nim lub znikało z jego pola widzenia.

Doznanie to skończyło się równie szybko, jak zaczęło. Paul zdał sobie sprawę, że całość trwała ledwie uderzenie serca, lecz jego świadomość została wywrócona do góry nogami i rozjaśniła się w straszliwy sposób.

Rozejrzał się wokoło. Noc nadal okrywała filtrnamiot schowany w skalnej kryjówce. Nadal słychać było szloch matki. Nadal odczuwał brak rozpaczy – to puste miejsce odgrodzone od jego umysłu, który pracował bez przerwy równym rytmem, przetwarzając dane, oceniając, licząc, dostarczając odpowiedzi na sposób podobny do działania mentata.

Zorientował się, że ma teraz bogactwo danych, jakie niewiele podobnych mu umysłów kiedykolwiek ogarnęło. Jednak nie pomagało mu to znosić owego pustego miejsca. Czuł, że coś musi się rozpaść. Było tak, jakby w jego wnętrzu umieszczono tykający mechanizm bomby zegarowej. Tykanie nie ustawało, podążając ku swemu przeznaczeniu, niezależne od jego woli. Odmierzało najmniejsze nawet zmiany wokół niego – ułamkowy spadek temperatury, lekką zmianę wilgotności, drogę owada chodzącego po dachu ich filtrnamiotu, uroczyste nadciąganie świtu na rozgwieżdżonym skrawku nieba widocznym za przezroczystą ścianą namiotu.

Pustka była nie do wytrzymania. Świadomość tego, jak został wprawiony w ruch mechanizm zegarowy, nie miała znaczenia. Potrafił zajrzeć we własną przeszłość i zobaczyć sam początek: szkolenie, wyostrzanie zdolności, subtelną presję wyrafinowanych dyscyplin, nawet otarcie się o Biblię P-K w krytycznym momencie… i wreszcie obfity zastrzyk przyprawy. Potrafił też spojrzeć w przód – w najstraszliwszą stronę – i ujrzeć, dokąd to wszystko wiedzie.

„Jestem potworem! – pomyślał. – Odmieńcem!”

– Nie – rzekł, a potem dodał głośniej: – Nie. Nie! Nie!!!

Spostrzegł, że bije pięściami w podłogę namiotu. (Obojętna część jaźni Paula odnotowała to jako interesujący emocjonalny element danych i wprowadziła do obliczeń).

– Paulu!

Była przy nim matka; trzymała go za ręce, a szara plama jej twarzy pochylała się ku niemu.

– Paulu, co ci jest?

– Ty!

– Jestem przy tobie – powiedziała. – Wszystko będzie dobrze.

– Coś ty mi zrobiła?

Z nagłą jasnością wyczuła niektóre podteksty jego pytania.

– Wydałam cię na świat – odparła.

Tyleż instynktownie, co na podstawie subtelnej wiedzy odpowiedziała dokładnie tak, jak należało, by go uspokoić.

Poczuł, że matka go obejmuje, skupił się na niewyraźnym zarysie jej twarzy. (Jego rozpędzony umysł dostrzegł na nowo pewne genetyczne cechy w tym obliczu – poszlaki zostały dodane do reszty informacji i wyskoczył wynik sumowania).

– Puść mnie – powiedział.

Stalowy ton Paula sprawił, że usłuchała.

– Zechcesz powiedzieć mi, co ci jest?

– Wiedziałaś, co robisz, kiedy mnie szkoliłaś? – zapytał.

„Nie ma już śladu po dzieciństwie w tym głosie” – pomyślała.

– Przyświecała mi nadzieja wszystkich rodziców: że będziesz… lepszy, inny.

– Inny?

Uderzyła ją gorycz, z jaką to powiedział.

– Paulu, ja… – zaczęła.

– Ty nie chciałaś syna! – rzekł. – Ty chciałaś Kwisatz Haderach! Chciałaś męskiej Bene Gesserit!

Wzdrygnęła się, wyczuwszy nagromadzoną w nim żółć.

– Ależ, Paulu…

– Czy kiedykolwiek uzgadniałaś to z moim ojcem?

– Czymkolwiek jesteś, Paulu – odparła łagodnie pod wpływem rozpaczy – jest to tak samo dziedzictwo twego ojca jak moje.

– Ale nie szkolenie – powiedział. – Nie rzeczy, które… rozbudziły… licho.

– Licho?

– Jest tutaj. – Położył dłoń na głowie, a następnie na piersi. – We mnie. Gna coraz dalej i dalej, i dalej, i…

– Paulu!

Słyszała wzbierającą w jego głosie histerię.

– Wysłuchaj mnie – rzekł. – Chciałaś, by matka wielebna dowiedziała się o moich snach? Posłuchaj teraz zamiast niej. Śniłem właśnie na jawie. Wiesz, dlaczego?

– Musisz się uspokoić – powiedziała. – Jeśli coś…

– Przyprawa – przerwał jej. – Jest tutaj we wszystkim: w powietrzu, w glebie, w pożywieniu. Przyprawa *geriatryczna*. To jak narkotyk prawdomówczyni. To trucizna!

Jessika zesztywniała.

– Trucizna… – powtórzył ciszej. – Jakże subtelna… jakże zdradliwa… jakże nieodwracalna. Ona cię nawet nie zabije, chyba że przestaniesz ją zażywać. Nie możemy opuścić Arrakis, chyba że zabierzemy część Arrakis ze sobą.

Potworny despotyzm jego głosu wykluczał wszelką dyskusję.

– Ty i przyprawa – ciągnął Paul. – Przyprawa zmienia każdego, kto zażywa ją w takich ilościach, ale to dzięki tobie mogłem uświadomić sobie tę zmianę. Nie mogę zostawić jej w nieświadomości, gdzie taki niepokój daje się stłumić. Ja ją widzę.

– Paulu, ty…

– Ja ją widzę! – powtórzył.

Słyszała szaleństwo w jego głosie i nie wiedziała, co robić. Kiedy jednak odezwał się znowu, spostrzegła, że wraca jego zimne opanowanie.

– Jesteśmy w potrzasku.

„Jesteśmy w potrzasku” – przyznała w myśli. I przyjęła zawartą w jego słowach prawdę. Żaden nacisk Bene Gesserit, żaden wybieg ani podstęp nie

mogły uwolnić ich całkowicie od Arrakis – przyprawa wywoływała uzależnienie. Jej ciało pojęło ten fakt na długo przed tym, zanim uświadomił to sobie jej umysł.

„A więc to tutaj spędzimy życie – pomyślała. – W tym piekle. To miejsce jest gotowe na przyjęcie nas, jeśli tylko zdołamy się ustrzec Harkonnenów. A moja rola nie budzi żadnych wątpliwości: jestem klaczą zarodową, która ma zachować linię tak ważną dla planu Bene Gesserit".

– Muszę ci opowiedzieć o moim śnie na jawie – rzekł Paul. W jego głosie pobrzmiewała wściekłość. – Dla pewności, że przyjmiesz moje słowa, powiem ci najpierw, że wiem, iż urodzisz na Arrakis córkę, moją siostrę.

Jessika odepchnęła się dłońmi od podłogi namiotu i przywarła plecami do jego półkolistej ściany, by opanować nagły skurcz strachu. Wiedziała, że jej brzemienności jeszcze nie widać. Jedynie szkolenie Bene Gesserit pozwalało jej odbierać pierwsze nikłe sygnały ciała, odkryć istnienie parotygodniowego ledwie zarodka.

– Tylko po to, aby służyć – wyszeptała, czepiając się dewizy Bene Gesserit. – Istniejemy tylko po to, aby służyć.

– Znajdziemy dom u Fremenów – oznajmił Paul – wśród których wasza Missionaria Protectiva przygotowała nam schronienie.

„Przygotowały nam drogę na pustynię – powiedziała sobie Jessika – ale skąd on może wiedzieć o Missionaria Protectiva?" Coraz trudniej przychodziło jej zapanować nad strachem przed przemożną dziwnością syna.

Paul przyglądał się w mroku sylwetce matki, dzięki swej nowej świadomości widząc każdą jej reakcję, również ten strach, jakby postać Jessiki naszkicowano liniami oślepiającego światła. Zrobiło mu się jej żal.

– Trudno mi opowiedzieć ci o rzeczach, które mogą się tutaj wydarzyć – rzekł. – Trudno mi opowiedzieć o nich nawet sobie, chociaż je widziałem. Ten zmysł przyszłości… wydaje się, że nad nim nie panuję. To się po prostu dzieje. Najbliższą przyszłość… rok, powiedzmy… mogę częściowo dojrzeć: drogę tak szeroką jak Aleja Centralna na Kaladanie. Niektórych miejsc nie widzę… miejsc zacienionych… jakby droga biegła z drugiej strony pagórka (i znowu pomyślał o chuście na wietrze)… ma też odnogi…

Zamilkł, wspomniawszy tę wizję. Żaden proroczy sen, żadne doświadczenie nie przygotowało go na totalność, z jaką zasłona przyszłości została rozdarta i odsłoniła nagi czas. W doznaniu tym rozpoznał swoje straszliwe przeznaczenie: napór życia, które rozchodziło się na zewnątrz niczym pęczniejąca bańka, przed którą ustępuje czas…

Jessika odnalazła przycisk fiszki jarzeniowej namiotu i włączyła ją.

Nikłe zielone światło odepchnęło cienie, kojąc jej strach. Utkwiła wzrok w twarzy Paula, w jego oczach… w tym pustym spojrzeniu. I pojęła, gdzie spotkała się z takim wyrazem twarzy: na filmach o klęskach żywiołowych. Na twarzach dzieci, które zaznały głodu albo strasznej krzywdy. Oczy miał jak studnie, usta jak prostą kreskę, policzki zapadnięte. „To wyraz straszliwej świadomości – pomyślała – kogoś, kto musiał zrozumieć własną śmiertelność”.

Tak, dzieciństwo miał już za sobą.

Podstawowe znaczenie słów Paula zaczęło dominować w jej myślach, spychając na bok wszystko inne. On potrafi dostrzec przyszłość, dzięki temu mogą się uratować.

– Istnieje sposób uniknięcia Harkonnenów – powiedziała.

– Harkonnenów! – powtórzył szyderczo. – Wyrzuć te zwyrodniałe istoty z myśli. – Wpatrzył się w matkę, studiując jej rysy w świetle fiszki jarzeniowej. Te rysy ją zdradzały.

– Nie powinieneś wyrażać się o ludziach jak o istotach pozbawionych… – zaczęła.

– Nie bądź taka pewna, że wiesz, gdzie przebiega granica – przerwał jej. – Nosimy w sobie naszą przeszłość. I, matko moja, jest coś, o czym nie wiesz, a powinnaś: my jesteśmy Harkonnenami.

Z jej umysłem stało się coś strasznego: zgasł, jakby się zamknął na wszelkie doznania. Jednak głos Paula biegł dalej tym nieubłaganym rytmem, wlokąc go za sobą.

– Kiedy przy najbliższej okazji znajdziesz lustro, przyjrzyj się swojej twarzy… przyjrzyj się teraz mojej. Znajdziesz w niej ślady, jeżeli nie zamkniesz na nie oczu. Spójrz na moje dłonie, układ kości. A jeżeli nic z tego cię nie przekona, uwierz mi na słowo. Schodziłem przyszłość, widziałem świadectwa, patrzyłem na miejsca, mam wszystkie dane. Jesteśmy Harkonnenami.

– Jakąś… zaprzańczą gałęzią rodu – powiedziała. – O to chodzi, nieprawdaż? Jakiś harkonneński krewniak, który…

– Jesteś rodzoną córką barona – rzekł Paul i obserwował, jak przyciska dłonie do ust. – W młodości baron zakosztował wielu uciech i kiedyś pozwolił się uwieść. Ale został uwiedziony dla genetycznych celów Bene Gesserit przez jedną z was.

Sposób, w jaki wymówił „was”, odczuła jak policzek, lecz ożywiło to jej umysł i nie mogła zaprzeczyć jego słowom. Tak wiele ślepych zaułków w labiryncie jej przeszłości otworzyło się teraz i powiązało. Żądana przez Bene Gesserit córka nie miała położyć kresu starej waśni Atrydów z Harkonnenami, lecz umocnić jakiś genetyczny czynnik w tych rodach. Jaki? Po omacku szukała odpowiedzi.

Jakby zaglądając do jej umysłu, Paul oznajmił:

– Chodziło im o mnie. Jednak nie jestem tym, czego oczekiwały, w dodatku zjawiłem się przed czasem. I one o tym nie wiedzą.

Jessika zatkała dłońmi usta. „Wielka Macierzy! On jest Kwisatz Haderach!” Poczuła się obnażona, uświadomiwszy sobie, że spoglądają na nią oczy, przed którymi niewiele mogło się ukryć. I wiedziała, że to właśnie jest przyczyna jej lęku.

– Myślisz, że jestem Kwisatz Haderach – rzekł. – Wybij to sobie z głowy. Jestem czymś nieoczekiwanym.

„Muszę dać znać którejś ze szkół – pomyślała. – Ceduła doboru może wykazać, co się stało”.

– Dowiedzą się o mnie, gdy będzie już za późno – powiedział.

Spróbowała odwrócić jego uwagę. Opuściła ręce i zapytała:

– Czy znajdzie się dla nas miejsce wśród Fremenów?

– Fremeni mają powiedzenie przypisywane Szej-huludowi, Praojcu Wieczności – rzekł. – Mówią: „Bądź gotów cieszyć się tym, co napotkasz”. – I pomyślał: „Owszem, matko moja, wśród Fremenów. Będziesz miała błękitne oczy i odciski pod swym ślicznym noskiem od rurki filtraka… I zrodzisz moją siostrę, Świętą Alię od Noża”.

– Jeżeli nie jesteś Kwisatz Haderach – powiedziała Jessika – to…

– W żaden sposób nie mogłaś wiedzieć – stwierdził. – Nie uwierzysz w to, dopóki nie zobaczysz. – I pomyślał: „Jestem nasieniem”.

Nagle pojął, jak żyzny jest grunt, na który go rzucono, i ogarnęło go straszliwe przeznaczenie, wpełzając przez puste miejsce w jego jestestwie i grożąc mu zadławieniem rozpaczą.

Przed sobą widział dwie główne odnogi. Na jednej stawał przed nikczemnym starym baronem i mówił: „Cześć, dziadku”. Myśl o tej ścieżce i o tym, co go na niej czeka, zemdliła go.

Druga ścieżka składała się z długich, zakrytych przed nim szarych odcinków, z wyjątkiem wybuchów przemocy. Widział tam religię wojowników, płomień ogarniający wszechświat i zielono-czarną flagę Atrydów powiewającą na czele fanatycznych legionów upojonych przyprawowym trunkiem. Był tam Gurney Halleck i garstka innych ludzi ojca – żałosna garstka – a wszyscy naznaczeni byli symbolem jastrzębia z kaplicy czaszki Leto.

– Nie mogę iść tą drogą – wyszeptał Paul. – Tego w gruncie rzeczy chcą stare czarownice z waszych szkół.

– Nie rozumiem cię, Paulu – powiedziała Jessika.

Nie odzywał się. Myślał jak nasienie, którym był, myślał ze świadomością gatunku, której po raz pierwszy doświadczył jako straszliwego przeznaczenia. Odkrył, że nie potrafi dłużej nienawidzić Bene Gesserit, Imperatora czy nawet Harkonnenów. Porwało ich wszystkich dążenie gatunku do odnowy rozproszonego dziedzictwa, do krzyżowania, mieszania i łączenia linii genetycznych w nową, wielką pulę genów. A gatunek znał na to tylko jeden skuteczny sposób – odwieczny, wypróbowany i niezawodny sposób, który obalał wszystko na swej drodze: dżihad.

„Z pewnością nie mogę wybrać tej drogi” – pomyślał, lecz znów zobaczył oczami duszy kaplicę czaszki ojca i przemoc, nad którą powiewała zielono-czarna flaga.

Jessika odchrząknęła, zaniepokojona jego milczeniem.

– Więc Fremeni zapewnią nam azyl?

Podniósł oczy i przez zielono oświetlony namiot wpatrzył się w odziedziczone przez nią patrycjuszowskie rysy.

– Tak – powiedział. – To jedna z dróg. – Skinął głową. – Tak. Oni nazwą mnie… Muad’Dib, Ten Kto Wskazuje Drogę. Tak… Tak właśnie będą mnie

nazywać. – Zamknął oczy i pomyślał: „Teraz, mój ojcze, mogę cię opłakiwać”. I poczuł spływające po policzkach łzy.

KSIĘGA
2

MUAD’DIB

Kiedy mój ojciec, Padyszach Imperator, dowiedział się o śmierci księcia Leto i jej okolicznościach, wpadł we wściekłość, jakiej nigdy do tej pory u niego nie widzieliśmy. Oskarżał moją matkę i umowę zmuszającą go do osadzenia Bene Gesserit na tronie. Oskarżał Gildię i nikczemnego starego barona. Oskarżał każdego, kto mu się nawinął, nie wyłączając nawet mnie, bo, jak mówił, jestem czarownicą jak wszystkie inne. A gdy usiłowałam go pocieszyć, mówiąc, że postąpiono zgodnie ze starodawnym prawem samozachowania, szanowanym nawet przez najdawniejszych władców, wyśmiał mnie i zapytał, czy uważam go za mięczaka. Wtedy zrozumiałam, że do furii doprowadził go nie żal po zmarłym księciu, lecz to, co owa śmierć oznaczała dla królewskiej krwi. Kiedy wracam do tego pamięcią, myślę, że również mój ojciec mógł mieć pewien dar czytania przyszłości, ponieważ bez wątpienia linia jego i Muad'Diba miały wspólnych przodków.

– z *W domu mojego ojca* pióra księżnej Irulany

– Teraz Harkonnen zabije Harkonnena – wyszeptał Paul.

Obudził się krótko przed zapadnięciem nocy, w pozycji siedzącej, w uszczelnionym i zaciemnionym filtrnamiocie. Gdy to mówił, słyszał drobne ruchy matki spod przeciwległej ściany namiotu, gdzie spała.

Rzucił okiem na czujnik zbliżeniowy na podłodze, sprawdzając tarcze oświetlone w mroku luminoforami.

– Wkrótce nadejdzie noc – powiedziała Jessika. – Może byś podniósł burty namiotu?

Paul zdał sobie sprawę, że jakiś czas temu jej oddech się zmienił, że zachowywała w ciemności milczenie, aż się upewniła, iż on nie śpi.

– Podniesienie burt nic nie da – rzekł. – Była burza. Piasek przykrył namiot. Odkopię nas niebawem.

– Wciąż ani śladu Duncana?

– Ani śladu.

Paul bezwiednie potarł książęcy sygnet na kciuku i zadygotał w przypływie wściekłości na samą istotę tej planety, która przyczyniła się do zamordowania jego ojca.

– Słyszałam nadciąganie burzy – stwierdziła Jessika.

Te nic niewnoszące słowa matki pomogły mu nieco w odzyskaniu spokoju. Przypomniał sobie, jak się zaczynała za przezroczystą ścianką ich filtrnamiotu – zimne nitki piasku przebiegające basen, potem zaś strugi i warkocze prujące niebiosa. Zapatrzył się na skalną iglicę, która na jego oczach zmieniała kształt pod tym uderzeniem, przechodząc w niski klin barwy cheddara. Piach nawiewany do basenu przyćmił niebo mętnym curry, a następnie odciął wszelkie światło, przykrywając namiot.

Kabłąki namiotu raz jeden skrzypnęły, przyjmując nacisk, i zapadła cisza przerywana tylko stłumionym sapaniem chrap tłoczących z zewnątrz powietrze.

– Sprawdź jeszcze raz odbiornik – powiedziała Jessika.

– Nie ma sensu.

Odnalazł wodowód filtraka w chomątku na szyi, wypił ciepławy haust i pomyślał, że oto zaczyna prawdziwą arrakijską egzystencję – żyjąc wilgocią odzyskaną ze swego oddechu i ciała. Jałowa i bez smaku była ta woda, lecz przynajmniej przepłukał gardło.

Jessika usłyszała, że Paul pije, wyczuła przyleganie własnego filtraka do ciała, ale swego pragnienia nie przyjęła do wiadomości. Godząc się na nie, należałoby zaakceptować w pełni straszliwe rygory Arrakis, na której trzeba strzec nawet śladowych ilości wilgoci, troszczyć się o parę kropel z odłówek namiotu i odmawiać sobie oddechu pod gołym niebem.

O ileż łatwiej było zapaść z powrotem w sen. Jednak tego dnia coś jej się przyśniło i wspomnienie owego zwidu przyprawiło ją o drżenie.

We śnie zanurzała dłonie w rzece piasku, gdzie napisano: „Książę Leto Atryda”. Piach zasypywał słowa, a ona krzątała się, by je odtworzyć, lecz zanim dotarła do ostatniej litery, zacierała się pierwsza. Piasek nie chciał się zatrzymać.

Sen przeszedł w zawodzenie, coraz donośniejsze i donośniejsze. W tym bezsensownym zawodzeniu część jej pamięci rozpoznała jej głos, kiedy była maleńkim dzieckiem, niemal niemowlęciem. Jakaś kobieta, niezbyt wyraźna w pamięci, oddalała się. „Moja nieznana matka – pomyślała Jessika. – Bene Gesserit, która mnie zrodziła i oddała siostrom, ponieważ tak jej kazano zrobić. Czy była zadowolona, że pozbywa się harkonneńskiego dziecka?”

– Ich czuły punkt, w który trzeba uderzyć, to przyprawa – powiedział Paul.

„Jak on może myśleć w takiej chwili o ataku?” – zadała sobie pytanie Jessika.

– Cała planeta pełna jest przyprawy – odparła. – Jak można ich tu uderzyć?

Słyszała, jak się porusza, doszło ją szuranie fremsaka wleczonego po podłodze namiotu.

– Na Kaladanie była potęga morska i powietrzna – rzekł. – Tutaj jest potęga pustynna. Kluczem są Fremeni.

Głos Paula doleciał spod zwieracza namiotu. Dzięki szkoleniu Bene Gesserit rozpoznała w jego tonie nieprzetrawioną urazę do siebie. „Całe życie uczono go nienawiści do Harkonnenów – pomyślała. – Teraz odkrył, że sam jest Harkonnenem… przeze mnie. Jakże mało mnie zna! Byłam jedyną kobietą księcia. Przyjęłam jego życie i jego wartości aż po zlekceważenie rozkazów Bene Gesserit”.

Paul włączył fiszkę jarzeniową, wypełniając kopulastą przestrzeń zieloną poświatą. Kucnął przy zwieraczu; kaptur filtraka miał przystosowany do otwartej pustyni – czoło zasłonięte, filtr ustny założony, dopasowane wtyki nosowe. Tylko jego ciemne oczy były widoczne: wąski pasek twarzy, która raz jeden skierowała się ku niej i odwróciła.

– Przygotuj się na otwartą przestrzeń – rzekł stłumionym przez filtr głosem.

Jessika nasunęła filtr na usta i zajęła się dopasowywaniem kaptura, śledząc, jak Paul zrywa plombę namiotu.

Piasek zachrzęścił przy otwieraniu zwieracza i z szumem wsypał się do namiotu, nim Paul unieruchomił go za pomocą kondensatora statycznego. Po przywróceniu statyki ziaren w ścianie piasku pozostała wyrwa. Paul wyśliznął się z namiotu, a Jessika słuchała, jak przedziera się na powierzchnię.

„Co tam zastaniemy? – dociekała. – Harkonneńskie oddziały i sardaukarzy to niebezpieczeństwa, jakich należy się spodziewać, lecz co z niebezpieczeństwami, których nie znamy?”

Pomyślała o kondensatorze statycznym i innych dziwnych przyrządach we fremsaku. Wszystkie one stały się nagle dla niej symbolami zagadkowych niebezpieczeństw.

Niebawem poczuła gorące tchnienie pustyni na policzkach nad filtrem, gdzie pozostały odsłonięte.

– Podaj sakwę – zażądał Paul cicho i ostrożnie.

Zerwała się posłusznie i przywlokła fremsak po podłodze, słuchając bulgotania literjonów wody. Podniósłszy oczy, ujrzała sylwetkę Paula rysującą się na tle gwiazd.

– Daj – rzekł i chwyciwszy fremsak, wyciągnął go na górę.

Teraz widziała jedynie krąg gwiazd. Wyglądały jak błyszczące ostrza broni wymierzonej w nią z nieba. Deszcz meteorów przeciął ten jej skrawek nocy. Meteory jawiły jej się jako ostrzeżenie, jako tygrysie pręgi albo świetliste kamienie nagrobne ścinające krew w jej żyłach. Przeszedł ją dreszcz na myśl o cenie wyznaczonej za ich głowy.

– Pospiesz się – rzucił Paul. – Chcę zwinąć namiot.

Struga piachu z powierzchni musnęła jej lewą rękę. „Ile ziarenek piasku zmieści się w dłoni?” – przemknęło jej przez myśl.

– Pomóc ci? – zapytał Paul.

– Nie.

Przełknąwszy odrobinę śliny w zaschniętym gardle, wsunęła się do otworu, a upakowany kondensatorem piach zachrzęścił pod jej dłońmi. Paul wyciągnął i podał jej rękę. Stanęła przy nim na gładkiej łasze, rozglądając się wokoło. Piasek prawie po brzegi wypełniał basen, z którego pozostały tylko niewyraźne krawędzie skalnego wieńca. Zapuściła się dalej w ciemność swymi wyszkolonymi zmysłami.

Odgłosy drobnych zwierząt.

Ptaki.

Ruch osypującego się piasku, a w dole słabe odgłosy jakiegoś stworzenia.

Paul złożył namiot i wydobył go na powierzchnię.

Noc ustąpiła przed blaskiem gwiazd na tyle jedynie, by groźba wychylała się z każdego cienia. Jessika wpatrywała się w plamy czerni.

„Czerń jest oślepłym wspomnieniem – pomyślała. – Nasłuchujemy głosów sfory, okrzyków tych, którzy polowali na naszych przodków w tak zamierzchłej przeszłości, że pamiętają ją tylko najprymitywniejsze komórki naszego ciała. Uszy widzą. Nozdrza widzą”.

Po chwili stanął przy niej Paul.

– Duncan powiedział mi, że jeśli go złapią, wytrzyma… do tego czasu – oznajmił. – Musimy już stąd uchodzić.

Zarzucił fremsak na ramię, dotarł do płytkiego obrzeża basenu i wspiął się na skalną półkę wychodzącą na otwartą pustynię w dole.

Jessika odruchowo poszła w jego ślady, uświadamiając sobie, że obecnie żyje w orbicie swego syna.

„Moja rozpacz jest teraz cięższa od piasku oceanów – pomyślała. – Ta planeta wyjałowiła mnie ze wszystkiego prócz celu, który jest najstarszy: jutrzejszego życia. Żyję, aby żył mój młody książę i mająca dopiero przyjść na świat córka”.

Odnosząc wrażenie, że piasek czepia się jej stóp, dobrnęła do Paula.

Spoglądał ku północy, ponad pasmem skał, zapatrzony na odległą skarpę. Skalny profil przypominał z daleka antyczny pancernik na tle gwiazd. Jego długa strzała unosiła się na niewidzialnej fali lasem bumerangowych anten, odchylonymi w tył kominami i wypiętrzeniem w kształcie litery pi na rufie.

Ponad tę sylwetkę wystrzelił pomarańczowy blask rozszczepiony oślepiającą linią purpury, która biła weń z nieba.

Druga linia purpury!

I drugi wybuch pomarańczowej jasności!

Wyglądało to jak starożytna bitwa morska i dawny ogień artylerii. Nie mogli oderwać oczu od tego widoku.

– Słupy ognia – wyszeptał Paul.

Krąg czerwonych ślepiów wzbił się nad odległą skałę. Nitki purpury haftowały niebo.

– Płomienie z dysz silników i rusznice laserowe – powiedziała Jessika.

Poczerwieniały od pyłu pierwszy księżyc Arrakis wzniósł się po lewej nad horyzont i dostrzegli sunącą tamtędy burzę – ruchomą wstęgę nad pustynią.

– To muszą być harkonneńskie ornitoptery tropiące naszych – stwierdził Paul. – Szatkują pustynię tak, jakby chcieli mieć pewność, że rozdeptali wszystko, co tam było… tak jak rozdeptuje się gniazdo skorpionów.

– Albo gniazdo Atrydów – dodała Jessika.

– Musimy szukać osłony – rzekł Paul. – Skierujemy się na południe i będziemy się trzymać skał. Jeśli złapią nas na otwartym terenie… – Odwrócił się, poprawiając fremsak na ramieniu. – Mordują wszystko, co się rusza.

Zrobił krok wzdłuż krawędzi półki i w tym momencie usłyszał cichy świst szybującego statku, a potem ujrzał ponad nimi ciemne sylwetki ornitopterów.

> Ojciec powiedział mi kiedyś, że poszanowanie prawdy można by właściwie uznać za podstawę wszelkiej moralności. „Coś nie może się wyłonić z niczego” – rzekł. Jest to głęboka myśl, jeśli zrozumiemy, jak niestała może być „prawda”.
>
> – z *Rozmów z Muad’Dibem* pióra księżnej Irulany

– Zawsze się szczyciłem, że widzę rzeczy takimi, jakie są naprawdę – powiedział Thufir Hawat. – To przekleństwo bycia mentatem. Nie możesz się powstrzymać od analizowania danych.

Starcza, pomarszczona twarz wydawała się spokojna, kiedy mówił. Poplamione safo wargi wyciągnęły się w prostą linię, od której ku górze rozchodziły się promienie zmarszczek.

Przed Hawatem kucnął człowiek w dżubbie, najwyraźniej nieporuszony jego słowami.

Obaj przycupnęli pod skalnym nawisem wychodzącym na rozległą, płytką nieckę. Brzask rozlewał się nad zwichrowaną linią klifów po drugiej stronie zagłębienia. Pod nawisem było zimno – suchy, przenikliwy ziąb, który pozostał po nocy. Tuż przed świtem wiał ciepły wiatr, ale teraz było zimno. Hawat słyszał za sobą dzwonienie zębów garstki żołnierzy, którzy mu pozostali.

Mężczyzna siedzący na piętach naprzeciwko Hawata był Fremenem. Przeprawił się przez nieckę w szarówce przedświtu, prześlizgując się po piasku i wtapiając w wydmy tak, że ledwo było widać, jak się porusza.

Fremen dotknął palcem piasku i nakreślił na nim jakiś rysunek. Wyglądało to jak miska z wylatującą z niej strzałą.

– Tam jest mnóstwo harkonneńskich patroli – powiedział. Uniósł palec, wskazując w górę, ponad urwisko, którym Hawat zszedł ze swoimi ludźmi.

Hawat kiwnął głową. „Mnóstwo patroli, owszem” – pomyślał. Jednak ciągle nie wiedział, czego chce ten Fremen, i to go męczyło. Mentackie wyszkolenie powinno obdarzyć człowieka zdolnością dostrzegania motywów.

To była najgorsza noc w życiu Hawata. Przebywał w Tsimpo, osadzie garnizonowej, buforowym posterunku na przedpolach byłej metropolii Kartagin, kiedy zaczęły napływać meldunki o ataku. Na początku pomyślał: „To rajd. Harkonnenowie przeprowadzają rekonesans”. Ale meldunek gonił za meldunkiem – coraz szybciej i szybciej.

W Kartagin wylądowały dwa legiony.

Pięć legionów – pięćdziesiąt brygad! – zaatakowało główną bazę księcia w Arrakin.

Legion w Arsunt.

Dwa pułki w Szczerbatej Skale.

Potem meldunki zrobiły się bardziej szczegółowe – wśród napastników są imperialni sardaukarzy, przypuszczalnie dwa legiony. I stało się jasne, że najeźdźcy wiedzieli dokładnie, gdzie jakie siły wysłać. Dokładnie! Wspaniały wywiad.

Wściekłość i zdumienie Hawata narastały, zagrażając wręcz funkcjonowaniu jego mentackich zdolności. Skala ataku poraziła jego umysł niczym fizyczny cios.

Kryjąc się teraz pod załomem skalnym na pustyni, pokiwał do siebie głową, a następnie owinął się w porozdzieraną i pociętą bluzę, jakby chciał odeprzeć zimne cienie.

„Skala ataku” – pomyślał.

Zawsze liczył się z tym, że przeciwnik wynajmie od Gildii przygodną lichtugę na rozpoznawczy rajd. To było dość pospolite posunięcie w tego rodzaju wojnie między dwoma rodami. Lichtugi regularnie lądowały

i startowały z Arrakis, wożąc przyprawę dla rodu Atrydów. Hawat zabezpieczył się odpowiednio przed sporadycznymi rajdami fałszywych lichtug przyprawowych. W decydującym ataku nie spodziewali się więcej niż dziesięciu brygad.

Tymczasem według ostatnich szacunków na Arrakis wylądowało ponad dwa tysiące statków – nie tylko lichtugi, lecz także fregaty, patrolowce, monitory, łamacze, transportowce, szalandy…

Z górą sto brygad – dziesięć legionów!

Cały dochód z pięćdziesięcioletniego wydobycia przyprawy na Arrakis może pokryłby koszty takiego przedsięwzięcia. Może.

„Źle oszacowałem kwotę, jaką baron był skłonny wydać na wojnę z nami – pomyślał Hawat. – Zawiodłem mego księcia”.

Była też sprawa zdrajcy.

„Zostało mi jeszcze dość życia, by dopilnować, żeby ją uduszono! – myślał. – Powinienem zabić tę czarownicę Bene Gesserit, kiedy miałem po temu okazję”. Nie było dlań wątpliwości, kto ich zdradził: lady Jessika. Wskazywały na to wszystkie fakty.

– Wasz człowiek, Gurney Halleck, z częścią swego oddziału jest bezpieczny u naszych przyjaciół przemytników – rzekł Fremen.

– To dobrze – stwierdził mentat i pomyślał: „Więc Gurney wyrwie się z tej piekielnej planety. Nie wszyscyśmy przepadli”.

Obejrzał się na zbieraninę swoich ludzi. Rozpoczął tę noc z trzema setkami doborowych żołnierzy. Pozostało z nich równo dwudziestu, z czego połowa rannych. Niektórzy spali teraz, wsparci o skałę lub rozciągnięci pod nią na piasku.

Ich ostatni ornitopter, którego używali jako poduszkowca do przewozu rannych, odmówił posłuszeństwa tuż przed świtem. Pocięli go rusznicami

laserowymi i ukryli szczątki, po czym przeprawili się w dół, do tej kryjówki na krawędzi basenu.

Hawat z grubsza tylko wiedział, gdzie się znajduje – jakieś dwieście kilometrów na południowy wschód od Arrakin. Główne trakty między Murem Zaporowym a gminami siczowymi leżały gdzieś na południe od nich.

Fremen naprzeciwko Hawata odrzucił na plecy kaptur z naczółkiem swego filtraka, odsłaniając rudawoblond włosy i brodę. Włosy były zaczesane prosto do tyłu i ukazywały wysokie, wąskie czoło. Miał nieodgadnione, całe błękitne od diety przyprawowej oczy. Broda i wąsy z jednej strony ust wypłowiały, zarost w tym miejscu zbił się pod naciskiem pętli chwytowodu z wtyków nosowych.

Mężczyzna wyjął wtyki i na nowo je dopasował. Potarł bliznę przy nosie.

– Jeśli będziecie przekraczali nieckę w nocy – powiedział Fremen – nie wolno wam używać tarcz. W murze jest wyrwa – obróciwszy się na piętach, wskazał na południe – tam, i otwarty piasek aż po erg. Tarcze zwabią – zawahał się – czerwia. One nieczęsto tu przychodzą, ale tarcza zawsze jakiegoś przyciągnie.

„Powiedział: »czerwia« – myślał Hawat. – Zamierzał powiedzieć coś innego. Ale co? I czego on od nas chce?” Westchnął. Nie przypominał sobie, by kiedykolwiek był aż tak zmęczony. Było to zmęczenie mięśni, którego pigułki energetyczne nie mogły uśmierzyć.

Przeklęci sardaukarzy!

Rozgoryczony sobą myślał o fanatycznych żołnierzach i zdradzie imperialnej, którą reprezentowali. Jego mentacka ocena danych mówiła mu, jak niewielką miał szansę przedstawić kiedykolwiek dowód tej zdrady przed Wysoką Radą Landsraadu, gdzie mogła zostać wymierzona sprawiedliwość.

– Chcesz iść do przemytników? – zapytał Fremen.

– Czy to możliwe?

– Droga jest długa.

„Fremeni nie lubią mówić »nie«” – oświadczył mu kiedyś Idaho.

– Jeszcze mi nie powiedziałeś, czy twoi ludzie mogą pomóc moim rannym – rzekł Hawat.

– Oni są ranni.

„Ta sama przeklęta odpowiedź za każdym razem!” – pomyślał mentat.

– Wiemy, że oni są ranni! – warknął. – Nie o to…

– Ciszej, przyjacielu – ostrzegł Fremen. – Co mówią twoi ranni? Czy są wśród nich tacy, którzy potrafią dostrzec potrzebę wody twego plemienia?

– Nie mówimy o wodzie – stwierdził Hawat. – Mówimy…

– Potrafię zrozumieć twoje opory – wtrącił Fremen. – To twoi przyjaciele, twoi współplemieńcy. Macie wodę?

– Za mało.

Mężczyzna wskazał tunikę Hawata i wyzierającą przez nią skórę.

– Zaskoczyli was w siczy, bez filtraków. Musisz podjąć wodną decyzję, przyjacielu.

– Możemy wynająć was do pomocy?

Fremen wzruszył ramionami.

– Nie macie wody. – Zerknął na gromadkę za Hawatem. – Ilu swych rannych byś wyznaczył?

Hawat zamilkł, wpatrując się w tego człowieka. Jako mentat dostrzegał, że komunikacja między nimi jest przesunięta w fazie. Słowa nie wiązały się tu w zwykły sposób.

– Jestem Thufir Hawat – powiedział. – Mam prawo występować w imieniu mojego księcia. Daję promesę wynagrodzenia za waszą pomoc. Potrzebuję jej w ograniczonym zakresie, gdyż chcę utrzymać swój oddział

tylko dopóty, dopóki nie zabiję zdrajcy, któremu wydaje się, że uszedł zemsty.

– Chcesz naszego udziału w wendecie?

– Z wendetą poradzę sobie sam. Chcę się uwolnić od odpowiedzialności za swych rannych, by móc się nią zająć.

Fremen zmarszczył brwi.

– Jak możesz odpowiadać za swoich rannych? Oni sami odpowiadają za siebie. Chodzi o wodę, Thufirze Hawacie. Chciałbyś, bym wziął tę decyzję na siebie? – Położył dłoń na ukrytej pod dżubbą broni.

Hawat stężał.

„Czyżby zdrada?” – przemknęło mu przez myśl.

– Czego się boisz? – zapytał Fremen.

„A niechże ich z tą żenującą szczerością!” – pomyślał Hawat i odezwał się ostrożnie:

– Za moją głowę wyznaczona jest nagroda.

– Aaach. – Mężczyzna zdjął rękę z noża. – Myślisz, że mamy u siebie bizantyjską korupcję. Nie znasz Fremenów. Harkonnenom nie wystarczy wody, by kupić najmniejsze nasze dziecko.

„Za to wystarczyło im środków na zapłacenie Gildii za przelot z górą dwóch tysięcy okrętów” – pomyślał mentat. Wielkość tej zapłaty nadal przyprawiała go o zawrót głowy.

– I wy, i my wojujemy z Harkonnenami – rzekł. – Czy nie powinniśmy dzielić problemów i trudów prowadzenia walki?

– Dzielimy je – powiedział Fremen. – Widziałem cię w boju. Dobry jesteś. Były chwile, kiedy pragnąłem, byś stał przy mnie.

– Wskaż, gdzie i kiedy mam stanąć przy tobie – odparł Hawat.

– Kto wie? – odezwał się mężczyzna. – Wojska Harkonnenów są wszędzie. Ale ty ciągle nie podjąłeś wodnej decyzji ani nie złożyłeś jej

w ręce swoich rannych.

„Muszę być ostrożny – powiedział sobie Hawat. – Jest w tym coś, czego nie rozumiem”.

– Mógłbyś zapoznać mnie z waszym zwyczajem, z arrakijskim zwyczajem? – spytał.

– Myślenie obcego. – W głosie Fremena kryła się drwina. Wskazał na północny zachód, poza szczyt urwiska. – Obserwowaliśmy cię, gdy pokonywałeś piaski tej nocy. – Opuścił rękę. – Prowadzisz swój oddział po zawietrznych zboczach wydm. Niedobrze. Nie macie filtraków, wody. Długo nie pociągniecie.

– Niełatwo jest nabrać zwyczajów Arrakis – rzekł Hawat.

– To prawda, ale zabiliśmy paru Harkonnenów.

– Co robicie ze swoimi rannymi? – spytał Thufir.

– Czyż człowiek nie wie, kiedy jest wart ratowania? Twoi ranni wiedzą, że nie macie wody. – Przekrzywił głowę i spoglądał z ukosa na Hawata. – Bezspornie to czas na wodną decyzję. Ranni tak samo jak zdrowi muszą się troszczyć o przyszłość plemienia.

„Przyszłość plemienia – pomyślał mentat. – Plemienia Atrydów. W tym jest sens”. Odważył się zadać pytanie, którego unikał:

– Wiecie coś o moim księciu lub jego synu?

Nieodgadnione błękitne oczy wpatrywały się w Hawata.

– Coś?

– Coś o ich losie! – warknął mentat.

– Los jest taki sam dla wszystkich – powiedział Fremen. – Mówią, że twój książę spotkał swój los. Co się tyczy Lisana al-Gaiba, jego syna, to wszystko jest w rękach Lieta. Liet jeszcze nie przemówił.

„Znałem odpowiedź bez pytania” – pomyślał Thufir.

Obejrzał się na swoich ludzi. Wszyscy już się obudzili. Wszyscy słyszeli. Wpatrywali się w piaszczystą dal, ich twarze zaś zdradzały, że rozumieją: nie było dla nich powrotu na Kaladan, a teraz stracili Arrakis.

Hawat zwrócił się do Fremena:

– Wiesz coś o Duncanie Idaho?

– Przebywał w wielkim domu, kiedy opadła tarcza – powiedział mężczyzna. – Tyle słyszałem… nic więcej.

„Wyłączyła tarczę i wpuściła Harkonnenów – myślał Hawat. – To ja siedziałem plecami do drzwi. Jak mogła zrobić coś takiego, skoro oznaczało to również podniesienie ręki na własnego syna? Ale któż wie, jakimi drogami chadzają myśli czarownicy Bene Gesserit… jeśli można je nazwać myślami”.

Spróbował przełknąć ślinę.

– Kiedy będziesz coś wiedział o chłopcu?

– Niewiele wiemy o tym, co się wydarzyło w Arrakin – rzekł Fremen. Wzruszył ramionami. – Kto wie?

– Masz możliwości zdobycia informacji?

– Może. – Mężczyzna potarł bliznę przy nosie. – Powiedz mi, Thufirze Hawacie, znasz się na tej wielkiej broni Harkonnenów?

„Artyleria – pomyślał z goryczą mentat. – Kto by przypuścił, że użyją artylerii w epoce tarcz?”

– Chodzi ci o artylerię, której użyli do zamknięcia naszych ludzi w grotach – powiedział. – Znam… teoretycznie tę broń.

– Każdy, kto wycofuje się do groty mającej tylko jedno wejście, zasługuje na śmierć – rzekł Fremen.

– Dlaczego pytasz o tę broń?

– Liet sobie tego życzy.

„Czy tego właśnie chce od nas?” – zastanawiał się Hawat.

– Przyszedłeś tu, szukając informacji o wielkich działach? – zapytał.

– Liet zapragnął zobaczyć takie działo na własne oczy.

– Więc powinniście pójść i jedno sobie wziąć – zadrwił Hawat.

– Tak – rzekł Fremen. – Jedno wzięliśmy. I trzymamy w ukryciu, gdzie Stilgar może je zbadać, a Liet zobaczyć na własne oczy, jeśli zechce. Ale ja wątpię, by zechciał, bo to słaba broń. Kiepska konstrukcja dla Arrakis.

– Wy… wzięliście działo? – spytał mentat.

– To była dobra walka – powiedział Fremen. – Straciliśmy jedynie dwóch ludzi, a przelaliśmy wodę więcej niż stu.

„Przy każdym dziale byli sardaukarzy – myślał Hawat. – A ten pustynny szaleniec jakby nigdy nic mówi o stracie ledwie dwóch ludzi w walce z sardaukarami!”

– Nie stracilibyśmy tych dwóch, gdyby nie ci inni walczący obok Harkonnenów – oznajmił Fremen. – Niektórzy z nich są dobrymi wojownikami.

Jeden z ludzi Hawata przykuśtykał i spojrzał z góry na kucającego Fremena.

– Mówicie o sardaukarach?

– On mówi o sardaukarach – powiedział mentat.

– Sardaukarzy! – rzekł Fremen i jakby radość pojawiła się w jego głosie. – Aaach, więc to oni! Dobra zaiste była to noc. Sardaukarzy. Który legion? Wiecie?

– My… nie wiemy – odparł Hawat.

– Sardaukarzy – zadumał się Fremen. – Jednak noszą stroje Harkonnenów. Czy to nie dziwne?

– Imperator nie życzy sobie, by się dowiedziano, że wojuje z wysokim rodem – powiedział Hawat.

– Ale ty wiesz, że oni są sardaukarami.

– A kim ja jestem? – zapytał cierpko Hawat.

– Jesteś Thufir Hawat – odparł rzeczowo mężczyzna. – Cóż, i tak dowiedzielibyśmy się o tym w swoim czasie. Trzech z nich wysłaliśmy na przesłuchanie do ludzi Lieta.

Ordynans Hawata przemówił powoli, z niedowierzaniem w każdym słowie:

– Wy… pojmaliście sardaukarów?

– Trzech tylko – odparł Fremen. – Dobrze się bili.

„Gdybyśmy tylko mieli czas związać się z tymi Fremenami – pomyślał Hawat. Gorzka rozpacz wypełniała jego umysł. – Gdybyśmy tylko zdążyli wyszkolić ich i uzbroić. Wielka Macierzy, jaką byśmy mieli siłę bojową!”

– Może zwlekasz z powodu troski o Lisana al-Gaiba – rzekł Fremen. – Jeśli on naprawdę jest Lisanem al-Gaibem, nie może go spotkać nic złego. Nie łam sobie głowy sprawą, której się nie da rozstrzygnąć.

– Ja służę… Lisanowi al-Gaibowi – powiedział Hawat. – Jego dobro jest moją sprawą. Ślubowałem to sobie.

– Ślubowałeś jego wodzie?

Hawat zerknął na swego ordynansa, który ciągle patrzył na Fremena, i znowu przyjrzał się kucającej postaci.

– Jego wodzie, tak.

– Pragniesz wrócić do Arrakin, do miejsca jego wody?

– Do… tak, do miejsca jego wody.

– Dlaczego od razu nie powiedziałeś, że to sprawa wody? – Fremen wstał i osadził szczelnie wtyki nosowe.

Hawat ruchem głowy nakazał ordynansowi wrócić do oddziału. Mężczyzna usłuchał, ledwie wzruszywszy ze zmęczenia ramionami. Hawat usłyszał przyciszone głosy żołnierzy.

– Zawsze jest droga do wody – powiedział Fremen.

Za plecami mentata jakiś żołnierz zaklął. Ordynans zawołał:

– Thufirze! Arkie umarł.

Fremen podniósł pięść do ucha.

– Ślub wody! To znak! – Wbił wzrok w Hawata. – Mamy w pobliżu miejsce do przyjmowania wody. Wezwać moich ludzi?

Ordynans podszedł ponownie do Hawata.

– Thufirze, paru ludzi zostawiło żony w Arrakin. Oni… wiesz, jak to jest w takiej chwili.

Fremen ciągle trzymał pięść przy uchu.

– Czy to ślub wody, Thufirze Hawacie? – zapytał.

Myśli wirowały w głowie mentata. Wyczuł już, do czego zmierza Fremen, lecz obawiał się reakcji umordowanych ludzi spod nawisu skalnego, kiedy to do nich dotrze.

– Ślub wody – powiedział.

– Niechaj połączą się nasze plemiona – rzekł Fremen i opuścił pięść.

Jakby to był sygnał, czterech ludzi zsunęło się po skałach i zeskoczyło koło nich. Pomknęli pod nawis, owinęli zmarłego obszerną dżubbą, podnieśli go i z trudem puścili się biegiem w prawo, wzdłuż ściany urwiska. Spod ich śmigających stóp wzbijały się fontanny pyłu.

Nim zmęczeni ludzie Hawata zdołali ochłonąć, było już po wszystkim. Grupka z ciałem zwieszonym jak tobół w spowijającej je szacie zniknęła za załomem urwiska.

– Dokąd oni biorą Arkiego? – krzyknął jeden z ludzi Hawata. – On był…

– Zabierają go… aby go pogrzebać – powiedział mentat.

– Fremeni nie grzebią swoich zmarłych! – warknął ów człowiek. – Nie próbuj z nami żadnych numerów, Thufirze. Wiemy, co oni robią. Arkie był jednym z…

– Raj stoi otworem przed człowiekiem, który zmarł, służąc Lisanowi al-Gaibowi – powiedział Fremen. – Jeśli, jak mówisz, służycie Lisanowi al-Gaibowi, po co wznosić żałobne okrzyki? Pamięć tego, kto zginął w ten sposób, żyć będzie dopóty, dopóki żyje ludzka pamięć.

Ale ludzie Hawata zbliżali się z twarzami wykrzywionymi gniewem. Jeden miał zdobyczną rusznicę laserową. Sięgnął po nią.

– Zostać na miejscach! – rzucił Hawat. Przemógł chorobliwe znużenie, które opanowało jego mięśnie. – Ci ludzie szanują naszych zmarłych. Obyczaje się różnią, ale sens jest ten sam.

– Oni zamierzają przerobić Arkiego na wodę! – warknął mężczyzna z rusznicą laserową.

– Czy chodzi o to, że twoi ludzie pragną uczestniczyć w ceremonii? – spytał Fremen.

„On nawet nie widzi problemu” – pomyślał Hawat. Naiwność tego Fremena była przerażająca.

– Niepokoją się o towarzysza, którego darzyli szacunkiem – oświadczył.

– Potraktujemy waszego towarzysza z takim samym szacunkiem, z jakim traktujemy swoich – rzekł Fremen. – To ślub wody. Znamy obrządek. Ciało człowieka stanowi jego własność, woda należy do plemienia.

Mężczyzna z rusznicą laserową zrobił następny krok i Hawat odezwał się prędko:

– Czy teraz udzielicie pomocy naszym rannym?

– Nie kwestionuje się ślubu wody – odparł Fremen. – Zrobimy dla was to, co plemię robi dla swoich. Najpierw musimy was odziać i zatroszczyć się o rzeczy pierwszej potrzeby.

Żołnierz z rusznicą się zawahał.

– Czy my płacimy za pomoc wodą… Arkiego? – spytał ordynans Hawata.

– Nie płacimy – odparł mentat. – Przyłączyliśmy się do tych ludzi.

– Obyczaje się różnią – mruknął ktoś z jego oddziału.

Hawat zaczął się odprężać.

– I oni pomogą nam dotrzeć do Arrakin?

– Będziemy zabijać Harkonnenów – powiedział Fremen. Wyszczerzył zęby w uśmiechu. – I sardaukarów. – Cofnął się o krok, przytknął do uszu zwinięte w trąbki dłonie i odchylił głowę do tyłu, nasłuchując. Po chwili opuścił ręce. – Nadlatuje statek – rzekł. – Ukryjcie się pod skałą i nie ruszajcie.

Na skinienie Hawata jego ludzie wykonali polecenie. Fremen ujął Thufira za ramię i pociągnął go za innymi.

– Będziemy walczyć, gdy przyjdzie pora – powiedział. Sięgnął pod szaty, wydobył miniaturową klatkę i wyjął z niej jakieś stworzenie.

Hawat poznał maleńkiego nietoperza. Nietoperz obrócił główkę i mentat zobaczył jego błękitne w błękicie ślepia.

Fremen pogłaskał nietoperza, uspokajając go i nucąc mu. Nachylił się nad głową zwierzęcia i pozwolił, by kropla śliny z jego języka spadła do wyciągniętego ku górze pyszczka. Nietoperz rozpostarł skrzydła, lecz pozostał na otwartej dłoni mężczyzny. Ten wziął mikroskopijną rurkę i trzymając ją przy głowie nietoperza, ćwierkał do niej, po czym – uniósłszy wysoko stworzenie – wyrzucił je w powietrze. Nietoperz zanurkował przy urwisku i zniknął.

Fremen złożył klatkę i wcisnął ją pod dżubbę. Ponownie przechylił głowę, nasłuchując.

– Przeczesują pogórze – stwierdził. – Ciekawe, kogo tam szukają.

– Wiadomo, że wycofaliśmy się w tym kierunku – powiedział Hawat.

– Nie należy zakładać, że jest się jedynym obiektem polowania – rzekł Fremen. – Obserwuj przeciwległy brzeg basenu. Coś zobaczysz.

Czas mijał. Niektórzy ludzie Hawata wiercili się i szeptali.

– Bądźcie cicho – syknął Fremen.

Mentat dostrzegł ruch pod przeciwległym urwiskiem: przemykające plamki brązu na brązie.

– Mój mały przyjaciel zaniósł wiadomość – powiedział Fremen. – Dobry z niego posłaniec, dniem czy nocą. Będę nieszczęśliwy, jeśli go stracę.

Ruch po drugiej stronie niecki zamarł. Na całym cztero- czy pięciokilometrowym obszarze piasku nie pozostało nic prócz narastającego żaru – rozedrganych słupów wznoszącego się powietrza.

– Teraz ani mru-mru – wyszeptał Fremen.

Rząd mozolnie brnących sylwetek wyłonił się z przeciwległego urwiska i ruszył na przełaj przez nieckę. Hawatowi wyglądali oni na Fremenów, ale na jakąś dziwnie bezmyślną grupę. Naliczył sześciu ludzi w ślimaczym tempie przemierzających wydmy.

Łopot skrzydeł ornitoptera rozległ się w górze na prawo od oddziału Hawata. Statek przeleciał nad krawędzią urwiska; był to atrydzki ornitopter w bojowych barwach Harkonnenów. Maszyna zapikowała na przekraczających nieckę ludzi.

Gromadka zatrzymała się na grzbiecie wydmy, łamiąc szyk.

Ornitopter zatoczył ciasne koło i zawróciwszy, wylądował w tumanach pyłu przed Fremenami. Z kabiny wysypało się pięciu ludzi. Hawat dojrzał odsiewające pył migotanie ich tarcz, w ruchach zaś doskonałą biegłość sardaukarów.

– Aaajaj! Używają tych swoich idiotycznych tarcz – zasyczał Fremen u boku mentata. Spojrzał w kierunku otwartej południowej ściany niecki.

– Sardaukarzy – szepnął Hawat.

– To dobrze.

Sardaukarzy podchodzili do czekających Fremenów, okrążając ich półkolem. Fremeni stali w zbitej gromadce, na pozór obojętnie. Znienacka z piasku za obiema grupami wyrośli nowi Fremeni. Znaleźli się pod kadłubem, a już po chwili we wnętrzu ornitoptera. Tam, gdzie dwa oddziały spotkały się na grzbiecie wydmy, chmura pyłu częściowo przesłoniła gwałtowne starcie.

Niebawem pył opadł. Tylko Fremeni stali.

– Zostawili jedynie trzech ludzi w ornitopterze – powiedział Fremen. – To bardzo dobrze. Nie sądzę, byśmy uszkodzili maszynę podczas ataku.

Jeden z ludzi za plecami Hawata wyszeptał:

– To byli sardaukarzy!

– Zauważyłeś, jak dobrze walczą? – zapytał Fremen.

Hawat odetchnął głęboko. Dookoła czuł woń spalonego pyłu, gorąco, suchość.

– Tak, oni rzeczywiście dobrze walczą – wychrypiał przez zaschnięte gardło.

Zdobyty ornitopter poderwał się ukośnym uderzeniem skrzydeł, wzbił i nabierając ze złożonymi skrzydłami wysokości, stromą świecą poszedł na południe.

„Więc ci Fremeni potrafią również pilotować ornitoptery” – pomyślał Hawat.

Na odległej wydmie jakiś Fremen machnął prostokątem zielonego materiału raz… drugi.

– Nadciąga ich więcej! – warknął Fremen koło Hawata. – Przygotujcie się. Miałem nadzieję, że zabierzemy się stąd bez dalszych zgrzytów.

„Zgrzytów!” – pomyślał mentat.

Ujrzał dwa nowe ornitoptery pikujące od zachodu na nagle opustoszały po zniknięciu Fremenów obszar piasku. Jedynie osiem plam błękitu – ciała

sardaukarów w harkonneńskich mundurach – pozostało na placu boju.

Jeszcze jeden ornitopter wyszedł lotem ślizgowym spoza ściany urwiska nad głową Hawata. Thufirowi zaparło dech na widok olbrzymiego transportowca. Szybował ociężale na skrzydłach rozpostartych przy pełnym obciążeniu – niczym wielki ptak zlatujący do gniazda.

Purpurowa wiązka rusznicy laserowej strzeliła od jednego z nurkujących ornitopterów. Smagnęła piasek, wzbijając cienką smugę pyłu.

– Tchórze! – Fremen zazgrzytał zębami nad uchem Hawata.

Transportowiec wziął kurs na plamę niebiesko odzianych ciał. Jego skrzydła rozpostarły się maksymalnie i zaczęły podwijać w pospiesznym hamowaniu.

Uwagę Hawata przyciągnął błysk słońca na metalu – ornitopter pędzący od południa lotem nurkowym na pełnym gazie, ze skrzydłami złożonymi płasko po bokach, w złotawym rozbłysku płomienia z dysz na tle ciemnej, srebrzystej szarości nieba. Jak strzała pikował na transportowiec, który wyłączył tarczę ze względu na bliskość rusznic laserowych. Pikująca maszyna wyrżnęła prosto w przeciwnika.

Grzmot wybuchu wstrząsnął niecką. Z okalających ją urwisk potoczyły się kamienie. Gejzer pomarańczowej czerwieni wystrzelił z piasku pod niebo w miejscu, gdzie znajdowały się transportowiec i towarzyszące mu ornitoptery – wszystko stanęło w płomieniach.

„To był ów Fremen, który odleciał zdobycznym ornitopterem – pomyślał Hawat. – Świadomie poświęcił się, by zniszczyć transportowiec. Wielka Macierzy! Kimże są ci Fremeni?”

– Rozsądna wymiana – powiedział Fremen u jego boku. – W tym transportowcu były pewnie ze trzy setki ludzi. Teraz musimy się zająć ich wodą i poczynić plany zdobycia innego statku. – Podniósł się, aby wyjść spod skalnego dachu ich kryjówki.

Deszcz niebieskich mundurów, spowolniony przez dryfy, spadł przed nim ze szczytu urwiska. W jednej chwili Hawat poznał sardaukarów. Dostrzegł okrutne twarze zastygłe w bojowym szale, zobaczył, że nie mają tarcz i że każdy trzyma nóż w jednej ręce, a głuszak w drugiej.

Ciśnięty nóż trafił przyjaciela Hawata w gardło. Fremen wygiął się w tył, a potem – obróciwszy się w powietrzu – zwalił twarzą do ziemi. Hawat zdołał tylko wyciągnąć własny nóż, nim pocisk głuszaka pogrążył go w ciemnościach.

Muad’Dib rzeczywiście widział przyszłość, ale musimy zdawać sobie sprawę z ograniczeń tej mocy. Pomyślcie o wzroku. Macie oczy, a jednak nie widzicie bez światła. Gdy jesteście na dnie kotliny, nie sięgacie wzrokiem poza swoją kotlinę. Dokładnie tak samo Muad’Dib – nie zawsze mógł swobodnie szybować spojrzeniem przez tajemniczy teren. Mówił on nam, że pojedyncza, drobna prorocza decyzja, być może wybór jednego określonego słowa, potrafi zmienić przyszłość. Mówił on nam: „Wizja czasu jest szeroka, lecz kiedy się przez nią przechodzi, czas staje się wąskimi drzwiami”. I zawsze zwalczał pokusę wybrania łatwego, bezpiecznego kierunku, przestrzegając: „Owa ścieżka prowadzi stale w dół, do stagnacji”.

– z *Przebudzenia Arrakis* pióra księżnej Irulany

Gdy ornitoptery wychynęły z głębi nocy ponad ich głowami, Paul chwycił matkę za ramię.

– Stój! – rzucił ostro.

Wtedy ujrzał w blasku księżyca statek prowadzący, charakterystyczne podwinięcie skrzydeł przy hamowaniu do lądowania, brawurową grę dłoni na sterach.

– To Idaho – wyszeptał.

Maszyna wraz z eskortą siadła w basenie jak stado ptaków zlatujących się do gniazda. Jeszcze nie opadł kurz, kiedy Idaho biegł już do nich po piasku. Za nim podążały dwie sylwetki we fremeńskich dżubbach. Paul rozpoznał jedną: wysoki, z rudoblond brodą – Kynes.

– Tędy! – zawołał Kynes i skręcił w lewo.

Za planetologiem inni Fremeni zarzucili plandeki na ornitoptery. Statki zmieniły się w rząd płaskich wydm.

Idaho zarył się nogami w piasku przed Paulem i zasalutował.

– Mój panie, Fremeni mają w pobliżu tymczasową kryjówkę, gdzie możemy…

– Co się dzieje tam, za wami? – Paul wskazał w kierunku zamętu ponad odległym klifem: płomienie z dysz silników, wiązki rusznic laserowych siekące powierzchnię pustyni.

Na okrągłej, łagodnej twarzy Duncana Idaho zagościł rzadki u niego uśmiech.

– Mój panie… wasza wysokość, zostawiłem im maleńką niespo…

Oślepiająco białe światło – jasne jak słońce – zalało pustynię, rysując ich cienie na skalnym występie. Chwyciwszy dłoń Paula i ramię Jessiki, Idaho jednym szarpnięciem zwalił się z nimi ze skalnej półki na dno basenu. Rozciągnęli się na piasku, gdy ponad ich głowami zagrzmiał łoskot eksplozji. Jej fala uderzeniowa zmiotła odłamki kamienia z opuszczonej przed chwilą półki.

Idaho siadł, otrzepując się z piasku.

– To nie arsenał jądrowy rodu! – powiedziała Jessika. – Myślałam…

– Zostawiłeś za sobą tarczę – rzekł Paul.

– Wielką tarczę nastawioną na pełną moc – oświadczył Idaho. – Wiązka rusznicy laserowej musnęła ją i… – Wzruszył ramionami.

– Fuzja subatomowa – powiedziała Jessika. – To niebezpieczna broń.

– Nie broń, moja pani, obrona. Ta hołota pomyśli teraz dwa razy, zanim użyje rusznic laserowych.

Fremeni z ornitopterów stanęli nad nimi. Jeden zawołał cicho:

– Czas się ukryć, przyjaciele.

Paul podniósł się, podczas gdy Idaho pomagał wstać Jessice.

– Ten wybuch z pewnością zostanie zauważony, wasza wysokość – odezwał się Idaho.

„Wasza wysokość” – pomyślał Paul. Jakże dziwnie brzmiało to słowo w odniesieniu do niego. To do ojca zawsze zwracano się w ten sposób.

Poczuł, jak na chwilę nachodzi go moc jasnowidzenia, i ujrzał siebie porażonego barbarzyńską świadomością rasy ludzkiej, która spycha wszechświat człowieka w stronę chaosu. Wizja sprawiła, że zadrżał – dał się prowadzić Idaho wzdłuż krawędzi basenu do skalnego występu. Fremeni za pomocą swoich kondensatorów otwierali tam przejście w głąb piasku.

– Mogę ponieść ci sakwę, wasza wysokość? – zapytał Idaho.

– Nie jest ciężka, Duncanie – powiedział Paul.

– Nie masz tarczy – zauważył Idaho. – Chciałbyś moją? – Spojrzał na klif w oddali. – Chyba więcej nie zobaczymy tu rusznic laserowych w akcji.

– Zatrzymaj swą tarczę, Duncanie. Twoja prawica stanowi dla mnie dostateczną ochronę.

Jessika zauważyła, jakie wrażenie wywarła ta pochwała na Idaho, jak przysunął się bliżej Paula. „Ależ nieomylnie mój syn postępuje ze swoimi ludźmi” – pomyślała.

Fremeni usunęli czop skalny, otwierając wejście do naturalnego pustynnego kompleksu podziemi. Zaciągnięto osłonę maskującą na otwór.

– Tędy – rzekł jeden z Fremenów i poprowadził ich skalnymi stopniami w ciemność. Osłona zatrzymała blask księżyca za nimi.

W przodzie pojawiła się nikła zielona poświata, dobywając z mroku schody, ściany skalne i zakręt w lewo. Ze wszystkich stron otaczali ich teraz spieszący w dół Fremeni w dżubbach. Skręcili za róg i ujrzeli drugi tunel wiodący w głąb. Kończył się surową komorą groty.

Przed nimi stał Kynes z odrzuconym do tyłu kapturem dżubby. W zielonym świetle połyskiwał kołnierz jego filtraka. Długie włosy i broda były w nieładzie. Błękitne oczy bez białek były samą ciemnością pod krzaczastymi brwiami.

W owej chwili Kynes dziwił się sobie: „Dlaczego pomagam tym ludziom? To najniebezpieczniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiłem. To może mnie zgubić wraz z nimi”.

Wówczas – spojrzawszy Paulowi prosto w twarz – ujrzał chłopca, który zapanował nad rozpaczą i przybrał postawę mężczyzny, maskując wszystko prócz pozycji, jaką musiał teraz przyjąć – pozycji księcia. W tym momencie Kynes uświadomił sobie, że księstwo ciągle istnieje, wyłącznie za sprawą tego młodzieńca – i nie była to rzecz, którą dałoby się zlekceważyć.

Jessika jednym rzutem oka ogarnęła komorę, rejestrując wszystko swymi zmysłami metodą Bene Gesserit – laboratorium, pełna zakamarków pracownia w starym stylu.

– To jedna z imperialnych stacji badawczych ekologii, które mój ojciec chciał mieć jako bazy wypadowe – rzekł Paul.

„Jego ojciec chciał!” – pomyślał Kynes. W dalszym ciągu nie mógł się sobie nadziwić: „Czy ja zgłupiałem, że pomagam tym zbiegom? Po co to robię? Tak łatwo można by ich teraz ująć, kupić za nich zaufanie Harkonnenów”.

Paul poszedł w ślady matki, lustrując pomieszczenie. Objął wzrokiem ściany z litej skały i stół warsztatowy pod jedną z nich. Na blacie stały szeregi instrumentów – rozjarzone tarcze, przewodowe strugi rusztowe ze sterczącym rowkowanym szkłem. Komorę przenikał zapach ozonu.

Kilku Fremenów minęło ich i zniknęło za załomem skały, skąd doleciały nowe dźwięki – kaszlnięcia silnika, wizg pasów napędowych i licznych przekładni. Paul spojrzał w głąb komory i dostrzegł spiętrzone pod ścianą klatki z maleńkimi zwierzątkami.

– Prawidłowo rozpoznałeś to miejsce – powiedział Kynes. – Do czego byś je wykorzystał, Paulu Atrydo?

– Do uczynienia tej planety odpowiednią dla ludzi – odparł chłopak.

„Może właśnie dlatego im pomagam” – pomyślał Kynes.

Maszyneria raptownie zaczęła buczeć i ucichła. W tej próżni z klatek dobiegł cienki zwierzęcy pisk. Urwał się gwałtownie, jakby w zażenowaniu.

Paul zwrócił ponownie uwagę na klatki. Zobaczył, że te zwierzęta to brązowoskrzydłe nietoperze. Od bocznej ściany przez klatki ciągnął się automatyczny karmnik.

Z niewidocznego kąta groty wyszedł Fremen i powiedział do Kynesa:

– Liecie, urządzenia generatora pola nie działają. Nie jestem w stanie ukryć nas przed czujnikami zbliżeniowymi.

– Dasz radę to naprawić? – zapytał Kynes.

– Nie od razu. Części… – Wzruszył ramionami.

– No dobrze – rzekł planetolog. – Obejdziemy się zatem bez maszyn. Wyciągnijcie ręczną pompę powietrza na powierzchnię.

– Tak jest. – Mężczyzna oddalił się pospiesznie.

Kynes obrócił się do Paula.

– Dałeś dobrą odpowiedź.

Jessika odnotowała swobodne dudnienie jego głosu. To był głos królewski, przywykły do wydawania rozkazów. I nie przeoczyła faktu, że zwracano się doń „Liecie”. Było to fremeńskie *alter ego*, druga twarz układnego planetologa.

– Jesteśmy w najwyższym stopniu wdzięczni za pańską pomoc, doktorze Kynesie – powiedziała.

– Hmm, zobaczymy – rzekł planetolog. Skinął głową jednemu ze swych ludzi. – Kawa przyprawowa do mojej kwatery, Szamirze.

– Tak jest, Liecie.

Kynes wskazał sklepione przejście w bocznej ścianie komory.

– Czy można prosić?

Jessika pozwoliła sobie na królewskie skinienie głową, nim skorzystała z zaproszenia. Spostrzegła, że Paul daje dłonią znak Idaho, polecając mu zaciągnąć tu wartę.

Długie na dwa kroki przejście wiodło do ciężkich drzwi. Za nimi był kwadratowy gabinet oświetlony złotawymi lumisferami. Jessika przejechała dłonią po drzwiach i ze zdumieniem rozpoznała plastal.

Paul zrobił trzy kroki w głąb pokoju i rzucił fremsak na podłogę. Usłyszał, jak drzwi zamykają się za nimi. Z uwagą przyjrzał się pomieszczeniu – około ośmiu na osiem metrów, ściany z naturalnej skały barwy curry, z wyjątkiem metalowych szafek kartoteki po prawej. Środek zajmował niski stół przykryty blatem z mlecznego szkła mieniącego się żółtymi pęcherzykami. Otaczały go cztery krzesła dryfowe.

Kynes minął Paula i podsunął krzesło Jessice. Usiadła, obserwując, w jaki sposób jej syn bada ten pokój.

Paul stał jeszcze chwilę. Ledwo uchwytna anomalia prądów powietrza zdradziła mu obecność sekretnych drzwi za szafkami kartoteki po prawej.

– Zechcesz usiąść, Paulu Atrydo? – zapytał Kynes.

„Jak starannie omija mój tytuł” – pomyślał chłopak, lecz przyjął krzesło i w milczeniu czekał, aż planetolog zajmie swoje miejsce.

– Przeczułeś, że Arrakis mogłaby być rajem – powiedział Kynes – ale, jak widzisz, Imperium przysyła tu wyłącznie swych wyszkolonych najemników, swych łowców przyprawy!

Paul podniósł kciuk z książęcym sygnetem.

– Widzisz ten pierścień?

– Tak.

– Wiesz, co on znaczy?

Jessika obróciła się gwałtownie, spoglądając ze zdumieniem na syna.

– Twój ojciec leży martwy w ruinach Arrakin – rzekł Kynes. – Formalnie jesteś księciem.

– Jestem żołnierzem Imperium – powiedział Paul. – *Formalnie* najemnikiem.

Kynes pociemniał na twarzy.

– Nawet gdy sardaukarzy Imperatora stoją nad ciałem twojego ojca?

– Sardaukarzy to jedna sprawa, a legalne źródło mojej władzy druga – stwierdził Paul.

– Arrakis ma własny sposób określania tego, kto chodzi w aureoli władzy – powiedział planetolog.

Jessika, oglądając się na Kynesa, pomyślała: „W tym człowieku jest stal, której nikt nie rozhartował… a my potrzebujemy stali. Paul gra niebezpiecznie”.

– Sardaukarzy na Arrakis są miarą tego, jak bardzo nasz ukochany Imperator bał się mego ojca. Teraz ja dam Imperatorowi powody do strachu przed…

– Chłopcze – rzekł Kynes – są sprawy, których ty nie…

– Zwracaj się do mnie „wasza wysokość” albo „mój panie”! – przerwał mu Paul.

„Nie tak ostro” – pomyślała Jessika.

Kynes wbił oczy w Paula i Jessika dostrzegła w nich błysk podziwu, ale i rozbawienie.

– Wasza wysokość – powiedział.

– Jestem kością w gardle dla Imperatora – rzekł Paul. – Jestem kością w gardle dla wszystkich, którzy podzieliliby się Arrakis jak łupem. Dopóki żyję, nie przestanę być taką kością w gardle, aż się mną zadławią na śmierć!

– Słowa – powiedział Kynes.

Paul nie spuszczał z niego wzroku. Po chwili się odezwał:

– Macie tu mit o Lisanie al-Gaibie, Głosie Spoza Świata, który ma powieść Fremenów do raju. Twoi ludzie mają…

– Zabobony! – rzekł Kynes.

– Być może – zgodził się Paul. – A może nie. Zabobony mają czasami dziwne korzenie, a jeszcze dziwniejsze gałęzie.

– Masz jakiś plan – stwierdził Kynes. – To widać… wasza wysokość.

– Czy twoi Fremeni mogliby dostarczyć mi niezbitego dowodu, że są tutaj sardaukarzy w mundurach Harkonnenów?

– Niewykluczone.

– Imperator z powrotem postawi tu u władzy Harkonnenów – powiedział Paul. – Może nawet Bestię Rabbana. Niech mu będzie. Jak już zabrnie za daleko, by się wykręcić od winy, niechaj zajrzy mu w oczy widmo Aktu Szczegółowego przed Landsraadem. Niech odpowie tam, gdzie…

– Paulu! – powiedziała Jessika.

– Zakładając, że Wysoka Rada Landsraadu rozpatrzy twoją sprawę – rzekł Kynes – rezultat może być tylko jeden: powszechna wojna między Imperium a wysokimi rodami.

– Chaos – stwierdziła Jessika.

– Ale ja przedstawiłbym swoją sprawę Imperatorowi – powiedział Paul – dając mu alternatywę dla chaosu.

– Szantaż? – rzuciła Jessika bezbarwnym głosem.

– Jedno z narzędzi dyplomacji, jak sama mówiłaś – rzekł Paul i Jessika usłyszała gorycz w jego głosie. – Imperator nie ma synów, tylko same córki.

– Mierzyłbyś do tronu? – spytała Jessika.

– Imperator nie zaryzykuje obrócenia Imperium w perzynę przez wojnę totalną – powiedział chłopak. – Planety w ruinie, powszechny zamęt… Tego nie zaryzykuje.

– Proponujesz desperacką zagrywkę – powiedział Kynes.

– Czego najbardziej boją się wysokie rody Landsraadu? – zapytał Paul. – Najbardziej boją się tego, co właśnie dzieje się tu, na Arrakis: że sardaukarzy wytłuką je po kolei. Dlatego właśnie istnieje Landsraad. To spoiwo Wielkiej Konwencji. Tylko razem mogą się przeciwstawić siłom imperialnym.

– Ale one są…

– Oto czego się boją – ciągnął Paul. – Arrakis stanie się zbiorowym krzykiem. Każdy z nich zobaczy w moim ojcu siebie: odciętego od stada i zabitego.

– Czy jego plan mógłby się powieść? – zwrócił się Kynes do Jessiki.

– Nie jestem mentatem – odparła.

– Ale jesteś Bene Gesserit.

Rzuciła mu badawcze spojrzenie.

– Jego plan ma mocne i słabe strony… jak każdy plan na takim etapie. Powodzenie planu tyleż zależy od wykonania, co od koncepcji.

– „Prawo jest najwyższą nauką” – zacytował Paul. – Tak jest napisane nad drzwiami Imperatora. Proponuję pokazać mu prawo.

– Ja zaś nie jestem pewien, czy mogę zaufać osobie, która wykoncypowała ten plan – powiedział Kynes. – Arrakis ma własny plan, który my…

– Z tronu – przerwał mu Paul – mógłbym zamienić Arrakis w raj jednym skinieniem ręki. To jest moneta, jaką oferuję za twoje poparcie.

Kynes zesztywniał.

– Moja lojalność nie jest na sprzedaż, *wasza wysokość*.

Paul utkwił w nim wzrok ponad stołem, zderzając się z lodowatym spojrzeniem błękitnych w błękicie oczu, przyglądając się brodatej twarzy i władczej minie. Cierpki uśmiech przemknął po wargach chłopaka.

– Dobrze powiedziane. Przepraszam.

Kynes popatrzył mu prosto w oczy i po chwili rzekł:

– Żaden Harkonnen nie przyznał się nigdy do błędu. Może wy, Atrydzi, nie jesteście tacy jak oni.

– Może to być błąd w ich edukacji – powiedział Paul. – Mówisz, że nie jesteś na sprzedaż, lecz ja wierzę, że mam monetę, którą przyjmiesz. Za twoją wierność ślubuję ci moją wierność… całkowitą.

„Syn mój ma atrydzką szczerość – pomyślała Jessika. – Ów kolosalny, prawie naiwny honor. Cóż to za potężna siła”. Widziała, że słowa Paula wstrząsnęły Kynesem.

– To nonsens – stwierdził planetolog. – Jesteś zaledwie chłopcem i…

– Jestem księciem – rzekł Paul. – Atrydą. Żaden Atryda nigdy nie złamał takiego ślubu.

Kynes przełknął ślinę.

– Kiedy mówię „całkowitą” – powiedział Paul – oznacza to „bez granic”. Oddałbym za ciebie życie.

– Wasza wysokość! – rzekł Kynes. Słowa te same mu się wyrwały, a Jessika zauważyła, że nie mówił już do piętnastoletniego chłopca, lecz do mężczyzny, do suwerena. Teraz Kynes traktował ten zwrot poważnie. „W tej chwili oddałby za Paula życie – pomyślała. – Jak Atrydom się to udaje tak szybko, z taką łatwością?”

– Wiem, że mówisz to poważnie – rzekł Kynes. – Jednak Harkon…

Drzwi za plecami Paula rozwarły się z trzaskiem. Obrócił się jak oparzony i zobaczył gwałtowną walkę w przejściu – krzyki, szczęk stali, wykrzywione twarze niczym woskowe maski.

Z matką u boku Paul skoczył do drzwi. Ujrzał blokującego drogę Idaho i jego nabiegłe krwią oczy widoczne przez zamglenie tarczy, a dalej dłonie jak szpony, ruchliwe półkola stali bezskutecznie rąbiące tarczę.

Pomarańczowy płomień strzelił z wylotu głuszaka i odbił się od osłony. Klingi Idaho były wszędzie, migające i ociekające czerwienią.

Kynes znalazł się przy Paulu i wspólnie naparli na drzwi. Po raz ostatni mignął chłopakowi Idaho stawiający czoło mrowiu harkonneńskich mundurów – jego błyskawiczne, kontrolowane zwody, czerwony wykwit śmierci w czarnych jak u kozła włosach. Po czym drzwi się zamknęły i rozległ się trzask, gdy Kynes je ryglował.

– Wygląda na to, że się zdecydowałem – rzekł planetolog.

– Ktoś wykrył twoją maszynerię przed założeniem osłony – stwierdził Paul.

Odciągnął matkę od drzwi; w jej oczach dostrzegł rozpacz.

– Powinienem się spodziewać kłopotów, kiedy nie nadeszła kawa – powiedział Kynes.

– Masz tutaj ukryte wyjście – odezwał się Paul. – Może skorzystamy z niego?

Planetolog zaczerpnął głęboko tchu.

– Drzwi powinny wytrzymać przynajmniej dwadzieścia minut wszystko z wyjątkiem rusznicy laserowej.

– Nie użyją rusznicy z obawy, że mamy z tej strony tarczę – powiedział Paul.

– To byli sardaukarzy w harkonneńskich mundurach – wyszeptała Jessika.

Słyszeli teraz walenie, rytmiczne uderzenia w drzwi.

Kynes wskazał szafki pod ścianą z prawej strony.

– Tędy – rzucił. Podszedł do pierwszej szafki, otworzył szufladę, pomanipulował znajdującą się w środku dźwignią. Cała ściana szafek otwarła się na oścież, odsłaniając czarny wylot tunelu. – Te drzwi to również plastal – rzekł.

– Jesteście dobrze przygotowani – powiedziała Jessika.

– Żyjemy pod Harkonnenami od osiemdziesięciu lat.

Wprowadził ich w mrok i zamknął drzwi. W ciemnościach Jessika zobaczyła przed sobą świecącą strzałkę na podłodze.

– Tu się rozdzielimy – dobiegł ich z tyłu głos Kynesa. – Ta zapora jest mocniejsza. Wytrzyma przynajmniej godzinę. Idźcie po strzałkach na podłodze takich jak ta. Będą gasły, gdy przejdziecie. Prowadzą przez labirynt do zapasowego wyjścia, gdzie ukryłem ornitopter. Dzisiejszej nocy nad pustynią przechodzi samum. Wasza jedyna szansa to dopaść go, wejść na pułap burzy i poszybować z nią. Moi ludzie robią tak, kradnąc ornitoptery. Jeśli utrzymacie się na karku wichury, będziecie ocaleni.

– A co z tobą? – zapytał Paul.

– Spróbuję umknąć inną drogą. Jeśli mnie złapią… cóż, nadal jestem imperialnym planetologiem. Mogę twierdzić, że byłem waszym jeńcem.

„Uciekamy jak tchórze – pomyślał Paul – ale jak inaczej mogę przeżyć, by pomścić ojca?” Odwrócił się twarzą do drzwi.

Jessika usłyszała jego ruch.

– Duncan nie żyje, Paulu. Widziałeś tę ranę. Nic nie możesz dla niego zrobić.

– Pewnego dnia zapłacą mi za nich wszystkich – oznajmił Paul.

– Nie zapłacą, jeśli się teraz nie pospieszysz – rzekł Kynes.

Paul poczuł dłoń mężczyzny na ramieniu.

– Gdzie się spotkamy, Kynesie? – zapytał.

– Roześlę Fremenów, by was szukali. Droga samumu jest znana. Teraz spieszcie się i oby Wielka Macierz dała wam chyżość i szczęście.

Usłyszeli szuranie w ciemności. Kynes odchodził. Jessika odnalazła dłoń Paula i pociągnęła go łagodnie.

– Nie możemy się rozdzielić – powiedziała.

– Tak.

Idąc za nią, minął pierwszą strzałkę i ujrzał, jak robi się czarna pod dotknięciem ich stóp. Dalej wabiła ich druga. Przekroczyli ją i zobaczyli, że gaśnie. Przed sobą mieli następną. Teraz już biegli.

„Plany w środku planów wewnątrz planów w planach – myślała Jessika. – Czy staliśmy się częścią planu kogoś innego?”

Strzałki wiodły ich przez zakręty, koło ledwie tylko wyczuwalnych w nikłej luminescencji odnóg. Przez pewien czas droga prowadziła w dół, następnie zaś w górę, stale w górę. W końcu pokonali schody, skręcili za róg i zatrzymali się gwałtownie przed rozjarzonym murem z ciemną dźwignią na samym środku.

Paul przycisnął dźwignię. Mur rozstąpił się przed nimi. Zabłysło światło, ukazując wyciosaną w skale grotę z przycupniętym pośrodku ornitopterem. Za statkiem majaczyła gładka, szara ściana z zarysem drzwi.

– Dokąd poszedł Kynes? – spytała Jessika.

– Postąpił jak każdy wytrawny dowódca partyzancki – rzekł Paul. – Rozdzielił nas na dwie grupy i tak to zorganizował, żeby nie mógł wyjawić, gdzie jesteśmy, gdyby go złapali. Naprawdę nie będzie wiedział. – Pociągnął matkę do groty, zauważając przy tym, że ich stopy wzbijają pył z podłogi. – Nikogo tu od dawna nie było – powiedział.

– Wydawał się przekonany, że Fremeni nas odnajdą – rzekła.

– Podzielam to przekonanie.

Paul puścił jej rękę, podszedł do lewych drzwi ornitoptera, otworzył je i umieścił w tyle swój fremsak.

– Ten statek ma osłonę przed czujnikiem zbliżeniowym – rzekł. – Tablica przyrządów kryje zdalne sterowanie bramą i sterowanie światła. Osiemdziesiąt lat pod Harkonnenami nauczyło ich sumienności.

Jessika oparła się z drugiej strony o burtę maszyny, łapiąc oddech.

– Harkonnenowie pozostawią odwody w tym rejonie – powiedziała. – Nie są głupi. – Odwołała się do swego wyczucia kierunku i wskazała w prawo. – Widziany przez nas samum jest tam.

Paul kiwnął głową, walcząc z nagłą niechęcią do działania. Znał jej przyczynę, ale nie podtrzymywało go to na duchu. Gdzieś w ciągu nocy minął krytyczny punkt, zapuszczając się w nieznane. Znał czas, w którym byli pogrążeni, lecz tu i teraz jawiło mu się jako miejsce zagadkowe. Zupełnie jakby spoglądał na siebie znikającego w głębi kotliny. Część z niezliczonych ścieżek wychodzących z owej kotliny mogła ponownie wywieść niejakiego Paula Atrydę na światło, lecz większość nie.

– Im dłużej zwlekamy, tym lepiej oni będą przygotowani – powiedziała Jessika.

– Wsiądź i zapnij pasy.

Dołączył do niej, ciągle borykając się z myślą, że nie widział tego w żadnej proroczej wizji. I doznał wstrząsu, uprzytomniwszy sobie, że coraz bardziej ufa proroczej pamięci, co osłabiło go w obecnej, krytycznej sytuacji.

„Jeżeli ufasz tylko oczom, twoje pozostałe zmysły słabną”. Był to aksjomat Bene Gesserit. Odniósł go teraz do siebie, obiecując sobie nigdy więcej nie wpaść w tę pułapkę… jeżeli wyjdzie z tego cało.

Zapiął pasy, upewnił się, że matka jest bezpieczna, i sprawdził statek. Skrzydła były maksymalnie rozpostarte w pozycji spoczynku, ich delikatne metalowe przeploty rozciągnięte. Dotknął dźwigni wciągnika i obserwował, jak płaty skracają się do startu na dopalaczu, jak uczył go Gurney Halleck. Przełącznik rozrusznika przesunął się bez oporu. Tarcze na tablicy przyrządów ożyły z chwilą naładowania gondoli silników. Turbiny zaczęły cicho syczeć.

– Gotowa? – zapytał.

– Tak.

Przełączył zdalne sterowanie światła. Okryła ich ciemność.

Jego dłonie były cieniami na tle podświetlonych tarcz, kiedy uruchomił zdalne otwieranie bramy. Przed nimi rozległ się zgrzyt. Szmer kaskady piachu ucichł. Niesiony powiewem pył musnął mu policzki. Paul domknął swoje drzwi, czując nagły przypływ napięcia.

Szeroki zagon przymglonych pyłem gwiazd pojawił się w prostokącie czerni tam, gdzie była ściana bramy. Za nią gwiezdny blask zarysował kontury skalnej półki, złudę zmarszczek na piasku.

Paul wcisnął na tablicy rozjarzony włącznik sekwencji startowej. Skrzydła uderzyły do dołu i w tył, wyrzucając ornitopter z jego gniazda. Kiedy płaty zamknęły się w pozycji wznoszenia, z silników popłynęła moc.

Jessika złożyła delikatnie dłonie na dwusterze. Wyczuwała pewność ruchów syna. Bała się, a mimo to przepełniała ją radość. „Teraz naszą jedyną nadzieją są umiejętności Paula – pomyślała. – Jego młodość i refleks”.

Paul zwiększył moc gondoli odrzutowych. Ornitopter położył się w wirażu, wciskając ich w fotele, przed nimi zaś wyrósł na tle rozgwieżdżonego nieba ciemny mur. Chłopak zwiększył powierzchnię skrzydeł i moc. Kolejna seria wznoszących uderzeń skrzydłami i wyszli ponad skały – oszronione srebrem załamania i występy w blasku gwiazd. Poczerwieniały w kurzu drugi księżyc ukazał się nad horyzontem z prawej strony, oświetlając kręty tor samumu.

Dłonie Paula zatańczyły na sterach. Skrzydła skurczyły się. Siła odśrodkowa pociągnęła ich ciała, kiedy statek wykonał ostry wiraż.

– Ognie silników za nami! – powiedziała Jessika.

– Widziałem je.

Chłopak pchnął przepustnicę.

Skoczywszy jak spłoszone zwierzę, ornitopter pomknął na południowy zachód ku samumowi i ogromnej krzywiźnie pustyni. W niewielkiej odległości Paul widział rozrzucone cienie, tam gdzie kończyło się pasmo skał z systemem podziemi pod wydmami. Dalej ciągnęły się oświetlone przez księżyc paznokcie cieni – malejące jedna za drugą wydmy. Nad horyzontem zaś piętrzył się płaski ogrom samumu, niczym wał na tle gwiazd.

Coś wstrząsnęło ornitopterem.

– Wybuch! – Jessice zaparło dech. – Używają jakichś pocisków.

Ujrzała nagle drapieżny uśmiech na twarzy Paula.

– Zdaje się, że unikają rusznic laserowych – powiedział.

– Przecież nie mamy tarcz!

– A wiedzą o tym?

Ornitopter zadygotał ponownie.

Paul obejrzał się do tyłu.

– Tylko jeden z nich wydaje się dostatecznie szybki, by nas nie zgubić.

Wrócił do pilnowania kursu, patrząc, jak ściana burzy piaskowej rośnie przed nimi. Piętrzyła się niczym namacalna opoka.

– Wyrzutnie pocisków, rakiety, cały antyczny arsenał to jedna z rzeczy, jaką damy Fremenom – wyszeptał Paul.

– Samum – powiedziała Jessika. – Czy nie powinieneś skręcić?

– Co ze statkiem za nami?

– Dogania nas.

– Teraz!

Paul skrócił skrzydła i z ostrym przechyłem skręcił w lewo ku zwodniczo leniwej kipieli wału burzy, czując, jak siła odśrodkowa ściąga mu policzki.

Wydawało im się, że szybują w ospałym, gęstniejącym coraz bardziej kłębowisku pyłu, które w końcu przesłoniło pustynię i księżyc. Oświetlony

jedynie zieloną łuną tablicy przyrządów statek zmienił się w długi, horyzontalny szum ciemności.

Jessice przemknęły przez głowę wszystkie znane jej ostrzeżenia przed takimi samumami: że tną metal jak masło, wytrawiają ciało i zżerają kości. Poczuła uderzenie zaćmionego pyłem wiatru. Okręcił nimi, podczas gdy Paul zmagał się ze sterami. Zobaczyła, że zmniejsza moc, i wydało jej się, że statek próbuje stanąć dęba. Metal syczał i dygotał wokół nich.

– Piasek! – krzyknęła.

W blasku przyrządów zobaczyła, jak kręci głową.

– Na tej wysokości jest mało piasku.

Czuła jednak, że zapadają się głębiej w wir.

Paul wysunął skrzydła na pełną długość i usłyszał, jak trzeszczą od naprężeń. Nie odrywał oczu od przyrządów, szybując instynktownie, walcząc o wysokość. Dźwięk ich lotu przycichł.

Ornitopter zaczął się przechylać na lewe skrzydło. Paul skupił się na rozjarzonej kuli ze wskaźnikiem krzywej położenia i pokonując opór statku, wyrównał lot.

Jessika miała niesamowite wrażenie, że stoją w miejscu, że wszelki ruch jest na zewnątrz. Niewyraźny brąz napływający do okien i huczący gwizd przypominały jej o potęgach wokół maszyny.

„Wichury do siedmiuset, ośmiuset kilometrów na godzinę” – pomyślała. Napływ adrenaliny rozstrajał jej nerwy. „Nie wolno się bać – powtórzyła bezgłośnie słowa litanii Bene Gesserit. – Strach zabija duszę”.

Z wolna lata szkolenia wzięły górę. Powrócił spokój.

– Trzymamy tygrysa za ogon – wyszeptał Paul. – Nie możemy zejść niżej, nie możemy wylądować… i nie wierzę, żebym był w stanie nas z tego wywindować. Będziemy musieli to przetrzymać.

Spokój wyparował, Jessika poczuła, że dzwoni zębami, i zacisnęła szczęki. Wtem usłyszała, jak Paul cichym i opanowanym głosem odmawia litanię:

– Strach zabija duszę. Strach to mała śmierć, a wielkie unicestwienie. Stawię mu czoło. Niechaj przejdzie po mnie i przeze mnie, a kiedy przejdzie, obrócę oko swej jaźni na jego drogę. Którędy przeszedł strach, tam nie ma nic. Jestem tylko ja.

Czym gardzisz? Po tym poznać, kim jesteś naprawdę.

– z *Księgi o Muad'Dibie* pióra księżnej Irulany

– Nie żyją, baronie – powiedział Iakin Nefud, kapitan straży. – I kobieta, i chłopiec z całą pewnością nie żyją.

Baron Vladimir Harkonnen siedział w nocnych dryfach swojej prywatnej kwatery. Kwatera ta, niczym w wieloskorupkowym jaju, znajdowała się w kosmicznej fregacie, w której osiadł na Arrakis. Jednakże tutaj, w jego komnatach, surowy metal statku złagodzony był draperiami, obiciami i rzadkimi dziełami sztuki.

– To pewne – powiedział kapitan straży. – Oboje nie żyją.

Baron poprawił swoje obfite ciało w dryfach i skoncentrował się na ebolinowej statuetce skaczącego chłopca w niszy po drugiej stronie pokoju. Sen go opuścił. Wygładził wyściółkę dryfu pod fałdami szyi i ponad pojedynczą lumisferą swej komnaty sypialnej wpatrywał się w drzwi, gdzie stał kapitan Nefud odgrodzony pentarczą.

– Nie żyją z całą pewnością – powtórzył oficer.

Baron widział pozostałości otępienia semutą w źrenicach Nefuda. Było jasne, że ten człowiek otrzymał meldunek, kiedy był w głębokiej narkotycznej ekstazie, i pospieszył tutaj, zatrzymując się po drodze jedynie dla zażycia antidotum.

– Otrzymałem szczegółowy raport – dodał Nefud.

„Niech się trochę spoci – pomyślał baron. – Instrumenty polityki muszą być zawsze ostre i gotowe. Siła i strach… ostre i gotowe".

– Widziałeś ich ciała? – zagrzmiał.

Nefud się zawahał.

– No?

– Mój panie… widziano, jak wpadli w samum. To wiatry powyżej ośmiuset kilometrów. Nic nie przetrwa takiego huraganu, mój panie. Nic! Jeden z naszych ornitopterów został zniszczony w trakcie pościgu.

Baron wpatrywał się w Nefuda. Zauważył nerwowy tik przypominających obcęgi mięśni szczęk mężczyzny, sposób, w jaki poruszał się jego podbródek, kiedy kapitan przełykał ślinę.

– Widziałeś ich ciała? – powtórzył.

– Mój panie…

– W jakim celu przychodzisz tutaj i pobrzękujesz szabelką? – zaryczał baron. – By mi powiedzieć, że coś jest pewne, kiedy nie jest? Myślisz, że wynagrodzę cię za taką głupotę, że dam ci kolejny awans?

Twarz Nefuda zbielała jak płótno.

„Patrzcie no, jaki tchórzliwy kurczak – myślał Vladimir. – Oblegają mnie jemu podobne, nic niewarte gnojki. Gdybym rozsypał piasek przed tym stworzeniem i powiedział, że to ziarno, dziobałby aż miło”.

– Zatem ten Idaho zaprowadził nas do nich? – spytał.

– Tak, mój panie!

„Proszę, jak strzela odpowiedziami” – pomyślał baron.

– Próbowali nawiać do Fremenów, co?

– Tak, mój panie.

– Czy jest coś jeszcze w owym… raporcie?

– Planetolog imperialny, Kynes, jest w to zamieszany, mój panie. Idaho spotkał się z nim w tajemniczych okolicznościach… mógłbym nawet powiedzieć, że w *podejrzanych* okolicznościach.

– I?

– Oni… hm, polecieli na pustynię, tam gdzie najwyraźniej ukrywali się chłopiec i jego matka. W gorączce pościgu parę naszych grup znalazło się

w zasięgu eksplozji po trafieniu rusznicą laserową w tarczę.

– Ilu straciliśmy?

– Jeszcze… nie jestem pewny, mój panie.

„Łże – pomyślał baron. – Musiało być gorąco”.

– Imperialny sługus, ten Kynes – rzekł – prowadził podwójną grę, co?

– Ręczę za to swoją reputacją, mój panie.

„Jego reputacją!”

– Każ zabić tego człowieka.

– Mój panie! Kynes jest imperialnym planetologiem, Jego Wysokości osobistym podda…

– Więc zrób tak, żeby to wyglądało na wypadek!

– Mój panie, w zdobyciu fremeńskiego gniazda obok naszych sił brali udział również sardaukarzy. Teraz trzymają Kynesa pod strażą.

– Wydostań go od nich. Powiedz, że życzę sobie go przesłuchać.

– A jeśli się nie zgodzą?

– Zgodzą się, jeśli załatwisz to jak należy.

Nefud przełknął ślinę.

– Tak jest, mój panie.

– Ten człowiek musi umrzeć – zahuczał baron. – Próbował pomóc moim wrogom.

Kapitan przestąpił z nogi na nogę.

– No?

– Mój panie, sardaukarzy trzymają… dwie osoby, które mogą cię zainteresować. Pojmali też mistrza asasynów księcia.

– Hawata? Thufira Hawata?

– Widziałem jeńca na własne oczy, mój panie. To Hawat.

– Nie wierzę, by to było możliwe.

– Mówią, że został powalony głuszakiem, mój panie. Na pustyni, gdzie nie mógł korzystać z tarczy. Właściwie nic mu nie jest. Jeżeli uda nam się go dostać, będziemy mieli wspaniałą zabawę.

– Zapominasz, że mówisz o mentacie – warknął baron. – Mentata się nie marnuje. Powiedział coś? Co mówi o swej klęsce? Czy mógłby znać rozmiary… ale nie.

– Otworzył usta jedynie po to, by dać wyraz przekonaniu, że zdradziła go lady Jessika.

– Aaach! – Baron osunął się na oparcie i popadł w zadumę. – Jesteś pewny? Czy to na pewno lady Jessika budzi jego gniew?

– Powiedział tak w mojej obecności, mój panie.

– Niech więc myśli, że ona żyje.

– Ale, mój panie…

– Cicho bądź. Chcę, by Hawata traktowano dobrze. Nie wolno mu powiedzieć ani słowa o świętej pamięci doktorze Yuem, jego prawdziwym zdrajcy. Należy twierdzić, że Yueh zginął w obronie swego księcia. Poniekąd to może nawet prawda. W zamian umocnimy w nim podejrzenia wobec lady Jessiki.

– Mój panie, ja nie…

– Droga do kontrolowania i kierowania mentatem, Nefudzie, prowadzi przez udzielanie mu informacji. Dajesz fałszywe informacje i masz fałszywe wyniki.

– Tak, mój panie, ale…

– Czy Hawat jest głodny? Spragniony?

– Panie mój, Hawat jest ciągle w rękach sardaukarów!

– Tak, oczywiście. Ale sardaukarzy, podobnie jak ja, będą wychodzić ze skóry, żeby wyciągnąć od Hawata informacje. Zauważyłem pewną rzecz u naszych sojuszników, Nefudzie. Nie są zbytnio wyrobieni… politycznie.

Sądzę, że to celowe. Imperator chce, aby tak było. Tak. Tak sądzę. Wspomnisz dowódcy sardaukarów o mojej renomie specjalisty od wyciągania informacji z opornych osobników.

Nefud wyglądał na nieszczęśliwego.

– Tak, mój panie.

– Powiesz dowódcy sardaukarów, że pragnę przesłuchać równocześnie ich obu, Hawata i tego Kynesa, wygrywając jednego przeciw drugiemu. Tyle potrafi, jak sądzę, zrozumieć.

– Tak, mój panie.

– A gdy już będziemy mieli ich w ręku… – Baron pokiwał głową.

– Mój panie, sardaukarzy zażądają obecności obserwatora przy każdym… przesłuchaniu.

– Jestem przekonany, że potrafimy sprowokować nagłą potrzebę odwołania wszelkich niepożądanych obserwatorów, Nefudzie.

– Rozumiem, mój panie. Wtedy to Kynes może mieć wypadek.

– Obaj. Tak Kynes, jak i Hawat ulegną wypadkom, Nefudzie. Ale tylko wypadek Kynesa będzie prawdziwy. Hawata chcę dla siebie. O, tak.

Nefud zamrugał i przełknął ślinę. Wyglądał, jakby chciał o coś spytać, ale zachował milczenie.

– Hawata nakarmić i napoić – polecił baron. – Traktować z życzliwością i współczuciem. W wodzie podasz mu truciznę śladową wynalezioną przez świętej pamięci Pitera de Vriesa. I dopilnujesz, żeby od owej chwili antidotum weszło na stałe do jadłospisu Hawata… aż do odwołania.

– Antidotum, tak jest. – Nefud skinął głową. – Ale…

– Nie bądź tępy, Nefudzie. Książę omal mnie nie zabił tą kapsułką w zębie. Gaz, który wydmuchnął w mojej obecności, pozbawił mnie mego bezcennego mentata Pitera. Potrzebuję jego zastępcy.

– Hawat?

– Hawat.

– Ale…

– Chcesz powiedzieć, że Hawat jest bez reszty oddany Atrydom. Prawda, ale Atrydzi nie żyją. Przekabacimy go. Musi dojść do wniosku, że nie ponosi winy za zgon księcia. Że to wszystko sprawka czarownicy Bene Gesserit. Że miał marnego pana, któremu uczucia zaćmiewały rozum. Mentaci podziwiają umiejętność wnioskowania w oderwaniu od uczuć, Nefudzie. Przekabacimy wielkiego Thufira Hawata.

– Przekabacimy go. Tak jest, mój panie.

– Hawat miał niestety pana z mizerną kiesą, pana, który nie mógł wydźwignąć go na najwyższe szczyty logicznego myślenia, jakie przysługują mentatowi. Hawat dostrzeże w tym ziarno prawdy. Księcia nie było stać na najsprawniejszych szpiegów, by móc dostarczyć swojemu mentatowi niezbędnych informacji. – Baron wbił wzrok w Nefuda. – Nie oszukujmy się, Nefudzie. Prawda to potężny oręż. Wiemy, jak pobiliśmy Atrydów. Hawat też to wie. Dokonaliśmy tego za pomocą bogactwa.

– Bogactwa. Tak, mój panie.

– Przekabacimy Hawata – powtórzył Vladimir. – Ukryjemy go przed sardaukarami i będziemy trzymać w zanadrzu… odstawienie antidotum. Nie sposób usunąć trucizny śladowej. Poza tym, Nefudzie, on wcale nie musi niczego podejrzewać. Wykrywacz trucizny nie wykaże obecności antidotum. Hawat może do woli badać swe pożywienie i nie znajdzie ani śladu trucizny.

Kapitan zrozumiał i jego oczy się rozszerzyły.

– Brak czegoś – rzekł baron – może być równie zabójczy jak obecność. Brak powietrza, co? Brak wody. Brak czegokolwiek, od czego jesteśmy uzależnieni. – Pokiwał głową. – Rozumiesz mnie, Nefudzie?

Nefud przełknął ślinę.

– Tak, mój panie.

– Więc bierz się do roboty. Znajdź dowódcę sardaukarów i nadaj bieg sprawie.

– Tak jest, mój panie.

Oficer skłonił się i pospiesznie odszedł.

„Hawat u mego boku! – myślał baron. – Sardaukarzy mi go dadzą. Jeśli w ogóle będą coś podejrzewać, to jedynie, że chcę go zabić. I ja te podejrzenia potwierdzę! Głupcy! Jeden z najwspanialszych mentatów, jakich zna historia, mentat wyszkolony w zabijaniu, oni zaś rzucają go mi niczym błahą zabawkę przeznaczoną do zepsucia. Pokażę im, do czego można wykorzystać taką zabawkę”.

Sięgnął za draperię przy łóżku dryfowym i nacisnął guzik, by wezwać swego starszego bratanka Rabbana. Opadł wygodnie na wznak, uśmiechając się.

„I wszyscy Atrydzi w grobie!”

Głupi kapitan straży miał oczywiście rację. Z pewnością nic nie pozostało przy życiu po przejściu samumu na Arrakis. Żaden ornitopter… ani jego pasażerowie. Ta kobieta i chłopiec nie żyją. Łapówki, które trafiły we właściwe ręce, niewiarygodny wydatek na sprowadzenie przeważających wojsk na pewną planetę… wszelkie poufne raporty wysmażone wyłącznie na użytek Imperatora, wszystkie ostrożne knowania wreszcie zaowocowały tutaj w pełni.

„Siła i strach… strach i siła!”

Baron widział drogę przed sobą. Pewnego dnia Harkonnen zostanie Imperatorem. Nie on i nie nasienie z jego lędźwi, ale Harkonnen. Rzecz jasna, nie Rabban, którego wezwał, lecz jego młodszy brat. Młodziutki Feyd-Rautha. Była w tym chłopcu jakaś świeżość radująca barona… jakaś drapieżność.

„Cudny chłopiec – pomyślał Vladimir. – Rok jeszcze lub dwa, powiedzmy do czasu, kiedy skończy siedemnaście lat, i będę miał pewność, czy to on jest narzędziem potrzebnym rodowi Harkonnenów do zdobycia tronu”.

– Jaśnie panie baronie.

Mężczyzna stojący przed polem wejściowym do sypialni barona był niski, otyły na twarzy i ciele, miał wąski rozstaw oczu cechujący męską linię Harkonnenów i zwaliste ramiona. Zachował jeszcze niejaką prężność pod sadłem, ale na oko widać było, że pewnego dnia dorobi się przenośnych dryfów dźwigających jego nadwagę.

„Zakuty łeb i góra mięsa – pomyślał Vladimir. – Mentatem to on nie jest, ten mój bratanek… To nie Piter de Vries, ale być może lepiej nadaje się do najbliższego zadania. Jeśli dam mu wolną rękę, zetrze wszystko na swej drodze. Och, jakże go znienawidzą na Arrakis!”

– Mój drogi Rabbanie – powiedział. Wyłączył pole wejściowe, lecz ostentacyjnie pozostawił własną tarczę nastawioną na pełną moc, wiedząc, że jej migotanie będzie widoczne ponad lumisferą.

– Wezwałeś mnie – rzekł Rabban. Wszedł do sypialni, prześliznął się wzrokiem po zaburzeniu powietrza od tarczy barona i rozejrzał za krzesłem, ale nie znalazł żadnego.

– Stań bliżej, abym cię lepiej widział – powiedział Vladimir.

Rabban postąpił o krok, myśląc, że przeklęty staruch celowo usunął wszystkie krzesła, żeby zmusić gości do stania.

– Atrydzi nie żyją – oznajmił baron. – Wszyscy. Dlatego właśnie sprowadziłem cię na Arrakis. Ta planeta znowu jest twoja.

Rabban zamrugał.

– A ja myślałem, że zamierzasz awansować Pitera de Vriesa na…

– Piter też nie żyje.

– Piter?

– Piter.

Baron ponownie uaktywnił pole drzwi, odcinając dostęp wszelkiej energii do pokoju.

– W końcu ci się znudził, hę? – spytał Rabban. Jego głos zabrzmiał beznamiętnie w ekranowanym pomieszczeniu.

– Powiem ci coś ten jeden jedyny raz – zahuczał baron. – Insynuujesz, że pozbyłem się Pitera tak, jak się wyrzuca byle jaką drobnostkę. – Strzelił tłustymi palcami. – Ot tak, hę? Ja nie jestem takim idiotą, bratanku. Będę niemiły, jeśli kiedykolwiek jeszcze słowem bądź czynem dasz do zrozumienia, że jestem takim idiotą.

W zezujących oczach Rabbana pojawił się strach. Wiedział mniej więcej, jak daleko stary baron mógł się posunąć przeciwko rodzinie. Rzadko do zgładzenia kogoś, chyba że dla potwornego zysku lub prowokacji, ale kary w rodzinie potrafiły być bolesne.

– Wybacz mi, mój panie – powiedział Rabban. Spuścił oczy tyleż dla ukrycia swej złości, co dla okazania posłuszeństwa.

– Nie oszukasz mnie, Rabbanie – rzekł baron.

Mężczyzna przełknął ślinę, nie podnosząc oczu.

– Mam zasadę – mówił dalej Vladimir. – Nigdy nie usuwaj człowieka bezmyślnie, tak jak to się robi w skali całego lenna poprzez odpowiednią procedurę prawną. Zawsze rób to z myślą o nadrzędnym celu… i znaj swój cel!

Przez Rabbana przemówiła złość.

– A jednak usunąłeś zdrajcę, Yuego! Widziałem, jak wynoszono jego ciało, kiedy tu przybyłem zeszłej nocy. – Spojrzał na stryja, wystraszony nagle tonem swoich słów.

Baron tylko się uśmiechnął.

– Bardzo ostrożnie obchodzę się z niebezpieczną bronią – powiedział. – Doktor Yueh był zdrajcą. Wydał mi księcia. – Jego głos nabrał mocy. – Przekupiłem doktora z Akademii Suka! Szkoły Wewnętrznej! Słyszysz, chłopcze? Ale to zbyt szalony rodzaj broni, by odstawić ją do lamusa. Nie usunąłem go przypadkowo.

– Czy Imperator wie, że przekupiłeś doktora Suka?

„To było bystre pytanie – pomyślał baron. – Czyżbym nie doceniał tego bratanka?”

– Imperator jeszcze o tym nie wie – odparł – lecz sardaukarzy z pewnością mu o tym zameldują. Jednak zanim to się stanie, sprawię, by do jego rąk dotarł kanałami KHOAM mój raport. Wyjaśnię, że szczęśliwym trafem odkryłem doktora, który udawał, że jest uwarunkowany. Fałszywego doktora, rozumiesz? Wszyscy wiedzą, że nie można przełamać warunkowania Akademii Suka, więc w to uwierzą.

– Aaach, rozumiem – mruknął Rabban.

„Zaiste, mam nadzieję, że rozumiesz – pomyślał Vladimir. – Mam nadzieję, że naprawdę rozumiesz, jak istotne jest zachowanie tego w tajemnicy”. Nagle zdziwiło go własne postępowanie. „Po co to zrobiłem? Po co chełpię się przed mym durnym bratankiem – bratankiem, którego muszę wykorzystać i się pozbyć?” Rozzłościł się na siebie. Czuł się zdradzony.

– To musi pozostać w tajemnicy – rzekł Rabban. – Rozumiem.

Baron westchnął.

– Tym razem daję ci odmienne instrukcje co do Arrakis, bratanku. Kiedy ostatnio władałeś tą planetą, trzymałem cię krótko. Obecnie wymagam tylko jednego.

– Mój panie?

– Zysku.

– Zysku?

– Masz choćby mgliste pojęcie, Rabbanie, ile wydaliśmy na sprowadzenie takiej armii, by zaatakować Atrydów? Czy choćby w przybliżeniu podejrzewasz, ile Gildia liczy sobie za transport wojska?

– Dużo, co?

– Dużo! – Baron wyrzucił tłuste ramię w stronę bratanka. – Gdybyś przez sześćdziesiąt lat wyciskał z Arrakis każdy grosz, jaki się da wycisnąć, z ledwością byś nas spłacił!

Rabban otworzył usta, po czym zamknął je bez słowa.

– Dużo! – zaśmiał się drwiąco baron. – Przeklęty monopol Gildii w kosmosie puściłby nas z torbami, gdybym dawno temu nie zaplanował tego wydatku. Powinieneś wiedzieć, Rabbanie, że to my ponieśliśmy cały ciężar operacji. Zapłaciliśmy nawet za przewóz sardaukarów.

I nie po raz pierwszy Vladimir zadał sobie pytanie, czy nadejdzie w ogóle taki dzień, kiedy uda się przechytrzyć Gildię. Była przebiegła: dopóki nie mieli gospodarza w garści, dopóki nie mogli zmusić go, by płacił i płacił, i płacił, dopóty ciągnęli tylko tyle pieniędzy, by nie protestował.

Przedsięwzięciom militarnym zawsze towarzyszyły wygórowane żądania. „Stawka za ryzyko” – tłumaczyli usłużni agenci Gildii, a na każdego informatora, jakiego udało ci się wprowadzić do Banku Gildii, oni instalowali dwóch w twoim systemie.

„To nie do zniesienia!” – pomyślał Vladimir.

– Zatem zysk – powiedział Rabban.

Baron opuścił rękę i zwinął dłoń w pięść.

– Masz uciskać.

– I dopóki uciskam, mogę robić, co mi się żywnie podoba?

– Co ci się żywnie podoba.

– Te armaty, które sprowadziłeś – powiedział Rabban. – Czy mógłbym…?

– Zabieram je – rzekł baron.

– Ale ty…

– Nie będziesz potrzebował takich zabawek. Stanowiły specyficzną nowość, a teraz są bezużyteczne. Potrzebujemy metalu. Działa nic nie wskórają przeciw tarczy, Rabbanie. Ich rola polegała jedynie na zaskoczeniu. Od początku przewidywaliśmy, że ludzie księcia wycofają się do skalnych grot tej odrażającej planety. Nasza artyleria tylko ich zamurowała.

– Fremeni nie używają tarcz.

– Możesz zatrzymać trochę rusznic laserowych, jeśli chcesz.

– Tak, mój panie. I mam wolną rękę.

– Dopóty, dopóki uciskasz.

Rabban uśmiechnął się rozanielony.

– Rozumiem doskonale, mój panie.

– Niczego nie rozumiesz doskonale! – warknął baron. – Wyjaśnijmy to sobie od razu. Rozumiesz jedynie, jak wykonywać moje rozkazy. Czy przyszło ci do głowy, bratanku, że na tej planecie jest przynajmniej pięć milionów mieszkańców?

– Czy mój pan zapomina, że byłem tutaj jego regentem siridarem? I jeśli mój pan mi wybaczy, jego szacunki mogą być zaniżone. Trudno zliczyć ludność rozsianą po nieckach i panwiach, tak jak oni tutaj. Biorąc zaś pod uwagę Fremenów z…

– Fremenów nie warto brać pod uwagę!

– Wybacz, mój panie, lecz sardaukarzy są innego zdania.

Baron zawahał się i spojrzał na bratanka.

– Ty coś wiesz?

– Wypoczywałeś, mój panie, kiedy przybyłem tu ubiegłej nocy. Ja… hm, pozwoliłem sobie odszukać niektórych moich adiutantów z… hm, dawnych czasów. Służyli za przewodników sardaukarom. Donieśli mi, że banda Fremenów wciągnęła w zasadzkę i wycięła w pień oddział sardaukarów gdzieś na południowy wschód stąd.

– Wycięła w pień oddział sardaukarów?

– Tak, mój panie.

– Niemożliwe!

Rabban wzruszył ramionami.

– Fremeni biją sardaukarów! – Vladimir uśmiechnął się szyderczo.

– Powtarzam jedynie, co mi doniesiono – rzekł Rabban. – Mówią, że ta banda Fremenów wzięła przedtem do niewoli strasznego Thufira Hawata.

– Aaach. – Baron pokiwał głową z uśmiechem.

– Ja wierzę w ten meldunek – powiedział Rabban. – Nie masz pojęcia, jakim problemem są Fremeni.

– Możliwe, ale to nie Fremenów widzieli twoi adiutanci. To musieli być wyszkoleni przez Hawata ludzie Atrydów przebrani za Fremenów. Tylko tak można to wytłumaczyć.

Rabban ponownie wzruszył ramionami.

– Cóż, sardaukarzy uważają, że to byli Fremeni. Już rozpoczęli pogromy, chcąc wyciąć do nogi wszystkich Fremenów.

– Dobrze!

– Lecz…

– Sardaukarzy będą mieli zajęcie, a my niebawem będziemy mieli Hawata. Ja to wiem! Czuję to! Ach, cóż to był za dzień! Sardaukarzy uganiają się za paroma pustynnymi bandami bez znaczenia, my zaś zgarniamy prawdziwą zdobycz!

– Mój panie… – Rabban zmarszczył brwi, wahając się. – Zawsze miałem wrażenie, że nie doceniamy Fremenów, zarówno jeśli chodzi o ich liczbę, jak i…

– Nie zawracaj sobie nimi głowy, chłopcze! To motłoch. Nas obchodzą ludzie z miast, miasteczek i osad. Mnóstwo tam ludzi, co?

– Mnóstwo, mój panie.

– Oni mnie martwią, Rabbanie.

– Martwią?

– Och… dziewięćdziesiąt procent z nich nie budzi mego niepokoju, ale zawsze znajdzie się paru… z niskich rodów i tak dalej, ludzi z ambicjami, którzy mogą spróbować niebezpiecznej gry. Gdyby ktoś taki opuścił Arrakis z nieprzyjemną opowieścią o tym, co tutaj zaszło, byłbym w najwyższym stopniu niezadowolony. Czy masz chociaż pojęcie, jak bardzo byłbym niezadowolony?

Rabban przełknął ślinę.

– Musisz poczynić natychmiastowe kroki, biorąc zakładników z każdego niskiego rodu – rzekł baron. – Jeśli w ogóle ktoś spoza Arrakis ma coś wiedzieć, była to zwykła bitwa między rodami. Sardaukarzy nie brali w niej udziału, rozumiesz? Księciu zaproponowano zwyczajową kwaterę i wygnanie, lecz zginął w nieszczęśliwym wypadku, zanim je przyjął. Chociaż właśnie miał je przyjąć. A wszelkie plotki, że byli tutaj sardaukarzy, muszą być witane śmiechem.

– Zgodnie z życzeniem Imperatora – powiedział Rabban.

– Zgodnie z życzeniem Imperatora.

– A co z przemytnikami?

– Nikt nie uwierzy przemytnikom, Rabbanie. Ich się toleruje, ale się im nie wierzy. Na wszelki wypadek rozdaj jakieś łapówki w tym kręgu… i podejmij inne środki, jakie ci przyjdą – w co nie wątpię – do głowy.

– Tak, mój panie.

– Zatem Arrakis to dwie rzeczy, Rabbanie: zysk i bezlitosna pięść. Nie wolno ci tu okazać żadnej litości. Myśl o tych ciołkach tak, jak powinieneś: że to niewolnicy zazdroszczący swym panom i tylko czekający na okazję do rebelii. Nie wolno ci okazać im choćby odrobiny litości lub łaski.

– Czy można eksterminować całą planetę? – zapytał Rabban.

– Eksterminować? – Szybki obrót głowy zdradził zaskoczenie barona. – Kto tu mówi o eksterminacji?

– Sądziłem, że zamierzasz sprowadzić nowy inwentarz i…

– Powiedziałem, że masz ich uciskać, nie eksterminować. Nie marnuj ludzi, tylko zmuś ich do krańcowego poddaństwa. Musisz być drapieżnikiem, mój chłopcze. – Na pucołowatej twarzy z dołeczkami pojawił się dziecięcy uśmiech. – Drapieżnik nigdy nie spoczywa. Nie znaj litości. Nie znaj spoczynku. Litość jest chimerą. Daje się pokonać burczeniem głodnego żołądka, wołaniem spragnionego gardła. Musisz być zawsze głodny i spragniony. – Pogładził swe wypukłości pod dryfami. – Jak ja.

– Rozumiem, mój panie. – Rabban rozejrzał się na boki.

– Zatem wszystko jasne, bratanku?

– Z wyjątkiem jednej sprawy, stryju: ten planetolog, Kynes.

– Ach tak, Kynes.

– To człowiek Imperatora, mój panie. Przychodzi i odchodzi, dokąd chce i kiedy chce. I jest w bardzo dobrej komitywie z Fremenami… poślubił Fremenkę.

– Kynes będzie martwy jutro przed zapadnięciem nocy.

– Zabicie urzędnika imperialnego, stryju, to niebezpieczny czyn.

– A myślisz, że w jaki sposób tak szybko zaszedłem tak daleko? – zapytał baron. Głos jego był cichy, brzemienny niewypowiedzianymi

przymiotnikami. – Poza tym w ogóle nie musiałeś się obawiać, że Kynes opuści Arrakis. Zapominasz, że jest uzależniony od przyprawy.

– Rzeczywiście!

– Ci, którzy wiedzą, nie zrobią nic, co mogłoby zagrozić ich dostawom. Kynes z pewnością musi wiedzieć.

– Zapomniałem – powiedział Rabban.

Spoglądali na siebie w milczeniu.

– À propos – rzekł po chwili baron – przede wszystkim zajmiesz się dostawami dla mnie. Mam spore prywatne zapasy, lecz ów samobójczy rajd ludzi księcia kosztował mnie większość tego, co zgromadziliśmy na sprzedaż.

Rabban kiwnął głową.

– Tak, mój panie.

Vladimir pokraśniał.

– Zatem jutro rano zbierzesz to, co pozostało z tutejszej hierarchii, i oświadczysz im: „Nasz Najjaśniejszy Padyszach Imperator nakazał mi wziąć we władanie tę planetę i położyć kres wszelkim waśniom”.

– Rozumiem, mój panie.

– Tym razem jestem pewny, że rozumiesz. Jutro omówimy to dokładniej. A teraz odejdź, bym mógł się wyspać.

Baron wyłączył pole wejściowe i śledził wzrokiem bratanka, dopóki ten nie zniknął mu z oczu.

„Zakuty łeb – pomyślał. – Zakuty łeb i góra mięsa. Gdy tu z nimi skończy, będą krwawą miazgą. Wówczas przyślę Feyda-Rauthę, by zdjął z nich jarzmo, oni zaś zaczną wiwatować na cześć swego wybawcy. Ukochany Feyd-Rautha. Łaskawy Feyd-Rautha, litościwy pan, który przynosi wybawienie od bestii. Feyd-Rautha, człowiek, dla którego warto żyć i umrzeć. Do tego czasu chłopiec będzie już umiał gnębić bezkarnie.

Jestem pewien, że jest tym, kogo nam trzeba. Nauczy się. I ma takie cudne ciało. Zaiste, cudowny chłopiec”.

W wieku piętnastu lat nauczył się już milczenia.

– z *Historii dzieciństwa Muad'Diba* pióra księżnej Irulany

Zmagając się ze sterami ornitoptera, Paul zdał sobie sprawę, że przeprowadza selekcję żywiołów samumu, jego nadmentacka świadomość zaś dokonuje kalkulacji na podstawie najdrobniejszych szczegółów. Wyczuwał fronty pyłu, zafalowania, nakładanie się turbulencji, przelotny wir.

Niespokojne pudło kabiny rozjaśniała zielona łuna bijąca od tarcz przyrządów. Bura rzeka pyłu na zewnątrz wydawała się bezkształtna, ale Paul zaczął widzieć wewnętrznym zmysłem przez tę kurtynę.

„Muszę znaleźć odpowiedni wir" – pomyślał.

Od dłuższego już czasu wyczuwał słabnięcie samumu, chociaż nadal rzucało nimi. Przeczekał kolejną turbulencję.

Wir dał o sobie znać gwałtownym kołysaniem, które zagrzechotało całym statkiem. Odsuwając wszelki strach, chłopak położył ornitopter na lewe skrzydło. Jessika dojrzała manewr na kuli położenia.

– Paulu! – krzyknęła.

Wir zawrócił ich, okręcając i huśtając maszyną. Podniósł ornitopter niczym gejzer słomkę, wypluł go i odrzucił; byli jak skrzydlata drobina w rdzeniu kołującego pyłu oświetlanego blaskiem drugiego księżyca.

Spoglądając w dół, Paul zobaczył słup gorącego wiatru, który ich wyrzygał, i zamierający samum, który uchodził w głąb pustyni jak wyschnięta rzeka – szary w blasku księżyca ruch, malejący coraz bardziej, w miarę jak wznosili się w prądzie wstępującym.

– Wyszliśmy z tego – wyszeptała Jessika.

Paul zawrócił statek i oddalił się od pyłu lotem nurkowym, rozglądając się po nocnym niebie.

– Umknęliśmy im – powiedział.

Jessika słyszała gwałtowne bicie swego serca. Opanowała się z wysiłkiem i popatrzyła na zanikający samum. Jej zmysł czasu wskazywał, że szybowali w tym sprzężeniu żywiołów niecałe cztery godziny, ale w głębi ducha wydawało jej się, że całe życie. Czuła się tak, jakby się na nowo narodziła.

„To było niczym w litanii – pomyślała. – Stawiliśmy mu czoło bez stawiania oporu. Samum przeszedł przez nas i po nas. Odszedł, a my zostaliśmy”.

– Nie podoba mi się dźwięk pracy skrzydeł – rzekł Paul. – Gdzieś musi być uszkodzenie.

O zgrzytliwym, kalekim locie mówiły jego dłoniom stery. Wydostali się z samumu, lecz ciągle nie było ich w polu jego wieszczego widzenia. Umknęli jednak i chłopaka opanowało drżenie, zwiastując próg objawienia.

Zadygotał.

Doznanie było zniewalające i przerażające. Przyłapał się na szukaniu przyczyn rozdygotania swej świadomości. Czuł, że w pewnej mierze zawiniła tu przesycona przyprawą dieta Arrakis. Uważał wszakże, że częściowo mogła to spowodować litania, jakby jej słowa miały moc same w sobie.

„Nie wolno się bać…”

Przyczyna i skutek: żył na przekór złowrogim siłom i miał wrażenie, że zawisł na skraju samoświadomości, która nie mogłaby zaistnieć bez magii litanii.

W pamięci zabrzmiały mu słowa z Biblii Protestancko-Katolickiej: „Jakich brakuje nam zmysłów, że nie widzimy i nie słyszymy innego

świata, który nas otacza?”.

– Dookoła pełno skał – zauważyła Jessika.

Paul skoncentrował się na przechyle ornitoptera, potrząsając głową, by oprzytomnieć. Spojrzał w kierunku wskazywanym przez matkę, na czarne skały wyrastające z piasku po prawej przed nimi. Wyczuwał przeciąg na kostkach, krążenie pyłu w kabinie. Gdzieś była dziura, kolejne dzieło samumu.

– Lepiej siądźmy na piasku – powiedziała Jessika. – Skrzydła mogą nie wytrzymać pełnego hamowania.

Wskazał głową ku miejscu, gdzie wysieczone piaskiem krawędzie strzelały w blasku księżyca ponad wydmami.

– Siądziemy w pobliżu tamtych skał. Sprawdź swoje pasy.

Wykonując polecenie, Jessika myślała: „Mamy wodę i filtraki. Jeśli uda nam się zdobyć pożywienie, zdołamy przetrwać długo na tej pustyni. Fremeni tu żyją. Co mogą oni, możemy i my”.

– Biegnij do tych skał, jak tylko się zatrzymamy – powiedział Paul. – Ja wezmę sakwę.

– Biegnij do… – Zamilkła, kiwając głową. – Czerwie.

– Nasi przyjaciele czerwie – poprawił ją. – Zgarną ornitopter. Nic nie zdradzi, gdzie wylądowaliśmy.

„Jak rzeczowe jest jego rozumowanie” – pomyślała Jessika.

Schodzili ślizgiem niżej… coraz niżej…

Ich lot stwarzał teraz wrażenie szalonego pędu – widzieli zamazane cienie wydm, skały wyłaniające się jak wyspy. Ornitopter musnął wierzchołek wydmy, przeskoczył nad piaszczystą doliną, musnął drugą wydmę.

„Wytraca prędkość o piasek” – pomyślała Jessika i był w tym podziw dla mistrzostwa Paula.

– Trzymaj się! – przestrzegł ją chłopak.

Ściągnął hamulce skrzydeł, początkowo delikatnie, następnie coraz mocniej, czując, jak zagarniają powietrze, jak z każdą chwilą maleje wydłużenie płatów. Wiatr gwizdał w zachodzących na siebie lotkach i elementach nośnych.

Nagle, jedynie z ledwo uchwytnym ostrzegawczym przechyłem, lewe skrzydło, osłabione przez samum, wywinęło się ukośnie do góry i uderzyło w burtę ornitoptera. Szorując o grzbiet wydmy, statek położył się na bok. Zjechał po przeciwległym zboczu i wśród lawiny piachu zarył nosem w sąsiednią wydmę. Legł bez ruchu na lewym boku z prawym skrzydłem sterczącym ku gwiazdom.

Paul zerwał z siebie pasy, rzucił się przez matkę i otworzył drzwi. Piach obsypał całą kabinę, przynosząc wyjałowiony zapach palonego krzemienia. Chłopak chwycił z ogona fremsak; zauważył, że matka uwolniła się już z pasów. Wspięła się na bok prawego fotela, a z niego na metalowe poszycie ornitoptera. Podążył za nią, ciągnąc fremsak za rzemienie.

– Biegiem! – zakomenderował.

Wskazał szczyt wydmy i dalej, gdzie widać było skalną wieżę podciętą piaskowymi zamieciami.

Jessika zeskoczyła z ornitoptera i pobiegła, brnąc z trudem pod górę. Za plecami słyszała sapanie Paula. Wydostali się na piaszczystą grań, która ciągnęła się łukiem w stronę skał.

– Trzymaj się grani – nakazał chłopak. – Będzie szybciej.

Biegli ku skałom, wyrywając stopy z piachu. Coraz wyraźniej słyszeli nowy dźwięk: stłumiony szmer, syk, jakieś skrobanie.

– Czerw – rzucił Paul.

Dźwięk przybierał na sile.

– Szybciej! – wysapał.

Pierwsza płyta skalna, niczym plaża wychylająca się ukośnie z morza piasku, leżała nie dalej niż dziesięć metrów przed nimi, gdy z tyłu doleciał ich chrzęst i zgrzyt metalu.

Paul przerzucił fremsak do prawej ręki i ujął go za rzemienie. Obijał mu się o biodro w trakcie biegu. Drugą ręką złapał dłoń matki. Krętą, wyżłobioną przez wiatr rynną gramolili się na skalną pochylnię po usianym kamykami zboczu. Rzęzili ze zmęczenia.

– Nie zrobię już ani kroku – wydyszała Jessika.

Paul się zatrzymał, wepchnął ją w załom skały i odwróciwszy się, spojrzał w dół na pustynię.

Równolegle do ich skalnej wyspy sunął pagórek – księżyc oświetlał w odległości około kilometra zmarszczki, fale piasku, spiętrzony kopiec prawie na wysokości oczu Paula. Tor sprasowanych wydm tworzył w jednym miejscu ciasną pętlę, przecinając łachę pustyni, na której porzucili rozbity ornitopter.

Tam, gdzie przeszedł czerw, nie było już śladu po statku.

Ruchomy pagórek odjechał w głąb pustyni po własnym śladzie, tropiąc.

– Jest większy od kosmicznego statku Gildii – szepnął Paul. – Mówiono mi, że w głębi pustyni czerwie osiągają wielkie rozmiary, ale nie zdawałem sobie sprawy… jak wielkie.

– Ani ja – wyszeptała Jessika.

Stwór ponownie odbił od skał, przyspieszając po zakolu w stronę horyzontu. Nasłuchiwali, dopóki odgłosy jego ruchu nie zginęły w cichym przesypywaniu się piasków wokoło.

Paul odetchnął głęboko, po czym – podniósłszy oczy ku oszronionej księżycowym blaskiem skarpie – zacytował z *Kitab al-Ibar*:

– „Podróżuj nocą, a dniem spoczywaj w czarnym cieniu”. – Spojrzał na matkę. – Mamy jeszcze parę godzin nocy. Możesz iść dalej?

– Za chwilę.

Wyszedł na skalną płytę, zarzucił fremsak na plecy i poprawił rzemienie. Chwilę stał z parakompasem w dłoniach.

– Powiedz, kiedy będziesz gotowa.

Odepchnęła się od skały, czując, że siły jej wracają.

– Dokąd?

– Granią. – Wskazał kierunek.

– W głąb pustyni – powiedziała.

– Fremeńskiej pustyni – wyszeptał Paul.

I znieruchomiał, wstrząśnięty zapamiętanym obrazem wypukłorzeźby z proroczej wizji na Kaladanie. Widział już tę pustynię, lecz konfiguracja widzenia różniła się nieuchwytnie, jakby ten obraz, zatracony w jego świadomości i wchłonięty przez pamięć, wykazywał teraz braki w precyzji zapisu, kiedy został wyświetlony na prawdziwej scenie. Wizja jakby się przesunęła i ustawiła pod innym kątem, podczas gdy on trwał w bezruchu.

„W tamtej wizji był z nami Idaho – przypomniał sobie. – A teraz Idaho nie żyje”.

– Widzisz drogę przed sobą? – spytała Jessika, źle rozumiejąc jego wahanie.

– Nie – powiedział – ale i tak pójdziemy.

Poprawił fremsak na ramionach i ruszył raźno w górę skalnym korytem. Wychodziło na skąpaną w poświacie księżyca podłogę skalną ze wznoszącymi się coraz dalej na południe tarasami.

Skierował się do pierwszego stopnia i wdrapał na górę. Jessika podążyła za nim.

Niebawem zauważyła utrudniające podróż szczegóły: gniazda piachu między skałami, wyostrzoną przez wiatr krawędź, która wrzynała im się w dłonie, przeszkodę zmuszającą do wyboru, czy przejść górą, czy okrążyć.

Teren narzucał własne rytmy. Odzywali się jedynie, gdy zachodziła potrzeba, a i wtedy chrapliwym od wysiłku głosem.

– Ostrożnie, półka jest śliska od piasku.

– Uważaj, nie uderz tu głową o nawis.

– Trzymaj się poniżej grani. Księżyc mamy za plecami, więc każdy nasz ruch widać z dołu jak na dłoni.

Paul zatrzymał się w skalnym zakolu, opierając fremsak na wąskim gzymsie.

Jessika wyciągnęła się przy nim, wdzięczna za chwilę wytchnienia. Usłyszała, że Paul pociąga z wodowodu filtraka, i napiła się własnej odzyskanej wody. Czując jej słonawy smak, wspomniała wody Kaladanu – wysoką fontannę obejmującą łukiem niebo, taką obfitość wilgoci, że nie zauważało się jej, a jedynie kształt, odblask lub szmer, kiedy stawało się obok.

„Przystanąć – pomyślała. – Odpocząć… prawdziwie odpocząć”. Przyszło jej na myśl, że miłosierdzie to możność zatrzymania się choćby na moment. Nie ma miłosierdzia tam, gdzie nie można się zatrzymać.

Paul opuścił skalną półkę, skręcił i zaczął się wspinać po pochyłości. Jessika z westchnieniem podążyła za nim.

Zsunęli się na szeroką półkę okalającą czoło litej skały. Ponownie wpadli w zwichnięty rytm wędrówki po spękanym terenie.

Jessice wydawało się, że noc została zdominowana przez skalę rozdrobnienia substancji pod ich stopami i dłońmi – otoczaki, groszek żwirowy, skałę płatkową, groszek piaskowy albo sam piasek, grys, pył albo miałki puder.

Puder zatykał filtry nosowe i trzeba go było wydmuchiwać. Groszek piaskowy i żwirowy sunęły po twardym podłożu i mogły pociągnąć ze sobą

nieostrożnego wędrowca. Skała płatkowa raniła, a we wszechobecnych łachach piasku więzły im stopy.

Paul przystanął raptownie na skalnej półce i podtrzymał matkę, która się z nim zderzyła.

Wskazał na lewo. Spoglądając wzdłuż jego ramienia, zobaczyła, że stoją na szczycie urwiska. Jakieś dwieście metrów pod nimi, niczym znieruchomiały ocean, rozciągała się pustynia. Leżała w dole pełna srebrnych w blasku księżyca fal – cienie załamań przechodziły w zakola i piętrzyły się w dali zamgloną szarą plamą następnego klifu.

– Otwarta pustynia – stwierdziła.

– Szmat drogi do przejścia. – Głos Paula docierał stłumiony przez syfon filtru.

Jessika powiodła dokoła wzrokiem – nic, tylko piasek w dole.

Paul patrzył przed siebie na wydmy, śledząc przesuwanie się cieni na drodze księżyca.

– Ze trzy lub cztery kilometry – rzekł.

– Czerwie – powiedziała.

– Na pewno są.

Pomyślała o swoim znużeniu, o bólu mięśni otępiającym zmysły.

– Może odpoczniemy i się posilimy?

Paul zsunął rzemienie i usiadł, opierając się o fremsak. Jessika, trzymając się jego ramienia, opadła przy nim na skałę. Kiedy już się usadowiła, usłyszała, że Paul grzebie w sakwie.

– Masz – powiedział.

Poczuła jego suche ręce na swoich, gdy wciskał jej w dłoń dwie pigułki energetyczne. Połknęła je, popijając skąpym łykiem wody z rurki filtraka.

– Wypij całą wodę – odezwał się Paul. – Zgodnie z zasadą, że najlepszym miejscem do przechowywania wody jest własne ciało. To

pozwala zachować energię. Dodaje sił. Ufaj swojemu filtrakowi.

Posłusznie wysączyła płyn z kieszeni łownych, czując, jak ustępuje zmęczenie. Zadumała się nad spokojem, jaki panował tu w tej chwili ich znużenia, i przypomniały jej się słowa trubadura i wojownika Gurneya Hallecka: „Lepszy spokój z okruchem suchara niźli pałac łez i waśni”.

Powtórzyła je Paulowi.

– To był Gurney – rzekł.

Zwróciła uwagę na jego ton, sposób, w jaki to powiedział – jakby mówił o zmarłym. „Nieszczęsny Gurney może rzeczywiście nie żyje” – pomyślała. Atrydzcy żołnierze polegli, popadli w niewolę albo – tak jak oni – błąkają się po tym pozbawionym wody pustkowiu.

– Gurney miał zawsze gotowy odpowiedni cytat – powiedział Paul. – Słyszę go teraz: „I osuszę rzeki, i zaprzedam ziemię w ręce niegodziwych; spustoszę ziemię i wszystko, co jest na niej, obcą dłonią”.

Jessika przymknęła oczy, gdyż niespodziewany patos w głosie syna poruszył ją prawie do łez.

Po chwili Paul zapytał:

– Jak się… czujesz?

Zrozumiała, że pytanie dotyczy jej ciąży.

– Zanim twoja siostra się urodzi, minie jeszcze wiele miesięcy – odparła. – Nadal czuję się… dobrze. Fizycznie…

„Jak formalnie przemawiam do własnego syna” – pomyślała. Po czym, jako że Bene Gesserit zawsze doszukiwały się w sobie wyjaśnienia takich dziwactw, zaraz dogrzebała się źródła oficjalnego tonu: „Boję się mojego syna. Lękam się jego dziwnego stanu. Obawiam się tego, co może zobaczyć w przyszłości, co może mi powiedzieć”.

Paul naciągnął sobie kaptur na oczy, zasłuchany w nocne owadzie szmery. Płuca wypełniło mu własne milczenie. Zaswędział go nos. Potarł

go, zdjął filtr i zdał sobie sprawę z ciężkiej woni cynamonu.

– W pobliżu jest przyprawa – powiedział.

Wiatr lekko niczym puch musnął jego policzki i wzburzył fałdy dżubby, lecz nie przynosił groźby samumu; chłopak wyczuwał już różnicę.

– Niebawem świt – stwierdził.

Jessika kiwnęła głową.

– Istnieje sposób, by bezpiecznie przejść przez ten otwarty piasek – rzekł Paul. – Fremeni to robią.

– A czerwie?

– Gdyby umieścić dudnik z naszej sakwy wśród tych skał – powiedział – zajęłoby to czerwia na jakiś czas.

Spojrzała na pławiący się w księżycowym blasku obszar pustyni między ich a następnymi skałami.

– Dość, by pokonać cztery kilometry?

– Może. I gdyby, przechodząc tamtędy, powodować tylko naturalne odgłosy, takie, które nie zwabią czerwia…

Wpatrywał się intensywnie w otwartą pustynię, szukając w pamięci jasnowidzenia, drążąc tajemnicze wzmianki o dudnikach i hakach stworzyciela w leksykonie z fremsaka. Ze zdziwieniem przekonał się, że odczuwał jedynie przerażenie ogarniające go na myśl o czerwiach. Bo wiedział, tak jakby leżało to na skraju jego świadomości, że czerwie należy darzyć szacunkiem, nigdy zaś się ich obawiać… jeśli… jeśli…

Potrząsnął głową.

– Te odgłosy musiałyby nie mieć rytmu – powiedziała Jessika.

– Co? Ach. Tak. Jeśli będziemy urywać kroki… Piasek sam musi się czasami osuwać. Czerwie nie mogą śledzić każdego drobnego dźwięku. Powinniśmy jednak być w pełni wypoczęci, nim się o to pokusimy. –

Spojrzał ku klifowi po drugiej stronie, dostrzegając upływ czasu w tamtejszych pionowych cieniach. – Za godzinę będzie świtać.

– Gdzie spędzimy dzień? – zapytała.

Paul odwrócił się i wskazał w lewo.

– Urwisko zawraca tam łukiem na północ. Po tym, jak jest wyżłobione przez wiatr, widać, że to ściana nawietrzna. Będą w niej szczeliny, w dodatku głębokie.

– Czy nie lepiej już wyruszyć? – spytała.

Wstał i pomógł jej się podnieść.

– Nabrałaś wystarczająco sił do zejścia? Chcę dotrzeć jak najbliżej powierzchni pustyni, zanim rozbijemy obóz.

– Wystarczająco. – Skinęła mu głową, by prowadził.

Przez moment się wahał, po czym podniósł fremsak, zarzucił go sobie na ramiona i ruszył wzdłuż urwiska.

„Gdybyśmy tylko mieli dryfy – pomyślała Jessika. – Skok na dół byłby dziecinną igraszką. Ale dryfy są prawdopodobnie kolejną rzeczą, jakiej należy unikać na otwartej pustyni. Może wabią czerwie tak, jak to robią tarcze”.

Dotarli do szeregu opadających półek skalnych. Za nimi dostrzegli szczelinę z obrysowanym księżycowym cieniem występem, który wiódł wzdłuż jej wylotu.

Paul poprowadził w dół, krocząc ostrożnie, ale szybko, ponieważ wiadomo było, że blask księżyca nie potrwa już długo. Schodzili zakosami w świat pogłębiających się coraz bardziej cieni. Zarysy skał rosły wokół nich ku gwiazdom. Szczelina zwęziła się do jakichś dziesięciu metrów na skraju szarej piaskowej pochylni, która opadała w ciemność.

– Możemy zejść? – wyszeptała Jessika.

– Chyba tak. – Pomacał stopą powierzchnię. – Możemy zjechać – rzekł. – Ruszę pierwszy. Czekaj, aż usłyszysz, że się zatrzymałem.

– Uważaj – powiedziała.

Wszedł na pochyłość i ślizgając się po jej miękkiej powierzchni, zjechał na ubity piach niemal poziomego dna. Miejsce znajdowało się głęboko wśród skalnych ścian.

Doleciał go odgłos osuwającego się piasku. Starał się przebić wzrokiem ciemności na górze, ale mało nie zwaliła go z nóg lawina. Po chwili wszystko ucichło.

– Matko?

Nie było odpowiedzi.

– Matko?

Cisnął fremsak i rzucił się w górę zbocza, brnąc, grzęznąc i rozgarniając piach jak opętany.

– Matko! – wydyszał. – Matko, gdzie jesteś?

Następna kaskada piasku spłynęła z góry, zasypując go po biodra. Wyszarpnął się.

„Porwało ją osuwisko piachu – pomyślał. – Zagrzebało. Muszę zachować spokój i przemyśleć to starannie. Nie udusi się od razu. Ułoży się w letargu bindu, zmniejszając zapotrzebowanie na tlen. Wie, że będę ją odkopywał”.

Metodą Bene Gesserit, tak jak go nauczyła, Paul uspokoił bijące szaleńczo serce i zamienił swój umysł w czystą tablicę, którą mogło zapełnić parę ostatnich chwil. Każde osunięcie się lawiny rozegrało się powtórnie w jego pamięci niczym film, w ułamku sekundy rzeczywistego czasu potrzebnego na przypomnienie.

Wkrótce Paul ruszył zakosami w górę stoku, macając delikatnie, póki nie znalazł ściany szczeliny, która wyrzynała się skalnym łukiem. Zaczął kopać

ostrożnie, by nie wywołać kolejnego obsunięcia. Natrafił na rąbek tkaniny. Poszedł jej śladem i odgrzebał rękę. Delikatnie odsłonił twarz.

– Słyszysz mnie? – wyszeptał.

Żadnej odpowiedzi.

Zaczął kopać szybciej i uwolnił ramiona. Jessika była bezwładna, ale wyczuwał powolny puls.

„Letarg bindu” – powiedział sobie.

Odgarnął piach do bioder, jej ręce zarzucił sobie na ramiona i pociągnął ją w dół pochyłości, początkowo wolno, następnie zaś coraz prędzej, czując osuwanie się piasku nad sobą. Wlókł ją coraz szybciej, dysząc z wysiłku i walcząc o utrzymanie równowagi. Wreszcie dotarł na ubite dno szczeliny i przewiesiwszy sobie Jessikę przez ramię, puścił się chwiejnym biegiem. Cały stok osunął się z donośnym szumem, który odbił się echem wzmocnionym przez skalne ściany.

Chłopak przystanął u progu komina wychodzącego na szeregi wydm jakieś trzydzieści metrów niżej. Delikatnie złożył matkę na piasku i wypowiedział słowo wyprowadzające z katalepsji.

Budziła się z wolna, oddychając coraz głębiej.

– Wiedziałam, że mnie znajdziesz – szepnęła.

Obejrzał się na szczelinę.

– Może byłoby lepiej, gdybym nie znalazł.

– Paulu!

– Straciłem sakwę – rzekł. – Wszystko jest pogrzebane pod stu tonami piachu… co najmniej.

– Wszystko?

– Zapas wody, filtrnamiot, wszystko, co się liczy. – Dotknął kieszeni. – Mam jeszcze parakompas. – Pomacał szarfę na brzuchu. – Nóż i lornetkę. Możemy sobie dobrze obejrzeć miejsce, gdzie umrzemy.

W tym momencie słońce ukazało się nad horyzontem gdzieś z lewej strony, za krawędzią zagłębienia. Na piasku otwartej pustyni rozbłysły kolory. Z kryjówek pośród skał buchnął chór ptaków, lecz Jessika widziała jedynie rozpacz na twarzy Paula.

– Czy tak cię nauczono? – odezwała się z pogardą.

– Nie rozumiesz? – rzekł. – Wszystko, czego potrzebujemy, żeby przeżyć w tym miejscu, jest pod piachem.

– Mnie znalazłeś – powiedziała, a jej głos był tym razem łagodny, przekonujący.

Paul kucnął na piętach. Po chwili podniósł oczy na nowy stok, wpatrując się w piasek i oceniając jego sypkość.

– Gdyby udało się unieruchomić małą powierzchnię tego zbocza i górne licowanie wykopanego otworu, może zrobilibyśmy szyb do sakwy. Woda by to załatwiła, ale nie mamy dosyć wody na… – Urwał. – Piana – rzekł po chwili.

Jessika siedziała w bezruchu, starając się nie zakłócić nadfunkcjonowania jego mózgu. Paul spojrzał ku wydmom, szukając i węchem, i wzrokiem, aż ustalił kierunek, a wtedy skupił uwagę na pociemniałej łasze piasku na dole.

– Przyprawa – powiedział. – Jej esencja jest silnie alkaliczna. I mam parakompas. Jego zasilacz działa na kwasie.

Jessika siedziała oparta plecami o skałę. Paul nie zwracał na nią uwagi; skoczył na nogi i ruszył po ubitej wiatrem powierzchni osypiska z wylotu rozpadliny do poziomu wydm.

Obserwowała, w jaki sposób idzie, zakłócając rytm: człap… przerwa… człap, człap… szur… przerwa. Nie było w tym żadnego rytmu, który zdradziłby grasującemu czerwiowi, że porusza się tutaj coś, co nie należy do pustyni.

Dotarł do łaty przyprawy, nagarnął jej w połę płaszcza i wrócił do szczeliny. Wysypał przyprawę na piasek przed Jessiką, kucnął i zaczął rozbierać parakompas czubkiem noża. Odczepił pokrywę obudowy. Zdjął szarfę, rozłożył na niej części kompasu, wymontował zasilacz. Następnie wydostał mechanizm tarczy, zostawiając pusty, miseczkowaty pojemnik w obudowie.

– Będziesz potrzebował wody – powiedziała Jessika.

Sięgnął do wodowodu kołnierza, nabrał łyk i wypluł do miseczki.

„Jeśli to się nie powiedzie, ta woda zostanie zmarnowana – pomyślała Jessika. – Ale wtedy to i tak nie będzie miało znaczenia”.

Paul rozciął nożem zasilacz, po czym wysypał z niego kryształki do wody. Zapieniły się lekko i rozpłynęły.

Kątem oka Jessika złowiła ruch nad głową. Podniosła wzrok i zobaczyła jastrzębie. Zasiadły na obrzeżach szczeliny niczym na grzędzie, wpatrując się z góry w lusterko wody. „Wielka Macierzy! – pomyślała. – One wyczuwają wodę nawet z takiej odległości”.

Paul nałożył wieko na parakompas, zostawiając otwór po przycisku kasowania nastawu jako wylot piany. Wziąwszy przebudowany przyrząd w jedną rękę, a garść przyprawy w drugą, ruszył w górę rozpadliny, badając uwarstwienie stoku. Pozbawiona szarfy dżubba falowała na nim łagodnie. Przebrnął część stoku, wyrzucając spod nóg strużki piasku i strumienie pyłu.

Niebawem zatrzymał się, wcisnął szczyptę przyprawy do parakompasu i potrząsnął korpusem przyrządu. Z otworu po przycisku kasowania wykipiała zielona piana. Paul skierował ją na stok, wykonał na nim niewielką groblę i zaczął odrzucać nogą piasek poniżej, również utwardzając wykop pianą.

Jessika stanęła w dole pod nim.

– Pomóc ci? – zawołała.

– Wejdź i kop – odparł. – Mamy do przebycia jakieś trzy metry. Wszystko zawiśnie wtedy na włosku.

Piana przestała buchać z przyrządu.

– Szybko. Nie wiadomo, jak długo ta piana utrzyma piasek.

Jessika dobrnęła do Paula, który tymczasem wrzucił następną szczyptę przyprawy do otworu i potrząsnął obudową parakompasu. Znowu wykipiała piana.

Chłopak stawiał zaporę z piany, Jessika zaś kopała rękami, odrzucając piach w dół zbocza.

– Jak głęboko? – wysapała.

– Około trzech metrów. I jedynie w przybliżeniu potrafię określić położenie. Być może trzeba będzie poszerzyć tę dziurę. – Odstąpił o krok, ślizgając się w sypkim piasku. – Kop ukośnie do tyłu. Nie schodź pionowo w dół.

Jessika usłuchała. Z wolna pogłębiała wyrobisko, dochodząc do poziomu dna basenu, ciągle jednak nie było śladu sakwy.

„Czyżbym się przeliczył? – pomyślał Paul. – To przecież ja początkowo wpadłem w panikę, ja popełniłem błąd. Czy to nadwerężyło moje zdolności?”

Popatrzył na parakompas. Zostało mu niespełna sześćdziesiąt gramów kryształów.

Jessika wyprostowała się na dnie jamy i otarła policzek unurzaną w pianie dłonią. Spojrzeli sobie w oczy.

– Wyżej od czoła – powiedział Paul. – Delikatnie.

Dołożył kolejną szczyptę przyprawy do pojemnika i wypuścił gejzer piany wokół dłoni Jessiki przecinających pionową ścianę u góry wyrobiska.

Za drugim razem jej ręce napotkały coś twardego. Powoli odgrzebała kawałek rzemienia z plastikową sprzączką.

– Nie porusz tego ani o włos – odezwał się Paul niemal szeptem. – Skończyła nam się piana.

Jessika podniosła na niego oczy, jedną ręką trzymając pasek. Paul rzucił bezużyteczny parakompas na dno wykopu.

– Daj mi drugą rękę – powiedział. – Teraz słuchaj uważnie. Odciągnę cię w bok, na dolną ścianę. Nie wypuść tego paska. Ze szczytu niewiele już się osypie. Stok się ustabilizował. Postaram się jedynie utrzymać twoją głowę nad piaskiem. Kiedy ta jama się wypełni, odkopiemy cię i wyciągniemy sakwę.

– Rozumiem – powiedziała.

– Gotowa?

– Gotowa. – Zacisnęła palce na rzemieniu.

Jednym szarpnięciem Paul wydobył ją do połowy z jamy i przytrzymał jej głowę na powierzchni, gdy zapora piany puściła i piach osypał się w dół.

Kiedy się uspokoiło, Jessika tkwiła po pas w piasku, z lewą ręką przysypaną aż do barku i z brodą na kraju dżubby Paula dla osłony. Naprężone ramię bolało.

– Mam go nadal – powiedziała.

Powolutku Paul wcisnął dłoń w piach koło niej i odnalazł rzemień.

– Razem – rzekł. – Równomiernie. Żeby nie urwać.

Jeszcze trochę piasku osypało się, kiedy ciągnęli sakwę. Gdy rzemień znalazł się na powierzchni, chłopak puścił go i wydobył matkę z łachy. Następnie, ciągnąc wspólnie fremsak w dół zbocza, wyrwali go z matni.

Po chwili stali na dnie szczeliny, trzymając fremsak z obu stron. Paul spojrzał na matkę. Twarz i dżubbę miała usmarowane pianą. Po

wyschnięciu piany miejsca te oblepił piasek. Wyglądała niczym po bitwie na piguły z mokrego, zielonego piachu.

– Strasznie się upaprałaś – powiedział.

– Ty też nie jesteś zbyt śliczny.

Wybuchnęli śmiechem, lecz szybko spoważnieli.

– To się nie powinno zdarzyć – rzekł Paul. – Byłem nieostrożny.

Wzruszyła ramionami, czując, jak zlepiony piasek odpada z jej płaszcza.

– Rozbiję namiot – powiedział. – Lepiej zrzuć płaszcz i wytrzep go. – Odszedł, zabierając fremsak.

Jessika skinęła głową, nagle zbyt zmęczona, by odpowiedzieć.

– W skale są otwory kotwiczne – odezwał się Paul. – Ktoś tu obozował przed nami.

„Czemu nie?” – pomyślała, otrzepując dżubbę. Miejsce było odpowiednie: w głębi skalnych ścian i naprzeciwko drugiego klifu, oddalonego o jakieś cztery kilometry, wystarczająco wysoko nad pustynią, aby nie zagrażały tu czerwie, i wystarczająco nisko, aby łatwo było rozpocząć przeprawę.

Odwróciwszy się, zobaczyła, że Paul ustawił już namiot; jego wysklepiona ożebrowaniem czasza stopiła się ze ścianami skalnej szczeliny. Chłopak wysunął się przed nią i podniósł lornetkę do oczu. Szybkim obrotem wyregulował wewnętrzne ciśnienie i zogniskował soczewki olejowe na przeciwległym urwisku, które strzelało złocistym brązem w świetle poranka po drugiej stronie otwartego piasku.

Jessika przyglądała się, jak uważnie lustruje apokaliptyczny pejzaż, zapuszczając wzrok w piaskowe rzeki i kaniony.

– Tam coś rośnie – powiedział.

Znalazła drugą lornetkę we fremsaku przy namiocie i stanęła koło syna.

– Tam. – Wskazał jedną ręką, w drugiej trzymając lornetkę.

– Saguaro – stwierdziła. – Mizerota.

– Może w pobliżu są ludzie – rzekł Paul.

– To mogą być pozostałości po stacji badawczej botaniki – zauważyła.

– Jesteśmy spory kawałek na południe w głąb pustyni – powiedział. Opuścił lornetkę i podrapał się pod owiewką filtru, uprzytamniając sobie, jak suche ma wargi, i czując pyłowy smak łaknienia w ustach. – To miejsce pachnie mi Fremenami.

– Skąd pewność, że będą przyjaźnie usposobieni? – zapytała.

– Kynes obiecał nam ich pomoc.

„Ale w ludziach tej pustyni jest rozpacz – pomyślała. – Sama jej dziś zakosztowałam. Zrozpaczeni ludzie mogą nas zabić dla naszej wody”.

Zamknęła oczy i na przekór temu pustkowiu wyczarowała w myślach obraz Kaladanu. Ongiś na Kaladanie odbyli wycieczkę: ona i książę Leto, jeszcze przed urodzeniem Paula. Przelatywali nad południowymi dżunglami, nad rozkrzyczanym listowiem chaszczy i ryżowymi polami delt. I patrzyli na mrówcze szeregi wśród zieleni – gromady ludzi dźwigających na ramionach ładunki za pomocą drągów dryfopławnych. I na białe płatki trójkadłubowych dau w morskich odnogach.

Wszystko to zniknęło.

Jessika otworzyła oczy. Ponownie ujrzała bezruch pustyni, poczuła wzrastający upał dnia. W dali, na otwartym piasku, niezmordowane demony żaru zaczynały rozhuśtywać powietrze. Miała wrażenie, że przeciwległą ścianę skał ogląda przez marne szkło.

Kaskada piasku zasłoniła wylot szczeliny efemeryczną kurtyną. Piasek leciał z sykiem, trącany przez podmuchy rannej bryzy i przez jastrzębie, które zaczęły się wzbijać ze szczytu urwiska. W końcu deszcz piasku ustał, ale nadal słyszała jego syk. Wzmagał się, a dźwięku tego – raz usłyszanego – nie sposób było zapomnieć.

– Czerw – szepnął Paul.

Nadszedł od prawej w swym niedbałym majestacie, przy którym wszystko bladło. Wyniosły kopiec piasku przecinał wydmy w ich polu widzenia. Spiętrzone wysoko czoło kopca rozchodziło się w pylistych odkosach niczym fala dziobowa na wodzie. Zniknął nagle, uchodząc w lewo.

Dźwięk przycichł, a potem zamarł.

– Widywałem mniejsze fregaty kosmiczne – wyszeptał Paul.

Kiwnęła głową, nie odwracając wzroku od pustyni. Po przejściu czerwia pozostała zwodnicza pustka. Rozlewała się w trudną do zniesienia nieskończoność, wabiąca pod nieboskłon.

– Po odpoczynku – powiedziała Jessika – wrócimy do twoich nauk.

Opanował nagłą złość.

– Matko, nie sądzisz, że możemy się obejść bez…

– Dziś wpadłeś w popłoch – stwierdziła. – Być może lepiej ode mnie znasz swój umysł i bindunerwaturę, lecz wiele jeszcze musisz się nauczyć o pranamuskulaturze swego ciała. Niekiedy ciało robi rzeczy samo z siebie, Paulu, co mogę ci udowodnić. Musisz nauczyć się panować nad każdym jego mięśniem, każdym włóknem. Potrzebujesz powtórki z dłoni. Zaczniemy od mięśni palców, ścięgien dłoni i wrażliwości opuszków. – Odwróciła się. – Chodź już do namiotu – dodała.

Zgiął palce lewej ręki, obserwując, jak matka wczołguje się przez zwieracz. Był pewien, że nie potrafi jej odwieść od tego postanowienia… że musi ustąpić. „Cokolwiek ze mną uczyniono, biorę w tym udział” – pomyślał.

Powtórka z dłoni!

Zerknął na swoją dłoń. Jakże mizernie się prezentowała w porównaniu z takimi stworzeniami jak czerw.

Pochodzimy z Kaladanu – rajskiego świata dla naszych form życia. Na Kaladanie nie było potrzeby tworzenia raju dla ciała ani raju dla umysłu – wystarczyło popatrzeć na otaczającą nas rzeczywistość. I zapłaciliśmy cenę, jaką ludzie zawsze płacą za osiągnięcie raju w życiu doczesnym – zniewieścieliśmy, utraciliśmy pazur.

– z *Muad'Dib. Rozmowy* pióra księżnej Irulany

– Więc to ty jesteś ten sławny Gurney Halleck – rzekł mężczyzna.

Halleck stał w okrągłym podziemnym gabinecie i mierzył wzrokiem siedzącego za metalowym biurkiem przemytnika. Mężczyzna nosił fremeńskie szaty, lecz miał oczy na poły tylko zaciągnięte błękitem, co wskazywało na obecność w jego pożywieniu produktów spoza tej planety.

Gabinet stanowił replikę głównej sterowni fregaty kosmicznej – trzydziestostopniowy łuk ściany zajmowały telekomunikatory i ekrany z przyległymi do nich bateriami zdalnych zabezpieczeń i odpalania, pozostałą część łuku zaś wypełniało biurko wyprowadzone bezpośrednio ze ściany.

– Jestem Staban Tuek, syn Esmara Tueka – oznajmił przemytnik.

– Zatem tobie winien jestem podziękowanie za okazaną nam pomoc – powiedział Halleck.

– Aaach, wdzięczność – rzekł przemytnik. – Siadaj.

Ze ściany wysunął się fotel lotniczy i Halleck, świadom swego zmęczenia, opadł nań z westchnieniem. W ciemnej tafli koło przemytnika widział teraz własne odbicie i z ponurą miną przyjrzał się bruzdom utrudzenia na swej kanciastej twarzy. Blizna po krwawinie na jego brodzie skręciła się przy tym grymasie.

Halleck odwrócił wzrok od swego odbicia i utkwił go w Tueku. Dostrzegał rodzinne podobieństwo w przemytniku – krzaczaste, obwisłe brwi oraz powierzchnie policzków i nosa jak wyciosane z kamienia.

– Wasi ludzie mówią, że twój ojciec nie żyje, zabity przez Harkonnenów – powiedział Halleck.

– Przez Harkonnenów albo przez zdrajcę w waszych szeregach – odparł Tuek.

W gniewie Halleck zapomniał o zmęczeniu. Wyprostował się.

– Możesz wymienić imię zdrajcy? – zapytał.

– Nie mamy pewności.

– Thufir Hawat podejrzewał lady Jessikę.

– Aaach, czarownica Bene Gesserit… być może, lecz Hawat jest teraz jeńcem Harkonnenów.

– Słyszałem. – Gurney wciągnął głęboko powietrze. – Wydaje się, że niemało jeszcze krwi przelejemy.

– Nie zrobimy niczego, co zwróci na nas uwagę – oświadczył przemytnik.

Halleck zesztywniał.

– Ale…

– Tobie i tym twoim ludziom, których uratowaliśmy, ofiarujemy azyl wśród nas – powiedział Tuek. – Mówisz o wdzięczności. Doskonale, odpracuj tu swój dług. Zawsze znajdziemy zajęcie dla dobrych ludzi. Jednak zabijemy was z miejsca, jeśli uczynicie najmniejszy wrogi ruch przeciwko Harkonnenom.

– Ale oni zabili twego ojca, człowieku!

– Być może. Jeśli nawet, oto odpowiedź mego ojca dla tych, którzy działają bez zastanowienia: „Kamień jest ciężki i piasek ma ciężar, ale cięższy od nich obu jest gniew głupca”.

– Zatem nie zamierzasz kiwnąć palcem w tej sprawie? – spytał szyderczo Halleck.

– Tego nie słyszałeś z moich ust. Mówię jedynie, że będę chronił nasz kontrakt z Gildią. Gildia wymaga od nas ostrożnej gry. Są inne sposoby zniszczenia wroga.

– Aaach!

– Istotnie, ach. Jeśli masz ochotę tropić czarownicę, droga wolna, ale ostrzegam, że prawdopodobnie się spóźniłeś… A my wątpimy, czy ona jest osobą, której szukasz.

– Hawat rzadko się mylił.

– Dał się wziąć do niewoli Harkonnenom.

– Myślisz, że to on jest zdrajcą?

Tuek wzruszył ramionami.

– To jałowe rozważania. Myślimy, że czarownica nie żyje. Przynajmniej tak sądzą Harkonnenowie.

– Wiesz bardzo dużo o Harkonnenach.

– Aluzje i niedomówienia… plotki i domysły.

– Jest nas siedemdziesięciu czterech – powiedział Halleck. – Jeśli rzeczywiście chcesz, byśmy się do ciebie zaciągnęli, musisz wierzyć w śmierć naszego księcia.

– Widziano jego ciało.

– A chłopca także… panicza Paula? – Halleck próbował przełknąć ślinę, ale miał grudę w gardle.

– Według ostatniej wiadomości, jaką otrzymaliśmy, zaginął wraz z matką w pustynnym samumie. Najprawdopodobniej nigdy nie odnajdą się… nawet ich kości.

– Więc czarownica nie żyje… Wszyscy zginęli.

Tuek skinął głową.

– I Bestia Rabban, jak mówią, powróci do władzy na Diunie.

– Hrabia Rabban z Lankiveila?

– Tak.

Halleck potrzebował czasu na powstrzymanie ogarniającej go fali wściekłości. Dyszał ciężko.

– Mam prywatne porachunki z Rabbanem. Jestem mu winien zapłatę za życie mojej rodziny… – Potarł bliznę na brodzie. – I za to…

– Nie załatwia się porachunków przedwcześnie, stawiając wszystko na jedną kartę – rzekł Tuek. Spochmurniał, śledząc grę mięśni na szczęce Hallecka, nagłą skrytość w jego przysłoniętych powiekami oczach.

– Wiem… wiem… – Gurney odetchnął głęboko.

– Służąc u nas, ty i twoi ludzie możecie zarobić na lot z Arrakis. Jest wiele miejsc do…

– Zwalniam swoich ludzi z wszelkiej zależności ode mnie. Niech decydują sami. Skoro Rabban jest tutaj… ja zostaję.

– Widząc twój stan ducha, nie jestem pewien, czy życzymy sobie, byś został.

Halleck przeszył przemytnika wzrokiem.

– Wątpisz w moje słowo?

– Nieee…

– Ocaliłeś mnie przed Harkonnenami. Ślubowałem wierność księciu Leto z nie większego powodu. Zostanę na Arrakis, z wami… albo z Fremenami.

– Wypowiedziana czy nie, myśl istnieje i ma swoją moc – rzekł Tuek. – Wśród Fremenów mógłbyś się przekonać, że linia między życiem a śmiercią jest zbyt cienka i zbyt ulotna.

Halleck przymknął na chwilę oczy, czując, jak ogarnia go znużenie.

– „Gdzież jest Pan, który powiedzie nas przez ziemię pustyń i otchłani?” – zamruczał.

– Działaj powoli, a dzień twej zemsty nadejdzie – powiedział Tuek. – Pośpiech jest wymysłem szejtana. Ukój swą rozpacz… po to mamy rozrywki. Są trzy rzeczy, które niosą ulgę sercu: woda, zieleń trawy i uroda kobiety.

Halleck otworzył oczy.

– Wolałbym kałużę krwi Rabbana Harkonnena u swych stóp. – Wbił wzrok w Tueka. – Myślisz, że taki dzień nadejdzie?

– Niewiele mam wspólnego z tym, jakie powitasz jutro, Gurneyu Hallecku. Mogę ci tylko pomóc powitać dzień dzisiejszy.

– Przyjmuję zatem tę pomoc i zostaję do dnia, w którym rozkażesz mi pomścić twego ojca i wszystkich, którzy…

– Posłuchaj mnie, mężu walki – rzekł Tuek. Pochylił się nad biurkiem; barki miał na jednym poziomie z uszami, w oczach zawziętość. Jego twarz upodobniła się nagle do zwietrzałej skały. – Wodę mojego ojca… tę odkupię własnym ostrzem.

Halleck nie odrywał od niego oczu. W tym momencie przemytnik przypominał mu księcia Leto: przywódca, odważny, pewny swej pozycji i powołania. Był jak książę… przed Arrakis.

– Chcesz wsparcia mojego ostrza? – zapytał Halleck.

Tuek odchylił się do tyłu i rozluźnił. W milczeniu przypatrywał się Gurneyowi.

– Uważasz mnie za męża walki? – nalegał Halleck.

– Ty jeden z adiutantów księcia uszedłeś z życiem – powiedział Tuek. – Siła twego wroga była przytłaczająca, ty wszakże ugiąłeś się, aby zwyciężyć… Pokonałeś go tak, jak my pokonujemy Arrakis.

– Co proszę?

– Żyjemy na łasce tej planety, Gurneyu Hallecku – odparł Tuek. – Arrakis jest naszym wrogiem.

– Wystarczy jeden wróg naraz, czyż nie?

– Otóż to.

– Czy tak właśnie radzą sobie Fremeni?

– Być może.

– Powiedziałeś, że życie z Fremenami może się dla mnie okazać zbyt twarde. Żyją na pustyni, pod gołym niebem. Czy to dlatego?

– Któż wie, gdzie żyją Fremeni? Dla nas Płaskowyż Centralny jest ziemią niczyją. Ale chciałbym porozmawiać raczej o…

– Mówią, że Gildia rzadko wytycza szlaki lichtug przyprawowych nad pustynią – rzekł Halleck – ale krążą pogłoski, że tu i ówdzie widać skrawki zieleni, jeśli się wie, gdzie patrzeć.

– Pogłoski! – Tuek się skrzywił. – Chciałbyś teraz wybrać między mną a Fremenami? Jesteśmy poniekąd bezpieczni, mamy wykutą w skale sicz, ukryte baseny. Wiedziemy życie ludzi cywilizowanych. Fremeni to parę band obszarpańców, których zatrudniamy jako poszukiwaczy przyprawy.

– Ale oni umieją zabijać Harkonnenów.

– A chcesz znać rezultat? Nawet w tej chwili poluje się na nich jak na zwierzęta: z rusznicami laserowymi, bo nie mają tarcz. Są eksterminowani. Dlaczego? Bo zabijali Harkonnenów.

– Czy rzeczywiście Harkonnenów? – spytał Halleck.

– Co masz na myśli?

– Nie słyszałeś, że z Harkonnenami byli przypuszczalnie sardaukarzy?

– Znowu pogłoski.

– Jednak pogrom nie jest w stylu Harkonnenów. Pogrom to marnotrawstwo.

– Wierzę w to, co widzę na własne oczy – stwierdził Tuek. – Zdecyduj się, mężu walki. Ja albo Fremeni. Zapewniam ci azyl i szansę przelania

krwi, której obaj łakniemy. Możesz być tego pewien. Fremeni ofiarują ci jedynie życie ściganej zwierzyny.

Halleck się wahał, wyczuwając mądrość i współczucie w słowach Tueka, jednak coś gryzło go z niezrozumiałego powodu.

– Zaufaj swemu rozumowi – rzekł Tuek. – Czyje decyzje ocaliły twój oddział w bitwie? Twoje. Decyduj.

– Tak musi być – powiedział Halleck. – Książę i jego syn nie żyją?

– Tak uważają Harkonnenowie. Jeżeli chodzi o tego typu sprawy, skłonny jestem ufać Harkonnenom. – Ponury uśmiech zagościł na ustach Tueka. – Ale na tym kończy się moje zaufanie do nich.

– Zatem tak musi być – powtórzył Halleck. Podniósł prawą rękę w tradycyjnym geście, dłonią do góry i ze złożonym płasko na niej kciukiem. – Oddaję ci mój miecz.

– Przyjmuję.

– Chcesz, bym nakłonił do tego mych ludzi?

– A pozwoliłbyś im na samodzielną decyzję?

– Szli za mną aż dotąd, lecz większość urodziła się na Kaladanie. Arrakis nie jest taka, jak ją sobie wyobrażali. Stracili tu wszystko prócz życia. Wolałbym, żeby decydowali sami.

– Nie czas teraz na twoje wahanie – powiedział Tuek. – Doszli za tobą aż tutaj.

– Potrzebujesz ich?

– Zawsze znajdziemy miejsce dla doświadczonych wojowników… W tych dniach bardziej niż kiedykolwiek.

– Przyjąłeś mój miecz. Życzysz sobie, bym wpłynął na nich?

– Myślę, że oni sami pójdą za tobą, Gurneyu Hallecku.

– Oby tak było.

– Oby.

– Mogę więc sam o tym zadecydować?

– Możesz sam zadecydować.

Halleck podniósł się z fotela, czując, jak wiele z jego zapasu sił poszło na ten mizerny wysiłek.

– Na razie rozejrzę się po ich kwaterach i zbadam nastroje.

– Porozum się z moim kwatermistrzem – rzekł Tuek. – Nazywa się Drisq. Powiedz mu, że życzę sobie, by okazał wam jak najdalej posuniętą gościnność. Przyjdę do ciebie… niebawem. Najpierw muszę wyekspediować parę transportów przyprawy.

– Fortuna wszędzie się toczy – rzekł Halleck.

– Wszędzie – powiedział Tuek. – Niespokojne czasy to wyjątkowa okazja w naszych sprawach.

Halleck skłonił głowę. Usłyszał za sobą lekki szmer i wyczuł prąd powietrza, gdy rozwarła się furta śluzy. Odwrócił się i zanurkowawszy przez nią, opuścił gabinet.

Znalazł się w sali ogólnej, do której wprowadzili go wraz z jego ludźmi adiutanci Tueka. Było to długie i wąskie pomieszczenie wyciosane w litej skale, a jego gładkie powierzchnie zdradzały użycie lanc laserowych. Sufit strzelał dostatecznie wysoko, by przedłużyć naturalny łuk skalnego sklepienia i przepuścić wewnętrzne prądy konwekcyjne powietrza. Wzdłuż ścian znajdowały się stojaki na broń i szafki.

Nie bez dumy Halleck zauważył, że ci z jego ludzi, którzy nadal byli w stanie utrzymać się na nogach, stoją, że znużenie i klęska ich nie załamały. Medycy przemytników kręcili się między nimi, opatrując rannych. Ciężko rannych zebrano w jednym miejscu, w głębi po lewej, a przy każdym czuwał atrydzki towarzysz broni.

Halleck stwierdził, że atrydzkie wyszkolenie według zasady „troszczymy się o swoich” przetrwało w nich jak rdzeń rodzimej skały.

Jeden z poruczników wystąpił do przodu z dziewięciostrunową balisetą Gurneya. Zasalutował.

– Sir, tutejsi medycy mówią, że nie ma nadziei dla Mattaia. Nie mają tu banku kości ani narządów, jedynie środki polowe. Mattai nie przeżyje, twierdzą, ale on ma prośbę do ciebie.

– Jaką?

Żołnierz wyciągnął przed siebie instrument.

– Prosi o pieśń, by łatwiej mu było odejść, sir. Mówi, że będziesz wiedział, o którą chodzi… Dość często prosił cię o nią. – Przełknął ślinę. – To pieśń zwana *Ma luba*, sir. Gdybyś…

– Wiem.

Halleck wziął balisetę i wyłuskał wieloczynnościowe piórko z zacisku na gryfie. Dobył cichy akord z instrumentu; stwierdził, że ktoś już go nastroił. Oczy go paliły, ale wyrzucił to ze swych myśli, kiedy szedł przed siebie, wygrywając melodię i zmuszając się do swobodnego uśmiechu.

Medyk przemytników i paru jego ludzi pochylało się nad noszami. Kiedy Halleck podszedł, któryś z mężczyzn zaczął cichutko śpiewać, z łatwością wpadając w znany rytm.

Ma luba stoi w oknie,
Piersiami dotyka szkła.
Słońce purpurą płonie,
Złoci jej ręce na łonie.
Zabierz mnie,
Zabierz w ramiona, luba ma.
Weź mnie,
Weź w swe ramiona, luba ma.

Śpiewak skończył, wyciągnął obandażowaną rękę i zamknął powieki mężczyźnie na noszach.

Halleck dobył ostatni, cichy akord z balisety i pomyślał: „Teraz jest nas siedemdziesięciu trzech”.

Wielu ludziom trudno zrozumieć życie rodzinne „ochronki” królewskiej, jednak spróbuję przedstawić je wam skrótowo. Mój ojciec miał, jak sądzę, jednego tylko prawdziwego przyjaciela. Był nim hrabia Hasimir Fenring, eunuch genetyczny i jeden z najgroźniejszych wojowników w Imperium. Hrabia, wytworny, acz szpetny mężczyzna, sprowadził pewnego dnia nową niewolnicę-konkubinę memu ojcu, a ja zostałam wysłana przez matkę na przeszpiegi. Wszystkie szpiegowałyśmy ojca tytułem samoobrony. Żadna z niewolnic-konkubin, na jakie zezwalał mu traktat Bene Gesserit z Gildią, nie mogła, rzecz jasna, zrodzić królewskiego następcy, lecz intrygi były bezustanne i nużące w swej monotonii. Osiągnęłyśmy biegłość – moja matka, siostry i ja – w unikaniu najwymyślniejszych narzędzi śmierci. To, co powiem, może się wydawać straszne, ale wcale nie jestem pewna, czy mój ojciec nie przyłożył ręki do tych wszystkich zamachów. Rodzina królewska to jednak zupełnie inna rodzina. Zatem wyobraźmy sobie tę nową niewolnicę-konkubinę, rudowłosą jak mój ojciec, wiotką i zgrabną, o mięśniach tancerki, najwyraźniej przeszkoloną w neurokuszeniu. Ojciec mój przypatrywał jej się długo, gdy pozowała przed nim naga. Wreszcie rzekł: „Jest zbyt piękna. Oszczędzimy ją na podarunek”. Nie macie pojęcia, jak wielką konsternację wywołała ta powściągliwość w „ochronce” królewskiej. W końcu finezja i samokontrola stanowiły śmiertelne zagrożenie dla nas wszystkich.

– z *W domu mojego ojca* pióra księżnej Irulany

Późnym popołudniem Paul stał przed filtrnamiotem. Szczelinę, w której rozbił obóz, spowijał głęboki cień. Spoglądając ponad otwartym piaskiem na odległą ścianę skalną, zastanawiał się, czy powinien obudzić śpiącą matkę.

Fałdy wydm rozchodziły się wokół ich kryjówki jedna za drugą. Z dala od zachodzącego słońca rzucały cienie, tak gęste i czarne, jakby były odpryskami nocy.

Cóż za monotonna płaszczyzna!

Jego duch szybował w poszukiwaniu czegoś wysokiego, lecz w wyjałowionym upałem powietrzu nie znajdował żadnego pionu aż po

horyzont – żadnego kwiecia, żadnego łagodnego kołysania znaczącego przyjście bryzy… tylko wydmy i tamto oddalone urwisko pod błyszczącym srebrzystobłękitnym niebem.

„A jeżeli tam, po drugiej stronie, nie ma żadnej opuszczonej stacji badawczej? – myślał. – Jeżeli nie ma tam w ogóle Fremenów, a te rośliny wyrosły przypadkiem?”

Jessika obudziła się i obróciła na plecy. Przez przezroczystą burtę filtrnamiotu zerknęła z ukosa na Paula. Stał tyłem do niej i coś w jego postawie przypominało jej księcia. Poczuła w sobie otchłań wzbierającej rozpaczy i odwróciła wzrok.

Niebawem poprawiła swój filtrak, odświeżyła się wodą z kieszeni łownych namiotu i wypełzła na dwór, by rozprostować kości i wypłoszyć sen z ciała.

Nie odwracając się, Paul powiedział:

– Spokój tego miejsca napełnia mnie dziwną radością.

„Jak umysł dostraja się do środowiska” – pomyślała. I przypomniał jej się aksjomat Bene Gesserit: „W stresie umysł może pójść w jednym z dwóch kierunków: pozytywnym lub negatywnym, w przód lub wstecz. Przedstawcie to sobie jako widmo, którego ekstremami są nieświadomość na negatywnym krańcu i nadświadomość na pozytywnym. Ku któremu z nich umysł skłoni się w stresie, w znacznej mierze zależy od wyszkolenia”.

– Życie tutaj mogłoby być dobre – stwierdził Paul.

Próbowała zobaczyć pustynię jego oczami, usiłując uchwycić wszystkie niedogodności typowe dla tej planety i zastanowić się, jakie warianty przyszłości mignęły Paulowi. „Tutaj można znaleźć odosobnienie – myślała – bez obawy, że ktoś stoi za plecami, bez strachu przed myśliwym”.

Wysunąwszy się przed syna, podniosła do oczu lornetkę, nastawiła soczewki olejowe i zbadała skalny bastion po drugiej stronie. „Tak, saguaro w wyschłych łożyskach potoków oraz inne kolczaste rośliny… a wśród cieni niskie zielonożółte trawy”.

– Zwinę obozowisko – rzekł Paul.

Kiwnąwszy głową, Jessika zbliżyła się do wylotu szczeliny, skąd mogła ogarnąć wzrokiem pustynię, i skierowała lornetkę w lewo. Solna panew jarzyła się tam bielą z domieszką brudnego brązu na obrzeżach – pole bieli tu, gdzie biel jest śmiercią. Ale panew mówiła o czymś jeszcze: o wodzie. Kiedyś przez tę roziskrzoną biel toczyły się wody.

Opuściła lornetkę, dopięła dżubbę i chwilę słuchała odgłosów krzątaniny Paula.

Słońce zeszło niżej. W poprzek solnej panwi legły cienie. Spoza zachodniego horyzontu rozeszły się linie rozkrzyczanej barwy. Barwa skupiła się w ciemny paluch obmacujący piaski. Rozpełzły się cienie koloru węgla i rzęsisty opad nocy zatopił pustynię.

Gwiazdy!

Wpatrywała się w nie z zadartą głową, wyczuwając ruchy Paula, który po chwili stanął koło niej. Pustynna noc zogniskowała się ku górze i sprawiała wrażenie, że ulatuje do gwiazd. Ciężar dnia ustąpił. Przelotny podmuch uderzył ją w twarz.

– Niebawem wzejdzie pierwszy księżyc – zauważył Paul. – Sakwa gotowa. Ustawiłem dudnik.

„Moglibyśmy zaginąć w tym przedsionku piekła – pomyślała Jessika. – I nikt by się nie dowiedział”.

Nocny wiatr sypał strużkami piasku, które muskały jej twarz, i przynosił woń cynamonu: kaskada zapachów w ciemności.

– Powąchaj tylko – odezwał się Paul.

– Czuję tę woń nawet przez filtr – powiedziała. – Bogactwo, ale czy zapewni nam wodę? – Wskazała na drugą stronę basenu. – Nie ma tam sztucznych świateł.

– Fremeni będą się kryli w siczy za tamtymi skałami – odparł.

Srebrny róg wychynął na prawo od nich ponad horyzont – pierwszy księżyc. Wzniósł się, ukazując wyraźny wizerunek dłoni na swej powierzchni. Jessika zapatrzyła się na objawioną w poświacie białą srebrzystość piasku.

– Dudnik osadziłem w najdalszym zakątku szczeliny – oznajmił Paul. – Gdy zapalę jego lont, zostanie nam trzydzieści minut.

– Trzydzieści minut?

– Nim zacznie przyzywać… czerwia.

– Och! Jestem gotowa do drogi.

Odszedł. Słyszała, jak posuwa się w głąb szczeliny. „Noc jest tunelem – pomyślała – szczeliną prowadzącą do jutra… O ile pisane nam jest jakieś jutro. – Potrząsnęła głową. – Skąd się u mnie wzięły takie czarne myśli? Z moim wyszkoleniem stać mnie na więcej!”

Paul wrócił, podniósł fremsak i ruszył przodem w dół, do pierwszej wydmy. Tam zaczekał, nasłuchując, aż dogoniła go matka. Słyszał jej ciche kroki i obojętne – ziarnko po ziarnku – kapanie dźwięku: prywatny kod pustyni głoszący jej miarę bezpieczeństwa.

– Musimy iść nierytmicznie – rzekł Paul i przywołał wspomnienie ludzi przemierzających piaski, zarówno z obrazów przyszłości, jak i rzeczywiste. – Zobacz, jak ja to robię – powiedział. – Tak Fremeni chodzą po piasku.

Wyszedł na nawietrzny stok i powłócząc nogami, ruszył łukiem wydmy.

Jessika obserwowała pierwsze dziesięć kroków Paula, nim podążyła za nim, naśladując te ruchy. Dostrzegała ich sens: to musi brzmieć jak naturalne przemieszczanie się piasku… jak wiatr. Ale mięśnie buntowały

się przeciwko temu nienaturalnemu, łamanemu rytmowi: człap… szur… szur… człap… człap… stop… szur… człap.

Czas rozsnuł się wokół nich. Wydawało się, że skalna ściana się nie przybliża. Ta za plecami nadal sterczała pod niebo.

Łup! Łup! Łup! Łup!

To bębnienie dochodziło z urwiska za nimi.

– Dudnik – syknął Paul.

Łomotanie nie ustawało, aż z trudem zaczęło im przychodzić unikanie tego rytmu we własnych krokach.

Łup… łup… łup… łup…

Posuwali się przez zalaną księżycowym blaskiem misę wstrząsaną owym głuchym dudnieniem. W dół i w górę przez osypujące się wydmy: człap… szur… stop… człap. Po groszkowym piasku toczącym się pod ich stopami: szur… stop… szur… człap.

I cały czas nasłuchiwali jednego, niepowtarzalnego szmeru.

Dźwięk ten był z początku tak cichy, że kiedy ich doleciał, zagłuszali go szuraniem nóg. Narastał jednak, coraz głośniejszy, od zachodu.

Łup… łup… łup… łup… – walił dudnik.

Narastający syk wypełniał noc za nimi. Maszerując, odwrócili głowy i ujrzeli kopiec polującego czerwia.

– Idź dalej – wyszeptał Paul. – Nie oglądaj się.

Zgrzytliwy odgłos furii buchnął z opuszczonych przez nich skalnych cieni. Młócąca lawina hałasu.

– Idź dalej – powtórzył Paul.

Zauważył, że osiągnęli nieoznaczony punkt, w którym dwie skalne ściany – jedna przed, a druga za nimi – wydawały się jednakowo odległe.

A za ich plecami owo chłostanie, wściekłe darcie skał ciągle przenikało noc.

Posuwali się dalej i dalej, i dalej… Mięśnie osiągnęły stan uporczywego bólu, który zdawał się nie mieć końca, lecz Paul zauważył, że skarpa marzeń przed nimi wystrzeliła wyżej.

Jessika poruszała się w próżni własnej koncentracji, ze świadomością, że brnie naprzód wyłącznie siłą woli. Suche usta sprawiały ból, ale odgłosy z tyłu rozwiewały wszelką nadzieję na postój i łyk wody z kieszeni łownych filtraka.

Łup… łup…

Nastąpił kolejny wybuch szału i dudnik zamilkł.

Cisza.

– Szybciej – wyszeptał Paul.

Kiwnęła głową. Wiedziała, że on tego nie widzi, jednak musiała jakoś przekonać siebie, że trzeba zażądać jeszcze więcej od przeciążonych nienaturalnym ruchem mięśni…

Obiecująca schronienie ściana skalna wyrosła przed nimi między gwiazdami i Paul dostrzegł płaską łachę piasku ciągnącą się u jej podnóża. Wszedł na nią, potknął się ze zmęczenia i odruchowo wystawił nogę, by złapać równowagę.

Rezonujące dudnienie zatrzęsło piaskiem wokoło. Paul zatoczył się dwa kroki w bok.

Buum! Buum!

– Grający piasek! – syknęła Jessika.

Paul odzyskał równowagę. Rozbieganym wzrokiem omiótł piasek pod nogami i skalne urwisko może dwieście metrów dalej. Za plecami usłyszał syk – jakby wiatru, wezbranej fali tam, gdzie nie było wody.

– Biegiem! – krzyknęła Jessika. – Biegiem, Paulu!

Pobiegli.

Pod ich stopami rozlegało się bębnienie. Wkrótce wypadli na żwir. Bieg przyniósł chwilową ulgę mięśniom zbolałym od obcej im nierytmicznej pracy. To była czynność, która nie wymagała udziału rozumu. Wystarczył rytm. Lecz piasek i żwir więziły stopy, syczenie nadciągającego czerwia zaś narastało wokół nich jak burza.

Jessika upadła na kolana. Mogła myśleć jedynie o wyczerpaniu, syczącym dźwięku i przerażeniu.

Paul poderwał ją na nogi.

Dalej biegli, trzymając się za ręce. Z piasku przed nimi sterczała cienka żerdź. Minęli ją i dostrzegli drugą. Umysł Jessiki zarejestrował te żerdzie, kiedy już zostały w tyle. Kolejna nadgryziona przez wiatr żerdź wystawała ze szpary w skale. I jeszcze jedna.

Skała!

Wyczuła ją, gdy jej stopy przestały się zapadać, i nabrała sił na pewniejszej nawierzchni.

Przed nimi w górę urwiska ciągnęła się pionowym cieniem głęboka rozpadlina. Popędzili ku niej i wcisnęli się w wąski otwór. Odgłos przejścia czerwia urwał się za ich plecami.

Jessika i Paul odwrócili się i spojrzeli na pustynię.

Tam, gdzie zaczynały się wydmy, może pięćdziesiąt metrów od nich, u podnóża skalnej plaży z pustyni wzbił się srebrnoszary łuk, śląc na wszystkie strony lawinę piachu i pyłu. Wzniósł się wyżej, aż przybrał postać gigantycznej tropiącej ich gęby. Ujrzeli czarną, okrągłą dziurę z połyskującymi w blasku księżyca ostrzami.

Gęba podpełzła ku wąskiej szczelinie, w której zalegli Paul z Jessiką. Zapach cynamonu buchnął im w nozdrza. Blask księżyca zamigotał na kryształowych zębach. Wielka paszcza kołysała się w przód i w tył.

Paul wstrzymał oddech.

Jessika się skuliła. Wykorzystała cały swój kunszt Bene Gesserit, by zdławić pierwotne lęki, poskromić zachowaną w pamięci rasy trwogę grożącą obłędem.

Paul przeżywał rodzaj uniesienia. W pewnym momencie przekroczył barierę czasu i znalazł się na mniej znanym terytorium. Wyczuwał przed sobą ciemność, nic nie ukazywało się jego wewnętrznemu oku. Zupełnie jakby któryś krok pogrążył go w studni… albo w fali, skąd nie widać było przyszłości. Krajobraz gruntownie się zmienił.

Doznanie czasociemności, miast porazić go, wzmocniło niewyobrażalnie jego pozostałe zmysły. Zorientował się, że rejestruje wszelkie dostępne aspekty tego, co w pogoni za nim wynurzyło się tu z piasku. Paszcza stworzenia miała około osiemdziesięciu metrów średnicy… na jej obrzeżu lśniły kryształowe zęby, przypominając o zakrzywionych krysnożach… miech dyszał cynamonem… ulotnymi aldehydami… kwasami…

Czerw przesłonił blask księżyca, szorując o skały ponad nimi. Deszcz drobnych kamieni i piasku posypał się do ciasnej kryjówki.

Paul wcisnął matkę głębiej.

Cynamon!

Ta woń zalewała go. „Co czerw ma wspólnego z przyprawą, z melanżem?” – pomyślał. I przypomniał sobie, jak Lietowi-Kynesowi wymknęła się zawoalowana aluzja do związku czerwia z przyprawą.

Łubudu!

Zabrzmiało to niczym łoskot bezdeszczowego gromu dochodzący z oddali po prawej. I ponownie:

Łubudu!

Czerw wycofał się na piasek. Leżał tam chwilę, a jego kryształowe zęby przędły księżycowy blask.

Łup! Łup! Łup! Łup!

„Drugi dudnik!” – pomyślał Paul.

Znów rozbębniło się gdzieś po prawej.

Czerwia przebiegło drżenie. Cofnął się głębiej w piasek. Pozostała jedynie pagórkowata krzywizna, niczym połowa lejka, niczym wznoszący się nad wydmami łuk tunelu.

Zachrzęścił piasek.

Stworzenie pogrążyło się jeszcze bardziej, odstępując i zawracając. Stało się grzywiastym kopcem, który uchodził zakolem przez antyklinę między wydmami.

Paul wyszedł przed kryjówkę, śledząc falę piasku odpływającą pustkowiem na zew nowego dudnika. Jessika wysunęła się za nim, nasłuchując.

Łup… łup… łup… łup… łup…

Wkrótce dźwięk umilkł.

Paul odszukał rurkę w filtraku i pociągnął łyk odzyskanej wody.

Jessika skupiła uwagę na jego czynnościach, lecz w głowie miała pustkę ze zmęczenia i trwogi.

– Na pewno odszedł? – wyszeptała.

– Ktoś go przywołał – rzekł Paul. – Fremeni.

Czuła, że przychodzi do siebie.

– Był taki wielki!

– Nie tak wielki jak ten, który zgarnął nasz ornitopter.

– Jesteś pewny, że to Fremeni?

– Użyli dudnika.

– Dlaczego mieliby nam pomagać?

– Może nie pomagali nam. Może po prostu wzywali czerwia.

– Po co?

Odpowiedź zawisła na krawędzi jego świadomości, ale nie nadeszła. Miał wizję, która kojarzyła mu się z teleskopowymi, zaopatrzonymi w haki kijami z ich bagaży – z hakami stworzyciela.

– Po co wzywaliby czerwia? – spytała Jessika.

Tchnienie strachu owiało jego umysł, zmusiło do odwrócenia się od matki, do spojrzenia w górę urwiska.

– Znajdźmy lepiej drogę na szczyt przed świtem. – Wyciągnął ramię. – Tych żerdzi, które minęliśmy, jest więcej.

Patrząc wzdłuż linii jego ręki, dostrzegła żerdzie – pokaleczone przez wiatr znaki – i wyłowiła cień wąskiej półki wijącej się ku rozpadlinie wysoko nad nimi.

– One wyznaczają szlak na szczyt urwiska – rzekł Paul. Zarzucił fremsak na ramię, doszedł do podstawy skalnej półki i rozpoczął wspinaczkę.

Jessika chwilę marudziła, zbierając siły, po czym ruszyła za nim.

Pięli się, idąc za żerdziami, aż wreszcie półka skurczyła się do wąskiego progu przed mrocznym załomem rozpadliny.

Paul przekrzywił głowę i zajrzał w pogrążony w ciemności komin. Starał się nie myśleć o wątłym oparciu, jakie dawał jego stopom cienki gzyms. Zobaczył jedynie ciemność. Komin biegł w górę, do szczytu, gdzie otwierał się ku gwiazdom. Paul wytężył słuch, ale wyłowił tylko odgłosy, jakich mógł się spodziewać – lekki spływ piasku, owadzie „grrr”, tupot jakiegoś maleńkiego zwierzątka. Zbadał stopą podłoże w ciemnym kominie i trafił na zapiaszczony występ skalny. Powoli, centymetr po centymetrze, minął załom i skinął na matkę, by poszła w jego ślady. Asekurował ją na zakręcie, chwyciwszy za luźny brzeg szaty.

Podnieśli oczy na gwiazdy jarzące się w obramowaniu dwóch krawędzi skalnych. Stojąca obok matka była dla Paula majaczącą plamą szarości.

– Gdybyśmy tylko mogli zaryzykować zapalenie światła – powiedział.

– Mamy inne zmysły prócz wzroku – odparła.

Wystawił stopę przed siebie, przeniósł na nią ciężar ciała i przesuwał drugą, aż natrafiła na przeszkodę. Podciągnął nogę i odkrył stopień. Wszedł na niego. Sięgnął do tyłu i odszukał ramię matki, po czym szarpnięciem za płaszcz nakazał jej podążać za sobą.

Drugi stopień.

– Sądzę, że one wiodą na sam szczyt – wyszeptał.

„Płytkie, równe schody – pomyślała Jessika. – Ani chybi dzieło rąk ludzkich”.

Odnajdując po omacku stopnie, podążała za niewyraźną sylwetką Paula. Ściany skalne zeszły się niemal i ocierały jej ramiona. Stopnie kończyły się w wykutym, blisko dwudziestometrowym wąwozie o równym dnie, który otwierał się na płytki, skąpany w blasku księżyca basen.

Paul wyszedł na brzeg basenu.

– Jak tu pięknie – szepnął.

Jessika potrafiła jedynie spoglądać z milczącą aprobatą zza pleców Paula. Mimo wyczerpania, drażniących odłówek, wtyków nosowych i gorsetu filtraka, mimo trwogi i bolesnego pragnienia spoczynku piękno tego basenu oczarowało ją, stała więc i patrzyła jak urzeczona.

– Kraina z bajki – wyszeptał Paul.

Skinęła głową. Przed nią rozpościerała się roślinność pustynna – krzewy, kaktusy, drobne kępki liści – wszystko rozedrgane w blasku księżyca. Lewa strona pierścienia urwisk była ciemna, prawą osrebrzał księżyc.

– To musi być siedziba Fremenów – rzekł Paul.

– Bez ludzi nie przeżyłoby tutaj tyle roślin – zgodziła się.

Odkorkowała wodowód kieszeni łownych swego filtraka i pociągnęła łyk. Ciepława, lekko cierpka woda zwilżyła jej gardło. Spostrzegła, że dodało jej to sił. Zatyczka rurki chrzęściła przy zamykaniu.

Uwagę Paula przyciągnął ruch po prawej stronie, na dnie owalnego basenu. Spojrzał z góry między krzewy i zielsko, na piaszczysty klin księżycowego blasku ożywiony przez maleńkie hyc-kic-hop.

– Myszy! – syknął.

Hyc-kic-hop! – pomykały od cienia do cienia.

Coś bezgłośnie spadło na ich oczach między myszy. Rozległ się cienki pisk, łopot skrzydeł i szary niczym widmo ptak uleciał przez basen z maleńkim, mrocznym cieniem w szponach.

„Należała nam się ta przestroga” – pomyślała Jessika.

Paul ciągle patrzył w głąb basenu. Wraz z oddechem wciągał coraz silniejszy, ostrawy zapach szałwii – wonny kontralt nocy. Drapieżny ptak symbolizował naturę tej pustyni. Sprowadził na basen bezruch tak niewyrażalny, że prawie było słychać, jak błękitnomleczne światło księżyca opływa trzymające tutaj straż saguaro i kępę kłosówki. Rozlegało się tu jakieś ciche buczenie światła o harmonii bardziej podstawowej niż jakiejkolwiek muzyki znanej na jego planecie.

– Znajdźmy lepiej miejsce na rozbicie namiotu – rzekł. – Jutro możemy poszukać Fremenów, którzy…

– Tutaj obcy zwykle żałują, że znaleźli Fremenów! – mocny męski głos uderzył na odlew, niwecząc nastrój. Dochodził z góry i z prawej. – Proszę, nie uciekajcie, obcy – dodał głos, kiedy Paul odruchowo rzucił się w głąb wąwozu. – Biegnąc, zmarnujecie tylko wodę swoich ciał.

„Oni chcą nas na wodę!” – pomyślała Jessika.

Zmęczenie wyparowało z jej mięśni, które niepostrzeżenie przeszły w stan najwyższej gotowości. Namierzyła pozycję owego głosu, myśląc: „Ale się podkradł! Nic nie słyszałam”. I zdała sobie sprawę, że mężczyzna ten pozwala sobie jedynie na drobne, naturalne odgłosy pustyni.

Inny głos zawołał z krawędzi basenu po ich lewej stronie:

– Migiem, Stilu. Bierz ich wodę i ruszajmy swoją drogą. Niewiele mamy czasu do świtu.

Paul, słabiej niż matka uwarunkowany na reakcję w krytycznych momentach, gryzł się, że stracił głowę i próbował uciekać, że chwila paniki stępiła jego zdolności. Zastosował się teraz do nauki matki: rozluźnił, by z kolei przejść w rozluźnienie pozorne, a następnie przygotować mięśnie do gwałtownego niczym smagnięcie batem uderzenia w dowolnym kierunku.

Nie opuściła go trwoga, ale znał jej źródło. Oto był ślepy czas, żadna z widzianych przez niego przyszłości… a oni wpadli w pułapkę dzikich Fremenów, których interesowała wyłącznie woda zawarta w dwóch niechronionych tarczami ciałach.

Owa religijna adaptacja Fremenów leży zatem u źródeł tego, co obecnie znamy jako *Filary wszechświata*, a kwizarzy tawfidzi są wśród nas – wszyscy ze znakami i dowodami oraz objawieniami. Niosą nam oni zjednoczenie arrakijskiej mistyki, a jej tajemnicze piękno ucieleśnia wzruszająca muzyka na dawnych oparta zasadach, lecz napiętnowana nowym przebudzeniem. Któż nie słyszał i nie wzruszył się do głębi *Hymnem starego człowieka*?

Zagłębiłem stopy w pustynię,
Której miraż mamił jak domu pan.
Niesyt chwały, chciwy niebezpieczeństw,
Deptałem horyzonty al-Kulab,
Kiedy czas góry równał,
Chcąc odnaleźć i pożreć mnie.
I ujrzałem wróble w locie chyżym,
Śmielsze od wilczych kłów.
Obsiadły młodości mej krzew.
Słyszałem stado w gałęziach,
A ich szpony rozdarły mnie.

– z *Przebudzenia Arrakis* pióra księżnej Irulany

Mężczyzna pełzł po grzbiecie wydmy. Źdźbło schwytane w oślepiającą jasność słońca w zenicie. Miał na sobie jedynie poszarpane resztki dżubby, spomiędzy łachmanów prześwitywała goła skóra wystawiona na żar. Kaptur był urwany, ale mężczyzna zrobił turban z oddartego paska tkaniny. Sterczały spod niego kosmyki włosów, równie jasne jak rzadka broda i krzaczaste brwi. Pozostałości ciemnego barwnika pod błękitnymi w błękicie oczami spływały na policzki. Wgniecenie na wąsach i brodzie wskazywało, którędy rurka filtraka wykreślała swą drogę między nosem a kieszeniami łownymi.

Mężczyzna znieruchomiał w połowie drogi przez grań wydmy, z ramionami wyciągniętymi w dół osuwiska. Krew zakrzepła mu na plecach, ramionach i nogach. Łaty żółtoszarego piachu przylgnęły do ran. Z wolna wciągnął ręce pod siebie, odepchnąwszy się, stanął i tkwił tak, chwiejąc się. Ale nawet w tym niemal przypadkowym działaniu pozostał ślad dawnej precyzji ruchów.

– Jestem Liet-Kynes – powiedział, zwracając się do horyzontu, a jego głos był chrapliwą parodią mocy, jaką kiedyś miał. – Jestem planetologiem Jego Imperatorskiej Mości – wyszeptał. – Planetarnym ekologiem Arrakis. Jestem gospodarzem tej ziemi.

Zatoczył się i padł bokiem na zaskorupiałą powierzchnię nawietrznego stoku. Jego dłonie wpiły się bezsilnie w piasek.

„Jestem gospodarzem tego piasku” – pomyślał.

Wiedział, że jest na poły w delirium, że powinien się zagrzebać w piasek, znaleźć chłodniejszą warstwę i się nią przykryć, lecz ciągle czuł woń zjełczałych półsłodkich estrów złoża preprzyprawowego gdzieś w głębi. Zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa lepiej niż jakikolwiek inny Fremen. Skoro wyczuwał zapach masy preprzyprawowej, ciśnienie gazów głęboko pod piaskiem zbliżało się do granicy eksplozji. Musi uciekać z tego miejsca.

Jego ręce drapały słabo o powierzchnię wydmy. Przez głowę przemknęła mu jasna, wyraźna myśl: „Prawdziwe bogactwo planety tkwi w jej krajobrazie, w naszym uczestnictwie w tym podstawowym źródle cywilizacji – uprawie roli”.

I pomyślał, jakie to dziwne, że jego umysł, długo skoncentrowany na jednym, nie może wyskoczyć z tego toru.

Harkonneńscy żołnierze porzucili go tutaj bez wody i filtraka, sądząc, że padnie łupem czerwia, jeżeli nie załatwi sprawy pustynia. Uważali za

zabawne zostawić go żywego, by umierał stopniowo w bezosobowych objęciach swojej planety.

„Harkonnenom zabijanie Fremenów zawsze sprawiało trudność – pomyślał. – My nie umieramy łatwo. Już powinienem być martwy… niebawem będę martwy… ale nie mogę przestać być ekologiem”.

– Najważniejszą funkcją ekologii jest pojmowanie konsekwencji.

Głos wstrząsnął nim, ponieważ rozpoznał go i wiedział, że ten człowiek nie żyje. Był to głos jego ojca, który przed nim był tu planetologiem – jego dawno nieżyjącego ojca, ofiary zawału w Basenie Gipsowym.

– Wpakowałeś się w niezłą kabałę, synu – powiedział ojciec. – Powinieneś znać konsekwencje próby udzielenia pomocy dziecku owego księcia.

„Majaczę” – pomyślał Kynes.

Wydawało się, że głos dochodzi z prawej. Szorując twarzą po piasku, Kynes obejrzał się w tamtą stronę – nic poza obłą powierzchnią wydmy i demonami żaru tańczącymi na niej w pełnym żarze słońca.

– Im więcej jest życia w systemie, tym więcej w nim życiodajnych nisz – powiedział ojciec. Teraz głos dobiegał z lewej i z tyłu.

„Dlaczego on bez przerwy chodzi w kółko? – zadał sobie pytanie Kynes. – Nie chce, abym go zobaczył?”

– Życie zwiększa zdolność środowiska do podtrzymania życia – rzekł ojciec. – Sprawia, że niezbędne składniki odżywcze są łatwiej osiągalne. Wiąże więcej energii w systemie poprzez potężne chemiczne relacje organizmu z organizmem.

„Dlaczego on ciągle ględzi na ten sam temat? – pomyślał Kynes. – Wiedziałem o tym, zanim skończyłem dziesięć lat”.

Jastrzębie pustynne, padlinożercy jak większość dzikich stworzeń tej krainy, poczęły zataczać nad nim kręgi. Kynes zobaczył cień przesuwający

się obok swej dłoni i jeszcze bardziej wykręcił głowę, by spojrzeć w górę. Ptaki tworzyły rozmazaną plamę na srebrnobłękitnym niebie – odległe, szybujące nad nim cętki sadzy.

– Jesteśmy uniwersalistami – stwierdził ojciec. – Nie da się przeprowadzić wyraźnych podziałów wśród problemów na skalę planety. Planetologia to nauka przycinania i dopasowywania.

„Co on stara się mi powiedzieć? – myślał Kynes. – Czy jest jakaś konsekwencja, której nie zdołałem przewidzieć?”

Jego policzek z powrotem opadł na gorący piasek i Kynes poczuł zapach wypalonej skały pod gazami preprzyprawowymi. Z jakiegoś zakamarka logiki w jego mózgu napłynęła myśl: „To ptaki padlinożerne, te nade mną. Być może któryś z moich Fremenów zobaczy je i przyjdzie na zwiady”.

– W pracy planetologa najważniejszym instrumentem są ludzie – powiedział ojciec. – Musisz szerzyć wśród ludzi wiedzę o ekologii. Właśnie po to stworzyłem tę całkowicie nową postać ekologicznej symboliki.

„Powtarza rzeczy, o których mówił mi, kiedy byłem dzieckiem” – stwierdził Kynes.

Zaczął odczuwać chłód, ale ów logiczny zakamarek jego umysłu powiedział mu: „Masz nad głową słońce. Bez filtraka jest ci gorąco. Słońce odparowuje wilgoć z twego ciała”.

Palce Kynesa bezradnie wbiły się w piasek.

„Nie mogli zostawić mi choćby filtraka!”

– Wilgoć w powietrzu zapobiega zbyt gwałtownemu odparowywaniu wody z żywych organizmów – powiedział ojciec.

„Dlaczego w kółko mówi oczywistości?” – zastanawiał się Kynes.

Myślał o wilgoci w powietrzu, o trawie pokrywającej tę wydmę… O otwartej wodzie gdzieś poniżej, długim, zasobnym w wodę kanacie biegnącym przez pustynię i drzewach wzdłuż jego brzegów… Nigdy nie

widział wody pod gołym niebem, z wyjątkiem ilustracji. „Otwarta woda… system nawadniający… trzeba było pięciu tysięcy metrów sześciennych, by nawodnić hektar ziemi w jednym okresie wegetacji…” – przypomniał sobie.

– Naszym pierwszym celem – powiedział jego ojciec – są łąki na Arrakis. Zaczniemy od zmutowanych, ubogich traw. Kiedy już zamkniemy wilgoć w łąkach, przejdziemy do tworzenia lasów na wyżynach, następnie zaś paru otwartych zbiorników wodnych. Na początek będą niewielkie i położone na szlakach głównych wiatrów, na których rozstawimy osadniki wilgoci, aby odebrać to, co kradnie wiatr. Musimy stworzyć prawdziwy sirocco, wilgotny wiatr, ale i tak zawsze już będziemy skazani na oddzielacze wiatru.

„Jak zwykle mnie poucza – myślał Kynes. – Dlaczego się nie zamknie? Czy nie widzi, że umieram?”

– I do tego wszystkiego umrzesz – rzekł ojciec – jeśli nie zleziesz z bąbla, który w tej właśnie chwili tworzy się głęboko pod tobą. On tam jest i ty o tym wiesz. Czujesz gazy preprzyprawowe. Wiesz, że maleńkie stworzyciele zaczynają spuszczać część swej wody do masy.

Myśl o owej wodzie pod nim doprowadzała Kynesa do szaleństwa. Wyobraził ją sobie – odizolowaną w warstwie porowatej skały przez skórzaste pół roślinne, pół zwierzęce maleńkie stworzyciele – i wąziutką szczelinę, którą zimny strumień najprzezroczystszej, czystej, płynnej, kojącej wody płynął do…

„Masa preprzyprawowa!”

Wciągnął woń zjełczałej słodyczy. Zapach wokół niego był dużo intensywniejszy niż poprzednio.

Kynes dźwignął się na kolana, usłyszał ptasi pisk i szybki łopot skrzydeł. „To przyprawowa pustynia – pomyślał. – Fremeni muszą być gdzieś

w pobliżu, nawet za dnia. Z pewnością widzą ptaki i przyjdą, by to sprawdzić”.

– Przemierzanie krajobrazu jest życiową koniecznością zwierząt – powiedział ojciec. – Egzystencję ludów koczowniczych wyznacza ta sama konieczność. Kierunki wędrówek odpowiadają fizycznym potrzebom: wody, żywności, minerałów. Musimy kontrolować te wędrówki, wykorzystać je do naszych celów.

– Zamknij się, staruszku – wymamrotał Kynes.

– Musimy zrobić na Arrakis coś, czego nigdy przedtem nie próbowano na skalę całej planety – powiedział ojciec. – Musimy użyć człowieka jako twórczej siły ekologicznej, wprowadzając przystosowane naziemne formy życia: tu roślinę, tam zwierzę, ówdzie człowieka, by zmienić obieg wody, ukształtować nowego typu krajobraz.

– Zamknij się! – wychrypiał Kynes.

– To kierunki wędrówek dały nam pierwszą poszlakę dotyczącą związku czerwia z przyprawą – rzekł ojciec.

„Czerw – pomyślał Kynes z nadzieją. – Stworzyciel na pewno przybędzie, kiedy ten bąbel wybuchnie. Ale nie mam haków. Jak można dosiąść ogromnego stworzyciela bez haków?”

Czuł, że frustracja podkopuje tę odrobinę siły, jaka mu pozostała. Woda jest tak blisko, zaledwie sto metrów pod nim, czerw niewątpliwie przybędzie, tymczasem on nie ma jak pochwycić go na powierzchni i wykorzystać.

Kynes padł na piasek, wracając do wyżłobionego przez siebie płytkiego zagłębienia. Piasek sparzył go w policzek, lecz było to odległe doznanie.

– Arrakijskie środowisko naturalne wkomponowało się w ewolucyjny model rodzimych form życia – powiedział ojciec. – Dziwi bardzo, że tak mało ludzi oderwało wzrok od przyprawy chociaż na tyle, by zdumieć się

niemal idealną równowagą azotu, tlenu i dwutlenku węgla zachowaną tutaj mimo braku wielkich obszarów szaty roślinnej. Widzi się i rozumie sferę energetyczną tej planety, proces nieubłagany, ale mimo wszystko proces. Jest w nim luka? Zatem coś tę lukę wypełnia. Nauka składa się z tak wielu rzeczy, które wydają się oczywiste, gdy się je wyjaśnia. Ja wiedziałem o istnieniu tu, głęboko w piaskach, maleńkich stworzycieli na długo przed tym, nim je ujrzałem.

– Proszę, przestań mnie pouczać, ojcze – wyszeptał Kynes.

Jastrząb wylądował koło jego wyciągniętej na piasku ręki. Planetolog widział, jak składa skrzydła i przekrzywia głowę, aby popatrzeć na niego. Zebrawszy siły, zakrakał na ptaka. Jastrząb odskoczył na dwa kroki, ale nadal mu się przypatrywał.

– Do tej pory ludzie i ich dzieła były chorobą powierzchni planet – rzekł ojciec. – Natura dąży do kompensowania choroby, do usunięcia jej bądź odizolowania, do włączenia w system na swój sposób.

Jastrząb spuścił głowę, rozpostarł i ponownie złożył skrzydła. Przeniósł uwagę na wyciągniętą rękę.

Kynes odkrył, że nie ma już siły na niego zakrakać.

– Historyczny system wzajemnej grabieży i wyniszczania kończy się tu, na Arrakis – oznajmił ojciec. – Nie można w nieskończoność kraść wszystkiego, czego się potrzebuje, nie zwracając uwagi na tych, którzy przyjdą po nas. Fizyczne warunki planety wpisują się w jej historię gospodarczą i polityczną. Mamy tę historię przed oczami, więc nasza droga jest oczywista.

„Nigdy nie umiał się powstrzymać od pouczania – myślał Kynes. – Pouczał, pouczał, pouczał… zawsze pouczał”.

Jastrząb skoczył bliżej, na krok od wyciągniętej ręki Kynesa, i przekrzywił głowę najpierw w jedną stronę, a potem w drugą,

przyglądając się uważnie odkrytemu ciału.

– Arrakis jest planetą jednego plonu – powiedział ojciec. – Jeden plon. On właśnie utrzymuje klasę panującą, która żyje tak, jak żyły klasy panujące we wszystkich epokach, podczas gdy na poły ludzka rzesza półniewolników egzystuje na śmietniku. Te rzesze i ten śmietnik są w centrum naszej uwagi. Są znacznie wartościowsze, niż kiedykolwiek podejrzewano.

– Skreślam cię, ojcze – wyszeptał Kynes. – Odejdź. – I pomyślał: „Z pewnością niedaleko muszą być jacyś Fremeni. Nie mogą nie zauważyć ptaków nade mną. Przyjdą na zwiady, chociażby tylko, by sprawdzić, czy jest tutaj jakaś wilgoć”.

– Rzesze mieszkańców Arrakis dowiedzą się, że pracujemy nad tym, by ziemia spłynęła wodą – rzekł ojciec. – Większość oczywiście będzie miała jedynie na poły mistyczne wyobrażenie, jak zamierzamy tego dokonać. Wielu, nie rozumiejąc zagadnienia nieprzekraczalnego stosunku mas, może nawet sądzić, że sprowadzimy wodę z jakiejś innej, obfitującej w nią planety. Pozwólmy im myśleć, co im się żywnie podoba, dopóki w nas wierzą.

„Zaraz wstanę i powiem mu, co ja o nim myślę – zbuntował się Kynes. – Stoi tam i peroruje, zamiast przyjść mi z pomocą”.

Ptak znowu podskoczył ku wyciągniętej ręce Kynesa. Kolejne dwa jastrzębie spłynęły do niego na piasek.

– Religia i prawo wśród naszych rzesz muszą być jednym – stwierdził ojciec. – Akt nieposłuszeństwa musi być grzechem i sprowadzać kary religijne. Przyniesie to podwójną korzyść, zwiększając zarówno posłuszeństwo, jak i dzielność. Musimy, rozumiesz, polegać nie tyle na dzielności jednostek, ile na dzielności całej populacji.

„Gdzie jest moja populacja teraz, kiedy najbardziej jej potrzebuję?” – pomyślał Kynes. Włożył wszystkie swoje siły w przesunięcie ręki o centymetr ku najbliższemu jastrzębiowi. Ptak odskoczył do tyłu, pomiędzy swoich kompanów i wszystkie znieruchomiały gotowe do odlotu.

– Nasz program otrzyma status zjawiska naturalnego – powiedział ojciec. – Życie planety to rozległa, ciasno upleciona tkanina. Na początku będziemy manipulować czysto fizycznymi siłami, które wymuszą zmiany botaniczne i zoologiczne. Ale po okrzepnięciu te nasze przeobrażenia same staną się czynnikami nadzorującymi oddziaływania i z nimi też będziemy musieli sobie radzić. Nie zapominaj jednak, że wystarczy nam kontrola nad trzema procentami powierzchni ekwienergetycznej, zaledwie trzema procentami, by przestawić całą strukturę na nasz samowystarczalny system.

„Dlaczego mi nie pomagasz? – myślał Kynes. – Zawsze to samo: kiedy najbardziej cię potrzebuję, zawodzisz”. Chciał obrócić głowę i zdeprymować starego wzrokiem. Mięśnie odmówiły mu posłuszeństwa. Zobaczył, że jastrząb się porusza. Zbliżał się do ręki kroczek po kroczku, podczas gdy jego bracia czekali z udawaną obojętnością. Przystanął zaledwie o skok od ręki.

Umysł Kynesa wypełniła niezmierna jasność. Niespodziewanie ujrzał potencjał Arrakis, jakiego ojciec nigdy nie dostrzegał. Możliwości tej innej drogi wprost go rozsadzały.

– Nie ma potworniejszego nieszczęścia dla twoich ludzi, niż wpaść w ręce Bohatera – rzekł ojciec.

„Czyta w moich myślach! – zaniepokoił się Kynes. – W porządku… co mi tam. Wiadomości poszły już do mych siczowych osad. Nic ich nie zatrzyma. Jeśli syn księcia żyje, oni go odnajdą i obronią, jak rozkazałem. Być może odrzucą tę kobietę, jego matkę, ale uratują chłopca”.

Jastrząb ponownie skoczył; mógł teraz dziobnąć rękę Kynesa. Przekrzywił łeb, badając nieruchome ciało. Nagle wyprostował się, wyciągnął szyję, z wrzaskiem wzbił się w powietrze i odpłynął wirażem, a za nim jego towarzysze.

„Przyszli! – pomyślał Kynes. – Moi Fremeni znaleźli mnie!”

A potem usłyszał dudnienie piasku.

Każdy Fremen znał ten dźwięk i potrafił go natychmiast odróżnić od odgłosów czerwi czy wszelkiego życia pustyni. Gdzieś pod nim masa preprzyprawowa zakumulowała dosyć wody i substancji organicznej maleńkich stworzycieli, osiągając krytyczny etap burzliwego wzrostu. Gigantyczny bąbel dwutlenku węgla formował się w głębi piasku i parł do góry w olbrzymim wybuchu z lejowatym wirem pyłu pośrodku. Wymieni to, co uformowało się w głębi piasku, na to, co było na powierzchni.

W górze kołowały jastrzębie, wywrzaskując swoje rozczarowanie. Wiedziały, co się dzieje. Każde pustynne stworzenie by wiedziało.

„A ja jestem pustynnym stworzeniem – pomyślał Kynes. – Widzisz mnie, ojcze? Jestem pustynnym stworzeniem”.

Poczuł, jak bąbel unosi go, pęka i porywa w lej pyłowego wiru, by wciągnąć w chłodną ciemność. Chłód i wilgoć przyniosły błogosławioną ulgę. Po chwili jednak, gdy własna planeta zabijała go, Kynesowi przyszło na myśl, że ojciec i cała reszta uczonych mylą się, że najtrwalszymi zasadami wszechświata są przypadek i błąd.

Nawet jastrzębie potrafiły zdać sobie sprawę z tych faktów.

Proroctwo i widzenie przyszłości. Jak tu je sprawdzić w obliczu pytań bez odpowiedzi? Rozważcie, ile jest faktycznej znajomości „kształtu fali” (jak Muad’Dib zwykł określać swą proroczą wizję), a na ile prorok kształtuje przyszłość, by pasowała do proroctwa. Co z wewnętrzną harmonią aktu proroctwa? Czy prorok widzi przyszłość, czy jej słaby punkt, usterkę albo pęknięcie, w którym słowem bądź decyzją może roztrzaskać ją tak, jak szlifierz diamentów rozłupuje swój klejnot uderzeniem noża?

– z *Medytacji intymnych o Muad’Dibie* pióra księżnej Irulany

„Bierz ich wodę” – zawołał mężczyzna z głębi nocy. Poskromiwszy swój strach, Paul zerknął na matkę. Jego wyćwiczone oko dostrzegło w niej gotowość do walki – mięśnie czekające, by uderzyć niczym bicz.

– Szkoda byłoby, gdybyśmy musieli zgładzić was na poczekaniu – padło z góry.

„To ten, który przemówił do nas pierwszy – pomyślała Jessika. – Jest ich przynajmniej dwóch, jeden z naszej prawej strony, drugi z lewej”.

– Cignoro hrobosa sukares hin mange la pchagavas doi me kamavas na beslas lele pal hrobas!

Tak wołał przez basen ten z prawej.

Paul słyszał tylko szwargot, lecz dzięki wyszkoleniu Bene Gesserit Jessika rozpoznała mowę. To był chakobsa, jeden z pradawnych języków łowców, a człowiek nad nimi mówił, że być może są to ci obcy, których oni szukają.

W nagłej ciszy, jaka potem zapadła, krągła niczym obręcz, koloru pobłękitniałej kości twarz drugiego księżyca przetoczyła się po skałach z drugiej strony basenu, jasna i badawcza.

Spośród skał doleciały odgłosy przedzierania się. Nad nimi z obu stron ciemność poruszała się w blasku księżyca. Wśród cieni przepłynęło wiele sylwetek.

„Cały oddział!” Paul poczuł nagłe ukłucie.

Przed Jessiką stanął wysoki mężczyzna w cętkowanej dżubbie. Odsunął owiewkę ust, by mówić wyraźniej. W padającym z boku świetle księżyca widać było gęstą brodę, lecz jego twarz i oczy kryły się w cieniu kaptura.

– Co my tu mamy, dżina czy człowieka? – zapytał.

Słysząc szczerą kpinę, Jessika pozwoliła sobie na iskierkę nadziei. To był głos władzy, głos, który nimi wstrząsnął, napłynąwszy wśród nocy.

– Założę się, że człowieka – powiedział mężczyzna.

Jessika wyczuła raczej, niż zobaczyła, nóż ukryty w fałdzie jego szaty. Na chwilę obudził się w niej gorzki żal, że ani ona, ani Paul nie mają tarczy.

– Czy potraficie w dodatku mówić? – zapytał mężczyzna.

W swojej postawie i głosie Jessika zawarła całą królewską wyniosłość, jaką dysponowała. Czas naglił, ale za krótko słyszała tego człowieka i nie była pewna, czy zdążyła zarejestrować jego osobowość i słabości.

– Kto nachodzi nas po nocy jak rzezimieszki? – spytała.

Głowa w kapturze dżubby zdradziła gwałtownym skrętem napięcie, które ustępując powoli, wiele ujawniało. Ten człowiek doskonale nad sobą panował.

Paul odsunął się od matki, żeby nie stanowili jednego celu i mogli mieć większe pole działania.

Zakapturzona głowa obróciła się, śledząc ruch Paula. W blasku księżyca ukazał się fragment twarzy. Jessika dostrzegła ostry nos, połyskliwe oko – ciemne, jakże ciemne, bez śladu białka – krzaczastą brew i zadarty wąs.

– Obiecujące szczenię – rzekł mężczyzna. – Jeśli uciekacie przed Harkonnenami, być może jesteście mile widziani wśród nas. Jak to jest,

chłopcze?

Paul błyskawicznie rozważył szanse: „Podstęp? Prawda?”. Trzeba było decydować natychmiast.

– Dlaczego mielibyście mile widzieć uciekinierów? – zapytał.

– Dziecko, które myśli i mówi jak mężczyzna – powiedział wysoki Fremen. – Tak… Odpowiadając na twoje pytanie, mój młody wali, jestem tym, który nie płaci Harkonnenom fai, daniny wody. Dlatego właśnie mógłbym mile widzieć uciekiniera.

„On wie, kim jesteśmy – pomyślał Paul. – Mówiąc, coś przemilcza”.

– Jestem Stilgar, Fremen – rzekł wysoki mężczyzna. – Czy to rozwiąże ci język, chłopcze?

„Ten sam głos” – stwierdził Paul. Przypomniał sobie naradę i tego człowieka szukającego ciała zamordowanego przez Harkonnenów przyjaciela.

– Znam cię, Stilgarze – oznajmił. – Byłem z ojcem na naradzie, kiedy przybyłeś po wodę swojego przyjaciela. A w ramach wymiany przyjaciół zabrałeś ze sobą człowieka mojego ojca, Duncana Idaho.

– A Idaho, porzuciwszy nas, wrócił do swego księcia – rzekł Stilgar.

Jessika usłyszała cień urazy i przygotowała się na atak. Głos ze skał nad nimi zawołał:

– Marnujemy tu czas, Stilu.

– To syn księcia – warknął Stilgar. – Z pewnością jest tym, kogo Liet kazał nam szukać.

– Ale… to dziecko, Stilu.

– Książę był mężczyzną, a ten chłopak użył dudnika – powiedział Stilgar. – Odważnie przekroczył szlak szej-huluda.

Jessika usłyszała, jak wyłącza ją ze swoich myśli. Czy wydał już wyrok?

– Nie mamy czasu na próbę – zaprotestował głos na górze.

– Jednak on może być Lisanem al-Gaibem – rzekł Stilgar.

„On czeka na omen!” – pomyślała Jessika.

– Ale ta kobieta… – zauważył głos.

Jessika ponownie się sprężyła. W tamtym głosie była śmierć.

– Tak, ta kobieta – powtórzył Stilgar. – I jej woda.

– Znasz prawo – powiedział mężczyzna ze skał. – Ci, którzy nie mogą żyć z pustynią…

– Cicho bądź – rzekł Stilgar. – Czasy się zmieniają.

– Czy Liet tak rozkazał? – padło ze skał.

– Słyszałeś głos cielago, Dżamisie – powiedział Stilgar. – Dlaczego mnie popędzasz?

„Cielago!” – pomyślała Jessika. Klucz językowy pozwalał wiele zrozumieć: to był język ilm i fikh, a cielago oznaczało nietoperza, małego ssaka latającego. „Głos cielago”: otrzymali dystransową wiadomość, by szukać Paula i jej.

– Ja tylko przypominam ci o twoich obowiązkach, przyjacielu Stilgarze – powiedział głos nad ich głowami.

– Moim obowiązkiem jest siła plemienia – rzekł Stilgar. – To mój jedyny obowiązek. Nikt nie musi mi o nim przypominać. To dzieciak-mężczyzna mnie interesuje. Ma pełne ciało. Żył dużą ilością wody. Żył z dala od ojca Słońce. Nie ma spojrzenia ibada. A jednak nie mówi ani nie zachowuje się jak cherlak z panwi. Tak samo jak jego ojciec. Jak to możliwe?

– Nie możemy tu sterczeć, całą noc się spierając – powiedział głos ze skał. – Jeśli patrol…

– Drugi raz nie powiem ci, abyś był cicho, Dżamisie – rzekł Stilgar.

Mężczyzna nad nimi umilkł, lecz Jessika słyszała, jak ruszył się z miejsca, susem przesadził wąwóz i przedzierał się ku dnu basenu na lewo od nich.

– Głos cielago dał do zrozumienia, że uratowanie was przyniesie nam korzyść – powiedział Stilgar. – Widzę szansę dla tego silnego chłopca-mężczyzny. Jest młody i może się nauczyć. Ale co z tobą, kobieto? – Wbił wzrok w Jessikę.

„Mam już zarejestrowany jego głos i wzorzec zachowań – myślała Jessika. – Mogłabym podporządkować go sobie słowem, ale to silny człowiek… znacznie więcej dla nas wart w pełni władz umysłowych i z nieograniczoną swobodą działania. Zobaczymy”.

– Jestem matką tego chłopca – powiedziała. – Jego siła, którą podziwiasz, to w części wynik mego szkolenia.

– Siła kobiety potrafi być niezmierzona – rzekł Stilgar. – Z pewnością taka jest siła matki wielebnej. Czy jesteś matką wielebną?

Jessika odparła szczerze, odkładając chwilowo na bok implikacje tego pytania:

– Nie.

– Jesteś wyszkolona w zwyczajach pustyni?

– Nie, ale wielu ceni moje wyszkolenie.

– My sami oceniamy wartość – oświadczył Stilgar.

– Każdy człowiek ma prawo do własnych sądów.

– Dobrze, że o tym wiesz – powiedział Stilgar. – Nie mamy tutaj czasu na wypróbowanie ciebie, kobieto. Rozumiesz? Nie chcemy, aby twój cień nas prześladował. Zabiorę chłopca-mężczyznę, twego syna, który otrzyma moją rękojmię i azyl w moim plemieniu. Ale co do ciebie, kobieto… Rozumiesz, że nie ma w tym nic osobistego? To jest prawo, istislah, dla dobra ogółu. Czy to nie wystarcza?

Paul zrobił pół kroku w przód.

– O czym ty mówisz?

Stilgar rzucił okiem na chłopaka, ale nie odwracał uwagi od Jessiki.

– Skoro nie byłaś gruntownie szkolona od dziecka, by żyć tutaj, mogłabyś ściągnąć zgubę na całe plemię. Takie jest prawo, a my nie możemy dźwigać bezużytecznych…

Jessika rozpoczęła atak zwodniczym omdleniem. Aż się prosiło, by to właśnie zrobił miękki obcoświatowiec, rzeczy oczywiste zaś opóźniają reakcję przeciwnika. Interpretacja rzeczy znanej zabiera chwilę, kiedy rzecz ta wygląda jak nieznana.

Zmieniła kierunek w chwili, gdy prawe ramię Fremena opadło, naprowadzając nóż w fałdach dżubby na jej nową pozycję. Obrót, śmignięcie ramion, zawirowanie splątanych szat i Jessika przywarła plecami do skały z unieruchomionym mężczyzną przed sobą.

Po pierwszym ruchu matki Paul cofnął się dwa kroki. Skoczył w cień, gdy zaatakowała. Na drodze wyrósł mu brodaty mężczyzna, pochylony lekko w wypadzie, z jakimś śmiercionośnym narzędziem w ręku. Wyprostowaną dłonią Paul trafił go pod mostek, zszedł w bok i uderzył w podstawę czaszki, a następnie wyrwał padającemu oręż.

W następnej chwili był już pod osłoną cienia i piął się na górę wśród skał, zatknąwszy zdobyczną broń za szarfę na brzuchu. Rozpoznał ją mimo obcego kształtu – broń miotająca – i powiedziało mu to wiele o tym miejscu, raz jeszcze potwierdzając, że tarcze nie były tutaj w użyciu.

„Skupią się na matce i tym Stilgarze. Ona sobie z nim poradzi. Ja muszę zająć dogodne, bezpieczne stanowisko, z którego zaszachuję ich i stworzę jej okazję do ucieczki”.

W dole jazgotliwym chórem rozbrzmiała broń. Na skałach wokoło zajęczały pociski. Jeden musnął jego dżubbę. Przecisnąwszy się za występ skalny, Paul znalazł się w wąskim, pionowym kominie i powolutku, najciszej jak umiał, zaczął się posuwać w górę, plecami zaparty o jedną ścianę, a nogami o drugą. Doleciało do niego echo ryku Stilgara:

– Do tyłu, wszy glistogłowe! Skręci mi kark, jak się nie cofniecie!

Głos z głębi basenu oznajmił:

– Chłopiec zwiał, Stilu. Co mamy…

– Jasne, że zwiał, wy piaskomózgie… Uuuch! Spokojnie, kobieto!

– Każ im przerwać polowanie na mego syna – powiedziała Jessika.

– Przerwali, kobieto. Uciekł, tak jak chciałaś. Bogowie podziemi! Dlaczego nie powiedziałaś, że jesteś magiczną kobietą i wojownikiem?

– Każ swoim ludziom odstąpić – zażądała Jessika. – Każ im wyjść do basenu, gdzie będę mogła mieć ich na oku… I lepiej, żebyś myślał, że wiem, ilu ich jest. – „To delikatny moment – pomyślała – ale jeśli ten człowiek jest tak bystry, na jakiego mi wygląda, mamy szansę”.

Paul wywindował się na górę i znalazł wąską półkę, na której mógł się oprzeć i obserwować basen. Doszedł go głos Stilgara:

– A jeśli odmówię? Jak możesz… Uuuch! Daj spokój, kobieto! Nie chcemy cię skrzywdzić, nie teraz. Bogowie podziemi! Skoro potrafisz to zrobić z najsilniejszym z nas, jesteś warta dziesięć razy więcej, niż waży twoja woda.

„Kolej na próbę rozumu” – pomyślała Jessika.

– Dopytujecie się o Lisana al-Gaiba – rzekła.

– Może jesteście tą rodziną z legendy, ale ja uwierzę w to po przeprowadzeniu próby. Teraz wiem jedynie, że przybyłaś tu z tym głupim księciem, który… Aiiii! Kobieto! Nie dbam o to, czy mnie zabijesz! Był dzielny i godzien szacunku, ale głupio zrobił, stając na drodze harkonneńskiej pięści!

Cisza.

– Nie miał wyboru – powiedziała po chwili Jessika – ale nie będziemy się o to spierać. Powiedz no temu swojemu człowiekowi, który kryje się za

krzakiem, żeby we mnie nie celował, bo uwolnię wszechświat od twojej osoby, a potem zabiorę się do niego.

– Ty tam! – ryknął Stilgar. – Posłuchaj jej!

– Ale, Stilu…

– Posłuchaj jej, robacza gębo, pełzające piaskomózgie jaszczurcze gówno! Posłuchaj, bo sam jej pomogę wypruć ci flaki! Nie widzisz, ile ta kobieta jest warta?

Mężczyzna wychylił się zza swego częściowego ukrycia i opuścił broń.

– Usłuchał – powiedział Stilgar.

– Teraz – rzekła Jessika – wytłumacz jasno swoim ludziom, czego się po mnie spodziewasz. Nie chcę, aby jakaś młoda, gorąca głowa zrobiła nierozważny krok.

– Kiedy się zakradamy do osad i miast, musimy ukrywać swoje pochodzenie, mieszać się z ludźmi panwi i grabenu – powiedział Stilgar. – Nie nosimy broni, jako że krysnóż jest święty. Ale ty, kobieto, ty masz magiczne bojowe umiejętności. My jedynie słyszeliśmy o nich i wielu w nie powątpiewało, lecz nikt nie może wątpić w to, co widzi na własne oczy. Pokonałaś uzbrojonego Fremena. To broń, której nie wykryje żadna rewizja.

Trafiające do przekonania słowa Stilgara wywołały poruszenie.

– A jeżeli zgodzę się nauczyć was tego… magicznego sposobu?

– Masz moją rękojmię, tak jak twój syn.

– Skąd mamy mieć pewność, że dotrzymasz obietnicy?

W głosie Stilgara osłabł nieco ton logicznej argumentacji, a zabrzmiała zjadliwość:

– Tutaj, kobieto, nie mamy papieru na umowy. Nie składamy obietnic wieczorem, by łamać je o świcie. Słowo człowieka wystarcza za umowę. Jako przywódca związałem mych ludzi ślubem swojego słowa. Naucz nas

tego magicznego sposobu, a otrzymasz wśród nas azyl na tak długo, jak zechcesz. Twoja woda zmiesza się z naszą wodą.

– Możesz mówić w imieniu wszystkich Fremenów? – zapytała Jessika.

– Z czasem może tak się stanie. Na razie tylko mój brat, Liet, przemawia w imieniu wszystkich Fremenów. Tutaj obiecuję jedynie zachować tajemnicę. Moi ludzie nie powiedzą o was żadnej innej siczy. Harkonnenowie wrócili na Diunę w wielkiej liczbie, a twój książę nie żyje. Mówi się, że oboje zginęliście w matce samumie. Łowca nie tropi martwej zwierzyny.

„To obiecuje bezpieczeństwo – myślała Jessika – ale ci ludzie mają dobrą łączność i zawsze można przekazać wiadomość”.

– Domyślam się, że wyznaczono za nas nagrodę – powiedziała.

Stilgar milczał, a ona – wyczuwając ruchy jego mięśni pod swoimi dłońmi – niemal widziała myśli kotłujące mu się w głowie.

– Powtórzę to raz jeszcze: ślubowałem słowem plemienia – odparł. – Moi ludzie znają teraz waszą wartość dla nas. Co mogliby nam dać Harkonnenowie? Wolność? Ha! Nie. Tyś jest takwa, a to warte dla nas więcej niż cała przyprawa harkonneńskiego skarbca.

– Zatem nauczę was mego sposobu walki – rzekła Jessika i poczuła niezamierzoną rytualną moc swoich słów.

– Uwolnisz mnie teraz?

– Niech tak będzie – powiedziała.

Zwolniła chwyt i odstąpiła w bok na oczach całej gromady zebranej w basenie. „To próba maszad – myślała – jednak Paul musi ich poznać, nawet za cenę mojego życia”.

W pełnej wyczekiwania ciszy Paul wysunął się nieco, by lepiej widzieć, gdzie stoi matka. W tym momencie usłyszał nad sobą zdyszany oddech,

wstrzymany nagle, a w pionowej szczelinie skalnej wyczuł nikły cień, który rysował się na tle gwiazd.

Z basenu wzbił się głos Stilgara:

– Hej ty, na górze! Przestań ganiać chłopca. On zaraz zejdzie.

Z ciemności nad Paulem dobiegł głos chłopca lub dziewczyny:

– Ale, Stilu, on nie może być daleko ode…

– Powiedziałem, daj mu spokój, Chani! Ty jaszczurczy pomiocie!

Z góry doleciały wyszeptane przekleństwo i mamrotanie:

– Żeby nazwać mnie jaszczurczym pomiotem!

Jednak cień zniknął z pola widzenia.

Paul znowu popatrzył na basen i wyłowił szary cień Stilgara poruszający się obok matki.

– Podejdźcie wszyscy! – zawołał Fremen i zwrócił się do Jessiki: – A teraz ja zapytam, skąd my możemy mieć pewność, że ty dotrzymasz swojej części umowy? To ty żyłaś wśród papierów, pustych umów i różnych takich…

– My, Bene Gesserit, nie łamiemy ślubów częściej niż wy – powiedziała Jessika.

Zapadła przedłużająca się cisza, po czym rozległ się zwielokrotniony szept:

– Czarownica Bene Gesserit!

Dobywszy spod szarfy broń, Paul wycelował w Stilgara, ale i on, i jego towarzysze trwali w bezruchu, wpatrując się w Jessikę.

– To jest legenda – powiedział któryś.

– Mówiono, że Szadout Mapes przekazała taki meldunek o tobie – rzekł Stilgar – lecz tak ważną sprawę trzeba poddać próbie. Jeżeli jesteś tą Bene Gesserit z legendy, Bene Gesserit, której syn powiedzie nas do raju… – Wzruszył ramionami.

Jessika westchnęła. „Więc nasza Missionaria Protectiva rozmieściła nawet religijne zawory bezpieczeństwa w całym tym zapleczu piekła – pomyślała. – No cóż… Pomogą, a o to przecież chodziło”.

– Prorokini, która przyniosła wam tę legendę, przekazała ją pod rygorem karamy i idżazu, cudu i niepowtarzalności proroctwa. Tyle wiem – powiedziała. – Czy chcecie znaku?

Nozdrza rozszerzyły mu się w blasku księżyca.

– Nie możemy tu marudzić z rytuałami – wyszeptał.

Jessika przypomniała sobie mapę, którą Kynes pokazał jej w trakcie ustalania dróg ucieczki na wypadek niebezpieczeństwa. Wydawało się, że było to strasznie dawno. Zobaczyła na niej miejsce nazwane „sicz Tabr”, obok zaś ręczny dopisek: „Stilgar”.

– Może więc kiedy dotrzemy do siczy Tabr – powiedziała.

To objawienie wstrząsnęło nim, a Jessika pomyślała: „Gdyby on tylko znał stosowane przez nas sztuczki! Dobra musiała być ta Bene Gesserit z Missionaria Protectiva. Ci Fremeni są pięknie przygotowani, by w nas uwierzyć”.

Stilgar przestąpił z nogi na nogę.

– Musimy już ruszać.

Skinęła głową, dając mu do zrozumienia, że wyruszają za jej przyzwoleniem.

Spojrzał w górę urwiska, prawie dokładnie na skalną półkę, na której przyczaił się Paul.

– Hej tam, chłopcze, możesz już zejść! – Zwróciwszy się ponownie do Jessiki, rzekł przepraszającym tonem: – Twój syn narobił niewiarygodnie dużo hałasu podczas wspinaczki. Musi się wiele nauczyć, żeby nie ściągnąć na nas wszystkich niebezpieczeństwa, ale jest młody.

– Niewątpliwie musimy się wiele od siebie nauczyć – rzekła Jessika. – Tymczasem najlepiej będzie, jeśli się zajmiecie swoim towarzyszem opodal. Mój hałaśliwy syn trochę niedelikatnie go rozbroił.

Stilgar obrócił się, aż załopotał jego kaptur.

– Gdzie?

– Za tamtymi krzakami.

Fremen dotknął dwóch swoich ludzi.

– Zajmijcie się tym. – Zerknął na kompanów, identyfikując ich. – Brakuje Dżamisa. – Obrócił się ku Jessice. – Nawet twoje szczenię zna magiczną sztukę.

– I zauważ, że mój syn nawet nie ruszył się z góry na twoje żądanie.

Dwaj wysłani przez Stilgara ludzie wrócili, podtrzymując trzeciego, który słaniał się i dyszał. Stilgar na moment zatrzymał na nich wzrok, po czym spojrzał na Jessikę.

– Syn słucha tylko twoich rozkazów, hę? Doskonale. Wie, co to dyscyplina.

– Paulu, możesz już zejść – powiedziała Jessika.

Chłopak podniósł się i wynurzył w blasku księżyca ponad kryjącą go szczeliną, wsuwając fremeńską broń za szarfę. Gdy się odwrócił, pośród skał wyrosła przed nim druga sylwetka.

W księżycowej poświacie i odblasku szarego kamienia Paul dostrzegł drobną postać we fremeńskich szatach, ocienioną twarz wyzierającą z kaptura i wylot lufy znajomej broni miotającej ukrytej w fałdach jej dżubby.

– Jestem Chani, córka Lieta. – Głos był melodyjny, na poły wypełniony śmiechem. – Nie pozwoliłabym ci skrzywdzić moich towarzyszy – powiedziała.

Paul przełknął ślinę. Stojąca przed nim postać obróciła się w smudze księżyca i ujrzał delikatną twarz oraz czarne otchłanie oczu. Ta twarz, te rysy znane z nieprzeliczonych najwcześniejszych wizji przyszłości wprawiły go w osłupienie. Przypomniał sobie gniewną pychę, z jaką kiedyś opisał tę twarz ze snu, mówiąc matce wielebnej Gaius Helenie Mohiam: „Poznam ją”. I oto ma przed sobą tę twarz, ale nie w wyśnionych okolicznościach.

– Byłeś hałaśliwy jak rozjuszony szej-hulud – rzekła. – I wybrałeś najgorszą drogę w górę. Chodź za mną, pokażę ci łatwiejszy szlak na dół.

Wygramolił się z rozpadliny i podążył za jej powiewającą szatą przez strzaskany krajobraz. Poruszała się jak gazela, tańcząc na skałach. Paul czuł gorący rumieniec na twarzy i był wdzięczny za ciemności.

„To ta dziewczyna!” Była jak muśnięcie przeznaczenia. Czuł się porwany przez przypływ, zestrojony z falą, która unosiła wszystkie siły jego ducha.

Wkrótce stanęli wśród Fremenów na dnie basenu. Jessika uśmiechnęła się cierpko do Paula, lecz przemówiła do Stilgara:

– To będzie korzystna wymiana nauk. Mam nadzieję, że ty i twoi ludzie nie gniewacie się za naszą gwałtowność. Wydawała się… konieczna. Byłeś o krok od… popełnienia błędu.

– Uratować kogoś przed błędem to podarować mu raj – rzekł Stilgar. Dotknął warg lewą ręką, prawą zaś wyjął broń zza szarfy Paula i rzucił ją kompanowi. – Będziesz miał własny pistolet maula, chłopcze, gdy na niego zasłużysz.

Paul otworzył usta, by coś powiedzieć, ale zawahał się, przypomniawszy sobie naukę matki: „Początki to bardzo delikatne chwile”.

– Mój syn nie potrzebuje innej broni niż ta, którą ma – stwierdziła Jessika. Spojrzała na Stilgara, zmuszając go do przemyślenia, w jaki sposób chłopak zdobył pistolet.

Fremen zerknął na mężczyznę pokonanego przez Paula. Dżamis stał na uboczu ze spuszczoną głową, ciężko dysząc.

– Trudna z ciebie kobieta – rzekł Stilgar. Wyciągnął lewą rękę do jednego z towarzyszy i pstryknął palcami. – *Kuszti bakka te*.

„Znowu chakobsa” – pomyślała Jessika.

Wskazany mężczyzna wcisnął Stilgarowi w dłoń dwa prostokąty gazy. Fremen przeciągnął je między palcami i zawiązał jeden wokół szyi Jessiki, pod kapturem, drugi zaś wokół szyi Paula.

– Teraz nosicie chustę bakka – powiedział. – Gdyby coś nas rozdzieliło, wszyscy poznają, że należycie do siczy Stilgara. O broni pogadamy innym razem.

Następnie oddalił się, dokonał inspekcji swojego oddziału i rozkazał jednemu z ludzi nieść fremsak Paula.

„Bakka” – pomyślała Jessika, rozpoznawszy religijny termin: płaczek bakka. Wyczuła, że symbolika chust jednoczy tę gromadę. „Dlaczego opłakiwanie miałoby ich jednoczyć?”

Stilgar podszedł do młodej dziewczyny, która zawstydziła Paula.

– Chani, weź dzieciaka-mężczyznę pod swoje skrzydła. Trzymaj go z dala od kłopotów.

Chani dotknęła ramienia Paula.

– Chodź ze mną, dzieciaku-mężczyzno.

Chłopak stłumił gniew w swoim głosie:

– Na imię mam Paul. Byłoby dobrze, gdybyś…

– Imię, młodziku – powiedział Stilgar – damy ci w porze mihna, podczas próby aql.

„Próby rozumu” – przełożyła Jessika. Gwałtowna potrzeba wywyższenia Paula przeważyła nad wszystkimi innymi względami.

– Mój syn przeszedł próbę gom dżabbar! – warknęła.

Cisza, która zapadła, zdradziła jej, że poruszyła ich do głębi.

– Wiele o sobie nie wiemy – rzekł Stilgar – ale za długo tu marudzimy. Słońce dnia nie może nas złapać na otwartym terenie. – Zbliżył się do mężczyzny, którego powalił Paul. – Możesz iść, Dżamisie?

Odpowiedziało mu mruknięcie.

– Zaskoczył mnie, ot co. To był przypadek. Mogę iść.

– Żaden przypadek – stwierdził Stilgar. – Czynię cię odpowiedzialnym wraz z Chani za bezpieczeństwo tego chłopaka, Dżamisie. Ci ludzie otrzymali moją rękojmię.

Jessika przyjrzała się bacznie Dżamisowi. To on spierał się na skałach ze Stilgarem. W jego głosie była śmierć. I Stilgar uznał za stosowne dodatkowo podkreślić swój rozkaz przy Dżamisie.

Stilgar obrzucił oddział badawczym spojrzeniem i przywołał dwóch ludzi.

– Larus i Farruk, zacieracie nasze ślady. Dopilnujcie, by nic po nas nie zostało. Wzmożona czujność: mamy ze sobą dwójkę bez przeszkolenia. – Odwrócił się z ręką wzniesioną i wymierzoną w drugi brzeg basenu. – W kolumnie marszowej, z ubezpieczeniem na flankach, naprzód marsz. Przed świtem musimy być w Grocie Grani.

Jessika ruszyła obok Stilgara, licząc głowy. Fremenów było czterdzieścioro – z nią i z Paulem czterdzieści dwie osoby. „Maszerują jak kompania wojska – pomyślała – nawet ta dziewczyna, Chani”.

Paul zajął miejsce w szyku za Chani. Zapomniał o zranionej ambicji – o tym, że zaskoczyła go dziewczyna. Rozmyślał o wydarzeniu, które przywołała szorstka uwaga matki: „Mój syn przeszedł próbę gom dżabbar!”. Poczuł mrowienie dłoni od zapamiętanego bólu.

– Patrz, gdzie idziesz – syknęła Chani. – Nie ocieraj się o krzaki, bo zostawisz nitkę znaczącą nasz przemarsz.

Paul przełknął ślinę i skinął głową.

Jessika próbowała łowić odgłosy maszerującego oddziału, słysząc kroki swoje i Paula, i ogarnął ją podziw dla sposobu poruszania się Fremenów. Czterdzieścioro ludzi przekraczało basen, a słychać było jedynie naturalne w tym otoczeniu odgłosy – niczym żagle widmowych feluk ich szaty przemykały w gąszczu cieni. Ich portem przeznaczenia była sicz Tabr – sicz Stilgara.

Ważyła to słowo w myśli: sicz. Termin z chakobsa, dawnego języka łowców, który przetrwał niezliczone stulecia. Sicz, miejsce zbiórki w razie zagrożenia. Głębokie implikacje tego słowa i języka zaczynały docierać do niej dopiero teraz, gdy ustąpiło napięcie.

– Idziemy dobrym tempem – powiedział Stilgar. – Z pomocą Szej-huluda osiągniemy Grotę Grani przed świtem.

Jessika kiwnęła głową, oszczędzając siły. Czuła przeraźliwe zmęczenie powściągane siłą woli i – przyznała to – siłą wynikającą z upojenia. Skupiła się na wartości tego oddziału, na tym, co ujawnia fremeńska kultura.

„Wszyscy oni – myślała – cała kultura oparta jest na wojskowej dyscyplinie. Cóż za bezcenna rzecz dla księcia banity!”

Fremeni w najdoskonalszym stopniu posiedli ową cechę, przez starożytnych zwaną „spannungsbogen”, która jest narzuconą sobie zwłoką między pożądaniem jakiejś rzeczy a aktem wyciągnięcia po nią ręki.

– z *Mądrości Muad’Diba* w opracowaniu księżnej Irulany

Pod Grotę Grani dotarli przed świtem, posuwając się szczeliną w ścianie basenu tak wąską, że musieli iść bokiem. Jessika zobaczyła, jak Stilgar odprawia w wątłym brzasku wartowników, i przez chwilę obserwowała ich wspinaczkę na urwisko.

Paul zadarł głowę, oglądając materię tej planety rozciętą w poprzek wąską szczeliną, która otwierała się ku szarobłękitnemu niebu.

Chani pociągnęła go za dżubbę, nagląc do pośpiechu.

– Szybko – powiedziała. – To już świt.

– A ci ludzie wspinający się nad nami? Dokąd oni idą? – szepnął chłopak.

– Pierwsza dzienna warta – odparła. – Spiesz się!

„Straż wystawiona na zewnątrz – pomyślał Paul. – Mądrze, ale jeszcze mądrzej byłoby podchodzić do tego miejsca w oddzielnych grupach. Mniejsze jest wtedy niebezpieczeństwo utraty całego oddziału”. Zatrzymał się na tym, uświadamiając sobie, że jest to myślenie partyzanckie, i wspomniał obawę swego ojca, że Atrydzi mogą zostać rodem partyzanckim.

– Szybciej – szepnęła Chani.

Paul przyspieszył, słysząc szelest dżubb z tyłu. Przypomniały mu się słowa siratu z maleńkiej Biblii P-K Yuego: „Raj z prawej, piekło z lewej i Anioł Śmierci z tyłu”. Powtórzył sobie ten wers w duchu.

Skręcili za róg, gdzie przejście było szersze. Stilgar stał z boku, kierując ich do niskiego, odchodzącego pod kątem prostym tunelu.

– Prędzej – syknął. – Jeśli zaskoczy nas tu patrol, będziemy jak króliki w klatce.

Paul schylił się w wejściu i dotarł za Chani do groty oświetlonej gdzieś z przodu wątłym, szarym światłem.

– Możesz się wyprostować – powiedziała dziewczyna.

Wyprostował się i popatrzył, gdzie jest: głęboka, rozległa przestrzeń pod kopulastym sklepieniem, które wznosiło się łukiem tylko odrobinę wyżej niż na odległość wyciągniętej ręki człowieka. Oddział rozchodził się w głąb cienia. Paul dostrzegł zbliżającą się matkę i zobaczył, jak przygląda się ich towarzyszom. Zauważył, że nie udało jej się wsiąknąć we Fremenów, mimo że strój nosiła identyczny. A sposób, w jaki się poruszała… Ileż w tym było poczucia siły i gracji!

– Przysiądź gdzieś i nie plącz się pod nogami, dzieciaku-mężczyzno – powiedziała Chani. – Tu masz jedzenie. – Wcisnęła mu w ręce dwa kawałki czegoś zawiniętego w liście. Zionęły przyprawą.

Za Jessiką pojawił się Stilgar, przywołując do porządku grupkę z lewej strony.

– Wstawcie gródź na miejsce i pilnujcie zabezpieczenia wilgoci. Lemil – zwrócił się do innego Fremena – daj lumisfery. – Chwycił Jessikę za ramię. – Chcę ci coś pokazać, magiczna kobieto. – Powiódł ją za skalny zakręt, w stronę źródła światła.

Jessika spostrzegła, że stoi na szerokim progu innego wylotu jaskini, wysoko w ścianie urwiska. Patrzyła na drugi basen, szerokości od dziesięciu do dwunastu kilometrów, osłonięty wysokimi skalnymi ścianami. Pod nimi były rzadko rozsiane kępy roślinności.

Kiedy spoglądała na szary w przedświcie basen, nad przeciwległym obwałowaniem podniosło się słońce, oświetlając beżowy krajobraz skał i piasku. Zauważyła, że słońce Arrakis jakby wyskakiwało nad horyzont. „To dlatego, że chcemy je powstrzymać – pomyślała. – Noc jest bezpieczniejsza niż dzień". Ogarnęła ją tęsknota za tęczą w tym miejscu, które nigdy nie ujrzy deszczu. „Muszę powściągnąć takie tęsknoty – stwierdziła. – Są słabością, a ja nie mogę już sobie pozwolić na słabość".

Ścisnąwszy jej ramię, Stilgar wskazał drugi skraj basenu.

– Tam! Tam widzisz prawdziwych Druzów.

Patrząc za jego wyciągniętą ręką, dostrzegła krzątaninę: ludzie na dnie basenu umykali przed światłem dnia pod osłonę cienia przeciwległego urwiska. Mimo oddali ich ruchy były wyraźnie widoczne w czystym powietrzu. Wyjęła spod dżubby lornetkę i skierowała soczewki olejowe na odległych ludzi. Chusty trzepotały jak wzlatujące wielobarwne motyle.

– To dom – powiedział Stilgar. – Będziemy tam tej nocy. – Wpatrywał się w daleki brzeg basenu, szarpiąc wąs. – Moi ludzie zostali na dworze i pracowali. To znaczy, że w pobliżu nie ma patroli. Dam im później znać, by przygotowali się na nasz powrót.

– Twoi ludzie są bardzo zdyscyplinowani – powiedziała Jessika. Opuściła lornetkę i zauważyła, że Stilgar patrzy na przyrząd.

– Oni przestrzegają nakazu przetrwania plemienia – rzekł. – Na tej samej zasadzie wybieramy spośród nas przywódcę. Przywódcą zostaje ten, kto jest najsilniejszy, kto przynosi wodę i zapewnia bezpieczeństwo. – Popatrzył na nią.

Odwzajemniając spojrzenie, zauważyła oczy bez białek, zabarwione oczodoły, zabrudzone pyłem brodę i wąsy, linię wodowodu wijącego się od nozdrzy w głąb filtraka.

– Czy pokonawszy cię, podważyłam twój autorytet przywódcy, Stilgarze? – zapytała.

– Nie wyzwałaś mnie – odparł.

– Ważne jest, aby przywódca zachował szacunek oddziału.

– Wśród tych piaskowych wszy nie ma nikogo, z kim bym sobie nie poradził – powiedział. – Kiedy pokonałaś mnie, pokonałaś nas wszystkich. Teraz oni liczą, że nauczą się od ciebie… magicznego sposobu… a niektórzy pragną się przekonać, czy zamierzasz mnie wyzwać.

Ważyła ukryte znaczenia.

– Pokonać cię w oficjalnej walce?

Skinął głową.

– Odradzam ci to, bo oni nie pójdą za tobą. Nie jesteś z piasków. Przekonali się o tym podczas nocnego przemarszu.

– Praktyczni ludzie – stwierdziła.

– To prawda. – Zerknął na basen. – Wiemy, czego nam trzeba, ale niewielu myśli wnikliwie teraz, tak blisko domu. Zbyt długo przebywaliśmy na pustyni, organizując z wolnymi kupcami dostawę naszego kontyngentu przyprawy dla tej przeklętej Gildii… Oby ich gęby na wieki pozostały czarne.

Jessika zastygła, odwracając się od Stilgara, po czym obejrzała się i popatrzyła mu prosto w twarz.

– Gildia? Co ma Gildia do waszej przyprawy?

– Tak każe Liet – powiedział Stilgar. – Znamy powód, ale to nie łagodzi naszego rozgoryczenia. Przekupujemy Gildię monstrualną opłatą w przyprawie, chcąc zachować nasze niebiosa wolne od satelitów i innych takich, żeby nikt nie wyszpiegował, co robimy z powierzchnią Arrakis.

Ważyła słowa, przypomniawszy sobie, co powiedział Paul: że to musi być powód, dla którego arrakijskie niebo jest wolne od satelitów.

– A co takiego robicie z powierzchnią Arrakis, że nie chcecie tego pokazać?

– Zmieniamy ją… powoli, lecz nieodwracalnie… by mogli na niej żyć ludzie. Nasze pokolenie nie zobaczy tego ani nasze dzieci, ani dzieci naszych dzieci, ani wnuki ich dzieci… ale tak kiedyś będzie. – Utkwił zamglony wzrok gdzieś ponad basenem. – Otwarte wody, wysokie rośliny i ludzie spacerujący swobodnie bez filtraków.

„Więc takie jest marzenie naszego Lieta-Kynesa” – pomyślała.

– Łapówki są niebezpieczne, lubią rosnąć – stwierdziła.

– Rosną – odparł – ale długa droga jest bezpieczną drogą.

Jessika odwróciła się i popatrzyła na basen, próbując zobaczyć go takim, jak widział go Stilgar w swej wyobraźni. Dostrzegła jedynie poszarzałą musztardową plamę odległych skał i nagły mglisty ruch na niebie ponad urwiskami.

– Aaach – westchnął Stilgar.

Z początku wydawało jej się, że to pojazd patrolowy, potem jednak zdała sobie sprawę, że widzi miraż – inny krajobraz unoszący się nad piaskiem pustyni i daleką rozkołysaną zieleń, a w połowie odległości długiego czerwia sunącego po powierzchni z czymś, co wyglądało na fremeńskie szaty łopoczące na jego grzbiecie.

Miraż się rozpłynął.

– Przyjemniej byłoby jechać – powiedział Stilgar – lecz nie możemy wpuścić stworzyciela do tego basenu. Musimy zatem znowu maszerować tej nocy.

„Stworzyciel, tak nazywają czerwia” – pomyślała Jessika.

Oceniała doniosłość jego słów, stwierdzenia, że nie mogą wpuścić czerwia do tego basenu. Wiedziała, co zobaczyła w mirażu – Fremenów jadących na grzbiecie gigantycznego czerwia. Z ogromnym wysiłkiem

ukryła szok, jakiego doznała, uświadomiwszy sobie konsekwencje tego faktu.

– Musimy wracać do reszty – powiedział Stilgar. – Inaczej moi ludzie zaczną podejrzewać, że z tobą flirtuję. Niektórzy już mi zazdroszczą, że moje ręce poznały twoje wdzięki, kiedy tej nocy zmagaliśmy się w basenie Tuono.

– Dość tego! – warknęła Jessika.

– Bez obrazy. – Głos Stilgara był łagodny. – Nie bierzemy kobiet wbrew ich woli… A w twoim przypadku – wzruszył ramionami – ten zwyczaj nawet nie jest potrzebny.

– Nie zapominaj, że byłam księżną panią – powiedziała już spokojniej.

– Jak sobie życzysz – rzekł. – Czas zagrodzić ten wylot, by można było rozluźnić filtraki. Moim ludziom należy się dziś solidny odpoczynek. Ich rodziny nie dadzą im jutro odpocząć.

Zamilkli.

Jessika wpatrywała się w słoneczny blask. Słyszała to, co usłyszała w głosie Stilgara – niewypowiedzianą propozycję czegoś więcej niż jego rękojmia. Czy potrzebna mu żona? Zrozumiała, że może zająć miejsce u jego boku. Byłby to jeden ze sposobów zakończenia konfliktu o plemienne przywództwo – kobieta ręka w rękę z mężczyzną. Ale co wtedy stałoby się z Paulem? Któż mógł wiedzieć, jakie tu jeszcze obowiązują prawa rodzicielskie? I co z nienarodzoną córką, którą od paru tygodni nosi w łonie? Co z córką zmarłego księcia?

Dopuściła do swej świadomości pełne znaczenie tego drugiego, rosnącego w niej dziecka, przyjrzała się motywom, które kierowały nią, gdy przystała na poczęcie. Znała je – uległa owemu przemożnemu popędowi wspólnemu wszystkim stworzeniom w obliczu śmierci: instynktownemu

szukaniu nieśmiertelności w potomstwie. Zwyciężył instynkt zachowania gatunku.

Zerknęła na Stilgara. Widziała, że wpatruje się w nią wyczekująco. „Dziewczynka urodzona tutaj przez kobietę poślubioną komuś takiemu jak ten mężczyzna. Jaki byłby los takiej córki? – zadała sobie pytanie. – Czy on próbowałby ograniczać konieczności nieuniknionego przeznaczenia Bene Gesserit?”

Stilgar odchrząknął, po czym dowiódł, że rozumie niektóre z pytań, jakie zrodziły się w jej umyśle.

– Dla przywódcy ważne jest to, co go czyni przywódcą. Potrzeby jego ludzi. Jeśli nauczysz mnie swoich umiejętności, może przyjść dzień, kiedy jedno z nas będzie musiało wyzwać drugie. Wolałbym jakąś alternatywę.

– A istnieje kilka możliwości? – zapytała.

– Sajjadina – powiedział. – Nasza matka wielebna jest stara.

„Ich matka wielebna!”

Zanim zdążyła to wybadać, rzekł:

– Bynajmniej nie proponuję ci siebie za partnera. Nie ma w tym nic osobistego, jako że jesteś piękna i pociągająca. Ale gdybyś została jedną z mych kobiet, niektórzy młodzi ludzie mogliby uznać, że zbytnio zabiegam o przyjemności ciała, a za mało troszczę się o potrzeby plemienia. Oni nawet teraz podsłuchują nas i śledzą.

„Ten mężczyzna waży swoje decyzje i pamięta o ich konsekwencjach” – pomyślała.

– Są wśród moich młodych ludzi tacy, którzy osiągnęli wiek szaleństwa ducha – stwierdził. – W tym okresie trzeba ich obłaskawić. Nie mogę dawać im poważniejszych powodów do rzucenia mi wyzwania, gdyż musiałbym ich okaleczać i zabijać. To nie jest właściwa droga dla przywódcy, jeśli można tego uniknąć z honorem. Widzisz, posiadanie

przywódcy to jedna z tych rzeczy, którymi ludzie różnią się od motłochu. Przywódca utrzymuje równość jednostek. Gdy jednostek jest zbyt mało, ludzie znów stają się motłochem.

Jego słowa, głębia ich świadomości, fakt, że mówił tak do niej, jak i do tych, którzy ukradkiem podsłuchiwali, zmusiły ją do zrewidowania opinii o nim. „To człowiek wielkiego formatu – pomyślała. – Gdzież on się nauczył takiej wewnętrznej równowagi?”

– Prawo określające naszą formę wyboru przywódcy jest sprawiedliwe – ciągnął Stilgar – ale z tego nie wynika, że ludzie zawsze potrzebują sprawiedliwości. Teraz potrzebujemy przede wszystkim czasu na rozwój i rozkwit, na powiększenie terenu działania.

„Jakie jest jego pochodzenie? – zastanawiała się Jessika. – Skąd się bierze taka rasa?”

– Stilgarze, nie doceniałam cię – powiedziała.

– Tak podejrzewałem – rzekł.

– Najwyraźniej wzajemnie się nie docenialiśmy.

– Chciałbym, żeby to się skończyło – stwierdził. – Chciałbym twojej przyjaźni… i zaufania. Chciałbym tego wzajemnego szacunku, jaki wyrasta z serca, bez zbliżenia seksualnego.

– Rozumiem – powiedziała.

– Ufasz mi?

– Słyszę w tobie szczerość.

– Wśród nas – powiedział – sajjadiny, nie będąc formalnymi przywódczyniami, zajmują szczególnie zaszczytne miejsce. Nauczają. Podtrzymują tutaj ducha bożego. – Dotknął swej piersi.

„Teraz muszę zbadać tę tajemnicę matki wielebnej” – pomyślała.

– Mówiłeś o waszej matce wielebnej… i słyszałam coś o legendzie i proroctwie.

– Mówi się, że Bene Gesserit i jej potomek dzierżą klucz do naszej przyszłości – rzekł.

– Wierzysz, że nią jestem? – Obserwując jego twarz, myślała: „Młoda trzcina tak łatwo umiera. Początek to pora wielkiego niebezpieczeństwa”.

– Nie wiemy – odparł.

Kiwnęła głową. „Jest człowiekiem honoru – pomyślała. – Oczekuje ode mnie znaku, ale nie pomoże losowi, zdradzając mi go”.

Odwróciła głowę i zapatrzyła się na basen w dole, na złotawe i purpurowe cienie, na drżenie powietrza z drobinami pyłu u wylotu jaskini. Nagle stała się ostrożna jak kot. Znała żargon Missionaria Protectiva, wiedziała, jak dostosować techniki legendy, lęki i nadzieje do swych nagłych potrzeb, ale wyczuwała tu dzikie zmiany… jakby ktoś, przebywając wśród tych Fremenów, skorzystał z matrycy Missionaria Protectiva.

Stilgar odchrząknął.

Czuła, że się niecierpliwi, że zaczyna się dzień i ludzie czekają na zamknięcie tego wylotu. Przyszedł czas na śmiałość z jej strony i zdała sobie sprawę, czego jej trzeba: pewnej dar al-hikman, szkoły przekładu, która dałaby jej…

– Adab – wyszeptała.

Jej umysł się przenicował. Zareagowała na to przyspieszonym biciem serca. W całym szkoleniu Bene Gesserit nie istniało nic, co by miało taki sygnał rozpoznawczy. To mogła być tylko adab, władcza pamięć, która samoistnie ogarnia człowieka. Poddała jej się, pozwalając płynąć słowom.

– *Ibn kirtaiba* – powiedziała – aż po miejsce, gdzie kończy się pył. – Wyciągnęła rękę spod szaty, widząc, jak Stilgarowi rozszerzają się oczy. Słyszała w tyle szelest wielu szat. – Widzę… Fremena z księgi

przypowieści – zaintonowała. – Czyta słońcu al-Lat, które ujarzmia i któremu urąga. Czyta Sadusowi Sądu, a oto jego słowa:

Moje wrogi są jak zżarte klingi traw,
Które stały na drodze wichury.
Nie zoczyłeś, co sprawił nasz Pan?
On wysłał plagę między tych,
Którzy knuli przeciw nam.
Są jako ptaki gnane przez łowcę.
Ich knowania jako strzały jadu
Z wszystkich wyplute ust.

Przeszło ją drżenie. Opuściła rękę.

Z wnętrza groty odpowiedziało jej responsorium wyszeptane przez wiele głosów:

– Ich dzieła legły, zburzone.

– Ogień boży ogarnia twe serce – rzekła. „Teraz wszystko biegnie właściwym torem” – stwierdziła.

– Gorejący ogień boży – nadeszło responsorium.

Skinęła głową i powiedziała:

– Twoje wrogi runą.

– *Bi-la kaifa* – odparli.

W nagłej ciszy Stilgar pokłonił się jej.

– Sajjadino – powiedział – jeśli Szej-hulud dopuści, możesz jeszcze przebyć głębię ducha i zostać matką wielebną.

„Przebyć głębię ducha – pomyślała. – Dziwny sposób na wyrażenie tego, ale reszta bardzo dobrze pasuje do żargonu”. I to, co zrobiła, napełniło ją cyniczną goryczą. „Nasza Missionaria Protectiva rzadko zawodzi.

Przygotowano nam miejsce na tym pustkowiu. Modlitwa as-Salat wyciosała nam kryjówkę. Teraz… muszę grać rolę Aulii, Przyjaciółki Boga… sajjadiny dla włóczęgów, na których wróżba naszej Bene Gesserit wpłynęła tak mocno, że nawet swoją najwyższą kapłankę zwą matką wielebną".

Paul stał przy Chani w mroku wewnętrznej komory. Ciągle czuł smak potrawy, którą go nakarmiła – mięsa ptaka i ziarna, zlepionych przyprawowym miodem i owiniętych w liść. Jedząc to, uświadomił sobie, że jeszcze nigdy nie miał w ustach tak skoncentrowanej esencji przyprawowej, i przeżył moment strachu. Wiedział, co esencja mogła w nim wywołać – „przyprawową przemianę", która pchnęłaby jego umysł ku wiecznej świadomości.

– *Bi-la kaifa* – wyszeptała Chani.

Spojrzał na nią i zauważył trwogę, z jaką Fremeni przyjmowali słowa jego matki. Jedynie Dżamis sprawiał wrażenie, że nie bierze udziału w ceremonii; trzymał się na uboczu z ramionami skrzyżowanymi na piersi.

– *Duy yakha hin mange* – szepnęła Chani. – *Duy punra hin mange*. Mam dwoje oczu. Mam dwie stopy.

I wpatrzyła się w Paula zadziwiona.

Paul zaczerpnął głęboko tchu, próbując uciszyć burzę w swej duszy. Słowa matki nakładały się na działanie esencji przyprawowej i czuł, jak jej głos wznosi się i opada w nim niczym buchające płomienie. W trakcie tego wszystkiego odnajdywał w niej ostrze cynizmu – znał ją tak dobrze! – lecz nic nie mogło powstrzymać tego, co rozpoczęło się od kęsa pożywienia.

„Straszliwe przeznaczenie!"

Wyczuwał je, ową świadomość rasy, przed którą nie mógł uciec. Niosła wyostrzoną jasność, napływ danych, zimną przytomność umysłu. Osunął się na podłogę i oparł plecami o skałę, poddając się jej. Świadomość rozpłynęła się w bezczasowej warstwie, w której mógł przepatrywać czas,

wyczuwając ścieżki możliwości, przyszłe wiatry… i minione wiatry. Wizja przyszłości, wizja teraźniejszości i wizja przeszłości – wszystko łączyło się w trójokularową wizję, pozwalając mu patrzeć, jak czas staje się przestrzenią.

Groziło mu prześcignięcie siebie i musiał się trzymać swego poczucia teraźniejszości, kiedy ogarniał umysłem rzeczywistość w krzywym zwierciadle, trwającą chwilę, wieczną konsolidację tego, co nieskończone, z tym, co było. Uzmysławiając sobie teraźniejszość, po raz pierwszy odczuł bezmierną jednostajność przepływu czasu mąconą wszędzie zmiennymi prądami, falami, gwałtownymi przypływami i odpływami, jak przybój pod urwistym brzegiem. To pozwoliło mu na nowo zrozumieć swoje widzenie przyszłości i nagle przestraszył się, ujrzawszy w tym również źródło ślepego czasu, źródło błędu.

Uświadomił sobie, że wizja przyszłości była iluminacją mieszczącą w sobie granice tego, co odsłania – źródłem dokładności i istotnego błędu jednocześnie. Wmieszało się tutaj coś w rodzaju zasady nieoznaczoności Heisenberga: wydatek energii pozwalający zobaczyć to, co się widzi, deformuje to, co się widzi.

A widział splot współzależności czasowych w obrębie tej groty, kipiel ześrodkowanych tutaj możliwości, w której najdrobniejsze działanie – mrugnięcie, nieopatrzne słowo, przesunięcie ziarenek piasku – obraca gigantyczną dźwignię przez cały znany wszechświat. Widział przelew krwi, którego wynik zależał od tak wielu zmiennych, że jego najmniejszy ruch powodował rozległe przesunięcia w strukturze modelu.

Pod wpływem tej wizji zapragnął zastygnąć w bezruchu, tyle że to również było działanie brzemienne w skutki.

Niezliczone ciągi przyczynowo-skutkowe rozchodziły się z tej jaskini, a na drodze większości z nich widział swoje martwe ciało broczące krwią

z otwartej nożem rany.

Mój ojciec, Padyszach Imperator, miał siedemdziesiąt dwa lata, jednak wyglądał najwyżej na trzydzieści pięć w roku, w którym nakreślił śmierć księcia Leto i powtórnie oddał Arrakis Harkonnenom. Rzadko pokazywał się publicznie inaczej niż w mundurze sardaukara i czarnym hełmie bursega z imperialnym złotym lwem na szczycie. Mundur otwarcie przypominał, w czym tkwi jego siła. Nie zawsze jednakowoż był tak buńczuczny. Kiedy chciał, potrafił emanować wdziękiem i szczerością, lecz później zastanawiałam się często, czy cokolwiek w nim jest takie, jakie się wydaje. Teraz myślę, że był człowiekiem nieustannie walczącym o wyrwanie się za pręty niewidzialnej klatki. Nie możecie zapominać, że był Imperatorem i głową dynastii, której początki ginęły w pomroce dziejów. Tymczasem my odmówiłyśmy mu syna z prawego łoża. Czy nie jest to najstraszliwsza klęska, jaką kiedykolwiek poniósł władca? Matka moja okazała posłuszeństwo siostrom przełożonym w tym, w czym lady Jessika była nieposłuszna. Która z nich była silniejsza? Historia odpowiedziała już na to pytanie.

– z *W domu mojego ojca* pióra księżnej Irulany

Jessika przebudziła się w jaskini, wyczuwając dookoła krzątaninę Fremenów i wdychając kwaśny zapach filtraków. Wewnętrzne poczucie czasu mówiło jej, że na dworze wkrótce zapadnie noc, ale ciemności zalegały grotę odgrodzoną od pustyni plastikowymi kapturami zatrzymującymi wilgoć ich ciał w tej zamkniętej przestrzeni.

Uprzytomniła sobie, że w stanie krańcowego wyczerpania przespała się snem sprawiedliwego, wystawiając tym samym podświadomie ocenę swego bezpieczeństwa w oddziale Stilgara. Przekręciwszy się na hamaku sporządzonym z dżubby, opuściła stopy ku skalnej podłodze i wsunęła je w buty pustynne.

„Nie mogę zapomnieć o zasznurowaniu butów na ukos, by wzmóc pompujące działanie filtraka – pomyślała. – O tylu rzeczach muszę pamiętać”.

W ustach miała jeszcze smak porannego posiłku – kęs ptasiego mięsa i ziarno, zlepione przyprawowym miodem, w liściu – i zrozumiała, że czas biegnie tutaj na opak: noc jest dniem przeznaczonym na działanie, dzień zaś nocą przeznaczoną na spoczynek.

„Noc ukrywa. Noc jest najbezpieczniejsza”.

Zdjęła dżubbę z hamakowych kołków w skalnej alkowie, pogmerawszy chwilę w ciemnościach, znalazła górę i wśliznęła się w szatę.

„Jak przekazać stąd wiadomość do Bene Gesserit?” – zastanawiała się. Muszą się dowiedzieć o dwóch zbłąkanych owcach w arrakijskiej ostoi.

W głębi jaskini zapłonęły lumisfery. Zobaczyła kręcących się tam ludzi, a wśród nich Paula, ubranego i z odrzuconym do tyłu kapturem odsłaniającym orli profil Atrydów.

„Zachowywał się bardzo dziwnie przed udaniem się na spoczynek – pomyślała. – Był nieobecny duchem. Jak ktoś wyrwany śmierci, nieświadomy w pełni swego powrotu do życia, z półprzymkniętymi oczami, szklistymi od zapatrzenia w siebie”. To jej przypomniało jego ostrzeżenie przed nasyconą przyprawą dietą, która uzależnia.

„Czy ona daje efekty uboczne? – zastanawiała się. – Powiedział, że to ma coś wspólnego z jego zdolnością jasnowidzenia, ale dziwnie milczał, nie chcąc zdradzić, co widzi”.

Na prawo od niej wyszedł z cienia Stilgar i zbliżył się do grupy oświetlonej przez lumisfery. Zauważyła, jak przebiera palcami w brodzie, dostrzegła czujną postawę skradającego się kota.

Nagły strach przeszył Jessikę, kiedy jej zmysły zarejestrowały napięcie widoczne w ludziach zebranych wokół Paula – ich sztywne ruchy, ceremonialne postawy.

– Oni mają moją rękojmię! – huknął Stilgar.

Jessika rozpoznała mężczyznę, przed którym stał Stilgar – Dżamis! Dostrzegła wściekłość Dżamisa; zdradzały go sztywne ramiona.

„Dżamis, mężczyzna pokonany przez Paula!” – przemknęło jej przez głowę.

– Znasz prawo, Stilgarze – rzekł Dżamis.

– Kto zna je lepiej? – zapytał Stilgar, a ona usłyszała pojednawczy ton, próbę załagodzenia czegoś.

– Wybieram walkę! – warknął Dżamis.

Jessika pospieszyła przez grotę i chwyciła Stilgara za ramię.

– O co chodzi? – spytała.

– O prawo amtal – odparł. – Dżamis domaga się sprawdzenia twej roli w legendzie.

– Ona musi mieć orędownika – powiedział Dżamis. – Jeśli jej orędownik zwycięży, to ona jest prawdziwa, ale powiedziane zostało – rozejrzał się po ciżbie – że nie będzie potrzebowała orędownika z Fremenów, co może jedynie oznaczać, że przywiedzie własnego.

„On mówi o pojedynku z Paulem!” – pomyślała Jessika.

Puściła ramię Stilgara i wystąpiła pół kroku do przodu.

– Zawsze sama sobie jestem orędowniczką – oznajmiła. – Znaczenie tego jest zupełnie jasne dla…

– Nie będziesz nam narzucać swoich zwyczajów! – warknął Dżamis. – Przynajmniej dopóki nie zobaczę lepszego dowodu. Stilgar mógł ci rano powiedzieć, co masz mówić. Mógł wypełnić twój umysł po brzegi lulanką i ty ją nam wyszczebiotałaś, licząc, że utorujesz sobie fałszywą drogę wśród nas.

„Mogłabym go załatwić – myślała Jessika – ale kto wie, czy to nie kłóci się ze sposobem, w jaki oni interpretują legendę”. I po raz drugi zdumiało ją, jak wypaczono dzieło Missionaria Protectiva na tej planecie.

Stilgar popatrzył na Jessikę i odezwał się cicho, ale tak, by jego słowa dotarły do krańców tłumu:

– Dżamis ma powody żywić urazę, sajjadino. Twój syn go pokonał i…

– To był przypadek! – ryknął Dżamis. – W basenie Tuono działała siła nieczysta i zaraz to udowodnię!

– …ja też go pokonałem – ciągnął Stilgar. – Tym wyzwaniem tahaddi zamierza również dobrać się do mnie. Zbyt wiele brutalności jest w Dżamisie, by kiedykolwiek został dobrym przywódcą… zbyt wiele gafli, szaleństwa. Usta swoje oddaje prawom, serce zaś sarfie, odstępstwu. Nie, on nigdy nie zostanie dobrym przywódcą. Oszczędzałem go tak długo, bo jest przydatny w walce, ale gdy ogarnia go ten krwawy amok, staje się niebezpieczny dla własnego plemienia.

– Stilgarrrr! – ryknął Dżamis.

Jessika przejrzała zamiary Stilgara – próbował rozwścieczyć Dżamisa, by przejąć wyzwanie od Paula.

Stilgar stanął twarzą w twarz z Dżamisem i Jessika ponownie usłyszała pojednawczą nutę w jego głosie.

– Dżamisie, on jest zaledwie chłopcem. On jest…

– Ty sam nazwałeś go mężczyzną – powiedział Dżamis. – Jego matka twierdzi, że przeszedł próbę gom dżabbar. Ma pełne ciało i nadmiar wody. Ci, którzy nieśli ich fremsak, mówią, że są w nim literjony wody. Literjony! A my ssiemy nasze kieszenie łowne, jak tylko pokaże się w nich choćby kilka kropel.

Stilgar spojrzał na Jessikę.

– To prawda? W waszym fremsaku jest woda?

– Tak.

– Literjony wody?

– Dwa literjony.

– Jakie jest przeznaczenie tego bogactwa?

„Bogactwa?” – pomyślała. Potrząsnęła głową, wyczuwając oziębłość w jego głosie.

– Tam, gdzie się urodziłam, woda leciała z nieba i płynęła przez ziemię szerokimi rzekami – powiedziała. – Były tam oceany tak rozległe, że nie widziało się drugiego brzegu. Nie jestem przeszkolona w waszym reżimie wody. Nigdy nie musiałam o niej myśleć w ten sposób.

Dookoła rozległo się zdławione westchnienie.

– Woda leciała z nieba… Płynęła przez ziemię…

– Wiedziałaś, że są wśród nas tacy, którzy uszkodzili w wypadku kieszenie łowne i będą w ciężkich tarapatach, nim osiągniemy Tabr tej nocy?

– Skąd miałam wiedzieć? – Jessika pokręciła głową. – Jeśli są w potrzebie, daj im wodę z naszego fremsaka.

– Czy takie było przeznaczenie tego bogactwa?

– Przeznaczyłam je do ratowania życia – odparła.

– Zatem przyjmujemy twoje błogosławieństwo, sajjadino.

– Nie przekupisz nas wodą – warknął Dżamis. – A ty, Stilgarze, nie rozzłościsz mnie na siebie. Widzę, że starasz się mnie zmusić, bym ci rzucił wyzwanie, zanim udowodnię me słowa.

Stilgar popatrzył Dżamisowi prosto w oczy.

– Jesteś zdecydowany wymusić tę walkę z dzieckiem, Dżamisie? – Mówił cicho, a jego głos ociekał jadem.

– Ona musi mieć orędownika.

– Nawet jeśli ma moją rękojmię?

– Przywołuję prawo amtal – rzekł Dżamis. – To mój przywilej.

Stilgar kiwnął głową.

– Zatem jeśli chłopiec cię nie wypatroszy, odpowiesz przed moim nożem. I tym razem go nie cofnę.

– Nie możecie tego zrobić – powiedziała Jessika. – Paul jest zaledwie…

– Nie wolno ci się mieszać, sajjadino – oznajmił Stilgar. – Och, wiem, że dasz mi radę, a więc dasz radę każdemu z nas, ale nie pokonasz nas wszystkich. To musi nastąpić. Takie jest prawo amtal.

Jessika umilkła, patrząc na niego w zielonym świetle lumisfer, na fanatyczną zawziętość, która zmieniła jego rysy. Przeniosła wzrok na Dżamisa i dojrzawszy wyraz głębokiej zadumy, pomyślała: „Powinnam to wcześniej zauważyć. On chorobliwie medytuje. Jest milczkiem, jednym z tych, którzy zjadają się od środka. Powinnam się tego spodziewać”.

– Jeżeli skrzywdzisz mego syna – powiedziała – będziesz miał do czynienia ze mną. Wyzywam cię już teraz. Potnę cię na takie kawałki…

– Matko. – Paul wysunął się do przodu i dotknął jej rękawa. – Być może kiedy wytłumaczę Dżamisowi, jak…

– Wytłumaczę! – zadrwił Dżamis.

Paul zamilkł, wpatrując się w niego. Nie czuł przed nim strachu. Ruchy Dżamisa wydawały się ociężałe, no i padł tak łatwo w ich nocnym starciu na piasku. Jednak chłopak nadal wyczuwał kipiel współzależności w tej jaskini, nadal pamiętał prorocze wizje swego ciała z nożem w piersi. Tak niewiele miał dróg ucieczki w tej wizji…

– Sajjadino – rzekł Stilgar – musisz teraz odejść tam…

– Przestań nazywać ją sajjadiną! – przerwał mu Dżamis. – To się dopiero okaże. No więc zna naszą modlitwę! I co z tego? Zna ją każde nasze dziecko.

„Powiedział wystarczająco dużo – stwierdziła Jessika. – Mam klucz do niego. Mogłabym go porazić jednym słowem. – Poczuła rozterkę. – Nie mogę jednak zatrzymać ich wszystkich”.

– Zatem odpowiesz przede mną – powiedziała, strojąc swój głos w zawiłej, kwilącej kadencji, która została gwałtownie urwana.

Dżamis popatrzył na nią z widocznym przestrachem.

– Zapoznam cię z cierpieniem – obiecała tym samym głosem. – Pamiętaj o tym podczas walki. Poznasz cierpienie, przy którym gom dżabbar wydaje się wspomnieniem szczęścia. Będziesz się wił całym swoim…

– Próbuje rzucić na mnie urok! – wykrztusił Dżamis, po czym podniósł do ucha zaciśniętą prawą pięść. – Przywołuję ją do milczenia!

– Zatem niech się tak stanie – rzekł Stilgar. Rzucił Jessice ostrzegawcze spojrzenie. – Jeśli znowu przemówisz, sajjadino, uznamy, że to twoje czary, i zostaniesz stracona. – Skinął jej głową, by się cofnęła.

Jessika poczuła dotknięcie rąk, które ją odciągały, pomagały jej się wycofać, i odniosła wrażenie, że ludzie ci nie są nieżyczliwi. Zobaczyła, jak odsuwają Paula od ciżby, dostrzegła delikatną twarz Chani szepczącej mu coś do ucha i wskazującej głową Dżamisa.

Wewnątrz oddziału utworzył się krąg. Przyniesiono więcej lumisfer i wszystkie nastawiono na żółte widmo.

Dżamis wstąpił do kręgu, wyśliznął się z dżubby i rzucił ją komuś z tłumu. Stanął w szarawej gładzi filtraka, klejonego i poznaczonego łatami oraz zakładkami. Na moment sięgnął ustami do ramienia i napił się z wodowodu kieszeni łownej. Następnie się wyprostował, rozpiął i zdjął filtrak, a potem podał go ostrożnie najbliższemu w gromadzie. Tkwił nieruchomo, odziany w przepaskę biodrową i rodzaj obcisłych skarpet z jakiejś tkaniny, czekając z krysnożem w prawej dłoni.

Jessika zobaczyła, że dziewczyna-dziecko, Chani, pomaga Paulowi, że wciska mu w dłoń rękojeść krysnoża. Patrzyła, jak chłopak ujmuje nóż, oceniając jego ciężar i wyważenie. Uprzytomniła sobie, że Paul przeszedł szkolenie prana i bindu, potrafi więc panować nad mięśniami i nerwami, że

uczył się walczyć w morderczej szkole, a jego mistrzami byli tacy ludzie, jak Duncan Idaho i Gurney Halleck, ludzie, którzy byli żywą legendą. Znał wyrafinowane sztuczki Bene Gesserit i wydawało się, że jest gibki i pewny siebie.

„Ale ma dopiero piętnaście lat – myślała – i jest bez tarczy. Muszę ich powstrzymać. Musi być jakiś sposób, by…” Podniosła wzrok i zobaczyła, że Stilgar ją obserwuje.

– Nie możesz ich powstrzymać – powiedział. – Nie wolno ci się odezwać.

Położyła dłoń na ustach i pomyślała: „Zaszczepiłam strach w duszy Dżamisa. To nieco zwolni jego reakcje… Być może. Gdybym tylko umiała się modlić, prawdziwie modlić”.

Paul stał już samotnie na skraju kręgu w szermierczych spodenkach, które nosił pod filtrakiem. W prawej dłoni trzymał krysnóż, pod bosymi stopami czuł piasek na skale. Nie raz i nie dwa Idaho ostrzegał go: „Kiedy nie jesteś pewny nawierzchni, gołe stopy są najlepsze”. W jego pamięci wciąż brzmiały też słowa Chani: „Dżamis po paradzie uchyla się z nożem w prawo. Wszyscy widzieliśmy ten nawyk. I będzie mierzył w oczy, by wykorzystać mrugnięcie do zadania ciosu. Potrafi też walczyć obiema rękami, więc uważaj na przerzut noża”.

Jednak najsilniejsze w Paulu, bo odczuwalne w całym ciele, były wyszkolenie i mechanizm instynktownej reakcji, jaki wyrabiano w nim dzień po dniu i godzina po godzinie na parkiecie treningowym. W pamięci chłopca brzmiały słowa Hallecka: „Dobrze władający nożem wojownik myśli jednocześnie o sztychu, klindze i jelcu. Sztych może również ciąć, klinga zadać pchnięcie, jelec zaś uwięzić klingę twego przeciwnika”.

Paul zerknął na krysnóż. Nie było tu jelca, tylko wąska, okrągła skuwka rękojeści z kołnierzem dla osłony dłoni. A nawet gdyby był, nie znał

wytrzymałości tej klingi, nie wiedział, czy da się ją złamać.

Dżamis zaczął się przesuwać bokiem w prawo po obrzeżu koła.

Paul obniżył pozycję, zdając sobie sprawę, że nie ma tarczy, w której ledwo dostrzegalnym polu nauczono go walczyć. Uczono go reagować z najwyższą szybkością w obronie, podczas gdy jego atak miał następować z kontrolowaną powolnością niezbędną do przeniknięcia tarczy przeciwnika. Pomimo stałych upomnień trenerów, by nie polegał na bezmyślności tarczy zmniejszającej szybkość ataku, wiedział, że świadomość tarczy jest częścią jego istoty.

Dżamis rzucił rytualne wyzwanie:

– Niechaj pęknie i pryśnie twój nóż!

„Zatem ten nóż się łamie” – pomyślał Paul.

Uświadomił sobie, że Dżamis także jest bez tarczy, ale ten człowiek nie był szkolony do jej użycia, nie miał więc żadnych związanych z tym zahamowań.

Przyjrzał się uważnie Dżamisowi idącemu po przeciwnej stronie koła. Ciało mężczyzny przypominało rzemień bata oplatający wysuszony szkielet. Jego krysnóż jaśniał mleczną żółcią w świetle lumisfer.

Chłopaka przeszedł strach. Nagle poczuł się opuszczony i nagi w tym mętnym, żółtawym świetle pośrodku kręgu ludzi. Jasnowidzenie ukazało mu niezliczone zdarzenia, zasygnalizowało najważniejsze prądy przyszłości i sterujące nimi nitki decyzji, lecz w tej chwili było „prawdziwe teraz”. To była śmierć uzależniona od nieskończonej liczby mikroskopijnych niepomyślnych zbiegów okoliczności.

Zdał sobie sprawę, że tutaj cokolwiek może odwrócić przyszłość. Wystarczy, że ktoś w grupie widzów zakaszle i rozproszy jego uwagę. Że zmieni się jasność lumisfery i zwiedzie go cień.

„Boję się” – powiedział sobie. W skupieniu okrążał Dżamisa, powtarzając bezgłośnie *Litanię przeciw strachowi* Bene Gesserit: „Strach zabija duszę…”. Podziałało to na niego jak chłodny prysznic. Poczuł, że mięśnie mu się prostują, osiągając równowagę i gotowość.

– Schowam nóż w pochwie twej krwi! – warknął Dżamis i w środku ostatniego słowa skoczył.

Jessika dostrzegła jego ruch i zdusiła okrzyk.

Tam, gdzie uderzył, było już tylko powietrze, Paul zaś stał za nim, mając okazję do czystego pchnięcia w odkryte plecy.

„Teraz, Paulu! Teraz!” – krzyknęła w myśli.

Cios chłopaka był wyprowadzony w zwolnionym tempie, z cudowną płynnością, ale tak opóźniony, że Dżamis miał czas wywinąć się w prawo i uskoczyć.

Paul odstąpił i obniżył pozycję.

– Najpierw musisz znaleźć moją krew – powiedział.

Jessika rozpoznała u syna reakcje typowe dla walczących z tarczą i odkryła, jak obosieczna jest to broń. Miał refleks młodzieńca, w dodatku wytrenowanego na poziomie, jakiego ci ludzie nie znali, lecz jego ataki również były skutkiem szkolenia i uwarunkowane koniecznością pokonania tarczy. Tarcza odbijała zbyt szybki cios, dopuszczając jedynie zwodniczo spowolnioną ripostę. Przejście tarczy wymagało opanowania i przebiegłości.

„Czy Paul to widzi? – zapytała samą siebie. – Musi!”

Znowu atak Dżamisa, ogień w atramentowociemnych oczach, żółta w świetle lumisfer smuga ciała.

I znowu Paul umknął, by odpowiedzieć zbyt wolnym kontratakiem.

I znowu.

I znowu.

Za każdym razem riposta chłopaka spóźniała się o moment.

Jessika zauważyła wtedy rzecz, której – miała nadzieję – nie widzi Dżamis: parady Paula były oślepiająco szybkie, lecz za każdym razem skierowane pod takim kątem, jaki przyjmowałyby, gdyby tarcza pomagała odchylić cios Dżamisa.

– Czy twój syn bawi się z tym nieszczęsnym głupcem? – zapytał Stilgar, lecz powstrzymał ją ruchem dłoni, nim odpowiedziała. – Przepraszam, musisz zachować milczenie.

Teraz dwie sylwetki okrążały się na skalnej podłodze: Dżamis z lekko uniesionym nożem w wysuniętej daleko do przodu dłoni, Paul zaś skulony, trzymając nisko klingę.

Dżamis ponownie skoczył, lecz tym razem wykonał obejście w prawo, tam gdzie wycofał się Paul.

Zamiast się uchylić, Paul przyjął jego dłoń z nożem na sztych własnej broni, po czym umknął obejściem w lewo, wdzięczny Chani za ostrzeżenie.

Dżamis wycofał się na skraj kręgu, rozcierając dłoń. Z rany przez chwilę kapała krew. Oczy miał szeroko otwarte – w mętnym świetle lumisfer dwie ciemnoniebieskie dziury mierzyły Paula z nową ostrożnością.

– Ach, to bolało – wymruczał Stilgar.

Paul przyczaił się i – zgodnie z tym, czego go nauczono – zawołał:

– Poddajesz się?

– Ha! – krzyknął Dżamis.

Od strony oddziału doszedł ich gniewny pomruk.

– Spokój! – zawołał Stilgar. – Chłopak nie zna naszego prawa. – Po czym rzekł do Paula: – W wyzwaniu tahaddi nie ma poddania się. Dowodem jest śmierć.

Jessika zobaczyła, że Paul z trudem przełknął ślinę. „On nigdy nie zabił człowieka w taki sposób… w ogniu walki na noże – pomyślała. – Czy

potrafi to zrobić?”

Paul posuwał się w prawo po okręgu, ustępując przed Dżamisem. Wieszcza znajomość zmiennych kipieli czasu w grocie powróciła, by go nękać. Rozumiał teraz, że w tej walce jest zbyt wiele błyskawicznie zacieśniających się decyzji, by ukazał mu się jakikolwiek wyraźny kierunek.

Zmienne nakładały się na zmienne – dlatego właśnie ta grota leżała jak niewyraźny węzeł współzależności na jego drodze. Była niczym gigantyczna skała wśród powodzi, tworząca wiry w opływającym ją nurcie.

– Kończ z tym, chłopcze – wymamrotał Stilgar. – Nie baw się z nim.

Paul wysunął się ku środkowi koła, ufając przewadze swej szybkości.

Dżamis cofał się teraz. Otworzyły mu się oczy i zrozumiał, że to nie miękki obcoświatowiec, łatwa ofiara fremeńskiego krysnoża, tkwi w kręgu tahaddi.

Jessika dostrzegła na jego twarzy cień rozpaczy. „Teraz jest najniebezpieczniejszy – pomyślała. – Doprowadzony do ostateczności i zdolny do wszystkiego. Widzi, że to nie zwykłe dziecko jego ziomków, ale bojowa machina, zrodzona do tego i ćwiczona od najmłodszych lat. Teraz strach, który w nim zaszczepiłam, sięgnął zenitu”.

I odkryła w sobie litość dla Dżamisa, przytępioną wszakże świadomością bezpośredniego zagrożenia jej syna.

„Dżamis jest zdolny do wszystkiego… do każdej nieprzewidzianej rzeczy” – powiedziała sobie. Zaczęła się zastanawiać, czy Paul widział już tę przyszłość, czy powtórnie przeżywa to wydarzenie, ale ujrzała, jak się porusza, ujrzała krople potu na jego twarzy i ramionach, ostrożność rysującą się w pracy mięśni. I po raz pierwszy wyczuła, nie rozumiejąc tego, element niepewności w wizjach syna.

Teraz on naciskał na przeciwnika, krążąc, lecz nie atakując. Widział jego strach.

W świadomości Paula rozbrzmiewał głos Duncana Idaho: „Kiedy przeciwnik się ciebie boi, nadchodzi chwila, by popuścić cugli lękowi, by dać mu czas na działanie. Niech strach przerodzi się w przerażenie. Przerażony człowiek walczy ze sobą. W końcu z rozpaczy atakuje. To najgroźniejszy moment, lecz można liczyć na to, że przerażony człowiek zwykle popełnia fatalny błąd. Ty uczysz się tutaj wyłapywać i wykorzystywać te błędy”.

Tłum w grocie zaczął szemrać.

„Oni sądzą, że Paul bawi się z Dżamisem – pomyślała Jessika. – Uważają, że jest niepotrzebnie okrutny”.

Ale wyczuwała również ukryte podniecenie tłumu, jego radość z widowiska. I widziała narastanie napięcia w Dżamisie. Moment, w którym stało się ono nie do zniesienia, był dla niej tak samo wyraźny jak dla niego… czy dla Paula.

Dżamis skoczył wysoko, wykonując fintę i uderzając z góry prawą dłonią, lecz dłoń była pusta. Krysnóż przerzucił do lewej ręki.

Jessice zaparło dech.

Ale Chani ostrzegła Paula: „Dżamis walczy obiema rękami”. Głębia jego wyszkolenia sprawiła, że przyjął tę sztuczkę *en passant*. „Uważaj na nóż, nie na dłoń, która go trzyma – powtarzał mu Gurney Halleck niejeden raz. – Nóż jest groźniejszy od dłoni i może być w każdej z nich”.

Paul dostrzegł błąd Dżamisa – złą pracę nóg – kiedy o jedno uderzenie serca dłużej zbierał się po skoku obliczonym na zdezorientowanie chłopaka i przerzucenie noża.

Z wyjątkiem słabego żółtego światła lumisfer i wpatrzonych w nich atramentowych oczu członków oddziału Stilgara przypominało to sesję na

parkiecie treningowym. Tarcze nie liczyły się, gdy można było wykorzystać przeciw ciału jego pęd. Paul nieuchwytnym ruchem przerzucił nóż, odsunął się na bok i pchnął do góry tam, gdzie opadała pierś Dżamisa. Następnie uskoczył, śledząc stopniowe załamywanie się mężczyzny.

Dżamis padł jak zmięty łachman, twarzą do ziemi, westchnął i obróciwszy głowę ku Paulowi, znieruchomiał na skalnej posadzce. Jego martwe oczy przypominały paciorki z ciemnego szkła.

„W zabiciu sztychem nie ma artyzmu – powiedział kiedyś Paulowi Idaho – lecz nie pozwól, aby to powstrzymało twoją dłoń, kiedy nadarza się okazja”.

Oddział rzucił się do przodu, wypełniając krąg i odpychając Paula na bok. Dżamis zniknął wśród gorączkowej krzątaniny. Niebawem grupka ludzi pospieszyła w głąb jaskini, taszcząc owinięte dżubbą brzemię. Ciało zniknęło ze skalnej podłogi.

Jessika przepychała się w stronę syna. Płynęła w morzu obleczonych w dżubby i śmierdzących grzbietów, przez dziwnie milczącą ciżbę. „Teraz jest ów straszny moment – pomyślała. – Zabił człowieka dzięki wyraźnej przewadze ducha i ciała. Nie wolno mu się radować takim zwycięstwem”. Przedarła się przez ostatki oddziału na niewielką wolną przestrzeń, na której dwóch brodatych Fremenów pomagało Paulowi naciągnąć filtrak.

Popatrzyła na syna. Oczy Paula jaśniały. Oddychał ciężko, pozwalając mężczyznom, by mu posługiwali.

– On przeciw Dżamisowi i ani śladu na nim – mruknął jeden z Fremenów.

Z boku stała Chani ze wzrokiem wbitym w Paula. Jessika zobaczyła podniecenie dziewczyny, uwielbienie na jej delikatnej twarzy.

„Trzeba to zrobić teraz, szybko” – pomyślała. Nasyciwszy głos i zachowanie najwyższą pogardą, spytała:

– No i co też czuje morderca?

Paul zesztywniał, jakby go uderzono. Napotkał utkwione w sobie zimne oczy matki i twarz mu pociemniała. Mimowolnie zerknął na podłogę jaskini, tam gdzie przed chwilą leżał Dżamis.

Stilgar przepchnął się do Jessiki, wróciwszy z głębi groty, dokąd zabrano ciało.

– Kiedy nadejdzie czas, byś mnie wyzwał i sięgnął po moją burda – rzekł do Paula oschłym, opanowanym głosem – nie sądź, że zabawisz się ze mną tak, jak się bawiłeś z Dżamisem.

Jessika wyczuła, jak słowa jej i Stilgara, docierając do Paula, dokonują w nim swego brutalnego dzieła. Błąd, który popełnili ci ludzie, pomógł jej teraz. Obrzuciła wzrokiem ich twarze, tak jak to właśnie czynił Paul, i dostrzegła to samo co on. Podziw, owszem, strach… i u niektórych odrazę. Spojrzała na Stilgara i zobaczyła jego fatalizm. Zrozumiała, jak dla niego wyglądała ta walka.

Paul zerknął na matkę.

– Ty wiesz, jak było – powiedział.

Pochwyciła w jego głosie powrót do normalności, skruchę. Omiotła wzrokiem oddział.

– Paul nie zabił nigdy człowieka nagim ostrzem – oznajmiła.

Stilgar obrócił się ku niej z wyrazem niedowierzania na twarzy.

– Nie bawiłem się z nim – rzekł Paul. Przecisnąwszy się przed matkę, obciągnął płaszcz i spojrzał na ciemną plamę krwi Dżamisa na podłodze. – Nie chciałem go zabić.

Jessika widziała, że Stilgar powoli przyjmuje to do wiadomości, widziała ulgę, z jaką targa brodę żylastą dłonią. Słyszała szmer zrozumienia wśród jego ludzi.

– To dlatego prosiłeś go, aby się poddał – powiedział Stilgar. – Rozumiem. Nasze zwyczaje się różnią, ale przekonasz się, że mają sens. A już myślałem, że wpuściliśmy między siebie skorpiona. – Zawahał się i dodał: – A chłopcem więcej cię już nie nazwę.

Z oddziału odezwał się głos:

– Trzeba mu nadać imię, Stilu.

Stilgar kiwnął głową, szarpiąc brodę.

– Widzę w tobie siłę… jak w bazie kolumny. – Zamilkł ponownie, ale tylko na chwilę. – Będziesz znany wśród nas jako Usul, baza kolumny. To twoje tajemne imię, twoje imię w oddziale. Możemy używać go my, z siczy Tabr, lecz nikt obcy niech sobie na to nie pozwala.

Przez oddział przeszedł zbiorowy pomruk:

– Dobry wybór… Jest silny… Przyniesie nam szczęście.

Jessika wyczuła akceptację i zrozumiała, że jest nią objęta razem ze swym orędownikiem. Była prawdziwą sajjadiną.

– A jakie ty wybierasz imię wieku męskiego, którym będziemy cię jawnie nazywali? – zapytał Stilgar.

Paul zerknął na matkę i z powrotem na Fremena. Okruchy i fragmenty tej chwili zapisały się w jego wieszczej „pamięci”, ale wyraźnie widział różnice, odczuwał je niemal fizycznie, niby ciśnienie przepychające go przez wąskie drzwi teraźniejszości.

– A jak nazywacie taką małą mysz? Mysz, która skacze? – zapytał, przypomniawszy sobie hyc-kic-hopki w basenie Tuono. Zobrazował to jedną dłonią.

Członkowie oddziału zachichotali.

– Nazywamy ją muad’dib – odparł Stilgar.

Jessice zaparło dech. Było to imię, które wymienił Paul, mówiąc jej, że Fremeni ich przyjmą i że tak go nazwą. Ogarnął ją nagły strach przed

synem i o niego.

Paul przełknął ślinę. Miał wrażenie, że gra rolę odegraną już niezliczoną liczbę razy w wyobraźni… jednak… z pewnymi różnicami. Widział siebie kucającego na przyprawiającym o zawrót głowy szczycie, po wielu przeżyciach i zdobyciu ogromnego zasobu wiedzy, ale wszędzie wokół niego otwierała się otchłań.

I ponownie wspomniał wizję fanatycznych legionów, które pod zielono-czarnym sztandarem Atrydów pustoszą wszechświat ogniem i mieczem w imię swego proroka Muad'Diba.

„To się nie może zdarzyć" – powiedział do siebie.

– Czy to imię, którego sobie życzysz? Muad'Dib? – spytał Stilgar.

– Jestem Atrydą – wyszeptał Paul, a potem dodał głośniej: – Nie byłoby dobrze, gdybym całkowicie odrzucił imię dane mi przez ojca. Czy mógłbym być znany wśród was jako Paul Muad'Dib?

– Jesteś Paul Muad'Dib – rzekł Stilgar.

„Tego nie było w żadnej z moich wizji – pomyślał chłopak. – Zrobiłem coś innego". Ale czuł, że nadal ze wszystkich stron otacza go otchłań.

Przez oddział ponownie przeszedł szmer aprobaty. Ludzie zwracali się jeden do drugiego:

– Rozum i siła… Czegóż trzeba więcej… To na pewno legenda… Lisan al-Gaib… Lisan al-Gaib…

– Opowiem ci coś o twoim nowym imieniu – rzekł Stilgar. – Cieszy nas twój wybór. Muad'Dib jest mądry na sposób pustyni. Muad'Dib wytwarza swoją wodę. Muad'Dib kryje się przed słońcem, a podróżuje chłodną nocą. Muad'Dib jest płodny i rozmnaża się w całej krainie. Muad'Diba nazywamy „instruktorem chłopców". To potężna baza do budowania życia, Paulu Muad'Dibie, który jesteś Usulem pośród nas. Witamy cię. – Dotknął dłonią czoła Paula, cofnął rękę, objął go i wyszeptał: – Usul.

Kiedy Stilgar go puścił, ktoś inny z oddziału objął Paula, powtarzając jego nowe imię. I przekazywano go sobie z objęć w objęcia, a on wsłuchiwał się w głosy i barwy tonu: „Usul… Usul… Usul…”.

Imiona niektórych już znał. Była tam również Chani, która obejmując go i wypowiadając jego imię, przytuliła do niego policzek.

Na koniec Paul znowu stanął przed Stilgarem.

– Od dziś jesteś naszym bratem w Ichwan Bedwine – rzekł Fremen. Po chwili rysy mu stężały, a głos zabrzmiał rozkazująco. – A teraz, Paulu Muad’Dibie, doprowadź do porządku swój filtrak. – Spojrzał na Chani. – Chani! Jeszcze nie widziałem tak kiepsko dopasowanych wtyków nosowych jak u Paula Muad’Diba! Chyba ci już poleciłem, żebyś o niego dbała.

– Nie mam przyborów, Stilu – odparła. – Są po Dżamisie, oczywiście, ale…

– Dość tego!

– Więc oddam jeden ze swoich – rzekła. – Poradzę sobie z jednym do…

– Nie oddasz – oznajmił Stilgar. – Wiem, że mamy zapasowe wtyki. Co się z nimi dzieje? Jesteśmy jednym oddziałem czy bandą dzikusów?

Wyciągnęły się ręce, oferując twarde, włókniste, małe przedmioty. Stilgar wybrał cztery i wręczył Chani.

– Dopasuj je Usulowi i sajjadinie.

– Co z wodą, Stilu? – doleciał z tyłu głos. – Co z literjonami w ich fremsaku?

– Wiem o twojej potrzebie, Faroku – powiedział Stilgar i zerknął na Jessikę.

Skinęła głową.

– Napocznij jeden dla tych, którzy potrzebują. Wodmistrz… gdzie jest wodmistrz? Ach, Szimumie, zajmij się odmierzaniem wody według

potrzeb. Niezbędne minimum i nic ponad to. Ta woda jest wianem sajjadiny i zostanie opłacona w siczy po stawkach polowych, minus cena opakowania.

– Jakie są stawki polowe? – zapytała Jessika.

– Dziesięć do jednego – odparł Stilgar.

– Ależ…

– To mądra zasada, jak się przekonasz – rzekł Fremen.

Na tyłach oddziału rozległ się szelest dżubb, kiedy ludzie zgłaszali się po przydział wody.

Stilgar wzniósł rękę i zrobiło się cicho.

– Co do Dżamisa – powiedział – nakazuję pełny ceremoniał. Dżamis był naszym towarzyszem i bratem w Ichwan Bedwine. Nie odejdziemy bez oddania czci należnej temu, kto wyzwaniem tahaddi odkrył przed nami nasz los. Wzywam na ceremonię… o zachodzie słońca, kiedy okryje go ciemność.

Słuchając tych słów, Paul uświadomił sobie, że raz jeszcze pogrążył się w otchłani… ślepego czasu. Żadna przeszłość nie absorbowała jego przyszłości w umyśle… tyle że… tyle że… nadal wyczuwał powiewający zielono-czarny sztandar Atrydów… gdzieś przed sobą… nadal widział krwawe miecze i fanatyczne legiony oddane dżihadowi.

„Tego nie będzie – powiedział sobie. – Nie dopuszczę do tego”.

Bóg stworzył Arrakis, by ćwiczyć wiernych.

– z *Mądrości Muad'Diba* w opracowaniu księżnej Irulany

W ciszy jaskini Jessika słyszała zgrzyt piasku na skale pod ludzkimi stopami i dalekie ptasie nawoływania, które jak powiedział Stilgar, były sygnałem jego strażników.

Z wylotów jaskini usunięto ogromne plastikowe kaptury grodzi. Widziała pochód wieczornych cieni za skalnym progiem przed sobą, a dalej otwarty basen. Czuła, jak opuszcza ich światło dnia, czuła to w suchym upale i w cieniach. Wiedziała, że jej przeszkolona świadomość da jej niebawem to, co Fremeni najwyraźniej mieli od urodzenia – zdolność wyczuwania najlżejszej nawet zmiany wilgotności powietrza.

Jakże się uwijali z dopasowywaniem filtraków, kiedy otwarto jaskinię!

W głębi groty ktoś zaczął wyśpiewywać:

Ima trava okolo!
I korenja okolo!

Jessika przetłumaczyła to w myśli: „To są popioły! A to korzenie!".

Zaczynała się ceremonia pogrzebowa Dżamisa.

Jessika popatrzyła na arrakijski zachód słońca, na spiętrzone pokłady kolorów na niebie. Noc zaczęła już rzucać cienie wzdłuż odległych skał i wydm.

A jednak upał nie ustępował. Skierował jej myśli ku wodzie i obserwacji, którą poczyniła – że wszystkich tych ludzi udało się przyzwyczaić do odczuwania pragnienia tylko w określonych porach.

Pragnienie.

Pamiętała oświetlone blaskiem księżyca fale na Kaladanie, zarzucające białe szaty na skały… i wiatr brzemienny wilgocią. Podmuch, który muskał teraz jej strój, palił połacie skóry na policzkach i czole. Nowe wtyki nosowe uwierały ją i stwierdziła, że biegnąca po twarzy do filtraka rurka odzyskująca wilgoć z oddechu też ją denerwuje.

Sam filtrak był jak parnik.

„Filtrak będzie znośniejszy, kiedy przestawisz się na niższą zawartość wody w ciele” – powiedział jej Stilgar.

Wiedziała, że ma rację, ale nie przyniosło to ulgi. Podświadoma troska o wodę obciążała psychicznie. „Nie – poprawiła się. – To jest troska o *wilgoć*”.

Czyli sprawa subtelniejsza i głębsza.

Usłyszała zbliżające się kroki. Odwróciła się i zobaczyła Paula wyłaniającego się z czeluści jaskini, a za nim delikatną twarz depczącej mu po piętach Chani. „Jeszcze jedna sprawa – pomyślała. – Trzeba uczulić Paula na ich kobiety. Żadna z tych pustynnych kobiet nie nadaje się na żonę dla księcia. Na konkubinę i owszem, ale nie na żonę”.

Z kolei zastanowiła się nad sobą: „Czyżbym się zaraziła od niego myślami?”. I dostrzegła, jak doskonale została uwarunkowana. „Potrafię myśleć o małżeńskich potrzebach królewskiego rodu, nie biorąc pod uwagę własnego konkubinatu. Ale ja… byłam więcej niż konkubiną”.

– Matko.

Paul stanął przed nią. Tuż za nim zatrzymała się Chani.

– Matko, wiesz, co oni robią tam, w głębi?

Jessika spojrzała na ciemne plamy jego oczu patrzących z kaptura.

– Chyba tak.

– Chani mi pokazała… Bo powinienem to zobaczyć i dać… zgodę na ważenie wody.

Jessika popatrzyła na dziewczynę.

– Oni odzyskują wodę Dżamisa – powiedziała Chani, a jej cienki głos zabrzmiał nosowo z powodu wtyków. – Takie jest prawo. Ciało należy do człowieka, jego woda zaś do plemienia… Wyjątkiem jest pojedynek.

– Mówią, że to moja woda – rzekł Paul.

Jessikę zastanowiło, dlaczego ich słowa obudziły w niej znienacka czujność i podejrzliwość.

– Woda z pojedynku należy do zwycięzcy – oświadczyła Chani. – To dlatego, że musicie walczyć bez filtraków. Zwycięzcy trzeba oddać wodę, którą traci w czasie walki.

– Nie chcę jego wody – wymamrotał Paul.

Czuł się częścią wielu poruszających się jednocześnie oderwanych obrazów, co tworzyło chaos dla oka jaźni. Nie mógł być pewny, co zrobi, ale jednego był pewny absolutnie: nie chciał wody wydestylowanej z ciała Dżamisa.

– To przecież… woda – powiedziała Chani.

Jessikę zachwycił sposób, w jaki to wymówiła. „Woda”. Tyle znaczenia w tak prostym dźwięku. Przypomniał jej się aksjomat Bene Gesserit: „Przetrwanie to umiejętność pływania w obcej wodzie”. I pomyślała: „Paul i ja musimy odkryć prądy i prawidłowości tych obcych wód… jeżeli mamy przetrwać”.

– Przyjmiesz tę wodę – rzekła.

Rozpoznała ów ton. Tym samym tonem przemówiła kiedyś do Leto, gdy oznajmiła swemu utraconemu księciu, że ma przyjąć dużą sumę oferowaną za jego poparcie dla wątpliwego przedsięwzięcia – gdyż pieniądz podtrzymywał potęgę Atrydów.

Na Arrakis pieniądzem była woda. Widziała to jasno.

Paul zachował milczenie. Wiedział już, że zrobi, jak kazała matka, i to nie dlatego, że ona tak każe, ale dlatego, że jej ton zmusił go do przewartościowania sądu. Odrzucenie wody byłoby zerwaniem z przyjętą u Fremenów praktyką.

Po chwili przypomniał sobie słowa czterysta sześćdziesiątej siódmej kalimy w Biblii P-K Yuego.

– „Z wody powstaje wszelkie życie” – zacytował.

Jessika wytrzeszczyła oczy. „Gdzie on się tego nauczył? Nie studiował misteriów”.

– Tak powiedziano – rzekła Chani. – *Giudichar mantene*: Napisano w *Szahname*, że woda powstała przed wszystkimi rzeczami.

Jessika zadrżała nagle bez żadnego wytłumaczalnego powodu, a ta irracjonalność zaniepokoiła ją bardziej niż samo doznanie. Odwróciła się, by ukryć zmieszanie, i zdążyła akurat zobaczyć zachód słońca. Kiedy zniknęło za horyzontem, na niebie rozszalała się burza kolorów.

– Już czas! – rozbrzmiał w grocie głos Stilgara. – Broń Dżamisa została zabita. Dżamisa wezwał On, Szej-hulud, który zrządził fazy księżyca, co go z dnia na dzień ubywa, aż w końcu wygląda jak krzywa, zwiędła gałązka. – Głos przycichł. – Tak też było z Dżamisem.

Cisza opadła na jaskinię niczym koc.

W ciemnym wnętrzu groty Stilgar poruszał się jak szare widmo. Jessika spojrzała na basen, czując chłód.

– Niechaj zbliżą się przyjaciele Dżamisa – powiedział Fremen.

Ludzie krzątali się za Jessiką, rozciągając zasłonę u wylotu. Daleko w głębi jaskini zapalono pod sklepieniem samotną lumisferę. Jej żółta łuna wyłowiła z mroku nadciągające sylwetki. Jessika słyszała szelest dżubb.

Chani odstąpiła na krok, jakby przyciągnięta przez światło.

Jessika nachyliła się do ucha Paula, przemawiając rodzinnym kodem:

– Idź za ich przykładem. Rób to, co oni. To będzie prosta ceremonia dla zjednania ducha Dżamisa.

„To będzie coś więcej” – pomyślał chłopak. I w głębi świadomości zaznał rozdarcia, jakby próbował chwycić jakąś rzecz w ruchu i sprawić, by znieruchomiała.

Chani podeszła z powrotem do Jessiki i wzięła ją za rękę.

– Chodźmy, sajjadino. Musimy usiąść osobno.

Paul patrzył, jak odchodzą w cienie, zostawiając go samego. Czuł się opuszczony. Koło niego wyrośli mężczyźni, którzy zakładali zasłonę.

– Chodźmy, Usulu – powiedzieli.

Dał się podprowadzić do przodu i wcisnąć w krąg ludzi formujący się wokół Stilgara, który stał pod lumisferą obok miejscami obłego, miejscami kanciastego kształtu okrytego dżubbą i leżącego na skalnej podłodze.

Oddział przysiadł na skinienie Stilgara pośród szelestu płaszczy. Paul usadowił się wraz z nimi, obserwując przywódcę. Zauważył, jak lumisfera pogłębiła studnie jego oczu i rozjaśniła zieleń tkaniny na szyi. Przeniósł wzrok na okryty dżubbą pagórek u stóp Stilgara i rozpoznał sterczący spod materiału gryf balisety.

– Duch opuszcza wodę ciała, gdy wstaje pierwszy księżyc – zaintonował Stilgar. – Tak powiedziano. Gdy tej nocy wstanie pierwszy księżyc, kogo wezwie?

– Dżamisa – odpowiedział chór.

Stilgar wykonał pełny obrót na pięcie, wiodąc spojrzeniem po kręgu twarzy.

– Byłem przyjacielem Dżamisa – rzekł. – Kiedy łupieżczy samolot pikował na nas w Dziurze w Ziemi, to Dżamis zaciągnął mnie do kryjówki. – Pochylił się nad wzgórkiem i podniósł dżubbę. – Jako przyjaciel Dżamisa

biorę ten płaszcz prawem przywódcy. – Przerzucił okrycie przez ramię, prostując się.

Paul ujrzał wystawioną na widok zawartość pagórka: połyskujący blado szary filtrak, poobijany literjon, chustę z małą książeczką pośrodku, rękojeść pozbawionego ostrza krysnoża, pustą pochwę, zrolowaną sakwę, parakompas, dystransy, dudnik, kupkę metalowych haków wielkości pięści, kolekcję czegoś, co wyglądało na kamyki zawinięte w szmatkę, wiązkę piór… i balisetę przy zrolowanej sakwie.

„Więc Dżamis grywał na balisecie” – pomyślał. Instrument przypomniał mu Gurneya Hallecka i wszystko, co zostało stracone. Dzięki pamięci przyszłości w przeszłości wiedział, że pewne linie losowe mogły doprowadzić do spotkania z Halleckiem, lecz spotkania te okrywał cień i było ich niewiele. Intrygowały go one. Czynnik niepewności zdumiewał go. „Czy to znaczy, że coś, co zrobię… co mogę zrobić, może zgubić Hallecka…? Albo przywrócić mu życie…? Albo…?”

Przełknął ślinę i potrząsnął głową.

Stilgar ponownie nachylił się nad stosem.

– Dla kobiety Dżamisa i dla wartowników – powiedział.

Małe kamyki i książeczka zniknęły w fałdach jego szaty.

– Prawo przywódcy – zaintonował oddział.

– Dozownik serwisu do kawy Dżamisa – powiedział Stilgar i podniósł płaski krążek z zielonego metalu. – Otrzyma go Usul, z zachowaniem odpowiedniego ceremoniału, kiedy wrócimy do siczy.

– Prawo przywódcy – odpowiedział oddział.

Na końcu Fremen wziął rękojeść krysnoża i się wyprostował.

– Dla Równiny Żałobnej – rzekł.

– Dla Równiny Żałobnej – wyrecytował oddział.

Na swoim miejscu w kręgu naprzeciwko syna Jessika kiwała głową, rozpoznawszy starożytne źródło tego rytuału. „Zetknięcie ignorancji z wiedzą i brutalności z kulturą bierze początek w szacunku, z jakim traktujemy swoich zmarłych” – pomyślała. Spoglądając na Paula, zastanawiała się: „Dostrzeże to? Będzie wiedział, co ma zrobić?”.

– Jesteśmy przyjaciółmi Dżamisa – powiedział Stilgar. – Nie lamentujemy nad naszymi zmarłymi jak stado garwargów.

Z lewej strony Paula podniósł się siwobrody mężczyzna.

– Byłem przyjacielem Dżamisa – oznajmił. Podszedł do sterty przedmiotów i wybrał dystransy. – Kiedy podczas oblężenia Dwóch Ptaków poziom naszej wody spadł poniżej minimum, Dżamis się podzielił. – Wrócił na swoje miejsce w kole.

„Czy i ja mam powiedzieć, że byłem przyjacielem Dżamisa? – zastanawiał się Paul. – Czy oni się spodziewają, że wezmę coś z tego stosu? – Zobaczył, jak kierują się ku niemu twarze, jak się odwracają. – Oni tego oczekują!”

Inny mężczyzna z naprzeciwka wstał, zbliżył się do sakwy i wziął parakompas.

– Byłem przyjacielem Dżamisa – rzekł. – Kiedy patrol zaskoczył nas w Buchcie Klifu i zostałem ranny, Dżamis odciągnął ich i rannych uratowano. – Odszedł.

Twarze znowu skierowały się na Paula, a on, ujrzawszy ich oczekiwanie, spuścił oczy. Trącono go łokciem i jakiś głos wysyczał:

– Chcesz ściągnąć na nas zgubę?

„Jak ja mogę powiedzieć, że byłem jego przyjacielem?” – myślał zdumiony.

Jakaś postać uniosła się z kręgu naprzeciw Paula, a kiedy okryta kapturem twarz znalazła się w świetle, poznał matkę. Wzięła chustę ze

stosu.

– Byłam przyjaciółką Dżamisa – powiedziała. – Kiedy duch nad duchami w jego duszy dojrzał potrzebę prawdy, wycofał się, oszczędzając mojego syna. – Wróciła na swoje miejsce.

Paul wspomniał pogardę w głosie matki, gdy zaczepiła go po walce. „No i co też czuje morderca?”

Ponownie zobaczył zwrócone ku sobie twarze, wyczuł strach i gniew tych ludzi. Oczyma duszy ujrzał stronice *Kultu zmarłych* sksięgofilmowane kiedyś dla niego przez matkę. Wiedział już, co powinien zrobić.

Z wolna dźwignął się na nogi.

Krąg obiegło westchnienie.

Paul czuł zmniejszanie się swego ja, w miarę jak zbliżał się do środka koła. Jakby utracił cząstkę siebie i szukał jej tutaj. Pochylił się nad stosem dobytku Dżamisa i wydostał balisetę. Zahaczywszy o coś, brzęknęła cichutko jedna ze strun.

– Byłem przyjacielem Dżamisa – wyszeptał. Czuł pieczenie łez w oczach, rzekł więc głośniej: – Dżamis nauczył mnie… że… kiedy zabijamy… płacimy za to. Żałuję, że nie poznałem go lepiej. – Po omacku dotarł na skraj koła i osunął się na skalną podłogę.

– On roni łzy! – szepnął ktoś.

Podchwycili to inni.

– Usul ofiarowuje wilgoć umarłym!

Poczuł palce na swoich wilgotnych policzkach, usłyszał wylęknione szepty.

Jessikę ogarnęło głębokie wzruszenie, gdy zdała sobie sprawę, jak potężne hamulce muszą tu przeciwdziałać ronieniu łez. Skoncentrowała się na słowach: „Usul ofiarowuje wilgoć umarłym”. To był dar dla świata cieni – łzy. Niewątpliwie były święte.

Nic na tej planecie nie uprzytomniło jej z taką siłą najwyższej wartości wody. Ani sprzedawcy wody, ani wysuszona skóra tubylców, ani filtraki, ani reguły reżimu wody. Oto substancja cenniejsza od wszystkich innych – samo życie – obrośnięta symboliką i rytuałem. Woda.

– Dotknąłem jego policzka – szepnął ktoś. – Poczułem dar.

Z początku dotykające jego twarzy palce wystraszyły Paula. Ścisnął chłodny gryf balisety i poczuł, jak struny wrzynają mu się w dłoń. Potem jednak oprócz rąk dojrzał twarze, rozwarte i zdumione oczy.

Niebawem ręce się cofnęły. Podjęto ceremonię pogrzebową, lecz teraz była wokół Paula nieuchwytna przestrzeń, odstęp, pełna szacunku izolacja, którą uhonorował go oddział.

Uroczystość zakończyła się cichym śpiewem:

Pełnia cię wzywa…
Twój Szej-hulud przybywa,
Nocy krew, czerń na niebie,
Krwawa śmierć wzięła ciebie.
Do księżyca się modlimy,
Koło szczęścia uprosimy,
Co szukamy, to ziścimy,
Stałą ziemię zobaczymy.

U stóp Stilgara pozostał pękaty bukłak. Stilgar przykucnął, kładąc na nim dłonie. Ktoś zbliżył się do niego i kucnął obok. Paul rozpoznał twarz Chani w cieniu kaptura.

– Dżamis nosił trzydzieści trzy litry, siedem i trzy trzydzieste drugie drachmy wody plemienia – powiedziała Chani. – Błogosławię ją teraz w obecności sajjadiny. *Ekkeri-akairi*, oto jest woda, *fillissin-follasy* Paula

Muad’Diba! *Kivi a-kavi*, nigdy więcej *nakalas! Nakelas!* odmierzona i policzona, *ukair-an!* biciem serca *jan-jan-jan* naszego przyjaciela… Dżamisa.

W głębokiej ciszy Chani, odwróciwszy się, utkwiła wzrok w Paulu.

– Gdzie jestem płomieniem, ty bądź węglem. Gdzie jestem rosą, ty bądź wodą – powiedziała.

– *Bi-la kaifa* – zaśpiewał oddział.

– Na Paula Muad’Diba przypada ta porcja – oświadczyła Chani. – Oby strzegł jej dla plemienia i chronił przed pochopną stratą. Oby był szczodry w chwili potrzeby. Oby przekazał ją w swoim czasie dla dobra plemienia.

– *Bi-la kaifa* – zaintonował oddział.

„Muszę przyjąć tę wodę” – pomyślał Paul. Uniósłszy się wolno, podszedł do Chani. Stilgar cofnął się, by zrobić mu miejsce, i delikatnie wyjął balisetę z jego dłoni.

– Uklęknij – poleciła Chani.

Paul klęknął, a ona naprowadziła jego dłonie na bukłak i przytrzymała je na sprężynującej powierzchni.

– Tę wodę powierza ci plemię – powiedziała. – Dżamis odszedł od niej. Przyjmij ją w pokoju. – Wstała i pociągnęła chłopaka za sobą.

Stilgar zwrócił mu balisetę i wysunął dłoń z kilkunastoma metalowymi pierścieniami. Paul zauważył, że są różnej wielkości, i obserwował, jak odbija się od nich światło lumisfery.

Chani wzięła największy pierścień i uniosła go na jednym palcu.

– Trzydzieści litrów – oświadczyła. Jeden po drugim brała pozostałe, pokazując każdy Paulowi i odliczając. – Dwa litry, jeden litr, siedem talionów wody po jednej drachmie każdy, jeden talion wody za trzy trzydzieste drugie drachmy. Razem trzydzieści trzy litry, siedem i trzy trzydzieste drugie drachmy. – Podniosła pierścienie na palcu.

– Czy je przyjmujesz? – zapytał Stilgar.

Paul przełknął ślinę i kiwnął głową.

– Tak.

– Później – odezwała się Chani – pokażę ci, jak je przewiązywać chustą, by nie zdradziły cię pobrzękiwaniem, kiedy będziesz potrzebował ciszy. – Wyciągnęła dłoń.

– Zechciałabyś… przechować je dla mnie? – zapytał Paul.

Spłoszona Chani popatrzyła na Stilgara.

– Paul Muad'Dib, który jest Usulem – rzekł Fremen z uśmiechem – nie zna jeszcze naszych obyczajów, Chani. Zatrzymaj jego taliony wody bez zobowiązania, aż będzie czas pokazać mu, jak je nosić.

Skinęła głową, wydobyła prędko spod dżubby pas materiału, nanizała na niego pierścienie, przeplatając je zawile od góry i od dołu, i po krótkim wahaniu wsunęła za szarfę pod płaszczem.

„Coś tutaj przegapiłem" – pomyślał Paul. Wyczuwał wokół siebie rozbawienie, lekką kpinę, sięgnął więc do wieszczej pamięci: „Taliony wody ofiarować kobiecie to rytuał zalotów".

– Wodmistrzowie – rzekł Stilgar.

Oddział powstał z szelestem dżubb. Wystąpili dwaj ludzie i podnieśli bukłak. Ściągnąwszy lumisferę, Stilgar powiódł wszystkich w głąb jaskini.

Wciśnięty za Chani, Paul widział maślany odblask lumisfery na skalnych ścianach, taniec cieni w pełnej wyczekiwania ciszy, w której wyczuwał narastające podniecenie oddziału.

Jessika, zaciągnięta na tył kolumny przez rozgorączkowane dłonie, pokonała chwilową panikę, kiedy ze wszystkich stron osaczyły ją rozpychające się postacie. Rozpoznała fragmenty rytuału, odnalazła w słowach okruchy bhotani dżib i chakobsa i pojęła nieokiełznane żywioły, które mogły buchnąć z tych pozornie niewinnych elementów.

„*Jan-jan-jan* – pomyślała. – Idź, idź, idź”.

Przypominało to dziecinną grę, która w dorosłych rękach zatraciła wszelkie hamulce.

Stilgar zatrzymał się pod żółtą ścianą skalną. Nacisnął występ i ściana bezgłośnie się cofnęła, odsłaniając nieregularną szczelinę. Wprowadził ich do środka, przechodząc obok podobnej do plastra miodu kratownicy, z której na Paula wionął strumień chłodnego powietrza. Chłopak pociągnął Chani za ramię i spojrzał na nią pytająco.

– W tym powietrzu czuć wilgoć – powiedział.

– Ciiii – szepnęła.

– Mnóstwo tej nocy wilgoci w oddzielaczu – rzekł idący za nimi mężczyzna. – Tak Dżamis mówi nam, że jest zadowolony.

Jessika minęła ukryte drzwi i usłyszała, jak się za nią zamknęły. Zauważyła, że Fremeni zwalniają, przechodząc obok przypominającej plaster kratownicy, a znalazłszy się koło niej, poczuła wilgoć.

„Oddzielacz wiatru! – pomyślała. – Mają zamaskowany gdzieś na powierzchni oddzielacz tłoczący powietrze w chłodniejsze tu, na dole, regiony dla wytrącenia zeń wilgoci”.

Przeszli przez drugie drzwi, z umieszczoną u góry kratownicą. I te zamknęły się za nimi. Prąd powietrza owiewający im plecy podtrzymywał wrażenie wilgoci odczuwane wyraźnie zarówno przez Paula, jak i Jessikę.

Lumisfera w dłoniach Stilgara idącego na czele oddziału opadła poniżej linii głów przed Paulem. Wkrótce chłopak poczuł pod nogami stopnie schodzące lewoskrętną spiralą. Odbite światło padało z dołu na zakapturzone głowy i wąż ludzi wijący się schodami.

Jessika wyczuwała narastanie napięcia u otaczających ją postaci, przygniatająca cisza szarpała jej nerwy swą natarczywością.

Schody się skończyły i oddział minął kolejne drzwi. Światło lumisfery pochłonęła wielka, otwarta przestrzeń pod wysoko sklepioną kopułą. Paul poczuł dłoń Chani na swoim ramieniu, usłyszał cichy odgłos kapania w chłodnym powietrzu i zauważył, jak Fremeni zamierają przed majestatem wody.

„Widziałem to miejsce we śnie” – pomyślał.

Ta konstatacja rozwiewała obawy i nadzieje zarazem. Gdzieś przed nim na owej ścieżce fanatyczne hordy wyrąbywały sobie w jego imieniu krwawą drogę przez wszechświat. Zielono-czarny sztandar Atrydów stanie się symbolem terroru. Szalone legiony rzucą się do boju, wznosząc pod niebo swój bojowy okrzyk: „Muad’Dib!”.

„Nie może do tego dojść – myślał. – Nie mogę do tego dopuścić”.

Ale wyczuwał w swej jaźni zaborczą świadomość rasy, własne straszliwe przeznaczenie, i wiedział, że byle co nie zawróci tego molocha. Nabierało to już masy i pędu. Gdyby umarł w tym momencie, wszystko toczyłoby się dalej za sprawą jego matki i nienarodzonej jeszcze siostry. Jedynie śmierć całego zebranego tu oddziału, nie wyłączając jego i jego matki, mogłaby to powstrzymać.

Paul rozejrzał się i zauważył, że kolumna rozwija się w szereg. Popchnięto go do przodu, pod niską barierę wyciosaną w litej skale. Za barierą chłopak zobaczył w świetle lumisfery Stilgara nieporuszone, ciemne lustro wody. Rozpościerała się, przechodząc w cień, głęboka i czarna. Ledwie widoczna po drugiej stronie ściana majaczyła w odległości może stu metrów.

Jessika czuła, jak napięcie suchej skóry na policzkach i czole ustępuje pod wpływem wilgoci. Staw był głęboki; wyczuwała jego głębię i walczyła z pragnieniem zanurzenia w nim dłoni.

Z lewej strony rozległ się plusk. Spojrzała wzdłuż widmowej linii Fremenów i dostrzegła Stilgara ze stojącym przy nim Paulem oraz wodmistrzów wlewających swój ładunek do stawu. Miernikiem było okrągłe szare oko ponad obrzeżem zbiornika. Widziała wędrówkę świetlnej wskazówki w miarę pracy przepływomierza, zobaczyła, jak wskazówka zatrzymuje się na trzydziestu trzech litrach, siedmiu drachmach i trzech trzydziestych drugich.

„Nieprawdopodobna dokładność pomiaru” – pomyślała i spostrzegła, że na ścianach rynny miernika nie pozostał nawet ślad wilgoci. Woda spływała z owych ścian, jakby nie było siły adhezyjnej. W tym prostym fakcie Jessika znalazła ostateczny klucz do fremeńskiej techniki: byli perfekcjonistami.

Przecisnęła się wzdłuż bariery do Stilgara. Ustępowano jej z drogi z naturalną kurtuazją. Zauważyła nieobecne spojrzenie Paula, lecz tajemnica tego wielkiego zbiornika wody opanowała jej myśli bez reszty.

Stilgar obejrzał się na nią.

– Byli wśród nas tacy, którzy cierpieli z pragnienia – powiedział – jednak przyszedłszy tu, nie tknęliby tej wody. Wiesz o tym?

– Wierzę w to – powiedziała.

Popatrzył na zbiornik.

– Mamy tu ponad trzydzieści osiem milionów dekalitrów wody – rzekł. – Obwarowane przed maleńkimi stworzycielami, ukryte i chronione.

– Skarb – stwierdziła.

Stilgar uniósł lumisferę, by zajrzeć jej w oczy.

– To coś więcej niż skarb. Mamy tysiące takich ukrytych skarbów. Jedynie kilku z nas wie o nich wszystkich. – Przekrzywił głowę na jedną stronę. Lumisfera rzucała żółtawy blask na jego twarz i brodę. – Słyszysz to?

Nadstawili uszu.

Odgłos kapania wody wytrąconej z oddzielacza wiatru wypełnił całe pomieszczenie. Jessika spostrzegła, że wszyscy słuchają w ekstatycznym uniesieniu.

Tylko Paul przebywał myślami gdzieś daleko. Dla niego ten dźwięk był jak tykanie, które odmierza uchodzące chwile. Czuł, jak czas przepływa przez niego, a chwile są nie do odzyskania. Wiedział, że trzeba podjąć decyzję, ale nie znajdował sił, by wykonać najmniejszy ruch.

– Zostało wyliczone, ile potrzebujemy. Z dokładnością do miliona dekalitrów. Kiedy będziemy mieli tyle, zmienimy oblicze Arrakis.

Od strony oddziału doleciał ściszony szept:

– *Bi-la kaifa*.

– Schwytamy wydmy w zasiew traw. – Głos Stilgara potężniał. – Uwięzimy wodę w ziemi krzewów i drzew.

– *Bi-la kaifa* – zaintonował oddział.

– Każdego roku cofa się lód polarny – rzekł Stilgar.

– *Bi-la kaifa* – zaśpiewali.

– Uczynimy z Arrakis nasz dom… za pomocą soczewek topiących czapy polarne i jezior w strefach umiarkowanych. Otwartą pustynię zostawimy wyłącznie dla stworzyciela i jego przyprawy.

– *Bi-la kaifa*.

– I żaden człowiek nigdy już nie będzie cierpiał z braku wody. Wystarczy, że zaczerpnie ze studni albo stawu, albo jeziora, albo kanału, a woda będzie jego. Będzie płynęła kanatami, pojąc nasze rośliny. Będzie ją mógł wziąć każdy. Wystarczy, że wyciągnie po nią dłoń, a woda będzie jego.

– *Bi-la kaifa*.

Jessika wyczuła w tych słowach obrzęd religijny i zauważyła, że budzą w niej instynktowny nabożny lęk. „Oni są w sojuszu z przyszłością – pomyślała. – Mają swój szczyt do zdobycia. To sen naukowca… i ci prości ludzie, ci… wieśniacy są nim opętani”.

Wróciła myślą do Lieta-Kynesa, planetarnego ekologa Imperatora, człowieka, który się zasymilował, i zadumała się nad nim. To było marzenie usidlające ludzkie dusze i widziała w tym rękę planetologa. To było marzenie, za które ludzie ochoczo oddadzą życie. Następny z istotnych elementów tak potrzebnych jej synowi: ludzie mający cel. Takich ludzi łatwo zarazić żarliwością i fanatyzmem. Można by nimi władać jak mieczem, odbić dziedzictwo Paula.

– Odchodzimy już – rzekł Stilgar. – Zaczekamy na wschód pierwszego księżyca. Kiedy Dżamis bezpiecznie wyruszy w swoją drogę, pójdziemy do domu.

Wśród szeptów, z ociąganiem, oddział podążył za nim z powrotem wzdłuż bariery i schodami w górę.

A Paul, idąc za Chani, czuł, że kluczowy moment przepadł, że zaprzepaścił najważniejszą decyzję i wpadł w pułapkę własnego mitu. Wiedział, że oglądał już to miejsce i był tutaj we fragmencie proroczego snu na odległym Kaladanie, lecz teraz miejsce to wypełniało się nieznanymi mu szczegółami. Na nowo zdumiały go ograniczenia jego daru. Jakby płynął z falą czasu to na jej grzbiecie, to znów w dolinie, a dookoła inne fale wznosiły się i opadały, ukazując i zaraz zakrywając to, co ze sobą niosły.

Wśród tego wszystkiego nieustannie majaczył mu wściekły dżihad, gwałty i rzezie. Niczym cypel sterczący z fal przyboju.

Oddział wkroczył gęsiego przez ostatnie wejście do głównej groty. Zaparto drzwi. Światła wygaszono, z wylotów jaskini zaś usunięto kaptury,

odsłaniając noc i gwiazdy, które wzeszły nad pustynią.

Jessika zbliżyła się do suchego progu jaskini, podnosząc oczy na gwiazdy. Były wyraźne i bliskie. Słyszała krzątaninę oddziału, gdzieś zza pleców dobiegały strojenie balisety i mormorando Paula podającego ton. Nie spodobała jej się melancholia w jego głosie.

Z ciemności we wnętrzu groty wdarł się głos Chani:

– Opowiedz mi o wodach swojej planety, Paulu Muad'Dibie.

I odpowiedź Paula:

– Innym razem, Chani. Obiecuję.

„Jakiż smutek".

– To dobra baliseta – powiedziała Chani.

– Bardzo dobra. Myślisz, że Dżamis ma coś przeciwko temu, żebym na niej grał?

„On mówi o zmarłym w czasie teraźniejszym" – stwierdziła Jessika. Zaniepokoiły ją związane z tym ukryte znaczenia.

– Nasz Dżamis lubił muzykę wczesną porą – wtrącił się jeden z mężczyzn.

– Więc zaśpiewaj mi jakąś swoją pieśń – poprosiła Chani.

„Jakaż kobieca kokieteria jest w tonie tego dziecka – pomyślała Jessika. – Muszę przestrzec Paula przed ich kobietami… i to szybko".

– To była pieśń mojego przyjaciela – rzekł Paul. – Sądzę, że mój Gurney już nie żyje. Nazywał to swoją modlitwą wieczorną.

Oddział ucichł, zasłuchany w głos Paula wzbijający się słodkim, chłopięcym tenorem ponad dzwonienie i brzdąkanie balisety.

Żaru jest czas doglądania…
Gdy słońce chyli złotą skroń.
Budząca zmysły piżma woń

Warta jest pamiętania.

Jessika czuła w piersi muzykę słów, pogańską i naładowaną dźwiękami, przywodzącą ją do gwałtownej i bolesnej świadomości siebie, doznań własnego ciała i jego potrzeb. Słuchała w pełnym napięcia milczeniu.

Noc requiem pereł śle…
W twoją dłoń!
Spojrzenia twe
Ku mnie mkną.
Ku jakim kwiatom miłości
Serca się rwą…
Ku jakim kwiatom miłości
Pragnienia lgną…

Jessika usłyszała pogłos ciszy brzęczącej w powietrzu ostatnią nutą. „Dlaczego mój syn śpiewa miłosną pieśń dla tej dziewuszki?” Ogarnął ją nagły strach. Życie płynęło wokół niej, a ona nie trzymała w garści jego cugli. „Dlaczego wybrał tę pieśń? – nie mogła zrozumieć. – Instynkty są czasami autentyczne. Dlaczego on to zrobił?”

Paul siedział bez słowa w ciemności. Jego świadomość opanowała jedna wszechwładna myśl: „Moja matka jest moim wrogiem. Ona o tym nie wie, ale jest. Ona sprowadza dżihad. Ona mnie zrodziła. Ona mnie wyszkoliła. Ona jest moim wrogiem”.

Pojęcie postępu działa jak mechanizm obronny, który chroni nas przed upiorami niepewnej przyszłości.

– z *Myśli zebranych Muad'Diba* w opracowaniu księżnej Irulany

W dniu siedemnastych urodzin Feyd-Rautha Harkonnen zabił podczas rodowych igrzysk swego setnego niewolnika gladiatora. Obserwatorzy z imperialnego dworu – hrabia i lady Fenringowie – bawiący z tej okazji na harkonneńskiej planecie macierzystej Giedi Prime, zostali poproszeni owego popołudnia o zajęcie miejsc przy najbliższej rodzinie, w złotej loży ponad trójkątną areną.

Na cześć urodzin na-barona i dla przypomnienia wszystkim Harkonnenom oraz poddanym, że Feyd-Rautha jest prawowitym dziedzicem, ogłoszono na Giedi Prime święto. Stary baron zarządził przerwę w pracy od południa do południa i uczyniono wysiłek, by w rodzinnym mieście Harko stworzyć pozory zabawy: na budynkach powiewały flagi, mury wzdłuż alei Dworskiej ochlapano świeżą farbą.

Jednak poza główną trasą hrabia Fenring i jego pani zauważyli sterty śmieci, bure, złuszczone ściany przeglądające się w ciemnych kałużach i przemykających ukradkiem ludzi.

W błękitnych murach cytadeli barona rzucała się w oczy przeraźliwa perfekcja, ale Fenringowie widzieli, jaką cenę za to płacono – wszędzie były straże i ów szczególny połysk broni zdradzający wprawnemu oku, że jest ona w stałym użyciu. Posterunki kontrolujące ruch pieszy z jednego rejonu do drugiego znajdowały się nawet w cytadeli. Wyszkolenie wojskowe znać było w sposobie poruszania się służby domowej,

w sposobie trzymania ramion… w tym, jak jej oczy obserwowały, obserwowały i obserwowały.

– Presja się nasila – mruknął hrabia do żony w ich sekretnym języku. – Baron właśnie zaczyna dostrzegać prawdziwą cenę, jaką zapłacił za pozbycie się księcia Leto.

– Od czasu do czasu zmuszona jestem przypominać ci legendę o Feniksie – odparła.

Czekali w salonie recepcyjnym cytadeli, by zabrano ich na rodowe igrzyska. Salon nie imponował wielkością – wszystkiego czterdzieści metrów długości i może połowa tego szerokości, lecz fałszywym kolumnom po bokach nadano kształt ostrego stożka, sufit zaś wznosił się łagodnym łukiem, co razem tworzyło iluzję o wiele większej przestrzeni.

– Aaach, oto i baron – rzekł hrabia.

Baron płynął przez salę tym osobliwym, rozkołysanym ślizgiem zrodzonym z konieczności kierowania uwieszonym dryfów ciężarem. Policzki podrygiwały mu w górę i w dół, dryfy podskakiwały i przemieszczały się pod pomarańczową szatą. Pierścienie migotały na jego dłoniach, lśniły wetkane w szatę opality.

U boku barona kroczył Feyd-Rautha. Ciemne włosy miał ufryzowane w krótkie loki, których filuterność raziła w zetknięciu z ponurymi oczami. Nosił opiętą czarną tunikę i obcisłe spodnie leciutko rozszerzone u dołu. Jego drobne stopy okrywały pantofle na miękkich podeszwach.

Obserwując postawę młodzieńca i falowanie niezawodnych mięśni pod tuniką, hrabina Fenring pomyślała: „Ten nie pozwoli sobie obrosnąć sadłem”.

Baron zatrzymał się przed nimi i z miną posiadacza ujął ramię Feyda-Rauthy.

– Mój bratanek, na-baron, Feyd-Rautha Harkonnen – powiedział i zwracając niemowlęco pulchną twarz do Feyda-Rauthy, dodał: – Hrabia i lady Fenringowie, o których ci mówiłem.

Feyd-Rautha pochylił głowę z obowiązującą kurtuazją. Oczy wbił w hrabinę Fenring. Złotowłosa i wiotka, kryła doskonałość figury w powłóczystej szacie z surowej tkaniny, prostego kroju, bez żadnych ozdób. Szarozielone oczy spoglądały na niego bez zmrużenia. Otaczał ją ten pogodny spokój Bene Gesserit, w którym młodzieniec wyczuwał nieuchwytny powód do niepokoju.

– Hmmmmachmmmm – powiedział hrabia. Obserwował uważnie Feyda-Rauthę. – Jaki, hmmmm, akuratny młody człowiek, nieprawdaż, moja… hmmmm… droga? – Zerknął na barona. – Mój drogi baronie, powiadasz, że mówiłeś o nas temu akuratnemu młodzieńcowi. Co takiego mówiłeś?

– Mówiłem mojemu bratankowi o wielkim szacunku, jakim darzy cię nasz Imperator, hrabio Fenringu – rzekł baron. „Zapamiętaj go dobrze, Feydzie! – pomyślał. – Morderca o łagodności baranka to najgroźniejszy typ”.

– Ależ oczywiście! – odparł hrabia i uśmiechnął się do żony.

Feyd-Rautha uznał ruchy i słowa tego człowieka niemal za obraźliwe. Były o włos od jakiejś demonstracji, której nie dałoby się zlekceważyć. Młodzieniec skupił uwagę na hrabim, drobnym, anemicznie wyglądającym mężczyźnie. Twarz łasicy o za dużych ciemnych oczach. Siwizna na skroniach. I jego ruchy – wykonywał gest dłonią lub odwracał głowę w jedną stronę, a mówił w drugą. Trudno było za tym nadążyć.

– Hmmmmachmmmm… bardzo rzadko spotyka się… hmmmm… taką akuratność – powiedział hrabia, zwracając się do ramienia barona. – Ja… ach… gratuluję ci… hmmmm… doskonałości twego… aaach… dziedzica. Niedaleko pada jabłko od jabłoni, można by rzec.

– Jesteś zbyt uprzejmy – powiedział baron.

Vladimir pokłonił się, ale Feyd-Rautha dostrzegł, że spojrzenie stryja nie idzie w parze z jego kurtuazją.

– Ironia… hmmmm… wskazuje… aaach… na… hmmmm… głębię myśli – rzekł hrabia.

„Znowu zaczyna – pomyślał Feyd-Rautha. – Wygląda to na zniewagę, a nie ma w tym właściwie nic, za co by można żądać satysfakcji”. Słuchając tego człowieka, miał wrażenie, że przeciska się głową przez papkę „hmmmmachmmmmów”. Skierował z powrotem uwagę na lady Fenring.

– Zabieramy… aaach… zbyt wiele czasu temu młodzieńcowi – powiedziała. – Rozumiem, że ma on dzisiaj wystąpić na arenie.

„Na hurysy imperialnego haremu, jaka ona śliczna!” – pomyślał Feyd-Rautha.

– Dziś zadam śmierć dla ciebie, o pani – oświadczył. – Za twoim pozwoleniem, ogłoszę to na placu.

Odwzajemniła mu się łagodnym spojrzeniem, lecz jej głos był jak smagnięcie bata, gdy odpowiedziała:

– Nie daję ci mego pozwolenia.

– Feydzie! – rzekł baron. „A to diablę! – pomyślał. – Czy on chce, żeby ten piekielny hrabia go wyzwał?”

Ale Fenring uśmiechnął się tylko i mruknął:

– Hmmmmummmm.

– Ty rzeczywiście musisz się sposobić na arenę, Feydzie – stwierdził Vladimir. – Musisz być wypoczęty, nie możesz głupio ryzykować.

Feyd-Rautha skłonił się z poczerwieniałą od urazy twarzą.

– Jestem pewny, że wszystko będzie tak, jak sobie życzysz, stryju. – Skinął głową hrabiemu Fenringowi. – Sir. – I hrabinie Fenring. – Pani. – Odwróciwszy się, wymaszerował z sali, ledwo racząc zauważyć stojących

w grupkach pod dwuskrzydłowymi drzwiami przedstawicieli niskich rodów.

– Młodość, młodość… – westchnął baron.

– Hmmmmach… zaiste… hmmmm… – odpowiedział hrabia.

A lady Fenring pomyślała: „Czy to możliwe, żeby to był ten młody człowiek, którego miała na myśli matka wielebna? Czy to linia genetyczna, którą musimy utrzymać?”.

– Minie ponad godzina, zanim udamy się na arenę – rzekł baron. – Może moglibyśmy uciąć sobie pogawędkę, hrabio Fenringu? – Przechylił swoją olbrzymią głowę w prawo. – Jest tyle nowych rzeczy do omówienia. – I pomyślał: „Zobaczymy zaraz, jak imperatorski chłopiec na posyłki przekaże to, co ma do zakomunikowania, nie będąc na tyle gruboskórnym, by powiedzieć to bez ogródek”.

Hrabia zwrócił się do żony:

– Hmmmmachmmmm… wybaczysz… hmmmm… nam… aaach… moja droga?

– Każdy dzień, niekiedy każda godzina przynosi coś nowego – powiedziała. – Hmmmm. – I odchodząc, uśmiechnęła się słodko do barona. Zaszeleściła jej długa suknia, kiedy wyprostowana oddalała się majestatycznym krokiem w kierunku dwuskrzydłowych drzwi w końcu sali.

Baron zauważył, jak na jej widok milkną wszelkie rozmowy zebranych tam przedstawicieli niskich rodów, jak podążają za nią spojrzenia. „Bene Gesserit! – pomyślał. – Świat byłby lepszy, gdyby je wszystkie potopić!”

– Niedaleko, między tymi dwiema kolumnami z lewej strony, znajduje się stożek ciszy – powiedział. – Możemy tam mówić bez obawy, że ktoś nas podsłucha.

Kołysząc się niczym kaczka, ruszył w stronę dźwiękochłonnego pola. Słyszał, jak stopniowo cichną i oddalają się hałasy cytadeli. Hrabia

przysunął się do niego i obaj obrócili się twarzą do ściany, by nie można było czytać z ich warg.

– Nie jesteśmy zadowoleni ze sposobu, w jaki odprawiłeś sardaukarów z Arrakis – oznajmił hrabia.

„Nie owija w bawełnę!” – stwierdził Vladimir.

– Dalszy pobyt sardaukarów stwarzał groźbę, że inni dowiedzą się, jak dopomógł mi Imperator – odparł.

– Wydaje się jednak, że twój bratanek Rabban nie zajmuje się dostatecznie energicznie rozwiązaniem kwestii fremeńskiej – rzekł hrabia.

– Czego chce Imperator? – zapytał baron. – Na Arrakis nie mogła zostać więcej niż garstka Fremenów. Południowa pustynia nie nadaje się do zamieszkania. Północną regularnie przeczesują nasze patrole.

– Kto powiedział, że południowa pustynia nie nadaje się do zamieszkania?

– Wasz planetolog, mój drogi hrabio.

– Ale doktor Kynes nie żyje.

– Tak, owszem… Niestety.

– Mamy wieści z przelotu nad południowymi regionami – poinformował hrabia. – Są tam ślady roślinnej wegetacji.

– Zatem Gildia pozwoliła na obserwację z kosmosu?

– Nie udawaj naiwnego, baronie. Imperator nie może legalnie ustanowić nadzoru nad Arrakis.

– I ja nie mogę sobie na to pozwolić – rzekł Vladimir. – Kto dokonał tego przelotu?

– Pewien… przemytnik.

– Ktoś wam nakłamał, hrabio – powiedział baron. – Przemytnicy wcale nie są lepsi w lotach nad południowymi regionami od ludzi Rabbana.

Samumy, zakłócenia piaskowe i tak dalej, jak wiesz. Znaki nawigacyjne padają szybciej, niż się je stawia.

– Dyskusję o rodzajach zakłóceń odłóżmy na kiedy indziej – powiedział hrabia.

„Aaach” – pomyślał baron.

– Znaleźliście więc jakąś pomyłkę w moich księgach? – zapytał.

– Jeśli zakładasz, że się pomyliłeś, nie możesz się bronić – rzekł Fenring.

„Z premedytacją stara się mnie rozzłościć” – skonstatował baron. Odetchnął głęboko dwa razy, aby się uspokoić. Poczuł zapach swego potu oraz nagłe uwieranie i swędzenie od uprzęży dryfów pod szatą.

– Imperator nie martwi się chyba śmiercią tej konkubiny i chłopca – powiedział. – Polecieli na pustynię. Był samum.

– Tak, było bardzo dużo szczęśliwych przypadków – zgodził się Fenring.

– Nie podoba mi się twój ton, hrabio – rzekł Vladimir.

– Gniew to jedno, przelewanie krwi drugie – stwierdził hrabia. – Pozwól, że cię przestrzegę: gdyby przytrafił mi się tutaj jakiś nieszczęśliwy wypadek, wszystkie wysokie rody dowiedzą się, co zrobiłeś na Arrakis. Od dawna podejrzewają, jak załatwiasz interesy.

– Przypominam sobie tylko jeden interes ostatnio – oznajmił baron. – Przewiezienie paru legionów sardaukarów na Arrakis.

– Wydaje ci się, że mógłbyś tym trzymać Imperatora w szachu?

– Nawet by mi to nie przyszło do głowy!

Hrabia się uśmiechnął.

– Znajdą się dowódcy sardaukarów, którzy przyznają, że działali bez rozkazów, ponieważ mieli ochotę powojować z twoją fremeńską hołotą.

– Wielu wątpiłoby w prawdziwość takiego wyznania – odparł baron, ale groźba nim wstrząsnęła. „Czy rzeczywiście sardaukarzy są aż tak posłuszni?” – zastanawiał się.

– Imperator życzy sobie skontrolować twoje księgi – powiedział Fenring.

– W każdej chwili.

– Ty… ach… nie masz nic przeciwko temu?

– Nic. Moja pozycja dyrektora KHOAM przetrwa najbardziej drobiazgowe badanie. – I pomyślał: „Niech wniesie przeciwko mnie bezpodstawne oskarżenie i niech ono upadnie. Stanę tam jak Prometeusz i powiem: »Oto ja, niesłusznie posądzony«. I niech spróbuje potem wnieść przeciwko mnie jakiekolwiek inne oskarżenie, nawet słuszne. Wysokie rody nie uwierzą w drugą napaść oskarżyciela, któremu raz udowodniono, że nie miał racji”.

– Bez wątpienia twoje księgi przetrwają najbardziej drobiazgowe badanie – mruknął hrabia.

– Dlaczego Imperator jest tak zainteresowany eksterminacją Fremenów? – zapytał Vladimir.

– Pragniesz zmienić temat, hę? – Fenring wzruszył ramionami. – To sardaukarzy tego chcą, nie Imperator. Brakowało im praktyki w zabijaniu… i nie znoszą widoku niedokończonego zadania.

„Czy on zamierza mnie nastraszyć, przypominając, że ma za sobą złaknionych krwi morderców?” – zastanawiał się baron.

– Interesy zawsze są i były związane z przelewem krwi – stwierdził – ale gdzieś musi być granica. Ktoś musi zostać do kopania przyprawy.

Hrabia wydał z siebie krótki, szczekliwy śmiech.

– Sądzisz, że zaprzęgniesz Fremenów do roboty?

– Do tego zawsze było ich za mało – odparł baron – ale przelew krwi zaniepokoił resztę mojej ludności. Jest już tak, że zastanawiam się nad nowym rozwiązaniem problemu Arrakis, mój drogi Fenringu. I muszę wyznać, że właśnie Imperatorowi zawdzięczam inspirację.

– Aaach.

– Widzisz, hrabio, zainspirowała mnie Salusa Secundus, więzienna planeta Imperatora.

Hrabia spojrzał na niego z błyskiem napięcia w oczach.

– Jakiż Arrakis może mieć związek z Salusą Secundusem?

Vladimir zauważył czujne spojrzenie Fenringa.

– Żadnego, jak dotąd – powiedział.

– Jak dotąd?

– Musisz przyznać, że wykorzystując to miejsce jako planetę więzienną, można by znacznie zwiększyć siłę roboczą na Arrakis.

– Spodziewasz się napływu więźniów?

– Panuje niepokój – przyznał baron. – Musiałem dość mocno dokręcić śrubę, Fenringu. Ostatecznie wiesz, jaką cenę zapłaciłem tej przeklętej Gildii za przewiezienie naszych wspólnych sił na Arrakis. Skądś muszą się brać te pieniądze.

– Radzę ci nie przekształcać Arrakis w planetę więzienną bez zezwolenia Imperatora, baronie.

– Oczywiście, że tego nie zrobię – powiedział Vladimir, zdumiewając się nagłym chłodem w głosie Fenringa.

– Druga sprawa – rzekł hrabia. – Dowiedzieliśmy się, że mentat księcia Leto, Thufir Hawat, nie zginął, lecz jest w twojej służbie.

– Nie mogłem się zdobyć na zmarnowanie go – oznajmił baron.

– Okłamałeś naszego komendanta sardaukarów, mówiąc, że Hawat nie żyje.

– Jedno niewinne kłamstwo, mój drogi hrabio. Nie miałem ochoty na długie spory z tym człowiekiem.

– Czy Hawat był tym zdrajcą?

– Uchowaj Boże! Był nim fałszywy doktor. – Baron otarł pot z szyi. – Musisz zrozumieć, Fenringu, że nie miałem mentata. Wiesz o tym. Nigdy

nie obywałem się bez mentata. Wszystko mi się przez to waliło. To było nie do zniesienia.

– Jak udało ci się zmusić Hawata do zmiany pana?

– Jego książę nie żył. – Vladimir uśmiechnął się z trudem. – Ze strony Hawata nie ma się czego obawiać, mój drogi hrabio. Jego ciało zostało nasycone utajoną trucizną. Podajemy mu antidotum w posiłkach. Bez antidotum trucizna się wyzwala. Zmarłby w parę dni.

– Odstawcie antidotum – zażądał hrabia.

– Ale on jest pożyteczny!

– I wie o zbyt wielu sprawach, o których żaden człowiek nie powinien wiedzieć.

– Powiedziałeś, że Imperator nie obawia się zdemaskowania.

– Nie baw się ze mną w kotka i myszkę, baronie!

– Wykonam ten rozkaz, kiedy zobaczę na nim imperialną pieczęć – rzekł baron. – Do twego widzimisię się nie zastosuję.

– Uważasz to za widzimisię?

– A cóż to innego? Imperator ma również zobowiązania wobec mnie, Fenringu. Uwolniłem go od kłopotliwego księcia.

– Przy pomocy kilku sardaukarów.

– A gdzie znalazłby inny ród gotów dostarczyć mundurów do przebrania, by ukryć jego rolę w tej sprawie?

– On zadaje sobie to samo pytanie, lecz z nieco inaczej położonym akcentem.

Baron przyjrzał się Fenringowi. Dostrzegł, jak sztywne hrabia ma mięśnie szczęki i jak starannie nad sobą panuje.

– Ach tak – powiedział. – Mam nadzieję, że Imperatorowi nie wydaje się, iż zdoła wystąpić przeciwko mnie w całkowitej tajemnicy.

– On ma nadzieję, że to nie będzie konieczne.

– Imperator chyba nie wierzy w to, że mu zagrażam. – Vladimir pozwolił, by w jego słowach zabrzmiały uraza i gniew. „Niechby mnie o to oskarżył! – pomyślał. – Mógłbym dojść do tronu, bijąc się cały czas w piersi, że zostałem niesłusznie obwiniony”.

– Imperator wierzy w to, co mu dyktuje rozum – powiedział Fenring oschle; jego głos brzmiał głucho.

– A czy ośmieliłby się oskarżyć mnie o zdradę przed pełną Radą Landsraadu? – Vladimir wstrzymał oddech, marząc, żeby się tak stało.

– Imperator nie potrzebuje się na nic ośmielać.

Baron odwrócił się w swoich dryfach, by ukryć wyraz twarzy. „To mogłoby nastąpić za mojego życia! – myślał. – Imperator! Niech mnie oskarży! Potem tylko… przekupstwem i siłą przyciągnąć do siebie wysokie rody. Zbiegną się pod mój sztandar jak szukający ratunku chłopi. Niczego się tak nie obawiają jak tego, że Imperator napuści swoich sardaukarów na każdy z nich z osobna”.

– Imperator żywi szczerą nadzieję, że nie będzie nigdy zmuszony oskarżyć cię o zdradę – rzekł hrabia.

Baron miał trudności z powstrzymaniem się od ironii i oddaniem w głosie jedynie urazy, ale sobie poradził.

– Zawsze byłem najwierniejszym z jego poddanych. Te słowa ranią mnie bardziej, niż potrafię wyrazić.

– Hmmmmachmmmm – mruknął hrabia.

Baron, odwrócony plecami do Fenringa, pokiwał głową.

– Pora udać się na arenę – rzekł po chwili.

– Rzeczywiście – zgodził się hrabia.

Opuścili stożek ciszy i ramię przy ramieniu pomaszerowali w stronę grupek członków niskich rodów w końcu sali. Gdzieś w cytadeli dzwon zaczął z wolna wybijać dwadzieścia minut do spotkania na arenie.

– Niskie rody czekają, abyś je poprowadził – powiedział hrabia, skinąwszy głową ludziom, do których się zbliżali.

„Dwuznaczniki… dwuznaczniki” – pomyślał baron. Spojrzał na nowe talizmany po bokach wyjścia z sali: spreparowany łeb byka i olejny portret Starego Księcia, ojca nieżyjącego księcia Leto Atrydy. Napełniły go one dziwnie natrętnymi złymi przeczuciami i zastanawiał się, jakie myśli wzbudzały te talizmany w księciu Leto, kiedy wisiały w salach Kaladanu, a później na Arrakis – pełen brawury ojciec i łeb byka, który go zabił.

– Rodzaj ludzki zna… aaach… jedną zaledwie… hmmmm… sztukę – powiedział hrabia, kiedy zebrawszy swój paradny orszak, wyszli z sali do poczekalni, wąskiego pomieszczenia z oknami pod sufitem i szachownicą białych i purpurowych kafli na podłodze.

– Jakaż to sztuka? – zapytał baron.

– To… hmmmmach… sztuka… aaach… rozczarowania – odparł Fenring.

Przedstawiciele niskich rodów z gorliwością i bojaźnią na twarzach roześmiali się za ich plecami, uderzając w ton uznania, ale zabrzmiał on dysonansem w zetknięciu z niespodziewanym rykiem silników, który wdarł się do poczekalni po otwarciu przez paziów zewnętrznych drzwi prosto na rząd naziemnych pojazdów z łopocącymi na wietrze wstęgami proporców.

Baron podniósł głos, by pokonać hałas.

– Mam nadzieję, że nie będziesz rozczarowany występem mojego bratanka, hrabio Fenringu.

– Ja… aaach… jestem… hmmmm… w nastroju radosnego wyczekiwania – powiedział hrabia. – W protokole… aaach… zawsze należy… hmmmmach… zwrócić uwagę… aaach… na nadawcę.

Zaskoczony baron zesztywniał nagle, maskując swe uczucia potknięciem na pierwszym stopniu schodków. „Protokół! Przecież to donos o zbrodni

przeciwko Imperium!”

Ale hrabia, chichocząc, klepnął go w ramię, by wyglądało to na żart.

Jednak przez całą drogę do amfiteatru, rozpierając się w salonce swego pancernego pojazdu, Vladimir rzucał ukradkiem spojrzenia na siedzącego obok Fenringa i zastanawiał się, dlaczego imperatorski chłopiec na posyłki uważał za konieczne zażartować w ten sposób na oczach przedstawicieli niskich rodów. Oczywiste było, że Fenring rzadko robił cokolwiek, czego nie uznał za konieczne, że nie używał dwóch słów, gdy wystarczyło jedno, i że nie trzymał się jednego znaczenia w konkretnym zwrocie.

Zasiedli w złotej loży ponad trójkątem areny przy zgiełku rogów, łopocie powiewających proporców i wrzawie ludzi szczelnie wypełniających rzędy nad nimi i dookoła. I wtedy właśnie baron otrzymał odpowiedź.

– Mój drogi baronie – powiedział hrabia, nachylając się do jego ucha – wiesz przecież, że Imperator nie zaaprobował oficjalnie twojego wyboru dziedzica.

Wstrząśnięty Vladimir poczuł, jakby nagle znalazł się w stożku ciszy. Zapatrzył się na Fenringa, ledwo zauważając hrabinę przechodzącą przez straże powyżej, by dołączyć do towarzystwa w złotej loży.

– To prawdziwy powód, dla którego tu dzisiaj jestem – rzekł hrabia. – Imperator życzy sobie, bym doniósł mu, czy wybrałeś godnego następcę. Nic tak nie odziera z maski jak arena, prawda?

– Imperator obiecał mi swobodę wyboru dziedzica! – warknął baron.

– To się okaże – powiedział Fenring i odwrócił się na powitanie żony.

Siadając, obdarzyła Vladimira uśmiechem, po czym skupiła uwagę na piaszczystej arenie pod nimi, na której pojawił się Feyd-Rautha w pantoflach i trykocie, z długą klingą w obleczonej w czarną rękawicę prawej dłoni i z krótkim nożem w lewej, na której miał białą rękawicę.

– Biel dla trucizny, czerń dla czystości – odezwała się lady Fenring. – Ciekawy obyczaj, nieprawdaż, mój kochany?

– Hmmmm – mruknął hrabia.

Na balkonach zajętych przez rodzinę wybuchła owacja powitalna i Feyd-Rautha przystanął, spoglądając w górę i obrzucając wzrokiem twarze swoich krewniaków, półbraci, konkubin i spowinowaconych out-frein. Ileż różowych jak rozwarte dzioby ust trajkotało pośród łopotania barwnych strojów i flag.

Feydowi-Raucie przyszło nagle na myśl, że te rzędy stłoczonych twarzy patrzyłyby równie chciwie na jego krew jak na krew gladiatora. Nie było wątpliwości co do wyniku tej walki, rzecz jasna. Tutaj istniała jedynie forma niebezpieczeństwa, bez treści… jak dotąd…

Feyd-Rautha podniósł ostrza do słońca, salutując starożytnym zwyczajem trzem rogom areny. Krótki nóż w dłoni w białej rękawicy – biel na znak trucizny – powędrował do pochwy pierwszy. Następnie długa klinga w dłoni o czarnej rękawicy – czyste ostrze, które teraz było nieczyste, tajna broń, która miała obrócić ten dzień w ściśle osobiste zwycięstwo: trucizna na czarnej klindze.

Chwilę tylko zajęła mu regulacja tarczy i przerwa, aż poczuje naprężenie skóry na czole upewniające go, że jest odpowiednio chroniony.

Moment ten miał swój dramatyzm, który Feyd-Rautha wykorzystał z wprawą zawodowego aktora, kłaniając się swoim banderillerom i sekundantom oraz sprawdzając ich ekwipunek: łańcuchy z ostrymi, połyskliwymi kolcami były na miejscu, na zadziorach i hakach powiewały błękitne serpentyny.

Feyd-Rautha dał znak muzykantom.

Rozległ się powolny marsz, pełen starożytnej gali i młody Harkonnen powiódł swą ekipę na przełaj przez arenę, by złożyć hołd stryjowi u stóp

jego loży. Pochwycił w locie rzucony mu symboliczny klucz.

Muzyka się urwała.

W nagłej ciszy Feyd-Rautha cofnął się dwa kroki, uniósł klucz i zawołał:

– Składam ten oto hołd… – Zawiesił głos, wiedząc, że jego stryj pomyśli: „Młody dureń zadedykuje to w końcu hrabinie i wywoła awanturę”. – …memu stryjowi i patronowi, baronowi Vladimirowi Harkonnenowi! – krzyknął i z zachwytem odnotował westchnienie stryja.

Muzykanci zagrali szybkiego marsza, Feyd-Rautha zaś poprowadził swych ludzi truchtem z powrotem pod awaryjne drzwi dostępne jedynie dla tych, którzy nosili właściwą wstęgę identyfikacyjną. Feyd-Rautha szczycił się tym, że nigdy nie skorzystał z awa-drzwi i rzadko potrzebował sekundantów, ale dobrze było wiedzieć, że dziś są pod ręką – szczególne plany wiązały się czasem ze szczególnym niebezpieczeństwem.

Na arenie ponownie zapadła cisza.

Feyd-Rautha odwrócił się, stając twarzą do ogromnych czerwonych drzwi po przeciwnej stronie, z których miał się wyłonić gladiator. Szczególny gladiator.

„Plan Thufira Hawata jest cudownie prosty i jasny” – pomyślał. Niewolnik nie będzie oszołomiony narkotykiem – to było właśnie niebezpieczeństwo. Zamiast tego do podświadomości owego człowieka wprowadzono słowo klucz, które w odpowiednim momencie miało porazić mu mięśnie. Feyd-Rautha przywołał to fatalne słowo w myśli, literując je bezgłośnie: „Wesz”. Publiczności będzie się wydawać, że nieoszołomiony narkotykiem niewolnik został przemycony na arenę, by zabić na-barona. A wszelkie starannie zaaranżowane poszlaki prowadzić będą do mistrza niewolników.

Od serwomotorów czerwonych drzwi doleciało ciche buczenie.

Feyd-Rautha skupił na tych drzwiach całą świadomość. Pierwszy moment był decydujący. Wygląd wynurzającego się gladiatora mówił wyszkolonemu oku tyle, że więcej nie trzeba było wiedzieć. Wszyscy gladiatorzy z zasady byli pod wpływem narkotyku elakka i wkraczali w pozycji bojowej, gotowi przelać krew, ale należało obserwować, jak ważą nóż, którym bokiem ustawiają się do obrony i czy rzeczywiście są świadomi publiczności w lożach. Sposób, w jaki niewolnik przechylał głowę, mógł udzielić stanowiącej o życiu i śmierci wskazówki co do rodzaju odpowiedzi i finty.

Czerwone drzwi rozwarły się na oścież.

Wypadł z nich wysoki, muskularny mężczyzna z ogoloną głową i oczami w ciemnych oczodołach. Jego skóra miała kolor marchwi, jaki powinna mieć po narkotyku elakka, lecz Feyd-Rautha wiedział, że to farba. Niewolnik ubrany był w zielone trykoty i opięty czerwonym pasem półtarczy, której strzałka, skierowana w lewo, wskazywała, który bok jest osłonięty. Nóż trzymał niczym miecz, lekko odchylony na zewnątrz, w pozycji wyszkolonego wojownika. Powoli sunął przez arenę, obracając chroniony bok do Feyda-Rauthy i grupy pod awa-drzwiami.

– On mi coś podejrzanie wygląda – odezwał się jeden z banderillerów. – Jesteś pewien, że dostał narkotyk, mój panie?

– Ma kolor – rzekł Feyd-Rautha.

– Jednak staje jak wojownik – powiedział inny sekundant.

Feyd-Rautha postąpił o dwa kroki na piasek i przypatrywał się niewolnikowi.

– Co on zrobił z ręką? – zapytał kolejny naganiacz.

Wzrok Feyda-Rauthy powędrował do krwawego draśnięcia na lewym przedramieniu mężczyzny i zsunął się aż do dłoni wskazującej

wymalowany krwią rysunek na lewej nogawce zielonych trykotów – wilgotny kształt na udzie tworzył uproszczony kontur jastrzębia.

Jastrząb!

Feyd-Rautha spojrzał w ciemne oczodoły i zobaczył przypatrujące mu się z niezwykłą czujnością gorejące oczy. „To musi być któryś z żołnierzy księcia Leto pojmanych na Arrakis! – pomyślał. – To nie jest zwykły gladiator!” Przeszył go chłód. Zastanawiał się, czy aby Hawat nie miał innego planu w związku z tą areną – w fincie finta w fincie. I mistrz niewolników jako jedyny winowajca!

Główny sekundant Feyda-Rauthy nachylił się do jego ucha.

– Nie podoba mi się ta gęba, mój panie – rzekł. – Pozwól mi wsadzić mu na próbę ze dwie banderille w lewe ramię.

– Sam mu je wsadzę – powiedział Feyd-Rautha. Wziął od sekundanta parę długich, zakończonych haczykami ostrzy i podniósł je, sprawdzając wyważenie. W owych banderillach również z zasady był narkotyk, lecz nie tym razem, co główny sekundant mógł przypłacić życiem. Wszystko to jednak stanowiło część planu.

„Będziesz bohaterem – powiedział Hawat – zabiwszy w pojedynku swego gladiatora mimo zdrady. Mistrz niewolników zostanie stracony, a twój człowiek zajmie jego miejsce”.

Feyd-Rautha zrobił kolejnych pięć kroków w głąb areny, jak najdłużej przeciągając ten moment i obserwując niewolnika. Wiedział, że znawcy w lożach ponad nim już uświadomili sobie, iż coś jest nie tak. Gladiator miał zabarwienie skóry typowe dla człowieka w narkotycznym transie, lecz nie cofał się ani nie dygotał. Wytrawni kibice zapewne szepcą już między sobą: „Patrzcie na jego postawę. Powinien być podekscytowany, atakować albo się cofać. Patrzcie, jak oszczędza siły, jak wyczekuje. Nie powinien wyczekiwać”.

Feyd-Rautha poczuł ogień swego podniecenia. „Co mi tam zdrada w sercu Hawata – myślał. – Dam sobie radę z tym niewolnikiem. To mój długi nóż kryje tym razem truciznę, nie krótki. Nawet Hawat o tym nie wie”.

– Hej, Harkonnenie! – zawołał gladiator. – Jesteś gotów na śmierć?

Nad areną zapadła martwa cisza. Niewolnicy nie rzucają wyzwania!

Feyd-Rautha widział teraz wyraźnie oczy gladiatora; dostrzegł w nich zimną zawziętość rozpaczy. Odnotował pozycję, w jakiej stał ten człowiek, rozluźniony, a zarazem w pogotowiu, z mięśniami szykującymi się do zwycięstwa. Niewolnicza poczta pantoflowa przyniosła gladiatorowi wiadomość od Hawata: „Otrzymasz uczciwą szansę zabicia na-barona”. Tyle ze spisku zgadzało się zatem z planem.

Przez usta Feyda-Rauthy przemknął cierpki uśmiech. Wzniósł banderille, widząc powodzenie swych zamiarów w postawie gladiatora.

– *Olé! Olé!* – rzucił wyzwanie niewolnik i podkradł się dwa kroki bliżej.

„Nikt na balkonach nie może już mieć wątpliwości” – pomyślał Feyd-Rautha.

Ten niewolnik powinien być na poły sparaliżowany narkotycznym przerażeniem. Każdy jego ruch powinien zdradzać wewnętrzne przekonanie, że nie ma dla niego nadziei, że nie dla niego zwycięstwo. Powinien być naszpikowany opowieściami o truciznach, jakimi na-baron pokrywa ostrze trzymane w dłoni o białej rękawicy. Na-baron nigdy nie zadawał szybkiej śmierci – lubował się w demonstrowaniu rzadkich trucizn i potrafił stać na arenie, zwracając uwagę widzów na interesujące skutki uboczne u wijącej się ofiary. Po tym niewolniku znać było lęk, owszem, ale nie przerażenie.

Podnosząc wysoko banderille, Feyd-Rautha niemalże powitalnie skinął głową.

Gladiator skoczył.

Jego finta i odpowiedź były tak znakomite, że lepszych Feyd-Rautha nigdy nie widział. Zadany w tempo cios z boku cudem tylko nie przeciął na-baronowi ścięgien lewej nogi. Feyd-Rautha odtańczył unik, pozostawiając najeżone kolcami drzewce w prawym przedramieniu niewolnika. Haki pogrążyły się w ciele i nie sposób było ich wyciągnąć, nie rozrywając ścięgien.

Z balkonów dobiegło jedno wspólne westchnienie. Dźwięk ten uskrzydlił Feyda-Rauthę.

Wiedział, co przeżywa teraz jego stryj, siedząc tam wysoko z Fenringami, obserwatorami z dworu imperialnego. Nie można było interweniować. W obecności świadków należy przestrzegać form. A baron zinterpretuje wydarzenia na arenie w jeden sposób: jako zagrożenie dla siebie.

Niewolnik cofnął się, trzymając nóż w zębach, i przywiązał kolczaste drzewce serpentyną do ramienia.

– Nie czuję twego żądła! – krzyknął.

Z nożem w pogotowiu na nowo zaczął się podkradać. Zwracał ku na-baronowi lewy bok, odchylony do tyłu, by maksymalnie wykorzystać powierzchnię ochronną półtarczy.

Te poczynania również nie umknęły balkonom. Z lóż rodziny rozległy się donośne okrzyki. Sekundanci Feyda-Rauthy dopytywali się, czy ich nie potrzebuje.

Gestem odprawił ich pod awa-drzwi.

„Urządzę im widowisko, jakiego jeszcze nie oglądali – myślał. – Żadne tam gładkie zabójstwo, którego styl mogliby podziwiać rozparci w lożach. To będzie coś, od czego skręcą im się trzewia. Kiedy zostanę baronem,

przypomną sobie ten dzień i nie będzie wśród nich nikogo, kto nie zadrży ze strachu przede mną, wspomniawszy to”.

Z wolna ustępował pola poruszającemu się jak krab gladiatorowi. Piasek areny chrzęścił mu pod stopami. Słyszał sapanie niewolnika, czuł zapach swego potu i słabą woń krwi w powietrzu.

Na-baron cofał się stale w prawo, trzymając drugą banderillę w pogotowiu. Niewolnik tańczył na boki. Wyglądało na to, że Feyd-Rautha się potknął; doleciały go wrzaski z galerii.

Niewolnik ponownie skoczył.

„Bogowie, cóż za wojownik!” – pomyślał Feyd-Rautha, uskakując. Ocaliła go jedynie młodzieńcza zwinność, ale pozostawił drugą banderillę w mięśniu naramiennym prawej ręki przeciwnika.

Z balkonów buchnęły grzmiące owacje.

„Mnie wiwatują” – pomyślał na-baron. Słyszał w tych głosach szaleństwo, dokładnie tak jak przepowiedział Hawat. Nigdy przedtem nie gratulowali wojownikowi z rodziny w ten sposób. I z ponurą zjadliwością przypomniał sobie coś, co mu powiedział Hawat: „Najłatwiej przestraszyć się przeciwnika, którego się podziwia”.

Pospiesznie wycofał się na środek areny, gdzie wszyscy mogli go dobrze widzieć. Dobył długiego ostrza, pochylił się i czekał na zbliżającego się niewolnika.

Mężczyzna zwolnił tylko na tyle, ile trzeba było, by przywiązać do ramienia drugą banderillę, po czym rzucił się w pościg.

„Niechaj rodzina przyjrzy się, jak to robię – pomyślał Feyd-Rautha. – Jestem ich przeciwnikiem, niech więc myślą o mnie takim, jakiego teraz widzą”.

Dobył krótkiego ostrza.

– Nie boję się ciebie, harkonneńska świnio – powiedział gladiator. – Twoje tortury nie zranią martwego człowieka. Mogę zginąć od własnego noża, zanim sekundant położy palec na moim ciele. I zabiorę cię ze sobą na tamten świat.

Feyd-Rautha wyszczerzył zęby w uśmiechu, wysuwając tym razem długą, zatrutą klingę.

– Spróbuj tego – rzekł, po czym wykonał fintę krótkim ostrzem.

Niewolnik przerzucił nóż do drugiej dłoni, obszedł zarówno paradę, jak i fintę i zablokował dłoń w białej rękawicy, która – jak nakazywała tradycja – powinna trzymać zatrute ostrze.

– Umrzesz, Harkonnenie! – sapnął gladiator.

Wodzili się na boki po piasku. Miejsce styku tarczy Feyda-Rauthy z półtarczą niewolnika jarzyło się błękitnie. Ozon z tarcz rozchodził się w powietrzu.

– Giń od swej trucizny! – wychrypiał niewolnik. Zaczął skręcać dłoń w białej rękawicy do środka, odwracając nóż, który miał za zatruty.

„Niechaj to zobaczą!” – pomyślał Feyd-Rautha. Opuścił długą klingę i usłyszał jej daremny brzęk na kolczastym drzewcu przywiązanym do ramienia niewolnika. Przeżył chwilę rozpaczy. Nie spodziewał się, że najeżona kolcami broń przyniesie korzyść przeciwnikowi. A ona dała mu drugą tarczę. I siła tego gladiatora! Krótkie ostrze kierowało się nieubłaganie do środka i Feyd-Rautha pomyślał, że przecież człowiek może tak samo zginąć od niezatrutego noża.

– Wesz! – wykrztusił.

Słowo klucz sprawiło, że mięśnie gladiatora posłusznie zwiotczały na moment. To wystarczyło Feydowi-Raucie. Zwiększył odległość między nimi na tyle, by użyć długiej klingi. Zatruty sztych śmignął, rysując

czerwoną krechę przez pierś niewolnika. Trucizna niosła natychmiastową agonię. Mężczyzna uwolnił się i zatoczył do tyłu.

„Teraz niech moja droga rodzinka patrzy – pomyślał Feyd-Rautha. – Niech się zastanowi nad tym niewolnikiem, który próbował zwrócić zatruty, jak sądził, nóż przeciwko mnie. Niech się dziwi, jak mógł wyjść na tę arenę gladiator zdolny do czegoś takiego. I niechaj zawsze pamięta, że nigdy nie będzie pewna, w której z moich dłoni jest trucizna”.

Stał w milczeniu, śledząc powolne ruchy niewolnika. Mężczyzna był oszołomiony. Na jego twarzy rysowało się teraz coś oczywistego dla każdego obserwatora. Była na niej wypisana śmierć. Niewolnik wiedział, że mu ją zadano, i wiedział, jak to się stało.

Trucizna była na niewłaściwym ostrzu.

– Ty draniu! – jęknął.

Feyd-Rautha cofnął się, robiąc miejsce dla śmierci. Paraliżujący narkotyk w truciźnie jeszcze nie w pełni zadziałał, lecz powolność tego człowieka świadczyła o czynionych przez niego postępach.

Niewolnik chwiejnie ruszył do przodu, jakby pociągany na sznurku, wlokąc się krok za krokiem. Każdy taki krok był jednym jedynym stąpnięciem w jego wszechświecie. Nadal ściskał nóż, ale koniec ostrza kołysał się niepewnie.

– Pewnego dnia… jeden… z nas… dostanie… cię – wyszeptał.

Smutny, kruchy grymas wykrzywił mu usta. Usiadł, legł, zesztywniał nagle i obrócił się na brzuch.

Feyd-Rautha zbliżył się w ciszy, wsunął stopę pod gladiatora i przeturlał go na plecy, aby z balkonów widziano wyraźnie twarz, kiedy jej mięśnie zaczną się skręcać i wykrzywiać pod wpływem trucizny, ale mężczyzna obrócił się razem z nożem sterczącym mu z piersi.

Mimo zawodu Feyd-Rautha odczuwał w głębi ducha pewien podziw dla wysiłku, na jaki zdobył się ten niewolnik, przezwyciężając paraliż, by to zrobić. Wraz z podziwem przyszła świadomość, że jest w tym coś, czego naprawdę trzeba się bać. „To, co czyni człowieka nadczłowiekiem, jest przerażające”.

Kiedy skupił się na tej myśli, dotarł do niego wybuch wrzawy z lóż i galerii wokół areny. Wiwatowano bez opamiętania.

Feyd-Rautha odwrócił się, podnosząc ku nim oczy.

Wiwatowali wszyscy prócz barona, który z brodą wspartą na dłoni siedział w głębokiej zadumie, oraz hrabiego i lady Fenringów spoglądających na niego z góry z uśmiechami przylepionymi do twarzy.

Hrabia zwrócił się do żony.

– Achmmmm… zaradny… hmmmm… młodzieniec, nieprawdaż… hmmmm… moja droga?

– Jego reakcje synaptyczne są bardzo szybkie – powiedziała.

Baron popatrzył na nią, na hrabiego, a potem znowu na arenę. „Żeby komuś udało się tak dobrać do jednego z moich bliskich – myślał. Strach zaczął ustępować wściekłości. – Wieczorem upiekę mistrza niewolników na wolnym ogniu… A jeśli ten hrabia i jego pani maczali w tym palce…”

Dla Feyda-Rauthy rozmowa w loży barona była jedynie pantomimą, gdyż głosy utonęły w dochodzącym teraz ze wszystkich stron przytupywaniu i skandowaniu:

– Głowa! Głowa! Głowa! Głowa!

Baron nachmurzył się, widząc, jak Feyd-Rautha spogląda ku niemu. Ociężale, z trudem panując nad wściekłością, skinął dłonią młodzieńcowi stojącemu nad rozciągniętym ciałem gladiatora. „Dajmy chłopcu głowę – pomyślał. – Zasłużył na nią, demaskując mistrza niewolników”.

Feyd-Rautha dostrzegł przyzwalający znak. „Myślą, że to dla mnie zaszczyt. Niech zobaczą, co ja o tym myślę”.

Spostrzegłszy swych sekundantów nadchodzących z zębatym nożem, by oddać mu honor, odprawił ich i powtórzył gest, kiedy się zawahali. „Myślą, że uhonorują mnie samą głową!” Pochylił się, skrzyżował ręce gladiatora wokół sterczącej rękojeści noża, wyjął ostrze i umieścił broń w bezwładnych dłoniach. Wykonał to w mgnieniu oka i prostując się, skinął na sekundantów.

– Pochowajcie tego niewolnika nietkniętego, z nożem w dłoniach – powiedział. – Zasłużył na to.

W złotej loży hrabia Fenring nachylił się do barona.

– Wielki to gest, prawdziwa brawura – powiedział. – Twój bratanek ma i klasę, i odwagę.

– Obraża tłum, nie przyjmując głowy – mruknął Vladimir.

– Nic podobnego – stwierdziła hrabina Fenring. Odwrócona, rozglądała się po galeriach w górze.

Baron zauważył kształt jej szyi, zaiste cudowną, niczym u młodego chłopca, płynność mięśni.

– Podoba im się to, co zrobił twój bratanek – powiedziała.

Podczas gdy sens gestu Feyda-Rauthy docierał do najodleglejszych miejsc i gdy ludzie spoglądali na sekundantów wynoszących nietknięte ciało gladiatora, obserwujący ich baron zdał sobie sprawę, że prawidłowo zrozumiała reakcję tłumów. Wszyscy szaleli, poklepując się wzajemnie, wyjąc i tupiąc.

– Będę musiał zarządzić festyn – rzekł baron bezbarwnym głosem. – Nie można puścić ludzi do domów w takim stanie, naładowanych energią. Muszą zobaczyć, że podzielam ich upojenie. – Dał ręką znak swemu

gwardziście na górze, a ten zasalutował ponad lożą pomarańczowym proporcem Harkonnenów – raz, dwa, trzy razy – ogłaszając festyn.

Przeszedłszy arenę, Feyd-Rautha stanął pod złotą lożą z bronią w pochwie i z rękoma opuszczonymi wzdłuż boków.

– Festyn, stryju? – zawołał, przekrzykując tłumy.

Wrzawa zaczęła cichnąć, ludzie uspokoili się, gdy dostrzeżono ich rozmowę.

– Na twoją cześć, Feydzie! – oznajmił z góry baron. I ponownie dał znak, by opuścić proporzec.

Po drugiej stronie areny wyłączono awa-szlabany i młodzi ludzie zeskakiwali na piasek, by popędzić ku Feydowi-Raucie.

– Kazałeś opuścić awa-szlabany, baronie? – spytał hrabia.

– Nikt nie skrzywdzi chłopaka – powiedział Vladimir. – Jest bohaterem.

Pierwsi z szarżującego tłumu dosięgli Feyda-Rauthy i podniósłszy go, ruszyli wokół areny.

– Dzisiejszej nocy mógłby spacerować bez broni i tarczy po najbiedniejszych dzielnicach Harko – rzekł baron. – Podzieliliby się z nim ostatnim kęsem jadła i napojem, byle tylko był z nimi. – Uniósł się z krzesła, przenosząc ciężar ciała na dryfy. – Proszę mi wybaczyć. Wzywają mnie niecierpiące zwłoki sprawy. Straż odprowadzi was do cytadeli.

Hrabia wstał i skłonił się mu.

– Oczywiście, baronie. Z niecierpliwością wyglądamy festynu. Ja… achmmmm… nigdy nie widziałem harkonneńskiego festynu.

– Właśnie – powiedział Vladimir. – Festyn. – Odwrócił się i opuścił lożę prywatnym wyjściem, otoczony czekającą tam strażą przyboczną.

Kapitan straży skłonił się przed hrabią Fenringiem.

– Co rozkażesz, mój panie?

– Zaczekamy… aaach… aż przejdzie… hmmmm… największy… hmmmm… ścisk – zdecydował hrabia.

– Tak jest, mój panie. – Mężczyzna cofnął się trzy kroki w niskim ukłonie.

Hrabia Fenring obrócił twarz do małżonki i ponownie odezwał się w ich osobistym języku:

– Zauważyłaś to oczywiście?

– Chłopak wiedział, że gladiator nie będzie po narkotyku – odparła tym samym kodem. – Przeżył chwilę strachu, owszem, ale nie zaskoczenia.

– To było ukartowane – stwierdził. – Całe to przedstawienie.

– Bez wątpienia.

– Śmierdzi mi to Hawatem.

– Jak najbardziej – przyznała.

– Zażądałem wcześniej, żeby baron zlikwidował Hawata.

– Popełniłeś błąd, mój drogi.

– Widzę to teraz.

– Harkonnenowie mogą wkrótce mieć nowego barona.

– Jeżeli taki jest plan Hawata.

– To wymaga sprawdzenia, istotnie – powiedziała.

– Młody będzie korniej szedł na pasku.

– Naszym… po dzisiejszej nocy – rzekła.

– Nie przewidujesz kłopotów z uwiedzeniem go, moja ty zarodowa klaczko?

– Nie, mój kochany. Widziałeś, jak na mnie patrzył.

– Tak, a teraz widzę, dlaczego musimy mieć tę linię genetyczną.

– Właśnie. I jasne jest, że musimy mieć go w garści. Na samym dnie jego najgłębszej jaźni zaszczepię niezbędne zwroty prana i bindu, które rzucą go na kolana.

– Wyjedziemy stąd jak najszybciej… kiedy tylko będziesz pewna – powiedział.

Zadygotała.

– Niewątpliwie. Nie chcę urodzić dziecka w tym strasznym miejscu.

– Czego to się nie robi dla ludzkości – rzekł.

– Twoja rola jest łatwa – odparła.

– Istnieją pewne starodawne uprzedzenia, które muszę pokonać – stwierdził. – Są zgoła pierwotnej natury, jak wiesz.

– Moje drogie biedactwo. – Poklepała go po policzku. – Zdajesz sobie sprawę, że to jedyny pewny sposób zachowania tej linii.

– Doskonale rozumiem, co robimy – powiedział oschle.

– Nie przegramy.

– Wina rodzi się z poczucia przegranej – przypomniał jej.

– Nie będzie żadnej winy – oświadczyła. – Hipnowiązanie w psychice tego Feyda-Rauthy, a potem jego dziecko w moim łonie i… już nas nie ma.

– Ten jego stryj – powiedział. – Widziałaś kiedykolwiek takie zwyrodnienie?

– Jest bardzo krwiożerczy – odparła – ale bratanek z powodzeniem może wyrosnąć na jeszcze gorszego.

– Za sprawą takiego stryja. Wiesz, kiedy się pomyśli, czym mógłby być ten chłopak przy innym wychowaniu… według kodeksu Atrydów, na przykład.

– To smutne – stwierdziła.

– Gdyby tak można było ocalić i młodego Atrydę, i jego. Z tego, co słyszałem o tym Paulu, to wspaniały chłopak, idealne połączenie wychowania i szkolenia. – Pokręcił głową. – Ale nie czas żałować róż, gdy płoną lasy.

– Jest pewne porzekadło Bene Gesserit – odezwała się.

– Ty na wszystko masz porzekadła – zaprotestował.

– To ci się akurat spodoba – powiedziała. – Mówi ono: „Nie uważaj człowieka za zmarłego, dopóki nie zobaczysz jego ciała. A nawet wtedy możesz się pomylić”.

Muad’Dib powiada nam w *Porze zadumy*, że pierwsze zderzenia z arrakijskimi wymogami były dla niego prawdziwym początkiem edukacji. Wtedy to nauczył się przewidywać pogodę z tyczenia piasku, poznał język żądeł wiatru kąsających mu skórę, dowiedział się, jak potrafi grać w nosie świerzbiącym od piachu i jak otulać się drogocenną wilgocią swego ciała, by jej strzec i bronić. Kiedy oczy jego przybrały błękit ibada, nauczył się postawy Chakobsa.

– z przedmowy Stilgara do *Muad’Dib jako człowiek* pióra księżnej Irulany

Powracający do siczy z dwojgiem rozbitków pustyni oddział Stilgara wychodził z basenu w zanikającym blasku pierwszego księżyca. Owinięte dżubbami sylwetki spieszyły się, czując bliskość domu. Szara kreska świtu za nimi była najjaśniejszą kartką ich horyzontalnego kalendarza, który wskazywał środek jesieni w miesiącu monadnoku.

Podnóże urwiska pełne było naniesionych przez wiatr martwych liści, które zbierały dzieci z siczy, jednak odgłosów oddziału nie dało się odróżnić od naturalnych dźwięków nocy, z wyjątkiem zdarzających się od czasu do czasu potknięć Paula i jego matki.

Paul starł z czoła zlepiony potem kurz. Poczuł szarpnięcie za ramię i usłyszał syk Chani:

– Zrób, jak ci mówiłam: naciągnij fałdę kaptura na czoło! Tylko oczy zostaw odkryte. Marnujesz wilgoć.

Wydany za ich plecami szeptem rozkaz nakazał milczenie:

– Pustynia cię słyszy!

Wysoko wśród skał nad ich głowami zaćwierkał ptak.

Oddział zatrzymał się i Paul wyczuł nagłe napięcie.

Od skał dobiegło słabe tuptanie, dźwięk równie cichy jak mysie podskoki na piasku.

Ponownie zaćwierkał ptak.

W szeregach nastąpiło poruszenie. I znowu rozległo się mysie tuptanie po piasku.

Raz jeszcze zaćwierkał ptak.

Oddział podjął wspinaczkę w skalnej szczelinie, lecz Fremeni jakby wstrzymali oddech. Paul dostrzegł ich ukradkowe spojrzenia rzucane w stronę Chani. Zauważył, że zamknęła się, wręcz zapadła w siebie, i wszystko to nakazało mu ostrożność.

Podłoże było już skaliste. W ledwo uchwytnych szarościach i szelestach dżubb Paul wyczuwał rozluźnienie dyscypliny i wciąż tę wewnętrzną martwotę w Chani i pozostałych. Podążył za mglistym cieniem w górę, po stopniach, za zakręt, kolejnymi stopniami do tunelu, przez dwie pary drzwi z grodziami wilgoci i wreszcie do oświetlonego lumisferą wąskiego korytarza o ścianach i suficie z żółtej skały.

Paul widział, jak dookoła Fremeni odrzucają kaptury, usuwają wtyki nosowe i oddychają głęboko. Ktoś westchnął. Chłopak rozejrzał się za Chani i stwierdził, że gdzieś odeszła. Otaczała go ciżba zawiniętych w dżubby ciał. Szturchnięty, usłyszał:

– Przepraszam, Usulu. Ale ścisk! Zawsze tak jest.

Pociągła, brodata twarz Faroka obróciła się do Paula z lewej strony. Pokryte barwnikiem oczodoły i błękitny mrok oczu wyglądały jeszcze ciemniej pod żółtymi lumisferami.

– Zrzuć kaptur, Usulu – powiedział Farok. – Jesteś w domu.

Pomógł chłopakowi zwolnić zatrzask kaptura, robiąc łokciami miejsce wokół nich.

Paul wyjął wtyki nosowe i odsunął filtr ustny. W nozdrza buchnął mu panujący w pomieszczeniu smród: niemyte ciała, destylaty estrowe

z wykorzystywanych wydalin, wszędzie kwaśne ludzkie wyziewy, a ponad tym wszystkim zapachowa burza przyprawy i jej pochodnych.

– Na co czekamy, Faroku? – zapytał.

– Chyba na matkę wielebną. Słyszałeś wiadomość… Biedna Chani.

„Biedna Chani?" – zdumiał się. Rozejrzał się, ciekawy, gdzie ona jest i gdzie też podziała się w całym tym ścisku jego matka.

Farok głęboko wciągnął powietrze.

– Zapachy domu – powiedział.

Paul stwierdził, że ten człowiek rozkoszuje się smrodliwym powietrzem, że w jego głosie nie ma ironii. Wtem usłyszał chrząknięcie matki i przez ciżbę doszedł go jej głos:

– Jakież bogactwo woni jest w twej siczy, Stilgarze. Widzę, że przerabiacie znaczne ilości przyprawy… produkujecie papier… tworzywa… i czy nie także chemiczne materiały wybuchowe?

– Poznajesz to po zapachu? – spytał ktoś, a Paul zdał sobie sprawę, że matka mówiła z myślą o nim, że chciała, by szybko pogodził się z tym atakiem na swoje powonienie.

Od czoła oddziału doleciał szmer ożywienia i przeciągłe westchnienie, jakby podawane sobie przez Fremenów, aż Paul usłyszał ściszone głosy przekazujące do tyłu wiadomość.

– Więc to prawda. Liet nie żyje.

„Liet" – pomyślał Paul. A potem: „Chani, córka Lieta". Kawałki łamigłówki ułożyły mu się w całość. „Liet" było fremeńskim imieniem planetologa.

Spojrzał na Faroka.

– Czy to ten Liet, który jest znany jako Kynes? – zapytał.

– Jest tylko jeden Liet – odparł Farok.

Chłopak odwrócił się i utkwił wzrok w okrytych dżubbą plecach Fremena przed sobą. „Więc Liet-Kynes nie żyje” – pomyślał.

– To harkonneńska zdrada – zasyczał ktoś. – Upozorowali wypadek… zaginął na pustyni… w katastrofie ornitoptera…

Paul czuł, jak rozsadza go gniew. Człowiek, który obdarzył ich przyjaźnią, który pomógł im uratować się przed harkonneńskimi siepaczami, który rozesłał swoje fremeńskie kohorty na poszukiwanie dwojga rozbitków na pustyni… kolejną ofiarą Harkonnenów.

– Czy Usul już łaknie zemsty? – zapytał Farok.

Nim Paul zdążył odpowiedzieć, rozległ się cichy okrzyk i oddział popłynął naprzód, zabierając chłopaka do szerszej komory. Znalazł się na wolnej przestrzeni przed Stilgarem i nieznajomą kobietą w powłóczystym, jaskrawym pomarańczowo-zielonym sari. Ręce kobiety były obnażone do ramion i nie miała filtraka. Jej skóra była jasnooliwkowa. Ciemne włosy spływały do tyłu z wysokiego czoła, podkreślając wystające kości policzkowe i orli nos między ciemnymi jak atrament plamami oczu.

Obróciła się ku niemu i Paul dostrzegł zwisające z jej uszu złote kółka z nanizanymi talionami wody.

– Toto pokonało mego Dżamisa? – spytała.

– Uspokój się, Haro – rzekł Stilgar. – To była sprawka Dżamisa… on przywołał tahaddi al-burhan.

– Toż to jeszcze chłopiec! – powiedziała. Gwałtownie pokręciła głową, dzwoniąc talionami wody. – Moje dzieci pozbawione ojca przez inne dziecko? To był z pewnością jakiś wypadek!

– Ile masz lat, Usulu? – zapytał Stilgar.

– Piętnaście standardowych – odparł Paul.

Stilgar omiótł oddział wzrokiem.

– Znajdzie się jakiś chętny, by rzucić mi wyzwanie?

Cisza.

Spojrzał na kobietę.

– Dopóki nie nauczę się jego magicznych sposobów, nie wyzwę go.

Hara nie spuściła oczu.

– Ale…

– Widziałaś tę obcą, która poszła z Chani do matki wielebnej? – zapytał Stilgar. – Ona jest sajjadiną out-frein i matką tego chłopaka. Matka i syn są mistrzami magicznej sztuki walki.

– Lisan al-Gaib – szepnęła kobieta.

Z jej oczu wyzierał lęk, kiedy obróciła je na Paula.

„Znowu ta legenda” – pomyślał chłopak.

– Być może – rzekł Stilgar – ale to jeszcze nie zostało poddane próbie. – Zwrócił się do Paula: – Usulu, zgodnie z naszym zwyczajem na tobie spoczywa teraz odpowiedzialność za kobietę Dżamisa i jego dwóch synów. Jego jali, kwatera, należy do ciebie. Jego serwis do kawy jest twój… i jego kobieta.

Paul przyglądał się Harze zaintrygowany. „Dlaczego ona nie opłakuje swego mężczyzny? Dlaczego nie okazuje mi ani odrobiny nienawiści?” Nagle spostrzegł, że Fremeni wpatrują się w niego.

– Czeka nas robota – szepnął któryś. – Powiedz, jak ją bierzesz.

– Bierzesz Harę jako kobietę czy jako służącą? – zapytał Stilgar.

Podniósłszy ręce, Hara powolutku obróciła się na pięcie.

– Jestem ciągle młoda, Usulu. Mówią, że wciąż wyglądam tak młodo jak wtedy, gdy byłam z Geoffem… nim Dżamis go pokonał.

„Dżamis zabił innego, by ją zdobyć” – pomyślał Paul.

– Jeżeli wezmę ją jako służącą, czy mogę później zmienić zdanie? – zapytał.

– Będziesz miał rok na zmianę decyzji – odparł Stilgar. – Potem ona stanie się wolną kobietą i będzie mogła sama decydować o sobie… Możesz też wyzwolić ją w każdej chwili, ale tak czy inaczej, odpowiadasz za nią przez cały rok… A zawsze będziesz w jakiś sposób odpowiedzialny za dzieci Dżamisa.

– Biorę ją jako służącą – oznajmił Paul.

Hara tupnęła nogą i ze złością potrząsnęła ramionami.

– Ale ja jestem młoda!

Stilgar spojrzał na Paula.

– Ostrożność – powiedział – to cenna zaleta u mężczyzny, który ma przewodzić.

– Ale ja jestem młoda! – powtórzyła Hara.

– Cicho bądź – rozkazał jej Stilgar. – Jeśli coś ma wartość, to nie zginie. Zaprowadź Usula do jego kwatery i zadbaj, by miał świeże ubranie i miejsce do odpoczynku.

– Oooch! – powiedziała.

Spostrzeżenia Paula wystarczyły do wstępnej rejestracji Hary. Wyczuł zniecierpliwienie oddziału i wiedział, że wiele spraw się tutaj opóźnia. Zastanawiał się, czy może spytać Stilgara, gdzie przebywają Chani i matka, lecz po jego zdenerwowaniu zorientował się, że byłby to błąd.

Zwrócił się do Hary, nadając głosowi taki ton i tremolo, żeby pogłębić jej lęk i onieśmielenie:

– Prowadź mnie do mojej kwatery, Haro – rozkazał. – O twojej młodości pomówimy kiedy indziej.

Cofnęła się dwa kroki, posyłając Stilgarowi wystraszone spojrzenie.

– On ma magiczny głos – wychrypiała.

– Stilgarze – rzekł Paul – ojciec Chani obarczył mnie wielką odpowiedzialnością. Jeśli jest cokolwiek…

– O tym zadecyduje rada – odparł Stilgar. – Wtedy możesz zabrać głos. – Dał znak do rozejścia się i odszedł wraz z resztą oddziału.

Paul ujął Harę za ramię. Zauważył, jak chłodne wydaje się jej ciało, czuł, jak drży.

– Nie skrzywdzę cię, Haro – powiedział. – Prowadź do naszej kwatery – dodał, złagodziwszy głos czynnikami relaksującymi.

– Nie przepędzisz mnie po roku? – zapytała. – Wiem, że tak naprawdę nie jestem taka młoda jak kiedyś.

– Masz przy mnie miejsce, dopóki będę żył – rzekł i puścił jej ramię. – No, gdzie jest ta nasza kwatera?

Odwróciwszy się, ruszyła przodem w głąb korytarza, po czym skręciła w prawo w szeroki poprzeczny tunel oświetlony żółtymi, rozstawionymi w równych odległościach lumisferami. Kamienna podłoga była gładka, piasek wymieciony.

Paul zrównał się z nią i oglądał jej orli profil.

– Nie nienawidzisz mnie, Haro?

– Dlaczego miałabym cię nienawidzić?

Kiwnęła głową gromadce dzieci, które patrzyły na nich z podwyższonego progu otworu w ścianie. Za dziećmi mignęły Paulowi sylwetki dorosłych, ukryte częściowo za cienkimi zasłonami.

– Ja… pokonałem Dżamisa.

– Stilgar powiedział, że ceremonia się odbyła i że jesteś przyjacielem Dżamisa. – Zerknęła na niego z ukosa. – Powiedział też, że ofiarowałeś wilgoć umarłemu. To prawda?

– Tak.

– To więcej, niż ja zrobię… niż potrafię zrobić.

– Nie opłakujesz go?

– Gdy przyjdzie pora opłakiwania, zrobię to.

Mijali sklepiony otwór. Paul zajrzał do wielkiej, jasnej komory, zobaczył mężczyzn i kobiety pracujących przy zamontowanych na statywach maszynach. Uwijali się jak w ukropie, najwyraźniej nagleni pilną potrzebą.

– Co oni tam robią? – zapytał.

Obejrzała się, kiedy minęli już sklepione wejście.

– Spieszą się, by wykonać normę zakładu tworzyw sztucznych przed naszą ucieczką. Potrzebujemy mnóstwo kolektorów rosy do sadzonek.

– Ucieczką?

– Dopóki mordercy nie przestaną na nas polować albo nie przegnamy ich z naszej ziemi, musimy uciekać.

Paul czuł, że pobłądził na manowcach chwili zatrzymanego czasu, we wspomnieniu jakiegoś fragmentu, jakiejś wizualnej projekcji jasnowidzenia, ale poprzemieszczanej niczym ruchoma mozaika. Okruchy jego wieszczej pamięci nie były dokładnie takie, jakie pamiętał.

– Polują na nas sardaukarzy – rzekł.

– Znajdą najwyżej jedną czy dwie puste sicze – odparła. – I śmierć w piasku.

– A to miejsce znajdą? – zapytał.

– Prawdopodobnie.

– Mimo to tracimy czas na – skinął głową w stronę łuku, który zostawili już daleko za sobą – robienie… kolektorów rosy?

– Sadzenie trwa dalej.

– Co to takiego te kolektory rosy? – spytał.

Spojrzała na niego zdziwiona.

– Niczego was nie uczą tam… skądkolwiek pochodzisz?

– Nie o kolektorach rosy.

– Ha! – rzuciła i w słowie tym zamknęła całą konwersację.

– No więc co to takiego?

– Każdy krzak, każde ziele, które widzisz w ergu… jak według ciebie ono żyje, kiedy je zostawiamy? Każde bardzo pieczołowicie zasadzono w maleńkim dołku. Dołki są wypełnione gładkimi owalami z chromoplastiku. W świetle owale robią się białe. Widać, jak połyskują o świcie, jeśli się patrzy z wysokiego miejsca. Biel odbija promienie. Kiedy jednak Praojciec Słońce odchodzi, chromoplastik staje się przezroczysty w mroku. Ochładza się z niesamowitą szybkością. Jego powierzchnia skrapla wilgoć z powietrza. Ta wilgoć ścieka w dół, utrzymując nasze rośliny przy życiu.

– Kolektory rosy – wyszeptał Paul, oczarowany prostym pięknem tego pomysłu.

– Opłaczę Dżamisa, gdy przyjdzie na to pora – powiedziała Hara, jak gdyby jego wcześniejsze pytanie nie dawało jej spokoju. – Dobry to był mężczyzna, choć popędliwy. Dobrym żywicielem był mój Dżamis i cudownym ojcem dla dzieci. Nie robił różnicy między chłopcem Geoffa, moim pierworodnym, a własnym synem. Byli równi w jego oczach. – Spojrzała badawczo na Paula. – Czy tak samo będzie z tobą, Usulu?

– My nie mamy tego problemu.

– Ale gdyby…

– Haro!

Szorstki głos Paula sprawił, że się wzdrygnęła.

Minęli następne jasno oświetlone pomieszczenie, widoczne przez sklepione wejście z lewej strony.

– A tam co robią? – zapytał.

– Naprawiają maszyny tkackie – odparła – ale muszą je zdemontować przed nocą. – Wskazała odgałęzienie tunelu po lewej ręce. – Dalej w tę stronę jest przetwórnia żywności i konserwacja filtraków. – Popatrzyła na

Paula. – Twój wygląda na nowy, lecz gdyby wymagał naprawy, znam się na filtrakach. Pracuję sezonowo w ich wytwórni.

Zaczęli napotykać gromadki ludzi, coraz więcej było też otworów w ścianach tunelu. Minął ich rząd mężczyzn i kobiet dźwigających ciężkie, bulgoczące sakwy, od których biła silna woń przyprawy.

– Nie dostaną naszej wody – powiedziała Hara – ani naszej przyprawy. Możesz być pewny.

Paul zerknął na otwory w ścianach tunelu – dostrzegł grube dywany na podwyższonych progach, mignęły mu jaskrawe tkaniny na ścianach, stosy poduszek. Ludzie w wejściach milkli na ich widok, ścigając chłopaka dzikimi spojrzeniami.

– Oni uważają, że to dziwne, że pokonałeś Dżamisa – powiedziała Hara. – Zapewne będziesz się musiał wykazać, kiedy osiądziemy w nowej siczy.

– Nie lubię zabijać.

– Tak twierdzi Stilgar – rzekła, ale jej głos zdradzał niedowierzanie.

Przed nimi coraz głośniej rozbrzmiewało przenikliwe skandowanie. Zbliżyli się do kolejnego wejścia, szerszego od wszystkich poprzednich. Paul zwolnił kroku i zajrzał do sali pełnej dzieci, które siedziały ze skrzyżowanymi nogami na kasztanowatym dywanie.

Przy tablicy pod przeciwległą ścianą stała z projekcyjnym wskaźnikiem kobieta w żółtym sari. Tablicę pokrywały rysunki – kółka, trójkąty, krzywe, wężyki i kwadraty, płynne łuki poprzecinane równoległymi liniami. Kobieta wskazywała kolejne rysunki tak szybko, jak tylko mogła przesunąć stylus, a dzieci skandowały w rytmie poruszeń jej dłoni.

Paul słuchał głosów cichnących za nimi, w miarę jak zagłębiał się z Harą w sicz.

– Drzewo – wyśpiewywały dzieci. – Drzewo, trawa, wydma, wiatr, góra, wzgórze, ogień, błyskawica, skała, kamienie, pył, piasek, upał, kryjówka,

upał, pełnia, zima, zimny, pusty, erozja, lato, jaskinia, dzień, napięcie, księżyc, noc, monadnok, pyłopływ, stok, sadzonka, ściągacz…

– Prowadzicie lekcje w takim czasie? – spytał Paul.

Twarz jej sposępniała, w głosie zabrzmiał żal.

– Nie możemy ani na chwilę zaniechać tego, czego nauczył nas Liet. Liet, który nie żyje, nie może zostać zapomniany. Taka jest postawa Chakobsa. – Przeszła na lewą stronę tunelu, wspięła się na próg i rozdzieliwszy pomarańczowe kotary, stanęła z boku. – Twoja jali czeka na ciebie, Usulu.

Paul zawahał się, nim dołączył do niej na progu. Poczuł nagłą niechęć do przebywania sam na sam z tą kobietą. Dotarło do niego, że osacza go filozofia życia, którą można zrozumieć jedynie, przyjmując aksjomat ekologicznego idealizmu i materializmu. Czuł, że ten fremeński świat próbuje go złapać w swoje sidła. I wiedział, co go czeka, gdy już w nie wpadnie – szalony dżihad, święta wojna, której za wszelką cenę chciał uniknąć.

– To twoja jali – powiedziała Hara. – Dlaczego się wahasz?

Paul kiwnął głową i przyłączył się do niej na progu. Podniósł drugie skrzydło zasłony, czując metalowe włókna w tkaninie, następnie zaś wszedł za Harą do krótkiego korytarza i dalej, do większego, kwadratowego pomieszczenia o boku długości około sześciu metrów. Jego podłoga zasłana była puszystymi niebieskimi dywanami, na skalnych ścianach wisiały błękitne i zielone tkaniny, nad głową nastawione na żółte światło lumisfery kołysały się na tle żółtych draperii sufitu.

Wnętrze przypominało starożytny namiot.

Hara stanęła przed nim z lewą ręką na biodrze i uważnie mu się przyglądała.

– Dzieci są teraz u przyjaciółki. Poznasz je później – oznajmiła.

Ukrył swoje zakłopotanie, omiatając szybko wzrokiem pomieszczenie. Za zasłoną po prawej dostrzegł zakryty częściowo większy pokój, ze stosami poduszek pod ścianami. Wyczuł lekki podmuch z przewodu wentylacyjnego i zauważył wylot sprytnie ukryty w ornamencie zasłon przed sobą.

– Życzysz sobie, abym pomogła ci zdjąć filtrak? – spytała Hara.

– Nie… dziękuję.

– Podać jedzenie?

– Tak.

– Za drugim pokojem jest komora odzysku. – Wskazała ręką. – Dla twojej przyjemności i wygody, kiedy nie nosisz filtraka.

– Mówiłaś, że musimy opuścić tę sicz – rzekł Paul. – Nie powinniśmy się pakować albo coś w tym rodzaju?

– Zrobimy to w odpowiednim czasie – powiedziała. – Siepacze muszą najpierw przeniknąć do naszego regionu.

Nadal się ociągała, zapatrzona w niego.

– O co chodzi? – spytał.

– Nie masz spojrzenia ibada. To dziwne, ale całkiem pociągające.

– Przynieś to jedzenie – rzekł. – Jestem głodny.

Posłała mu domyślny kobiecy uśmiech, który wprawił go w zakłopotanie.

– Jestem do twoich usług – powiedziała, a potem zawirowała jak baletnica i odpłynęła, dając nurka za grubą kotarę, która nim opadła na miejsce, ukazała mu następny korytarz.

Zły na siebie, Paul wśliznął się za delikatną zasłonę z prawej strony do większego pokoju. Tam przystanął na moment, bijąc się z myślami. Zastanawiał się, gdzie może być Chani… Chani, która dopiero co straciła ojca.

„W tym jesteśmy do siebie podobni” – stwierdził.

Z zewnętrznych korytarzy dobiegło stłumione przez kotary zawodzenie. Powtórzyło się z nieco większej odległości. I raz jeszcze. Podawano czas i Paul uświadomił sobie, że nie widział tu żadnych zegarów. Doszedł go nikły zapach palonego krzewu kreozytowego, który przynosiła fala wszechobecnego smrodu siczy. Zauważył, że ten napór odoru na zmysły już mu tak nie przeszkadza.

Ponownie pomyślał o swojej matce i o miejscu, jakie zajmie na ruchomej mozaice przyszłości… ona i córka, którą ma zrodzić. Rozpląsały się wokół niego zmienne czasoświadomości. Potrząsnął gwałtownie głową, skupiając uwagę na oznakach dowodzących ogromnej głębi i rozpiętości kultury, która ich połknęła.

I na jej subtelnych osobliwościach.

W jaskiniach i w tym pokoju zauważył coś, co sugerowało daleko większe różnice niż wszystko, z czym się dotychczas zetknął.

Nie było tu śladu wykrywacza trucizny ani niczego, co by wskazywało na użycie wykrywaczy w tym jaskiniowym mrowisku. Ze smrodem siczy wdychał zaś woń trucizn – trucizn silnych i pospolitych.

Usłyszał szelest zasłon i myśląc, że to wraca Hara z jedzeniem, obrócił się. Zamiast niej między rozchylonymi zasłonami zobaczył dwóch chłopców – może w wieku dziewięciu i dziesięciu lat – wpatrujących się w niego łakomym wzrokiem. Obaj trzymali dłonie na rękojeściach małych krysnoży przypominających handżary.

I Paul przypomniał sobie opowieści o Fremenach, o tym, że ich dzieci walczą równie zajadle jak dorośli.

Dłoń drży, wargi drżą,
Idee biją ze słów.
Okiem pożera!
Gdyż on jest wyspą Jaźni.

– opis z *Księgi o Muad'Dibie* pióra księżnej Irulany

Luminofory z odległych górnych rejonów jaskini rzucały przyćmione światło na wypełnione ciżbą wnętrze, sugerując ogromne rozmiary tej zamkniętej skałą przestrzeni… większej nawet, widziała Jessika, niż aula jej szkoły Bene Gesserit. Oceniała, że pod skalnym występem, na którym stała ze Stilgarem, zgromadziło się ponad pięć tysięcy ludzi.

I nadchodzili nowi. Szumiało jak w ulu.

– Twój syn został wezwany z odpoczynku, sajjadino – powiedział Stilgar. – Chcesz, by uczestniczył w twojej decyzji?

– A czy on mógłby ją zmienić?

– Powietrze, dzięki któremu mówisz, pochodzi oczywiście z twoich płuc, ale…

– Decyzja zapadła – odparła, ale miała złe przeczucia i zastanawiała się, czy nie wykorzystać Paula jako pretekstu do wycofania się z niebezpiecznej drogi. Należało również myśleć o nienarodzonej córce. To, co jest niebezpieczne dla ciała matki, jest również niebezpieczne dla ciała dziecka.

Nadeszli mężczyźni ze zwiniętymi dywanami, postękując pod ich ciężarem. Zrzuciwszy ładunek na występ skalny, wzbili kurz.

Stilgar wziął Jessikę za ramię i powiódł w głąb muszli akustycznej utworzonej przez ściany na tyłach występu. Wskazał ławkę skalną w środku muszli.

– Tutaj zasiądzie matka wielebna, ale możesz sobie spocząć do jej przybycia.

– Wolę stać – powiedziała.

Przyglądała się, jak mężczyźni rozwijają dywany i przykrywają podest, a potem obserwowała tłum. Na skalnej posadzce znajdowało się teraz przynajmniej dziesięć tysięcy ludzi.

I ciągle ich przybywało.

Wiedziała, że na zewnątrz zapada już purpurowy zmrok, lecz w tej podziemnej hali panował wieczny zmierzch. Szary przestwór pełen był ludzi, którzy przybyli, by patrzeć, jak ona stawia na szali swe życie.

W tłumie po prawej otworzyło się przejście i zobaczyła Paula zbliżającego się z dwoma małymi chłopcami po bokach. Dzieci opromieniało chełpliwe poczucie własnej ważności. Trzymając dłonie na nożach, spoglądały wilkiem na ścianę ludzi z obu stron.

– Synowie Dżamisa, którzy są teraz synami Usula – powiedział Stilgar. – Poważnie traktują swoje obowiązki eskorty. – Odważył się posłać uśmiech Jessice.

Zrozumiała, że próbuje podnieść ją na duchu, i była mu za to wdzięczna, ale nie mogła przestać myśleć o czekającym ją niebezpieczeństwie. „Nie mam wyboru. Muszę to zrobić – stwierdziła. – Trzeba działać szybko, jeżeli mamy zapewnić sobie miejsce wśród Fremenów”.

Paul wspiął się na skalny występ, zostawiając dzieci na dole. Zatrzymał się przed matką, zerknął na Stilgara i znów spojrzał na Jessikę.

– Co się dzieje? Myślałem, że wzywają mnie na radę.

Stilgar podniósł rękę, zarządzając ciszę, i wskazał w lewo, gdzie w ciżbie otworzyło się drugie przejście. Utworzonym przez ludzi szpalerem kroczyła Chani; jej delikatna twarz ściągnięta była smutkiem. Szczupłe ręce

wystawały jej spod wdzięcznego błękitnego sari, które włożyła zamiast filtraka. Na lewym ramieniu miała zawiązaną zieloną chustkę.

„Zieleń na znak żałoby” – pomyślał Paul.

Ten akurat zwyczaj wyjaśnili mu pośrednio synowie Dżamisa, mówiąc, że nie noszą zieleni, ponieważ biorą go za ojca i opiekuna.

– Jesteś Lisanem al-Gaibem? – zapytali.

A Paul, wyczuwając w ich słowach dżihad, zbył to pytanie pytaniem. Dowiedział się wtedy, że starszy z dwójki, Kaleff, ma dziesięć lat i jest synem Geoffa. Młodszy, ośmioletni Orlop, był rodzonym synem Dżamisa.

Dziwny to był dzień z tą dwójką warującą przy nim na jego prośbę i niedopuszczającą ciekawskich, by miał czas na myślenie i wieszcze wspomnienia, na opracowanie sposobu powstrzymania dżihadu.

Stojąc teraz obok matki i spoglądając na tłum, zastanawiał się, czy cokolwiek może zapobiec dzikiej szarży fanatycznych legionów.

Za zbliżającą się do skalnego występu Chani podążały w pewnej odległości cztery kobiety niosące na noszach piątą.

Jessika zignorowała przybycie Chani, całą uwagę poświęcając kobiecie na noszach – pomarszczonemu i wysuszonemu sędziwemu stworzeniu, starowinie w czarnej szacie z odrzuconym na plecy kapturem, który odsłaniał mocno ściągnięty węzeł siwych włosów i żylastą szyję.

Noszowe delikatnie złożyły swoje brzemię na skalnej półce i Chani pomogła starej kobiecie wstać.

„Więc to jest ich matka wielebna” – pomyślała Jessika.

Staruszka uwiesiła się Chani niczym wiązka okrytych czarną szatą patyków i podreptała ku Jessice. Stanąwszy twarzą w twarz z matką Paula, długą chwilę spozierała na nią, zadzierając głowę, nim przemówiła ochrypłym szeptem:

– A więc to ty. – Stara głowa na cienkiej szyi skinęła ryzykownie. – Szadout Mapes miała rację, litując się nad tobą.

– Nie potrzebuję niczyjej litości – powiedziała natychmiast pogardliwie Jessika.

– To się dopiero okaże – zachrypiała stara kobieta. Z zadziwiającą żywością obróciła się twarzą do tłumu. – Powiedz im, Stilgarze.

– Muszę? – zapytał.

– Jesteśmy ludem Misr – wychrypiała matka wielebna. – Od kiedy nasi sunniccy przodkowie uciekli z Nilotik al-Uruba, wiemy, co to ucieczka i śmierć. Młodzi idą dalej, aby nie wymarł nasz lud.

Stilgar odetchnął głęboko i wystąpił dwa kroki do przodu.

W zatłoczonej jaskini zapadła cisza; jakieś dwadzieścia tysięcy ludzi stało w milczeniu, prawie nieruchomo. Jessika poczuła się nagle mała i ostrożna.

– Dzisiejszej nocy musimy opuścić tę sicz, która tak długo dawała nam schronienie, i udać się na południe, na pustynię – rzekł Stilgar. Głos jego uderzył we wzniesione twarze, rozbrzmiewając z siłą wzmocnioną przez muszlę akustyczną na tyłach półki.

Tłum wciąż milczał.

– Matka wielebna mówi mi, że nie przeżyje następnej hadżry – powiedział Stilgar. – Bywaliśmy już bez matki wielebnej, lecz ludziom w takich tarapatach niedobrze szuka się nowego domu.

Spokojne dotąd oblicze tłumu poruszyła fala szeptów i niepokoju.

– Aby do tego nie dopuścić – ciągnął Stilgar – nasza nowa sajjadina, Jessika od Magii, zgodziła się przystąpić do rytuału właśnie teraz. Spróbuje przejść głębię ducha, byśmy nie utracili mocy naszej matki wielebnej.

„Jessika od Magii” – pomyślała Jessika. Zobaczyła wbite w siebie pytające spojrzenie Paula, lecz chłopak nie odzywał się wobec całej

dziwności tej sytuacji.

„Co z nim będzie, jeśli umrę przy tej próbie?” – pomyślała i ponownie napełniły ją złe przeczucia.

Chani zawiodła matkę wielebną do skalnej ławy w głębi muszli akustycznej, po czym stanęła przy Stilgarze.

– Abyśmy nie stracili wszystkiego, gdyby Jessika od Magii zawiodła – powiedział Stilgar – Chani, córka Lieta, zostanie teraz konsekrowana na sajjadinę. – Odstąpił o krok.

Z głębi muszli dobiegł głos starej kobiety, wzmocniony szept, ostry i przenikliwy:

– Chani powróciła ze swojej hadżry, Chani widziała wody.

Nad tłum wzniósł się szmer:

– Widziała wody.

– Konsekruję córkę Lieta na sajjadinę – wychrypiała staruszka.

– Jest przyjęta – odpowiedział tłum.

Paul ledwo słyszał ceremoniał, całą uwagę bowiem skupiał nadal na tym, co powiedziano o jego matce.

„Gdyby zawiodła”.

Obejrzał się na tę, którą nazywano matką wielebną, i przyglądał się starczym, wysuszonym rysom oraz niezgłębionemu błękitowi nieruchomych oczu. Wyglądała tak, jakby miał ją przewrócić lada podmuch, a jednak było w niej coś, co kazało przypuszczać, że mogła się oprzeć kurzawie Coriolisa. Emanowała tą samą siłą, jaką pamiętał u matki wielebnej Gaius Heleny Mohiam, która poddała go próbie gom dżabbar.

– Ja, matka wielebna Ramallo, która przemawia wieloma głosami, oświadczam to wam – powiedziała. – Chani jest stworzona, aby przystąpić do sajjadin.

– Jest stworzona – odparł tłum.

Kiwnąwszy głową, stara kobieta wyszeptała:

– Daję jej srebrne niebiosa, złocistą pustynię ze lśniącymi skałami i zielone pola, które nadejdą. Daję to wszystko sajjadinie Chani. I żeby nie zapomniała, że ma służyć nam wszystkim, na nią spadają posługi w niniejszej ceremonii nasienia. Niechaj się stanie wola Szej-huluda. – Podniosła i opuściła chudą, brązową rękę.

Czując, że ceremonia ogarnia ją i – niczym prąd – unosi nieodwołalnie, Jessika zerknęła na pytającą twarz Paula i przygotowała się na ten sąd boży.

– Niech wystąpią wodmistrzowie – powiedziała Chani z ledwie tylko uchwytną niepewnością w dziewczęcym głosie.

Jessika wyczuła teraz niebezpieczeństwo, poznając je po czujności tłumu, po ciszy, jaka zapadła.

Z oddali nadchodziła dwójkami grupa mężczyzn, przeciskając się utworzonym w tłumie krętym szpalerem. Każda para niosła mały skórzany bukłak, dwukrotnie może większy od ludzkiej głowy. Bukłaki chlupotały głucho.

Prowadząca dwójka złożyła swój ładunek na występie, u nóg Chani, i cofnęła się o krok.

Jessika popatrzyła na bukłak, a potem na mężczyzn. Zrzucili kaptury, odkrywając długie włosy związane na karkach w koki. Czarne studnie ich oczu mierzyły ją niewzruszonym spojrzeniem.

Ciężki aromat cynamonu wzbił się od bukłaka i podrażnił powonienie Jessiki. „Przyprawa?” – zastanowiła się.

– Czy jest woda? – zapytała Chani.

Wodmistrz stojący po lewej, mężczyzna z purpurową krechą blizny na grzbiecie nosa, skinął krótko głową.

– Jest woda, sajjadino – powiedział – ale nie umiemy jej pić.

– Czy jest nasienie? – spytała Chani.

– Jest nasienie – odparł ten sam mężczyzna.

Przyklęknąwszy, Chani położyła dłonie na chlupocącym bukłaku.

– Błogosławiona jest woda i jej nasienie.

Rytuał był jej znany, więc Jessika obejrzała się na matkę wielebną Ramallo. Stara kobieta miała zamknięte oczy i siedziała z pochylonymi ramionami, jakby pogrążona była we śnie.

– Sajjadino Jessiko – powiedziała Chani.

Obróciwszy się, Jessika ujrzała utkwiony w sobie wzrok dziewczyny.

– Czy znasz smak błogosławionej wody? – zapytała Chani i nie dając jej czasu na odpowiedź, rzekła: – Nie możesz znać smaku błogosławionej wody. Jesteś obcoświatowcem i nie masz przywileju.

Przez tłum przeszło westchnienie i rozległ się szelest szat, od którego Jessice zjeżyły się włosy na karku.

– Stworzyciel został zabity i plon był duży – powiedziała Chani, po czym zaczęła odplątywać zwiniętą rurkę na górze chlupocącego bukłaka.

Jessika miała teraz wrażenie, że wokół niej wzmaga się niebezpieczeństwo. Rzuciła okiem na Paula i zauważyła, że pochłonięty tajemnicą rytuału, widzi tylko Chani.

„Czy widział ten moment?” Położyła dłoń na swym łonie, myśląc o nienarodzonej córce, i zadała sobie pytanie: „Czy mam prawo ryzykować nas obie?”.

Chani podała jej koniec rurki.

– Oto jest Woda Życia, woda większa od wody – powiedziała. – Woda Kan, która wyzwala duszę. Jeśli masz być matką wielebną, otworzy przed tobą wszechświat. Niechaj Szej-hulud to osądzi.

Jessika poczuła się rozdarta między powinnością wobec swego nienarodzonego dziecka a powinnością wobec Paula. Wiedziała, że ze względu na syna powinna wziąć koniec rurki do ust i napić się zawartości

bukłaka, lecz kiedy się nachylała, zmysły poinformowały ją o niebezpieczeństwie.

Płyn w bukłaku miał gorzki zapach nieuchwytnie przypominający wiele znanych jej trucizn, ale niepodobny zarazem.

– Musisz to wypić – oznajmiła Chani.

„Nie ma odwrotu” – uprzytomniła sobie Jessika. Mimo całego szkolenia Bene Gesserit nie przychodziło jej na myśl nic, co mogłaby teraz wykorzystać.

„Co to jest? – dociekała. – Alkohol? Narkotyk?”

Pochyliwszy się nad rurką, wyczuła estry cynamonu. Przed oczami stanął jej pijany Duncan Idaho. „Alkohol przyprawowy?” Wzięła końcówkę rurki do ust i pociągnęła maleńki łyk. Smakowało to przyprawą z odrobiną gryzącej cierpkości.

Chani nadusiła skórzany bukłak. Wbrew sobie Jessika łyknęła potężny haust płynu, starając się odzyskać spokój i godność.

– Przyjąć trochę śmierci to gorsze niż sama śmierć – powiedziała dziewczyna, wpatrując się wyczekująco w Jessikę.

Jessika, nadal z rurką w ustach, spoglądała na Chani. Czuła smak zawartości bukłaka w nozdrzach, na podniebieniu, na języku, w oczach – tym razem smak cierpkiej słodyczy.

„Chłodne” – pomyślała.

Chani ponownie wpompowała jej płyn do ust.

„Delikatne”.

Jessika przyglądała się rysom Chani, tej delikatnej twarzyczce, dostrzegając w niej nieutrwalone jeszcze przez czas rysy Lieta-Kynesa.

„Poją mnie narkotykiem” – rzekła do siebie, ale nie przypominał on żadnego ze znanych jej narkotyków, a szkolenie Bene Gesserit obejmowało smakowanie wielu.

Rysy Chani były tak wyraźne, jak gdyby zostały ostro oświetlone.

„Narkotyk”.

Jessikę otoczyła wirująca cisza. Jej ciało każdym swoim włóknem chłonęło fakt, że stało się z nim coś nieodgadnionego. Poczuła, że jest obdarzonym świadomością źdźbłem, mniejszym od najmarniejszej cząstki subatomowej, a jednak mogącym poruszać się i odbierać zmysłami otoczenie. Jak w objawieniu opadły nagle zasłony i zrozumiała, że uświadamia sobie psychokinestetyczną stronę swej istoty. Była i zarazem nie była źdźbłem. Wokół niej trwała jaskinia, ludzie. Wyczuwała ich: Paula, Chani, Stilgara, matkę wielebną Ramallo.

„Matka wielebna!”

W szkole chodziły słuchy, że niektóre nie przeżywają próby matki wielebnej, że narkotyk je zabiera.

Skupiła uwagę na matce wielebnej Ramallo, świadoma teraz, że wszystko to dzieje się w zatrzymanym momencie, zawieszonym wyłącznie dla niej czasie.

„Dlaczego czas został zawieszony?” – zadała sobie pytanie. Wpatrując się w zastygłe twarze dookoła, zauważyła nad głową Chani zatrzymaną w miejscu drobinę pyłu.

Czekała.

Odpowiedź na palącą kwestię wdarła się do jej świadomości niczym eksplozja: jej osobisty czas został zawieszony, by ocalić jej życie.

Skoncentrowała się na psychokinestetycznej stronie swej istoty, spoglądając w głąb siebie, i natychmiast natknęła się na jądro komórki, otchłań czerni, od której odskoczyła jak oparzona.

„To owo miejsce, do którego my nie możemy zajrzeć – pomyślała. – Istnieje miejsce, o którym matki wielebne tak niechętnie wspominają, miejsce, do którego może zajrzeć tylko Kwisatz Haderach”.

Uświadomiwszy sobie to, odzyskała nieco pewności, zaryzykowała więc i ponownie skupiła się na swej psychokinestetycznej stronie, zamieniając się w drobinę siebie i przepatrując własne wnętrze w poszukiwaniu niebezpieczeństwa.

Odkryła je w połkniętym narkotyku.

Nieznaną substancję tworzyły tańczące cząstki, tak szybkie, że nawet zastygły czas nie mógł ich zatrzymać. Tańczące cząstki. Zaczęła rozpoznawać znajome struktury, wiązania atomowe: oto atom węgla… fale spirali… cząsteczka glukozy. Cały łańcuch cząsteczek stawił jej czoło i poznała proteinę… metyloproteinową konfigurację.

„Aaach!”

Westchnęła bezgłośnie w duchu, kiedy odkryła charakter trucizny. Wkroczyła tam swoją psychokinestetyczną sondą i przeniósłszy drobinę tlenu, pozwoliła dołączyć się następnej drobinie węgla, ustanowiła z powrotem wiązanie tlenu… wodoru.

Zmiana rozprzestrzeniała się coraz szybciej i szybciej, w miarę jak zwiększał się zasięg katalizowanej reakcji.

Zawieszony czas poluzował nieco swoje kleszcze i Jessika wyczuła ruch. Rurkę bukłaka przytknięto delikatnie do jej warg, zbierając z nich kroplę wilgoci.

„Chani pobiera katalizator z mego ciała, by przemienić truciznę w bukłaku – pomyślała Jessika. – Ale po co?”

Ktoś pomógł jej usiąść. Zobaczyła, jak prowadzą starą matkę wielebną Ramallo i sadzają ją obok niej na przykrytym dywanem występie skalnym. Koścista ręka dotknęła jej szyi. Nagle w świadomości Jessiki pojawiła się obca drobina psychokinestetyczna! Jessika próbowała ją odepchnąć, lecz ta podpływała coraz bliżej… jeszcze bliżej.

Zetknęły się!

Przypominało to ostateczne zbliżenie, bycie dwojgiem ludzi równocześnie: nie telepatię, lecz wspólną świadomość.

„Ze starą matką wielebną!”

Jednak Jessika ujrzała, że matka wielebna nie uważa się za starą. Przed wspólnym duchowym okiem roztoczył się obraz młodej dziewczyny o roztańczonej duszy i wrażliwym usposobieniu.

We wspólnej świadomości ta młoda dziewczyna powiedziała:

– *Tak, taka właśnie jestem*.

Jessika była w stanie tylko przyjąć te słowa, odpowiedzieć nie mogła.

– *Niebawem będziesz miała to wszystko, Jessiko* – rzekł wewnętrzny obraz.

„To halucynacja” – powiedziała sobie matka Paula.

– *Dobrze wiesz, że nie* – stwierdziła wewnętrzna zjawa. – *A teraz szybko, nie opieraj się. Nie ma wiele czasu. My…* – Nastąpiła długa przerwa. – *Powinnaś nam powiedzieć, że jesteś brzemienna!*

Jessika odnalazła mowę w ramach tej wspólnej świadomości.

– *Dlaczego?*

– *To zmienia was obie! Święta Macierzy, co myśmy zrobiły?*

Jessika poczuła wymuszoną zmianę wspólnej świadomości i duchowym okiem spostrzegła inną drobinę. Drobina ta śmigała jak szalona to tu, to tam, krążyła dookoła. Emanowała paniczną trwogą.

– *Musisz być silna* – powiedziała zjawa starej matki wielebnej. – *Ciesz się, że nosisz właśnie córkę. Męski płód by tego nie przeżył. Teraz… ostrożnie, delikatnie… dotknij zjawy swojej córki. Bądź obecnością swej córki. Wchłoń strach… daj ukojenie… wykorzystaj swą odwagę i siłę… czule teraz… delikatnie…*

Ta inna śmigająca drobina podleciała bliżej i Jessika dotknęła jej posłusznie.

Strach omal jej nie rozsadził.

Walczyła z nim jedynym znanym sobie sposobem: „Nie wolno się bać. Strach zabija duszę…”.

Litania pozornie ją uspokoiła. Druga drobina przylgnęła do niej i znieruchomiała.

„Słowa nie poskutkują” – stwierdziła Jessika. Sprowadziła swe istnienie do podstawowych odruchów emocjonalnych, promieniując miłością, ciepłem, ukojeniem i poczuciem bezpieczeństwa.

Przerażenie ustąpiło.

Ponownie zamanifestowała się obecność starej matki wielebnej, lecz teraz istniała trojakość wspólnej świadomości: dwóch aktywnych i jednej, która chłonęła wszystko, leżąc spokojnie.

– *Czas mnie nagli* – powiedziała matka wielebna w obrębie świadomości. – *Mam ci wiele do przekazania. I nie wiem, czy twoja córka pozostanie przy zdrowych zmysłach, przyjąwszy to wszystko. Ale to się musi stać, gdyż potrzeby plemienia są najważniejsze.*

– *Co…?*

– *Nic nie mów i przyjmuj!*

Przed Jessiką roztoczyły się obrazy przeżyć. Przypominało to film szkoleniowy z projektora świadomości podprogowej w szkole Bene Gesserit… tylko szybciej… oszołamiająco szybko.

Oglądała wszystkie przeżycia tak, jak to naprawdę było: zobaczyła tam kochanka – męskiego, brodatego, z ciemnymi fremeńskimi oczami – i za pośrednictwem pamięci matki wielebnej ujrzała jego siłę i czułość, jego całego w jednym, przypominającym mgnienie oka momencie.

Nie było już czasu na zastanawianie się, czym to grozi płodowi córki. Wystarczało go tylko na to, by chłonąć i rejestrować.

Wydarzenia zalewały Jessikę – narodziny, życie, śmierć – sprawy ważkie i błahe, napływ indywidualnych obrazów czasu.

„Dlaczego jakaś lawina piasku schodząca ze szczytu urwiska miałaby utkwić w pamięci?” – zdziwiła się.

Zbyt późno uświadomiła sobie, co się dzieje: stara kobieta umierała i umierając, przelewała swoje przeżycia do jej świadomości, tak jak się wlewa wodę do kubka. Kiedy patrzyła na to wszystko, ta inna drobina zatopiła się z powrotem w świadomość sprzed narodzenia. I tak umierając-w-poczęciu, stara matka wielebna zostawiła w pamięci Jessiki swoje życie z ostatnim tchnieniem rozpływających się słów:

– Długo czekałam na ciebie. Masz tu moje życie.

I rzeczywiście – było zamknięte niczym w kapsułce, od początku do końca. Nawet chwila śmierci.

„Jestem teraz matką wielebną” – zdała sobie sprawę Jessika.

I pojęła w ujednoliconej świadomości, że w istocie stała się dokładnie tym, co rozumiano przez matkę wielebną Bene Gesserit. Narkotyczna trucizna przeobraziła ją.

Wiedziała, że w szkole Bene Gesserit robiono to nieco inaczej. Nikt nie wprowadził jej nigdy w owe sekrety, ale wiedziała.

Rezultat końcowy był ten sam.

Wyczuła drobinę córki dotykającą ciągle jej wewnętrznej świadomości; wejrzała w nią, lecz nie było odpowiedzi.

Kiedy Jessika uprzytomniła sobie, co się z nią stało, przeniknęło ją straszliwe uczucie osamotnienia. Zobaczyła swoje życie jako układ, który zwolnił tempo, podczas gdy wszelkie życie dookoła niej przyspieszało, aż rozhuśtana interakcja nabrała ostrości.

Po uwolnieniu się jej ciała od groźby trucizny wrażenie obdarzonej świadomością drobiny zatarło się nieco, jego intensywność osłabła, jednak

Jessika stale wyczuwała tę „inną” drobinę i dotykała jej z poczuciem winy za to, co na nią ściągnęła.

„Zrobiłam to, moja biedna, nieukształtowana, droga, maleńka córeczko. Przywiodłam cię na ten świat, wystawiając twą świadomość, zupełnie bezbronną, na jego wielorakość”.

Mikroskopijna fala poczucia bezpieczeństwa i miłości była odpowiedzią drobiny, niczym odbicie tego, co w nią przelała.

Zanim Jessika zdążyła się odwzajemnić, poczuła obecność adab, władczej pamięci. Należało coś zrobić. Szukała tego po omacku, zdając sobie sprawę, że hamuje ją otępiające działanie przemienionego narkotyku, który przenikał jej zmysły. „Mogłabym to zmienić – pomyślała. – Mogłabym powstrzymać działanie narkotyku, a sam narkotyk unieszkodliwić”. Ale czuła, że byłby to błąd. „Uczestniczę w rytuale zespolenia”.

Nagle już wiedziała, co ma zrobić.

Otworzyła oczy i wskazała bukłak, który Chani trzymała teraz nad nią.

– Została pobłogosławiona – rzekła Jessika. – Zmieszaj wody i niech przemiana obejmie wszystkich. Niech ludzie uczestniczą w tym i dzielą się błogosławieństwem.

„Niech katalizator zrobi swoje – myślała. – Niech ludzie napiją się tego i na jakiś czas osiągną podwyższoną wzajemną świadomość. Narkotyk jest już nieszkodliwy… odkąd przemieniła go matka wielebna”.

Jednak władcza pamięć narzucała się ciągle, naciskała. Jessika uświadomiła sobie, że jest jeszcze coś, co musi zrobić, ale narkotyk utrudniał koncentrację. „Aaach… stara matka wielebna”.

– Spotkałam matkę wielebną Ramallo – oświadczyła. – Odeszła, lecz pozostała. Niechaj pamięć o niej będzie uhonorowana w ceremonii.

„Zaraz, skąd ja wzięłam te słowa?” – zastanawiała się. I zdała sobie sprawę, że pochodzą one z innej pamięci, z „życia”, które zostało jej podarowane i które teraz było jej częścią. Ale czegoś brakowało w tym podarunku.

– *Niech mają swoją orgię* – powiedziała w niej ta inna pamięć. – *Niewiele mają przyjemności w życiu. A ty i ja potrzebujemy tej chwili na poznanie się, nim ustąpię i wypłynę przez twoje wspomnienia. Już czuję, jak wiążę się z twoimi drobinami. Aaach, twój umysł wypełniają interesujące rzeczy. Jakże wielu spraw nigdy sobie nie wyobrażałam.*

I zamknięty w Jessice pamięciowy umysł otworzył się przed nią, pozwalając jej spojrzeć przez szeroki korytarz na inne matki wielebne w innych matkach wielebnych, aż wydawało się, jakby nie było im końca.

Jessika cofnęła się ze strachu, że zagubi się w oceanie jedności. Korytarz wszakże pozostał, objawiając jej, że fremeńska kultura jest o wiele starsza, niż przypuszczała.

Zobaczyła Fremenów z Poritrina, ludzi zniewieściałych na przyjaznej planecie, łatwą zdobycz dla rabusiów imperialnych, którzy porywali ich i wywozili do ludzkich kolonii na Beli Tegeuse i Salusie Secundusie.

Och, cóż za boleść wyczuwała Jessika w owych rozstaniach.

Daleko w głębi tego korytarza głos jakiejś innej zjawy krzyczał:

– *Oni odmawiają nam hadżdżu!*

W tym korytarzu świadomości Jessika ujrzała niewolnicze obozy na Beli Tegeuse, ujrzała odsiew i selekcję, które zaludniały Rossaka i Harmonthepa. Sceny zwierzęcego okrucieństwa rozłożyły się przed nią jak płatki straszliwego kwiatu.

I zobaczyła nić przeszłości snutą przez sajjadinę za sajjadiną, początkowo w formie ustnego przekazu, skrytą w pustynnych śpiewach, następnie w udoskonalonej postaci za pośrednictwem ich matek wielebnych

po odkryciu narkotycznej trucizny na Rossaku… potem zaś podniesioną do wysublimowanej potęgi wraz z odkryciem Wody Życia na Arrakis.

Gdzieś w głębi korytarza świadomości jakiś inny głos krzyczał:

– *Nigdy nie wybaczymy! Nigdy nie zapomnimy!*

Ale uwagę Jessiki zaprzątnęło odkrycie Wody Życia, jej źródło – płynna wydzielina umierającego czerwia pustyni, stworzyciela. Patrząc w swej nowej pamięci na jego zabijanie, stłumiła okrzyk.

Stworzenie zostało utopione!

– Matko, nic ci nie jest?

Głos Paula zabrzmiał natrętnie i Jessika z trudem wydobyła się z wewnętrznej świadomości, by spojrzeć na syna. Zdawała sobie sprawę z obowiązku wobec niego, ale niechętnie przyjmowała jego obecność.

„Jestem jak człowiek, którego ręce poraziło odrętwienie, brak czucia od początku świadomości, aż nadszedł dzień, kiedy czucie powróciło. – Ta myśl, otoczka świadomości, utkwiła w jej głowie. – I mówię: Patrzcie! Mam ręce! Ale ludzie dookoła odpowiadają: Co to są ręce?”

– Nic ci nie jest? – powtórzył Paul.

– Nic.

– Mogę się tego napić? – Wskazał bukłak w dłoniach Chani. – Oni chcą, abym to zrobił.

Dotarło do niej ukryte znaczenie jego słów. Pojęła, że się o nią martwi, że wyczuł truciznę w pierwotnej, nieprzemienionej substancji. Wtedy zaczęła się zastanawiać nad granicami jasnowidzenia Paula. Pytanie syna wiele jej powiedziało.

– Możesz pić – odparła. – To zostało przemienione. – Spojrzała gdzieś za niego i dostrzegła Stilgara, który obserwował ją uważnie z góry swymi ciemnymi oczami.

– Teraz wiemy, że nie możesz być nieprawdziwa – rzekł.

W tym również wyczuła dwuznaczność, ale narkotyk zmącił już jej zmysły. Jakże ciepło było i przyjemnie. Jacyż dobroczyńcy z tych Fremenów, że dopuścili ją do takiego braterstwa.

Paul zauważył, że narkotyk zawładnął matką.

Przeszukał swą pamięć – ustaloną przeszłość, płynne linie możliwych przyszłości. Przypominało to wypatrywanie zatrzymanych momentów czasu, które mąciły soczewki duchowego oka. Wyrwane z nurtu fragmenty trudno było zrozumieć.

A sam narkotyk – o nim Paul potrafił zebrać wiedzę, rozumiał, jak działa on na jego matkę, z tym, że wiedza ta nie miała naturalnego rytmu, brakowało jej usystematyzowania.

Nagle uprzytomnił sobie, że widzieć, jak przeszłość zajmuje miejsce teraźniejszości, to jedno, ale prawdziwa próba jasnowidzenia to dojrzenie przeszłości w przyszłości.

Rzeczy ciągle nie były tym, na co wyglądały.

– Napij się – powiedziała Chani i pokiwała mu rogową końcówką rurki bukłaka przed nosem.

Paul wyprostował się, nie spuszczając z niej oczu. W powietrzu wyczuwał atmosferę karnawałowego podniecenia. Wiedział, co nastąpi, kiedy wypije ten przyprawowy narkotyk wraz z najczystszą postacią substancji, która wywoła w nim przemianę. Wróci do wizji czystego czasu, czasu stającego się przestrzenią. A ta rzuci go na przyprawiający o zawroty głowy szczyt i nie pozwoli niczego zrozumieć.

Zza pleców Chani odezwał się Stilgar:

– Pij, chłopcze. Opóźniasz rytuał.

Wtedy Paul wsłuchał się w głosy tłumu. Słyszał w nich szaleństwo.

– Lisan al-Gaib – mówiły. – Muad’Dib!

Spuścił oczy na matkę. Wydawało się, że śpi spokojnie w pozycji siedzącej; oddychała równo i głęboko. Przyszedł mu do głowy zwrot z przyszłości, która była jego samotną przeszłością: „Ona śpi w Wodach Życia”.

Chani pociągnęła go za rękaw.

Paul wziął do ust rogową końcówkę, słuchając krzyków ludzi. Poczuł, jak płyn tryska do gardła, gdy Chani nacisnęła bukłak. Zakręciło mu się w głowie od oparów. Dziewczyna odebrała mu rurkę i włożyła bukłak w dłonie wyciągające się po niego z dołu jaskini. Zatrzymał wzrok na jej ramieniu, na opasce żałobnej zieleni.

Kiedy Chani się wyprostowała, dostrzegła jego spojrzenie.

– Potrafię go opłakiwać nawet wśród szczęśliwości wód. To coś, co on nam dał. – Chwyciła jego dłoń i powiodła go wzdłuż występu. – W jednym jesteśmy do siebie podobni, Usulu: obojgu nam Harkonnenowie zabrali ojca.

Paul szedł za nią. Miał wrażenie, że jego głowa została oddzielona od ciała i przedziwnie doszyta. Nogi były gdzieś daleko, a przy tym jakby z gumy.

Weszli w wąską odnogę korytarza, w którym rozmieszczone rzadko lumisfery rzucały słabe światło na ściany. Paul czuł, że narkotyk zaczyna wywierać na niego swój niepowtarzalny wpływ, otwierając czas niby kwiat. Skręcając w następny mroczny tunel, stwierdził, że musi się wesprzeć na Chani. Połączenie twardych mięśni i miękkości, które wyczuł pod jej szatą, wzburzyło w nim krew. Na doznania te nałożyło się działanie narkotyku, składając przyszłość i przeszłość w teraźniejszość, pozostawiając mu najbardziej zawężony obszar trójokularowego ogniska.

– Znam cię, Chani – wyszeptał. – Siedzieliśmy na skalnej półce nad piaskami, ja zaś koiłem twe lęki. Pieściliśmy się w mroku siczy. My… –

Stwierdził, że traci ogniskową widzenia. Próbował potrząsnąć głową, ale się potknął.

Chani podtrzymała go i wprowadziła przez ciężkie kotary do przytulnego żółtego mieszkania z niskimi stolikami, poduszkami i nakrytym pomarańczową narzutą posłaniem.

Paul uprzytomnił sobie, że się zatrzymali, że Chani stoi przed nim i że w oczach ma cichy lęk.

– Musisz mi powiedzieć – szepnęła.

– Jesteś Sihaja – rzekł. – Wiosna pustyni.

– Kiedy plemię zespala się w Wodzie – odparła – jesteśmy razem… wszyscy. Zespalamy się. Mogę… czuć w sobie innych, lecz boję się zespolić z tobą.

– Dlaczego?

Próbował skupić się na niej, ale przeszłość i przyszłość stapiały się w teraźniejszość, zamazując jej wizerunek. Widział ją na różne sposoby, w niezliczonych pozycjach i sytuacjach.

– W tobie jest coś przerażającego – powiedziała. – Kiedy zabrałam cię od innych… zrobiłam to, ponieważ czułam, czego oni pragną. Ty… wywierasz nacisk na ludzi. Ty… sprawiasz, że mamy widzenia!

Zmusił się, by mówić wyraźnie.

– A co ty widzisz?

Spuściła wzrok na swoje dłonie.

– Widzę dziecko… w swych ramionach. To nasze dziecko, twoje i moje. – Położyła dłoń na ustach. – Skąd ja znam każdy rys twojej twarzy…?

„Oni mają ten dar w pewnym stopniu – powiedział mu jego umysł – ale tłumią go, bo to ich przeraża”.

W przebłysku jasności zobaczył, jak Chani dygoce.

– Co takiego chcesz powiedzieć? – zapytał.

– Usulu – wyszeptała, nadal dygocąc.

– Nie możesz się wycofać w przyszłość – rzekł. Ogarnęło go niezmierne współczucie dla niej. Przyciągnął ją do siebie i pogłaskał po głowie. – Chani, Chani, nie bój się.

– Usulu, pomóż mi – załkała.

Poczuł, jak wraz z jej słowami narkotyk dokończył w nim swoje dzieło, zdzierając wszelkie zasłony i pokazując mu odległy szary wir jego przyszłości.

– Jesteś taki spokojny – powiedziała Chani.

Balansując w swej świadomości, patrzył, jak czas rozciąga się we własnych osobliwych wymiarach, w stanie delikatnej równowagi, a jednak wirujący, wąski, lecz rozpostarty niby sieć zagarniająca niezliczone światy i siły, napięta lina, po której musi przejść, a zarazem roztańczona pod stopami karuzela.

Po jednej stronie widział Imperium, jakiegoś Harkonnena zwanego Feyd-Rautha, który śmigał ku niemu jak śmiertelne ostrze, sardaukarów pędzących ze swej planety, by siać zniszczenie na Arrakis, współdziałającą z nimi i spiskującą Gildię, Bene Gesserit z ich planem eugenicznym. Wszystko to wzbierało na jego horyzoncie niczym burza, powstrzymywana jedynie przez Fremenów i ich Muad’Diba, uśpionych potężnych Fremenów gotowych do swej dzikiej krucjaty przez wszechświat.

Paul czuł, że jest w samym środku, na osi, na której obraca się cała ta konstrukcja, że stąpa po cienkiej linie spokoju, z odrobiną szczęścia i z Chani przy boku. Widział, jak lina ta ciągnie się przed nim, widział czas względnego spokoju w ukrytej siczy, chwilę oddechu między okresami gwałtu.

– Nie ma innego miejsca, które zapewniłoby spokój – powiedział.

– Usulu, ty płaczesz – wyszeptała Chani. – Usulu, siło moja, czy ty ofiarowujesz wilgoć umarłym? Którym umarłym?

– Tym, którzy jeszcze nie umarli – odparł.

– Więc nie zabieraj im czasu życia.

Przez narkotyczną mgłę wyczuł, jak dalece ma rację, i gwałtownie przyciągnął ją do siebie.

– Sihajo!

Położyła mu dłoń na policzku.

– Już się nie boję, Usulu. Spójrz na mnie. Widzę to, co ty widzisz, kiedy mnie obejmujesz.

– Co?

– Widzę, jak dajemy sobie miłość w chwili ciszy pomiędzy burzami. Takie jest nasze przeznaczenie.

Narkotyk zmógł go znowu i Paul pomyślał: „Tak wiele razy dawałaś mi ukojenie i zapomnienie”. Ponownie pogrążył się w hiperiluminacji i wypukłorzeźbie wizji czasu, czuł, jak jego przyszłość staje się wspomnieniem – czułych poniżeń fizycznej miłości, zespolenia i komunii jaźni, łagodności i gwałtu.

– Jesteś silna, Chani – wyszeptał. – Nie opuszczaj mnie.

– Nigdy – powiedziała i pocałowała go w policzek.

KSIĘGA 3

PROROK

Żadna kobieta, żaden mężczyzna ani żadne dziecko nie byli nigdy w bliskiej zażyłości z moim ojcem. Jeżeli można w ogóle mówić o niewymuszonym koleżeństwie z Padyszachem Imperatorem, najbliższy tego był stosunek hrabiego Hasimira Fenringa, towarzysza z dzieciństwa. Miarę przyjaźni hrabiego Fenringa można przedstawić najpierw na przykładzie pozytywnym: rozwiał on podejrzenia Landsraadu po Aferze Arrakijskiej. Kosztowało to ponad miliard solarisów łapówek w przyprawie, a były też łapówki w innej postaci: niewolnice, zaszczyty królewskie, tytuły szlacheckie. Drugie główne świadectwo przyjaźni hrabiego Fenringa jest negatywne. Odmówił on zabicia człowieka, choć leżało to w jego możliwościach i choć tak mu rozkazał mój ojciec. Opowiem o tym za chwilę.

– z *Hrabia Fenring. Sylwetka* pióra księżnej Irulany

Baron Vladimir Harkonnen pędził jak burza korytarzem ze swoich prywatnych komnat, śmigając przez łaty przedwieczornego słonecznego blasku padającego z wysokich okien. Gwałtowne ruchy sprawiały, że kołysał się i podrygiwał w swych dryfach.

Przemknął przez prywatną kuchnię, przez bibliotekę, przez niewielki salon przyjęć i wpadł do służbowej izby, w której panował już wieczorny luz.

Kapitan straży Iakin Nefud, z otępiałą od semuty płaską twarzą, tkwił w kucki na sofie pod przeciwległą ścianą komnaty, w której niesamowicie zawodziła semucka muzyka. Świta kapitana przysiadła opodal gotowa na jego skinienie.

– Nefud! – ryknął baron.

Ludzie pozbierali się na nogi.

Nefud wstał. Na jego obliczu malował się spokój, lecz nalot bladości świadczył o przerażeniu. Semucka muzyka się urwała.

– Mój panie – powiedział. Tylko narkotyk powstrzymywał drżenie jego głosu.

Baron obrzucił wzrokiem otaczające go twarze i dostrzegł na nich wyraz obłąkańczego spokoju. Spojrzawszy ponownie na kapitana straży, odezwał się słodkim tonem:

– Jak długo jesteś u mnie kapitanem straży, Nefudzie?

Oficer przełknął ślinę.

– Od czasu Arrakis, mój panie. Prawie dwa lata.

– I zawsze uprzedzałeś grożące mi niebezpieczeństwo?

– Takie było moje jedyne pragnienie, mój panie.

– Więc gdzie jest Feyd-Rautha?! – ryknął baron.

Nefud się skurczył.

– Mój panie?

– Nie uważasz Feyda-Rauthy za grożące mi niebezpieczeństwo? – Głos barona był znów słodki.

Nefud zwilżył językiem wargi. Otępienie zniknęło częściowo z jego oczu.

– Feyd-Rautha jest w kwaterach niewolników, mój panie.

– Znowu u kobiet, hę? – Vladimir dygotał od ledwie powściąganego gniewu.

– Wasza wielmożność, może on jest…

– Milczeć!

Baron zrobił krok do przodu i zauważył, jak ludzie cofają się, jak tworzą nieuchwytną przestrzeń wokół Nefuda, odcinając się od obiektu gniewu.

– Czy nie rozkazałem ci, byś wiedział dokładnie, gdzie jest na-baron o każdej porze? – zapytał. Zbliżył się jeszcze o krok. – Czy nie powiedziałem ci, że masz wiedzieć *dokładnie*, co na-baron mówił… i do

kogo? – Następny krok. – Czy nie powiedziałem ci, że masz mnie informować, ilekroć pójdzie do kwater niewolnic?

Nefud przełknął ślinę. Pot wystąpił mu na czoło.

– Czy nie powiedziałem ci tego wszystkiego? – spytał baron beznamiętnym, niemal pozbawionym intonacji głosem.

Oficer kiwnął głową.

– I czy nie powiedziałem ci, że masz sprawdzać wszystkich przysyłanych do mnie młodych niewolników i że masz to robić… *osobiście*?

Nefud ponownie skinął głową.

– A nie zauważyłeś przypadkiem skazy na udzie tego, którego przysłano mi dziś wieczorem? – zapytał baron. – Czy to możliwe, byś…

– Stryju.

Baron odwrócił się gwałtownie i wbił wzrok w stojącego w drzwiach Feyda-Rauthę. Obecność bratanka, tu i teraz, pośpiech, którego młody człowiek nie potrafił całkowicie ukryć – wszystko to wiele mówiło. Feyd-Rautha miał własną siatkę szpiegów wokół barona.

– Chcę, aby usunięto ciało, które znajduje się w moich komnatach – powiedział Vladimir, trzymając rękę na broni miotającej pod szatą i winszując sobie, że ma najlepszą tarczę.

Feyd-Rautha spojrzał na dwóch przylepionych do ściany po prawej gwardzistów i skinął głową. Obaj oderwali się od muru i wypadli na korytarz, spiesząc w kierunku komnat barona.

„Ci dwaj, hę? – pomyślał baron. – Ten młody potwór musi się jeszcze wiele nauczyć o konspiracji!”

– Wnoszę, że w kwaterach niewolników panuje spokój, Feydzie – rzekł.

– Grałem w cheopsa z mistrzem niewolników – wyjaśnił młodzieniec. „Co się stało? – pomyślał. – Chłopiec wysłany przez nas stryjowi został

najwyraźniej zabity. Mimo że był idealny do tej roboty. Nawet sam Hawat nie dokonałby lepszego wyboru. Chłopiec był idealny!”

– Grałeś w szachy piramidalne – powiedział baron. – To ładnie. Wygrałeś?

– Ja… ach, tak, stryju. – Feyd-Rautha usiłował opanować niepokój.

Baron pstryknął palcami.

– Nefudzie, pragniesz wrócić do łask?

– Wasza wielmożność, co ja takiego zrobiłem? – wyjąkał oficer.

– Teraz to bez znaczenia – rzekł Vladimir. – Feyd pobił mistrza niewolników w cheopsa. Słyszałeś?

– Tak… wasza wielmożność.

– Chcę, byś wziął trzech ludzi i udał się do mistrza niewolników – powiedział baron. – Zgarotujesz go. Kiedy skończysz, przyniesiecie mi jego ciało, bym mógł zobaczyć, czy zostało to właściwie zrobione. Nie możemy trzymać na służbie takich marnych szachistów.

Feyd-Rautha zbladł. Wystąpił krok naprzód.

– Ale, stryju, ja…

– Później, Feydzie – rzekł baron, opędzając się dłonią. – Później.

Dwaj gwardziści wyprawieni do kwatery barona po ciało niewolnika przeszli obok drzwi, uginając się pod ciężarem. Zwłoki zwisały między nimi, ręce wlokły się po ziemi. Baron obserwował ich, dopóki nie zniknęli mu z oczu.

Nefud zbliżył się do niego.

– Życzysz sobie, mój panie, bym teraz zabił mistrza niewolników?

– Teraz – polecił Vladimir – a gdy się z tym uporasz, dodaj do swej listy tych dwóch, którzy przed chwilą przeszli. Nie podoba mi się sposób, w jaki nieśli to ciało. Takie rzeczy należy robić schludnie. Również ich zwłoki chcę zobaczyć.

– Mój panie – odezwał się Nefud – czy to chodzi o coś, co ja…

– Rób, co ci kazał twój pan! – warknął Feyd-Rautha. „Teraz pozostała mi tylko nadzieja na ocalenie własnej skóry” – pomyślał.

„Dobrze! – przyklasnął w duchu baron. – Jednak wie, jak umywać ręce. – I uśmiechnął się skrycie. – Chłopak wie również, jak mnie ugłaskać i jak powstrzymać mój gniew wiszący nad jego głową. Wie, że muszę go oszczędzić. Któż inny przejmie wodze, które pewnego dnia muszę wypuścić z rąk? Nie mam nikogo równie zdolnego. Ale on musi się uczyć! A ja muszę się strzec, podczas gdy on się uczy”.

Nefud skinął na swych ludzi i wyprowadził ich.

– Zechciałbyś towarzyszyć mi do moich komnat, Feydzie? – zapytał Vladimir.

– Jestem na twoje rozkazy. – Młodzieniec skłonił się. „Wpadłem” – pomyślał.

– Idź przodem. – Baron wskazał drzwi.

Feyd-Rautha ledwie dostrzegalnym wahaniem pokazał, że się boi. „Czy przegrałem z kretesem? – zadał sobie pytanie. – Czy zatopi mi w plecach zatrute ostrze… powoli, przez tarczę? Czy ma innego następcę?”

„Niech zakosztuje tej chwili strachu – myślał baron, podążając za bratankiem. – Zajmie moje miejsce, ale w wybranym przeze mnie momencie. Nie pozwolę mu zmarnować tego, co zbudowałem!”

Feyd-Rautha starał się nie iść za szybko. Ciarki chodziły mu po plecach, jakby jego ciało zastanawiało się, kiedy też spadnie cios. Jego mięśnie na przemian to naprężały się, to rozluźniały.

– Słyszałeś ostatnie wieści z Arrakis? – zapytał Vladimir.

– Nie, stryju.

Feyd-Rautha zmuszał się, by się nie obejrzeć. Ruszył ku wyjściu ze skrzydła dla służby.

– Fremeni mają nowego proroka czy jakiegoś tam apostoła – rzekł baron. – Nazywają go Muad’Dibem. Bardzo śmiesznie, naprawdę. To znaczy „mysz”. Poleciłem Rabbanowi, by zostawił im tę ich religię. Będą mieli zajęcie.

– To bardzo ciekawe, stryju – powiedział Feyd-Rautha. Skręcił w prywatny korytarz wiodący do komnat barona, głowiąc się: „Dlaczego on mówi o religii? Czy to jakaś subtelna wskazówka dla mnie?”.

– Nieprawdaż? – powiedział Vladimir.

Wkroczyli do apartamentów i przez salon przyjęć weszli do sypialni. Powitały ich dyskretne ślady zmagań: przemieszczona lampa dryfowa, poduszka na podłodze, taśma kojąca przeciągnięta przez wezgłowie.

– To był chytry plan – rzekł baron. Z tarczą nastawioną wciąż na maksimum zatrzymał się przed bratankiem. – Ale nie dość chytry. Powiedz mi, Feydzie, dlaczego sam mnie nie zabiłeś? Miałeś aż nadto okazji.

Feyd-Rautha znalazł sobie krzesło dryfowe i wzruszywszy w duchu ramionami, siadł nieproszony. „Teraz muszę być zuchwały” – stwierdził.

– Uczyłeś mnie, że moje dłonie muszą pozostać czyste – powiedział.

– A, tak – potwierdził Vladimir. – Kiedy staniesz przed obliczem Imperatora, musisz móc szczerze wyznać, że nie popełniłeś tego czynu. Czarownica u boku Imperatora usłyszy twoje słowa i odróżni w nich prawdę od fałszu. Tak. Ostrzegałem cię przed tym.

– Dlaczego nigdy nie kupiłeś sobie jakiejś Bene Gesserit, stryju? – zapytał Feyd-Rautha. – Mając prawdomówczynię…

– Znasz moje gusta! – uciął Vladimir.

Młodzieniec przyjrzał się mu.

– Mimo to przydałaby się do…

– Nie ufam im! – warknął baron. – I nie próbuj zmieniać tematu!

– Jak sobie życzysz, stryju – rzekł potulnie Feyd-Rautha.

– Przypominam sobie pewną arenę sprzed kilku lat – powiedział Vladimir. – Tamtego dnia wydawało się, że przygotowano niewolnika, który miał cię zabić. Czy tak było istotnie?

– To było tak dawno temu, stryju. W końcu ja…

– Bez wykrętów, proszę – przerwał mu baron. Napięcie w jego głosie zdradzało hamowany gniew.

Feyd-Rautha spojrzał na stryja. „On wie – pomyślał. – Inaczej by nie pytał”.

– To była blaga, stryju. Ukartowałem to, by skompromitować twego mistrza niewolników.

– Bardzo chytrze – stwierdził Vladimir. – I odważnie. Tamten gladiator o mało cię nie wykończył, nieprawdaż?

– Tak.

– Gdybyś miał finezję i subtelność równe twej odwadze, byłbyś zaiste wspaniały. – Pokręcił głową. I nie pierwszy już raz od owego strasznego dnia na Arrakis przyłapał się na tym, że żałuje utraty mentata Pitera. Był to człowiek finezyjnej, diabelskiej wprost subtelności. Ponownie pokręcił głową. Nie ocaliło go to jednak. Niezbadane są czasami wyroki losu.

Feyd-Rautha rozejrzał się po sypialni, oglądając ślady zmagań i zastanawiając się, jak stryj pokonał niewolnika, którego tak starannie przygotowali.

– Jak go pokonałem? – zapytał baron. – Cóż, Feydzie, pozwól mi zachować na te stare lata jakiś oręż dla własnego bezpieczeństwa. Lepiej skorzystajmy z okazji i zawrzyjmy układ.

Młodzieniec wbił w niego wzrok. „Układ! Więc jednak zamierza mnie zatrzymać jako swego dziedzica. W przeciwnym razie po co się układać? Układy są dla równych albo prawie równych!”

– Jaki układ, stryju? – Był dumny, że zachował spokój i umiarkowanie, nie zdradzając przepełniającego go uniesienia.

Baron również zauważył to opanowanie. Skinął głową.

– Jesteś dobrym materiałem, Feydzie. A ja nie marnuję dobrego materiału. Jednak uparcie nie chcesz przyjąć do wiadomości, ile naprawdę jestem wart dla ciebie. Jesteś zawzięty. Nie rozumiesz, dlaczego powinieneś mnie chronić jako osobę o najwyższej wartości dla ciebie. To – wskazał ślady walki w sypialni – to była głupota. Nie nagradzam głupoty.

„Przejdź do rzeczy, stary głupcze!” – pomyślał Feyd-Rautha.

– Uważasz mnie za starego głupca – powiedział baron. – Muszę ci to wyperswadować.

– Wspomniałeś o układzie.

– Ach, ta niecierpliwość młodości – rzekł Vladimir. – Dobrze, oto więc jego zasadnicza treść: ty zaprzestaniesz tych głupich zamachów na moje życie, ja zaś, kiedy będziesz do tego gotowy, ustąpię na twoją rzecz. Usunę się na stanowisko doradcy, zostawiając ci władzę.

– Usuniesz się, stryju?

– Nadal uważasz mnie za głupca – powiedział baron – a ja tylko cię w tym utwierdzam, hę? Uważasz, że cię błagam! Bądź ostrożny, Feydzie. Ten stary głupiec dostrzegł ukrytą igłę, którą umieściłeś w udzie młodziutkiego niewolnika. Dokładnie tam, gdzie położyłbym dłoń, hę? Najmniejszy nacisk i… ciach! Zatruta igła w dłoni starego głupca! Ach, Feydzie… – Pokręcił głową i pomyślał: „I udałoby mu się to, gdyby Hawat mnie nie ostrzegł. Cóż, niech chłopak wierzy, że przejrzałem spisek bez niczyjej pomocy. Tak zresztą poniekąd było. To ja ocaliłem Hawata ze zgliszcz Arrakis. A ten chłopak powinien mieć więcej respektu dla moich umiejętności”.

Feyd-Rautha w milczeniu bił się z myślami: „Czy mówi szczerze? Czy rzeczywiście zamierza się usunąć? Czemu nie? Niewątpliwie kiedyś go zastąpię, jeżeli będę działać ostrożnie. Nie będzie żył wiecznie. Może i głupio zrobiłem, próbując przyspieszyć kolej rzeczy”.

– Mówisz o układzie – powiedział. – Co zrobimy, żeby został dotrzymany?

– Jak możemy sobie zaufać, hę? – rzekł baron. – Cóż, Feydzie, jeśli chodzi o ciebie, wyznaczam Thufira Hawata, by cię pilnował. Ufam jego mentackim zdolnościom w tej materii. Rozumiesz mnie? Jeśli zaś chodzi o mnie, będziesz musiał uwierzyć mi na słowo. Ale ja nie będę żył wiecznie, nieprawdaż? I chyba powinieneś już podejrzewać, że znam sprawy, które i ty powinieneś poznać.

– Ja ci daję rękojmię, a co ty dajesz mi? – zapytał młodzieniec.

– Pozwolę ci żyć – odparł baron.

Kolejny raz Feyd-Rautha przyglądał się uważnie stryjowi. „Napuszcza na mnie Hawata! Co by powiedział, gdybym wyjawił mu, że to Hawat zaplanował numer z gladiatorem, który kosztował go mistrza niewolników? Pewnie stwierdziłby, że kłamię, chcąc zdyskredytować Hawata. Nie, poczciwy Thufir jest mentatem i przewidział tę sytuację”.

– No, co powiesz? – zapytał baron.

– Co mogę powiedzieć? Zgadzam się oczywiście – odparł Feyd-Rautha i pomyślał: „Hawat! Wygrywa jednego przeciw drugiemu… Czy o to chodzi? Czy przeszedł do obozu mego stryja, bo nie skonsultowałem z nim zamachu przy pomocy tego młodego niewolnika?”.

– Nie powiedziałeś nic na to, że stawiam nad tobą Hawata – rzekł Vladimir.

Rozdęte nozdrza Feyda-Rauthy zdradzały jego rozdrażnienie. Nazwisko Hawata przez tak wiele lat było w rodzie Harkonnenów sygnałem

niebezpieczeństwa… a teraz nabrało nowego znaczenia, wciąż niebezpiecznego.

– Hawat to groźna zabawka – stwierdził.

– Zabawka! Nie bądź idiotą. Wiem, co mam w osobie Hawata i jak nad tym panować. Hawat żyje głęboko skrywanymi uczuciami, Feydzie. Człowieka bez uczuć trzeba się bać, lecz głęboko skrywane uczucia… cóż, te można wykorzystać do swoich potrzeb.

– Nie rozumiem cię, stryju.

– Tak, to widać.

Feyd-Rautha przełknął obrazę, zaledwie mrugnąwszy.

– I nie rozumiesz Hawata – dodał baron.

„Ani ty!” – pomyślał młodzieniec.

– Kogo Hawat wini za swoje obecne położenie? – zapytał Vladimir. – Mnie? Z pewnością, ale był narzędziem Atrydów i latami ze mną wygrywał, dopóki nie wmieszało się Imperium. Tak on to widzi. Jego nienawiść do mnie jest teraz przygodna. Wierzy, że może ze mną wygrać w każdej chwili. Wierząc w to zaś, jest przegrany. Ponieważ ja kieruję jego uwagę tam, gdzie chcę: przeciwko Imperium.

Napięcie towarzyszące rodzącemu się zrozumieniu pobruździło czoło Feyda-Rauthy i ściągnęło mu usta.

– Przeciwko Imperatorowi?

„Niech mój drogi bratanek posmakuje tego – myślał baron. – Niech sobie powie: Imperator Feyd-Rautha Harkonnen! Niech zapyta siebie, ile to jest warte. Z pewnością musi być warte życia starego stryja, który może sprawić, że ten sen stanie się jawą”.

Feyd-Rautha powoli zwilżył językiem wargi. „Czy to, co mówi stary głupiec, może być prawdą? Jest w tym coś więcej, niż się na pozór wydaje”.

– Co ma do tego Hawat? – zapytał.

– On myśli, że wykorzystuje nas do zemsty na Imperatorze.

– A kiedy to się stanie?

– On nie wybiega myślą poza swoją zemstę. Hawat jest człowiekiem, który musi służyć innym, sam o tym nie wiedząc.

– Wiele się od niego nauczyłem – przyznał Feyd-Rautha, czując prawdziwość tych słów – ale im więcej się uczę, tym bardziej czuję, że powinniśmy go zlikwidować, i to szybko.

– Niemiła ci jest świadomość, że będzie miał na ciebie oko?

– Hawat ma oko na każdego.

– I może umieścić cię na tronie. Hawat jest subtelny, niebezpieczny i przebiegły, ale nie odstawię mu jeszcze antidotum. Miecz także jest niebezpieczny, Feydzie, lecz do tego akurat mamy pochwę. W Hawacie krąży trucizna. Kiedy wycofamy antidotum, okryje go pochwa śmierci.

– To poniekąd przypomina arenę – powiedział Feyd-Rautha. – W fintach finty w fintach. Obserwujesz, w którą stronę pochyla się gladiator, gdzie patrzy, jak trzyma nóż. – Pokiwał głową, widząc, że słowa te spodobały się stryjowi, ale pomyślał: „Tak! Arenę! A brzeszczotem jest myśl!”.

– Widzisz teraz, jak jestem ci potrzebny – rzekł baron. – Jeszcze się przydaję, Feydzie.

„Jak miecz, którym się włada, dopóki się nazbyt nie stępi” – pomyślał młodzieniec.

– Tak, stryju – powiedział.

– A teraz – zarządził baron – udamy się do kwater niewolników, my dwaj. I będę patrzył, jak własnymi rękami zabijasz wszystkie kobiety w skrzydle rozpusty.

– Stryju!

– Będą jeszcze inne kobiety, Feydzie. Ale powiedziałem ci, że u mnie nie popełnia się błędów bezkarnie.

Feydowi-Raucie ściemniała twarz.

– Stryju, ty…

– Przyjmiesz tę karę i wyciągniesz z niej wnioski – rzekł baron.

Młodzieniec spojrzał w rozpromienione oczy stryja. „Muszę zapamiętać tę noc – myślał – a wspominając ją, muszę pamiętać o innych nocach”.

– Nie odmówisz – stwierdził Vladimir.

„A co byś zrobił, gdybym odmówił, staruchu?” – pomyślał Feyd-Rautha. Ale wiedział, że może się znaleźć inna kara, brutalniejsza, bardziej wyrafinowana.

– Znam cię, Feydzie – powiedział baron. – Nie odmówisz.

„W porządku – myślał młodzieniec. – Teraz jesteś mi potrzebny. Rozumiem to. Dobiliśmy targu. Ale nie zawsze będziesz mi potrzebny. I… pewnego dnia…”

Głęboko w ludzkiej nieświadomości tkwi przemożna potrzeba logicznego, mającego sens wszechświata, ale rzeczywisty wszechświat jest zawsze o krok poza logiką.

– z *Myśli zebranych Muad'Diba* w opracowaniu księżnej Irulany

„Siadywałem naprzeciwko wielu panujących głów z wysokich rodów, lecz nigdy nie widziałem niebezpieczniejszej i bardziej spasionej świni niż ta" – pomyślał Thufir Hawat.

– Możesz mówić ze mną otwarcie, Hawacie – zadudnił baron. Odchylił się do tyłu na krześle dryfowym, świdrując mężczyznę oczami ukrytymi w fałdach tłuszczu.

Stary mentat spuścił wzrok na stół między sobą a baronem Vladimirem Harkonnenem, odnotowując bogactwo słojów drewna. Nawet one były czynnikiem, który należało uwzględnić, szacując barona, podobnie jak czerwone ściany tej prywatnej salki konferencyjnej oraz nikły słodki zapach ziół w powietrzu maskujący intensywniejszą woń piżma.

– Nie kazałeś mi ostrzec Rabbana dla swego widzimisię – powiedział baron.

Stara, stwardniała jak rzemień twarz Hawata pozostała bez wyrazu, nie zdradzając przepełniającego go wstrętu.

– Podejrzewam wiele rzeczy, mój panie – rzekł.

– Tak. I dlatego chcę wiedzieć, co ma Arrakis do twoich podejrzeń dotyczących Salusy Secundusa. Nie wystarczy mi, że powtarzasz ciągle, że Imperator jest poruszony pewnym związkiem między Arrakis a jego tajemniczą planetą więzienną. Pospieszyłem się z wysłaniem Rabbanowi ostrzeżenia jedynie dlatego, że kurier musiał odlecieć tym liniowcem. Powiedziałeś, że nie wolno zwlekać. Zgoda, ale teraz żądam wyjaśnień.

„Za dużo paple – pomyślał Hawat. – To nie Leto, który umiał powiedzieć mi coś uniesieniem brwi lub gestem, ani Stary Książę, który potrafił wyrazić całe zdanie, odpowiednio akcentując pojedyncze słowo. To prostak! Zabicie go będzie przysługą dla rodzaju ludzkiego”.

– Nie odejdziesz stąd, dopóki nie otrzymam pełnego i szczegółowego wyjaśnienia – stwierdził baron.

– Zbyt lekko mówisz o Salusie Secundusie – powiedział Hawat.

– Jest kolonią karną – rzekł Vladimir. – Na Salusę Secundusa zsyła się najgorsze szumowiny z całej galaktyki. Co jeszcze powinniśmy wiedzieć?

– Że warunki na tej planecie więziennej są cięższe niż gdziekolwiek indziej – odparł Hawat. – Słyszałeś, że współczynnik umieralności wśród nowo przybyłych więźniów przekracza sześćdziesiąt procent, a Imperator stosuje tam wszelkie formy ucisku. Słyszałeś to wszystko i nie zadajesz pytań?

– Imperator nie pozwala wysokim rodom na inspekcje w swoim więzieniu – warknął baron – ale też i nie zagląda do moich lochów.

– A zainteresowanie Salusą Secundusem jest… ach… – Hawat położył kościsty palec na ustach – niemile widziane.

– Zatem nie szczyci się pewnymi rzeczami, które musi tam robić!

Najmniejszy z nikłych uśmiechów przemknął po ciemnych wargach mentata. Oczy rozbłysły mu w świetle jarzeniówki, kiedy wbił wzrok w barona.

– I nigdy nie zastanawiałeś się, skąd Imperator bierze swoich sardaukarów?

Baron zasznurował tłuste wargi. Wyglądał przez to jak nadąsane dziecko, a w jego głosie brzmiała nuta rozdrażnienia.

– Cóż… on rekrutuje… to znaczy, są te kontyngenty wojsk i on werbuje ich z…

– Tere-fere! – parsknął Hawat. – Opowieści o wyczynach sardaukarów, które słyszymy, to nie plotki, nieprawdaż? To relacje z pierwszej ręki tych nielicznych, którzy przeżyli starcie z nimi, hę?

– Sardaukarzy są bez wątpienia doskonałymi wojownikami – powiedział baron – ale uważam, że moje legiony…

– W porównaniu z nimi to harcerze! – warknął Hawat. – Sądzisz, że nie wiem, dlaczego Imperator zwrócił się przeciwko rodowi Atrydów?

– To nie jest temat do spekulacji dla ciebie – ostrzegł go baron.

„Czyż to możliwe, by nawet on nie wiedział, co popchnęło do tego Imperatora?” – zastanawiał się Hawat.

– Mogę spekulować na każdy temat, jeśli służy to temu, do czego mnie zatrudniłeś – powiedział. – Jestem mentatem. Nie ukrywa się przed mentatem ani informacyjnych, ani obliczeniowych danych.

Długą chwilę baron nie spuszczał z niego oczu.

– Powiedz, co musisz powiedzieć, mentacie – rzekł w końcu.

– Padyszach Imperator zwrócił się przeciwko rodowi Atrydów, ponieważ mistrzowie wojny księcia, Gurney Halleck i Duncan Idaho, wyszkolili bojową formację… *niewielką* bojową formację… o włos tylko ustępującą sardaukarom. Niektórzy jej członkowie byli nawet od nich lepsi. A książę miał szansę powiększyć swoją armię, uczynić ją pod każdym względem tak silną jak imperatorska.

Vladimir rozważał to odkrycie.

– Co ma do tego Arrakis?

– Stanowi źródło rekrutów, którzy przeszli najsurowszą szkołę przetrwania.

Baron pokręcił głową.

– Nie myślisz chyba o Fremenach?

– Myślę o Fremenach.

– Ha! Więc po co ostrzegać Rabbana? Sardaukarski pogrom i ucisk Rabbana przetrwała nie więcej niż garstka Fremenów.

Hawat wpatrywał się w niego bez słowa.

– Nie więcej niż garstka! – powtórzył baron. – Jedynie w zeszłym roku Rabban zabił ich sześć tysięcy.

Hawat nadal mu się przyglądał.

– A rok wcześniej dziewięć tysięcy – powiedział Vladimir. – Co do sardaukarów, do swego odwrotu musieli załatwić przynajmniej dwadzieścia tysięcy.

– Jakie są straty wojsk Rabbana w ciągu ostatnich dwóch lat? – zapytał mentat.

Baron potarł policzki.

– No cóż, werbował raczej ostro, to prawda. Jego agenci składają dość ekstrawaganckie obietnice i…

– Powiedzmy, trzydzieści tysięcy w zaokrągleniu? – spytał Hawat.

– To chyba trochę za dużo – rzekł baron.

– Wręcz przeciwnie – stwierdził mentat. – Umiem czytać między wierszami raporty Rabbana tak samo jak ty. A ty z pewnością musiałeś zrozumieć moje meldunki od naszych agentów.

– Arrakis to sroga planeta – powiedział baron. – Ofiary samumów mogą…

– Obaj znamy wskaźnik zgonów w wyniku burz piaskowych – przerwał mu Hawat.

– A co, jeśli stracił trzydzieści tysięcy? – zapytał Vladimir i krew napłynęła mu do twarzy.

– Według twego rachunku – odrzekł Hawat – w ciągu dwóch lat Rabban zabił piętnaście tysięcy Fremenów, sam tracąc dwa razy tyle ludzi. Mówisz, że sardaukarzy załatwili dalsze dwadzieścia tysięcy, może trochę więcej.

Widziałem manifesty przewozowe z ich powrotu z Arrakis. Jeśli zabili dwadzieścia tysięcy, to stracili prawie pięciu żołnierzy za jednego. Dlaczego nie chcesz przyjąć tych liczb do wiadomości, baronie, i zrozumieć, co one znaczą?

Vladimir przemówił ozięble, cedząc miarowo słowa:

– To twój fach, mentacie. Co one znaczą?

– Podałem ci za Duncanem Idaho liczebność wizytowanej przez niego siczy – rzekł Hawat. – Wszystko się zgadza. Jeśli mają tylko dwieście pięćdziesiąt takich siczowych wspólnot, ich populacja wynosi około pięciu milionów. Mój optymalny szacunek to przynajmniej dwa razy tyle wspólnot. Na takiej planecie ludność się rozprasza.

– Dziesięć milionów? – Policzki barona zatrzęsły się ze zdumienia.

– Co najmniej.

Vladimir zacisnął pulchne wargi. Oczami jak paciorki wpatrywał się nieustępliwie w Hawata. „Czy to prawidłowa kalkulacja mentacka? – zastanawiał się. – Jak to możliwe i dlaczego nikt niczego nie podejrzewał?”

– Nawet nie zachwialiśmy mocniej ich wskaźnikiem przyrostu naturalnego – powiedział Hawat. – Wytrzebiliśmy jedynie garstkę słabszych osobników, pozostawiając silnych, by jeszcze bardziej urośli w siłę… zupełnie jak na Salusie Secundusie.

– Salusa Secundus! – warknął baron. – Co to ma wspólnego z planetą więzienną Imperatora?

– Człowiek, który przeżyje Salusę Secundusa, jest twardszy od większości ludzi – wyjaśnił mentat. – Kiedy dodać do tego najlepsze z możliwych szkolenie wojskowe…

– Bzdura! Jeśli przyjąć twój wywód, mógłbym werbować żołnierzy spośród Fremenów po tym, jak byli ciemiężeni przez mego bratanka.

– A ty nie ciemiężysz swoich oddziałów? – zauważył łagodnym głosem Hawat.

– No… ja… ale…

– Ciemiężenie to rzecz względna – powiedział mentat. – Czyż twoim żołnierzom nie powodzi się znacznie lepiej niż innym? Czyż oni nie widzą niemiłej alternatywy dla bycia żołnierzem barona?

Vladimir milczał; miał rozbiegany wzrok. Takie możliwości… Czyżby Rabban bezwiednie dał rodowi Harkonnenów broń ostateczną?

– Jak można zapewnić sobie wierność takich rekrutów? – spytał po chwili.

– Brałbym ich małymi grupami, nie większymi niż stan plutonu – rzekł Hawat. – Wydostałbym ich z opresji i odizolował z kadrą szkoleniową złożoną z ludzi, którzy ich zrozumieją, najlepiej takich, którzy sami byli kiedyś w równie ciężkiej sytuacji. A potem natchnąłbym ich mistyczną wiarą w to, że ich planeta jest w rzeczywistości tajnym poligonem wydającym na świat takie wyższe istoty jak oni. I cały czas pokazywałbym im, na co te wyższe istoty zasługują: bogate życie, piękne kobiety, eleganckie domy… czego dusza zapragnie.

Baron zaczął kiwać głową.

– Tak jak sardaukarzy żyją u siebie.

– Z czasem rekruci uwierzą, że istnienie takiego miejsca jak Salusa Secundus jest usprawiedliwione, ponieważ wydało ich: elitę. Najzwyklejszy sardaukar wiedzie życie pod wieloma względami równie luksusowe jak członkowie wysokiego rodu.

– Coś takiego! – szepnął Vladimir.

– Udzielają ci się moje podejrzenia – rzekł Hawat.

– Skąd się wzięło coś takiego? – zapytał baron.

– A właśnie. Skąd pochodzi ród Corrinów? Czy na Salusie Secundusie byli ludzie, zanim jakiś Imperator wysłał tam pierwszy kontyngent swoich więźniów? Nawet książę Leto, jego krewniak, niczego nie wiedział na pewno! Nie zachęca się do stawiania takich pytań.

Oczy barona zrobiły się szkliste od zamyślenia.

– Tak, to pilnie strzeżone tajemnice. Użyliby wszelkich środków…

– W dodatku co tu jest do ukrywania? – zapytał Hawat. – Że nasz Padyszach Imperator ma planetę więzienną? To wie przecież każdy. Że ma…

– Hrabia Fenring! – wyrwało się Vladimirowi.

Hawat zamilkł i przyglądał się baronowi z zaintrygowaną miną.

– Co hrabia Fenring?

– Na urodzinach mojego bratanka parę lat temu… – rzekł baron. – Ten imperialny goguś, hrabia Fenring, przybył w charakterze oficjalnego obserwatora oraz dla… hm, sfinalizowania porozumienia handlowego między mną a Imperatorem.

– I co?

– Ja… hm… zdaje się, że w trakcie jednej z rozmów wspomniałem coś o zrobieniu z Arrakis planety więziennej. Fenring…

– Co dokładnie powiedziałeś? – zapytał Hawat.

– Dokładnie? To było tak dawno i…

– Mój panie, jeżeli pragniesz zrobić najlepszy użytek z moich usług, musisz udzielić mi wyczerpujących informacji. Nie nagrano tej rozmowy?

Twarz barona pociemniała z gniewu.

– Jesteś równie nieznośny jak Piter! Nie podobają mi się te…

– Pitera nie ma już przy tobie, mój panie – powiedział Hawat. – A tak na marginesie, cóż takiego mu się przytrafiło?

– Zbyt się spoufalił, zbyt wiele wymagał ode mnie – odparł Vladimir.

– Zapewniałeś mnie, że nie marnujesz pożytecznych ludzi – rzekł Hawat. – Czy chcesz mnie zmarnować przez groźby i wykręty? Rozmawialiśmy o tym, co powiedziałeś hrabiemu Fenringowi.

Z wolna rysy barona się wygładziły. „W odpowiednim czasie – stwierdził – będę pamiętał, jak mnie traktował. Tak. Będę o tym pamiętał”.

– Chwileczkę – rzekł i cofnął się myślami do spotkania w swym salonie. Pomogło mu to wyobrazić sobie stożek ciszy, w którym stali. – Powiedziałem coś takiego: „Imperator rozumie, że interesy zawsze są i były związane z przelewem krwi”. To była aluzja do strat w naszej sile roboczej. Następnie wspomniałem coś o ewentualnym innym rozwiązaniu problemu Arrakis i dodałem, że planeta więzienna Imperatora natchnęła mnie do pójścia w jego ślady.

– Wiedźmia krew! – warknął Hawat. – Co na to Fenring?

– Wtedy właśnie zaczął mnie wypytywać o ciebie.

Mentat odchylił się na oparcie, przymykając oczy w zadumie.

– Więc to dlatego zaczęli się przyglądać Arrakis – rzekł. – Cóż, co się stało, to się nie odstanie. – Otworzył oczy. – Na Arrakis musi się już roić od ich szpiegów. Dwa lata!

– Ale przecież moja niewinna wzmianka o…

– Nic nie jest niewinne w oczach Imperatora! Jakich instrukcji udzieliłeś Rabbanowi?

– Żeby po prostu nauczył Arrakis bać się nas.

Hawat pokręcił głową.

– Teraz masz, baronie, dwa wyjścia. Możesz wybić tubylców, zmieść ich z powierzchni ziemi, albo…

– Zmarnować całą siłę roboczą?

– Wolałbyś sprowadzić tutaj Imperatora i te wysokie rody, które może jeszcze przeciągnąć na swoją stronę, żeby dokonali skrobanki, żeby

wyskrobali Giedi Prime jak pustą tykwę?

Vladimir przewiercał wzrokiem swego mentata.

– Nie ośmieliłby się!

– Nie?

Baronowi zadrżały wargi.

– Jaką widzisz alternatywę?

– Porzuć swojego drogiego bratanka Rabbana.

– Po… – Vladimir urwał i spojrzał ze zdumieniem na Hawata.

– Nie wysyłaj mu więcej żołnierzy ani żadnej pomocy, obojętne w jakiej postaci. Na wszystkie jego listy odpowiadaj niezmiennie, że słyszałeś, w jaki okropny sposób poczyna sobie na Arrakis, i że gdy tylko będziesz mógł, podejmiesz środki zaradcze. Ja zorganizuję przechwycenie niektórych twoich pism przez szpiegów imperialnych.

– A co z przyprawą, dochodami, wszystkimi…?

– Żądaj należnych baronii zysków, bacząc, jak to robisz. Wymagaj od Rabbana stałych sum. Możemy…

Baron obrócił ręce dłońmi do góry.

– Ale skąd mogę mieć pewność, że mój chytry bratanek nie…

– Są jeszcze nasi szpiedzy na Arrakis. Powiedz Rabbanowi, że albo wywiąże się z kontyngentów przyprawy, jakie nań nałożyłeś, albo się go zastąpi.

– Znam swojego bratanka – rzekł Vladimir. – To go tylko sprowokuje do zwiększenia ucisku ludności.

– Oczywiście, że go sprowokuje! – rzucił Hawat. – Ty nie chcesz teraz położyć temu kresu! Ty chcesz mieć jedynie czyste ręce. Niech to Rabban stworzy ci tego twojego Salusę Secundusa. Nawet nie trzeba mu posyłać więźniów. Ma wystarczającą do tego populację. Skoro Rabban zamęcza swych ludzi, by wywiązać się z narzuconych przez ciebie kontyngentów

przyprawy, Imperator nie ma powodu podejrzewać innego motywu. To wystarczy, by zamęczać tę planetę. Ty zaś, baronie, słowem ani gestem nie zdradzisz, że istnieje ku temu jakiś inny powód.

Baron nie potrafił ukryć szelmowskiego podziwu w głosie.

– Ach, Hawacie, jesteś chytry. No a jak wprowadzimy się na Arrakis i wykorzystamy to, co przygotuje Rabban?

– To najprostsze pod słońcem, baronie. Jeśli co roku ustalisz nieco wyższy kontyngent od poprzedniego, sytuacja niebawem dojrzeje. Produkcja spadnie. Będziesz mógł usunąć Rabbana i samemu zająć się… porządkowaniem bałaganu.

– To się trzyma kupy – rzekł Vladimir – tylko że mogę się poczuć tym wszystkim zmęczony. Przygotowuję kogoś innego do objęcia Arrakis w moim imieniu.

Mentat obserwował tłustą, krągłą twarz naprzeciwko siebie. Stary szpieg i wojownik niespiesznie pokiwał głową.

– Feyd-Rautha – powiedział. – Więc to się kryje za obecnym uciskiem. Ty sam jesteś bardzo chytry, baronie. Może uda nam się połączyć te dwa plany. Tak. Twój Feyd-Rautha może polecieć na Arrakis jako zbawca. Może pozyskać masy. Tak.

Baron się uśmiechnął. Maska uśmiechu skrywała zaś pytanie: „A jak to współgra z osobistymi knowaniami Hawata?”.

Widząc, że został odprawiony, mentat wstał i opuścił pokój o czerwonych ścianach. Po drodze nie potrafił się opędzić od dręczących niewiadomych, które wyskakiwały w każdej kalkulacji dotyczącej Arrakis. Ten nowy przywódca religijny, o którym doniósł Gurney Halleck ze swej kryjówki wśród przemytników, ten Muad’Dib.

„Może nie powinienem doradzać baronowi, by dał tej religii krzewić się gdzie popadnie, nawet pośród ludności panwi i grabenu – powiedział do

siebie. – Ale wiadomo przecież, że ucisk powoduje rozkwit religii”.

I pomyślał o meldunkach Hallecka na temat taktyki bojowej Fremenów. Taktyka owa trąciła samym Halleckiem… Idaho… i nawet Hawatem.

„Czy Idaho przeżył?” – zapytywał się w duchu, lecz było to daremne pytanie. Nie zadał sobie jeszcze pytania, czy to możliwe, by Paul ocalał. Wiedział, że baron jest przekonany, iż wszyscy Atrydzi zginęli. Jego bronią była czarownica Bene Gesserit, jak sam przyznał. A to mogło jedynie oznaczać koniec wszystkich, nawet rodzonego syna tej kobiety.

„Jaką jadowitą nienawiść musiała żywić do Atrydów – myślał. – Podobną do tej, którą ja żywię do barona. Czy mój cios będzie równie ostateczny jak jej?”

We wszystkich rzeczach przewija się motyw będący częścią naszego wszechświata. Są w nim symetria, elegancja i wdzięk – owe przymioty, które zawsze odnajdujemy w tym, co wychwytują prawdziwi artyści. Możemy go napotkać w przemijaniu pór roku, w tym, jak piasek ściele się po grani, w pękach gałązek krzewu kreozytowego albo w żyłkach jego liści. Próbujemy kopiować te motywy w życiu swoim i społeczeństwa, poszukując rytmów, tańców i kształtów, które niosą ukojenie. Można jednak zauważyć niebezpieczeństwo w znalezieniu ostatecznej doskonałości. Jest oczywiste, że plan ostateczny zawiera własną stałość. W takiej doskonałości wszelkie rzeczy zmierzają ku śmierci.

– z *Myśli zebranych Muad'Diba* w opracowaniu księżnej Irulany

Paul Muad'Dib pamiętał, że zjadł posiłek nasycony esencją przyprawową. Uczepił się tego wspomnienia, ponieważ stanowiło punkt oparcia i mógł sobie powiedzieć z tej korzystnej pozycji, że jego bezpośrednie doznania muszą być snem.

„Jestem teatrem procesów – pomyślał. – Ofiarą niedoskonałej wizji, świadomości rasy i jej straszliwego przeznaczenia".

Jednak nie potrafił wyzbyć się lęku, że jakoś prześcignął samego siebie i zabłądził w czasie tak dalece, że przeszłość, przyszłość i teraźniejszość poplątały się nie do poznania. Było to coś w rodzaju zmęczenia wzrokowego wywołanego – o czym wiedział – ustawiczną koniecznością trzymania w pamięci wizji przyszłości na zasadzie wspomnienia, które jako takie należało z natury do przeszłości.

„Chani przygotowała mi ten posiłek" – powiedział sobie.

Ale Chani przebywała daleko na południu – w zimnej krainie gorącego słońca – ukryta w jednej z nowych fortec siczowych, bezpieczna z ich synem Leto II.

A może to ma się dopiero zdarzyć?

Nie, uspokoił sam siebie, ponieważ Alia ta Dziwna, jego siostra, udała się z jego matką i z Chani w dwudziestodudnikową podróż na południe, jadąc w palankinie matki wielebnej zamocowanym na grzbiecie dzikiego stworzyciela.

Odsunął od siebie w popłochu myśl o ujeżdżaniu gigantycznych czerwi, zadając sobie pytanie: „A może Alia ma się dopiero narodzić?”.

„Byłem na razzia – przypomniał sobie. – Przeprowadziliśmy rajd, odbierając wodę naszych zmarłych w Arrakin. I znalazłem szczątki mego ojca w stosie pogrzebowym. Umieściłem jego czaszkę jako relikwię we fremeńskim kopcu skalnym górującym nad Przełęczą Harga”.

A może to ma się dopiero zdarzyć?

„Moje rany są prawdziwe – powiedział do siebie Paul. – Moje blizny są prawdziwe. Kaplica czaszki mego ojca jest prawdziwa”.

W tym stanie niby-snu chłopakowi przypomniało się, że Hara, żona Dżamisa, zakłóciła raz jego samotność, mówiąc mu, że w korytarzu siczy odbyła się walka. Była to tymczasowa sicz, w której przebywali przed wysłaniem kobiet i dzieci daleko na południe. Hara stanęła w wejściu do wewnętrznej komnaty, a łańcuszek z nanizanymi na niego pierścieniami talionów wody ściągał z tyłu czarne skrzydła jej włosów. Rozsunąwszy kotary, powiedziała, że Chani właśnie kogoś zabiła.

„To się zdarzyło – rzekł do siebie Paul. – To było naprawdę. Nie zrodziło się ze swego czasu i nie może się zmienić”.

Pamiętał, że wybiegł i natknął się na Chani. Stała pod żółtymi lumisferami w jaskrawobłękitnym sari z odrzuconym kapturem, z rumieńcami wysiłku na delikatnej twarzy. Chowała właśnie do pochwy krysnóż. Ciasno zbita gromadka pospiesznie unosiła jakieś brzemię w głąb korytarza. Paul pamiętał, jak powiedział sobie w duchu: „Zawsze się pozna, kiedy dźwigają ciało”.

Taliony wody Chani, noszone w siczy jawnie na sznurku wokół szyi, zadzwoniły, kiedy się do niego odwróciła.

– O co chodzi, Chani? – zapytał.

– Wyprawiłam na tamten świat tego, kto przyszedł wyzwać cię na pojedynek, Usulu.

– *Ty* go zabiłaś?

– Tak, ale chyba powinnam go była zostawić Harze.

(I Paul ujrzał w pamięci, jak otaczający ich ludzie okazują uznanie tym słowom. Śmiała się nawet Hara).

– Ale on przyszedł wyzwać *mnie*.

– Sam nauczyłeś mnie magicznego sposobu, Usulu.

– Oczywiście! Ale nie powinnaś…

– Urodziłam się na pustyni, Usulu. Umiem używać krysnoża.

Pohamował gniew, starając się przemówić jej do rozsądku.

– To wszystko może prawda, Chani, ale…

– Nie jestem już dzieckiem, które w świetle ręcznej lumisfery wyłapywało skorpiony w siczy. Nie dla mnie już gry i zabawy.

Paul spojrzał na nią, zaskoczony dziwnym okrucieństwem skrytym pod jej niedbałą pozą.

– On nie był tego wart, Usulu – dodała Chani. – Tacy jak on nie są warci tego, bym przerywała twoje medytacje. – Przysunęła się bliżej, spoglądając nań z ukosa i ściszając głos tak, żeby tylko on ją usłyszał: – I, ukochany, kiedy się rozniesie, że rzucający ci wyzwanie może natknąć się na mnie i zginąć niesławną śmiercią z ręki kobiety Muad’Diba, ubędzie ochotników.

„Tak – powtórzył Paul – to się na pewno zdarzyło. To była prawdziwa przeszłość. A liczba chcących wypróbować świeże ostrze Muad’Diba rzeczywiście drastycznie spadła”.

Gdzieś w świecie nie ze snu coś się poruszyło, odezwał się nocny ptak.

„Ja śnię – uspokoił się Paul. – To ten posiłek z przyprawą”.

Ciągle jednak doznawał uczucia opuszczenia. Zastanawiał się, czy to możliwe, by jego ruh-duch prześliznął się jakoś do świata, w którym według wierzeń Fremenów miał swoje prawdziwe istnienie – do Alam al-Mithal, świata podobieństw, owego metafizycznego królestwa pozbawionego wszelkich fizycznych ograniczeń. I myśl o takim miejscu przepełniła go trwogą, ponieważ usunięcie wszelkich ograniczeń oznaczało usunięcie wszelkich punktów odniesienia. W mitycznym krajobrazie nie mógł się zorientować i oświadczyć: „Ja jestem ja, ponieważ jestem tutaj”.

Matka powiedziała mu kiedyś: „Ludzie są podzieleni – część przynajmniej – w tym, co myślą o tobie”.

„Muszę zbudzić się ze snu” – rzekł do siebie Paul. A ponieważ to się stało, te słowa jego matki, lady Jessiki będącej obecnie matką wielebną Fremenów, przebyły rzeczywistość.

Wiedział, że Jessikę napawa lękiem religijny stosunek Fremenów do niego. Nie podobał jej się fakt, że ludzie zarówno z siczy, jak i z grabenu mówią o Muad’Dibie „On”. Rozpytywała się wśród plemion, wysyłała swych sajjadińskich szpiegów, zbierała odpowiedzi i dumała nad nimi.

Przytoczyła mu aforyzm Bene Gesserit: „Kiedy religia i polityka jadą na tym samym wozie, ci, którzy powożą, wierzą, że nic nie może stanąć na ich drodze. Zaczynają pędzić na łeb, na szyję, coraz szybciej i szybciej. Odsuwają od siebie wszelkie myśli o przeszkodach i nie pamiętają, że pędzącemu na oślep człowiekowi przepaść ukazuje się, kiedy jest już za późno”.

Paul przypomniał sobie, jak siedział w kwaterze matki, w wewnętrznej komnacie odgrodzonej ciemnymi kotarami tkanymi w motywy z fremeńskiej mitologii. Siedział tam, słuchał i obserwował tak, jak ona zawsze obserwowała – nawet kiedy miała spuszczone oczy. Na jej owalnej

twarzy przybyło zmarszczek w kącikach ust, lecz włosy nadal przypominały wypolerowany brąz. Szeroko rozstawione oczy pokrył jednak nalot przepojonego przyprawą błękitu.

– Fremeni mają prostą, praktyczną religię – rzekł.

– Nic w religii nie jest proste – ostrzegła go.

Ale Paul – widząc zachmurzoną przyszłość wiszącą ciągle nad nimi – poczuł, jak targa nim gniew.

– Religia jednoczy nasze siły. To nasz mistycyzm – powiedział jedynie.

– Ty świadomie kultywujesz tę atmosferę, tę brawurę – zarzuciła mu. – Ani na chwilę nie przerywasz indoktrynacji.

– Sama mnie tego nauczyłaś – odparł.

Jessika była tego dnia skora do kłótni i swarów. Był to dzień ceremonii obrzezania maleńkiego Leto. Paul rozumiał niektóre powody jej rozdrażnienia. Matka nigdy nie pogodziła się z jego związkiem – tym „dziecinnym małżeństwem” – z Chani. A Chani dała Atrydom syna i Jessika zorientowała się, że nie potrafi odrzucić dziecka razem z matką.

Wreszcie Jessika drgnęła pod jego spojrzeniem.

– Uważasz mnie za wyrodną matkę – powiedziała.

– Skądże znowu.

– Widzę, jak mi się przyglądasz, kiedy jestem z twoją siostrą. Niczego nie rozumiesz, jeśli o nią chodzi.

– Wiem, dlaczego Alia jest inna – rzekł. – Była jeszcze częścią ciebie, kiedy przemieniłaś Wodę Życia. Ona…

– Nie masz o tym pojęcia!

Paul, raptem nie będąc w stanie wyrazić swojej wiedzy wyrwanej z jej czasu, powiedział tylko:

– Nie uważam cię za wyrodną matkę.

Zauważyła jego strapienie.

– Jest pewna sprawa, synu – odezwała się.

– Tak?

– Naprawdę kocham twoją Chani. Akceptuję ją.

„To wydarzyło się naprawdę” – powiedział sobie Paul. Nie była to niedoskonała wizja, którą miały zmienić konwulsje rodzącego się czasu. Upewniwszy się co do tego, zdobył świeży punkt zaczepienia w swoim świecie. Okruchy trwałej rzeczywistości zaczęły przenikać przez stan uśpienia i zapadać mu w świadomość. Nagle zdał sobie sprawę, że znajduje się w hieregu, obozie pustynnym. Chani ustawiła ich filtrnamiot na drobnym niczym pył piasku dla jego miękkości. To mogło oznaczać tylko, że Chani jest w pobliżu. Chani, jego dusza, Chani, jego Sihaja, słodka jak wiosna pustyni, Chani z palmariów głębokiego południa.

Pamiętał teraz, jak śpiewała mu pustynną pieśń na dobranoc.

Duszo ma,
Niechaj noc ta zastąpi ci raj,
Klnę się na Szej-huluda,
Że pójdziesz tam,
Służąc miłości mej.

I zaśpiewała też piosenkę marszową pary kochanków przemierzających pustynię, w rytmie, który przypominał szuranie stóp brnących przez wydmy.

Opisz mi swe oczy,
A ja opiszę ci serce twe.
Opisz mi swe stopy,
A ja opiszę ci dłonie twe.

Opisz mi swe wieczory,
A ja opiszę ci ranki twe.
Opisz mi swe pragnienia,
A ja powiem ci, czego chcesz.

Słyszał, jak ktoś trąca struny balisety w sąsiednim namiocie. Pomyślał wtedy o Gurneyu Hallecku. Przynaglony dźwiękiem znajomego instrumentu, myślał o Gurneyu, którego spostrzegł wśród członków przemytniczej bandy, lecz który jego nie zobaczył – nie mógł go zobaczyć ani dowiedzieć się o nim, by mimowolnie nie naprowadzić Harkonnenów na ślad syna zabitego przez nich księcia.

Ale styl nocnego grajka, sposób, w jaki jego palce trącały struny balisety, spowodował, że Paul pomyślał o tym muzyku. Grał Chatt Skoczek, kapitan fedajkinów, dowódca komandosów śmierci strzegących Muad'Diba.

„Jesteśmy na pustyni – uprzytomnił sobie. – Jesteśmy w centralnym ergu, poza zasięgiem harkonneńskich patroli. Jestem tutaj, aby przejść piasek, aby zwabić stworzyciela i dosiąść go własnym sprytem, bym stał się w pełni Fremenem".

Czuł na brzuchu pistolet maula, czuł krysnóż. Czuł otaczającą go ciszę. Była to owa szczególna cisza przedświtu, kiedy nocne ptaki już odeszły, dzienne stworzenia zaś nie zasygnalizowały jeszcze czujności wobec słońca, swego wroga.

„Musisz przejechać piasek w świetle dnia, żeby Szej-hulud zobaczył i zrozumiał, że nie ma w tobie strachu – powiedział Stilgar. – Przestawimy sobie zatem czas i pójdziemy spać tej nocy".

Paul usiadł cicho, czując przestronność poluzowanego filtraka i zaciemniony filtrnamiot nad sobą. Poruszał się bezszelestnie, a jednak Chani go usłyszała.

Odezwała się z mroków namiotu, sama niczym jeden z jego cieni:

– Jeszcze nie nastał dzień, ukochany.

– Sihajo – powiedział, niemal się śmiejąc.

– Nazywasz mnie swą wiosną pustyni – rzekła – lecz dziś będę dla ciebie jak oścień. Jam jest sajjadina na straży rytuałów.

Zajął się dopinaniem filtraka.

– Kiedyś zacytowałaś mi słowa z *Kitab al-Ibar* – rzekł. – Powiedziałaś: „Kobieta jest twoim polem: idź zatem i uprawiaj je”.

– Jestem matką twojego pierworodnego – zgodziła się.

Widział w szarówce, jak każdym ruchem powtarza jego ruchy, zabezpieczając filtrak przed wyjściem na otwartą pustynię.

– Powinieneś wykorzystać każdą wolną chwilę na odpoczynek.

Poznał, że to jej miłość do niego przemawia, i złajał ją łagodnie.

– Strażniczka sajjadina nie udziela kandydatowi przestróg ani ostrzeżeń.

Przysunęła się do niego i musnęła dłonią jego policzek.

– Dziś jestem i strażniczką, i kobietą.

– Zostaw tę powinność komuś innemu.

– Czekanie w każdym przypadku jest trudne – powiedziała. – Wolałabym być u twego boku.

Ucałował jej dłoń, nim zamocował maskę filtraka na twarzy, po czym odwrócił się i zerwał gródź namiotu. Wpadające powietrze, chłodne i nie całkiem suche, obiecywało śladową rosę o świcie. Doleciała z nim woń masy preprzyprawowej wykrytej przez nich nieopodal na północny wschód, co powiedziało im, że w pobliżu będzie stworzyciel.

Przeczołgał się przez otwarty zwieracz i stanąwszy na piasku, przeciągnął się, budząc mięśnie do życia. Nikła, zielonkawoperłowa luminescencja wytrawiła horyzont na wschodzie. Małe sztuczne wydmy

otaczające go w mroku znaczyły namioty jego oddziału. Z lewej strony dostrzegł ruch wartowników i wiedział, że też go dostrzegli.

Oni znali niebezpieczeństwo, któremu stawiał dziś czoło. Każdy Fremen to przechodził. Dawali mu teraz te ostatnie chwile samotności, żeby mógł się przygotować.

„To musi się stać dzisiaj” – powiedział sobie.

Myślał o potędze, jaką przeciwstawił pogromowi – o starcach wysyłających do niego swych synów na naukę w magicznej szkole walki, o starcach z rady słuchających teraz jego zdania i postępujących według jego wskazań, o ludziach, którzy powracając, składali mu wyrazy najwyższego fremeńskiego uznania: „Twój plan nie zawiódł, Muad’Dibie”.

A mimo to najskromniejszy i najmarniejszy z fremeńskich wojowników potrafił coś, czego on nigdy nie dokonał. I Paul wiedział, że jego przywództwo cierpi z powodu tej znanej powszechnie różnicy między nimi.

Nie dosiadł jeszcze stworzyciela.

Owszem, jeździł z innymi na treningowe przejażdżki i rajdy, ale nie odbył własnej podróży. Dopóki tego nie zrobi, jego świat pozostanie ograniczony możliwościami innych, na co nie może sobie pozwolić żaden prawdziwy Fremen. Dopóki tego nie zrobi samodzielnie, nie dla niego będą nawet rozległe krainy południa, ziemie w odległości dwudziestu dudników od ergu, chyba że zażyczy sobie palankinu i pojedzie niczym matka wielebna lub któryś z chorych czy rannych.

Powróciło wspomnienie zmagań ze świadomością wewnętrznego „ja” tej nocy. Dostrzegł w tym osobliwą analogię: jeśli ujarzmi stworzyciela, umocni swoją władzę; jeśli ujarzmi oko swej jaźni, zawładnie nią. Ale poza jednym i drugim leżał zaciągnięty chmurami obszar Wielkiego Niepokoju, na którym cały wszechświat zdawał się gmatwać.

Dręczyła go niezgodność w sposobie pojmowania przez niego wszechświata, dokładność i niedokładność, jego dwie strony medalu. Widział to *in situ*. Jednak po narodzeniu, po dostaniu się pod presję rzeczywistości, teraźniejszość żyła własnym życiem i rosła z własnymi subtelnymi odmiennościami. Pozostawało straszliwe przeznaczenie. Pozostawała świadomość gatunku. A ponad wszystkim majaczył dżihad, krwawy i szalejący.

Chani wyszła do niego przed namiot. Objąwszy się za łokcie, spoglądała nań z ukosa, jak robiła, kiedy badała jego nastrój.

– Opowiedz mi raz jeszcze o wodach swojej planety, Usulu – poprosiła.

Zrozumiał, że stara się go rozerwać, uwolnić jego umysł od napięcia przed śmiertelną próbą. Pojaśniało i spostrzegł, że niektórzy z fedajkinów zwijają już namioty.

– Wolałbym, żebyś ty opowiedziała mi o siczy i o naszym synu – rzekł. – Czy Leto wodzi już za nos moją matkę?

– Alię też wodzi – powiedziała. – I rośnie jak na drożdżach. Będzie z niego wielki mężczyzna.

– Jak tam jest, na południu? – zapytał.

– Sam zobaczysz, kiedy ujeździsz stworzyciela.

– Ale najpierw chciałbym to zobaczyć twoimi oczami.

– Okropnie pusto.

Poprawił jej na czole wystającą spod filtrakowego kołpaka chustę nezhoni.

– Dlaczego nie opowiesz mi o siczy?

– Przecież opowiadam. Sicz bez naszych mężczyzn jest pustym miejscem. Jest miejscem pracy. Pracujemy w warsztatach i garncarniach. Trzeba produkować broń, wbijać tyczki dla prognoz pogody, zbierać przyprawę na łapówki. Trzeba obsadzać wydmy, aby obrosły i się

zakotwiczyły. Trzeba wytwarzać tkaniny i dywany, ładować ogniwa paliwowe. Trzeba szkolić dzieci, żeby siła plemienia nigdy nie zginęła.

– Zatem w siczy nie ma nic miłego? – spytał.

– Dzieci są miłe. Przestrzegamy rytuałów. Mamy dosyć żywności. Czasami któraś z nas ma okazję udać się na północ, by się przespać ze swoim mężczyzną. Życie musi iść naprzód.

– A moja siostra Alia… Czy ludzie już ją zaakceptowali?

Chani obróciła się ku niemu w narastającym brzasku. Przewiercała go wzrokiem.

– Porozmawiajmy o tej sprawie innym razem, ukochany.

– Porozmawiajmy teraz.

– Powinieneś oszczędzać całą energię na próbę – powiedziała.

Usłyszawszy w jej głosie rezerwę, zorientował się, że poruszył drażliwy temat.

– Przynosi nieznane troski – rzekł.

Po chwili skinęła głową.

– Ciągle zachodzą… nieporozumienia z powodu dziwności Alii – oznajmiła. – Kobiety się boją, ponieważ dziecko niewiele większe od noworodka prawi… o rzeczach, które powinien znać tylko dorosły. One nie rozumieją tej… przemiany w łonie, która spowodowała, że Alia jest… inna.

– Są kłopoty? – zapytał. „Miewałem wizje kłopotów z Alią” – pomyślał.

Chani spojrzała w kierunku coraz wyraźniejszej linii wschodzącego słońca.

– Część kobiet wystąpiła z apelem do matki wielebnej. Zażądały, żeby egzorcyzmami wypędziła demona ze swej córki. Powołały się na Pismo Święte mówiące: „Nie pozwólmy czarownicy żyć wśród nas”.

– I co im powiedziała moja matka?

– Wyrecytowała prawo i odeszły jak niepyszne. Powiedziała: „Skoro Alia sprawia kłopoty, jest to wina władzy, która nie przewidziała i nie ustrzegła się tych kłopotów”. I starała się wyjaśnić, co przemiana zrobiła w jej łonie z Alią, ale kobiety były złe, że je speszyła. Odeszły, sarkając.

„Będą kłopoty z powodu Alii” – pomyślał Paul.

Podmuch krystalicznego piasku musnął odkryte części jego twarzy, przynosząc woń masy preprzyprawowej.

– El sajal, deszcz piasku zwiastujący poranek – rzekł.

Zapatrzył się w dal, w szare światło pustynnego krajobrazu, na bezlitosny pejzaż, piasek będący formą, która wchłonęła sama siebie. Sucha błyskawica rozjaśniła zygzakiem ciemny zakątek na południu – znak, że samum nagromadził tam swój ładunek elektrostatyczny. Grzmot przewalił się z hukiem o wiele później.

– Głos, który przystraja ziemię – powiedziała Chani.

Coraz więcej jego ludzi wyłaniało się z namiotów. Z obrzeży obozu schodzili wartownicy. Wszystko wokół niego toczyło się płynnie odwiecznym trybem niewymagającym rozkazów.

„Wydawaj jak najmniej rozkazów – powiedział jego ojciec… kiedyś… dawno temu. – Skoro raz coś rozkażesz w jakiejś sprawie, zawsze będziesz musiał wydawać rozkaz, by to zrobiono”.

Fremeni instynktownie pojmowali tę zasadę.

Wodmistrz oddziału zaintonował poranny zaśpiew, dodając doń tym razem wezwanie do rytuału inicjacji jeźdźca piasku.

– Świat jest ścierwem – niosło się jego zawodzenie nad wydmami. – Któż zawróci Anioła Śmierci? Stać się musi wola Szej-huluda.

Paul słuchał i rozpoznawał słowa, które zaczynały również psalm śmierci jego fedajkinów, słowa, które odmawiali komandosi śmierci, rzucając się w wir walki.

„Czy dziś przybędzie tutaj skalne sanktuarium znaczące odejście kolejnej duszy? – zastanawiał się. – Czy Fremeni będą tu przystawać, by każdy dołożył od siebie kamień i pomyślał o poległym tutaj Muad’Dibie?”

Wiedział, że istnieje dziś taka możliwość, taki fakt na nitkach przyszłości rozchodzących się promieniście z tego miejsca w czasoprzestrzeni. Prześladowała go ta niedoskonałość wizji. Im bardziej opierał się swemu straszliwemu przeznaczeniu i przeciwstawiał nadejściu dżihadu, tym większy zamęt wkradał się do jego jasnowidzenia. Cała jego przyszłość zaczynała przypominać walącą się w otchłań rzekę – ogniwo gwałtowności – poza którą były jedynie mgła i chmury.

– Nadchodzi Stilgar – powiedziała Chani. – Muszę już stanąć na uboczu, ukochany. Teraz muszę być sajjadiną i baczyć na rytuał, żeby odnotowano to wiernie w kronikach. – Spojrzała na niego i na chwilę zniknęła jej powściągliwość, ale szybko się opanowała. – Kiedy będzie po wszystkim, własnoręcznie przygotuję ci śniadanie – dodała i odeszła.

Stilgar zbliżał się ku niemu przez piasek, marszcząc maleńkie kałuże pyłu. Ciemne nisze jego oczu mierzyły Paula nieruchomym, dumnym wejrzeniem. Czarna broda wyzierająca sponad maski filtraka i pokryte bruzdami policzki mogły konkurować ożywieniem z rzeźbą w skale. Niósł sztandar Paula – zielono-czarny sztandar z tuleją na wodę w drzewcu – który stał się już legendą tej krainy. Chłopak pomyślał z odcieniem dumy: „Nie mogę zrobić najprostszej rzeczy, żeby nie przeszła ona do legendy. Oni sobie zanotują, jak się rozstałem z Chani, jak powitam Stilgara… każdy mój dzisiejszy krok. Żywy czy martwy, zostanę legendą. Nie mogę zginąć. Wtedy będzie tylko legenda i nic prócz niej, co by powstrzymało dżihad”.

Stilgar zatknął drzewce przy Paulu i opuścił ręce. Spojrzenie błękitnych w błękicie oczu pozostało harde i natarczywe, a Paul pomyślał o swoich oczach, które już zachodziły tą samą przyprawową barwą.

– Oni odmawiają nam hadżdżu – rzekł Stilgar z rytualnym namaszczeniem.

Paul odpowiedział, jak nauczyła go Chani:

– Któż może odmówić Fremenowi prawa, by szedł lub jechał, dokąd zechce?

– Jam jest naib – oświadczył Stilgar – ten, którego nigdy nie wezmą żywcem. Jam jest ramię trójnogu śmierci, który zabije naszych wrogów.

Zapadła cisza.

Paul zerknął na resztę Fremenów rozproszonych za Stilgarem po piasku, spostrzegł, jak zastygli bez ruchu w tym momencie prywatnej modlitwy. I zadumał się nad Fremenami, nad ludźmi, których życie składa się z zabijania – nad całym ludem, który żyje gniewem i rozpaczą od początku swych dni i nigdy się nie zastanawia, co mogłoby zastąpić jedno i drugie… z wyjątkiem marzenia, jakim natchnął ich Liet-Kynes przed swoją śmiercią.

– Gdzież jest Pan, który przeprowadzi nas przez królestwo pustyni i otchłań? – zapytał Stilgar.

– On zawsze jest z nami – zaintonowali Fremeni.

Stilgar wyprostował się i podszedł bliżej Paula.

– Nie zapominaj, co ci mówiłem – rzekł cicho. – Zrób to prosto i zwyczajnie, bez fantazjowania. Nasi ludzie ujeżdżają stworzyciela w wieku dwunastu lat. O sześć lat przekraczasz ten wiek i nie urodziłeś się do tego życia. Na nikim nie musisz zrobić wrażenia swoją odwagą. My wiemy, że jesteś odważny. Masz tylko wezwać i ujeździć stworzyciela.

– Nie zapomnę – powiedział Paul.

– Oby tak było. Nie chciałbym, żebyś przyniósł wstyd moim naukom.

Stilgar wyciągnął spod dżubby mniej więcej metrową laskę z plastiku. Na jednym końcu była zaostrzona, na drugim miała sprężynową kołatkę.

– Sam sporządziłem ten dudnik. To dobry egzemplarz. Weź go.

Paul poczuł ciepłą gładź tworzywa, gdy wziął dudnik do rąk.

– Sziszakli ma twoje haki – rzekł Stilgar. – Wręczy ci je, kiedy dojdziesz do tamtej wydmy, o tam. – Wskazał na prawo. – Wezwij dużego stworzyciela, Usulu. Wskaż nam drogę.

Paul zwrócił uwagę na ton Stilgara, na poły ceremonialny, na poły przesycony przyjacielską troską. W tym momencie odnieśli wrażenie, że słońce wypryskuje nad horyzont. Niebo zasnuło się posrebrzonym szarobłękitem, który ostrzegał, że dzień będzie wyjątkowo upalny i suchy, nawet jak na Arrakis.

– Nadszedł czas płonącego dnia – powiedział Stilgar i jego głos był już wyłącznie uroczysty. – Idź, Usulu, i dosiądź stworzyciela. Jedź piaskiem jako przywódca ludu.

Paul zasalutował swej fladze; zauważył, że zielono-czarna chorągiew zwisa bezwładnie, odkąd zamarł wiatr przedświtu. Ruszył w stronę wskazanej przez Stilgara wydmy, burobrązowego stoku o grzbiecie w kształcie litery S. Prawie cały oddział uchodził już w przeciwnym kierunku, wspinając się na drugą z wydm osłaniających obóz.

Na drodze chłopaka została samotna, owinięta w dżubbę postać: Sziszakli, dowódca oddziału fedajkinów, któremu między kołpakiem filtraka a maską widać było tylko skośne oczy.

Kiedy Paul się zbliżył, Sziszakli podał mu dwa cienkie, podobne do pejczów pręty. Miały około półtora metra długości i zakończone były hakami z tworzywa sztucznego; drugi koniec był szorstki, dla pewniejszego chwytu.

Paul ujął oba w lewą dłoń, jak nakazywał rytuał.

– To są moje haki – powiedział Sziszakli ochrypłym głosem. – Nigdy nie zawiodły.

Paul skinął głową, zachowując wymagane milczenie, wyminął go i ruszył w górę stokiem wydmy. Na szczycie obejrzał się i zobaczył, jak oddział rozsypuje się niczym pierzchające owady, jak łopocą dżubby. Stał teraz samotnie na piaszczystej grani, mając przed sobą tylko horyzont, płaski i nieruchomy. Wybrana przez Stilgara wydma była dobra; wyższa od sąsiednich, stanowiła dogodniejszy punkt obserwacyjny.

Schyliwszy się, Paul osadził dudnik głęboko w nawietrznym stoku wydmy, gdzie zbity piasek zapewniał maksymalną transmisję werbla. A potem zawahał się, roztrząsając po raz ostatni nauki i ważąc determinanty życia i śmierci, w obliczu których się znalazł.

Kiedy wyciągnie zawleczkę, dudnik rozpocznie swoje wezwania. Pośród piasków usłyszy je gigantyczny czerw – stworzyciel – i przybędzie na zew. Paul wiedział, że za pomocą podobnych do pejczów lasek może dosiąść wyniosłego, krągłego grzbietu stworzyciela. Dopóki hak uchyla przednią krawędź pierścieniowatego segmentu czerwia, otwierając szorstkiemu piaskowi drogę do wrażliwego wnętrza, dopóty stworzenie się nie zanurzy. Przeciwnie – przetoczy swoje gigantyczne cielsko, unikając kontaktu otwartego segmentu z powierzchnią pustyni.

„Jestem jeźdźcem piasku” – powiedział sobie Paul.

Spojrzał na haki w swej lewej dłoni i pomyślał, że wystarczy tylko przesunąć je w dół wzdłuż krzywizny ogromnego boku stworzyciela, by zmusić go do obrotu i skrętu i skierować tam, gdzie zechce. Widział, jak to robiono. Pomagano mu wspinać się po boku czerwia na krótką przejażdżkę podczas szkolenia. Na schwytanym osobniku można było jechać, póki wyczerpany nie znieruchomiał na powierzchni i trzeba było wzywać nowego.

Paul wiedział, że po przejściu tej próby będzie mógł podjąć dwudziestodudnikową wyprawę na południowe rubieże, aby odpocząć

i dojść do siebie – na południe, tam gdzie w nowych palmariach i podziemnych siczach ukryto przed pogromem kobiety i dzieci.

Podnosząc głowę i spoglądając na południe, upomniał się, że stworzyciel wezwany na chybił trafił z ergu to niewiadoma, a ten, kto go wezwie, jest również niewiadomą w tej próbie.

„Musisz ocenić nadchodzącego stworzyciela – wyjaśniał mu Stilgar. – Musisz stać dostatecznie blisko, by się na niego wspiąć, gdy cię będzie mijał, i dostatecznie daleko, by cię nie zagarnął”.

Pod wpływem impulsu Paul zwolnił zawleczkę dudnika. Kołatka zaczęła się obracać i przez piasek popłynęło miarowe „łup… łup… łup…”

Wyprostował się, badając horyzont i wspominając słowa Stilgara: „Starannie określ tor, jakim się zbliża. Pamiętaj, że czerw rzadko dokonuje niewidocznego podejścia do dudnika. Mimo to nasłuchuj. Często można go usłyszeć, zanim się ukaże”.

Przypomniał też sobie przestrogę Chani wyszeptaną w nocy, kiedy zmógł ją strach o niego: „Gdy zajmiesz pozycję na kursie stworzyciela, musisz pozostawać w absolutnym bezruchu. Musisz myśleć jak łacha piasku. Skryj się pod płaszczem i stań się małą wydmą”.

Powoli przeszukiwał horyzont, nasłuchując i wypatrując znaków, jakich go nauczono.

Nadeszło z południowego wschodu, odległy syk piaskoszeptu. Po chwili Paul zobaczył hen, daleko zarysy tropu stworzenia na tle jasności świtu i uprzytomnił sobie, że nigdy wcześniej nie widział tak dużego czerwia, nigdy nawet nie słyszał o tak wielkim. Wydawało się, że ma ponad osiemset metrów, a przypływ fali piasku u jego wznoszącego się łba wyglądał jak zbliżanie się góry.

„Niczego takiego nie widziałem ani w swych wizjach, ani w życiu” – przestrzegł sam siebie. Szybko przeciął drogę stworzyciela, by zająć

pozycję, pochłonięty naglącymi wymogami tej chwili.

„Trzymajcie w ręku mennice i sądy – niech tłuszcza bierze resztę”. Tak radzi Padyszach Imperator. I mówi: „Jeżeli chcecie zysków, musicie rządzić”. Prawdziwe są to słowa, ale ja pytam: Kto jest tą tłuszczą i kim są ci rządzeni?

– *Tajne posłanie Muad’Diba do Landsraadu* z *Przebudzenia Arrakis* pióra księżnej Irulany

Myśl sama przyszła Jessice do głowy: „Paul lada chwila będzie przechodził próbę jeźdźca piasku. Oni starają się ukryć ten fakt przede mną, ale to jasne jak słońce. I Chani odjechała z jakąś tajemniczą misją”.

Siedziała w komnacie sypialnej, korzystając z chwili przerwy między nocnymi lekcjami. Komnata była przytulna, choć nie tak obszerna jak ta, której używała w siczy Tabr, zanim uciekli przed pogromem. I w tej znajdowały się puszyste dywany, miękkie poduszki, niski stolik kawowy na podorędziu, łagodnie żółte lumisfery pod sufitem. Była przesiąknięta charakterystyczną cierpką, intensywną wonią fremeńskiej siczy, którą Jessika zaczęła utożsamiać z poczuciem bezpieczeństwa.

Zdawała sobie jednak sprawę, że nigdy nie przezwycięży wrażenia obcości tego miejsca. To właśnie ów zgrzyt miały zatuszować dywany i draperie.

Do sypialni dotarły prawie nieuchwytne odgłosy dzwoneczków, bębenków i klaskania. Jessika wiedziała, że to uroczystość porodu, pewnie Subiaj. Jej czas się zbliżał. Wiedziała też, że niedługo zobaczy niemowlę, błękitnookiego cherubinka, którego przyniosą do matki wielebnej po błogosławieństwo. Wiedziała również, że jej córka Alia będzie brała udział w obchodach i że złoży jej sprawozdanie.

To jeszcze nie czas conocnej modlitwy rozstania. Nie rozpoczną uroczystości porodu, gdy blisko jest pora obrzędów opłakiwania wziętych

do niewoli podczas najazdów na Poritrina, Belę Tegeuse, Rossaka i Harmonthepa.

Jessika westchnęła. Wiedziała także, że stara się nie dopuszczać do siebie myśli o synu, o niebezpieczeństwach, jakim stawia czoło: o wilczych dołach z zatrutymi hakami, o harkonneńskich rajdach (chociaż tych było coraz mniej, odkąd Fremeni ściągali haracz w pojazdach latających i napastnikach za pomocą nowej broni, w którą zaopatrzył ich Paul), i o naturalnych pułapkach pustyni: stworzycielach, pragnieniu i czeluściach pyłowych.

Pomyślała, że warto by poprosić o kawę, i z myślą tą zjawiła się owa zawsze obecna świadomość paradoksu w stylu życia Fremenów: dobrze im się żyło w tych jaskiniach siczy w porównaniu z pyonami z grabenu, atoli podczas hadżru, na otwartej pustyni, znosili katusze sroższe od wszystkiego, co cierpieli harkonneńscy poddani.

Między kotary obok niej wsunęła się ciemna dłoń i pozostawiła na stoliku filiżankę. Z filiżanki unosił się aromat kawy przyprawowej.

„Poczęstunek z uroczystości porodu” – pomyślała Jessika.

Wzięła filiżankę i popijając małymi łykami, uśmiechała się do siebie. „W jakiej innej społeczności naszego wszechświata osoba z moją pozycją mogłaby przyjąć z nieznanej ręki kubek napoju i wychylić go bez obawy? Potrafię teraz, rzecz jasna, przemienić każdą truciznę, zanimby mi zaszkodziła, ale ofiarodawca o tym nie wie”.

Dopiła kawę, czując przypływ energii i ożywienie, które przyniosła zawartość filiżanki – gorąca i smakowita.

Zastanawiała się, jaka inna społeczność miałaby taki naturalny szacunek dla jej intymności i wygody, że ktoś wtargnąłby ledwie na tyle, by złożyć dar, bez narzucania jej swego towarzystwa. Szacunek i miłość przysłały ten dar, z lekką tylko domieszką lęku.

I inny jeszcze aspekt tego wydarzenia utorował sobie drogę do jej świadomości: zaledwie pomyślała o kawie, a ta się zjawiła. Wiedziała, że nie było w tym nic z telepatii. To była tau – jedność siczowej wspólnoty, zadośćuczynienie za wyrafinowaną truciznę w diecie przyprawowej, którą dzielili. Wielkie rzesze nie mogą liczyć, że kiedykolwiek spłynie na nie objawienie, jakie ona zawdzięcza nasieniu przyprawy – nie są do tego wyszkolone ani przygotowane. Umysły tych ludzi odrzucają to, czego nie mogą zrozumieć lub ogarnąć. Mimo to czują i reagują czasami jak jeden organizm.

I nigdy nie przyszła im do głowy myśl o zbiegu okoliczności.

„Czy Paul zdał swój egzamin na piasku? – zastanawiała się Jessika. – Jest zdolny, lecz noga może się powinąć i najzdolniejszemu”.

I to czekanie.

„Ta zmora – pomyślała. – Można czekać do pewnego czasu. Ale potem ogarnia człowieka zmora wyczekiwania”.

Ich życie było wypełnione wszelkiego rodzaju wyczekiwaniem.

„Jesteśmy tu z górą dwa lata – dumała – i upłynie przynajmniej drugie tyle, nim zaświta nam iskierka nadziei, by pokusić się o wyrwanie Arrakis z łap harkonneńskiego namiestnika Mudira Nahji, Bestii Rabbana”.

– Matko wielebna?

Zza kotary wejściowej odezwała się Hara, druga kobieta w rodzinie Muad’Diba.

– Wejdź, Haro.

Materiał się rozchylił i Hara jak gdyby wpłynęła do środka. Miała na sobie siczowe sandały, czerwono-żółte sari odkrywało jej ręce prawie do ramion. Rozdzielone pośrodku i zaczesane do tyłu czarne włosy były jak skrzydła owada, przylizane i lśniące. Ostre, drapieżne rysy chmurzył głęboki mars na czole.

Za Harą ukazała się dwuletnia Alia.

Kiedy Jessika patrzyła na swoją córkę, uderzyło ją, nie po raz pierwszy zresztą, podobieństwo Alii do Paula w tym wieku – ta sama powaga w pytającym spojrzeniu rozwartych oczu, ciemne włosy, stanowcze usta. Ale były również subtelne różnice, i to one właśnie budziły niepokój u większości dorosłych. To dziecko – ledwie odrosłe od ziemi – zachowywało się nad wiek spokojnie i świadomie. Dorośli przeżywali szok, łapiąc ją na zaśmiewaniu się z dwuznacznych żarcików między kobietami i mężczyznami. To znów sami siebie łapali na tym, że wsłuchują się w jej na poły sepleniący głosik, niezbyt jeszcze wyraźny z powodu niewykształconego podniebienia, i znienacka odkrywają w jej słowach szelmowskie uwagi, które mogły się wywodzić jedynie z przeżyć, jakich nie doświadcza żaden dwulatek.

Hara opadła na poduszkę, wzdychając z irytacją i kosym okiem spoglądając na dziecko.

– Alio – Jessika przywołała córkę.

Mała podeszła do matki, siadła przy niej i chwyciła ją za rękę. Cielesny kontakt przywrócił im tamtą wspólną świadomość, którą dzieliły jeszcze przed narodzeniem Alii. Nie chodziło tu o dzielenie myśli, jakkolwiek zdarzały się i takie chwile, jeśli się dotknęły, gdy Jessika przemieniała truciznę przyprawową do ceremonii. To było coś więcej – bezpośrednia świadomość drugiej iskry życia, coś ostrego i dojmującego, współczulność nerwów czyniąca je uczuciową jednością.

Przestrzegając etykiety obowiązującej członka rodziny jej syna, Jessika powiedziała:

– *Subak ul kuhar*, Haro. Jak się miewasz tej nocy?

Z tym samym tradycyjnym ceremoniałem Hara odparła:

– *Subak un nar*. Miewam się dobrze.

Słowa były prawie bez wyrazu. Znowu westchnęła.

Jessika wyczuła u Alii rozbawienie.

– Ganima mego brata jest na mnie zła – powiedziała Alia swoim na poły sepleniącym głosem.

Jessika zwróciła uwagę na określenie użyte przez Alię w odniesieniu do Hary: „ganima”. W subtelnościach fremeńskiego języka słowo to oznaczało „coś zdobytego w bitwie”, z dodatkowym podtekstem – że to coś nie jest już używane zgodnie ze swym pierwotnym przeznaczeniem. Jakaś ozdoba, ostrze włóczni użyte jako ciężarek do zasłony.

Hara spojrzała na małą spode łba.

– Nie próbuj mnie obrażać, dziecino. Znam swoje miejsce.

– Co przeskrobałaś tym razem, Alio? – zapytała Jessika.

– Dzisiaj nie tylko nie chciała się bawić z innymi dziećmi – odpowiedziała jej Hara – ale zakradła się do…

– Ukryłam się za kotarą i oglądałam narodziny dziecka Subiaj – powiedziała Alia. – Ma chłopaka. Darł się i darł. Cóż za płuca! Kiedy się już dosyć powydzierał…

– Wyszła i dotknęła go – oświadczyła Hara – a on przestał się drzeć. Każdy wie, że fremeńskie niemowlę musi się wypłakać, jeśli się rodzi w siczy, ponieważ już nigdy potem nie może zakwilić, bo zdradziłoby nas podczas hadżru.

– Wypłakał się – powiedziała Alia. – Ja tylko chciałam wyczuć jego iskierkę, jego życie. To wszystko. A kiedy mnie wyczuł, nie chciało mu się już więcej płakać.

– Ludzie po tym zaczęli jeszcze więcej gadać – rzekła Hara.

– Czy chłopiec Subiaj jest zdrowy? – spytała Jessika.

Widziała, że Harze coś leży na sercu, i zastanawiała się, co to takiego.

– Tak zdrowy, że tylko życzyć tego każdej matce – powiedziała Hara. – One wiedzą, że Alia nie zrobiła mu krzywdy. Nie mają nic przeciwko temu, że go dotknęła. Natychmiast się uspokoił i był zadowolony. Chodziło o… – Wzruszyła ramionami.

– Chodzi o dziwność mej córki, czy tak? – spytała Jessika. – O jej zwyczaj mówienia o sprawach ponad wiek i o rzeczach, których żadne dziecko w jej wieku nie może znać, o rzeczach z przeszłości.

– Skąd ona może wiedzieć, jak wyglądało dziecko na Beli Tegeuse? – wyrzuciła z siebie Hara.

– Dokładnie jak on! – stwierdziła Alia. – Chłopak Subiaj jest kubek w kubek jak syn Mity urodzony przed rozstaniem.

– Alio! – powiedziała Jessika. – Ostrzegałam cię.

– Ale, matko, ja to widziałam i to była prawda, i…

Jessika pokręciła głową, widząc na twarzy Hary oznaki zdenerwowania. „Co ja urodziłam? – zapytała sama siebie. – Córkę, która w chwili narodzin wiedziała wszystko, co ja wiem… i więcej: wszystko, co zostało przed nią odsłonięte w głębi korytarzy przeszłości przez istniejące w mej jaźni matki wielebne”.

– Nie chodzi tylko o to, co ona mówi – powiedziała Hara. – Chodzi też o to, co robi. O to, jak siada i wpatruje się w skałę, poruszając tylko jednym mięśniem koło nosa albo mięśniem grzbietu palca, albo…

– To ćwiczenia Bene Gesserit – rzekła Jessika. – Wiesz o tym, Haro. Chcesz odmówić mojej córce jej dziedzictwa?

– Matko wielebna, wiesz, że te rzeczy nie mają dla mnie znaczenia – odparła Fremenka. – Chodzi o ludzi i o to, że szemrzą. Przeczuwam w tym groźbę. Mówią, że twoja córka jest demonem, że inne dzieci nie chcą się z nią bawić, że ona jest…

– Ona ma tak niewiele wspólnego z innymi dziećmi – powiedziała Jessika. – Nie jest demonem. To tylko…

– Oczywiście, że nie jest!

Jessika, zaskoczona gwałtownością wybuchu Hary, spuściła oczy na Alię. Dziecko sprawiało wrażenie zatopionego w myślach, promieniowało atmosferą… wyczekiwania. Jessika ponownie spojrzała na Fremenkę.

– Szanuję fakt, że jesteś członkiem rodziny mego syna – powiedziała, a Alia drgnęła pod jej dłonią. – Możesz ze mną mówić otwarcie o wszystkim, co cię gnębi.

– Niedługo już będę członkiem rodziny twego syna – oświadczyła Hara. – Czekałam do tej pory dla dobra moich synów, przez wzgląd na specjalne szkolenie, jakie otrzymują jako dzieci Usula. Tyle tylko mogłam im dać, ponieważ wiadomo, że nie dzielę łoża z twym synem.

Ponownie Alia poruszyła się przy Jessice, na poły uśpiona, ciepła.

– Wszelako byłaby z ciebie dobra towarzyszka dla mego syna – powiedziała Jessika i dodała już na własny użytek, jako że takie refleksje nigdy jej nie opuszczały: „Towarzyszka… nie żona”. Po czym jej myśl poszybowała prosto do celu, do bolesnego kłucia wywołanego powszechnym w siczy gadaniem, że przyjaźń jej syna z Chani przerodziła się w trwały związek, w małżeństwo.

„Kocham Chani” – przemknęło jej przez myśl, ale sama sobie przypomniała, że miłość może ustąpić przed racją stanu. Królewskie małżeństwa miewają inne podstawy niż miłość.

– Sądzisz, że nie wiem, co planujesz dla swego syna? – rzekła Hara.

– Co masz na myśli?

– Planujesz zjednoczenie plemion pod jego przewodem – odparła Fremenka.

– Czy to źle?

– Widzę w tym groźbę dla niego… i Alia jest jej częścią.

Alia przytuliła się mocniej do matki. Oczy miała teraz otwarte i wpatrzone w Harę.

– Obserwuję was obie, gdy jesteście razem – powiedziała Hara. – Obserwuję, w jaki sposób się dotykacie. Alia jest jak moja krew, ponieważ jest siostrą tego, kogo mam za brata. Obserwuję ją i strzegę od czasu, kiedy była tycim niemowlęciem, od czasu razzia, kiedy uciekłyśmy tutaj. Zauważyłam w niej wiele rzeczy.

Jessika skinęła głową, wyczuwając niepokój narastający w Alii.

– Wiesz, co mam na myśli – rzekła Hara. – To, że rozumiała od razu, co do niej mówimy. Czy kiedykolwiek było dziecko, które w tak młodym wieku znało reżim wody? Którego pierwsze słowa do piastunki brzmiały: „Kocham cię, Haro”? – Spojrzała na Alię. – Myślisz, że dlaczego znoszę jej zniewagi? Wiem, że nie ma w nich złośliwości.

Dziewczynka podniosła oczy na matkę.

– Tak, umiem logicznie myśleć, matko wielebna – stwierdziła Hara. – Mogłabym być sajjadiną. Widzę to, co widzę.

– Haro… – Jessika wzruszyła ramionami. – Nie wiem, co powiedzieć.

I sama się zdziwiła, ponieważ była to prawda, co do joty.

Alia wyprężyła się i rozprostowała ramiona. Jessika poczuła, że atmosfera wyczekiwania – ta mieszanina determinacji i smutku – się skończyła.

– Popełniliśmy błąd – powiedziała Alia. – Teraz nie obejdziemy się bez Hary.

– To przez ceremonię nasienia – rzekła Hara – w której ty, matko wielebna, przemieniłaś Wodę Życia, kiedy Alia była jeszcze w tobie.

„Nie obejdziemy się bez Hary?” – Jessika postawiła sobie w duchu znak zapytania.

– Któż inny może przemówić do ludzi i sprawić, że zaczną mnie rozumieć? – rzekła Alia.

– Co, twoim zdaniem, powinna zrobić? – spytała Jessika.

– Ona już wie, co zrobić.

– Powiem im prawdę – odezwała się Hara. Nagle wydała się stara i posępna z grymasem na oliwkowej twarzy o ostrych rysach czarownicy. – Powiem im, że Alia tylko udaje małą dziewczynkę, że ona nigdy nią nie była.

Alia potrząsnęła głową. Łzy płynęły jej po policzkach. Fala rozpaczy córki ogarnęła Jessikę, jakby to były jej uczucia.

– Wiem, że jestem dziwolągiem – wyszeptała Alia.

Ta dorosła konkluzja, która padła z ust dziecka, sprawiała wrażenie gorzkiego potwierdzenia.

– Nie jesteś dziwolągiem! – prychnęła Hara. – Kto się ośmielił nazwać cię dziwolągiem?

Jessikę ponownie zdumiała zapalczywość w opiekuńczym tonie Hary. Zrozumiała wtedy, że Alia się nie myliła, że istotnie nie obejdą się bez Hary. Plemię zrozumie tę kobietę, zarówno jej słowa, jak i uczucia, bo nie ulegało wątpliwości, że kocha ona Alię niczym rodzone dziecko.

– Kto to powiedział? – powtórzyła Hara.

– Nikt. – Alia otarła twarz z łez rogiem aby Jessiki. Wygładziła pomiętą i zmoczoną w tym miejscu szatę.

– Więc i ty nie waż się tego mówić.

– Dobrze, Haro.

– Teraz – rzekła Fremenka – możesz mi opowiedzieć, jak to było, żebym ja mogła opowiedzieć innym. Powiedz mi, na czym polega to, co ci się przytrafiło.

Alia przełknęła ślinę, spoglądając na matkę.

Jessika skinęła głową.

– Pewnego razu ocknęłam się – powiedziała dziewczynka – jakbym się przebudziła ze snu, tylko że nie mogłam sobie przypomnieć, bym zasypiała. Byłam w ciepłym, ciemnym miejscu. I się przestraszyłam.

Słuchając dziecinnego seplenienia córki, Jessika wróciła pamięcią do tamtego dnia w wielkiej grocie.

– Kiedy się przestraszyłam – mówiła Alia – próbowałam uciec, ale nie było dokąd. Wtem zobaczyłam jakąś iskierkę… Chociaż właściwie to jej nie widziałam. Po prostu iskierka była tam, przy mnie, i odbierałam jej uczucia… Koiła mnie, dodawała otuchy, mówiąc w ten sposób, że wszystko będzie dobrze. To była moja matka.

Hara potarła oczy i uśmiechnęła się do Alii pokrzepiająco. Jednak oczy Fremenki miały obłędny wyraz, było w nich napięcie, jakby i one usiłowały chłonąć słowa dziecka. Pewnie dlatego Jessika pomyślała: „Co my naprawdę wiemy o tym, jak ktoś taki jak Alia rozumuje… przy jej wyjątkowych doświadczeniach, wyszkoleniu i rodowodzie?”.

– Właśnie kiedy poczułam się bezpieczna i spokojna – podjęła Alia – znalazła się przy nas inna iskierka… i wszystko potoczyło się w mgnieniu oka. Ta inna iskierka to była stara matka wielebna. Ona… wymieniała się z moją matką życiem… wszystkim… a ja byłam tam z nimi i widziałam to do końca… wszystko. I nastał koniec, a ja byłam nimi i wszystkimi innymi, i sobą… tylko odnalezienie siebie zajęło mi dużo czasu. Tyle tam ich było.

– To okrutne – stwierdziła Jessika. – W żadnej żywej istocie nie powinno się tak rozbudzać świadomości. To cud, że zdołałaś wytrzymać wszystko, co się z tobą działo.

– Nic więcej nie mogłam zrobić! – powiedziała Alia. – Nie umiałam odrzucić ani ukryć swej świadomości… ani jej wyłączyć… To wszystko po prostu się działo… wszystko…

– Nie wiedzieliśmy – mruknęła Hara. – Kiedy dawaliśmy twej matce Wodę do przemiany, nie wiedzieliśmy, że w niej jesteś.

– Nie smuć się tym, Haro – odparła Alia. – Nie powinnam się litować nad sobą. W końcu jest to jakiś powód do szczęścia: jestem matką wielebną. Plemię ma dwie mat… – Urwała i przechyliła głowę, nasłuchując.

Hara odgięła się na piętach w tył, bardziej na poduszkę. Wpatrzyła się w Alię, a następnie spojrzała w górę, na Jessikę.

– Niczego nie podejrzewaliście? – zapytała Jessika.

– Ciiii – powiedziała Alia.

Stłumione rytmiczne zawodzenie przeniknęło nagle przez zasłony odgradzające je od korytarzy siczy. Narastało, przynosząc już wyraźne słowa:

– *Ja! Ja! Jawm! Ja! Ja! Jawm! Mu zein, Wallah! Ja! Ja! Jawm! Mu zein, Wallah!*

Piewcy przechodzili obok wejścia i w wewnętrznych komnatach zahuczało od ich głosów. Dźwięki powoli się oddalały.

Kiedy dostatecznie przycichły, Jessika rozpoczęła rytuał, intonując ze smutkiem:

– Był ramadan i kwiecień na Beli Tegeuse.

– Moja rodzina siedziała na dziedzińcu nad basenem – podjęła Hara – w powietrzu przesyconym wilgocią pyłu wodnego, który wzlatywał od bijącej fontanny. W zasięgu ręki rosło drzewo pełne portugli, krągłych i soczystej barwy. Stał kosz pełen misz-misz i baklawy i garnce libanu… przysmaki wszelkiego rodzaju. W naszych ogrodach i naszych stadach panował spokój… Spokój panował w całej krainie.

– Życie pełne było szczęścia, dopóki nie przybyli najeźdźcy – dodała Alia.

– Krew stygła w żyłach od krzyków przyjaciół – rzekła Jessika i poczuła napór wspomnień z tych wszystkich innych przeszłości, które stały się jej udziałem.

– *La, la, la*, płakały kobiety – przyłączyła się Hara.

– Najeźdźcy wtargnęli przez musztamal i rzucili się na nas. Ich noże ociekały czerwienią krwi naszych mężczyzn – powiedziała Jessika.

Cisza zawładnęła nimi trzema i była we wszystkich komnatach siczy, cisza, w której wspominanie ożywiało ból.

Po chwili Hara wymówiła rytualne zakończenie ceremonii, nadając słowom szorstkość, jakiej Jessika dotychczas w nich nie słyszała:

– Nigdy nie wybaczymy i nigdy nie zapomnimy.

W pełnym zadumy milczeniu, jakie po tym zapadło, usłyszały pomruki ludzi i szelest wielu szat. Jessika wyczuła, że ktoś stoi za zasłonami jej komnaty.

– Matko wielebna?

Rozpoznała głos tej kobiety – była to Tartar, jedna z żon Stilgara.

– O co chodzi, Tartar?

– Mamy kłopot, matko wielebna.

Jessika poczuła skurcz serca z nagłego strachu o Paula.

– Paul… – wyrwało się jej.

Tartar rozsunęła kotarę i wkroczyła do komnaty. Nim materiał opadł, Jessice mignęła ciżba ludzi w przedsionku. Podniosła wzrok na Tartar, drobną, ciemną kobietę w czarnej szacie z czerwonym ornamentem, na całkowity błękit jej utkwionych w niej oczu, na rozdęte nozdrza jej drobnego nosa ukazujące odciski od wtyków.

– O co chodzi? – zapytała Jessika.

– Są wieści z piasku – powiedziała Tartar. – Usul spotyka się ze stworzycielem w swej próbie… dzisiaj. Młodzi mężczyźni mówią, że nie

może zawieść, że z zapadnięciem nocy będzie jeźdźcem piasku. Zbierają się na razzia. Zrobią wypad na północ i spotkają się z Usulem. Mówią, że podniosą wtedy krzyk. Mówią, że zmuszą go do wyzwania Stilgara i objęcia przywództwa nad plemionami.

„Gromadzić wodę, obsiewać wydmy, powoli, lecz stale zmieniać planetę… to już za mało – myślała Jessika. – Niewielkie wypady, bezpieczne wypady… to już nie wystarcza, odkąd Paul i ja ich wyszkoliliśmy. Oni czują swą siłę. Chcą ruszyć do boju”.

Tartar przestąpiła z nogi na nogę i odchrząknęła.

„Wiemy, że to rozwaga nakazuje nam czekać – rozmyślała Jessika – lecz z tego rodzi się nasze rozgoryczenie. Wiemy również, jaką szkodę może nam wyrządzić przeciągane w nieskończoność czekanie. Jeśli zwłoka się przedłuży, utracimy poczucie celu”.

– Młodzi ludzie powiadają, że jeśli Usul nie rzuci wyzwania Stilgarowi, będzie to znaczyło, że się boi – odezwała się Tartar i spuściła wzrok.

– Więc to tak – szepnęła Jessika i pomyślała: „No cóż, wiedziałam, że do tego dojdzie. Stilgar też”.

Tartar odchrząknęła ponownie.

– Nawet mój brat Szoab tak mówi – oznajmiła. – Oni nie dadzą Usulowi wyboru.

„W końcu się stało – pomyślała Jessika. – I Paul sam będzie musiał sobie z tym poradzić. Matka wielebna nie ośmieli się mieszać do spraw sukcesji”.

Alia uwolniła rękę z dłoni matki.

– Pójdę z Tartar – powiedziała – i wysłucham młodych ludzi. Może znajdzie się jakiś sposób.

Jessika patrzyła Tartar w oczy, ale mówiła do córki:

– Idź więc. I zawiadom mnie, jak tylko będziesz mogła.

– Nie chcemy, aby do tego doszło, matko wielebna – rzekła Tartar.

– Nie chcemy – zgodziła się Jessika. – Plemieniu potrzebna jest *cała* jego siła. – Zerknęła na Harę. – Nie poszłabyś z nimi?

Hara odparła na niewypowiedzianą część pytania:

– Tartar nie pozwoli, aby cokolwiek złego spotkało Alię. Wie, że wkrótce obie będziemy żonami tego samego mężczyzny. Rozmawiałam z Tartar. – Podniosła na nią wzrok. – Jesteśmy umówione.

Tartar wyciągnęła rękę do Alii.

– Musimy się pospieszyć. Młodzi ludzie zbierają się do wyjścia.

Przecisnęły się przez kotary. Drobna kobieta trzymała dłoń dziecka, ale zdawało się, że to ono ją prowadzi.

– Jeżeli Paul Muad’Dib zabije Stilgara, nie wyjdzie to na dobre plemieniu – rzekła Hara. – Do tej pory zawsze taka była droga do sukcesji, ale czasy się zmieniły.

– Zmieniły się także dla ciebie – powiedziała Jessika.

– Nie sądzisz chyba, że powątpiewam w wynik tej walki – odparła Hara. – Usul nie może nie zwyciężyć.

– To właśnie miałam na myśli – oznajmiła Jessika.

– I uważasz, że osobiste uczucia wpływają na moje sądy – zauważyła Hara. Potrząsnęła głową, a taliony wody rozdzwoniły się na jej szyi. – Jakże się mylisz. Może ci się też wydaje, że żałuję, że to nie mnie Usul wybrał, że jestem zazdrosna o Chani?

– Każdy wybiera, jak umie – stwierdziła Jessika.

– Współczuję Chani – powiedziała Hara.

Jessika zesztywniała.

– Co to znaczy?

– Wiem, co o niej myślisz – rzekła Fremenka. – Uważasz, że nie nadaje się na żonę dla twojego syna.

Jessika usadowiła się głębiej na poduszkach i rozluźniła.

– Być może.

– Niewykluczone, że masz rację – zgodziła się Hara. – A jeśli tak, to możesz znaleźć niespodziewanego sojusznika w samej Chani. Ona pragnie tylko tego, co dla niego najlepsze.

Jessika z trudem przełknęła ślinę. Miała ściśnięte gardło.

– Chani jest mi bardzo droga – powiedziała. – Ona nie…

– Masz strasznie brudne dywany – przerwała jej Fremenka. Omiotła spojrzeniem podłogę, unikając oczu Jessiki. – Tyle ludzi bez przerwy tu łazi. Powinnaś naprawdę częściej dawać je do czyszczenia.

> Nie da się uniknąć wzajemnych związków polityki z ortodoksyjną religią. Walka o władzę przesyca szkolenie, wychowanie i kształcenie ortodoksyjnej społeczności. W wyniku owej presji przywódcy takiej społeczności nieuchronnie stanąć muszą przed tym ostatecznym, wewnętrznym dylematem: poddać się całkowicie oportunizmowi za cenę utrzymania się przy władzy czy ryzykować poświęcenie siebie w imię ortodoksyjnej etyki.
>
> – z *Muad'Dib. Zagadnienia religii* pióra księżnej Irulany

Paul czekał na piasku poza torem podejścia gigantycznego stworzyciela. „Nie mogę się czaić jak przemytnik, niecierpliwy i podenerwowany – upomniał się. – Muszę być skrawkiem pustyni".

Stwór nadciągał szybko, wypełniając ranek zgrzytliwym wizgiem swej wędrówki. Okrągła jaskinia jego paszczy z olbrzymimi kłami otwierała się niczym wielki kwiat. W powietrzu zawisła bijąca z niej woń przyprawy.

Filtrak leżał na Paulu jak ulał i chłopak tylko mgliście zdawał sobie sprawę z obecności wtyków nosowych i maski. Nauki Stilgara, żmudne godziny spędzone na piasku, przesłoniły wszystko inne.

– W jakim promieniu od stworzyciela musisz stanąć na ziarnistym piasku? – zapytał Stilgar.

A on odpowiedział prawidłowo:

– Pół metra na każdy metr średnicy stworzyciela.

– Dlaczego?

– By uniknąć wiru wywołanego jego przejściem, a przy tym zdążyć podbiec i dosiąść go.

– Jeździłeś na maleństwach hodowanych z myślą o nasieniu i Wodzie Życia – powiedział Stilgar – lecz ten, którego wezwiesz w trakcie swej

próby, będzie dzikim stworzycielem, praszczurem pustyni. Musisz darzyć go należytym respektem.

Głuchy werbel dudnika zlał się już z sykiem nadciągającego czerwia. Paul odetchnął głęboko, nawet przez filtry czując zapach mineralnej goryczy piasku. Dziki stworzyciel, praszczur pustyni, prawie nad nim zawisł. Wzniesione przednie segmenty gnały falę piasku, która miała omieść jego kolana.

„Chodź tu bliżej, cudowny potworze – myślał. – Bliżej. Słyszysz, jak cię przyzywam. Chodź bliżej. Bliżej”.

Fala uniosła mu stopy. Owiał go pył z powierzchni. Złapał równowagę, a wtedy świat zasłoniła mu przesuwająca się w chmurze piasku obła skarpa, podzielona na segmenty ściana urwiska z ostro rysującymi się liniami pierścieni.

Wzniósł haki, złożył się jak do strzału i wychylił do przodu. Poczuł, jak chwyciły i szarpnęły. Skoczył w górę i oparł stopy na owej ścianie, wychylony na zewnątrz, trzymając się wczepionych haków. To był moment prawdziwej próby: jeżeli prawidłowo założył haki na przednią krawędź pierścienia, otwierając ten segment, czerw nie przetoczy się po piasku i nie zmiażdży go.

Czerw zwolnił. Prześliznął się po dudniku, uciszając go. Powoli zaczął się obracać w górę, wznosząc drażniące haki, jak tylko mógł najwyżej, możliwie najdalej od piasku zagrażającego delikatnej wykładzinie pierścienia.

Paul stwierdził, że jedzie wierzchem na czerwiu. Czuł upojenie, niczym imperator obserwujący swoją planetę. Stłumił gwałtowny impuls, by sobie pohasać, zawrócić czerwia, popisać się władzą nad stworzeniem.

Nagle pojął, dlaczego Stilgar przestrzegał go kiedyś i opowiadał o młodych śmiałkach, którzy igrali sobie z tymi potworami, wykonując na

ich grzbietach stójki albo wyjmując oba haki i zakładając je z powrotem, nim czerw zdążył ich zrzucić.

Zostawiwszy jeden hak na miejscu, Paul wyjął drugi i umieścił go niżej w boku. Sprawdził, czy hak siedzi pewnie, i opuścił pierwszy, przesuwając się w ten sposób w dół po boku czerwia. Stworzyciel obracał się, a przy tym skręcał, obchodząc pole miałkiego piasku, gdzie czekali inni.

Paul zobaczył, jak się wdrapują, korzystając z własnych haków. Unikali jednak wrażliwych krawędzi pierścieni, dopóki nie znaleźli się na grzbiecie. Usadowili się w trzech rzędach za nim, trzymając się haków.

Stilgar przesunął się między szeregami, sprawdził ułożenie haków Paula i popatrzył na jego rozradowaną twarz.

– Udało ci się, co? – rzekł, przekrzykując zgrzytanie piasku. – Tak uważasz? Udało ci się? – Wyprostował się. – A ja ci mówię, że to była fuszerka. Nasze dwunastolatki radzą sobie lepiej. Na lewo od ciebie był grający piasek. Nie mógłbyś się tam wycofać, gdyby czerw skręcił w tę stronę.

Uśmiech ulotnił się z twarzy Paula.

– Widziałem ten grający piasek.

– Dlaczego więc nie dałeś znaku jednemu z nas, by zajął stanowisko asekuracyjne? Coś takiego mogłeś zrobić nawet podczas próby.

Paul przełknął ślinę i wystawił twarz na pęd powietrza.

– Uważasz, że to niełądnie z mojej strony mówić to teraz – powiedział Stilgar. – To mój obowiązek. Myślę o twojej przydatności dla oddziału. Gdybyś wdepnął w ten grający piasek, stworzyciel skręciłby ku tobie.

Mimo ogarniającego go gniewu Paul wiedział, że Stilgar mówi prawdę. Musiała upłynąć dłuższa chwila, nim, mobilizując wszystkie nauki matki, odzyskał spokój.

– Przepraszam – rzekł. – To się więcej nie powtórzy.

– W niewygodnej pozycji zawsze bierz zastępcę, kogoś, kto dosiądzie stworzyciela, jeżeli ty nie będziesz mógł – powiedział Stilgar. – Nie zapominaj, że działamy wspólnie. W ten sposób jesteśmy niezawodni. Działamy wspólnie, co? – Klepnął Paula w ramię.

– Działamy wspólnie – przytaknął chłopak.

– To teraz – powiedział Stilgar i jego głos stał się szorstki – pokaż mi, że umiesz sobie radzić ze stworzycielem. Na którym boku jesteśmy?

Paul spojrzał w dół, na łuskowatą powierzchnię pierścienia pod nogami, odnotowując rodzaj i wielkość łusek oraz to, jak się powiększają, im dalej w prawo, a zmniejszają na lewo. Wiedział, że każdy czerw porusza się w charakterystyczny sposób – najczęściej tą samą stroną do góry. W miarę dorastania górna część utrwalała się niemal na dobre. Dolne łuski powiększały się, robiły grubsze i gładsze. U dużego czerwia łuski grzbietowe można było odróżnić po samej wielkości.

Przemieszczając haki, Paul przesunął się w lewo. Skinął na skrzydłowych w tyle, by otworzyli segmenty wzdłuż boku i trzymali czerwia na stałym kursie, kiedy będzie się obracał. Następnie wyznaczył z szeregu dwóch sterników na pozycje w przodzie.

– *Ach, hajjjjj… jo!* – wydał tradycyjny okrzyk.

Sternik z lewej strony rozwarł pierścień. Stworzyciel skręcił po majestatycznym łuku, chroniąc otwarty segment. Wykonał nawrót, a gdy ponownie skierował się na południe, Paul zawołał:

– *Gejrat!*

Sternik zwolnił swój hak. Stworzyciel wyrównał na prosty kurs.

– Bardzo dobrze, Paulu Muad’Dibie – rzekł Stilgar. – Przy dużej praktyce jeszcze będzie z ciebie jeździec piasku.

Paul zmarszczył brwi. „Czyż nie byłem pierwszy na górze?” – pomyślał.

Za jego plecami rozległy się śmiechy. Oddział zaczął skandować jego imię, wiwatując pod niebiosa:

– Muad’Dib! Muad’Dib! Muad’Dib! Muad’Dib!

Paul usłyszał poganiaczy uderzających daleko w tyle ościeniami w segmenty ogona. Czerw zaczął nabierać prędkości. Dżubby załopotały od pędu, a skwierczenie piasku pod zwierzęciem spotężniało. Chłopak spojrzał za siebie, na oddział, wyszukał twarz Chani. Na nią patrzył, kiedy mówił do Stilgara:

– A zatem jestem jeźdźcem piasku, Stilu?

– *Hal jawm!* Dziś jesteś jeźdźcem piasku.

– Przeto mogę wybrać cel podróży?

– Taki jest zwyczaj.

– I jestem Fremenem, który przyszedł dzisiaj na świat tutaj, w ergu Habbanja. Do dziś nie miałem życia. Do dziś byłem dzieckiem.

– Niezupełnie dzieckiem – powiedział Stilgar. Ściągnął brzeg kaptura, który łopotał na wietrze.

– Ale mój świat był zatkany korkiem i ten korek został usunięty.

– Nie ma korka.

– Chciałbym się udać na południe, dwadzieścia dudników na południe. Chciałbym zobaczyć tworzony przez nas kraj, ten, który oglądałem jedynie oczami innych.

„I chciałbym zobaczyć syna i rodzinę – pomyślał. – Potrzebuję czasu na rozważenie przyszłości, która jest przeszłością w moim umyśle. Nadciąga chaos i jeżeli nie będzie mnie tam, gdzie mógłbym to rozwikłać, to coś wymknie mi się spod kontroli”.

Stilgar zmierzył go taksującym, przeciągłym spojrzeniem. Paul nie spuszczał oczu z Chani. Widział, jak zainteresowanie ożywia jej rysy, zauważył też, że jego słowa wzbudziły podniecenie w oddziale.

– Ludzie palą się do rajdu pod tobą na harkonneńskie niecki – powiedział Stilgar. – Niecki są w odległości zaledwie jednego dudnika.

– Wodziłem fedajkinów na rajdy – rzekł Paul. – Powiodę ich jeszcze nieraz, dopóki choć jeden Harkonnen oddycha powietrzem Arrakis.

Kiedy tak jechali, Stilgar przyglądał mu się z uwagą i Paul zdał sobie sprawę, że on widzi ten moment z perspektywy tego, jak doszedł do władzy w siczy Tabr i do kierowania Radą Przywódców po śmierci Lieta-Kynesa.

„Doniesiono mu o wzburzeniu wśród młodych Fremenów” – pomyślał.

– Życzysz sobie zgromadzenia przywódców? – zapytał Stilgar.

Młodym ludziom z oddziału zapłonęły oczy. Kołysali się, jadąc, i obserwowali ich. Paul dostrzegł błysk niepokoju w oczach Chani, w spojrzeniu wędrującym od Stilgara, który był jej wujem, do Paula Muad’Diba, który był jej mężem.

– Nie zgadniesz, czego sobie życzę – stwierdził Paul. „Nie mogę ustąpić – myślał. – Muszę utrzymać władzę nad tymi ludźmi”.

– Dzisiaj jesteś mudirem jazdy piaskiem – rzekł Stilgar. W jego tonie zadźwięczał oficjalny chłód. – Do czego wykorzystasz tę władzę?

„Potrzebujemy czasu na odpoczynek, czasu na trzeźwą refleksję” – pomyślał Paul.

– Pojedziemy na południe – oświadczył.

– Nawet gdy powiem, że zawrócimy na północ, kiedy ten dzień się skończy?

– Pojedziemy na południe – powtórzył chłopak.

Z niewzruszoną powagą Stilgar mocniej zaciągnął na sobie dżubbę.

– Będzie zgromadzenie – powiedział. – Roześlę wiadomość.

„Uważa, że go wyzwę – myślał Paul. – I wie, że mi nie sprosta”.

Obrócił twarz na południe, czując wiatr na odsłoniętych policzkach i rozmyślając o determinantach, które złożyły się na jego decyzję. „Oni nie

wiedzą, jak to jest” – stwierdził, lecz miał świadomość, że nie może dać się zawrócić z drogi bez względu na okoliczności. Musi wytrwać na głównym szlaku burzy czasu, którą widział w przyszłości. Nadejdzie moment, w którym da się ją rozpędzić, ale tylko jeśli znajdzie się wtedy tam, skąd można będzie przeciąć jej centralny splot.

„Nie wyzwę go, jeżeli tylko da się temu zapobiec – myślał. – Jeżeli istnieje inny sposób powstrzymania dżihadu…”

– Na wieczorny posiłek i modlitwę staniemy obozem w Grocie Ptaków pod granią Habbanja – powiedział Stilgar. Przytrzymując się dla równowagi jednym hakiem, wskazał przed siebie, na niską kamienną barierę wynurzającą się z pustyni.

Paul przyglądał się ścianie opoki, ogromnym żyłom skalnym przecinającym ją niczym fale. Nic nie łagodziło tego surowego horyzontu, żadna zieleń, żaden kwiat. Poza granią ciągnęła się droga ku południowej pustyni, trasa na co najmniej dziesięć dni i nocy przy najszybszym poganianiu stworzycieli.

Dwadzieścia dudników.

Droga wiodła hen, poza tereny, na które zapuszczały się harkonneńskie patrole. Wiedział, jak to będzie. Widział to w snach. Pewnego dnia nastąpi ledwo uchwytna zmiana barwy na odległym horyzoncie, zmiana tak nikła, że mogłoby mu się wydawać, że uroił ją sobie ze swych nadziei – i tam będzie nowa sicz.

– Czy moja decyzja odpowiada Muad’Dibowi? – spytał Stilgar.

W jego głosie zabrzmiała prawie nieuchwytna nuta sarkazmu, lecz fremeńskie uszy, wyczulone na każdy ton w głosie ptaka czy w pisku cielago, złowiły ją i czekały w napięciu na reakcję Paula.

– Stilgar słyszał, jak przysięgałem mu wierność podczas wyświęcania fedajkinów – powiedział chłopak. – Moi komandosi śmierci wiedzą, że

ręczyłem honorem. Czy Stilgar w to wątpi?

Z głosu Paula przebijał szczery ból. Usłyszawszy go, Fremen spuścił oczy.

– Usulowi, towarzyszowi z mej siczy, uwierzę zawsze – rzekł. – Ale tyś jest Paul Muad'Dib, książę atrydzki, i Lisan al-Gaib, Głos Spoza Świata. Tych dwóch nawet nie znam.

Paul odwrócił się ku grani Habbanja, patrząc, jak wyrasta z pustyni. Ich stworzyciel nie stracił sił ani żwawości. Mógł ich ponieść dwa razy dalej niż jakikolwiek inny spotkany przez Fremenów. Paul był tego pewny. Poza opowiadanymi dzieciom bajkami nie istniało nic, co mogłoby dorównać temu praszczurowi pustyni. Chłopak uprzytomnił sobie, że to nowa legenda.

Na jego ramieniu zacisnęła się dłoń.

Paul zerknął na nią i przesunął spojrzenie aż do twarzy – do ciemnych oczu Stilgara widocznych między maską filtra a kapturem filtraka.

– Poprzedni przywódca siczy Tabr – rzekł Stilgar – był moim przyjacielem. Dzieliliśmy niebezpieczeństwa. Wiele razy uratowałem mu życie… a on mnie…

– Jestem twoim przyjacielem, Stilgarze – powiedział Paul.

– Nikt w to nie wątpi – stwierdził Fremen. Cofnął dłoń i wzruszył ramionami. – Taki jest zwyczaj.

Paul zrozumiał, że Stilgar za bardzo przesiąkł fremeńskimi zwyczajami, by rozważyć inną możliwość. Tutaj przywódca wyjmował wodze z martwych dłoni swego poprzednika albo zabijał kogoś spośród najsilniejszych członków plemienia, jeśli poprzednik zginął na pustyni. Stilgar dotarł do pozycji naiba zgodnie z tym zwyczajem.

– Powinniśmy zostawić tego stworzyciela na głębokim piasku – rzekł Paul.

– Tak – zgodził się Fremen. – Stąd możemy pójść do groty.

– Zajechaliśmy nim wystarczająco daleko, by zagrzebał się i nie miał na nic ochoty dzień lub dwa.

– Ty jesteś mudirem jazdy piaskiem – stwierdził Stilgar. – Powiedz, kiedy mamy… – Urwał, wpatrując się w niebo na wschodzie.

Paul obrócił się gwałtownie. Za sprawą błękitnego przyprawowego nalotu na oczach niebo wydawało się ciemne, przesycone głębokim lazurem, na którego tle ostro kontrastowały odległe, rytmiczne błyski.

Ornitopter!

– Jeden mały ornitopter – powiedział Stilgar.

– Może wywiadowczy – rzekł Paul. – Myślisz, że nas zobaczyli?

– Z takiej odległości jesteśmy po prostu czerwiem na powierzchni. – Skinął lewą ręką. – Zsiadać. Rozproszyć się na piasku.

Ludzie zaczęli zjeżdżać po boku czerwia, odpadać i stapiać się z piaskiem pod dżubbami. Paul zapamiętał, gdzie zeskoczyła Chani. Niebawem pozostał sam ze Stilgarem.

– Pierwszy na górze, ostatni na dole – oznajmił.

Stilgar kiwnął głową, osunął się na hakach i zeskoczył na piasek. Paul odczekał, aż stworzyciel znalazł się w bezpiecznej odległości, po czym wyciągnął haki. Z czerwiem, który miał jeszcze zapas sił, był to ryzykowny moment.

Uwolniony od ościeni i haków, wielki czerw przystąpił do zagrzebywania się w piasku. Paul pobiegł na palcach do tyłu po jego szerokim grzbiecie, dokładnie wyliczył moment i zeskoczył. Wylądował, nie przerywając biegu, wbił się w zawietrzny stok wydmy, tak jak go uczono, i ukrył pod kaskadą piasku spadającą na jego dżubbę.

Teraz wyczekiwanie…

Obróciwszy się ostrożnie, uchylił rąbka płaszcza i spojrzał przez szczelinę w niebo. Wyobraził sobie, jak pozostali wzdłuż szlaku robią to samo.

Usłyszał łopot skrzydeł ornitoptera, zanim go zobaczył. Z szumem głowic odrzutowych maszyna przeleciała nad jego spłachetkiem pustyni, zakręcając szerokim łukiem ku grani.

„Nieoznakowany” – zauważył Paul.

Ornitopter zniknął mu z oczu poza granią Habbanja.

Nad pustynią rozległ się krzyk ptaka. Potem drugi.

Paul strząsnął z siebie piasek i wspiął się na wierzchołek wydmy. Sylwetki Fremenów tworzyły rząd oddalający się od urwiska. Rozpoznał wśród nich Chani i Stilgara.

Stilgar wskazał w stronę grani.

Zebrali się i ruszyli piaskomarszem, ślizgając się po powierzchni w łamanym rytmie, który nie zaniepokoiłby żadnego stworzyciela. Stilgar zrównał krok z Paulem na ubitym przez wiatr grzbiecie wydmy.

– To była maszyna przemytników – powiedział.

– Na to wygląda – rzekł Paul. – Ale to zbyt daleko w głąb pustyni jak na przemytników.

– Oni też mają kłopoty z patrolami – zauważył Stilgar.

– Skoro dotarli tak daleko, mogą pójść dalej – rzucił Paul.

– Prawda.

– Nie byłoby dobrze, gdyby zobaczyli to, co mogą zobaczyć, jeśli się zapuszczą zbyt głęboko na południe. Przemytnicy sprzedają również informacje.

– Szukali przyprawy, nie sądzisz? – zapytał Stilgar.

– Gdzieś tutaj będą na nich czekały skrzydło i gąsienik – powiedział chłopak. – Mamy przyprawę. Zanęćmy łachę piasku i zapolujmy sobie na

przemytników. Powinni wiedzieć, że to nasza kraina, a nasi ludzie muszą poćwiczyć z nowymi rodzajami broni.

– Teraz przemawia Usul – rzekł Stilgar. – Usul myśli po fremeńsku.

„Jednak Usul musi się ugiąć przed decyzjami, które są w zgodzie ze straszliwym przeznaczeniem” – pomyślał Paul.

A burza się zbierała.

Kiedy religia połączy w jedno prawo i obowiązek, nigdy nie otworzą ci się oczy, nigdy nie uświadomisz sobie w pełni własnej osobowości. Zawsze będziesz istotą odrobinę niższą od człowieka.

– z *Muad'Dib. Dziewięćdziesiąt dziewięć cudów wszechświata* pióra księżnej Irulany

Przemytniczy kombajn przyprawowy ze swoim macierzystym transportowcem w otoczeniu brzęczących ornitopterów nadleciał nad kopce wydm jak chmara owadów z królową. Przed tą chmarą rozciągał się jeden ze skalnych grzbietów, jakie sterczą z dna pustyni niczym miniaturowe imitacje Muru Zaporowego. Suche plaże tego klifu wymiótł do czysta ostatni huragan.

W kopule dowodzenia kombajnu Gurney Halleck nastawił soczewki olejowe lornety i wychylony do przodu badał krajobraz. Za granią dostrzegł ciemną łachę, która mogła być wykwitem przyprawy, i dał sygnał ornitopterowi, wysyłając go na zwiad.

Ornitopter potwierdził odbiór sygnału ruchem skrzydeł. Oderwał się od stada i zszedłszy ślizgiem nad pociemniały piasek, okrążył tę plamę z wykrywaczami zawieszonymi tuż nad powierzchnią.

Prawie natychmiast złożył skrzydła i wykonał korkociąg, sygnalizując oczekującemu kombajnowi, że znaleźli przyprawę.

Gurney schował lornetę do futerału, pewny, że reszta widziała sygnał. Podobał mu się ten zakątek. Grań dawała niejaką osłonę i zabezpieczenie. Mało prawdopodobne, by urządzono tu zasadzkę, tak daleko na pustyni… niemniej… Halleck dał znak jednej z załóg, by zawisła nad granią i przeczesała ją, a potem rozmieścił odwody w kolistej formacji nad całym

tym terenem, niezbyt wysoko, żeby nie dostrzegły ich z daleka harkonneńskie wykrywacze.

Jednak wątpił w obecność harkonneńskich patroli tak głęboko na południu. Był to ciągle kraj Fremenów.

Gurney sprawdził broń, przeklinając los, który spowodował, że tarcze były tu bezużyteczne. Należało za wszelką cenę unikać wszystkiego, co mogło zwabić czerwia. Pocierając bliznę po krwawinie na brodzie, obejrzał teren i doszedł do wniosku, że najbezpieczniej będzie przeprowadzić oddział granią. Pieszy zwiad był zawsze najpewniejszy. Ostrożność nigdy nie zawadzi, kiedy Fremeni i Harkonnenowie skaczą sobie do gardeł.

To Fremenami się przejmował. Nie mieli nic przeciwko temu, by przehandlować tyle przyprawy, na ile tylko było cię stać, lecz zamieniali się w diabły, jeśli ktoś postawił stopę tam, gdzie zabronili wstępu. I ostatnio byli tak szatańsko przebiegli.

Ta przebiegłość i sprawność bojowa tubylców irytowały Gurneya. Wykazywali kunszt wojenny przewyższający wszystko, z czym się kiedykolwiek zetknął, a szkolony był przez najlepszych wojowników we wszechświecie, ostrogi zaś zdobywał w bojach, z których tylko garstka najlepszych wyszła cało.

Ponownie zbadał teren, zastanawiając się, dlaczego czuje się nieswojo. Może to z powodu tego czerwia, którego widzieli… Ale on był po drugiej stronie grani.

Do kopuły dowodzenia wsunął głowę kapitan kombajnu – jednooki, doświadczony pirat z gęstą brodą, błękitną źrenicą i mlecznobiałymi od spożywania przyprawy zębami.

– Wygląda to na bogaty zagon, sir – powiedział. – Zwijać żagle?

– Zejdź do podnóża urwiska – polecił Gurney. – Daj mi wyładować się z moimi ludźmi. Możesz stamtąd dojechać do przyprawy na gąsienicach.

My obejrzymy sobie tę skałę.

– Tak jest.

– W razie czego – rzekł Halleck – ratuj kombajn. My zabierzemy się ornitopterami.

Kapitan przetwórni zasalutował.

– Tak jest, sir.

Zniknął w luku.

Gurney raz jeszcze omiótł wzrokiem horyzont. Musi się liczyć z ewentualnością, że są tu Fremeni, on zaś wkracza na ich terytorium. Fremeni, ze swą brutalnością i nieobliczalnością, nie dawali mu spokoju. Wiele spraw w tym interesie nie dawało mu spokoju, chociaż zyski przynosił ogromne. Fakt, że nie mógł posłać wysoko szperaczy, również nie dawał mu spokoju. Konieczność zachowania ciszy radiowej jeszcze zwiększała ten niepokój.

Kombajn gąsienikowy zawrócił i zaczął opadać. Łagodnym ślizgiem zszedł na suchą plażę u stóp grani. Bieżniki dotknęły piasku.

Gurney otworzył kopułę kabiny i odpiął pasy bezpieczeństwa. Gdy kombajn znieruchomiał, był już na zewnątrz; zatrzasnął za sobą kopułę i wyszedł na osłony bieżników, z których rozhuśtawszy się, opadł na piasek za siatką zabezpieczającą. Jego pięcioosobowa straż przyboczna znalazła się na ziemi razem z nim, wyłoniwszy się z luku dziobowego. Inni zwolnili skrzydło transportowe kombajnu.

Odłączywszy się, skrzydło odleciało i zaczęło krążyć po kole parkingowym nisko nad nimi. Ogromny kombajn gąsienikowy natychmiast wykręcił od grani w kierunku ciemnego zagonu przyprawy widocznego opodal na piasku.

W pobliżu opadł ornitopter, wyhamowując poślizgiem. Za nim następny i jeszcze jeden. Wyrzuciły pluton Gurneya i wzbiwszy się, zawisły

w powietrzu.

Gurney przeciągnął się, sprawdzając mięśnie pod filtrakiem. Odrzucił z twarzy maskę filtra i tracił wilgoć w imię wyższej konieczności – zwiększenia zasięgu głosu na wypadek, gdyby przyszło mu wydawać komendy. Ruszył w górę, pomiędzy skały, badając teren: kamyki i żwir pod nogami, woń przyprawy w powietrzu.

„Niezłe miejsce na bazę awaryjną – pomyślał. – Byłoby dobrze schować tu trochę materiałów”.

Obejrzał się i patrzył, jak jego ludzie podążają za nim, rozsypując się w tyralierę. Byli dobrzy, nawet ci nowi, których nie miał kiedy wypróbować. Naprawdę dobrzy. Nie trzeba im było za każdym razem powtarzać, co mają robić. Żaden nawet nie zamigotał tarczą. Ani jednego tchórza w tym gronie, obnoszącego się z tarczą po pustyni, gdzie czerw, wyczuwszy jej pole, przybyłby i obrabował ich ze znalezionej przyprawy.

Spośród skał Gurney widział w odległości około pół kilometra zagon przyprawy i gąsienik docierający właśnie do jego bliższej krawędzi. Zerknął w górę, na eskadrę, i stwierdził, że nie jest zbyt wysoko. Kiwnąwszy głową, odwrócił się, by podjąć wspinaczkę na grań.

W tym momencie grań wybuchła.

Dwanaście huczących trajektorii ognia rzygnęło ku zawieszonym w powietrzu ornitopterom i skrzydłu transportowemu. Od gąsienika dobiegł wizg metalu, a skały dookoła Gurneya zapełniły się wojownikami w kapturach.

Halleck zdążył jedynie pomyśleć: „Na rogi Wielkiej Macierzy! Rakiety! Ośmielili się użyć rakiet!”, po czym znalazł się twarzą w twarz z zakapturzoną, nisko pochyloną postacią trzymającą w gotowości krysnóż.

Dwóch innych mężczyzn stało wyczekująco na skałach ponad nią, z lewej i z prawej strony. Gurney widział tylko oczy wojownika przed sobą,

między zasłoną ust a kapturem dżubby barwy piasku, lecz pochylenie ciała i gotowość ostrzegły go, że ma do czynienia z wyszkolonym człowiekiem. Były to błękitne w błękicie oczy Fremena z głębi pustyni.

Gurney sięgnął po własny nóż, nie spuszczając oczu z klingi przeciwnika. Skoro ośmielili się użyć rakiet, będą mieli i inną broń miotającą. W tej sytuacji niezbędna jest najwyższa ostrożność. Z samych odgłosów poznawał, że strącono przynajmniej część jego osłony powietrznej. Z tyłu dobiegały też posapywania i zgiełk walki wręcz.

Spojrzenie wojownika stojącego przed Gurneyem powędrowało za jego ręką w stronę noża, po czym cofnęło się i utkwiło w jego oczach.

– Zostaw ten nóż w pochwie, Gurneyu Hallecku – powiedział mężczyzna.

Gurney się zawahał. Ten głos, pomimo maski filtraka, brzmiał dziwnie znajomo.

– Znasz moje imię? – spytał.

– Na mnie niepotrzebny ci nóż, Gurneyu – rzekł mężczyzna. Wyprostował się, wsuwając krysnóż do pochwy pod dżubbą. – Każ swoim ludziom przerwać beznadziejny opór – dodał, po czym zrzucił kaptur i odsunął maskę.

To, co Gurney zobaczył, wprawiło go w osłupienie. W pierwszej chwili wydawało mu się, że spogląda na widmo księcia Leto Atrydy. Prawda docierała do niego powoli.

– Paul? – szepnął. – Czyżby to Paul? – spytał głośniej.

– Nie wierzysz własnym oczom? – zapytał chłopak.

– Mówili, że nie żyjesz – wychrypiał Gurney. Zrobił pół kroku do przodu.

– Każ swoim ludziom się poddać – zakomenderował Paul i skinął w stronę niższych rejonów grani.

Gurney obrócił się, z trudem odrywając wzrok od Paula. Zobaczył ledwie parę grup walczących. Wydawało się, że zakapturzeni ludzie pustyni są wszędzie. Gąsienik tkwił nieruchomo, na jego dachu stali Fremeni. W górze nie było żadnej maszyny.

– Przerwać walkę! – ryknął Gurney, po czym zaczerpnął głęboko powietrza i zwinął dłonie w trąbkę. – Mówi Gurney Halleck! Przerwać walkę!

Z wolna, nieufnie, walczące postacie się rozdzieliły. Zwróciły się ku niemu pytające spojrzenia.

– To przyjaciele! – zawołał Gurney.

– Ładni mi przyjaciele! – odkrzyknął ktoś. – Wymordowali połowę naszych.

– To nieporozumienie – powiedział Halleck. – Nie pogarszajcie sytuacji. – Obrócił się do Paula, wbijając wzrok w błękitne fremeńskie oczy młodzieńca.

Uśmiech przemknął po wargach Paula, lecz minę miał zaciętą, przypominającą Gurneyowi Starego Księcia. Nagle Gurney dostrzegł w Paulu twardość stali niespotykaną nigdy dotąd u Atrydy – skóra przypominająca rzemień i patrzące z ukosa, wyrachowane oczy, które jak gdyby ważyły wszystko w polu widzenia.

– Mówili, że nie żyjesz – powtórzył.

– Pozwolić im tak myśleć wydawało się najlepszą obroną – rzekł Paul.

Halleck zdał sobie sprawę, że to całe zadośćuczynienie, jakiego może oczekiwać za pozostawienie go własnemu losowi, za pozostawienie go w przekonaniu, że jego młody książę… jego przyjaciel… nie żyje. Zastanowił się, czy w ogóle przetrwało w nim coś z chłopca, którego znał i uczył umiejętności wojowników.

Paul zrobił krok w stronę Gurneya, czując, że pieką go oczy.

– Gurneyu…

To stało się jakby samo – obejmowali się i klepali po plecach, odnajdując się w tym kontakcie.

– Ty mały szczeniaku! Ty mały szczeniaku! – powtarzał w kółko Halleck.

– Gurneyu, chłopie! Gurneyu, chłopie! – mówił Paul.

Po chwili puścili się, popatrując po sobie. Gurney odetchnął głęboko.

– Więc to za twoją sprawą Fremeni tak się wycwanili w walce. Powinienem się domyślić. Bez przerwy robią wszystko tak, jakbym to ja to zaplanował. Gdybym tylko wiedział… – Pokręcił głową. – Gdybyś tylko dał mi znać, chłopaku. Nic by mnie nie powstrzymało. Przyleciałbym jak na skrzydłach…

Wyraz oczu Paula powstrzymał go – twarde, wymowne spojrzenie.

– Jasne – westchnął. – I znaleźliby się tacy, którzy zastanowiliby się, dlaczego Gurney Halleck poleciał jak na skrzydłach, a niektórzy nie poprzestaliby na postawieniu pytania. Zaczęliby szukać odpowiedzi.

Paul skinął głową, zerkając na czekających wokoło Fremenów, na zaciekawione i taksujące spojrzenia fedajkinów. Odwrócił wzrok od komandosów śmierci i popatrzył na Gurneya. Odnalezienie dawnego mistrza miecza wprawiło go w euforię. Widział w tym dobry omen, znak, że znajduje się na kursie przyszłości, gdzie wszystko układa się dobrze.

„Z Gurneyem u boku…”

Przeskoczył wzrokiem fedajkinów na grani i przyjrzał się przemytniczej załodze przybyłej z Halleckiem.

– Po której stronie stoją twoi ludzie, Gurneyu? – zapytał.

– Wszyscy są przemytnikami – odparł Halleck. – Oni stoją po stronie zysku.

– Niewielki jest zysk w naszym interesie – rzekł Paul, dostrzegłszy ukradkowy sygnał przekazany przez Gurneya palcami prawej dłoni; był to

ich kod migowy z dawnych czasów.

Wśród przemytników byli ludzie, których należało się obawiać i którym nie należało wierzyć.

Paul skubnął wargę, pokazując, że zrozumiał, i podniósł wzrok na ludzi czuwających na skałach ponad nimi. Dojrzał tam Stilgara. Wspomnienie nierozwiązanego problemu ze Stilgarem zmniejszyło nieco jego euforię.

– Stilgarze – rzekł – to jest Gurney Halleck, o którym ci nieraz opowiadałem. Wielki wojski mego ojca, jeden z mistrzów miecza, którzy mnie szkolili, stary przyjaciel. Można mu ufać w każdej sprawie.

– Widzę – odparł Stilgar. – Jesteś jego księciem.

Paul spoglądał na ciemne oblicze nad sobą, głowiąc się nad powodami, które kazały Stilgarowi rzec właśnie to: „jego księciem”. W głosie Fremena była dziwna, nieuchwytna intonacja, jakby pragnął raczej powiedzieć coś innego. To zaś nie pasowało do Stilgara, przywódcy Fremenów i człowieka mówiącego to, co myśli.

„Moim księciem! – pomyślał Gurney. Spojrzał nowym okiem na chłopaka. – Tak, wraz ze śmiercią Leto tytuł przeszedł na Paula”.

Schemat wojny fremeńskiej na Arrakis zaczął nabierać w głowie Hallecka nowego kształtu. „Mój książę!” – pomyślał. Miejsce, które było w nim martwe, zaczęło wracać do życia. Jedynie część jego świadomości skupiła się na wydanym przez Paula zarządzeniu, by rozbroić załogi przemytników do czasu ich przesłuchania.

Gurney oprzytomniał, kiedy usłyszał protesty swoich ludzi. Potrząsnął głową i obrócił się gwałtownie.

– Czy wy pogłuchliście?! – warknął. – To prawowity książę na Arrakis. Róbcie, co każe.

Przemytnicy poddali się, sarkając.

Paul przysunął się do Hallecka.

– Że ty wpadniesz w tę pułapkę, tego bym się nie spodziewał, Gurneyu – powiedział cicho.

– Otrzymałem zasłużoną nauczkę – odparł Halleck. – Założę się, że ten zagon przyprawowy to nic innego jak warstwa grubości ziarnka piasku, przynęta, aby nas zwabić.

– Wygrałbyś taki zakład – rzekł Paul i spojrzał w dół na rozbrajanych ludzi. – Jest wśród twej załogi jeszcze któryś z ludzi mojego ojca?

– Nie. Porozchodziliśmy się. Kilku jest między wolnymi kupcami. Większość wydała swe zyski na wyjazd stąd.

– Lecz ty zostałeś.

– Zostałem.

– Ponieważ jest tu Rabban – rzekł Paul.

– Sądziłem, że nie mam już nic prócz zemsty – powiedział Gurney.

Ze szczytu grani dobiegł dziwacznie urwany krzyk. Podniósłszy oczy, Halleck ujrzał powiewającego chustą Fremena.

– Stworzyciel przybywa – oznajmił Paul.

Wiodąc za sobą Gurneya, wyszedł na skalny przylądek i spojrzał w dal, na południowy zachód. Kopiec czerwia widniał niezbyt daleko – zwieńczony pyłem trop, który przecinał wydmy, kierując się prosto na grań.

– Spory – zauważył chłopak.

Od kombajnu gąsienikowego pod nimi dobiegło klekotanie. Gąsienik wykręcił na swych bieżnikach niczym ogromny owad i poturlał się ku skałom.

– Szkoda, że nie udało nam się ocalić zgarniarki – powiedział Paul.

Gurney zerknął na niego i obejrzał się na połacie dymu i rumowiska w głębi pustyni, tam gdzie spadły zgarniarka i ornitoptery strącone fremeńskimi rakietami. Pożałował nagle poległych tam ludzi – jego ludzi.

– Twój ojciec bardziej by się przejął ludźmi, których nie udało się ocalić – rzekł.

Paul przeszył go twardym spojrzeniem, ale potem spuścił oczy.

– To byli twoi przyjaciele, Gurneyu – powiedział po chwili. – Ja rozumiem. Dla nas jednak byli intruzami, którzy mogli zobaczyć to, czego nie powinni. Musisz to zrozumieć.

– Rozumiem to wystarczająco dobrze – stwierdził Gurney. – I chętnie teraz zobaczę to, czego nie powinienem.

Paul podniósł wzrok i ujrzał dawny, dobrze mu znany wilczy uśmiech Hallecka marszczący jego krwawinową bliznę na brodzie.

Gurney wskazał ruchem głowy pustynię pod nimi. Fremeni uwijali się po całym terenie. Uderzyło go, że żaden nie wygląda na zaniepokojonego nadciąganiem czerwia.

Z otwartych wydm poza oszukańczą plamą przyprawy dobiegło dudnienie – głuchy werbel odbierany za pośrednictwem stóp. Gurney zobaczył Fremenów rozsypujących się po piasku na szlaku czerwia.

Czerw nadchodził, prując powierzchnię niby olbrzymia ryba – jego pierścienie wiły się i falowały. Wkrótce ze swego dogodnego punktu obserwacyjnego na wzniesieniu Halleck ujrzał, jak dosiadają czerwia: śmiały skok pierwszego hakarza, potem obrót stworzenia i wreszcie cała grupa ludzi wdrapała się na górę po łuskowatej, połyskliwej krzywiźnie boku czerwia.

– Oto jedna z rzeczy, których nie powinieneś oglądać – rzekł Paul.

– Krążyły opowieści i plotki – powiedział Gurney – ale nie sposób w to uwierzyć, jeśli się tego nie zobaczy. – Potrząsnął głową. – Stworzenie, którego boją się wszyscy na Arrakis, wy traktujecie jak wierzchowca.

– Słyszałeś, jak mój ojciec mówił o potędze pustynnej – rzekł chłopak. – Oto i ona. Powierzchnia tej planety jest nasza. Żaden samum, stworzenie

ani nawet najgorsze warunki nas nie powstrzymają.

„Nas – pomyślał Halleck. – To znaczy Fremenów. On mówi o sobie jak o jednym z nich”. Ponownie spojrzał na przyprawowy błękit w oczach Paula. Jego oczy, o czym wiedział, przybrały lekki odcień tego koloru, ale przemytnicy mieli dostęp do artykułów spożywczych spoza planety i odcień oczu był u nich związany z subtelnym podziałem kastowym. Mówili o „maźnięciu przyprawowym pędzlem”, mając na myśli to, że człowiek się zbytnio zasymilował. I zawsze towarzyszyła temu nuta nieufności.

– Był czas, kiedy nie dosiadaliśmy stworzyciela w świetle dnia na tych szerokościach – powiedział Paul – lecz Rabban ma już zbyt małą osłonę powietrzną, żeby mógł ją marnować na poszukiwanie paru kropek na piasku. – Popatrzył na Gurneya. – Twój statek w tym miejscu był dla nas szokiem.

„Dla nas… dla nas…” Halleck potrząsnął głową, by odegnać te myśli.

– Byliśmy mniejszym szokiem dla was niż wy dla nas – rzekł.

– Co mówi się w nieckach i osadach o Rabbanie? – zapytał Paul.

– Mówi się, że ufortyfikowali osady w grabenie do takiego stopnia, że nic im nie zrobicie. Mówi się, że muszą tylko siedzieć za szańcami i czekać, aż wyniszczycie się w daremnym ataku.

– Krótko mówiąc – stwierdził Paul – są unieruchomieni.

– Podczas gdy ty możesz się poruszać, gdzie zechcesz – dokończył Gurney.

– Tej taktyki nauczyłem się od ciebie – powiedział chłopak. – Stracili inicjatywę, a to znaczy, że przegrali wojnę.

Halleck uśmiechnął się przeciągle, porozumiewawczo.

– Nasz wróg jest dokładnie tam, gdzie chcę, by był – oznajmił Paul i zerknął na niego. – No to jak, Gurneyu, zaciągasz się do mnie na finisz kampanii?

– Zaciągasz? – Mężczyzna wbił w niego wzrok. – Mój panie, ja nigdy nie porzuciłem służby u ciebie. To ty mnie porzuciłeś… przekonanego, że nie żyjesz. Pozostawiony samemu sobie, zrobiłem rachunek sumienia i czekałem na chwilę, w której mógłbym sprzedać swoje życie za tyle, ile jest ono warte: za śmierć Rabbana.

Paul umilkł zakłopotany.

Jakaś kobieta pięła się ku nim po skałach. Jej oczy, widoczne pomiędzy kapturem filtraka a maską na twarzy, przerzucały się z Paula na jego towarzysza i z powrotem. Zatrzymała się przed chłopakiem. Gurney zauważył poczucie własności w jej postawie, w tym, jak tkwiła blisko Paula.

– Chani – rzekł Paul – to jest Gurney Halleck. Słyszałaś o nim ode mnie.

Spojrzała na Hallecka i ponownie na Paula.

– Słyszałam.

– Dokąd pojechali ludzie na stworzycielu? – zapytał Paul.

– Tylko zawrócili go, by dać nam czas na uratowanie sprzętu.

– No to… – Chłopak urwał, węsząc.

– Wiatr idzie – powiedziała Chani.

Ze szczytu grani rozległ się głos:

– Hej tam! Wiatr!

Gurney zauważył ożywiony ruch wśród Fremenów, pospieszną bieganinę. Coś, czego nie sprawił czerw, dokonała obawa przed wiatrem. Gąsienik wspiął się na suchą plażę u ich stóp i w skałach otworzyło się dla niego przejście, po czym skały zamknęły się za nim tak precyzyjnie, że tunel zniknął mu z oczu.

– Dużo macie takich kryjówek? – zapytał.

– Dużo razy dużo – odparł Paul i spojrzał na Chani. – Znajdź Korbę. Powiedz mu o ostrzeżeniu Gurneya, że wśród przemytniczej załogi są

ludzie, którym nie należy ufać.

Chani rzuciła okiem na Gurneya, a potem na Paula, skinęła głową i pomknęła na dół, skacząc po kamieniach ze zręcznością gazeli.

– To twoja kobieta – powiedział Halleck.

– Matka mojego pierworodnego – rzekł Paul. – Atrydzi mają następnego Leto.

Gurney skwitował to jedynie rozszerzeniem oczu.

Paul obserwował krytycznym okiem krzątaninę wokół nich. Barwa curry zdominowała już południowy nieboskłon i nadchodziły kapryśne podmuchy wiatru, siekąc ich pyłem po głowach.

– Zapnij filtrak – rzucił chłopak i zamocował maskę oraz kaptur wokół twarzy.

Gurney wykonał polecenie, błogosławiąc filtry.

– Którym ze swej załogi nie dowierzasz, Gurneyu? – spytał Paul głosem stłumionym przez filtr.

– Jest trochę nowych rekrutów. Obcoświatowców… – Umilkł, dziwiąc się sobie nagle. „Obcoświatowców” – pomyślał. Z jaką łatwością przyszło mu to słowo.

– Tak? – powiedział Paul.

– Nie przypominają zwykłej zbieraniny niebieskich ptaków, jaka nam się dostaje – rzekł Gurney. – Są twardsi.

– Harkonneńscy szpiedzy? – spytał chłopak.

– Myślę, mój panie, że oni nie meldują się żadnemu z Harkonnenów. Podejrzewam, że to ludzie w służbie imperialnej. Noszą nieuchwytne piętno Salusy Secundusa.

Paul przeszył go ostrym spojrzeniem.

– Sardaukarzy?

Halleck wzruszył ramionami.

– Być może, ale jest to doskonale zakamuflowane.

Paul pokiwał głową, myśląc o tym, jak łatwo Gurney z powrotem wpadł w tryby członka świty atrydzkiej… chociaż z subtelnymi zahamowaniami, różnicami. Jego Arrakis też zmieniła.

Dwaj zakapturzeni Fremeni wyłonili się ze skalnej szczeliny i zaczęli się wspinać ku nim. Jeden z nich dźwigał na ramieniu duży tobół.

– Gdzie są teraz moi ludzie? – zapytał Gurney.

– Pod skałami, w bezpiecznym miejscu – odparł Paul. – Mamy tu jaskinię, Grotę Ptaków. Po burzy zdecydujemy, co z nimi zrobić.

Z góry zawołał jakiś głos:

– Muad’Dibie!

Paul obrócił się i zobaczył fremeńskiego wartownika wzywającego ich do jaskini. Dał znak, że słyszy.

Gurney przyglądał mu się zdziwiony.

– Ty jesteś Muad’Dibem? – zapytał. – Ty jesteś tym błędnym ognikiem pustyni?

– To moje fremeńskie imię – rzekł Paul.

Halleck odwrócił się od niego przybity ogarniającym go złym przeczuciem. Połowa jego załogi leżała martwa na piasku, reszta była w niewoli. Nie obchodzili go nowi rekruci, ci podejrzani, lecz wśród pozostałych byli dobrzy ludzie, przyjaciele, za których czuł się odpowiedzialny. „Po burzy zdecydujemy, co z nimi zrobić”. Tak powiedział Paul, tak powiedział Muad’Dib. I Gurney przypomniał sobie historie o Muad’Dibie, o Lisanie al-Gaibie: że zdarł skórę z harkonneńskiego oficera na obicie bębna, że był otoczony komandosami śmierci, fedajkinami, którzy rzucali się w bój ze swym psalmem śmierci na ustach.

I to był Paul.

Dwaj Fremeni, którzy wspinali się na skały, wskoczyli lekko na półkę przed Paulem. Pierwszy, o ciemnej twarzy, powiedział:

– Wszystko zabezpieczone, Muad’Dibie. Lepiej chodźmy już na dół.

– Tak jest.

Gurney odnotował ton głosu tego mężczyzny – ni to komendy, ni to prośby. To był Stilgar, inna postać z nowych fremeńskich legend.

Paul spojrzał na tobół taszczony przez drugiego mężczyznę.

– Korbo, co tam masz?

– To z gąsienika – odpowiedział Stilgar. – Były na tym inicjały twojego przyjaciela, a w środku baliseta. Wiele razy słyszałem, jak mówiłeś o nadzwyczajnej biegłości Gurneya Hallecka w grze na balisecie.

Gurney bacznie przyglądał się mówiącemu: zauważył brzeg czarnej brody nad maską filtraka, jastrzębie spojrzenie, ostro rzeźbiony nos.

– Masz towarzysza, który myśli, mój panie – rzekł. – Dziękuję ci, Stilgarze.

Stilgar skinął na drugiego Fremena, by przekazał tobołek Gurneyowi.

– Podziękuj swojemu księciu. Jego rękojmia daje ci wstęp tutaj.

Halleck wziął tobół, zaintrygowany twardymi nutami w tej rozmowie. W postawie owego człowieka było coś wyzywającego i zachodził w głowę, czy to przypadkiem nie zazdrość. Oto pojawił się Gurney Halleck, który zna Paula jeszcze sprzed czasów Arrakis, człowiek, którego udziałem jest zażyłość niedostępna dla Stilgara.

– Chciałbym, żebyście zostali przyjaciółmi – powiedział Paul.

– Stilgar to głośne imię – rzekł Gurney. – Zresztą czułbym się zaszczycony, mogąc zaliczyć do swoich przyjaciół każdego zabójcę Harkonnenów.

– Uściśniesz dłoń mojego przyjaciela Gurneya Hallecka, Stilgarze? – zapytał Paul.

Fremen z wolna wyciągnął ręce i zamknął w dłoniach stwardniałą od miecza prawicę Gurneya.

– Mało jest takich, którzy nie słyszeli imienia Gurneya Hallecka – rzekł i zwolnił uścisk. Obrócił się do Paula. – Wali na nas samum.

– Tak jest – powiedział chłopak.

Stilgar zawrócił, prowadząc ich w dół przez skały krętą, pełną pętli ścieżką. Dotarli do cienistej szczeliny, która kończyła się niskim wylotem jaskini. Ludzie pospiesznie zamocowali za nimi gródź. Lumisfery ukazały rozległą, nakrytą kopułą przestrzeń, wycięty w bocznej ścianie występ, a za nim otwór korytarza.

Paul wskoczył na występ i powiódł depczącego mu po piętach Gurneya w głąb korytarza. Pozostali skierowali się do drugiego tunelu, naprzeciwko wejścia. Paul minął przedsionek i wkroczył do komnaty z draperiami koloru ciemnoczerwonego wina na ścianach.

– Mamy tutaj chwilę dla siebie – oznajmił. – Inni uszanują moje…

W przedsionku zabrzęczał alarmowy czynel. Po nim rozległy się krzyki i szczęk broni. Paul obrócił się na pięcie i wypadł przez przedsionek na próg atrium górujący nad zewnętrzną salą. Gurney znalazł się tuż za nim z dobytą bronią.

W dole, na podłodze groty, wirował kłąb walczących postaci. Paul stał moment, taksując wzrokiem scenę i oddzielając fremeńskie dżubby i burki od strojów przeciwników. Zmysły, wyszkolone przez matkę w wykrywaniu najdrobniejszych wskazówek, uchwyciły znamienny fakt: Fremeni walczyli z ludźmi noszącymi szaty przemytników, lecz przemytnicy ci przywarowali po trzech, zbijając się pod naporem w trójkąty.

Ten sposób walki wręcz był legitymacją sardaukarów imperialnych.

Jakiś fedajkin z tłumu dostrzegł Paula i po sali przetoczył się echem jego bojowy okrzyk:

– Muad’Dib! Muad’Dib! Muad’Dib!

Inne oko również wyłowiło Paula. Śmignął ku niemu czarny nóż. Chłopak uchylił się, usłyszał za sobą brzęk stali o kamień i zobaczył, jak Gurney podnosi broń.

Trójkątne grupki spychano teraz w głąb.

Gurney podsunął nóż Paulowi, wskazując włos spirali żółtej imperialnej barwy, złotą lwią grzywę, wielopłaszczyznowe oczy na gałce rękojeści.

Bez najmniejszych wątpliwości sardaukarzy.

Paul wysunął się na skraj półki. Zostało jedynie trzech sardaukarów. Zakrwawione szmaciane wzgórki oznaczające ciała sardaukarów i Fremenów zalegały salę zawiłym deseniem.

– Stać! – krzyknął. – Książę Paul Atryda nakazuje wam przerwać walkę!

Walczący zachwiali się, zawahali.

– Sardaukarzy! – zawołał Paul do ocalałej trójki. – Z czyjego rozkazu podnosicie rękę na panującego księcia? – A gdy jego ludzie zaczęli zaciskać pierścień wokół przeciwników, dodał prędko: – Stać, mówię!

Jeden z osaczonej trójki się wyprostował.

– Kto mówi, że jesteśmy sardaukarami? – zapytał.

Paul wziął od Gurneya nóż i podniósł go wysoko.

– To mówi.

– A kto mówi, że jesteś panującym księciem? – spytał ten sam mężczyzna.

Młodzieniec wskazał fedajkinów.

– Ci ludzie mówią, że jestem panującym księciem. Wasz Imperator nadał Arrakis rodowi Atrydów. A ród Atrydów to ja.

Sardaukar milczał, wiercąc się nerwowo.

Paul przyglądał się mężczyźnie – był wysoki, miał płaską twarz i bladą szramę przez pół policzka. Jego postawa zdradzała złość i zakłopotanie,

lecz była w nim nadal owa duma, bez której sardaukar wydaje się nagi i z którą nagi wydaje się ubrany.

Paul rzucił okiem na jednego z poruczników swoich fedajkinów.

– Korbo, jak doszło do tego, że mają broń?

– Zachowali noże w przemyślnych kieszeniach filtraków – rzekł porucznik.

Paul omiótł wzrokiem zabitych i rannych po drugiej stronie sali i znów spojrzał na porucznika. Słowa były niepotrzebne. Fedajkin spuścił oczy.

– Gdzie jest Chani? – zapytał chłopak i czekając na odpowiedź, wstrzymał oddech.

– Ulotnił się z nią Stilgar. – Korba skinął głową w stronę drugiego korytarza, a potem popatrzył na zabitych i rannych. – Ponoszę odpowiedzialność za ten błąd, Muad’Dibie.

– Ilu było tych sardaukarów, Gurneyu? – spytał Paul.

– Dziesięciu.

Paul zeskoczył zwinnie na podłogę, ruszył na przełaj przez salę i zatrzymał się w zasięgu ręki rzecznika sardaukarów.

Fedajkini stężeli. Nie podobało im się to narażanie się na niebezpieczeństwo. Do tego właśnie ślubowali nie dopuścić, ponieważ Fremeni pragnęli zachować mądrość Muad’Diba.

Nie odwracając się, Paul zapytał swego porucznika:

– Jakie mamy straty w ludziach?

– Czterech rannych, dwóch zabitych, Muad’Dibie.

Chłopak spostrzegł ruch za sardaukarem. W wylocie drugiego korytarza stanęli Chani i Stilgar. Ponownie skupił uwagę na sardaukarze, przyglądając się obcoświatowym białkom jego oczu.

– Twoje imię? – zapytał.

Mężczyzna sprężył się, rzucił okiem na lewo i na prawo.

– Nie próbuj tego – powiedział Paul. – Dla mnie jasne jest, że kazano wam odszukać i zabić Muad’Diba. Ręczę, że to wy zasugerowaliście poszukiwania przyprawy w głębokiej pustyni.

Sapnięcie Gurneya za jego plecami wywołało nikły uśmiech na wargach chłopaka.

Krew napłynęła sardaukarowi do twarzy.

– Widzisz przed sobą coś więcej niż Muad’Diba – powiedział Paul. – Siedmiu waszych nie żyje, a naszych dwóch. Trzech za jednego. Niezgorzej jak na walkę z sardaukarami, co?

Mężczyzna wspiął się na palce i opadł, gdy fedajkini zacieśnili krąg.

– Pytałem o twoje imię – rzekł Paul i przywołał na pomoc subtelności Głosu: – Mów, jak się nazywasz!

– Kapitan Aramszam, imperialny sardaukar! – wyrzucił z siebie mężczyzna. Szczęka mu opadła. Skonfundowany wytrzeszczył oczy na Paula. Prysła jego poza polegająca na traktowaniu tej jaskini jako nory barbarzyńców.

– Cóż, kapitanie Aramszamie, Harkonnenowie dużo by zapłacili, żeby się dowiedzieć tego, co ty wiesz. A Imperator… czegóż by nie dał za wiadomość, że Atrydzi nadal żyją mimo jego zdrady.

Kapitan popatrzył na boki, na dwóch ludzi, którzy mu pozostali. Paul niemal widział, jak ten człowiek waży myśli. Sardaukar nie poddaje się, lecz Imperator *musi* się dowiedzieć o tej groźbie.

Wciąż wykorzystując Głos, chłopak rzekł:

– Poddaj się, kapitanie.

Bez żadnego ostrzeżenia mężczyzna z lewej strony kapitana skoczył na Paula, lecz nadział się na błysk noża swego dowódcy. Zwalił się na podłogę jak kłoda z nożem w piersi. Kapitan zwrócił się do swojego jedynego już towarzysza:

– Ja decyduję, co się najbardziej opłaca Jego Imperatorskiej Mości – powiedział. – Zrozumiano?

Drugiemu sardaukarowi opadły ramiona.

– Rzuć broń – rozkazał kapitan.

Sardaukar usłuchał.

Kapitan zwrócił się znów do Paula.

– Zabiłem dla ciebie przyjaciela – rzekł. – Nie zapomnijmy o tym.

– Jesteście moimi jeńcami – oświadczył Paul. – Poddaliście się mi. Czy żyjecie czy nie, to bez znaczenia. – Skinął na swoją gwardię, by zabrano sardaukarów, i przywołał gestem Korbę.

Wkroczyła straż i pognała więźniów.

Paul nachylił się do swego porucznika.

– Muad’Dibie – powiedział Fremen – zawiodłem cię w…

– To ja zawiodłem, Korbo – przerwał Paul. – Powinienem cię ostrzec, czego szukać. W przyszłości, obszukując sardaukarów, pamiętaj o tym. Pamiętaj również, że każdy ma kilka sztucznych paznokci u nogi, które w połączeniu z innymi przedmiotami ukrytymi na ciele tworzą sprawny nadajnik. I niejeden sztuczny ząb. We włosach zaś noszą zwoje szigastruny tak cienkiej, że ledwo można ją wykryć, a jednak wystarczająco mocnej do zgarotowania człowieka i obcięcia mu przy tym głowy. Mając do czynienia z sardaukarami, musisz ich wziąć pod lupę, prześwietlić zarówno promieniami nieprzenikliwymi, jak i twardymi, i wystrzyc im każdą kępkę włosów na ciele. A kiedy skończysz, bądź pewien, że nie odkryłeś wszystkiego. – Podniósł oczy na Gurneya, który podszedł blisko i się przysłuchiwał.

– Zatem najlepiej zrobimy, zabijając ich – rzekł porucznik.

Paul pokręcił głową, nadal spoglądając na Gurneya.

– Nie. Chcę, żeby uciekli.

Halleck spojrzał na niego zdziwiony.

– Wasza wysokość… – szepnął.

– Tak?

– Twój człowiek ma rację. Każ natychmiast zabić owych jeńców. Zniszcz po nich wszelkie ślady. Zhańbiłeś imperialnych sardaukarów! Kiedy to dotrze do Imperatora, nie spocznie on, dopóki nie upiecze cię żywcem na wolnym ogniu.

– Imperator nie ma szans na zdobycie takiej władzy nade mną – rzekł Paul. Mówił chłodno, cedząc słowa. Coś się w nim dokonało, kiedy stał twarzą w twarz z sardaukarem. W jego świadomości zsumował się wynik ogólny decyzji. – Gurneyu – spytał – dużo gildian kręci się przy Rabbanie?

Halleck wyprostował się, zwęziły mu się oczy.

– Twoje pytanie nie ma żadnego…

– Dużo? – uciął Paul.

– Na Arrakis roi się od agentów Gildii. Kupują przyprawę, jakby to była najcenniejsza rzecz we wszechświecie. A dla czego innego zapuściliśmy się tak daleko w głąb…

– To jest najcenniejsza rzecz we wszechświecie – powiedział chłopak. – Dla nich. – Spojrzał w kierunku Stilgara i Chani zbliżających się właśnie przez salę. – I my mamy to w ręku, Gurneyu.

– Harkonnenowie mają to w ręku! – zaprotestował Halleck.

– Ci, którzy mogą coś zniszczyć, mają to w ręku – stwierdził Paul. Machnięciem dłoni uciszył Gurneya i skinął głową Stilgarowi, który stanął przed nim razem z Chani. Paul wziął w lewą rękę sardaukarski nóż i podał go Fremenowi. – Żyjesz dla dobra plemienia – powiedział. – Czy przelałbyś tym nożem moją krew?

– Dla dobra plemienia – warknął Stilgar.

– Zatem użyj tego noża – rzekł Paul.

– Rzucasz mi wyzwanie? – zapytał Fremen.

– Jeśli to zrobię – odparł Paul – stanę bez broni i dam ci się zabić.

Stilgar ze świstem wciągnął powietrze.

– Usulu! – odezwała się Chani, po czym zerknęła na Gurneya i znów na Paula.

Podczas gdy Stilgar ciągle rozważał jego słowa, chłopak powiedział:

– Tyś jest wojownik Stilgar. Kiedy sardaukarzy rozpoczęli tutaj bój, nie było cię na pierwszej linii. Twoją pierwszą myślą było ratować Chani.

– Jest moją bratanicą – powiedział Stilgar. – Gdyby istniał choć cień wątpliwości, czy twoi fedajkini załatwią tę hołotę…

– Dlaczego najpierw pomyślałeś o Chani? – zapytał Paul.

– Nie pomyślałem!

– Czyżby?

– Myślałem o tobie – wyznał Stilgar.

– Uważasz, że mógłbyś podnieść na mnie rękę? – spytał chłopak.

Stilgar zaczął drżeć.

– Taki jest zwyczaj – wymruczał.

– Zwyczaj każe zabijać obcoświatowych przybłędów napotkanych na pustyni i brać ich wodę jako dar od Szej-huluda – powiedział Paul – a jednak pewnej nocy zachowałeś przy życiu dwoje takich, moją matkę i mnie.

Stilgar milczał, drżąc i pożerając go wzrokiem.

– Zwyczaje się zmieniają, Stilu. Ty sam je zmieniłeś – dodał Paul.

Fremen spuścił oczy na żółte godło noża, który trzymał w ręku.

– Myślisz, że kiedy będę księciem w Arrakin, z Chani u boku, będę miał czas zajmować się każdym drobiazgiem zarządzania siczą Tabr? – zapytał Paul. – Czy ty zajmujesz się wewnętrznymi sprawami każdej rodziny?

Stilgar nie odrywał oczu od noża.

– Myślisz, że pragnę odciąć sobie prawe ramię? – zapytał Paul.

Fremen wolno podniósł na niego oczy.

– Ciebie! – rzekł Paul. – Myślisz, że mógłbym pozbawić siebie czy plemię twej mądrości i siły?

– Młodego człowieka z mego plemienia – powiedział Stilgar cicho – którego imię jest mi znane, mógłbym zabić na ubitej ziemi z woli Szej-huluda. Lisana al-Gaiba nie jestem w stanie skrzywdzić. Wiedziałeś o tym, wręczając mi ten nóż.

– Wiedziałem – przyznał Paul.

Stilgar otworzył dłoń. Nóż brzęknął o kamienną podłogę.

– Zwyczaje się zmieniają – powiedział.

– Chani – rzekł Paul – udaj się do mojej matki i przyślij ją tutaj, żeby posłużyła nam radą w…

– Ale mówiłeś, że pojedziemy na południe! – zaprotestowała.

– Nie miałem racji – odparł. – Harkonnenowie są gdzie indziej. Wojna jest gdzie indziej.

Westchnęła głęboko, godząc się z tym tak, jak kobieta pustynna poddaje się wszystkiemu, co nieuniknione między kowadłem życia a młotem śmierci.

– Przekażesz mojej matce wiadomość przeznaczoną tylko dla niej – oznajmił Paul. – Powiesz jej, że Stilgar uznaje mnie za swojego księcia na Arrakis, ale musimy znaleźć sposób zmuszenia młodych ludzi, by zgodzili się na to bez pojedynku.

Chani spojrzała na Stilgara.

– Rób, jak on mówi! – warknął Fremen. – Oboje wiemy, że dałby mi radę… a ja nie zdołałbym podnieść na niego ręki… dla dobra plemienia.

– Przywiozę twoją matkę – powiedziała Chani.

– Przyślij ją – rzekł Paul. – Instynkt nie omylił Stilgara. Jestem silniejszy, kiedy ty jesteś bezpieczna. Zostaniesz w siczy.

Otworzyła usta, by zaoponować, ale zrezygnowała.

– Sihajo – powiedział chłopak, używając imienia, jakim nazywał ją, kiedy byli we dwoje. Obrócił się w prawo na pięcie, napotykając płonące oczy Gurneya.

– Twoja matka – odezwał się Gurney.

– Idaho wyratował nas w noc napaści – rzekł Paul, zaabsorbowany rozłąką z Chani. – W tej chwili musimy…

– Co z Duncanem Idaho, mój panie? – zapytał Halleck.

– Zginął, zyskując dla nas chwilę na ucieczkę.

„Czarownica żyje! – myślał Gurney. – Ta, której poprzysiągłem zemstę, żyje! I widać jak na dłoni, że książę Paul nie wie, co za stwór go zrodził. Siostra diabła! Wydała Harkonnenom jego ojca!”

Paul wyminął go i wskoczył na występ. Obejrzawszy się, spostrzegł, że usunięto rannych i zabitych, i pomyślał z goryczą, że oto jest następny rozdział legendy o Paulu Muad’Dibie. „Nawet nie dobyłem noża, a mówić będą o tym dniu, że dwudziestu sardaukarów padło tu z mojej ręki”.

Gurney podążał za Stilgarem, nie wyczuwając nawet gruntu, po którym stąpał. Jaskinię wraz z jej żółtym blaskiem lumisfer wyparła z jego świadomości wściekłość. „Czarownica żyje, podczas gdy z tych, których zdradziła, pozostały kości w opuszczonych grobach. Muszę znaleźć sposób, żeby Paul poznał prawdę, zanim ją zabiję”.

Jakże często jest tak, że wybuch rozgniewanego człowieka stanowi zaprzeczenie tego, co mówi mu jego wewnętrzne ja.

– z *Myśli zebranych Muad'Diba* w opracowaniu księżnej Irulany

Z tłumu w podziemnej sali zgromadzeń emanowało podniecenie sfory podobne do tego, jakie Jessika wyczuwała w dniu, kiedy Paul zabił Dżamisa. Słychać było nerwowy szmer głosów. Maleńkie koterie wzbierały w ścisku dżubb jak guzy.

Wsunąwszy tuleję pocztową pod szatę, Jessika wyszła z prywatnej kwatery Paula na skalny występ. Czuła się wypoczęta po długiej podróży z dalekiego południa, lecz wciąż rozgoryczona, że Paul jeszcze nie pozwala im korzystać ze zdobycznych ornitopterów.

– Nie panujemy całkowicie w powietrzu – rzekł. – I nie możemy się uzależnić od pozaplanetarnego paliwa. Musimy gromadzić i przechowywać zarówno paliwo, jak i maszyny na dzień maksymalnego wysiłku.

Paul stał w gronie młodszych mężczyzn w pobliżu występu. Blade światło lumisfer nadawało całej scenerii posmak nierealności. Przypominała żywy obraz, wzbogacony o dodatkowy wymiar – zapachów ludzkiego mrowiska, szeptów, odgłosów szurania nóg.

Jessika spoglądała na syna, zastanawiając się, dlaczego nie zademonstrował jeszcze swej niespodzianki – Gurneya Hallecka. Myśl o Gurneyu zakłóciła jej spokój wspomnieniami niefrasobliwej przeszłości, dni miłości i szczęścia przy ojcu Paula.

Stilgar czekał ze swoją niewielką grupą na drugim końcu występu. Od jego nieruchomej postaci biło niewzruszone dostojeństwo.

„Nie możemy utracić tego człowieka – pomyślała Jessika. – Plan Paula musi się powieść. Wszystko inne będzie najstraszliwszą tragedią”.

Przeszła wzdłuż występu, minęła Stilgara i nie patrząc w jego stronę, zstąpiła w tłum. Schodzono jej z drogi, kiedy przedzierała się do Paula. A za nią postępowała cisza. Znała sens tego milczenia – niewypowiedziane pytania, lęk przed matką wielebną.

Młodzi mężczyźni odstąpili od Paula, gdy podeszła, i Jessikę chwilowo zatrwożył nowy respekt, jakim go darzyli. „Wszyscy niżej od ciebie postawieni spoglądają chciwie na twoją pozycję” – głosił aksjomat Bene Gesserit, ale nie znajdowała żadnej chciwości w tych twarzach. I przypomniało jej się inne powiedzenie Bene Gesserit: „Prorocy mają zwyczaj umierać gwałtowną śmiercią”.

Paul spojrzał na nią.

– Już czas – powiedziała i wręczyła mu tuleję pocztową.

Jeden z towarzyszy Paula, śmielszy od reszty, patrząc ponad głowami innych na Stilgara, rzekł:

– Teraz go wyzwiesz, Muad’Dibie? Już najwyższy czas. Pomyślą, że tchórzysz, jeżeli nie…

– Kto się ośmiela nazywać mnie tchórzem? – zapytał chłopak, a jego dłoń śmignęła do rękojeści krysnoża.

Wśród ludzi zaległa martwa cisza, ogarniając cały tłum.

– Mamy coś do zrobienia – rzekł Paul, podczas gdy ów mężczyzna cofał się przed nim.

Paul odszedł, przepychając się przez ciżbę w kierunku występu, wskoczył lekko na półkę i stanął twarzą do ludzi.

– Zrób to! – wrzasnął ktoś.

W ślad za tym okrzykiem rozległy się pomruki i szepty.

Chłopak zwlekał, aż zapadnie cisza. Zapadała z wolna, pośród szurań i pokasływań z różnych stron. Kiedy w jaskini zrobiło się cicho, uniósł głowę i przemówił głosem docierającym do najdalszych zakamarków.

– Macie już powyżej uszu czekania – rzekł.

Ponownie się wstrzymał, gdy wygasała wrzawa odpowiedzi.

„Rzeczywiście, czekania mają już powyżej uszu” – pomyślał. Zważył w dłoni tuleję pocztową, w myślach oceniając jej zawartość. Matka pokazała mu ją i wyjaśniła, jak została odebrana kurierowi Harkonnenów.

Treść była jasna: Rabbana porzucono na Arrakis zdanego wyłącznie na siebie! Posiłki ani ratunek nie przybędą na jego wezwania!

Paul znowu podniósł głos:

– Uważacie, że już czas, abym wyzwał Stilgara i zmienił zwierzchnictwo nad oddziałami! – Nim zdążyli odpowiedzieć, zapytał ich gniewnie: – Uważacie, że Lisan al-Gaib jest takim głupcem?

Panowało głuche milczenie.

„Stroi się w religijne piórka – pomyślała Jessika. – Nie ma innego wyjścia!”

– Taki jest zwyczaj! – zawołał ktoś.

– Zwyczaje się zmieniają – rzekł oschle Paul, sondując ukryte nastroje.

Z końca sali doleciał gniewny głos:

– My decydujemy, co się zmienia!

Z wielu stron podniosły się w tłumie okrzyki poparcia.

– Jak sobie życzycie – stwierdził Paul.

Jessika usłyszała subtelną intonację, kiedy skorzystał z możliwości Głosu, których go nauczyła.

– Wy decydujecie – zgodził się – ale najpierw wysłuchacie, co mam do powiedzenia.

Stilgar przesunął się na skraj występu, a jego brodata twarz nie zdradzała żadnych emocji.

– To również jest zwyczaj – powiedział. – Głos każdego Fremena może zabrzmieć na zgromadzeniu. Paul Muad'Dib jest Fremenem.

– Dobro plemienia jest najwyższym dobrem, tak? – zapytał Paul.

Z tym samym beznamiętnym dostojeństwem Stilgar rzekł:

– Tym się kierujemy.

– Dobrze – powiedział chłopak. – Kto zatem rządzi tym oddziałem naszego plemienia? I kto rządzi wszystkimi plemionami i oddziałami za pośrednictwem instruktorów walki, których nauczyliśmy magicznego sposobu?

Czekał, spoglądając ponad głowami ciżby. Nie było odpowiedzi.

– Czy Stilgar rządzi tym wszystkim? – spytał po chwili. – On mówi, że nie. Czy ja rządzę? Nawet Stilgar od czasu do czasu wykonuje moje rozkazy i mędrcy, najmądrzejsi z mądrych, wysłuchują mnie i poważają w radzie.

W tłumie panowało milczenie.

– A zatem – rzekł Paul – czy rządzi moja matka? – Wskazał stojącą w dole, pomiędzy nimi, Jessikę w czarnych obrzędowych szatach. – Stilgar i wszyscy inni przywódcy oddziałów zasięgają jej rady przy niemal każdej ważniejszej decyzji. Wiecie o tym, ale czy matka wielebna chodzi piaskiem albo wiedzie razzia przeciwko Harkonnenom?

Paul widział zmarszczone w namyśle czoła tych, których miał w zasięgu wzroku, lecz ciągle słychać było gniewne szemrania.

„Niebezpiecznie to robić w ten sposób" – pomyślała Jessika, jednak nie zapomniała o tulei pocztowej i jej znaczeniu. I przejrzała zamiary Paula: sięgnij samego dna ich niepewności, usuń ją, a reszta przyjdzie sama.

– Żaden człowiek nie uznaje przywództwa bez wyzwania i pojedynku, tak?

– Taki jest zwyczaj! – krzyknął ktoś.

– Jaki mamy cel? – zapytał Paul. – Obalić Rabbana, harkonneńską bestię, i przekształcić naszą planetę w świat, na którym będziemy mogli zakładać rodziny w szczęściu i wśród obfitości wody? Czy taki jest nasz cel?

– Trudne zadania wymagają trudnych dróg! – ktoś zawołał.

– Łamiesz swój nóż przed walką? – zapytał Paul. – Stwierdzam jako fakt, a nie przechwałkę czy wyzwanie, że nie ma tutaj człowieka, ze Stilgarem włącznie, który sprostałby mi w pojedynku. Przyznaje to sam Stilgar. On wie o tym, tak jak wszyscy.

Znowu odpowiedziały mu gniewne pomruki z tłumu.

– Wielu z was było ze mną na macie treningowej – podjął Paul. – Ci wiedzą, że nie jest to czcza przechwałka. Mówię o tym, bo to fakt znany wszystkim i byłbym głupi, nie dostrzegając tego. Wcześniej od was rozpocząłem szkolenie u nauczycieli twardszych niż ktokolwiek, z kim mieliście do czynienia. Jak myślicie, niby dlaczego pokonałem Dżamisa w wieku, w którym wasi chłopcy toczą jeszcze walki pozorowane?

„Włada Głosem bez zarzutu – myślała Jessika – ale to za mało na tych ludzi. Oni są doskonale uodpornieni na sterowanie wokalne. Musi ich wziąć również logiką”.

– A zatem – rzekł Paul – dochodzimy do tego. – Uniósł tuleję pocztową i wyjął z niej skrawek taśmy. – Odebrano ją kurierowi Harkonnenów. Jej autentyczność nie podlega dyskusji. Adresatem jest Rabban. Zawiadamiają go o tym, że jego prośba o nowe oddziały została odrzucona, że jego zbiory przyprawy są dużo poniżej kontyngentu i że musi wycisnąć z Arrakis więcej przy pomocy ludzi, których ma.

Stilgar przysunął się do Paula.

– Ilu z was wie, co to znaczy? – zapytał chłopak. – Stilgar chwycił to w lot.

– Oni są odcięci! – krzyknął ktoś.

Paul wepchnął tuleję z wiadomością za szarfę. Zdjął z szyi sznur pleciony z szigastruny i ściągnąwszy z niego pierścień, podniósł go wysoko.

– To książęcy sygnet mojego ojca – powiedział. – Ślubowałem nie założyć go dopóty, dopóki nie będę gotów poprowadzić swoich oddziałów przez całą Arrakis i wziąć ją jako swoje prawowite lenno. – Założył pierścień na palec i zacisnął pięść.

Grobowa cisza ogarnęła jaskinię.

– Kto tu rządzi? – zapytał Paul i wzniósł pięść. – Ja tu rządzę! Ja rządzę na każdym centymetrze kwadratowym Arrakis! To moje książęce lenno, bez względu na to, co mówi Imperator! Nadał je mojemu ojcu i przechodzi ono z ojca na mnie! – Wspiął się na palce i z powrotem opadł na pięty. Obserwował tłum, wczuwając się w jego nastrój. „Prawie” – pomyślał. – Są tutaj ludzie, którzy zajmą ważne stanowiska na Arrakis, kiedy zażądam należnych mi praw imperialnych – ciągnął. – Jednym z tych ludzi jest Stilgar. Nie dlatego, że chciałbym go przekupić! Ani z wdzięczności, chociaż należę do tych licznych, którzy zawdzięczają mu życie. Nie! Ale dlatego, że jest mądry i silny. Dlatego, że rządząc tym oddziałem, kieruje się własnym rozumem, a nie wyłącznie zasadami. Uważacie mnie za głupca? Myślicie, że odetnę sobie prawe ramię i zostawię je zakrwawione na podłodze tej jaskini po to tylko, żeby dostarczyć wam widowiska? – Powiódł twardym spojrzeniem po ciżbie. – Kto z obecnych tu twierdzi, że nie jestem prawowitym panem Arrakis? Czy muszę dowodzić tego, zostawiając wszystkie fremeńskie plemiona w ergu bez przywódcy?

Stilgar poruszył się obok Paula, spoglądając na niego pytająco.

– Czy mam uszczuplać nasze siły, gdy ich najbardziej potrzebujemy? – zapytał Paul. – Jestem waszym władcą i powiadam wam, że czas już skończyć z zabijaniem swoich najlepszych ludzi i zacząć zabijać naszych prawdziwych wrogów, Harkonnenów!

Jednym płynnym ruchem Stilgar wyrwał swój krysnóż z pochwy i wzniósł go ponad głowy tłumu.

– Niech żyje książę Paul Muad'Dib! – zawołał.

Ogłuszający ryk wypełnił jaskinię, odbijając się wielokrotnym echem.

– *Ja hja chouhada!* Muad'Dib! Muad'Dib! Muad'Dib! *Ja hja chouhada!* – skandowali Fremeni, wiwatując.

Jessika przetłumaczyła sobie: „Niech żyją wojownicy Muad'Diba!". Scena, którą do spółki z Paulem i Stilgarem przygotowali, została rozegrana zgodnie z planem.

Tumult powoli ucichł.

Gdy powróciła cisza, Paul obrócił się do Stilgara.

– Uklęknij, Stilgarze – powiedział.

Fremen przyklęknął na skalnej półce.

– Podaj mi swój krysnóż – rzekł Paul.

Stilgar usłuchał.

„Tego nie zaplanowaliśmy" – pomyślała Jessika.

– Powtarzaj za mną, Stilgarze – rozkazał chłopak i przywołał słowa inwestytury, które wypowiadał jego ojciec. – Ja, Stilgar, przyjmuję ten nóż z rąk mojego księcia.

– Ja, Stilgar, przyjmuję ten nóż z rąk mojego księcia – rzekł Fremen i wziął mleczne ostrze od Paula.

– Gdzie mój książę rozkaże, tam zatopię to ostrze – powiedział Paul.

Stilgar powtarzał słowa powoli i z namaszczeniem.

Wspominając, od kogo wziął się ten rytuał, Jessika zamrugała, by powstrzymać łzy, i potrząsnęła głową. „Wiem, co wywołuje te łzy – pomyślała. – Nie powinnam dać się wzruszyć”.

– Poświęcam to ostrze życiu mego księcia, a śmierci jego wrogów, dopóki w naszych żyłach płynie krew – rzekł Paul.

Stilgar powtórzył za nim.

– Ucałuj ostrze – polecił chłopak.

Stilgar wykonał rozkaz, po czym fremeńskim zwyczajem ucałował Paula w rękę posługującą się nożem. Na skinienie młodzieńca wstał i schował ostrze do pochwy.

Szept nabożnej czci obiegł tłum i Jessika usłyszała słowa:

– Wyrocznia Bene Gesserit wskaże drogę, a matka wielebna ją zobaczy.

I z większej odległości:

– Ona ją wskazuje poprzez swego syna!

– Stilgar przewodzi plemieniu – oznajmił Paul. – Niech nikt nie ma co do tego wątpliwości. Ja rozkazuję jego głosem. Jeśli on coś zarządzi, to tak, jakbym ja to zarządził.

„Mądrze – pomyślała Jessika. – Plemienny przywódca nie może stracić twarzy wśród tych, którzy mają go słuchać”.

– Stilgarze – Paul ściszył głos – chcę, by dzisiejszej nocy wyszli piechurzy piasku i by rozesłano cielago z wezwaniem na zgromadzenie rady. Gdy ich wyprawisz, weź Chatta, Korbę, Otejma oraz jeszcze dwóch poruczników według swego uznania. Sprowadź ich do mojej kwatery na naradę wojenną. Musimy mieć zwycięstwo dla Rady Przywódców, kiedy już się zjadą.

Skinął na matkę, by mu towarzyszyła, zszedł z występu i ruszył przez ciżbę w stronę głównego korytarza i kwater, które dla niego przygotowano.

Ręce wyciągnęły się do niego, gdy przeciskał się przez tłum. Dolatywały go okrzyki:

– Mój nóż pójdzie tam, gdzie każe Stilgar, Paulu Muad’Dibie! Ruszajmy w bój jak najprędzej, Paulu Muad’Dibie! Zrośmy naszą planetę harkonneńską krwią!

Wrażliwa na emocje tłumu Jessika wyczuwała, że ludzie ci palą się do walki. Nie mogli być bardziej gotowi. „Bierzemy ich u szczytu zapału” – pomyślała.

W wewnętrznej komnacie Paul dał znak matce, by usiadła.

– Zaczekaj tu – rzucił i zanurkował między kotarami w boczny korytarz.

Po wyjściu Paula w komnacie zapadła tak niezmącona cisza, że nawet szmer pomp wiatrakowych zapewniających obieg powietrza w siczy nie docierał do miejsca, gdzie siedziała Jessika.

„Zaraz sprowadzi tu Gurneya” – pomyślała. I zastanowiła się nad dziwną mieszaniną przepełniających ją emocji. Gurney i jego muzyka towarzyszyli nieodłącznie tak wielu miłym chwilom na Kaladanie, zanim przeprowadzili się na Arrakis. Miała wrażenie, że Kaladan przytrafił się zupełnie innej osobie. Od tego czasu minęły prawie trzy lata i ona stała się inną osobą. Nieuniknione spotkanie z Halleckiem zmuszało ją do przewartościowania tych zmian.

Na niskim stoliku po prawej spoczywał odziedziczony przez Paula po Dżamisie serwis do kawy ze żłobkowanego stopu srebra i jasmonu. Zapatrzyła się nań, dumając, ile rąk dotykało tego metalu. Chani używała go dopiero od miesiąca, usługując Paulowi.

„Co może zrobić dla księcia ta jego koczowniczka prócz podania mu kawy? – zadała sobie pytanie. – Nie zapewnia mu żadnej potęgi, żadnej rodziny. Paul ma tylko jedną szansę: spowinowacić się z silnym wysokim

rodem, może nawet z rodziną imperialną. Są tam ostatecznie księżniczki na wydaniu, każda z nich wyszkolona przez Bene Gesserit”.

Wyobraziła sobie ucieczkę od niewygód Arrakis do życia u władzy, życia w bezpieczeństwie, jakie dałaby jej rola matki królewskiego małżonka. Rzuciła okiem na grube draperie okrywające skałę tej podziemnej celi i wspomniała, jak tu dotarła – jadąc w gromadzie czerwi, palankinów i platform bagażowych wyładowanych pod niebo rzeczami niezbędnymi do zbliżającej się kampanii.

„Dopóki Chani żyje, Paul nie będzie zważał na swój obowiązek – pomyślała. – Ona dała mu syna i to wystarczy”.

Gwałtownie zapragnęła zobaczyć wnuka, dziecko, które miało tak wiele rysów dziadka, tak przypominało Leto.

Przyłożyła dłonie do policzków, rozpoczynając rytualne oddychanie, które uspokaja emocje i rozjaśnia umysł, następnie zaś zgięła się w pasie, wykonując skłon w religijnym ćwiczeniu sposobiącym ciało do wymogów ducha.

Wiedziała, że wybór Groty Ptaków na ośrodek dowodzenia Paula nie podlega dyskusji. Miejsce było idealne. W dodatku na północ od niej leżały Wrota Wiatru wychodzące na warowną osadę w obwałowanej urwiskami niecce. To siedlisko inżynierów i rzemieślników było kluczową osadą w całym sektorze obronnym Harkonnenów, jego głównym zapleczem produkcyjnym.

Po drugiej stronie zasłon rozległo się kaszlnięcie. Jessika wyprostowała się, zrobiła głęboki wdech i wolno wypuściła powietrze.

– Proszę – powiedziała.

Zasłony pofrunęły na boki i do komnaty wpadł Gurney Halleck. Ledwie zdążyła dostrzec jego twarz z dziwnym grymasem, a już był za jej plecami, muskularne ramię zaś zacisnęło się jej pod brodą i podniosło ją na nogi.

– Gurneyu, szaleńcze, co ty wyprawiasz? – zapytała.

Wtem poczuła nóż na plecach. Od sztychu tej klingi szła zimna świadomość. Pojęła w jednej chwili, że mężczyzna zamierza ją zabić. „Dlaczego?” Żaden powód nie przychodził jej do głowy; Halleck nie był z tych, którzy zdradzają, lecz nie miała wątpliwości co do jego intencji. Zrozumiawszy to, jej umysł pogrążył się w chaosie. Halleck nie należał również do tych, których łatwo pokonać. Był zabójcą świadomym Głosu, przygotowanym na każdy fortel, na każdą pułapkę śmierci i gwałtu. Narzędziem, które sama pomogła udoskonalić finezyjnymi wskazówkami i sugestiami.

– Myślałaś, że udało ci się umknąć, co, czarownico?! – warknął.

Nim zdołała rozgryźć to pytanie czy znaleźć jakąś odpowiedź, rozsunęły się kotary i wszedł Paul.

– Oto i on, mat… – Urwał, widząc dramatyzm sceny.

– Zostań tam, gdzie jesteś, mój panie – powiedział Gurney.

– Co…? – Paul pokręcił głową.

Jessika otworzyła usta i natychmiast poczuła, że ramię zaciska się na jej gardle.

– Ty będziesz mówić jedynie wtedy, gdy ci pozwolę, czarownico – rzekł Halleck. – Chcę, aby twój syn usłyszał od ciebie tylko jedno, a na pierwszy znak kontrataku wsadzę ci odruchowo ten nóż w serce. Twój głos pozostanie monotonny. Nie napniesz ani nie poruszysz pewnych mięśni. Zachowasz najwyższą ostrożność, by zyskać parę sekund życia więcej. A zapewniam cię, że to wszystko, co ci pozostało.

Paul zrobił krok w przód.

– Gurneyu, chłopie, co ty…?

– Stój dokładnie tam, gdzie stoisz! – rzucił Halleck. – Jeszcze krok, a ona zginie.

Dłoń Paula osunęła się na rękojeść noża.

– Lepiej się z tego wytłumacz, Gurneyu – rzekł ze śmiertelnym spokojem.

– Ślubowałem, że zabiję zdrajcę twojego ojca – powiedział mężczyzna. – Myślisz, że potrafię zapomnieć człowieka, który wyrwał mnie z niewolniczej harkonneńskiej sztolni, obdarzył wolnością, życiem i honorem… obdarzył swą przyjaźnią, którą ceniłem nade wszystko? Mam jego zdrajcę na sztychu noża. Nikt mnie nie powstrzyma przed…

– Straszliwie się mylisz, Gurneyu – oświadczył Paul.

A Jessika pomyślała: „Więc o to chodzi! Cóż za farsa!”.

– Mylę się? – zapytał Gurney. – Posłuchajmy, co ta kobieta nam powie. I niech pamięta, że nie na darmo przekupywałem, szpiclowałem i kantowałem, by potwierdzić ten zarzut. Zabawiłem się nawet w dostawcę semuty dla kapitana harkonneńskiej straży, żeby zdobyć brakujące ogniwa.

Jessika poczuła, że ramię na jej gardle zmniejsza nieco ucisk, lecz Paul ją uprzedził.

– Zdrajcą był Yueh – poinformował. – Mówię ci to ten jeden jedyny raz, Gurneyu. Dowody są absolutne, nie można ich zakwestionować. To był Yueh. Nie obchodzi mnie, jak doszedłeś do swego domniemania, bo inaczej tego nie można nazwać, ale jeśli skrzywdzisz moją matkę – wyjął krysnóż z pochwy i trzymał go przed sobą – zapłacisz mi własną krwią.

– Yueh był uwarunkowanym medykiem dopuszczonym do królewskiego rodu – warknął Gurney. – On nie mógł zdradzić.

– Znam sposób usunięcia tego warunkowania – rzekł Paul.

– Dowód – nalegał Gurney.

– Dowodu tutaj nie ma. Jest w siczy Tabr, daleko na południu, ale skoro…

– To podstęp! – warknął Halleck i jego ramię zacisnęło się na gardle Jessiki.

– Żaden podstęp, Gurneyu – powiedział Paul z takim smutkiem, że Jessice mało nie pękło serce.

– Widziałem wiadomość przechwyconą wraz z harkonneńskim agentem – oznajmił Gurney. – Pismo wskazywało wprost na…

– Ja również ją widziałem – rzekł chłopak. – Ojciec pokazał mi ją tej nocy, kiedy wyjaśnił, dlaczego to musi być harkonneński podstęp zmierzający do wzbudzenia w nim podejrzeń wobec ukochanej kobiety.

– Ach tak! – powiedział Gurney. – Ty nie…

– Cicho bądź – uciął Paul. Martwa monotonia jego słów była bardziej władcza niż jakikolwiek znany Jessice ludzki głos.

„On ma wielką moc” – pomyślała.

Ramię Gurneya na jej szyi zadrżało. Sztych noża na plecach poruszył się niepewnie.

– Jest coś, czego nie zrobiłeś – rzekł Paul. – Nie podsłuchałeś, jak moja matka łka w nocy za swym utraconym księciem. Nie zauważyłeś, jak jej oczy miotają płomienie, kiedy mówi o zabijaniu Harkonnenów.

„Więc jednak nasłuchiwał” – pomyślała Jessika. Łzy oślepiły ją.

– I nie zrobiłeś jeszcze czegoś. Nie zapamiętałeś lekcji otrzymanej w niewolniczej sztolni Harkonnenów. Mówisz o dumie płynącej z przyjaźni z moim ojcem! Nie poznałeś różnicy między Harkonnenami a Atrydami na tyle, by zwęszyć harkonneński podstęp po smrodzie, jaki po sobie zostawił? Nie nauczyłeś się, że Atrydzi płacą za wierność miłością, podczas gdy harkonneńską monetą jest nienawiść? Nie potrafiłeś rozpoznać istoty tej zdrady?

– Ale Yueh? – mruknął Gurney.

– Nasz dowód to własnoręczny list Yuego, w którym przyznaje nam się do zdrady – powiedział Paul. – Przysięgam ci to na miłość, jaką do ciebie żywię, na miłość, jaką będę żywił nawet wtedy, kiedy zostawię cię martwego na tej podłodze.

Słuchając syna, Jessika zdumiała się jego świadomością, jego przenikliwą intuicją.

– Ojciec mój potrafił rozpoznać przyjaciół – rzekł chłopak. – Obdarzał miłością z umiarem, lecz nigdy się nie mylił. Jego słabość polegała na tym, że nie rozumiał nienawiści. Myślał, że żaden z tych, którzy nienawidzą Harkonnenów, nie może go zdradzić. – Spojrzał na matkę. – Ona o tym wie. Przekazałem jej słowa ojca, że nigdy jej nie podejrzewał.

Jessika poczuła, że traci panowanie nad sobą, i zagryzła dolną wargę. Widząc, jak usztywniony jest Paul, zdała sobie sprawę, ile kosztowały go te słowa. Chciała do niego podbiec, przytulić jego głowę do piersi, czego nigdy nie robiła, lecz drżenie ramienia na jej gardle ustało, a sztych noża wciskał się zdecydowanie w jej plecy.

– Jednym z najstraszliwszych momentów w życiu chłopca – powiedział Paul – jest ten, w którym odkrywa, że ojciec i matka są ludźmi złączonymi miłością, jakiej on nigdy w pełni nie zasmakuje. Jest to poczucie straty, otwarcie oczu na fakt, że świat dzieli się na „tam” i „tutaj” i że jesteśmy w nim samotni. Moment ten zawiera własną prawdę, przed którą nie można umknąć. Ja słyszałem, jak ojciec mówił o matce. Ona nie jest zdrajcą, Gurneyu.

Jessika odzyskała głos.

– Puść mnie, Gurneyu – powiedziała.

W słowach tych nie było żadnej szczególnej komendy, żadnej sztuczki obliczonej na wygranie jego słabości, a mimo to Halleckowi opadły ręce. Jessika podeszła do Paula i stanęła przed nim, ale nie dotknęła go.

– Paulu – powiedziała – istnieją w tym wszechświecie również inne momenty otwarcia oczu. Nagle zobaczyłam, jak cię wykorzystywałam, jak tobą kierowałam i manipulowałam, ustawiając cię na wybranej przeze mnie drodze… na drodze, którą musiałam wybrać – o ile to może być jakieś usprawiedliwienie – z powodu mojego szkolenia. – Przełknęła dławiącą grudę w gardle, spoglądając synowi w oczy. – Paulu… chcę, abyś coś dla mnie zrobił. Wybierz drogę szczęścia. Z twoją pustynną kobietą… Ożeń się z nią, jeśli tego pragniesz. Zrób to wbrew wszystkim i wszystkiemu, ale wybierz własną drogę. Ja… – Urwała powstrzymana cichym mamrotaniem za plecami.

„Gurney!”

Zobaczyła oczy syna utkwione gdzieś poza nią i się odwróciła.

Gurney stał w tym samym miejscu, ale nóż schował do pochwy, i ściągnąwszy z piersi dżubbę, odsłonił śliską szarość przydziałowego filtraka z rodzaju tych, jakie przemytnicy nabywali po siczowych kryjówkach.

– Pchnij nożem tę pierś – wymamrotał. – Zabij mnie, mówię, i niech to się skończy. Zbrukałem swoje imię. Zdradziłem swojego księcia! Najlepszego…

– Uspokój się! – rzucił Paul.

Halleck przeszył go wzrokiem.

– Zapnij ten płaszcz i przestań robić z siebie durnia – dodał chłopak. – Wystarczy mi błazeństw jak na jeden dzień.

– Zabij mnie, mówię! – wybuchnął Gurney.

– Chyba nie sądzisz, że jestem tak głupi? – powiedział Paul. – Za jakiego idiotę mnie bierzesz? Czy muszę przez to przechodzić z każdym potrzebnym mi człowiekiem?

Gurney popatrzył na Jessikę i przemówił pełnym żałości, błagalnym, tak niepodobnym do niego tonem:

– Ty zatem, moja pani, proszę… ty mnie zabij.

Jessika podeszła do niego i położyła mu ręce na ramionach.

– Gurneyu, dlaczego się upierasz, by Atrydzi zabijali tych, których kochają? – Delikatnie wyjęła mu dżubbę z palców i zapięła na piersi.

Zacinając się, Halleck powiedział:

– Ale… ja…

– Myślałeś, że robisz coś dla Leto – stwierdziła – i za to chylę przed tobą czoło.

– Pani – rzekł Gurney, po czym spuścił brodę na piersi, zaciskając mocno powieki, by zatrzymać łzy.

– Uznajmy to za nieporozumienie między starymi przyjaciółmi – powiedziała Jessika i Paul uchwycił w jej głosie pojednawczą, kojącą nutę. – Było, minęło i możemy się cieszyć, że nie będzie już więcej między nami takich nieporozumień.

Gurney otworzył lśniące od łez oczy i spojrzał na nią.

– Gurney Halleck, jakiego znałam, był mężczyzną i do noża, i do balisety – powiedziała Jessika. – Najbardziej zachwycał mnie ten drugi. Czy ów Gurney Halleck nie pamięta, jak nieraz z upodobaniem słuchałam godzinami, kiedy dla mnie grał? Nadal masz balisetę, Gurneyu?

– Mam nową – odparł Halleck. – Sprowadzoną z Chusuka, cudowny instrument. Brzmi jak prawdziwy Varota, chociaż nie jest sygnowana. Myślę, że zrobił ją jakiś uczeń Varoty, który… – Zamilkł. – Cóż ja ci mogę powiedzieć, moja pani? Paplamy tutaj, a…

– Nie paplamy, Gurneyu – rzekł Paul. Zbliżył się i stanął obok matki, oko w oko z Halleckiem. – To nie paplanina, tylko coś, co przynosi szczęście

przyjaciołom. Uznałbym to za uprzejmość, gdybyś zagrał teraz coś dla niej. Narada wojenna może trochę poczekać. I tak do jutra nie ruszymy do boju.

– Ja… ja pójdę po balisetę – powiedział Gurney. – Jest w korytarzu. – Przemaszerował obok nich i zniknął za kotarami.

Paul położył dłoń na ramieniu Jessiki i stwierdził, że cała drży.

– Już po wszystkim, matko – rzekł.

Nie odwracając głowy, spojrzała na niego kątem oka.

– Po wszystkim?

– Oczywiście. Gurney jest…

– Gurney? Och… oczywiście. – Spuściła oczy.

Zasłony zaszeleściły i powrócił Gurney z balisetą. Unikając ich spojrzeń, zabrał się do strojenia. Draperie na ścianach tłumiły echa, nadając instrumentowi ciche, intymne brzmienie.

Paul powiódł matkę ku poduszkom i posadził ją opartą plecami o gruby kobierzec na ścianie. Nagle uderzyło go, że tak staro wygląda, dostrzegł początki zmarszczek na wysuszonej przez pustynię cerze, zwiotczałą skórę w kącikach zasnutych błękitem oczu. „Jest zmęczona – pomyślał. – Musimy znaleźć jakiś sposób, by ją odciążyć”.

Gurney wydobył akord.

Paul spojrzał na niego.

– Muszę… załatwić pilne sprawy – rzekł. – Zaczekaj tu na mnie.

Halleck kiwnął głową. Wydawało się, że błądzi myślami hen, daleko, jakby w tym momencie przebywał pod otwartym niebem Kaladanu, z barankami chmur na horyzoncie zwiastującymi deszcz.

Paul z trudem wymknął się między ciężkimi kotarami do bocznego korytarza. Usłyszał, że Gurney zaczął grać, i przystanął na chwilę, słuchając przytłumionej pieśni.

Winnice, gaje,
Rajskie dziewoje,
I szklanica przede mną się kiwa.
Dlaczego o bojach baję
I górach startych na pył?
Dlaczego czuję łzy?

Nastaje niebo i wszystko daje,
Wystarczy wyciągnąć dłonie.
Dlaczego zasadzki się boję
I jadu w trawionym szkle?
Dlaczego czuję swe dni?

Miłość wabi w nagie ramiona
Na chwile upojnej rozkoszy.
Dlaczego wspominam blizny
I smak przelanej krwi?
Dlaczego straszą mnie sny?

Zawinięty w dżubbę kurier fedajkiński wyłonił się zza zakrętu w głębi korytarza. Mężczyzna miał odrzucony na plecy kaptur, a zapięcia filtraka wisiały mu luźno wokół szyi, dowodząc, że przybywa prosto z pustyni.

Paul powstrzymał go gestem, opuścił zasłony u wyjścia z komnaty i ruszył ku niemu.

Fremen pokłonił się, składając ręce przed sobą tak, jakby witał matkę wielebną lub sajjadinę, strażniczkę rytuału.

– Muad’Dibie, przywódcy schodzą się na radę – powiedział.

– Tak szybko?

– To ci, po których Stilgar posłał wcześniej, kiedy sądzono, że… – Wzruszył ramionami.

– Rozumiem.

Paul spojrzał tam, skąd dobiegał cichy dźwięk balisety, myśląc o ukochanej przez matkę starej pieśni, dziwnie rozdartej za sprawą wesołości melodii i smutku słów.

– Wkrótce przybędzie Stilgar z innymi. Zaprowadź ich do mojej matki.

– Zaczekam tutaj, Muad’Dibie – rzekł kurier.

– Tak… tak, zaczekaj tutaj.

Paul przecisnął się obok kuriera, podążając w głąb jaskini, ku miejscu istniejącemu w każdej takiej grocie, w pobliżu jej zbiornika wodnego. W miejscu tym będzie mały szej-hulud, stworzenie nie dłuższe niż dziewięć metrów, utrzymywane w stanie karłowatości i więzione wśród rowów pełnych wody. Stworzyciel, po wyłonieniu się ze swej przejściowej formy maleńkiego stworzyciela, unika trucizny, jaką jest dlań woda. A topienie stworzyciela było największym fremeńskim sekretem, gdyż w ten sposób otrzymywano substancję ich komunii – Wodę Życia, truciznę, którą tylko matka wielebna mogła przemienić.

Tę decyzję podjął Paul pod wpływem napięcia wywołanego niebezpieczeństwem, w jakim znalazła się matka. Żadna z linii przyszłości, jakie kiedykolwiek widział, nie zawierała tego momentu zagrożenia ze strony Gurneya Hallecka. Przyszłość – przesłonięta szarymi chmurami przyszłość – wraz z owym wrażeniem, że cały wszechświat zmierza do punktu wrzenia, unosiła się wokół niego niczym widmowy świat.

„Muszę to zobaczyć” – pomyślał.

Jego organizm z wolna przyzwyczaił się do przyprawy, wskutek czego prorocze wizje były coraz rzadsze… coraz mętniejsze. Rozwiązanie wydawało mu się oczywiste. „Utopię stworzyciela. Teraz się przekonamy,

czy jestem Kwisatz Haderach, ten, który może przeżyć próbę, jaką przeżywają matki wielebne”.

I stało się w roku trzecim Wojny Pustynnej, że Paul Muad’Dib leżał pod draperiami kiswa środkowej komory w Grocie Ptaków. I leżał, jako leży nieżywy, zatonąwszy w objawieniu Wody Życia, swoim jestestwem wyniesiony przez życiodajną truciznę poza granice czasu. I tak stało się ciałem słowo, że Lisan al-Gaib może być martwy i żywy zarazem.

– z *Legend zebranych Arrakis* w opracowaniu księżnej Irulany

W mroku przedświtu Chani wydostała się na górę z basenu Habbanja, nasłuchując furkotu ornitoptera, który przywiózł ją z południa, a teraz odlatywał ku jakiejś kryjówce. Wokół niej rozsypała się po skałach wypatrująca niebezpieczeństw eskorta, trzymając się na dystans, aby zapewnić kobiecie Muad’Diba, matce jego pierworodnego, to, o co poprosiła – chwilę samotnej przechadzki.

„Dlaczego mnie wezwał? – głowiła się. – Przedtem powiedział mi, że muszę zostać na południu z maleńkim Leto i Alią”.

Podkasała dżubbę i przez zagradzający jej drogę kamień skoczyła lekko na stromą ścieżkę, którą jedynie pustynne szkolenie pozwalało dojrzeć w ciemnościach. Pląsała na wyślizgujących się spod stóp kamykach, nieświadoma swojej zwinności.

Od wspinaczki robiło się raźniej na duszy, uśmierzała ona obawy, które zrodziły się w niej pod wpływem milczącego odejścia eskorty i faktu, że wysłano po nią cenny ornitopter. Serce skakało jej w piersi na myśl o bliskim połączeniu z Paulem Muad’Dibem, jej Usulem. Jego imię mogło rozbrzmiewać jako bojowy okrzyk w całym kraju – „Muad’Dib! Muad’Dib! Muad’Dib!” – lecz ona znała innego mężczyznę, o innym imieniu: ojca jej syna i czułego kochanka.

Spośród skał ponad nią wychynęła olbrzymia postać, nagląc do pośpiechu. Przyspieszyła kroku. Poranne ptaki nawoływały się, wzlatując już w niebo. Mglista poświata narosła na wschodnim horyzoncie.

Postać na górze nie należała do jej eskorty. „Otejm?” – zastanowiła się, widząc coś znajomego w ruchach i postawie. Wdrapawszy się do niego, rozpoznała w brzasku szeroką, płaską twarz porucznika fedajkinów. Miał odrzucony kaptur i luźno zamocowany filtr, jak to czasami robiono, wybierając się na pustynię tylko na chwilę.

– Szybciej – syknął i powiódł ją w dół sekretną szczeliną do ukrytej groty. – Wkrótce zrobi się widno – szepnął, przytrzymując jej uchyloną gródź. – Harkonnenowie desperacko patrolują tę część regionu. Nie możemy teraz ryzykować, że nas odkryją.

Znaleźli się w wąskim tunelu bocznego wejścia do Groty Ptaków. Zapłonęły lumisfery. Otejm przecisnął się przed nią.

– Chodź za mną – powiedział. – No, pospiesz się.

Przemknęli przez korytarz, następną gródź, jeszcze jeden korytarz i kotary do dawnej alkowy sajjadiny z czasów, kiedy była tu jaskinia dziennego wypoczynku. Obecnie na podłodze leżały dywany i poduszki. Haftowane makaty z wizerunkiem czerwonego jastrzębia zakrywały skalne ściany. Niski polowy stół po jednej stronie zasłany był papierami, od których biła woń ich przyprawowego surowca.

Matka wielebna siedziała samotnie na wprost wejścia. Podniosła niewidzące, zwrócone w głąb siebie oczy, na widok których dygotali nowicjusze.

Otejm złożył dłonie.

– Przyprowadziłem Chani – powiedział i ukłoniwszy się, wyszedł.

Jessika zaś pomyślała: „Jak powiedzieć to Chani?”.

– Jak się miewa mój wnuk? – zapytała.

„Zatem najpierw zwyczajowe powitanie – pomyślała Chani i jej obawy wróciły. – Gdzie jest Muad’Dib? Dlaczego nie przyszedł tutaj, żeby mnie powitać?”

– Jest zdrów i wesół, matko – powiedziała. – Zostawiłam jego i Alię pod opieką Hary.

„Matko – pomyślała Jessika. – Tak, ma prawo tak mnie nazywać przy oficjalnym powitaniu. Dała mi wnuka”.

– Słyszałam, że sicz Koanua przysłała w darze tkaninę – rzekła.

– Tkanina jest śliczna – oznajmiła Chani.

– Czy Alia przesyła jakąś wiadomość?

– Żadnej, ale sicz żyje spokojniej, odkąd ludzie zaczęli akceptować cud jej odmienności. – „Po co ona tak to przewleka? – głowiła się Chani. – Było coś tak naglącego, że wysłali po mnie ornitopter, a teraz bawimy się w konwenanse”.

– Z części tej nowej tkaniny trzeba będzie zrobić ubranko dla małego Leto – powiedziała Jessika.

– Cokolwiek sobie życzysz, matko – odparła Chani. Spuściła wzrok. – Są jakieś wieści z pola walki?

Jej twarz pozostała bez wyrazu, żeby nie zdradzić Jessice, że pyta o Paula Muad’Diba.

– Kolejne zwycięstwa – powiedziała Jessika. – Rabban ostrożnie próbował rozpocząć rokowania w sprawie zawieszenia broni. Jego emisariuszy odesłano bez ich wody. Rabban nawet złagodził ciężary w niektórych osadach basenu, ale się spóźnił. Ludzie wiedzą, że robi to ze strachu przed nami.

– Zatem wszystko idzie tak, jak powiedział Muad’Dib – rzekła Chani. Spojrzała na Jessikę, starając się zachować swoje obawy dla siebie. „Wymówiłam jego imię, a ona nie zareagowała. Na tym wygładzonym

kamieniu, który zwie twarzą, nie zobaczysz żadnych emocji, ale… ta twarz zbytnio zastygła. Dlaczego jest aż tak skamieniała? Co się stało mojemu Usulowi?”

– Szkoda, że nie jesteśmy na południu – powiedziała Jessika. – Oazy wyglądały tak pięknie, gdy wyjeżdżaliśmy. Nie tęsknisz do dnia, kiedy być może cała ziemia tak rozkwitnie?

– Ziemia jest piękna, to prawda – przytaknęła Chani. – Ale wiele na niej bólu.

– Ból to cena zwycięstwa – stwierdziła Jessika.

„Czy ona przygotowuje mnie na ból?” – zadała sobie pytanie Chani.

– Tak wiele kobiet żyje bez mężczyzn – powiedziała. – Zazdroszczono mi, gdy się rozniosło, że zostałam wezwana na północ.

– Ja cię wezwałam – oświadczyła Jessika.

Chani czuła, jak łomocze jej serce. Chciała zatkać sobie uszy dłońmi, obawiając się tego, co może usłyszeć. Mimo to jej głos był opanowany.

– Wiadomość podpisał Muad’Dib.

– Ja ją tak podpisałam w obecności jego poruczników – oświadczyła Jessika. – Ten wybieg był konieczny. – „Dzielna jest kobieta mojego Paula – pomyślała. – Przestrzega konwenansów nawet wtedy, gdy strach omal jej nie poraża. Tak. Ona może być osobą, jakiej teraz potrzebujemy”.

Ledwo uchwytna nuta rezygnacji przeniknęła do tonu Chani, gdy rzekła:

– Teraz możesz powiedzieć to, co musi być powiedziane.

– Jesteś tu potrzebna, by pomóc mi ocucić Paula – poinformowała Jessika. „No! – myślała. – Powiedziałam to dokładnie tak, jak należało. Ocucić. Chani wie, że Paul żyje, i wie, że istnieje zagrożenie. Wszystko w jednym słowie”.

Wystarczył moment, by Chani się uspokoiła.

– Co takiego mogę zrobić? – spytała.

Miała ochotę skoczyć na Jessikę, potrząsnąć nią i zawołać: „Prowadź mnie do niego!”, ale czekała w milczeniu na odpowiedź.

– Podejrzewam – powiedziała Jessika – że Harkonnenom udało się podesłać nam agenta, który otruł Paula. To jedyne wyjaśnienie, jakie przychodzi mi do głowy. Najprzedziwniejsza to trucizna. Zbadałam jego krew najbardziej wyszukanymi metodami i nic nie wykryłam.

Chani rzuciła się na kolana.

– Trucizna! Czy on cierpi? Mogłabym…?

– Jest nieprzytomny – oznajmiła Jessika. – Procesy życiowe są tak słabe, że można je stwierdzić jedynie po najbardziej drobiazgowych analizach. Drżę na myśl o tym, co by się stało, gdybym to nie ja go znalazła. Dla niedoświadczonego oka wygląda na zmarłego.

– Masz inne powody poza kurtuazją, by mnie wezwać – stwierdziła Chani. – Znam cię, matko wielebna. Co takiego według ciebie mogę zrobić, czego ty nie możesz?

„Jest dzielna, śliczna i… ach, jakże bystra – pomyślała Jessika. – Byłaby z niej wspaniała Bene Gesserit”.

– Chani – rzekła – może trudno ci będzie w to uwierzyć, ale ja właściwie nie wiem, dlaczego po ciebie posłałam. To był instynkt… pierwotna intuicja. Myśl przyszła nieproszona: „Poślij po Chani”.

Pierwszy raz Chani dostrzegła smutek na twarzy Jessiki, nagi ból, który łagodził jej skierowane w głąb siebie spojrzenie.

– Zrobiłam wszystko, co w mojej mocy – powiedziała Jessika. – Owo „wszystko”… tak dalece przekracza to, co się zwykle uważa za wszystko, że trudno by ci było to sobie wyobrazić. A mimo to… przegrałam.

– Ten dawny towarzysz, Halleck – odezwała się Chani. – Czy jest możliwe, by okazał się zdrajcą?

– Nie Gurney – powiedziała Jessika.

Te dwa słowa wystarczyły za całą dyskusję. Chani wyobraziła sobie dociekliwość, sprawdziany… wspomnienia dawnych pomyłek, które złożyły się na to kategoryczne zaprzeczenie. Zakołysała się do tyłu, poderwała na nogi i obciągnęła dżubbę barwy pustyni.

– Zaprowadź mnie do niego – zażądała.

Jessika podniosła się i zniknęła za kotarami na ścianie po lewej.

Podążająca za nią Chani znalazła się w byłym magazynie, którego skalne mury ukryto teraz pod grubymi draperiami. Paul leżał na posłaniu polowym pod przeciwległą ścianą. Samotna lumisfera oświetlała jego twarz. Czarna szata okrywała go po pierś, wyciągnięte wzdłuż boków ręce były gołe. Cały wydawał się goły pod ową szatą. Zobaczyła jego woskową, sztywną skórę. I ani śladu jakiegokolwiek ruchu.

Opanowała chęć, by rzucić się ku niemu, nakryć go swoim ciałem. Przyłapała się natomiast na tym, że jej myśli biegną do syna: Leto. I zrozumiała w owej chwili, że Jessika przeżyła kiedyś podobny moment – śmierć zajrzała w oczy ukochanemu, każąc jej myśleć o sposobach ocalenia nieletniego syna. Pojąwszy to, poczuła niespodziewaną więź ze starszą kobietą. Wyciągnęła rękę i ścisnęła dłoń Jessiki. Uścisk, którym ta jej odpowiedziała, był wręcz bolesny.

– On żyje – oświadczyła Jessika. – Zapewniam cię, że żyje, lecz nić jego życia jest tak cienka, że niełatwo ją odnaleźć. Już teraz niektórzy przywódcy szemrzą, że przemawia przeze mnie matka, a nie matka wielebna, że mój syn jest martwy, a ja nie chcę oddać jego wody plemieniu.

– Jak długo on jest w tym stanie? – zapytała Chani. Uwolniła swoją dłoń z dłoni Jessiki i posunęła się w głąb komory.

– Trzy tygodnie – odparła Jessika. – Prawie tydzień straciłam, próbując go ocucić. Były spotkania, spory… dochodzenia. Po czym posłałam po ciebie. Fedajkini wykonują moje rozkazy, inaczej nie byłabym w stanie

opóźnić… – Zwilżyła językiem wargi, patrząc, jak Chani zbliża się do Paula.

Stała nad nim, spoglądając na delikatny młodzieńczy zarost okalający mu twarz, wiodąc oczami wzdłuż wysokiego czoła, wydatnego nosa, zaciśniętych powiek – rysów jakże spokojnych w tym sztywnym uśpieniu.

– Jak on przyjmuje pożywienie? – spytała.

– Potrzeby jego ciała są tak znikome, że jeszcze nie musi otrzymywać jedzenia – powiedziała Jessika.

– Ilu wie o tym, co się stało?

– Tylko jego najbliżsi adiutanci, paru przywódców, fedajkini, no i oczywiście ktoś, kto podał mu truciznę.

– Nie ma poszlak co do truciciela?

– Ale nie z powodu zaniedbań w dochodzeniu – odparła Jessika.

– Co mówią fedajkini? – zapytała Chani.

– Wierzą, że Paul znajduje się w świętym transie, że zbiera swoje święte moce przed ostatecznym bojem. Podtrzymywałam ich w tej wierze.

Chani osunęła się na kolana przy posłaniu i pochyliła nisko nad Paulem. Wyczuła raptowną zmianę w powietrzu wokół jego twarzy… ale to była po prostu przyprawa, wszechobecna woń przyprawy przenikająca wszystko w życiu Fremena. A jednak…

– W przeciwieństwie do nas nie jesteście od urodzenia przyzwyczajeni do przyprawy – powiedziała. – Rozpatrzyłaś możliwość, że jego organizm zbuntował się przeciwko zbyt wielkiej ilości przyprawy w pożywieniu?

– Wszystkie odczyny alergiczne są negatywne – oznajmiła Jessika. Przymknęła oczy tyleż dla uniknięcia tego widoku, co dlatego, że nagle uświadomiła sobie swoje zmęczenie. „Jak długo nie spałam? – pomyślała. – Zbyt długo”.

– Kiedy przemieniasz Wodę Życia – powiedziała Chani – dokonujesz tego w sobie za pomocą wewnętrznej świadomości. Wykorzystałaś tę świadomość do zbadania jego krwi?

– To normalna fremeńska krew – powiedziała Jessika. – Całkowicie przystosowana do tutejszego życia i diety.

Chani przysiadła na piętach i patrząc na twarz Paula, topiła obawy w namyśle. Była to sztuczka, której nauczyła się, obserwując matki wielebne. Czas można zaprząc w służbę umysłu. Wtedy koncentrujesz się całkowicie.

– Czy jest tu stworzyciel? – zapytała po chwili.

– Jest ich kilka – rzekła Jessika z odcieniem znużenia. – Ostatnio nie możemy się bez nich obejść. Każde zwycięstwo wymaga błogosławieństwa. Każda ceremonia przed wypadem…

– Ale Paul Muad’Dib trzymał się z dala od tych ceremonii – stwierdziła Chani.

Jessika pokiwała głową, pamiętając ambiwalentny stosunek syna do narkotyku przyprawowego i świadomości rzeczy przyszłych, jaką rozbudzał.

– Skąd wiesz? – zapytała.

– Mówi się o tym.

– Za dużo się mówi – powiedziała z goryczą Jessika.

– Przynieś mi surową wodę stworzyciela – zażądała Chani.

Jessika zesztywniała, usłyszawszy jej rozkazujący ton, ale widząc ogromne skupienie młodszej kobiety, rzekła:

– W tej chwili. – Zniknęła za kotarami, by wyprawić wodmistrza.

Chani siedziała, nie spuszczając oczu z Paula. „Jeśli on spróbował to zrobić… – myślała. – A jest to coś, czego mógłby spróbować…”

Jessika przyklękła obok Chani, trzymając zwykły obozowy dzbanek. Ostry zapach trucizny podrażnił powonienie dziewczyny. Zanurzyła palec w cieczy i podsunęła go Paulowi pod nos.

Skóra na grzbiecie nosa zmarszczyła się lekko. Nozdrza rozdęły się powoli.

Jessice wyrwało się westchnienie.

Chani przytknęła wilgotny palec do górnej wargi chłopaka.

Paul odetchnął głęboko, jakby ze szlochem.

– Co to jest? – zapytała Jessika.

– Bądź cicho – rzuciła Chani. – Musisz przemienić odrobinę świętej wody. Szybko!

O nic nie pytając, ponieważ rozpoznała pełen świadomości ton Chani, Jessika podniosła dzbanek do ust i pociągnęła niewielki łyk.

Oczy Paula rozwarły się szeroko. Spojrzał na Chani.

– Ona nie musi przemieniać Wody – powiedział. Głos miał słaby, ale pewny.

Z łykiem płynu na języku Jessika poczuła, jak jej ciało mobilizuje się i niemal automatycznie przeistacza truciznę. Podobnie jak w trakcie ceremonii, udzieliło jej się duchowe uniesienie i wyczuła bijący od Paula żar życia, promieniowanie odbierane przez jej zmysły. W tym momencie zrozumiała.

– Wypiłeś świętą wodę! – wyrwało się jej.

– Jedną kroplę – rzekł Paul. – Taką maleńką… jedną kropelkę.

– Jak mogłeś zrobić takie głupstwo?

– Jest twoim synem – powiedziała Chani.

Jessika rzuciła jej piorunujące spojrzenie.

Na ustach Paula zagościł rzadki u niego, ciepły i pełen zrozumienia uśmiech.

– Posłuchaj mojej ukochanej – powiedział. – Posłuchaj jej, matko. Ona rozumie.

– Coś, co inni mogą zrobić, on zrobić musi – rzekła Chani.

– Kiedy miałem tę kropelkę w ustach, kiedy poczułem jej smak i woń, kiedy pojąłem, co ona ze mną robi, zrozumiałem, że mogę zrobić to co ty – oświadczył. – Wasze cenzorki Bene Gesserit gadają o Kwisatz Haderach, lecz nie potrafią sobie nawet wyobrazić wielości miejsc, w których byłem! W parę minut… – Urwał i spojrzał z zaintrygowaną miną na Chani. – Chani? A ty skąd się tu wzięłaś? Miałaś być… Dlaczego tu jesteś?

Próbował się unieść na łokciach. Chani powstrzymała go delikatnie.

– Proszę cię, Usulu – powiedziała.

– Czuję się tak słaby – rzekł. Omiótł wzrokiem całe pomieszczenie. – Jak długo tu jestem?

– Byłeś trzy tygodnie w tak głębokiej śpiączce, że wydawało się, iż uleciała z ciebie iskierka życia – odparła Jessika.

– Ależ to było… Ja ją dopiero co przełknąłem… Przed chwilą i…

– Dla ciebie chwila, dla mnie trzy tygodnie trwogi – powiedziała Jessika.

– To była wprawdzie jedna kropla, ale ją przeistoczyłem – rzekł Paul. – Przemieniłem Wodę Życia. – I zanim Chani oraz Jessika zdążyły go powstrzymać, zanurzył dłoń w postawionym przez nie na podłodze dzbanku, przyłożył ociekającą do ust i wypił płyn.

– Paulu! – wrzasnęła Jessika.

Złapał ją za rękę, zwracając ku niej twarz z uśmiechem trupiej czaszki i śląc przez nią falę swej świadomości. Kontakt nie był tak łagodny jak w przypadku Alii i starej matki wielebnej, nie tak wzajemny, nie tak wszechogarniający jak wtedy, w jaskini, ale był to kontakt: współodczuwanie obu jaźni. Wstrząśnięta i osłabiona, ze strachu przed nim cofnęła się w głąb swej świadomości.

– Mówicie o miejscu, które jest dla was zamknięte. O miejscu, któremu matka wielebna nie potrafi stawić czoła. Pokaż mi to miejsce – powiedział Paul.

Pokręciła głową, przerażona samą myślą o tym.

– Pokaż mi je! – nakazał.

– Nie!

Jednak nie mogła mu umknąć. Ogłuszona jego straszliwą mocą, zamknęła oczy i spojrzała w głąb siebie – w kierunku, który jest ciemnością.

Świadomość Paula popłynęła wokół niej i przez nią, a potem w ciemność. Zamajaczyło jej mgliście owo miejsce, nim jej umysł zamknął się przed tą grozą. Całe jej jestestwo, nie wiedząc dlaczego, zadygotało, ujrzawszy to, co ukazało się jej oczom – region, w którym wiatr wieje i jarzą się iskry, w którym pierścienie światła rozszerzają się i kurczą, w którym szeregi napęczniałych białych kształtów płyną ponad i pod, i wokół świateł, niesione ciemnością i wichrem znikąd.

Po chwili otworzyła oczy i zobaczyła, że Paul jej się przygląda. Nadal trzymał ją za rękę, lecz straszliwy kontakt zanikł. Opanowała drżenie. Paul uwolnił jej rękę. Zatoczyła się do tyłu, jakby zabrano jej kule, i upadłaby, gdyby Chani nie skoczyła jej podtrzymać.

– Matko wielebna! – krzyknęła Fremenka. – Co ci jest?

– Jestem zmęczona – wyszeptała Jessika. – Jakże… zmęczona.

– Tutaj – powiedziała Chani. – Usiądź tutaj. – Usadziła Jessikę na poduszce pod ścianą.

W silnych, młodych ramionach Jessice było dobrze. Przylgnęła do dziewczyny.

– On naprawdę widział Wodę Życia? – spytała Chani, uwalniając się z jej objęć.

– Widział – szepnęła Jessika.

W głowie ciągle jeszcze wirowało jej i kręciło się pod wpływem tego kontaktu. Czuła się tak, jakby po tygodniach spędzonych na wzburzonym morzu zeszła na ląd. Wyczuwała w sobie starą matkę wielebną… i wszystkie pozostałe, rozbudzone i pytające:

– *Co to było? Co się stało? Gdzie jest to miejsce?*

Przez to wszystko zaś przewijała się myśl, że jej syn to Kwisatz Haderach, ten, który jest w wielu miejscach naraz. Że jest ucieleśnieniem snu Bene Gesserit. I to ucieleśnienie nie dawało jej spokoju.

– Co się stało? – zapytała Chani.

Jessika tylko pokręciła głową.

– W każdym z nas jest pradawna moc, która daje, i pradawna moc, która bierze – rzekł Paul. – Mężczyźnie nie przysparza większych problemów spotkanie z miejscem w jego jaźni, gdzie przebywa moc biorąca, lecz jest prawie niemożliwe, aby zajrzał w głąb mocy dającej i pozostał mężczyzną. U kobiety jest odwrotnie.

Jessika podniosła oczy i zauważyła, że Chani patrzy na nią, słuchając Paula.

– Rozumiesz mnie, matko? – zapytał chłopak.

Zdołała jedynie skinąć głową.

– Te siły w nas są tak odwieczne – ciągnął Paul – że tkwią w każdej komórce ciała. Jesteśmy ukształtowani przez te moce. Można sobie powiedzieć: „Tak, rozumiem, jak taka siła może wyglądać”, ale kiedy zajrzysz w głąb siebie i staniesz przed surową, obnażoną mocą swego życia, widzisz zagrażające ci niebezpieczeństwo. Widzisz, że ona może cię pokonać. Największym niebezpieczeństwem dla dawcy jest moc, która bierze. Największe niebezpieczeństwo dla biorcy to moc, która daje. Równie łatwo można ulec dawaniu jak braniu.

– A ty, mój synu – zapytała Jessika – jesteś tym, który daje, czy tym, który bierze?

– Jestem w punkcie zawieszenia – odparł. – Nie mogę dać, nie biorąc, i wziąć, nie… – Zamilkł, wpatrując się w ścianę po prawej stronie.

Chani poczuła powiew na policzku i odwróciwszy się, zobaczyła zsuwające się kotary.

– To był Otejm – powiedział Paul. – Przysłuchiwał się.

Chłonącej jego słowa Chani udzieliło się nieco z jasnowidzenia, które nawiedzało Paula, i ujrzała coś, co ma dopiero być, jakby to się już wydarzyło. Otejm opowie o tym, co widział i słyszał. Inni rozniosą opowieść, aż cały kraj stanie w ogniu. Paul Muad’Dib nie jest taki jak inni mężczyźni, będą mówić. Nie może już być żadnych wątpliwości. Jest mężczyzną, a jednak dosięga spojrzeniem Wody Życia, jak matka wielebna. Jest rzeczywiście Lisanem al-Gaibem.

– Widziałeś przyszłość, Paulu – odezwała się Jessika. – Opowiesz, co zobaczyłeś?

– Nie przyszłość – rzekł. – Widziałem „teraz”. – Usiadł z trudem, machnięciem ręki odsuwając Chani, kiedy zbliżyła się, aby mu pomóc. – Przestrzeń nad Arrakis pełna jest statków Gildii.

Jessika zadrżała, usłyszawszy pewność w jego głosie.

– Jest tam sam Padyszach Imperator – oznajmił Paul. Spojrzał na skalny sufit celi. – Ze swą ulubioną prawdomówczynią i pięcioma legionami sardaukarów. Jest tam też stary baron Vladimir Harkonnen z Thufirem Hawatem u boku i siedmioma statkami, które załadował wojskiem po ostatniego rekruta, jakiego mógł powołać. Rajdery wszystkich wysokich rodów są nad nami… i czekają.

Chani potrząsnęła głową, nie mogąc oderwać oczu od Paula. Jego obcość, bezbarwny ton, spojrzenie, które przeszywało ją na wylot,

napełniały ją grozą.

Jessika spróbowała przełknąć ślinę, ale miała sucho w gardle.

– Na co oni czekają? – zapytała.

Paul spojrzał na nią.

– Na zezwolenie Gildii. Gildia pozostawi na Arrakis każde wojsko, które wyląduje bez zezwolenia.

– Gildia nas osłania? – spytała Jessika.

– Osłania?! Gildia sama doprowadziła do tego, rozpowiadając o tym, co tutaj robimy, i obniżając opłaty za przewóz wojsk do tego stopnia, że nawet najbiedniejsze rody są teraz tam, w górze, i czekają tylko, by nas ograbić.

Ze zdziwieniem Jessika zauważyła, że powiedział to bez rozgoryczenia. Nie mogła wątpić w jego słowa – miały tę samą intensywność, jaką dostrzegła w nim owej nocy, gdy odsłonił ścieżkę przyszłości, która zawiodła ich między Fremenów.

Paul odetchnął głęboko.

– Matko, musisz przemienić nam pewną ilość Wody. Potrzebujemy katalizatora. Chani, wyślij oddział zwiadowczy… niech znajdą masę preprzyprawową. Jeżeli umieścimy pewną ilość Wody Życia na masie preprzyprawowej… wiecie, co się stanie?

Rozważając te słowa, Jessika nagle przejrzała jego zamiary.

– Paulu! – krzyknęła.

– Woda Śmierci – powiedział. – Byłaby to reakcja łańcuchowa. – Wskazał podłogę. – Śmierć szerząca się wśród maleńkich stworzycieli, zabijająca nosiciela cyklu życia, który obejmuje przyprawę i szej-huludy. Dopiero bez przyprawy i stworzycieli Arrakis będzie pustynią.

Chani zatkała usta dłonią. Bluźnierstwa Paula wstrząsnęły nią do tego stopnia, że zaniemówiła.

– Ten, kto może coś zniszczyć, ma nad tym czymś faktyczną władzę – stwierdził Paul. – My możemy zniszczyć przyprawę.

– Co wstrzymuje Gildię? – wyszeptała Jessika.

– Oni szukają mnie – rzekł Paul. – Pomyśl tylko! Najlepsi nawigatorzy Gildii, ludzie, którzy przeszukują czas przed sobą i znajdują najbezpieczniejszy kurs dla najszybszych liniowców, wszyscy jak jeden mąż szukają mnie… i nie są w stanie znaleźć. Jakże oni drżą! Wiedzą, że mam ich sekret tutaj! – Pokazał zagłębienie dłoni. – Bez przyprawy są ślepi!

Chani odzyskała głos.

– Mówiłeś, że widzisz „teraz”!

Paul opadł na posłanie. Badał rozpostartą teraźniejszość po jej wysunięte w przyszłość i przeszłość granice, zmagając się z zatrzymaniem wizji, gdyż wywołane przyprawą objawienie zaczynało zanikać.

– Wykonajcie, co przykazałem – powiedział. – Przyszłość staje się dla mnie równie pogmatwana jak dla Gildii. Linie wizji się zbiegają. Wszystko schodzi się tutaj, gdzie jest przyprawa… gdzie nie ośmielili się interweniować wcześniej… bo interwencja oznaczała utratę tego, bez czego nie mogą się obejść. Ale teraz mają nóż na gardle. Wszystkie drogi prowadzą w ciemność.

I zaświtał taki dzień, w którym Arrakis stała się piastą wszechświata, a koło szykowało się do obrotu.

– z *Przebudzenia Arrakis* pióra księżnej Irulany

– Popatrzcie tylko na to! – szepnął Stilgar.

Paul leżał przy nim w skalnej szczelinie wysoko na krawędzi Muru Zaporowego i przyciskał oko do kolektora fremeńskiego teleskopu. Soczewki olejowe były zogniskowane na kosmicznej lichtudze, którą świt obnażył w basenie pod nimi. Strzelista wschodnia burta statku lśniła w poziomych promieniach słońca, lecz w zacienionej burcie widniały iluminatory, żółte jeszcze od rozpraszających mrok nocy lumisfer. Poza statkiem widniało Arrakin zalane zimnym blaskiem północnej zorzy.

Paul wiedział, że to nie lichtuga wprawiła Stilgara w osłupienie, lecz konstrukcja, której była centralnym elementem. Wielopiętrowy barak z metalu rozłożył się u stóp lichtugi kołem o promieniu tysiąca metrów, tworząc namiot ze szczelnie zachodzących na siebie arkuszy blachy – tymczasowe koszary dla pięciu legionów sardaukarów i Jego Imperatorskiej Mości Padyszacha Imperatora Szaddama IV.

Gurney Halleck odezwał się z miejsca, w którym przycupnął z lewej strony Paula:

– Naliczyłem dziewięć poziomów. Musi tam być niemało sardaukarów.

– Pięć legionów – rzekł chłopak.

– Robi się jasno – syknął Stilgar. – Nie podoba nam się, że się tak wystawiasz na widok, Muad’Dibie. Wracajmy już między skały.

– Nic mi tutaj nie grozi – stwierdził Paul.

– Ten statek ma na pokładzie broń palną – zauważył Gurney.

– Oni są przekonani, że chronią nas tarcze – powiedział Paul. – Nie będą marnować amunicji na strzelanie do niezidentyfikowanej trójki, nawet jeśli nas zobaczą.

Skierował teleskop na przeciwną ścianę basenu i oglądał ospowate urwiska, obwały znaczące groby jakże wielu żołnierzy jego ojca. Uznał, że to słuszne, iż cienie owych ludzi przypatrują im się z góry teraz, gdy harkonneńskie forty i miasteczka wzdłuż i wszerz osłoniętej krainy są w rękach Fremenów lub zostały odcięte od zaplecza i pozostawione na uschnięcie niczym odrąbane od pnia gałęzie. Wróg miał już tylko ten basen i tylko to miasto.

– Mogą spróbować wycieczki ornitopterem, jeżeli nas zobaczą – rzekł Stilgar.

– Niech próbują – odparł Paul. – Dzisiaj mamy ornitoptery do spalenia… i wiemy, że nadciąga samum.

Zwrócił teleskop ku przeciwległemu skrajowi lądowiska w Arrakin, na rząd harkonneńskich fregat i flagę kompanii KHOAM łopocącą leniwie na płycie pod nimi. I pomyślał o tym, jak zdesperowana musi być Gildia, skoro wyraziła zgodę na lądowanie tych dwóch armii, podczas gdy całą resztę zatrzymano w odwodzie. Gildia przypominała człowieka, który sprawdza palcem nogi temperaturę piasku, zanim rozbije namiot.

– Czy zobaczymy stąd coś nowego? – zapytał Gurney. – Powinniśmy schodzić do kryjówki. Nie ma wątpliwości, że nadciąga samum.

Paul raz jeszcze skierował teleskop na gigantyczny barak.

– Sprowadzili nawet swoje kobiety – powiedział. – I dworaków, i służbę. Ach, mój drogi Imperatorze, jakże pewny siebie jesteś.

– Jacyś ludzie wspinają się tajnym przejściem – zauważył Stilgar. – To mogą wracać Otejm i Korba.

– W porządku, Stilu – rzekł Paul. – Wracamy.

Po raz ostatni przyjrzał się wysokim statkom na równinie, lśniącym koszarom z metalu, wymarłemu miastu, fregatom harkonneńskich najemników. A potem wycofał się za skalną skarpę. Jego miejsce przy teleskopie zajął fedajkiński czatownik.

Paul wyłonił się w płytkim kraterze na szczycie Muru Zaporowego. Około trzydziestu metrów średnicy i trzech głębokości miało to naturalne zagłębienie w skale, które Fremeni zakryli półprzezroczystą powłoką maskującą. Otwór w ścianie po prawej obstawiony był sprzętem telekomunikacyjnym. Rozwinąwszy szyk, gwardia fedajkinów czekała w tym zagłębieniu na rozkaz Muad'Diba do ataku.

Z otworu przy urządzeniach łączności wynurzyło się dwóch ludzi i zameldowało coś wartownikom. Paul zerknął na Stilgara, po czym skinął głową w stronę tej dwójki.

– Przyjmij ich meldunek, Stilu.

Stilgar odszedł na rozkaz.

Paul kucnął, opierając się plecami o skałę, przeciągnął się i wstał. Zobaczył, że Stilgar odprawia tamtych dwóch w głąb ciemnego otworu w skale, i pomyślał o długiej drodze na dno basenu owym wąskim, wykonanym ludzkimi rękami tunelem.

Podszedł do niego Stilgar.

– Cóż to za wiadomość tak ważna, że nie mogli wysłać z nią cielago? – spytał Paul.

– Oszczędzają swoje ptaki na bitwę – odparł Fremen. Zerknął na sprzęt telekomunikacyjny i z powrotem na Paula. – Nawet przy wąskiej wiązce niedobrze jest korzystać z tych urządzeń, Muad'Dibie. Mogą cię znaleźć, namierzając emisję.

– Wkrótce będą zbyt zajęci, aby mnie szukać – rzekł chłopak. – Co donieśli ci ludzie?

– Nasze sardaukarskie pieścidełka zostały wypuszczone na dole, u wylotu Starej Szczerby, i znajdują się w drodze do swego pana. Wyrzutnie rakiet i pozostała broń palna są na stanowiskach. Meldowali tylko dla porządku.

Paul rozejrzał się po płytkim zagłębieniu i w sączącym się przez powłokę maskującą świetle oglądał swoich ludzi. Upływ czasu odbierał niczym pełzanie owada po nagiej skale.

– Nasi sardaukarzy muszą trochę pomaszerować, zanim transportowiec dostrzeże ich sygnały – powiedział. – Macie ich na oku?

– Mamy – odparł Stilgar.

Stojący obok chłopaka Gurney Halleck odchrząknął.

– Czy nie będzie lepiej, jeśli schowamy się w bezpieczne miejsce?

– Nie ma takiego miejsca – rzekł Paul. – Prognoza pogody jest nadal sprzyjająca?

– Nadciąga pramatka burzy – powiedział Stilgar. – Nie czujesz jej, Muad’Dibie?

– Rzeczywiście, w powietrzu czuje się zmianę – zgodził się Paul – ale ja lubię się opierać na tyczeniu piasku.

– Samum będzie tu za godzinę – oznajmił Stilgar. Kiwnął głową ku szczelinie wychodzącej na barak Imperatora i fregaty Harkonnenów. – Tam też o nim wiedzą. Żadnego ornitoptera na niebie. Wszystkie powciągane i uwiązane. Dostali prognozę od przyjaciół w kosmosie.

– Żadnych nowych wypadów rozpoznawczych? – zapytał Paul.

– Ani jednego od lądowania ubiegłej nocy – odparł Stilgar. – Oni wiedzą, że tu jesteśmy. Myślę, że teraz czekają, by wybrać dogodny dla siebie moment.

– My wybieramy moment – powiedział Paul.

Gurney spojrzał w górę i warknął:

– Jeśli *tamci* nam pozwolą.

– Ta flota pozostanie w kosmosie – rzekł chłopak.

Halleck pokręcił głową.

– Nie mają wyboru – stwierdził Paul. – Możemy zniszczyć przyprawę. Gildia nie odważy się na takie ryzyko.

– Zdesperowani ludzie są najniebezpieczniejsi – odparł Gurney.

– A my nie jesteśmy zdesperowani? – zapytał Stilgar.

Gurney spojrzał na niego spode łba.

– Nie żyłeś marzeniem Fremenów – przestrzegł Paul. – Stil myśli o całej wodzie, którą wydaliśmy na łapówki, o latach, o które przedłużyliśmy czekanie, aż Arrakis rozkwitnie. On nie…

– Grrr! – warknął Gurney.

– Dlaczego on jest taki smutny? – zapytał Stilgar.

– On zawsze jest smutny przed bitwą – odparł Paul. – To jedyny objaw dobrego humoru, na jaki sobie pozwala.

Wilczy uśmiech powoli rozlał się na twarzy Hallecka, biel zębów rozbłysła ponad nabródkiem jego filtraka.

– Zasmuca mnie bardzo myśl o tych wszystkich nieszczęsnych harkonneńskich duszach, które wyprawimy na tamten świat bez święceń – powiedział.

Stilgar parsknął śmiechem.

– On gada niczym fedajkin.

– Gurney urodził się komandosem śmierci – rzekł Paul. „Tak – pomyślał – niech się zajmą gadaniem o głupstwach, nim spróbujemy swoich sił z tą armią na równinie”. Spojrzał na szczelinę w ścianie skalnej i zerknąwszy ponownie na Gurneya, zauważył, że wojownik i trubadur popadł znowu w ponurą zadumę. – Troska podkopuje siły – mruknął. – Powiedziałeś mi to kiedyś, Gurneyu.

– Mój książę – odparł Halleck – moją główną troską jest broń jądrowa. Jeśli użyjesz jej do wywalenia dziury w Murze Zaporowym…

– Ci na górze nie użyją przeciwko nam broni jądrowej – powiedział chłopak. – Nie odważą się… i to z tego samego powodu: nie mogą ryzykować, że zniszczymy przyprawę.

– Ale zakaz…

– Zakaz! – warknął Paul. – To strach, a nie zakaz powstrzymuje rody przed wzajemnym obrzucaniem się atomówkami. Język Wielkiej Konwencji jest wystarczająco jasny: użycie broni jądrowej przeciwko ludziom spowoduje wymazanie planety z mapy wszechświata. My wysadzimy Mur Zaporowy, nie ludzi.

– To zbyt grubymi nićmi szyty argument – rzekł Gurney.

– Ci od dzielenia włosa na czworo tam, w górze, ucieszą się z każdego argumentu – odparł Paul. – Nie mówmy już o tym. – Odwrócił się, życząc sobie rzeczywiście takiej pewności. Po chwili spytał: – Co z ludźmi z miasta? Są już na pozycjach?

– Tak – mruknął Stilgar.

Paul zerknął na niego.

– A ciebie co gryzie?

– Zawsze powątpiewałem, czy człowiekowi miasta można do końca zaufać.

– Sam byłem kiedyś człowiekiem miasta – zauważył chłopak.

Stilgar zesztywniał. Twarz nabiegła mu krwią.

– Muad’Dib wie, że nie miałem na myśli…

– Wiem, co miałeś na myśli, Stilu. Ale miarą człowieka nie jest to, co twoim zdaniem on zrobi, tylko to, co on robi w rzeczywistości. Ci miastowi mają w żyłach fremeńską krew. Tyle tylko, że jeszcze nie nauczyli się zrzucania pęt. My ich tego nauczymy.

Stilgar kiwnął głową.

– Życiowe nawyki, Muad’Dibie – stwierdził ponuro. – Na Równinie Żałobnej nauczyliśmy się pogardy dla ludzi osiadłych.

Paul obejrzał się na Hallecka i spostrzegł, że ten bacznie przygląda się Stilgarowi.

– Powiedz nam, Gurneyu, dlaczego sardaukarzy wypędzili z domów mieszkańców tego miasta?

– To stary numer, mój książę. Zamierzali zwalić nam na kark uchodźców.

– Tyle czasu upłynęło od upadku partyzantki, że możni zapomnieli, jak z nią wojować – rzekł Paul. – Sardaukarzy ułatwili nam zadanie. Nałapali mieszczek, zabawili się z nimi, a głowami protestujących mężczyzn udekorowali swoje sztandary bojowe. I rozniecili gorączkę nienawiści wśród ludzi, którzy w innej sytuacji postrzegaliby nadchodzącą bitwę wyłącznie jako wielką niedogodność… i możliwość zamiany jednego garnituru panów na drugi. Sardaukarzy werbują dla nas, Stilgarze.

– Ci ludzie miasta faktycznie wydają się pełni zapału – przyznał Fremen.

– Ich nienawiść jest świeża i czysta – powiedział Paul. – Właśnie wykorzystujemy ich jako oddziały szturmowe.

– Straszna będzie wśród nich jatka – rzekł Gurney.

Stilgar kiwnął głową.

– Powiedziano im, jak nierówne są siły – odparł Paul. – Wiedzą, że każdy zabity przez nich sardaukar to o jednego mniej dla nas. Widzicie, moi panowie, oni mają teraz coś, za co warto umrzeć. Odkryli, że są ludźmi. Budzą się.

Dobiegł ich stłumiony okrzyk obserwatora przy teleskopie. Paul zbliżył się do skalnej szczeliny.

– Co się tam dzieje?

– Ogromne zamieszanie, Muad’Dibie – syknął czatownik. – W tym monstrualnym namiocie z metalu. Od Wieńcomuru Zachodniego przybył pojazd naziemny i zaczęła się taka kotłowanina, jakby jastrząb wpadł w stado skalnych kuropatw.

– Dotarli więzieni przez nas sardaukarzy – powiedział Paul.

– Mają teraz tarczę wokół całego lądowiska – meldował czatownik. – Widzę tańczące powietrze nawet na skraju składowisk, gdzie magazynowali przyprawę.

– Już wiedzą, kim jest ich przeciwnik – rzekł chłopak. – Niech zadrżą harkonneńskie bestie, niech się gryzą, że Atryda nadal żyje! – Zwrócił się do fedajkina przy teleskopie: – Obserwuj drzewce flagowe na dziobie statku Imperatora. Jeżeli wciągną tam moją flagę…

– Nie zrobią tego – odezwał się Gurney.

Paul spostrzegł zaintrygowaną minę Stilgara.

– Jeśli Imperator uzna moje roszczenia – wyjaśnił – da znak, przywracając Arrakis flagę Atrydów. Wtedy zastosujemy drugi wariant planu, ruszając tylko przeciwko Harkonnenom. Sardaukarzy nie będą się wtrącać i pozwolą nam załatwić to między sobą.

– Nie mam doświadczenia w tych obcoświatowych sprawach – rzekł Stilgar. – Słyszałem o nich, ale nie wydaje się prawdopodobne, żeby…

– Nie trzeba mieć doświadczenia, żeby wiedzieć, co oni zrobią – powiedział Gurney.

– Na wysokim statku wciągają nową flagę – powiadomił ich czatownik. – Jest żółta… z czarnym i czerwonym kołem pośrodku.

– Śliska sprawa – rzucił Paul. – To flaga kompanii KHOAM.

– Takie same flagi wciągają na pozostałych statkach – powiedział fedajkin.

– Nie rozumiem – rzekł Stilgar.

– To rzeczywiście śliska sprawa – odezwał się Halleck. – Gdyby wciągnął na maszt sztandar Atrydów, musiałby dotrzymać tego, co zasygnalizował. Za dużo oczu dookoła. Mógłby dać znak flagą harkonneńską i byłaby to jednoznaczna deklaracja, ale nie, on wciąga szmatę KHOAM. Pokazuje tym ludziom w górze – wskazał na niebo – gdzie jest zysk. Mówi, że nie obchodzi go, czy będzie tu Atryda czy ktoś inny.

– Kiedy samum uderzy w Mur Zaporowy? – zapytał Paul.

Stilgar odszedł naradzić się z jednym z fedajkinów w kraterze. Niebawem był z powrotem.

– Lada chwila, Muad’Dibie. Wcześniej, niż się spodziewaliśmy. To jest praprapramatka burzy… może nawet większa, niż pragnąłeś.

– To moja burza – odparł Paul i ujrzał osłupienie na twarzach słuchających go fedajkinów. – Choćby wstrząsnęła całym światem, nie będzie większa, niż pragnąłem. Czy uderzy dokładnie w Mur Zaporowy?

– Wystarczająco blisko, żeby nie sprawiło to różnicy – rzekł Stilgar.

Z tunelu wiodącego na dno basenu wyszedł łącznik.

– Patrole sardaukarów i Harkonnenów wycofują się, Muad’Dibie – zameldował.

– Myślą, że samum nawieje za dużo piasku, by w basenie była dobra widoczność – powiedział Stilgar. – Uważają, że my będziemy tak samo załatwieni.

– Każ kanonierom nastawić celowniki dużo wcześniej, przed spadkiem widoczności – rzekł Paul. – Muszą odstrzelić dziobnice wszystkich tych statków, gdy tylko samum zniszczy tarcze. – Podszedł do ściany krateru i odciągnąwszy fałdę powłoki maskującej, spojrzał w górę. Na tle mrocznego nieba widać było niesione wiatrem bańczuki wirującego piasku.

Z powrotem naciągnął powłokę. – Zacznij wysyłać ludzi na dół, Stilu – polecił.

– Nie poszedłbyś z nami? – zapytał Stilgar.

– Zostanę chwilę przy fedajkinach – odparł chłopak.

Stilgar znacząco wzruszył ramionami do Gurneya, poszedł ku otworowi w ścianie skalnej i zniknął w ciemności.

– W twoich rękach, Gurneyu, zostawiam przycisk do wysadzenia Muru Zaporowego – powiedział Paul. – Zrobisz to?

– Zrobię.

Paul przywołał skinieniem porucznika fedajkinów.

– Otejmie, zacznij wycofywać czujki z rejonu wybuchu. Muszą wyjść stamtąd, zanim uderzy samum.

Fedajkin skłonił się i poszedł w ślady Stilgara. Halleck wyjrzał przez skalną szczelinę.

– Nie spuszczaj oka z południowej ściany – powiedział do mężczyzny przy teleskopie. – Będzie pozbawiona wszelkiej ochrony, dopóki jej nie wysadzimy.

– Wyślij cielago z sygnałem czasu – rozkazał Paul.

– Jakieś pojazdy naziemne suną na południową ścianę – zameldował Fremen przy teleskopie. – Niektóre prowadzą rozpoznanie ogniem broni palnej. Nasi ludzie korzystają z tarcz, jak rozkazałeś. Pojazdy się zatrzymały.

W nagłej ciszy Paul usłyszał pląsające nad głową demony wiatru – czoło burzy. Piach zaczął się osypywać do ich misy przez szczeliny w osłonie. Podmuch chwycił powłokę i zerwał ją.

Paul odesłał gestem swego fedajkina w bezpieczne miejsce i podszedł do obsługi aparatury telekomunikacyjnej przy wylocie tunelu. Gurney trzymał się jego boku. Chłopak pochylił się nad radiowcami.

– Praprapraprapramatka samumu, Muad’Dibie – powiedział jeden z nich.

Paul spojrzał na ciemniejące niebo.

– Gurneyu, wycofaj obserwatorów południowej ściany.

Musiał powtórzyć, przekrzykując narastający zgiełk burzy.

Halleck oddalił się, by wykonać rozkaz.

Chłopak dopiął filtr na twarzy i zaciągnął kaptur filtraka.

Powrócił Gurney.

Paul dotknął jego ramienia i wskazał na detonator umieszczony u wylotu tunelu, za radiowcami. Gurney wszedł do tunelu, po czym zatrzymał się z ręką na przycisku, nie spuszczając oczu z Paula.

– Nie odbieramy żadnych wiadomości – powiedział radiowiec przy chłopaku. – Są duże zakłócenia.

Paul skinął głową, nie odrywając wzroku od tarczy czasomierza przed radiowcem. Po kilku chwilach spojrzał na Gurneya, podniósł rękę i znowu skupił się na tarczy. Wskaźnik czasu pełzł ostatni raz po swoim kole.

– Już! – krzyknął Paul i opuścił rękę.

Halleck wdusił przycisk detonatora.

Wydawało się, że minęła cała sekunda, zanim poczuli, jak grunt faluje i dygoce pod nimi. Do ryku samumu dołączył dudniący dźwięk.

Przy Paulu zjawił się fedajkiński czatownik z teleskopem pod pachą.

– Mur Zaporowy przerwany, Muad’Dibie! – krzyknął. – Samum runął na nich, a nasi kanonierzy już strzelają.

Chłopak pomyślał o burzy sunącej przez basen, o ładunku elektrostatycznym w ścianie piasku, który zniszczył wszystkie tarcze w obozie wroga.

– Samum! – krzyknął ktoś. – Musimy się ukryć, Muad’Dibie!

Paul ocknął się, czując, jak igiełki piasku żądlą jego odsłonięte policzki. „Klamka zapadła” – pomyślał. Położył rękę na ramieniu radiowca.

– Zostaw sprzęt! Jest jeszcze ten w tunelu.

Poczuł, że go odciągają, że fedajkini stłoczyli się, by go chronić. Wcisnęli się do wylotu tunelu, gdzie ogarnęła ich względna cisza, i minąwszy zakręt, znaleźli się w małej komorze z lumisferami pod sufitem i wylotem prowadzącego dalej tunelu. Inny radiowiec pochylał się tu nad swoją aparaturą.

– Duże zakłócenia – powiedział.

Kurzawa otoczyła ich szybującym w powietrzu piaskiem.

– Zagrodzić tunel! – krzyknął Paul.

Nagłe znieruchomienie powietrza świadczyło o wykonaniu polecenia.

– Czy zejście na dno basenu jest nadal dostępne? – zapytał Paul.

Jakiś fedajkin poszedł sprawdzić, wrócił i oznajmił:

– Eksplozja spowodowała obsunięcie niewielkiej skały, lecz nasi technicy twierdzą, że przejście jest nadal otwarte. Uprzątają je wiązkami laserowymi.

– Każ im to robić ręcznie! – burknął Paul. – Tam są aktywne tarcze!

– Oni uważają, Muad’Dibie – odparł fedajkin, ale oddalił się posłusznie.

Radiowcy z zagłębienia przecisnęli się między nimi, dźwigając swój sprzęt.

– Kazałem tym ludziom zostawić aparaturę – rzekł chłopak.

– Fremeni nie lubią porzucać swojego sprzętu – zwrócił mu uwagę jeden z fedajkinów.

– Ludzie są teraz ważniejsi od sprzętu – odparł Paul. – Będziemy mieli więcej sprzętu niż rąk do jego obsługi albo żaden sprzęt nie będzie nam potrzebny.

Podszedł do niego Gurney Halleck.

– Słyszałem, jak mówili, że droga na dół jest wolna. Tutaj jesteśmy za blisko powierzchni, mój panie, gdyby Harkonnenowie spróbowali

odpowiedzieć.

– Oni nie są zdolni do odpowiedzi – rzekł Paul. – Właśnie odkrywają, że nie mają tarcz i że nie są w stanie odlecieć z Arrakis.

– Niemniej jednak nowe stanowisko dowodzenia jest gotowe, mój panie – powiedział Gurney.

– Jeszcze mnie nie potrzebują na stanowisku dowodzenia – stwierdził Paul. – Plan będzie się realizował beze mnie. Musimy czekać na…

– Odbieram wiadomość, Muad'Dibie – odezwał się łącznościowiec znad aparatury, po czym potrząsnął głową i przycisnął do ucha słuchawkę. – Są duże zakłócenia. – Zaczął gryzmolić na bloku przed sobą, kręcąc głową, wyczekując, pisząc… wyczekując.

Paul podszedł z boku do radiowca. Fedajkin cofnął się, ustępując mu miejsca. Chłopak spojrzał z góry na to, co ten człowiek napisał, i przeczytał:

– Najazd na sicz Tabr… w niewoli… Alia (nieczytelne) rodziny (nieczytelne) nie żyją… oni (nieczytelne) syna Muad'Diba…

Radiowiec znów pokręcił głową.

Paul uniósł oczy i napotkał utkwione w sobie spojrzenie Gurneya.

– Depesza jest przekręcona – rzekł Halleck. – Są zakłócenia. Nie wiadomo, czy…

– Mój syn nie żyje – odezwał się Paul i mówiąc to, wiedział, że tak jest naprawdę. – Mój syn nie żyje… Alię zaś wzięto do niewoli… jako zakładniczkę.

Czuł się jak pusta, pozbawiona uczuć skorupa. Wszystko, czego dotknął, niosło śmierć i ból. I wyglądało to na zarazę, która może się rozprzestrzenić po całym wszechświecie.

Wyczuwał w sobie mądrość starca, nagromadzenie doświadczeń z niezliczonych żywotów, które mogły zaistnieć. Wydawało mu się, że coś

chichoce w jego wnętrzu i zaciera ręce.

„Jak niewiele świat wie o naturze prawdziwego okrucieństwa!” – pomyślał.

I stanął przed nimi Muad’Dib, mówiąc: „Mimo iż uważamy zakładników za umarłych, ona żyje. Ponieważ jej nasienie jest moim nasieniem, a jej głos jest moim głosem. I wzrok jej sięga najdalszych sfer prawdopodobieństwa. Tak jest, na padół niepoznawalnego ona spogląda dzięki mnie”.

– z *Przebudzenia Arrakis* pióra księżnej Irulany

Baron Vladimir Harkonnen stał ze spuszczonymi oczami w imperialnej sali audiencyjnej, owalnej selamlik usytuowanej wewnątrz kwater Padyszacha Imperatora. Rzucał ukradkowe spojrzenia na metalowe ściany i na zebranych – noukkerów, paziów, gwardzistów oraz oddział sardaukarów pałacowych. Ci ostatni tkwili w szeregu pod ścianami, w postawie swobodnej, pod zakrwawionymi i postrzępionymi zdobycznymi sztandarami, które stanowiły jedyną ozdobę tej sali.

Z prawej strony rozległy się głosy dochodzące echem z wysokiego korytarza:

– Przejście! Przejście dla osoby królewskiej!

Padyszach Imperator Szaddam IV wszedł do sali audiencyjnej razem ze swoim orszakiem. Przystanął w oczekiwaniu na wniesienie tronu, nie zwracając uwagi na barona, najwyraźniej nie zwracając uwagi na nikogo.

Baron przekonał się, że nie potrafi zignorować osoby królewskiej, i przyglądał się bacznie Imperatorowi, wypatrując znaku, najmniejszej wskazówki dotyczącej celu tej audiencji. Imperator czekał z podniesioną głową – szczupła, elegancka sylwetka w szarym mundurze sardaukarów ze srebrnym i złotym szamerunkiem. Pociągła twarz i zimne spojrzenie przypominały Vladimirowi dawno zmarłego księcia Leto. Szaddam IV też wyglądał jak drapieżny ptak. Tylko jego włosy nie były czarne, lecz rude,

i prawie w całości zakryte hebanowym hełmem bursega z imperialnym złotym pióropuszem na szczycie.

Paziowie wnieśli tron. Było to masywne siedzisko wyciosane z jednej bryły kwarcu hagalskiego – zielono-niebieskiej przejrzystości przeszytej żyłami złotego ognia. Kiedy ustawili je na podium, Imperator zasiadł wygodnie.

Stara kobieta w czarnej abie z kapturem opuszczonym na czoło odłączyła się od jego świty i zajęła miejsce za tronem, kładąc kościstą dłoń na kwarcowym oparciu. Jej twarz wyzierała z kaptura niczym maszkaron o zapadniętych oczach i policzkach, ze zbyt długim nosem, skórą w plamach i wychodzącymi na wierzch żyłami.

Baron powstrzymał na jej widok drżenie. Obecność matki wielebnej Gaius Heleny Mohiam, prawdomówczyni Imperatora, zdradzała doniosłość tej audiencji. Odwróciwszy od niej wzrok, Vladimir lustrował uważnie świtę w poszukiwaniu dalszych wskazówek. Byli tam dwaj agenci Gildii, jeden wysoki i gruby, drugi niski i gruby, obaj o szarych, dobrotliwych oczach. Wśród dworaków stała też jedna z córek Imperatora, księżniczka Irulana, kobieta, która posiadła, jak mówiono, najgłębsze sekrety Bene Gesserit, gdyż miała zostać matką wielebną. Wysoka blondynka o twarzy pięknej jak obraz i zielonych oczach spoglądających przez i poza niego.

– Mój drogi baronie. – Imperator raczył go łaskawie zauważyć. Jego baryton odznaczał się wyrafinowaną modulacją. Potrafił odprawić Vladimira powitaniem.

Baron skłonił się nisko i zbliżył na przepisową odległość dziesięciu kroków od podwyższenia.

– Przybywam na twe wezwanie, Najjaśniejszy Panie.

– Wezwanie! – Stara czarownica zachichotała.

– Spokój, matko wielebna – skarcił ją Imperator, ale uśmiechnął się, widząc zmieszanie barona. – Najpierw powiedz mi, dokąd to wyprawiłeś swojego pupila Thufira Hawata.

Baron strzelił okiem na prawo i lewo, klnąc w duchu, że przyszedł tu bez swojej straży, mimo że niewiele wskórałaby przeciwko sardaukarom. Zawsze jednak…

– No więc? – rzekł Szaddam IV.

– Nie ma go już od pięciu dni, Najjaśniejszy Panie. – Vladimir spojrzał na agentów Gildii i szybko przeniósł wzrok na Imperatora. – Miał wylądować w bazie przemytników i podjąć próbę infiltracji obozu tego fremeńskiego fanatyka Muad’Diba.

– Nie do wiary! – rzucił Szaddam IV.

Szponiasta dłoń czarownicy lekko dotknęła jego ramienia. Stara nachyliła się i poszeptała mu do ucha. Imperator kiwnął głową.

– Pięć dni, baronie. Powiedz mi, dlaczego nie martwisz się jego nieobecnością.

– Ależ ja się martwię, Najjaśniejszy Panie!

Imperator nie spuszczał z niego oczu, czekając. Matka wielebna zachichotała gdakliwie.

– Chodzi mi o to, Najjaśniejszy Panie – dodał Vladimir – że Hawat tak czy owak umrze w ciągu najbliższych paru godzin.

I wyłożył sprawę utajonej trucizny oraz antidotum.

– Spryciarz z ciebie, baronie – rzekł Imperator. – A gdzież są twoi bratankowie, Rabban i młody Feyd-Rautha?

– Nadchodzi samum, Najjaśniejszy Panie. Wysłałem ich na obchód naszego przedpola, żeby Fremeni nie zaskoczyli nas pod osłoną piasku.

– Przedpola – powtórzył Imperator. Słowo to jakby wypadło mu przy wydęciu ust. – Samum niewiele zdziała w basenie, a fremeński motłoch nie

zaatakuje, kiedy jestem tu z pięcioma legionami sardaukarów.

– Oczywiście, że nie, Najjaśniejszy Panie – rzekł baron – lecz nie można nikogo winić za nadmiar ostrożności.

– Ach, wina – powiedział Szaddam IV. – Zatem mam przemilczeć, ile czasu zabrała mi ta arrakijska bzdura? I że zyski KHOAM wyciekają tą szczurzą dziurą? I że musiałem odłożyć problemy dworu i sprawy państwowe, odwołać nawet, z powodu tej idiotycznej afery?

Baron spuścił oczy, wystraszony gniewem władcy. Delikatność pozycji, w jakiej się znajdował, sam jeden, zdany na łaskę Konwencji i dictum familia wysokich rodów, działała mu na nerwy. „Czy on zamierza mnie zabić? – zadał sobie pytanie. – Nie mógłby! Nie na oczach reszty wysokich rodów, które czekają tam, w górze, ostrząc sobie zęby na pierwszy lepszy pretekst do wykorzystania tego zamętu na Arrakis”.

– Wziąłeś zakładników? – zapytał Imperator.

– To na nic, Najjaśniejszy Panie – odparł baron. – Ci szaleni Fremeni urządzają każdemu jeńcowi ceremonię pogrzebową i zachowują się tak, jakby ten zakładnik już nie żył.

– Czyżby? – rzekł Imperator.

Baron milczał, spoglądając w prawo i lewo na metalowe ściany selamlik. Myślał o otaczającym go monstrualnym namiocie z harmonium. Przedstawiał on tak nieprzebrane bogactwo, że nawet Vladimir był wstrząśnięty. „Ciągnie ze sobą paziów i bezużytecznych dworaków, swoje kobiety i ich świtę: fryzjerów, modystki, wszystkich… całą otoczkę pasożytów dworu. Wszystko to tutaj płaszczy się, intryguje za plecami, »cierpi niewygody« przy Imperatorze, by patrzeć, jak on kładzie kres tej aferze, by układać panegiryki o walkach, a rannych kreować na bohaterów”.

– Może nie szukałeś odpowiednich zakładników – powiedział Szaddam IV.

„On coś wie” – pomyślał baron. Strach zaległ kamieniem w jego żołądku, aż niedobrze mu się zrobiło na myśl o jedzeniu, a jednak uczucie to przypominało głód i kilka razy prostował się w swoich dryfach o włos od wydania polecenia, by przyniesiono mu posiłek. Ale tutaj nie było nikogo, kto odpowiedziałby na jego wezwanie.

– Masz pojęcie, co to za jeden ten Muad’Dib? – spytał Imperator.

– Na pewno jakiś umma – odparł Vladimir. – Jakiś fremeński fanatyk, awanturnik religijny. Tacy regularnie pojawiają się na obrzeżach cywilizacji. Najjaśniejszy Pan o tym wie.

Imperator obejrzał się na swoją prawdomówczynię, a potem odwrócił się do barona i popatrzył na niego spode łba.

– I nic więcej nie wiesz o tym Muad’Dibie?

– To szaleniec – stwierdził baron. – Ale wszyscy Fremeni są trochę stuknięci.

– Stuknięci?

– Rzucają się w bój, wykrzykując jego imię. Ich kobiety ciskają w nas własnymi dziećmi, po czym nadziewają się na nasze noże, by utorować swoim mężom drogę do ataku. Oni nie mają… nie mają… żadnej godności!

– Aż tak źle – zamruczał Imperator, a jego drwiący ton nie uszedł uwagi Vladimira. – Powiedz mi, drogi baronie, czy przeprowadziłeś rekonesans polarnych obszarów na południu Arrakis?

Baron spojrzał na niego, zbity z tropu zmianą tematu.

– Ale… no więc… wiesz przecież, Najjaśniejszy Panie, że cały ten region nie nadaje się do zamieszkania, jest otwarty dla wiatru i czerwia. Na tych szerokościach nie ma nawet przyprawy.

– Nie miałeś doniesień z lichtug przyprawowych o pojawiających się tam połaciach zieleni?

– Zawsze były takie doniesienia. Niektóre zbadano… dawno temu. Znaleziono parę roślin. Stracono jednak wiele ornitopterów. Zbyt kosztowna to zabawa, Najjaśniejszy Panie. To miejsce, w którym ludzie nie przeżyją długo.

– No tak – powiedział Szaddam IV.

Pstryknął palcami i po lewej stronie, za jego tronem, otworzyły się drzwi. Dwóch sardaukarów wprowadziło przez nie mniej więcej czteroletnią dziewczynkę. Ubrana była w czarną abę z odrzuconym na plecy kapturem odsłaniającym wiszące luźno u szyi łącza filtraka. Z delikatnej, krągłej buzi spoglądały oczy barwy fremeńskiego błękitu. Nie wyglądała ani trochę na wystraszoną, a w jej spojrzeniu było coś, od czego baron z niezrozumiałych powodów poczuł się nieswojo.

Nawet prawdomówczyni Bene Gesserit wzdrygnęła się, kiedy dziecko ją mijało, i uczyniła w jego kierunku gest odpędzenia uroków. Stara czarownica była najwyraźniej wstrząśnięta obecnością dziewczynki.

Imperator odchrząknął przed zabraniem głosu, lecz dziecko przemówiło pierwsze – cienkim, lekko sepleniącym głosikiem, wyraźnym mimo nieukształtowanego podniebienia.

– A oto i on – powiedziała dziewczynka i podeszła do skraju podwyższenia. – Nie wygląda imponująco, nieprawdaż? Jakiś wystraszony stary grubas, zbyt słaby, by udźwignąć swoje ciało bez pomocy dryfów.

W ustach dziecka było to tak kompletnie nieoczekiwane stwierdzenie, że baron wytrzeszczył na małą oczy, zapominając języka w gębie mimo wściekłości. „Czy to karlica?” – zapytał siebie.

– Mój drogi baronie – rzekł Imperator – przedstawiam ci siostrę Muad’Diba.

– Sios… – Vladimir podniósł wzrok na Szaddama IV. – Nie rozumiem.

– Ja czasami również przesadzam z nadmiarem ostrożności – powiedział Imperator. – Doniesiono mi, że twoje *niezamieszkane* obszary na południu wykazują ślady ludzkiej działalności.

– Ależ to niemożliwe! – zaprotestował baron. – Czerwie… tam jest czysty piasek aż po…

– Wygląda na to, że ci ludzie potrafią unikać czerwi – rzekł Szaddam.

Dziewczynka przysiadła na skraju podwyższenia obok tronu, spuściła nogi i zaczęła nimi majtać. Z jej miny i sposobu lustrowania otoczenia biła ogromna pewność siebie.

Baron utkwił wzrok w rozbujanych stopach, śledząc falowanie czarnej szaty i mignięcia sandałów ukazujących się spod tkaniny.

– Na nieszczęście – powiedział Imperator – wysłałem tylko pięć transportowców z lekką grupą zaczepną, która miał wziąć jeńców na przesłuchanie. Uszliśmy cudem z jednym transportowcem i trzema jeńcami. Zważ, baronie, na to, że moi sardaukarzy zostali niemal wybici przez oddział złożony głównie z kobiet, dzieci i starców. To dziecko prowadziło jedną z grup szturmowych.

– Sam widzisz, Najjaśniejszy Panie! – zawołał Vladimir. – Sam widzisz, co to za jedni!

– Ja dałam się pojmać – odezwała się dziewczynka. – Nie chciałam stanąć przed bratem z wieścią, że zabito mu syna.

– Uciekła ledwie garstka naszych ludzi – rzekł Imperator. – Uciekła! Słyszysz?

– Ich też byśmy dostali – powiedziała dziewczynka – gdyby nie płomienie.

– Moi sardaukarzy użyli dysz korekcyjnych transportowców jako miotaczy ognia – wyjaśnił Szaddam IV. – Tylko dzięki temu rozpaczliwemu

posunięciu umknęli z trojgiem jeńców. Zauważ, mój drogi baronie: sardaukarzy musieli uciekać w popłochu przed kobietami, starcami i dziećmi!

– Musimy zaatakować całą potęgą – wychrypiał baron. – Musimy wybić wszystkich do ostatniego, najmniejszego…

– Milcz! – ryknął Imperator i pochylił się do przodu. – Nie obrażaj mojej inteligencji ani chwili dłużej. Sterczysz tu z tą durną miną niewiniątka i…

– Najjaśniejszy Panie – odezwała się stara prawdomówczyni.

Uciszył ją machnięciem ręki.

– Twierdzisz, że nic nie wiesz o wykrytej przez nas działalności ani o umiejętnościach bojowych tych nadludzi! – Uniósł się do połowy z tronu. – Za kogo mnie masz, baronie?

Vladimir cofnął się o dwa kroki. „To Rabban – pomyślał. – On mi to zrobił. Rabban mi…”

– I ta udawana waśń z księciem Leto – mruknął Szaddam IV, opadając z powrotem na tron. – Ślicznie to ustawiłeś.

– Najjaśniejszy Panie – bronił się baron – o czym ty…

– Milcz!

Stara Bene Gesserit położyła dłoń na ramieniu Imperatora i pochyliła się nisko, szepcząc mu coś do ucha.

Dziewczynka na podium przestała machać nogami.

– Postrasz go jeszcze trochę, Szaddamie. Nie powinnam się z tego cieszyć, ale nie potrafię odmówić sobie tej przyjemności.

– Cicho bądź, dzieciaku – rzekł Imperator. Wychylił się do przodu, położył rękę na jej głowie i utkwił wzrok we Vladimirze. – Czyż to możliwe, baronie? Czyżbyś był aż tak naiwny, jak sugeruje moja prawdomówczyni? Czy nie poznajesz tego dziecka, córki swego sojusznika, księcia Leto?

– Mój ojciec nigdy nie był jego sojusznikiem – oświadczyła dziewczynka. – On nie żyje, a ten stary harkonneński potwór nigdy mnie nie widział.

Baron tylko patrzył ogłupiały. Kiedy odzyskał mowę, zdołał jedynie wychrypieć:

– Kto to?

– Jestem Alia, córka księcia Leto i lady Jessiki, siostra księcia Paula Muad'Diba – odparła dziewczynka, po czym odepchnęła się od podium i skoczyła na podłogę sali audiencyjnej. – Mój brat ślubował, że zatknie twoją głowę na drzewcu swego bojowego sztandaru, i myślę, że to zrobi.

– Cicho bądź, dziecko. – Imperator opadł na tron, wsparł brodę na dłoni i spoglądał badawczo na barona.

– Ja nie przyjmuję rozkazów od Imperatora – rzekła Alia i odwróciwszy się, podniosła oczy na wiekową matkę wielebną. – Ona wie.

Szaddam IV zerknął na swą prawdomówczynię.

– Co to znaczy?

– To dziecko jest Złym Duchem! – powiedziała starucha. – Jej matka zasługuje na karę, jakiej nie zna historia. Śmierć! Nigdy nie będzie dość rychła dla tego „dziecka" oraz tej, która je zrodziła! – Wyciągnęła palec ku Alii. – Wynoś się z mego umysłu!

– TP? – wyszeptał Imperator. Obrócił się gwałtownie ku Alii. – Na Wielką Macierz!

– Nie rozumiesz, Najjaśniejszy Panie – rzekła stara. – To nie telepatia. Ona jest w mojej jaźni. Jest jak moje poprzedniczki, które oddały mi swe wspomnienia. Tkwi w mej pamięci! To niemożliwe, żeby tam była, a jednak jest!

– Jakie poprzedniczki? – zapytał Imperator. – Co to za nonsens?

Stara kobieta wyprostowała się i opuściła wyciągniętą rękę.

– Powiedziałam zbyt wiele, co nie zmienia faktu, że to „dziecko”, które nie jest dzieckiem, musi zostać zabite. Od dawna przestrzegano nas przed czymś takim i mówiono, jak zapobiec takim narodzinom, lecz zdradziła nas własna siostra.

– Pleciesz, stara babo – powiedziała Alia. – Nie wiesz, jak było, a mielesz językiem niczym chory na umyśle. – Zamknęła oczy, zaczerpnęła głęboko powietrza i wstrzymała oddech.

Stara matka wielebna zatoczyła się z jękiem.

Dziewczynka otworzyła oczy.

– Tak to się stało – rzekła. – Kosmiczny ślepy traf… a wy miałyście w nim swój udział.

Matka wielebna wyciągnęła ręce, odpychając od siebie powietrze w stronę Alii.

– Co się tutaj dzieje? – zapytał Imperator. – Dziecko, ty naprawdę potrafisz umieścić swoje myśli w czyjejś głowie?

– To zupełnie nie tak – odparła Alia. – Nie potrafię myśleć jak ty, chyba żebym się jak ty urodziła.

– Zabij ją! – wymamrotała prawdomówczyni, czepiając się oparcia tronu, by nie upaść. – Zabij ją! – Zapadnięte starcze oczy ziały nienawiścią do Alii.

– Cisza – nakazał Imperator i z uwagą przyjrzał się dziewczynce. – Możesz, dziecino, porozumieć się ze swoim bratem?

– Mój brat wie, że tu jestem – odparła Alia.

– Potrafisz mu powiedzieć, że ma się poddać za cenę twojego życia?

Alia uśmiechnęła się do niego niewinnie.

– Nie zrobię tego – oświadczyła.

Baron dowlókł się do dziewczynki i stanął u jej boku.

– Najjaśniejszy Panie – rzekł błagalnie – nie wiedziałem nic o…

– Jeszcze raz mi przerwiesz, baronie – powiedział Imperator – a stracisz zdolność przerywania… na wieki. – Wciąż przyglądał się bacznie Alii spod zmrużonych powiek. – Nie zrobisz, hę? A umiesz wyczytać w moich myślach, co zrobię, jeżeli mnie nie posłuchasz?

– Już powiedziałam, że nie potrafię czytać w myślach – odparła – ale nie trzeba telepatii, by przejrzeć twe zamiary.

Imperator się nachmurzył.

– Twoja sprawa, dziecino, jest beznadziejna. Wystarczy, żebym skrzyknął swoje wojska, a z tej planety nie zostanie ani…

– To nie takie proste – rzekła Alia i spojrzała na dwóch gildian. – Zapytaj ich.

– Nie jest mądrze sprzeciwiać się moim życzeniom – powiedział Szaddam IV. – Nie powinnaś odmawiać mi najdrobniejszej rzeczy.

– Mój brat już przybywa – stwierdziła Alia. – Nawet Imperator drży przed Muad’Dibem, ponieważ przy nim jest moc prawości i niebo się do niego uśmiecha.

Imperator zerwał się na nogi.

– Ta zabawa zaszła za daleko. Zetrę twego brata razem z tą planetą na…

Sala zadudniła i się zatrzęsła. Za tronem posypała się kaskada piasku ze spojenia namiotu ze statkiem Szaddama IV. Raptowne pulsowanie skóry powiedziało im, że włączono tarczę szerokopolową.

– Mówiłam ci – rzekła Alia. – Mój brat już przybywa.

Imperator stał przed tronem z przyciśniętą do prawego ucha dłonią, pod którą serwosłuchawka świergotała meldunek o sytuacji. Baron cofnął się o dwa kroki za plecy Alii. Sardaukarzy przeskakiwali na stanowiska pod drzwiami.

– Wycofamy się w kosmos i przegrupujemy – powiedział Imperator. – Baronie, winien ci jestem przeprosiny. Owi szaleńcy rzeczywiście atakują

pod osłoną burzy. Pokażemy im zatem imperatorski gniew. – Wskazał Alię. – Ją dajcie samumowi.

Na te słowa Alia pierzchła do tyłu w udawanym przerażeniu.

– Niech samum bierze, co ma wziąć! – zawołała i padła w ramiona baronowi.

– Złapałem ją, Najjaśniejszy Panie! – krzyknął Vladimir. – Czy mam ją zabić od razuuuuuuuuuuuuuu?! – Cisnął dziewczynkę na podłogę i złapał się kurczowo za lewą rękę.

– Przepraszam, dziadku – powiedziała Alia. – Nadziałeś się na atrydzki gom dżabbar. – Wstała i wypuściła z palców ciemną igłę.

Baron zwalił się na plecy. Oczy wyszły mu z orbit, kiedy patrzył na czerwone skaleczenie w zagłębieniu lewej dłoni.

– Ty… ty…

Przetoczył się na bok w swoich dryfach – bryła rozlewającego się ciała zawieszona kilka centymetrów nad posadzką, z obwisłą głową i rozdziawionymi ustami.

– Ci ludzie są obłąkani! – warknął Imperator. – Szybko! Na statek. Oczyścimy tę planetę z wszelkiego…

Coś zaiskrzyło po jego lewej stronie. Piorun kulisty odbił się od ściany i zatrzeszczał, uderzywszy w metalową podłogę. Woń spalonej izolacji rozeszła się po selamlik.

– Tarcza! – krzyknął oficer sardaukarów. – Opadła zewnętrzna tarcza! Oni…

Jego słowa utonęły w metalicznym łoskocie, ściana statku za plecami Imperatora zatrzęsła się i rozkołysała.

– Odstrzelili nam dziobnicę! – rozległ się krzyk.

Pył wirował po sali. Pod jego osłoną Alia skoczyła do wyjścia na zewnątrz.

Imperator odwrócił się gwałtownie, pokazując swoim ludziom awaryjne drzwi, które uchyliły się za tronem w burcie statku. Ruchem ręki zatrzymał oficera sardaukarów pędzącego skokami przez obłok pyłu.

– Tutaj stawimy im czoło! – rozkazał.

Drugie uderzenie wstrząsnęło hangarem. Podwójne wrota rozwarły się z hukiem w przeciwległym końcu sali, wpuszczając kurzawę piasku i zgiełk krzyków. Przez chwilę widać było na tle światła maleńką, odzianą w czerń sylwetkę Alii, która wybiegła na zewnątrz, znalazła nóż i zgodnie ze swym fremeńskim wyszkoleniem dobiła rannego sardaukara i Harkonnena.

W zielonkawożółtym tumanie pałacowi sardaukarzy runęli do wyłomu z bronią w pogotowiu, formując tam półkole, by osłonić odwrót Imperatora.

– Ratuj się, Najjaśniejszy Panie! – krzyknął oficer sardaukarów. – Do statku!

Jednak Imperator stał samotnie na swym podwyższeniu z ręką wyciągniętą w stronę drzwi. Czterdziestometrowy segment został wyrwany z baraku i drzwi selamlik wychodziły teraz na szybujący piasek. Nisko przy ziemi wisiała chmura pyłu niesionego z pastelowych dali. Błyskawice z trzaskiem uderzały z chmury i w tumanie widać było snopy iskier buchających z tarcz, które przepalały się w zetknięciu z ładunkiem elektrostatycznym burzy. Równina roiła się od sylwetek walczących sardaukarów i ludzi w dżubbach, skaczących i wirujących, jakby spadali z błyskawicami samumu.

Wszystko to wszakże stanowiło zaledwie oprawę dla celu, który wskazywała wyciągnięta ręka Imperatora.

Z otchłani tumanów piasku wysunęła się w szyku chmara połyskliwych kształtów – ogromne, wyniosłe łuki z kryształowymi szprychami zamieniały się w rozdziawione paszcze czerwi pustyni, które szły zbitą

ławą, niosąc oddziały Fremenów do ataku. W trójkątnej formacji przecinały z sykiem pole bitwy i tylko dżubby łopotały na wietrze.

Fremeni mknęli na przełaj wprost na koszary Imperatora, podczas gdy sardaukarska gwardia po raz pierwszy w swej historii stanęła w osłupieniu, oglądając szturm, który nie mieścił się w głowie.

Ale z grzbietów czerwi zeskakiwali ludzie, a połyskującym w złowrogim żółtym świetle ostrzom sardaukarzy nauczeni byli stawiać czoło. Poszli w bój. Na równinie pod Arrakin trwała walka wręcz, gdy doborowa sardaukarska straż przyboczna wcisnęła Imperatora do statku i zaryglowała za nim drzwi, gotując się na śmierć u tego wejścia jako część jego tarczy.

Oszołomiony względną ciszą wewnątrz statku Imperator popatrzył w szeroko rozwarte oczy swojej świty, na zaróżowione z wysiłku policzki swej najstarszej córki, na starą prawdomówczynię stojącą niczym czarny cień z twarzą w obramowaniu kaptura i odnalazł wreszcie twarze, których szukał – dwóch gildian. Odziani byli w szare stroje Gildii, bez jakichkolwiek ozdób, i ta szarość licowała ze spokojem, jaki zachowali mimo wzburzonych emocji dookoła.

Wyższy z tej dwójki przyciskał wszelako dłoń do lewego oka. Kiedy Imperator mu się przyglądał, ktoś potrącił ramię gildianina i dłoń się przesunęła. Mężczyzna zgubił jedno z maskujących szkieł kontaktowych i jego oko spojrzało zupełnym błękitem, tak ciemnym, że aż prawie czarnym.

Niższy z mężczyzn przepchnął się bliżej Imperatora.

– Nie umiemy przewidzieć, jak to się potoczy – rzekł.

A jego wyższy towarzysz, z dłonią znów przy oku, dodał ozięble:

– Ale ten Muad’Dib też nie umie.

Słowa wyrwały Szaddama IV z oszołomienia. Z widocznym wysiłkiem powstrzymał się od głośnej drwiny, ponieważ nie trzeba było aż nawigatora

Gildii i jego koncentracji na głównej szansie, by przewidzieć najbliższą przyszłość na otaczającej statek równinie. „Czyżby ci dwaj byli tak uzależnieni od swej umiejętności, że nie potrafią już posługiwać się wzrokiem i rozumem?” – zdumiał się.

– Matko wielebna – powiedział – musimy obmyślić jakiś plan.

Ściągnęła z twarzy kaptur i popatrzyła mu śmiało w oczy. Spojrzenie, które wymienili, było pełne zrozumienia. Pozostała im jedna broń i oboje ją znali: zdrada.

– Wezwij hrabiego Fenringa z jego kwatery – rzekła matka wielebna.

Padyszach Imperator skinął głową i dał znak jednemu ze swoich adiutantów, by wykonał to polecenie.

Był wojownikiem i mistykiem, potworem i świętym, lisem i niewiniątkiem, rycerski, okrutny, był mniej niż bogiem i więcej niż człowiekiem. Motywów Muad’Diba nie da się zmierzyć zwykłą miarą. W momencie swego triumfu ujrzał zgotowaną mu śmierć, a jednak zaakceptował tę zdradę. Czy można powiedzieć, że zrobił to z poczucia sprawiedliwości? Czyjej zatem sprawiedliwości? Nie zapominajcie, że mówimy o Muad’Dibie, który nakazał sprawić bojowe werble ze skóry swych wrogów, o Muad’Dibie, który konwencje swej książęcej przeszłości odrzucił jednym machnięciem ręki, stwierdziwszy jedynie: „Jestem Kwisatz Haderach. To wystarczający powód”.

– z *Przebudzenia Arrakis* pióra księżnej Irulany

Zwycięskiego wieczoru eskortowano Muad’Diba do arrakińskiej rezydencji gubernatora, starożytnej budowli zajętej przez Atrydów po przybyciu na Diunę. Budynek zachował się tak, jak go odrestaurował Rabban, właściwie nietknięty podczas walk, chociaż splądrowany przez mieszkańców miasta. Niektóre meble w głównym holu były wywrócone bądź połamane.

Paul wszedł głównym wejściem, Gurney Halleck i Stilgar szli krok za nim. Ich eskorta rozsypała się wachlarzem po Wielkiej Sali, przywracając porządek i sprzątając pomieszczenie dla Muad’Diba. Jedna z drużyn zaczęła sprawdzać, czy nie zostawiono tu żadnych pułapek.

– Pamiętam dzień, w którym przybyliśmy tu z twoim ojcem – odezwał się Gurney. Rozejrzał się dookoła po belkach i wysokich szczelinach okien. – Już wtedy nie podobało mi się to miejsce, a teraz jeszcze mniej mi się podoba. Któraś z naszych jaskiń byłaby bezpieczniejsza.

– Powiedziane, jak na prawdziwego Fremena przystało – rzekł Stilgar i zauważył chłodny uśmiech, jaki jego słowa wywołały na wargach Paula. – Nie zmienisz zdania, Muad’Dibie?

– Ta rezydencja jest symbolem – odparł Paul. – Mieszkał w niej Rabban. Zajmując tę siedzibę, przypieczętowuję swoje zwycięstwo w sposób zrozumiały dla wszystkich. Roześlij ludzi po budynku. Niczego nie dotykać. Upewnić się tylko, że Harkonnenowie nie zostawili tu swoich ludzi ani zabawek.

– Jak każesz – powiedział Stilgar przesyconym niechęcią tonem, ale oddalił się posłusznie.

Do sali wpadli ludzie z łączności i zaczęli się rozkładać ze swoją aparaturą przy masywnym kominku. Gwardia fremeńska rozstawiła się dookoła pomieszczenia, wzmacniając ocalałych fedajkinów. Szeptali między sobą, krzyżowały się nieufne spojrzenia. Zbyt długo miejsce to było siedzibą wroga, aby przeszli do porządku nad swoją tu obecnością.

– Gurneyu, niech eskorta przyprowadzi moją matkę i Chani – rzekł Paul. – Czy Chani już wie o naszym synu?

– Wysłano wiadomość, mój panie.

– Czy wyprowadzają już stworzycieli z basenu?

– Tak, mój panie. Samum prawie ucichł.

– Jakie szkody wyrządził? – zapytał chłopak.

– Tak jak szedł, przez lądowisko i składy przyprawy na równinie, poczynił rozległe zniszczenia – odparł Gurney. – Samum i walki po równo.

– Mniemam, że pieniądze zrekompensują wszystko – rzekł Paul.

– Z wyjątkiem straty poległych, mój panie – odparł Gurney z wymówką, jakby chciał powiedzieć: „Od kiedyż to Atryda martwi się o rzeczy, gdy w grę wchodzą ludzie?”.

Ale Paul potrafił skupić uwagę jedynie na oglądanych jasnowidzącym okiem szczelinach w ścianie czasu, która nadal zagradzała mu drogę. Z każdej szczeliny buchał dżihad szalejący po korytarzach przyszłości.

Z westchnieniem ruszył na drugą stronę sali, gdzie dojrzał krzesło pod ścianą. Krzesło to stało kiedyś w jadalni i może nawet siedział na nim jego ojciec. Jednak w tej chwili było wyłącznie przedmiotem pozwalającym ulżyć zmęczeniu i ukryć je przed ludźmi. Siadł, obciągając dżubbę na nogach, i poluzował kołnierz filtraka.

– Imperator zaszył się na dobre w szczątkach swego statku – odezwał się Gurney.

– Trzymajcie go tam na razie – powiedział Paul. – Znaleźli już Harkonnenów?

– Ciągle sprawdzają poległych.

– Jaka odpowiedź ze statków tam? – Wskazał brodą ku sufitowi.

– Jeszcze milczą, mój panie.

Paul westchnął i opadł na oparcie.

– Sprowadź mi pojmanego sardaukara – rzekł po chwili. – Musimy przesłać wiadomość naszemu Imperatorowi. Czas omówić warunki.

– Tak jest, mój panie.

Halleck odwrócił się i dał znać jednemu z fedajkinów, by zajął jego miejsce przy Paulu.

– Gurneyu – wyszeptał chłopak – ponieważ znów jesteśmy razem, muszę jeszcze usłyszeć od ciebie odpowiedni cytat z okazji dzisiejszych wydarzeń. – Obejrzał się i zobaczył, że mężczyzna przełyka ślinę, że nagle zaciska posępnie szczęki.

– Jak sobie życzysz, mój panie – powiedział Gurney, po czym odchrząknął i przemówił chrapliwie: – „I zwycięstwo dnia tego stało się żałobą wszystkim ludziom, jako że doszła ich wówczas wieść o tym, jak król płakał po stracie syna”.

Paul zamknął oczy, wyrzucając rozpacz ze swoich myśli, odkładając ją na później tak, jak kiedyś odłożył opłakiwanie ojca. Poświęcił uwagę

nagromadzonym tego dnia odkryciom – splątanym drogom przyszłości i potajemnej wizycie Alii w jego jaźni.

Ze wszystkich zastosowań widzenia czasu to było najdziwniejsze. „Rzuciłam wyzwanie przyszłości, by złożyć moje słowa tam, gdzie tylko ty je usłyszysz – powiedziała wtedy Alia. – Nawet ty tego nie potrafisz, mój bracie. To dla mnie interesująca zabawa. I… och, racja… zabiłam naszego dziadka, starego, obłąkanego barona. Bardzo mało cierpiał”.

Cisza. W swoim wyczuciu czasu widział, jak się wycofała.

– Muad’Dibie.

Otworzył oczy i ujrzał nad sobą czarnobrode oblicze Stilgara z płonącym wciąż ogniem bitwy w ciemnych oczach.

– Znaleźliście ciało starego barona – rzekł.

Stilgar oniemiał.

– Skąd możesz wiedzieć? – wyszeptał. – Dopiero co natknęliśmy się na zwłoki w tym ogromnym stosie metalu wzniesionym przez Imperatora.

Paul zignorował pytanie, dostrzegłszy Gurneya wracającego w asyście dwóch Fremenów, którzy przytrzymywali wziętego do niewoli sardaukara.

– Oto jeden z nich, mój panie – powiedział Halleck. Gestem nakazał strażnikom zatrzymać jeńca pięć kroków przed Paulem.

Szkliste oczy sardaukara zdradzały szok. Paul dostrzegł siną pręgę biegnącą od grzbietu jego nosa do kącika ust. Należał do kasty sardaukarów o jasnych włosach i ostrych rysach, które to cechy, jak wydawało się, szły u nich w parze z szarżą, chociaż na poszarpanym mundurze mężczyzny nie było żadnych insygniów prócz złotych guzików z imperialnym herbem i wystrzępionych lampasów na spodniach.

– Myślę, że ten typ jest oficerem, mój panie – powiedział Gurney.

Paul skinął głową.

– Jestem książę Paul Atryda. Czy to dla ciebie jasne, człowieku?

Sardaukar wpatrywał się w niego, nie drgnąwszy nawet.

– Gadaj – rzekł – bo zginie twój Imperator.

Mężczyzna zamrugał i przełknął ślinę.

– Kim jestem? – zapytał chłopak.

– Jesteś książę Paul Atryda – powiedział jeniec zduszonym głosem.

Wydał się Paulowi zanadto uległy, lecz z drugiej strony sardaukarzy nie zostali przygotowani na takie wydarzenia. Znali tylko smak zwycięstwa, co mogło stanowić – uświadomił sobie – słabość samą w sobie. Odłożył tę myśl na później, by uwzględnić ją w swym programie szkoleniowym.

– Chcę, byś przekazał ode mnie wiadomość Imperatorowi – rzekł i ubrał swoją wypowiedź w słowa starożytnej formuły: – Ja, książę wysokiego rodu, krewniak imperialny, daję zgodnie z Konwencją moje słowo jako rękojmię. Jeśli Imperator i jego ludzie złożą broń i przybędą do mnie, ręczę za ich życie swoim życiem. – Uniósł lewą dłoń, aby sardaukar widział książęcy sygnet. – Przysięgam na to.

Mężczyzna zwilżył wargi językiem, zerkając na Gurneya.

– Tak – stwierdził Paul. – Któż jak nie Atryda mógłby się cieszyć hołdem Gurneya Hallecka?

– Zaniosę wiadomość – powiedział sardaukar.

– Zaprowadź go na nasze wysunięte stanowisko dowodzenia i wypraw – nakazał Paul.

– Tak jest, mój panie. – Gurney skinął na eskortę i powiódł ich za sobą.

Młodzieniec odwrócił się do Stilgara.

– Przybyła Chani i twoja matka – oznajmił Fremen. – Chani prosiła, by na jakiś czas zostawić ją z jej rozpaczą. Matka wielebna spędza chwile w magicznym pokoju, nie wiem po co.

– Moja matka cierpi z tęsknoty za planetą, której może nigdy nie zobaczy – rzekł Paul. – Planetą, na której woda pada z niebios, a rośliny wschodzą

tak bujnie, że nie można między nimi przejść.

– Woda z niebios – szepnął Stilgar.

W tym momencie Paul ujrzał, jakiej przemianie uległ Stilgar – z fremeńskiego naiba w istotę oddaną Lisanowi al-Gaibowi, w zwierciadło czci i pokory. To było pomniejszenie człowieka i chłopak wyczuwał w tym widmowy wicher dżihadu.

„Zobaczyłem, jak przyjaciel staje się wyznawcą” – pomyślał.

W przystępie osamotnienia rozejrzał się po sali i dostrzegł, jak akuratna i paradna zrobiła się gwardia w jego obecności. Wychwycił subtelną, chełpliwą rywalizację strażników, nadzieję każdego z nich, że Muad’Dib go zauważy.

„Muad’Dib, od którego spływa wszelka łaska” – pomyślał i była to najbardziej gorzka myśl w jego życiu. „Oni przeczuwają, że muszę sięgnąć po tron – stwierdził – ale nie wiedzą, że robię to, aby zapobiec dżihadowi”.

Stilgar odchrząknął.

– Rabban też zginął – powiedział.

Paul kiwnął głową.

Straże z prawej strony złamały szyk, by zrobić przejście Jessice, i stanęły na baczność. Odziana w czarną abę szła krokiem, który przywodził na myśl chodzenie po piasku, lecz Paul zauważył, że ta rezydencja przywróciła jej coś z tej, którą kiedyś tu była – z konkubiny panującego księcia. W jej postawie były ślady dawnej pewności siebie.

Jessika zatrzymała się przed Paulem i spojrzała na niego. Dostrzegła jego zmęczenie i to, że stara się je ukryć, ale nie znajdowała dla niego współczucia. Czuła się tak, jakby wyprano ją z wszelkich uczuć do syna.

Wkraczając do Wielkiej Sali, zastanawiała się, dlaczego ta nie chce wejść gładko na swoje miejsce w jej wspomnieniach. Pozostała obca, jak gdyby Jessika nigdy tędy nie chadzała, nigdy nie przekroczyła jej ze swym

ukochanym Leto, nigdy nie tkwiła tu przed pijanym Duncanem Idaho – nigdy, nigdy, nigdy…

„Powinien istnieć termin stanowiący przeciwieństwo adab, władczej pamięci – pomyślała. – Powinno istnieć słowo oznaczające wspomnienia, które wypierają się samych siebie”.

– Gdzie Alia? – zapytała.

– Na dworze. Robi to, co każde dobre fremeńskie dziecko powinno robić w takich chwilach – odparł Paul. – Dobija rannych wrogów i oznacza ich ciała dla drużyn wodmistrzów.

– Paulu!

– Musisz zrozumieć, że ona robi to z miłosierdzia – rzekł. – Czy to nie dziwne, jak opacznie rozumiemy ukrytą jedność miłosierdzia i okrucieństwa?

Jessika wpatrywała się w syna, wstrząśnięta jego głęboką przemianą. „Czy to śmierć dziecka tak na niego podziałała?” – zastanowiła się.

– Ludzie opowiadają o tobie dziwne historie, Paulu – rzekła. – Mówią, że masz wszystkie legendarne moce, że nic się przed tobą nie ukryje, że widzisz to, czego inni nie widzą.

– Bene Gesserit pyta o legendy?

– Czymkolwiek jesteś, przyłożyłam do tego rękę – przyznała – ale nie oczekuj ode mnie, że…

– A chciałabyś żyć miliardem miliardów żywotów? – spytał Paul. – Masz tu kanwę swoich legend! Pomyśl o tych wszystkich doświadczeniach, o mądrości, jaka jest w nich zawarta. Lecz mądrość powściąga miłość, nieprawdaż? I nadaje nowy kształt nienawiści. Jak można poznać, co jest bezlitosne, jeśli się nie zgruntuje głębin zarówno okrucieństwa, jak i miłosierdzia? Powinnaś się mnie lękać, matko. Jestem Kwisatz Haderach.

Jessika usiłowała przełknąć ślinę.

– Kiedyś zaprzeczyłeś, jakobyś był Kwisatz Haderach – powiedziała po chwili.

Paul pokręcił głową.

– Niczemu już nie mogę zaprzeczać. – Spojrzał jej w oczy. – Właśnie nadchodzi Imperator ze swymi ludźmi. Zapowiedzą ich lada moment. Stań u mego boku. Chcę im się dobrze przyjrzeć. Moja przyszła narzeczona będzie wśród nich.

– Paulu! – krzyknęła Jessika. – Nie rób błędu, jaki popełnił twój ojciec!

– Ona jest księżniczką – odparł. – Jest moim kluczem do tronu i nigdy nie będzie niczym więcej. Błąd? Sądzisz, że skoro jestem taki, jakim mnie uczyniłaś, to nie potrafię pragnąć zemsty?

– Nawet na niewinnych? – rzuciła i pomyślała: „Jemu nie wolno pobłądzić tak, jak ja pobłądziłam”.

– Nie ma już niewinnych – rzekł Paul.

– Powiedz to Chani. – Jessika wskazała przejście wiodące na tyły rezydencji.

Chani weszła nim do Wielkiej Sali, krocząc między fremeńskimi gwardzistami, jakby ich nie widziała. Kaptur i naczółek filtraka odrzuciła na plecy, maskę miała zsuniętą na bok. Stąpając z kruchą niepewnością, przeszła przez salę i zatrzymała się obok Jessiki.

Paul dostrzegł ślady łez na jej policzkach. „Ona ofiarowuje wilgoć umarłym” – pomyślał. Poczuł przeszywające ukłucie rozpaczy, ale było tak, jakby doznawał jej tylko za sprawą obecności Chani.

– On nie żyje, ukochany – powiedziała Chani. – Nasz syn nie żyje.

Paul dźwignął się na nogi, panując nad sobą siłą woli. Wyciągnął rękę, dotknął policzka Chani i poczuł wilgoć jej łez.

– Nic go nie zastąpi – rzekł – ale będą inni synowie. To ci przyrzeka Usul. – Łagodnie odsunął ją na bok i skinął na Stilgara.

– Muad’Dibie – odezwał się Fremen.

– Nadchodzą ze statku, Imperator i jego ludzie – powiedział Paul. – Ja zostanę tu. Jeńców zbierz na otwartej przestrzeni pośrodku sali. Będą stać dziesięć metrów ode mnie, chyba że wydam inne polecenie.

– Jak każesz, Muad’Dibie.

Kiedy Stilgar oddalał się, by wykonać rozkaz, Paul usłyszał pełne nabożnej trwogi szepty gwardzistów:

– Widzicie? On wiedział! Nikt mu nie mówił, a on wiedział!

Słychać już było nadciąganie orszaku Imperatora. Jego sardaukarzy nucili jedną ze swych marszowych pieśni, by dodać sobie animuszu. Pod drzwiami rozległ się szmer głosów. Gurney Halleck minął straż, poszedł się naradzić ze Stilgarem, po czym zbliżył się do Paula, patrząc nań dziwnie.

„Czy Gurneya też stracę? – zastanawiał się Paul. – Tak jak straciłem Stilgara: pozbywając się przyjaciela w zamian za wyznawcę?”

– Nie mają broni miotającej – powiedział Halleck. – Sam tego dopilnowałem. – Rozejrzał się po sali, oglądając przygotowania Paula. – Jest z nimi Feyd-Rautha Harkonnen. Mam go wyłuskać?

– Zostaw go.

– Są również jacyś ludzie Gildii, którzy domagają się szczególnych przywilejów, grożąc Arrakis embargiem. Przyrzekłem im, że przekażę ci tę wiadomość.

– Niech sobie grożą.

– Paulu! – syknęła za jego plecami Jessika. – On mówi o Gildii!

– Wkrótce przytrę im rogów – odparł chłopak.

I pomyślał o Gildii, o sile, która tak długo się specjalizowała, aż zamieniła się w pasożyta niezdolnego do istnienia bez swego żywiciela. Nigdy nie odważyli się chwycić za broń… i teraz też nie było ich na to stać. Mogli zdobyć Arrakis, kiedy zdali sobie sprawę z pomyłki, jaką było

ograniczenie się do melanżowego narkotyku rozszerzonej świadomości dla nawigatorów. Mogli to zrobić, mogli przeżyć swój dzień chwały i zginąć. Zamiast tego wegetowali z dnia na dzień, mając nadzieję, że przemierzane przez nich oceany zrodzą nowego gospodarza, gdy dotychczasowy umrze.

Nawigatorzy Gildii, mający dar ograniczonego jasnowidzenia, podjęli fatalną decyzję; zawsze obierali pewny, bezpieczny kurs wiodący coraz głębiej w stagnację.

„Niechaj dobrze się przyjrzą swemu nowemu gospodarzowi" – pomyślał Paul.

– Jest też jakaś matka wielebna Bene Gesserit, która powołuje się na przyjaźń z twoją matką – rzekł Gurney.

– Moja matka nie ma żadnych przyjaciółek Bene Gesserit.

Halleck znowu rozejrzał się po Wielkiej Sali, a następnie pochylił Paulowi do ucha.

– Thufir Hawat tam jest, mój panie. Nie miałem okazji spotkać się z nim w cztery oczy, ale za pomocą naszych starych znaków migowych powiadomił mnie, że współpracuje z Harkonnenami, bo myślał, że nie żyjesz.

– Zostawiłeś Thufira z tymi…

– On sam tego chciał… i sądziłem, że tak będzie najlepiej. Jeśli… coś tu nie gra, tam gdzie jest, mamy go na oku. Jeśli wszystko jest w porządku, mamy ucho w obozie przeciwnika.

Paulowi przypomniały się w tym momencie wizje prawdopodobieństw tej chwili, a wśród nich czasolinia z Thufirem trzymającym zatrutą igłę, której na rozkaz Imperatora miał użyć przeciwko „temu parweniuszowi księciu".

Straże rozstąpiły się w drzwiach, formując krótki szpaler lanc. Rozległ się szelest odzieży i zgrzyt piasku nawianego do rezydencji.

Padyszach Imperator Szaddam IV wkroczył do sali na czele swojego orszaku. Stracił gdzieś hełm bursega i rude włosy sterczały mu w nieładzie. Lewy rękaw jego munduru rozpruł się wzdłuż wewnętrznego szwu. Był bez pasa i broni, lecz aura jego obecności działała niczym bąbel pola tarczy, zachowując dookoła pustą przestrzeń.

Fremeńska lanca zagrodziła mu drogę i zatrzymała go tam, gdzie rozkazał Paul. Pozostali zbili się za nim w mozaikę barw, szurania stóp i zagapionych twarzy.

Omiatając spojrzeniem tę gromadę, Paul dostrzegał pozacierane ślady łez u kobiet, widział dworaków, którzy przybyli, by oglądać z bliska zwycięstwo sardaukarów, a teraz stali w milczeniu wstrząśnięci klęską. Zauważył błyszczące ptasie źrenice matki wielebnej Gaius Heleny Mohiam płonące pod czarnym kapturem, u jej boku zaś skrywającego wrogość Feyda-Rauthę Harkonnena.

„Tę twarz objawił mi czas” – pomyślał chłopak.

Jakiś ruch przyciągnął jego wzrok i spojrzał za Feyda-Rauthę. Zobaczył tam wąską, szczurzą twarz, z którą do tej pory nigdy się nie zetknął – ani w czasie, ani poza nim. Czuł, że powinien znać tę twarz, i uczucie to zawierało w sobie sygnał trwogi. „Dlaczego miałbym się bać tego człowieka?” – zdumiał się.

Nachylił się do matki.

– Kim jest ten mężczyzna na lewo od matki wielebnej – szepnął – ten, któremu źle patrzy z oczu?

Spojrzawszy, Jessika rozpoznała twarz z kartoteki swego księcia.

– Hrabia Fenring. Ten, który był tutaj bezpośrednio przed nami. Genetyczny eunuch… i zabójca.

„Imperatorski chłopiec na posyłki” – skonstatował Paul. I owa myśl wstrząsnęła posadami jego świadomości, ponieważ oglądał Imperatora

w nieprzebranych kombinacjach rozrzuconych po prawdopodobnych przyszłościach, lecz hrabia Fenring ani razu nie pojawił się w tych proroczych wizjach.

Przyszło mu nagle na myśl, że widział swoje zwłoki na niezliczonych niciach pajęczyny czasu, jednak nigdy nie widział momentu swej śmierci.

„Czy nie było mi dane spostrzec tego człowieka, gdyż to on właśnie mnie zabije?” – pomyślał.

To podejrzenie napełniło go złym przeczuciem. Oderwał wzrok od Fenringa i przyjrzał się z kolei niedobitkom sardaukarskich żołnierzy i oficerów, twarzom pełnym goryczy i desperacji. Niektóre z nich przykuły na chwilę jego uwagę: oficerowie sardaukarów oceniali przygotowania poczynione w tej sali, jeszcze teraz spiskując i głowiąc się nad sposobem obrócenia klęski w zwycięstwo.

Na koniec spojrzał na wysoką blondynkę o zielonych oczach, której twarz arystokratycznej piękności, klasycznie wyniosła, nieskażona łzami pozostała niepokonana. Poznał ją, nie pytając nikogo – księżniczka tronu, wyszkolona Bene Gesserit, której oblicze pokazywała mu wizja czasu w wielu sytuacjach: Irulana.

„Oto mój klucz” – pomyślał.

Wtem dostrzegł zamieszanie w ciżbie, z której wyłoniły się twarz i postać – Thufir Hawat, jego pomarszczone, starcze rysy, zabarwione ciemno wargi, przygarbione ramiona uginające się pod brzemieniem lat.

– Tam stoi Thufir Hawat – powiedział Paul. – On jest wolny.

– Mój panie? – rzekł Gurney.

– On jest wolny – powtórzył chłopak.

Gurney skinął głową. Hawat wystąpił, utykając, pod uniesioną fremeńską lancą, która opadła za jego plecami. Załzawione oczy spozierały badawczo na Paula, taksując go, czegoś szukając.

Paul zrobił krok do przodu i dotarło do niego pełne napięcia, wyczekujące poruszenie Imperatora i jego ludzi.

Hawat utkwił wzrok za Paulem.

– Lady Jessiko, dopiero dzisiaj się dowiedziałem, jak niesłusznie cię posądziłem – powiedział. – Nie musisz mi wybaczać.

Paul czekał, lecz jego matka zachowała milczenie.

– Thufirze, stary druhu – rzekł chłopak – jak widzisz, nie stoję plecami do żadnych drzwi.

– Wszechświat pełen jest drzwi – odparł Hawat.

– Czy jestem godnym synem swego ojca? – zapytał Paul.

– Bardziej przypominasz dziadka – wychrypiał mentat. – Masz jego postawę i spojrzenie.

– A jednak jestem godnym synem swego ojca – stwierdził Paul. – Bo oto powiadam ci, Thufirze, że w nagrodę za lata służby dla mej rodziny możesz mnie teraz prosić, o co tylko zechcesz. Absolutnie o wszystko. Chcesz mojego życia, Thufirze? Jest twoje. – Z opuszczonymi rękami zrobił drugi krok do przodu, widząc, jak w oczach Hawata pojawia się wyraz zrozumienia. „On ma świadomość, że wiem o zdradzie” – pomyślał. Zniżając głos do szeptu, aby dochodził jedynie do uszu mentata, powiedział: – Mówię poważnie, Thufirze. Jeśli masz uderzyć, zrób to teraz.

– Ja jedynie pragnąłem raz jeszcze stanąć przed tobą, mój książę – rzekł Hawat.

Dopiero teraz Paul zdał sobie sprawę, ile wysiłku wkłada stary mężczyzna w utrzymanie się na nogach. Wyciągnął ręce i otoczył ramiona Hawata, czując drżenie jego mięśni.

– Czy to boli, stary druhu? – zapytał.

– Boli, mój książę – odparł Thufir – ale moja radość jest większa. – Na wpół odwrócił się i wyciągnąwszy w stronę Imperatora lewą rękę dłonią do

góry, pokazał maleńką igłę w zagłębieniu między palcami. – Widzisz, Najjaśniejszy Panie? – zawołał. – Widzisz igłę swojego zdrajcy? Myślałeś, że ja, który poświęciłem swe życie służbie Atrydom, teraz dam im mniej?

Paul zachwiał się, kiedy stary człowiek zwiotczał mu w ramionach. Wyczuł śmierć, jej ostateczny bezwład. Delikatnie złożył Hawata na posadzce, wyprostował się i dał znak straży, by zabrano ciało.

Sala zamarła, gdy spełniano jego polecenie.

Twarz Imperatora zastygła w wyczekiwaniu jak pośmiertna maska. Oczy, które nigdy nie przyznały się do trwogi, zdradziły ją wreszcie.

– Wasza Miłość – rzekł Paul i zauważył zaskoczenie wysokiej księżniczki tronu, która drgnęła i nadstawiła ucha. Słowa zostały wypowiedziane z atonalną modulacją Bene Gesserit, wyrażając wszystkie odcienie pogardy i szyderstwa, jakie chłopak zdołał w nich zawrzeć. „Rzeczywiście wyszkolona Bene Gesserit” – pomyślał.

Imperator odchrząknął.

– Być może mojemu szacownemu krewniakowi wydaje się, że ma już wszystko w garści. Jednak nic bardziej mylnego. Pogwałcił Konwencję, używając broni jądrowej przeciwko…

– Użyłem broni jądrowej przeciwko naturalnej barierze pustyni – rzekł Paul. – Stała mi na drodze, a chciałem jak najszybciej dotrzeć do ciebie, Wasza Miłość, i poprosić o wyjaśnienie niektórych twoich dziwnych posunięć.

– Zmasowana armada wysokich rodów okupuje w tej chwili przestworza nad Arrakis – powiedział Szaddam IV. – Wystarczy jedno moje słowo i…

– Ach, racja – odezwał się Paul. – Prawie o nich zapomniałem. – Przyglądał się świcie Imperatora, aż dostrzegł twarze dwóch gildian i spytał Hallecka na stronie: – Czy to agenci Gildii, Gurneyu, te dwa odziane na szaro grubasy?

– Tak, mój panie.

– Wy dwaj! – Wskazał palcem. – Wyłaźcie stamtąd natychmiast i zawiadomcie tę flotę, że ma wracać do domu. Jak to zrobicie, zwrócicie się do mnie o pozwolenie, zanim…

– Gildia nie słucha twoich rozkazów! – warknął wyższy z mężczyzn.

On i jego towarzysz przecisnęli się do bariery lanc, która uniosła się na skinienie Paula. Gildianie wystąpili i wyższy, mierząc ręką w młodzieńca, powiedział:

– Ani się obejrzysz, jak nałożone zostanie embargo za twoje…

– Jeśli usłyszę jeszcze jakieś bzdury od któregokolwiek z was – oznajmił Paul – wydam rozkaz zniszczenia całej produkcji przyprawy Arrakis… na zawsze.

– Czyś ty oszalał?! – Wysoki gildianin cofnął się o pół kroku.

– Zatem przyznajesz, że mogę to zrobić? – zapytał chłopak.

Wydawało się, że mężczyzna chwilę wpatruje się w przestrzeń, nim odparł:

– Tak, mógłbyś, ale nie wolno ci.

– Ach – rzekł Paul i ze zrozumieniem pokiwał głową. – Nawigatorzy Gildii, obaj, co?

– Tak!

– Oślepiłbyś również siebie i skazał nas wszystkich na powolną śmierć – odezwał się niższy z nich. – Czy masz w ogóle pojęcie, co oznacza pozbawienie przyprawowego likworu już uzależnionego człowieka?

– Oko, które spogląda w przyszłość, czuwając nad bezpiecznym kursem, zamknie się na zawsze – powiedział Paul. – Gildia będzie sparaliżowana. Ludzkość zamieni się w małe, odizolowane mrowiska na swych odizolowanych planetach. Wiecie co, mógłbym to zrobić z czystej złośliwości albo z nudów.

– Pomówmy o tym na osobności – zaproponował wyższy gildianin. – Jestem przekonany, że dojdziemy do jakiegoś kompromisu, to znaczy…

– Przekażcie wiadomość swoim ludziom nad Arrakis – zażądał Paul. – Mam już dosyć tej dyskusji. Jeżeli flota, która jest nad nami, wkrótce nie odleci, nie będziemy mieli o czym gadać. – Wskazał głową swoją grupę łączności pod ścianą. – Możecie skorzystać z naszej aparatury.

– Najpierw musimy to przedyskutować – upierał się wysoki gildianin. – My nie możemy ot, tak sobie…

– Rób, co mówię! – warknął chłopak. – Możliwość zniszczenia czegoś oznacza absolutną władzę nad tym. Przyznaliście, że mam tę możliwość. Nie jesteśmy tu, żeby dyskutować, negocjować czy dochodzić do kompromisów. Wykonacie moje rozkazy albo poniesiecie *natychmiastowe* konsekwencje!

– On mówi poważnie – stwierdził niższy gildianin.

Paul zobaczył, jak ogarnia ich przerażenie. Obaj z wolna powędrowali do fremeńskich urządzeń telekomunikacyjnych.

– Posłuchają? – zapytał Gurney.

– Oni mają dar ograniczonego widzenia czasu – odparł Paul. – Potrafią sięgnąć wzrokiem w przyszłość do ślepej ściany oznaczającej konsekwencje nieposłuszeństwa. Każdy nawigator Gildii na każdym statku nad nami wybiega w przyszłość ku tej samej ścianie. Posłuchają. – Odwrócił się i spojrzał na Imperatora. – Kiedy pozwalali ci zasiąść na tronie twego ojca, zrobili to tylko pod warunkiem, że utrzymasz dopływ przyprawy. Zawiodłeś ich, Wasza Miłość. Wiesz, jakie są tego konsekwencje?

– Nikt mi nie *pozwalał*…

– Przestań udawać głupiego! – warknął Paul. – Gildia przypomina nadrzeczną osadę. Potrzebuje wody, lecz potrafi jedynie czerpać na swoje

potrzeby. Nie może przegrodzić tamą rzeki i panować nad nią, gdyż zwróci uwagę na to, ile czerpie, co prowadzi do ostatecznej ruiny. Dopływ przyprawy jest ową rzeką, ja zaś postawiłem na niej tamę. Ale taką, której nie da się zniszczyć bez zniszczenia rzeki.

Imperator przejechał ręką po rudych włosach i zerknął na plecy dwóch gildian.

– Nawet twoja prawdomówczyni Bene Gesserit drży teraz – powiedział Paul. – Istnieją inne trucizny, które matki wielebne mogły wykorzystywać do swych sztuczek, ale odkąd użyły przyprawowego serum, wszystkie przestały działać.

Stara kobieta wygładziła na sobie czarne, bezkształtne szaty, przepchnęła się do przodu i stanęła przy barierze lanc.

– Matka wielebna Gaius Helena Mohiam – rzekł Paul. – Dużo czasu minęło od Kaladanu, nieprawdaż?

Ominęła go wzrokiem i spojrzała na jego matkę.

– No cóż, Jessiko, widzę, że twój syn jest rzeczywiście tym jedynym. Za to można ci wybaczyć nawet to, że twa córka jest Złym Duchem.

Paul powściągnął zimną wściekłość.

– Nigdy nie miałaś prawa ani powodu wybaczać czegokolwiek mojej matce! – powiedział.

Prawdomówczyni popatrzyła mu w oczy.

– Spróbuj na mnie swoich sztuczek, stara czarownico – rzekł Paul. – Gdzie się podział twój gom dżabbar? Spróbuj sięgnąć wzrokiem w to miejsce, gdzie nie odważysz się spojrzeć! Tam mnie znajdziesz i tam zajrzę ci w ślepia!

Stara kobieta spuściła oczy.

– Nie masz nic do powiedzenia? – zapytał chłopak.

– Przyjęłam cię w poczet ludzi – zamruczała. – Nie pokalaj tego.

– Popatrzcie na nią, towarzysze! – Paul podniósł głos. – To matka wielebna Bene Gesserit, cierpliwa w wymagającej cierpliwości sprawie. Potrafiła ze swymi siostrami czekać przez dziewięćdziesiąt pokoleń, aż właściwe połączenie genów i środowiska wyda tego jednego jedynego osobnika niezbędnego do ich knowań. Popatrzcie na nią! Ona już wie, że dziewięćdziesiąt pokoleń zrodziło tego osobnika. Oto ja… stoję tu… ale nigdy… nie będę… posłuszny… jej rozkazom!

– Jessiko! – krzyknęła stara kobieta. – Ucisz go!

– Sama go ucisz – odparła Jessika.

Paul utkwił w prawdomówczyni pełne nienawiści spojrzenie.

– Za twój udział w tym wszystkim najchętniej kazałbym cię udusić – rzekł. – Nie mogłabyś temu zapobiec! – dodał, widząc, że zesztywniała z wściekłości. – Ale uważam, że większą karę poniesiesz, dożywając swych dni i nie będąc w stanie położyć na mnie ręki ani nagiąć mnie choćby w najdrobniejszej sprawie do swoich intryg.

– Jessiko, coś ty uczyniła? – zapytała starucha.

– Jedno ci tylko przyznam – ciągnął Paul. – Wyście odkryły część tego, co niezbędne jest naszej rasie, ale jakże źle to postrzegałyście. Chcecie kierować hodowlą ludzi i krzyżować paru wybrańców według swego nadrzędnego planu! Jak niewiele rozumiecie z tego, co…

– Nie wolno ci mówić o tych sprawach! – syknęła stara.

– Milcz! – ryknął Paul.

Wydawało się, że słowo to, wirując w powietrzu między nimi, tężeje z woli Paula w kamień. Stara zatoczyła się w ramiona tych, którzy stali za nią, a jej twarz zbielała pod wpływem wstrząsu wywołanego siłą, z jaką Paul zawładnął jej duszą.

– Jessiko – wyszeptała. – Jessiko.

– Ja pamiętam twój gom dżabbar – rzekł Paul. – Ty zapamiętaj mój. Mogę cię zabić jednym słowem!

Rozstawieni wokół sali Fremeni popatrzyli po sobie porozumiewawczo. Czyż legenda nie głosiła: „A słowa jego nieść będą wieczną śmierć tym, którzy obrócą się przeciwko sprawiedliwości”?

Paul skupił uwagę na wysokiej księżniczce tronu, która stała u boku swego ojca Imperatora. Nie odrywając od niej wzroku, powiedział:

– Wasza Miłość, obaj znamy wyjście z tej trudnej sytuacji.

Imperator zerknął najpierw na córkę, potem na Paula.

– Ośmielasz się? Ty! Włóczęga bez rodziny, takie nic z…

– Już stwierdziłeś, kim jestem – wtrącił chłopak. – Królewskim krewniakiem, jak sam powiedziałeś. Skończmy z tym nonsensem.

– Jestem twoim władcą – oświadczył Imperator.

Paul rzucił okiem na gildian stojących przodem do niego przy aparaturze telekomunikacyjnej. Jeden z nich skinął głową.

– Mógłbym przeprowadzić to siłą – rzekł chłopak.

– Nie ośmielisz się! – syknął Szaddam IV.

Paul tylko mu się przyglądał.

Księżniczka tronu położyła dłoń na ramieniu Imperatora.

– Ojcze. – Jej głos był miękki jak jedwab, kojący.

– Nie próbuj na mnie swoich sztuczek – rzekł Szaddam IV, po czym spojrzał na nią. – Nie musisz tego robić, córko. Mamy inne możliwości, aby…

– Ale tu oto jest mężczyzna, który nadaje się na twego syna – odparła.

Stara matka wielebna, odzyskawszy już panowanie nad sobą, przecisnęła się do Imperatora, nachyliła do jego ucha i zaczęła coś szeptać.

– Wstawia się za tobą – powiedziała Jessika.

Paul nie spuszczał oczu ze złotowłosej księżniczki.

– To Irulana, najstarsza, prawda? – spytał matkę półgłosem.

– Tak.

Chani zbliżyła się do niego z drugiej strony.

– Życzysz sobie, abym odeszła, Muad’Dibie?

Spojrzał na nią.

– Odeszła? Ty już nigdy ode mnie nie odejdziesz.

– Nic nas nie wiąże – powiedziała Chani.

Przez chwilę jedynie patrzył na nią.

– Kiedy rozmawiasz ze mną, mów tylko prawdę, Sihajo. – Otwierała usta, ale zamknął je, kładąc palec na jej wargach. – Tego, co nas wiąże, nie da się rozwiązać – rzekł. – Przypatruj się teraz temu wszystkiemu dokładnie, ponieważ chciałbym później zobaczyć tę salę poprzez twą mądrość.

Imperator i jego prawdomówczyni toczyli po cichu ożywiony spór.

– Ona mu przypomina – Paul zwrócił się do matki – że osadzenie Bene Gesserit na tronie stanowi część ich umowy i że Irulana jest tą, którą do tego przysposobili.

– Czyżby taki był ich plan? – spytała Jessika.

– Czy to nie oczywiste? – odpowiedział pytaniem.

– Trudno tego nie zauważyć! – odburknęła Jessika. – Moje pytanie miało ci tylko przypomnieć, że nie powinieneś pouczać mnie w sprawach, których sama cię uczyłam.

Paul rzucił na nią okiem i dostrzegł chłodny uśmieszek na jej ustach.

Gurney Halleck nachylił się pomiędzy nimi.

– Przypominam ci, mój panie, że w tej bandzie jest Harkonnen. – Ruchem głowy wskazał w lewo, gdzie przyparty do bariery lanc stał ciemnowłosy Feyd-Rautha. – Ten zezowaty z lewej strony. Takiej złej gęby jeszcze nie widziałem. Obiecałeś mi kiedyś, że…

– Dziękuję ci, Gurneyu – powiedział Paul.

– To na-baron… Teraz już baron, odkąd stary nie żyje – mówił Halleck. – Wystarczy na to, co noszę w…

– Dasz mu radę, Gurneyu?

– Mój pan żartuje!

– Nie sądzisz, matko, że ta kłótnia Imperatora z jego czarownicą ciągnie się już zbyt długo? – powiedział Paul.

Skinęła głową.

– Zaiste.

– Wasza Miłość, czy jest wśród was jakiś Harkonnen? – zawołał chłopak podniesionym głosem.

W sposobie, w jaki Imperator odwrócił się i popatrzył na Paula, objawiła się królewska wzgarda.

– Wydawało mi się, że mój dwór jest pod ochroną twojego książęcego słowa – rzekł.

– Pytam tylko dla informacji – stwierdził Paul. – Chciałbym się dowiedzieć, czy Harkonnen oficjalnie należy do twojej świty czy też ze zwykłego tchórzostwa wykorzystuje kruczki prawne.

Imperator zamaskował uśmiechem chłodną kalkulację.

– Każdy przyjęty do otoczenia Imperatora jest członkiem jego świty.

– Masz słowo księcia – odparł Paul – ale Muad’Dib to co innego. *On* może nie zgodzić się z twoją definicją świty. Mój przyjaciel Gurney Halleck pragnie zabić Harkonnena. Jeżeli on…

– Kanly! – zawołał Feyd-Rautha i naparł na zagradzającą mu drogę lancę. – Twój ojciec ogłosił tę wendetę, Atrydo. Nazywasz mnie tchórzem, a sam chowasz się między kobietami i chcesz wystawić przeciwko mnie swego sługusa!

Stara prawdomówczyni szepnęła coś Imperatorowi do ucha, lecz on odtrącił ją.

– Więc tu chodzi o kanly? W kanly obowiązują ścisłe reguły – rzekł.

– Paulu, połóż temu kres – odezwała się Jessika.

– Mój panie – powiedział Gurney – przyrzekłeś mi dzień rozprawy z Harkonnenami.

– Miałeś swój dzień rozprawy z nimi – odparł Paul i uświadomił sobie, że błazeńska brawura bierze górę nad jego emocjami. Zsunął kaptur i płaszcz z ramion, wręczył matce wraz z pasem oraz krysnożem i zaczął rozpinać filtrak. Czuł, jak wszechświat koncentruje się na tej chwili.

– To nie jest konieczne – stwierdziła Jessika. – Są łatwiejsze sposoby, Paulu.

Uwolnił się z filtraka i wyjął krysnóż z trzymanej przez nią pochwy.

– Wiem – odparł. – Trucizna, asasyn, wszystkie te dobre, stare sposoby.

– Przyrzekłeś mi Harkonnena! – wysyczał rozwścieczony Gurney i Paul ujrzał, jak blizna po krwawinie zarysowała się wyraźniej na jego twarzy, ciemna i pofałdowana. – Jesteś mi to winien, mój panie!

– Czyżbyś wycierpiał od nich więcej niż ja? – zapytał Paul.

– Moja siostra – zazgrzytał Gurney. – Moje lata w niewolniczych sztolniach…

– Mój ojciec – powiedział chłopak. – Moi najlepsi przyjaciele i towarzysze, Thufir Hawat i Duncan Idaho, moje lata w roli uciekiniera bez pozycji społecznej i wsparcia… I jeszcze jedno: teraz to już kanly, a równie dobrze jak ja znasz reguły, którym musimy się podporządkować.

Halleckowi opadły ramiona.

– Mój panie, jeśli ta świnia… toż to zwyczajne bydlę, które należy odrzucić kopniakiem, po czym wywalić but, bo został splugawiony. Jeśli

nie można inaczej, wezwij kata lub daj mi to załatwić, ale nie zgłaszaj się sam…

– Muad’Dib nie musi tego robić – powiedziała Chani.

Spojrzał na nią i jej oczy zdradziły mu, że boi się o niego.

– Ale książę Paul musi – rzekł.

– To harkonneńskie bydlę! – zazgrzytał Gurney.

Paul się zawahał. Był o włos od ujawnienia swojej harkonneńskiej krwi, lecz powstrzymało go ostre spojrzenie matki i powiedział jedynie:

– Ale ta istota ma ludzką postać, Gurneyu, i należy jej się dobrodziejstwo wątpliwości.

– Jeśli on tylko spróbuje…

– Proszę, zejdź mi z drogi – rzekł Paul. Zważył w dłoni krysnóż i łagodnie odepchnął Hallecka.

– Gurneyu! – powiedziała Jessika, dotykając jego ramienia. – On jest w tym nastroju taki jak jego dziadek. Nie rozpraszaj go. To jedyna rzecz, jaką możemy w tej chwili dla niego zrobić. – I pomyślała: „Wielka Macierzy! Cóż za ironia”.

Imperator przyglądał się badawczo Feydowi-Raucie, mierząc wzrokiem jego szerokie bary i potężne mięśnie. Przeniósł spojrzenie na Paula – młokos niczym pejcz, nie tak wysuszony jak arrakijscy tubylcy, ale można mu było policzyć żebra, a na zapadniętych bokach prześledzić fałdy i wiązania mięśni pod skórą.

Jessika nachyliła się do Paula, modulując głos tylko dla jego ucha.

– Jeszcze jedno, synu. Czasami Bene Gesserit urabia niebezpiecznego osobnika. Wykorzystując stare metody rozkoszy i bólu, umieszcza w najgłębszych zakamarkach jego umysłu jakieś słowo. Najczęściej stosowane słowo brzmi „urosznor”. Jeżeli ten typ został urobiony, co

wydaje się pewne, wystarczy wyszeptać mu to słowo do ucha, a jego mięśnie zwiotczeją i…

– Nie chcę żadnej nadzwyczajnej przewagi nad nim – oświadczył Paul. – Usuń mi się z drogi.

– Dlaczego on to robi? – zapytał Gurney. – Zamierza dać się zabić, by zostać męczennikiem? Czy to te fremeńskie bajdy religijne odbierają mu zdrowy rozsądek?

Jessika ukryła twarz w dłoniach, zdając sobie sprawę, że właściwie nie pojmuje, dlaczego jej syn idzie tą drogą. Wyczuwała na tej sali śmierć i wiedziała, że odmieniony Paul jest zdolny do czegoś takiego, co sugerował Gurney. Wszystkie jej moce ześrodkowały się na konieczności ochrony syna, lecz nie mogła nic zrobić.

– Czy to te religijne bajdy? – nalegał Gurney.

– Cicho bądź – wyszeptała. – I się módl.

Na twarzy Imperatora zagościł niespodziewany uśmiech.

– Skoro Feyd-Rautha Harkonnen… z mojej świty… tak sobie życzy – powiedział – zwalniam go z wszelkiej powinności i daję mu w tej sprawie wolną rękę. – Machnął dłonią w stronę fedajkińskiej gwardii Paula. – Któryś z twej hałastry trzyma mój pas i krótkie ostrze. Jeśli Feyd-Rautha nie ma nic przeciwko temu, może stanąć do walki z moją bronią w dłoni.

– Nie mam nic przeciwko temu – rzekł Feyd-Rautha.

Paul dostrzegł na jego twarzy upojenie. „Jest zbyt pewny siebie – pomyślał. – Tę naturalną przewagę mogę zaakceptować”.

– Dajcie nóż Imperatora – rozkazał i przyglądał się wykonaniu swego polecenia. – Połóżcie go tam, na podłodze. – Wskazał stopą miejsce. – Odsuńcie imperialną hałastrę pod ścianę i niech Harkonnen stanie na wolnej przestrzeni.

Furkot dżubb, szuranie stóp, ciche komendy i protesty towarzyszyły spełnieniu rozkazu Paula. Gildianie pozostali w pobliżu stanowiska łączności. Wyraźnie niezdecydowani, obrzucali chłopaka chmurnymi spojrzeniami.

„Przywykli widzieć przyszłość – stwierdził Paul. – W tym miejscu i w tej chwili są ślepi… tak zresztą jak i ja”.

Sprawdził wichry czasu, wyczuwając kipiel, zawieruchę przyczyn i skutków zogniskowanych w tym momencie i miejscu. Podomykały się już nawet nikłe szczeliny. Wiedział, że tu oto był nienarodzony dżihad. Tu oto była świadomość rasy, którą poznał kiedyś jako swoje straszliwe przeznaczenie. Tu oto było uzasadnienie dla Kwisatz Haderach, Lisana al-Gaiba czy nawet dla chromych knowań Bene Gesserit. Rasa ludzka przeczuwała swoje odrętwienie, czuła, że się dusi i że potrzebuje już tylko zamętu, w którym zmieszają się geny i który przeżyją silne, nowe krzyżówki. Cała ludzkość żyła w tym momencie jak jeden nieświadomy organizm ogarnięty czymś w rodzaju seksualnej gorączki zdolnej przełamać wszelkie bariery.

I Paul zrozumiał, jak daremne były wszystkie jego wysiłki dokonania w tym choćby najmniejszej zmiany. Myślał, że zatrzyma dżihad na drogach swej jaźni, lecz dżihad nadejdzie. Jego legiony wyruszą z Arrakis, nawet gdyby go zabrakło. Im potrzebna była jedynie legenda, którą on już został. Pokazał im drogę, dał im władzę nawet nad Gildią, która nie może istnieć bez przyprawy.

Ogarnęło go poczucie klęski i poprzez nie zobaczył, że Feyd-Rautha wyśliznął się z poszarpanego munduru i rozebrał do zapaśniczego pasa wzmocnionego kolczugą.

„To kulminacja – myślał Paul. – Stąd roztoczy się przyszłość, chmury rozstąpią się ponad czymś na kształt chwały. Jeśli tu zginę, powiedzą, że

złożyłem siebie w ofierze, aby mój duch ich poprowadził. A jeśli będę żył, powiedzą, że nic nie oprze się Muad'Dibowi".

– Czy Atryda gotów? – zawołał Feyd-Rautha słowami starożytnego rytuału kanly.

Paul zdecydował się odpowiedzieć zwyczajem fremeńskim.

– Niechaj pęknie i pryśnie twój nóż!

Wskazał leżące na podłodze ostrze Imperatora, dając znać, by Harkonnen zbliżył się i je podjął.

Nie spuszczając Paula z oczu, Feyd-Rautha podniósł nóż i chwilę sprawdzał, jak leży w dłoni. Płonął podnieceniem. To była walka, o jakiej śnił: męski pojedynek, zręczność przeciw zręczności, bez żadnych tarcz. Widział otwierającą się przed nim drogę do władzy, bo przecież Imperator z pewnością wynagrodzi zabójcę tego kłopotliwego księcia. Nagrodą może być nawet ta jego harda córunia i miejsce na tronie. Ów książę prostak zaś, ten awanturnik z krańców świata, nie może stanowić godnego przeciwnika dla Harkonnena, który na setkach aren poznał wszystkie możliwe sztuczki i podstępy. I prostak ten nie mógł się dowiedzieć, że nie tylko nożowi ma tu stawić czoło.

„Przekonajmy się, czy jesteś odporny na truciznę!" – pomyślał Feyd-Rautha. Zasalutował Paulowi imperatorską klingą i rzekł:

– Spotkaj swą śmierć, głupcze.

– Może zaczniemy walczyć, krewniaku? – zapytał Paul. I ruszył do przodu kocim krokiem, nie spuszczając oczu z czekającego nań ostrza, nisko pochylony i z mlecznobiałym krysnożem stanowiącym przedłużenie ramienia.

Krążyli wokół siebie, a bose stopy szurały po posadzce, podczas gdy oczy czujnie wypatrywały najmniejszej sposobności.

– Jak pięknie tańcujesz – powiedział Feyd-Rautha.

„Jest gadułą – stwierdził Paul. – Następna słabość. Cisza źle na niego podziała”.

– Byłeś u spowiedzi? – zapytał Harkonnen.

Paul nadal obchodził go w milczeniu. A stara matka wielebna zaczęła drżeć, patrząc na ten pojedynek z ciżby imperatorskiej świty. Młody Atryda nazwał Harkonnena krewniakiem. To mogło znaczyć tylko jedno: że wiedział o ich wspólnych przodkach. Rzecz rozumiała się sama przez się, skoro był Kwisatz Haderach, lecz jego słowa zmusiły ją do skoncentrowania się na jedynej sprawie, która miała dla niej w tym wszystkim znaczenie.

Tutaj mógł się zawalić plan eugeniczny Bene Gesserit.

Coś z tego, co widział Paul, dostrzegała i ona: że Feyd-Rautha może zabić, ale nie może zwyciężyć. Inna jednak myśl prawie ją załamała. W walce na śmierć i życie stanęły naprzeciw siebie dwa końcowe produkty tego długiego, kosztownego programu i oba mogły zginąć. Jeśli padną tu obaj, pozostanie tylko córka z nieprawego łoża Feyda-Rauthy, jeszcze dziecko, czynnik nieznany i nieuchwytny, oraz Alia, Zły Duch.

– Może wy tutaj macie same pogańskie obrządki – odezwał się Feyd-Rautha. – Chciałbyś, aby prawdomówczyni Imperatora przygotowała twą duszę do drogi?

Paul uśmiechnął się, okrążając go w prawo, czujny, wyzbyty czarnych myśli, które ustąpiły przed wymogami chwili.

Harkonnen skoczył, jego prawa ręka wykonała fintę, lecz błyskawicznie przerzucony nóż znajdował się w lewej.

Paul uchylił się z łatwością, zauważając w pchnięciu charakterystyczne dla tarczowego nawyku spowolnienie. Jednak widywał silniejsze nawyki i wyczuwał, że Feyd-Rautha potykał się już z przeciwnikami bez tarczy.

– Atryda ucieka czy staje do walki? – zapytał Feyd-Rautha.

Paul zaczął znów krążyć w milczeniu. Przypomniały mu się słowa Idaho, słowa nauki wypowiedziane dawno temu na parkiecie szermierczym na Kaladanie: „Wykorzystaj pierwsze momenty na obserwację. Możesz przez to stracić okazję do szybkiego zwycięstwa, lecz chwile obserwacji są gwarancją sukcesu. Nie spiesz się i bądź pewny swego”.

– Być może sądzisz, że te pląsy przedłużają ci o parę chwil życie – powiedział Feyd-Rautha. – Niech ci będzie. – Przestał krążyć i się wyprostował.

Paul zobaczył dosyć jak na wstępną ocenę. Feyd-Rautha obracał się w lewo, wystawiając prawe biodro, jakby kolczugowy pas zapaśniczy potrafił osłonić cały jego bok. Tak postępował człowiek szkolony z tarczą i nożem w każdej ręce.

Albo… Paul się zawahał… Pas był czymś więcej, niż się zdawało.

Harkonnen sprawiał wrażenie zbyt pewnego siebie w walce z człowiekiem, który tego dnia powiódł swoje oddziały do zwycięstwa nad legionami sardaukarów.

Feyd-Rautha dostrzegł to wahanie.

– Po co przedłużać nieuniknione? Tylko opóźniasz wyegzekwowanie moich praw do tej kuli piasku.

„Jeśli to żądło – myślał Paul – to wyjątkowo przemyślne. Na pasie nie widać żadnych śladów manipulacji”.

– Dlaczego milczysz? – spytał Harkonnen.

Chłopak ponownie ruszył na swój rekonesans, chłodnym uśmiechem kwitując zaniepokojenie w głosie Feyda-Rauthy – znak, że wzmaga się presja ciszy.

– Śmiejesz się, co? – zapytał Feyd-Rautha i skoczył w połowie zdania.

Spodziewając się lekkiego spowolnienia, Paul ledwo zdążył uniknąć opadającego ostrza. Poczuł, jak sztych przejeżdża mu po lewym ramieniu.

Uśmierzył ostry ból w miejscu draśnięcia i nagle zrozumiał, że wcześniejsze wahanie było podstępem – hiperfintą. Miał trudniejszego przeciwnika, niż się spodziewał. Czekały go pułapki wewnątrz pułapek w pułapkach.

– Twój Thufir Hawat nauczył mnie pewnych rzeczy – oświadczył Feyd-Rautha. – On pierwszy naznaczył mnie krwią. Wielka szkoda, że stary dureń nie dożył tego widoku.

I Paul wspomniał, co powiedział kiedyś Idaho: „Spodziewaj się tylko tego, co się dzieje w walce. W ten sposób nigdy nic cię nie zaskoczy”.

Na nowo zaczęli krążyć wokół siebie, pochyleni, czujni.

Paul dostrzegł u swego przeciwnika nawrót tryumfalnego uniesienia i zastanawiał się nad tym. Czyżby to draśnięcie znaczyło tak wiele dla tego człowieka? Chyba że w ostrzu była trucizna! Ale jakim cudem? Ta broń przeszła przez ręce jego ludzi, którzy sprawdzili ją przed walką. Byli zbyt dobrze wyszkoleni, aby tak oczywista rzecz uszła ich uwagi.

– Ta kobieta, z którą gadałeś – rzekł Feyd-Rautha. – To maleństwo. Czy to twoja faworyta? A może maskotka? Zasługuje na to, bym obdarzył ją szczególnymi względami?

Paul nie odzywał się, badając wewnętrznymi zmysłami krew z rany. Odkrył ślady środka nasennego z imperatorskiej klingi. Przestawił swój metabolizm tak, by zlikwidować zagrożenie i zmienić cząsteczki substancji, ale przenikał go dreszcz niepewności.

Mieli na klindze gotowy środek nasenny.

Środek nasenny.

Nic, na co zareagowałby wykrywacz trucizny, lecz na tyle mocny, by zwolnić działanie mięśni, do których dojdzie. Jego wrogowie mieli własne plany w planach, własną paletę podstępów.

Feyd-Rautha ponownie skoczył i uderzył.

Z zastygłym na twarzy uśmiechem Paul odpowiedział ospale, jakby spowolniony narkotykiem, i wykonawszy w ostatniej chwili unik, wziął jego ramię w locie na sztych krysnoża.

Harkonnen uchylił się w bok, umknął i zwiększył dystans, przerzucając nóż do drugiej ręki z takim opanowaniem, że jedynie lekko zbielała broda zdradzała pieczenie kwasu w zadanej przez Paula ranie. „Niech i on ma swój moment niepewności – myślał chłopak. – Niech podejrzewa truciznę".

– Zdrada! – wrzasnął Feyd-Rautha. – On mnie otruł! Czuję truciznę w ramieniu!

Paul odrzucił maskę milczenia.

– To zaledwie odrobina kwasu w rewanżu za środek nasenny na klindze Imperatora.

Feyd-Rautha odpowiedział mu równie chłodnym uśmiechem i wzniósł lewą dłoń z nożem w szyderczym pozdrowieniu. Za ostrzem płonęły furią jego oczy. Paul także przełożył broń do lewej dłoni. Znowu krążyli, badając się nawzajem.

Feyd-Rautha zaczął zmniejszać odległość między nimi, podkradając się z uniesionym wysoko nożem. W jego przymrużonych oczach i zaciśniętych szczękach widać było wściekłość. Wykonał fintę z wyminięciem w prawo i obejście dołem, po czym zwarli się, trzymając się za ręce z nożami i mocując.

Paul, baczący na prawe biodro przeciwnika, gdzie podejrzewał zatrute żądło, wymusił obrót w prawo. O mało nie przeoczył końca igły wyskakującej spod krawędzi pasa. Przemieszczenie się i cofnięcie Feyda-Rauthy ostrzegły go. Maleńka igła chybiła o włos.

„Na lewym biodrze! – pomyślał i przypomniał sobie: – Pułapka wewnątrz pułapki w pułapce".

Zgodnie ze szkoleniem Bene Gesserit zwiotczał, by wykorzystać odruch Feyda-Rauthy, ale konieczność uniknięcia drobnej igły sterczącej z biodra przeciwnika zachwiała nim na tyle, że źle postawił nogę i znalazł się na podłodze przed Harkonnenem.

– Widzisz to na moim biodrze? – wyszeptał Feyd-Rautha. – To twoja śmierć, głupcze. – I zaczął się obracać, coraz bardziej zbliżając zatrutą igłę do Paula. – To ci sparaliżuje mięśnie, a mój nóż z tobą skończy. Nie będzie żadnego śladu!

Paul naprężył mięśnie, słysząc w umyśle bezgłośne krzyki swych przodków obecnych w komórkach jego ciała, którzy domagali się, by użył owego tajemnego słowa, by obezwładnił Feyda-Rauthę, by ocalił siebie.

– Nie powiem tego! – wydyszał.

Feyd-Rautha wytrzeszczył na niego oczy i zawahał się przez moment. To wystarczyło, by Paul odkrył brak stabilności jednej z nóg przeciwnika, i ich pozycja się odwróciła. Harkonnen leżał teraz częściowo pod nim, z prawym biodrem sterczącym do góry, nie mogąc obrócić się z powodu maleńkiej igły, której czubek utknął w podłodze.

Paul oswobodził lewą rękę, tym łatwiej, że była śliska od krwi płynącej z ramienia, i pchnął silnie nożem Feyda-Rauthę pod brodę. Sztych dotarł do mózgu. Harkonnen szarpnął się i legł bezwładnie, nadal z lekka na boku, tak jak zahaczył igłą o podłoże.

Paul odepchnął się i dźwignął na nogi, oddychając głęboko, by odzyskać spokój. Stanął nad zwłokami z nożem w dłoni i z rozmyślną opieszałością spojrzał przez salę na Imperatora.

– Wasza Miłość – powiedział – twoje siły stopniały o jeszcze jednego. Czy zaczniemy teraz ciuciubabkę wybiegów i wykrętów? A może będziemy omawiać to, co i tak nastąpi? Twoja córka wyjdzie za mnie, a przed Atrydą otworzy się droga do tronu.

Imperator odwrócił się i spojrzał na hrabiego Fenringa. Hrabia nie spuścił wzroku – szare oczy starły się z zielonymi. Przesłanie było czytelne; znali się tak długo, że rozumieli się bez słów. „Zabij mi tego pariasa – mówił Imperator. – Ten Atryda jest młody i sprawny, to prawda, ale jest także zmęczony po długim wysiłku, a dla ciebie to i tak żaden przeciwnik. Wyzwij go teraz… wiesz, jak się to robi. Zabij go”.

Fenring poruszył głową i obracał ją centymetr po centymetrze, aż spojrzał w twarz Paulowi.

– Załatw go! – syknął Imperator.

Hrabia skupił się na Paulu, spoglądając oczami, które jego lady Margot wyszkoliła w metodzie Bene Gesserit, świadom tajemnicy i majestatu ukrytych w tym atrydzkim gołowąsie.

„Mógłbym go zabić” – pomyślał i wiedział, że naprawdę mógłby.

Coś w głębiach nieświadomości wstrzymało wtedy hrabiego i na krótko, niedostatecznie, mignął mu obraz przewagi, jaką miał nad Paulem: rodzaj czapki niewidki skrywającej go przed młodzieńcem, zagadkowość osoby i motywów, których nie jest w stanie przeniknąć żadne oko.

Domyślając się tego częściowo po zamęcie w ogniwie przyczyn i skutków, Paul wreszcie zrozumiał, dlaczego nigdy nie widział Fenringa w sieciach przyszłości. Fenring był jednym z niewypałów – omalże Kwisatz Haderach, dotknięty jakąś skazą w łańcuchu genetycznym – eunuchem, którego talenty skoncentrowały się w ukradkowości i wewnętrznej izolacji. Ogarnęła go głęboka litość dla hrabiego, świadomość braterstwa, którego zaznał po raz pierwszy.

Odbierając te uczucia, Fenring rzekł:

– Najjaśniejszy Panie, muszę odmówić.

Szaddama IV poniosła wściekłość. Zrobił dwa błyskawiczne kroki wśród swojej świty i wymierzył hrabiemu siarczysty policzek.

Ciemny rumieniec rozlał się po twarzy Fenringa. Spojrzał Imperatorowi prosto w oczy i rozmyślnie beznamiętnym tonem powiedział:

– Byliśmy przyjaciółmi, Najjaśniejszy Panie. To, co teraz robię, zawdzięczasz tej przyjaźni. Zapomnę, że mnie uderzyłeś.

Paul odchrząknął.

– Mówiliśmy o tronie, Wasza Miłość – odezwał się.

Imperator odwrócił się gwałtownie i zmierzył go nienawistnym spojrzeniem.

– Ja zasiadam na tronie! – warknął.

– Postawimy ci jakiś tron na Salusie Secundusie – rzekł chłopak.

– Złożyłem broń i przybyłem tu na podstawie danego przez ciebie słowa! – zawołał Imperator. – Ośmielasz się grozić mi…

– Jesteś przy mnie bezpieczny – odparł Paul. – Atryda dał słowo. Jednak Muad’Dib skazuje cię na twoją planetę więzienną. Ale nie lękaj się, Wasza Miłość. Złagodzę surowość tego miejsca, wykorzystując wszelkie dostępne mi środki. Stanie się ono planetą-ogrodem pełną miłych rzeczy.

Kiedy ukryty sens słów Paula dotarł do niego, Imperator rzucił mu przez salę spojrzenie bazyliszka.

– Teraz widzimy twoje prawdziwe motywy – powiedział szyderczo.

– Istotnie – rzekł Paul.

– A co z Arrakis? – spytał Szaddam IV. – Druga planeta-ogród pełna miłych rzeczy?

– Fremeni mają słowo Muad’Diba – oznajmił chłopak. – Będzie tu woda płynąca pod gołym niebem i będą zielone oazy pełne wszelkiego dobra. Ale musimy także myśleć o przyprawie. Przeto zawsze będzie na Arrakis pustynia… i srogie wichry, i ciężkie niedole hartujące ludzi. My, Fremeni, mawiamy: „Bóg stworzył Arrakis, by ćwiczyć wiernych”. Nie można się sprzeciwiać woli Boga.

Tym razem stara prawdomówczyni, matka wielebna Gaius Helena Mohiam, miała swój obraz ukrytego znaczenia słów Paula. Dostrzegła dżihad.

– Nie możesz poszczuć tych ludzi na wszechświat! – powiedziała.

– Przypomnij sobie łagodne metody sardaukarów! – warknął Paul.

– Nie możesz – wyszeptała.

– Jesteś prawdomówczynią – rzekł chłopak. – Zrewiduj swoje słowa. – Rzucił okiem na księżniczkę tronu, a potem popatrzył na Imperatora. – Im prędzej, tym lepiej, Wasza Miłość.

Imperator spojrzał ponuro na córkę.

– Do tego mnie wyszkolono, ojcze – powiedziała kojąco, dotknąwszy jego ramienia.

Zaczerpnął głęboko powietrza.

– Nie możesz odwlekać tej sprawy – szepnęła stara prawdomówczyni.

Szaddam IV się wyprostował. Stał sztywno, jakby musiał pamiętać o godnej postawie.

– Kto będzie pertraktował w twoim imieniu, krewniaku? – zapytał.

Paul odwrócił się i zobaczył matkę z opuszczonymi powiekami stojącą wraz z Chani wśród fedajkińskiej straży przybocznej. Podszedł do nich, zatrzymał się i popatrzył z góry na Chani.

– Rozumiem powody – wyszeptała dziewczyna. – Skoro tak być musi… Usulu.

Słysząc, że skrywa łzy, Paul pogłaskał ją po policzku.

– Moja Sihaja nie musi się obawiać, przenigdy – szepnął. Opuścił rękę i zwrócił się do matki. – Ty będziesz pertraktować w moim imieniu, z Chani u boku. Ona ma mądrość i bystre oczy. I jak ktoś słusznie powiedział, nikt nie targuje się zajadlej od Fremena. Ona będzie patrzeć

oczami miłości do mnie i myśleć o swoich synach, którzy przyjdą na świat, o ich przyszłych potrzebach. Słuchaj jej.

Jessika wyczuła w synu surowe wyrachowanie i opanowała drżenie.

– Jakie dajesz instrukcje? – spytała.

– Cały imperatorski portfel akcji kompanii KHOAM jako wiano – rzekł.

– Cały? – Prawie zaniemówiła z wrażenia.

– On ma zostać goły. Chcę też godności earla i kierownictwa KHOAM dla Gurneya Hallecka oraz nadania mu w lenno Kaladanu. Będą również tytuły i towarzysząca im władza dla każdego z pozostałych przy życiu ludzi Atrydów, nie wyłączając najprostszego żołnierza.

– Co z Fremenami? – zapytała Jessika.

– Fremeni są moi – odparł. – To, co otrzymają, powinno pochodzić od Muad'Diba. Wszystko zacznie się od Stilgara jako gubernatora Arrakis, ale na to jest jeszcze czas.

– A dla mnie?

– Jest coś, czego pragniesz?

– Może Kaladan – odparła, patrząc na Gurneya. – Sama nie wiem. Stałam się za bardzo Fremenką… i matką wielebną. Potrzebuję czasu i spokoju do namysłu.

– Tego ci nie zabraknie – rzekł Paul. – I niczego, co Gurney lub ja możemy ci dać.

Jessika skinęła głową, czując nagle, że jest stara i zmęczona. Spojrzała na Chani.

– A dla królewskiej konkubiny?

– Nie chcę żadnego tytułu – wyszeptała Chani. – Niczego. Błagam cię.

Paul spojrzał z góry w jej oczy, znienacka przypominając sobie, jak stała kiedyś z maleńkim Leto w ramionach, ich dzieckiem, które zginęło w tej zawierusze.

– Przysięgam ci w tej chwili – wyszeptał – że nie będziesz potrzebowała żadnego tytułu. Kobieta, którą tam widzisz, będzie moją żoną, ty zaś tylko konkubiną, ponieważ to jest sprawa polityki i musimy przekuć ten moment w pokój, przyciągnąć wysokie rody Landsraadu. Musimy przestrzegać form. Jednak ta księżniczka nie dostanie ode mnie nic prócz nazwiska. Ani dziecka, ani pieszczoty, ani czułego spojrzenia, ani momentu pożądania.

– Teraz tak mówisz – odparła Chani i popatrzyła ponad ludźmi na wysoką księżniczkę.

– Tak słabo znasz mego syna? – szepnęła Jessika. – Przyjrzyj się tej księżniczce, jakże wyniosłej i pewnej siebie. Mówią o niej, że ma ambicje literackie. Miejmy nadzieję, że znajdzie w nich pocieszenie, bo niewiele jej poza nimi zostanie. – Wyrwał jej się gorzki śmiech. – Pomyśl o tym, Chani. Ta księżniczka otrzyma nazwisko, a jednak pędzić będzie żywot marniejszy od konkubiny, nigdy nie zaznawszy czułości ze strony mężczyzny, któremu ślubowała. Podczas gdy nas, Chani, nas, które nosimy miano konkubin… nas historia nazwie żonami.

DODATKI

I

Ekologia Diuny

> Poza punktem krytycznym swoboda w ograniczonej przestrzeni maleje wraz ze wzrostem liczebności. Dotyczy to w takim samym stopniu ludzi w ograniczonej przestrzeni ekosystemu planety, co cząsteczek gazu w zalakowanej kolbie. Problem człowieka polega nie na tym, ilu ludzi może przetrwać w danym systemie, lecz jak będą egzystować ci, którzy przetrwają.
>
> – Pardot Kynes, pierwszy planetolog Arrakis

Arrakis wywiera zazwyczaj na wszystkich przybyszach to samo wrażenie: przytłaczającego w swym bezkresie pustkowia. Obcy uważa z reguły, że nie ma tu mowy o żadnym życiu, że nic nie urośnie pod gołym niebem, że jest to prawdziwa ziemia jałowa, która nigdy nie była i nie będzie płodna.

Dla Pardota Kynesa planeta ta była jedynie manifestacją energii, machiną napędzaną przez słońce. Należało ją tylko przekształcić i dopasować do potrzeb człowieka. Jego myśl wybiegła od razu ku wędrownej ludzkiej społeczności, ku Fremenom. Cóż za wyzwanie! Cóż za wspaniały mógłby z nich być instrument! Fremeni: ekologiczna i geologiczna siła o niemal nieograniczonym potencjale.

Pardot Kynes był pod wieloma względami bezpośrednim i prostym człowiekiem. Trzeba ominąć harkonneńskie restrykcje? Doskonale. Zatem żenimy się z Fremenką. Kiedy da nam syna Fremena, zaczniemy od niego, od Lieta-Kynesa, i innych dzieci. Będziemy uczyć je ekologicznego

abecadła i stworzymy nowy język symboli, które uzbroją umysł do manipulowania całym środowiskiem naturalnym, klimatem, porami roku, by w końcu przedrzeć się przez wszelkie koncepcje walki i stworzyć olśniewającą świadomość *ładu*.

– Na każdej odpowiedniej dla człowieka planecie istnieje widziane oczyma duszy piękno ruchu i równowagi – powiedział Kynes. – W pięknie tym widać działanie dynamicznej stabilizacji nieodzownej dla wszelkiego życia. Jej cel jest prosty: utrzymywanie i tworzenie skoordynowanych prawidłowości o coraz to większym zróżnicowaniu. Życie zwiększa zdolność do podtrzymywania życia w zamkniętym systemie. Życie – wszelkie życie – służy życiu. Im większe zróżnicowanie, tym więcej życie daje życiu niezbędnych składników pokarmowych. Ożywia cały krajobraz przepełniony zależnościami w zależnościach.

Tyle Pardot Kynes prowadzący lekcję dla klasy w siczy.

Jednak zanim doszło do wykładów, musiał on przekonać Fremenów. Aby zrozumieć, jak to osiągnął, trzeba uzmysłowić sobie najpierw niezmierną prostolinijność i naturalność, z jaką podchodził do każdego problemu. Nie był naiwny, on tylko nie zbaczał z obranej drogi.

Pewnego upalnego popołudnia, w trakcie objazdu arrakijskich pustkowi w jednoosobowym pojeździe naziemnym, ujrzał żałośnie pospolitą scenę. Sześciu harkonneńskich zbirów, uzbrojonych po zęby i w tarczach, osaczyło w pobliżu osady Wichrowory, na otwartym terenie poza Murem Zaporowym, trzech fremeńskich młodzików. Dla Kynesa była to bardziej draka niż prawdziwa walka, dopóki nie zwrócił uwagi na fakt, że Harkonnenowie usiłowali tych Fremenów zabić. W tym czasie jeden z młodzików padł z przeciętą tętnicą, legło również dwóch zbirów, ale nadal czterech uzbrojonych mężczyzn stawało przeciwko dwóm wyrostkom.

Kynes nie był odważny; odznaczał się tylko ową prostolinijnością i przezornością. Harkonnenowie zabijali Fremenów. Niszczyli narzędzie, którym zamierzał przekształcić tę planetę! Włączył swoją tarczę i z marszu zabił dwóch Harkonnenów, zanim dotarło do nich, że ktoś się pojawił. Uchylił się przed ciosem miecza jednego z napastników, podciął mu gardło czystym *entrisseur* i zostawiwszy ostatniego zbira dwu fremeńskim młodzieńcom, całą uwagę poświęcił ratowaniu leżącego chłopaka. I uratował go… podczas gdy szóstego Harkonnena wyprawiano na tamten świat.

I masz, babo, przyprawowy placek. Fremeni nie mieli pojęcia, co począć z Kynesem. Wiedzieli, rzecz jasna, kim jest. Nie było przybysza na Arrakis, którego pełne dossier nie trafiłoby do fremeńskich siedzib. Znali go: był urzędnikiem Imperium.

Ale zabił Harkonnenów!

Dorośli wzruszyliby pewnie ramionami i, z odrobiną żalu, wyprawili jego cień w ślad za cieniami sześciu leżących na ziemi ludzi. Ale to były niedoświadczone fremeńskie wyrostki, dla których liczyło się tylko to, że temu imperialnemu urzędnikowi zawdzięczają życie.

Dwa dni później Kynes wylądował w siczy nad Wrotami Wiatru. Dla niego nie było sprawy. Mówił Fremenom o wodzie, o wydmach umacnianych trawą, o palmariach pełnych palm daktylowych, o przecinających pustynię kanatach. Mówił, mówił i mówił.

Wokół niego szalała burzliwa debata, a Kynes wcale jej nie zauważał. Co zrobić z tym szaleńcem? Zna położenie jednej z większych siczy. Co zrobić? Co znaczą te słowa, to bredzenie o raju na Arrakis? To tylko gadanie. Za dużo wie. Ale zabił Harkonnenów! A brzemię wody? Od kiedy to jesteśmy coś winni Imperium? On zabił Harkonnenów! Każdy może zabijać Harkonnenów. Sam to robię.

Ale co z tym gadaniem o rozkwicie Arrakis? To bardzo proste: Gdzie jest na to woda? On mówi, że tutaj! I uratował trzech z nas. Uratował trzech durniów, którzy stanęli na drodze harkonneńskiej pięści! I widział krysnoże!

Nieunikniona decyzja była znana na wiele godzin przed jej przegłosowaniem. Tau siczy jest bezwzględna dla jej członków, uświadamia im najbrutalniejszą nawet konieczność. Wyprawiono do tej roboty doświadczonego wojownika z poświęconym krysnożem. Za nim postępowali dwaj wodmistrzowie, by przyjąć wodę ciała. Brutalna konieczność.

Prawdopodobnie Kynes nawet nie zwrócił uwagi na swego niedoszłego kata. Przemawiał do otaczającej go gromady, która przezornie trzymała się na odległość. Mówiąc, przechadzał się – zataczał niewielkie koło i gestykulował. Otwarta woda, opowiadał. Spacery pod gołym niebem bez filtraków. Woda czerpana z sadzawki! Portugle!

Nożownik stanął mu na drodze.

– Usuń się – rzekł Kynes, dalej snując opowieść o tajemnych oddzielaczach wiatru. Wyminął mężczyznę. Plecy planetologa były wystawione na rytualny cios.

Trudno teraz dociec, co zaszło w duszy niedoszłego zabójcy. Czy w końcu usłuchał Kynesa i uwierzył? Kto wie? Ale to, co zrobił, zostało zanotowane. Uliet miał na imię – Starszy Liet. Uliet zrobił trzy kroki i z premedytacją nadział się na swój nóż, „usuwając się” w ten sposób. Samobójstwo? Niektórzy powiadają, że to Szej-hulud go natchnął.

I jak tu nie wierzyć wróżbom!

Od tej chwili wystarczyło, że Kynes wskazał i powiedział: „Tam”. I szły, jak jeden mąż, fremeńskie plemiona. Ginęli mężczyźni, ginęły kobiety, ginęły dzieci. Ale szli.

Kynes powrócił do swoich zajęć kierownika stacji badawczych biologii, ale teraz wśród personelu stacji zaczęli się pojawiać Fremeni. Popatrzyli po sobie: przenikali „system”, a takiej możliwości nigdy nie brali pod uwagę. Narzędzia ze stacji trafiły stopniowo do siczowych siedlisk – zwłaszcza lance laserowe, których używano do drążenia podziemnych basenów łownych i ukrytych oddzielaczy wiatru.

Do basenów zaczęła napływać woda.

Dla Fremenów stało się jasne, że Kynes nie jest zupełnym szaleńcem, a jedynie człowiekiem szalonym na tyle, by zostać świętym. Był ummą, członkiem bractwa proroków. Cień Ulieta awansował pomiędzy sadusów, do grona niebiańskich świętych.

Kynes – bezpośredni, całkowicie oddany swej pasji – zdawał sobie sprawę, że wysoki stopień centralizacji badań gwarantuje brak nowych odkryć. Podjął eksperymenty w małych, regularnie wymieniających dane zespołach, które badały zjawisko przyspieszenia Tansleya, i pozwalał każdemu z nich iść własną drogą. Należało zgromadzić miliony drobnych informacji. Aby nabrać dystansu do ich trudności, organizował tylko pojedyncze, wyrywkowe testy.

Pobrano próbki rdzeniowe na całym blechu. Opracowano mapy długoterminowych zmian pogody zwanych klimatem. Kynes przekonał się, że w rozległym pasie zamkniętym równoleżnikami siedemdziesiątego stopnia szerokości północnej i południowej od tysięcy lat temperatury nie przekraczały zakresu 254–332 stopni i że pas ten miał długie pory roku, w których temperatura wahała się od 284 do 302 stopni w skali bezwzględnej. Była to temperaturowa „bonanza” dla naziemnych form życia… pod warunkiem, że rozwiązany zostanie problem wody.

– Kiedy go rozwiążemy? – zapytali Fremeni. – Kiedy ujrzymy ten raj na Arrakis?

Tonem, jakim nauczyciel odpowiada dziecku na pytanie, ile jest dwa razy dwa, Kynes udzielił im odpowiedzi:

– Za jakieś trzysta do pięciuset lat.

Pośledniejszy lud jęknąłby ze zgrozy, ale Fremenów nauczyli cierpliwości ludzie z biczami. Było to nieco dłużej, niż oczekiwali, lecz każdy z nich potrafił sobie uzmysłowić, że błogosławiony dzień nadciąga. Zacisnęli szarfy na brzuchach i wrócili do pracy. W jakiś sposób rozczarowanie sprawiło, że perspektywa raju stała się realniejsza.

Na Arrakis chodziło nie o wodę, ale o wilgoć. Zwierząt domowych prawie nie znano, a hodowlane były rzadkie. Niektórzy przemytnicy posługiwali się oswojonymi osłami pustynnymi, kulonami, jednak koszty wody były ogromne nawet po wyposażeniu zwierząt w zmodyfikowane filtraki.

Kynes myślał o instalowaniu tężni redukcyjnych do pozyskiwania wody z tlenu i wodoru uwięzionych w skale, ale energochłonność tego procesu była o wiele za wysoka. Czapy polarne (pomijając złudne poczucie wodnego bezpieczeństwa, jakie dawały pyonom) zawierały zbyt mało wody dla jego przedsięwzięcia… a poza tym podejrzewał już, gdzie musi być woda. Ten charakterystyczny wzrost wilgotności na średnich wysokościach i przy pewnych wiatrach. No i zasadnicza poszlaka w postaci składu powietrza: 23 procent tlenu, 75,4 procent azotu i 0,23 procent dwutlenku węgla; śladowe ilości innych gazów stanowiły resztę.

A w północnej strefie podbiegunowej, na wysokościach powyżej 2500 metrów, rosła rzadka roślina kłączowa. Z bulwiastego korzenia mniej więcej dwumetrowej długości otrzymywało się pół litra wody. Były też rośliny pustynne, z których odporniejsze wyraźnie odżywały po przesadzeniu do dołków wyłożonych osadnikami rosy.

A potem Kynes ujrzał panew solną.

Gdy leciał z jednej stacji do drugiej, samum zniósł jego ornitopter hen, w głąb blechu. Po przejściu burzy ukazała się właśnie owa panew – gigantyczne owalne zagłębienie mające około trzystu kilometrów wzdłuż dłuższej osi – oślepiająca biała niespodzianka w sercu pustyni. Kynes wylądował i spróbował językiem wymiecionej przez samum gładzi.

Sól.

Teraz nie miał już wątpliwości.

Na Arrakis była otwarta woda… kiedyś. Ponownie zaczął sprawdzać dowody – suche studnie, w których pojawiły się strumyczki, by zginąć bezpowrotnie.

Kynes zapędził swoich świeżo wyszkolonych limnologów do roboty. Ich główną wskazówką były skórzaste strzępy tkanki znajdowane po wybuchu w masie przyprawowej. Przypisywano je fikcyjnej „piaskowej troci" z fremeńskich przypowieści ludowych. W miarę zbierania materiału dowodowego wyłaniał się obraz stworzenia stanowiącego źródło owych skórzastych strzępów – piaskopływaka, który blokował obfite gniazda wody w porowatej warstwie poniżej izotermy 280 stopni termodynamicznych.

Ten „złodziej wody" ginął milionami w każdym wybuchu przyprawowym. Umierał przy zmianie temperatury rzędu pięciu stopni. Nieliczne pozostałe przy życiu osobniki zapadały w półsen cystohibernacji, by po sześciu latach wyłonić się jako małe (mniej więcej trzymetrowe) czerwie pustyni. Z tych jedynie kilka unikało swoich większych braci oraz preprzyprawowych gniazd wodnych i wkraczało w wiek dojrzały jako gigantyczne szej-huludy. (Woda jest dla szej-huluda trucizną, o czym Fremeni wiedzieli od dawna, gdyż topili rzadkie „skarłowaciałe czerwie" z Ergu Mniejszego, by otrzymać narkotyk rozszerzonej świadomości zwany

przez nich Wodą Życia. „Skarłowaciały czerw” jest prymitywną postacią szej-huluda, która osiąga zaledwie około dziewięciu metrów długości).

Koło zależności się zamknęło: maleńki stworzyciel i masa preprzyprawowa; maleńki stworzyciel i szej-hulud; szej-hulud rozsiewający przyprawę, na której żerują mikroskopijne stworzenia zwane planktonem piaskowym; plankton piaskowy – pokarm szej-huluda – rośnie i zagrzebuje się w piasku, dając początek maleńkim stworzycielom.

Kynes i jego ludzie przestali teraz zwracać uwagę na zależności w wielkiej skali i skupili się na mikroekologii. Zatem najpierw klimat – powierzchnia piasku osiągała często temperatury od 344 do 350 stopni (termodynamicznych). Na głębokości 30 centymetrów potrafiło być o 55 stopni chłodniej, 30 centymetrów nad powierzchnią zaś o 25 stopni chłodniej. Liście albo czarne zasłony mogły zmniejszyć temperaturę o dalsze 18 stopni. Następnie składniki odżywcze – piasek Arrakis jest w głównej mierze efektem procesu trawienia czerwia, pył natomiast (zaiste wszechobecny tu problem) to produkt stałego pełzania powierzchni, „saltacyjnego” ruchu piasku. Odwietrzne stoki wydm pokrywają piaski gruboziarniste. Nawietrzne zbocza mają twardą, gładko ubitą powierzchnię. Stare wydmy są żółte (oksydacja), młode noszą barwę skały macierzystej, zazwyczaj szarą.

Odwietrzne zbocza starych wydm posłużyły za tereny pierwszych plantacji. Początkowo Fremeni postawili sobie za cel cykl życiowy sucholubnej trawy o mechatych, czepliwych rzęskach, która miała oplatać i utrwalać wydmy, pozbawiając wiatry ich wielkiego oręża – ruchomych drobin.

Strefy adaptacyjne zostały założone hen, na głębokim południu, z dala od harkonneńskich oczu. Zmutowane sucholubne trawy sadzono najpierw na odwietrznym (osuwającym się) zboczu wybranych wydm, które zagradzały

drogę dominującym wiatrom zachodnim. Po utrwaleniu zbocza odwietrznego stok nawietrzny wznosił się coraz wyżej, zatem by dotrzymać mu kroku, posuwano się też dalej z trawą. W ten sposób powstały olbrzymie sify (długie wydmy o wijącej się linii grzbietu), wysokie na ponad tysiąc pięćset metrów.

Kiedy owe wydmy zaporowe osiągnęły dostateczną wysokość, obsadzono ich stoki nawietrzne odporniejszymi trawami szablolistnymi. Każdą z tych struktur utrwalano – „zakotwiczano” – na podstawie sześciokrotnie dłuższej od jej wysokości.

Następnie przyszła kolej na głębsze sadzenie – na efemerydy (komosy czerwiowe, komosy białe i szarłat na początek), potem żarnowiec miotlasty, łubin niski, płożący eukaliptus (odmiana przystosowana do północnych regionów Kaladanu), karłowaty tamaryszek i sosnę nadmorską, po nich zaś prawdziwe rośliny pustynne: kandelilę, kaktus saguaro i bisnagę, kaktus baryłkowaty. Tam, gdzie się przyjęły, wprowadzano szałwię wielbłądzią, trawę cebulkową, ostnicę gobi, dziką lucernę, ośli ogórek, piaskową werbenę, wiesiołek dwuletni, jukę krótkolistną, perukowiec i krzew kreozytowy.

Po czym zabrano się do nieodzownego świata zwierząt – były stworzenia ryjące, które miały otworzyć i napowietrzyć glebę: lis długouchy, skoczek pustynny, zając pustynny, żółw piaskowy… drapieżcy mający trzymać je w szachu: jastrząb pustynny, sóweczka karłowata, orzeł i sowa pustynna, wreszcie owady wypełniające wszystkie zakamarki niedostępne dla tamtych: skorpion, parecznik, pająk podkopnik, osa, ważka… i nietoperz pustynny, by miał nad nimi pieczę.

Aż nadszedł przełomowy sprawdzian: palmy daktylowe, bawełna, melony, kawa, zioła lecznicze – z górą dwieście odmian roślin jadalnych, wyselekcjonowanych w celu przebadania i adaptacji.

– Analfabeta ekologiczny – mówił Kynes – nie rozumie w ekosystemie właśnie tego, że jest to system. System! Taki system zachowuje pewną płynną stabilność, którą można zniszczyć błędnym posunięciem w jednej tylko niszy. System odznacza się ładem, swobodnym przepływem od punktu do punktu. Jeśli coś zastopuje ten przepływ, ład się wali. Ignoranci mogliby zauważyć taki krach, gdy byłoby już za późno. Dlatego właśnie najważniejszą funkcją ekologii jest pojmowanie konsekwencji.

Czy oni osiągnęli system?

Kynes i jego ludzie patrzyli i czekali. Fremeni wiedzieli już, co Kynes rozumiał przez swoją prognozę rzędu pięciuset lat.

Z palmariów nadszedł meldunek: na granicy zasiewów i pustyni plankton ginie w zetknięciu z nowymi formami życia. Przyczyna: konflikt białkowy. W miejscach tych zbiera się trująca woda i arrakijskie życie omija je z daleka. Wokół sadzonek powstaje jałowa strefa, której unika nawet szej-hulud.

Kynes osobiście wybrał się do palmariów – na dwudziestodudnikową wyprawę (w palankinie, niczym ranny wojownik albo matka wielebna, jako że nigdy nie został jeźdźcem piasku). Zbadał martwą glebę (a śmierdziała pod niebo) i wrócił z nagrodą, podarunkiem od Arrakis.

Dodatek siarki i związanego azotu przeistoczył jałową strefę w żyzne pole dla żywych organizmów. Można się było posuwać z sadzeniem do woli!

– Czy to zmienia harmonogram? – spytali Fremeni.

Kynes ponownie zakopał się w swoich planetarnych wzorach. Obliczenia dotyczące oddzielaczy wiatru właściwie nie budziły już wtedy obaw. Szafował czasem, wiedząc, że nie może wtłoczyć problemów ekologicznych w precyzyjne ramy. Pewną część szaty roślinnej należało przeznaczyć do utrzymania wydm w miejscu, część na pożywienie

(zarówno dla ludzi, jak i zwierząt), reszta zaś miała więzić wilgoć w systemach korzeniowych i zasilać w wodę najbliższe wysuszone otoczenie. Do tego czasu nanieśli na mapę przemieszczające się punkty zimna na otwartym blechu. Trzeba je było uwzględnić we wzorach. Nawet szej-hulud miał swoje miejsce na wykresach. Jego zguba oznaczałaby kres przyprawowej fortuny. A „fabryka trawienna" czerwia, z jej ogromnym stężeniem aldehydów i kwasów, stanowiła gigantyczne źródło tlenu. Średni czerw (mniej więcej dwustumetrowy) uwalniał do atmosfery taką ilość tlenu, jaką wytwarzały w procesie fotosyntezy rośliny zajmujące dziesięć kilometrów kwadratowych.

Musiał uwzględnić Gildię. Przyprawowa łapówka dla Gildii za ochronę nieba Arrakis przed satelitami meteorologicznymi i innymi szpiegami już wtedy była spora.

Fremenów też nie wolno było pominąć. Zwłaszcza Fremenów z ich oddzielaczami wiatru i nielegalną strukturą własności ziemskiej opartą na kredycie wodnym, Fremenów z ich nową wiedzą ekologiczną i marzeniem o doprowadzeniu rozległych obszarów Arrakis przez fazę prerii aż do stanu zalesienia.

Z diagramów wyłoniła się liczba. Kynes ją podał – trzy procent. Jeśli uda im się wykorzystać trzy procent szaty zielonej Arrakis do tworzenia związków węgla, będą mieli swój samoczynny system.

– Ale kiedy? – pytali z uporem Fremeni.

– Ach, o to chodzi. Za jakieś trzysta pięćdziesiąt lat.

Zatem to prawda, co ten umma powiedział na początku: że nie doczeka tego nikt z żyjących teraz ludzi ani z ich wnuków aż do ósmego pokolenia, ale to nastąpi.

Praca trwała nieprzerwanie: wznosili wydmy, sadzili, kopali, szkolili dzieci.

A potem umma Kynes zginął podczas zawału jaskini w Basenie Gipsowym.

Jego syn, Liet-Kynes, miał wtedy dziewiętnaście lat i był już fremeńskim jeźdźcem piasku, który zabił ponad setkę Harkonnenów. Imperialna nominacja, o którą stary Kynes zdążył wystąpić w imieniu syna, przyznana została automatycznie. Sztywna struktura klasowa faufreluches miała w tym swój cel. Syn szkolił się, by pójść w ślady ojca.

W tym czasie droga była już przetarta. Fremeńscy ekolodzy znali kierunek. Liet-Kynes musiał tylko doglądać, poganiać i szpiegować Harkonnenów… aż do dnia, w którym na jego planetę zstąpił Bohater.

II

Religia Diuny

Przed nadejściem Muad’Diba Fremeni z Arrakis wyznawali religię, której korzenie każdy badacz odnajdzie w Maometh Saari. Wielu uczonych prześledziło rozległe zapożyczenia z innych religii. Najbardziej typowym przykładem jest *Hymn do wody*, skopiowany bezpośrednio z *Protestancko-katolickiego przewodnika po liturgii*, modlitwa o deszczowe chmury, jakich nigdy Arrakis nie widziała. Są jednak i głębsze analogie między *Kitab al-Ibar* Fremenów i naukami Biblii, ilm i fikh.

Wszelkie porównania najważniejszych wierzeń religijnych Imperium do czasu Muad’Diba należy zacząć od głównych sił, które owe wierzenia ukształtowały:

1. Wyznawcy Czternastu Mędrców, których księgą była Biblia Protestancko-Katolicka i których poglądy wyrażone zostały w *Komentarzach* oraz innych pismach opublikowanych przez Kongres Ekumeniczny Federacji (KEF).

2. Bene Gesserit, które prywatnie zaprzeczały, jakoby były zakonem religijnym, ale które działały za prawie nieprzeniknioną zasłoną rytualnego mistycyzmu i których szkolenie, symbolika, organizacja oraz metody kształtowania psychiki miały charakter niemal całkowicie religijny.

3. Agnostycka klasa panująca (łącznie z Gildią), dla której religia stanowiła rodzaj teatru kukiełkowego mającego zapewnić rozrywkę masom

i utrzymywać je w posłuszeństwie i która z zasady wierzyła, że wszystkie zjawiska, nawet religijne, dadzą się wyjaśnić w sposób naukowy.

4. Tak zwane Stare Nauki – łącznie z tymi, które przetrwały wśród zensunnickich Wędrowców z pierwszego, drugiego i trzeciego ruchu islamskiego. Nowochrześcijaństwo z Chusuka, warianty buddislamu odmian dominujących na Lankiveilu i Sikunie, Wspólne Księgi Mahayana Lankavatara, Zen Hekiganshu z III Delty Pawia, Tora i Zabur Talmudyczny, które ostały się na Salusie Secundusie, szeroko rozpowszechniony Rytuał Magiczny, Muadh Quran ze swoimi czystymi ilm i fikh zachowanymi wśród uprawiających ryż pundi kaladańskich farmerów, rozsiane jak wszechświat długi i szeroki wysepki hindu w maleńkich, odosobnionych gniazdach pyonów i na koniec Dżihad Butlerowski.

Istnieje jeszcze piąta siła, która ukształtowała wierzenia religijne, ale ma ona tak wszechstronny i przemożny wpływ, że zasługuje na osobne potraktowanie. To oczywiście podróż kosmiczna i zasługuje, by we wszelkich dysputach o religii pisano ją tak oto:

PODRÓŻ KOSMICZNA!

W ciągu stu dziesięciu stuleci poprzedzających Dżihad Butlerowski migracje rodzaju ludzkiego w przestrzeni kosmicznej wycisnęły na religii niepowtarzalne piętno. Przede wszystkim wczesne podróże kosmiczne – jakkolwiek szeroko rozpowszechnione – były nieregularne, powolne i ryzykowne, a do czasu monopolu Gildii odbywały się na tysiące sposobów. Pierwsze kosmiczne doświadczenia, źle przekazywane i w znacznym stopniu zniekształcone, stały się szaloną pobudką do spekulacji mistycznych.

Nagle kosmos nadał nową wymowę i sens ideom stworzenia. Ta odmienność widoczna jest nawet w szczytowych dokonaniach religijnych owego okresu. Zewnętrzny mrok tchnął anarchię w poczucie sacrum wszelkich religii.

Zupełnie jakby Jowisz we wszystkich swoich postaciach wycofał się w macierzystą ciemność, ustępując pola żeńskiej immanencji o zagadkowej twarzy wielu strachów.

Starożytne formuły splatały się i wiązały, w miarę jak dostosowywano je do potrzeb nowych podbojów i symboli heraldycznych. Był to czas zmagań między bestiami-demonami z jednej strony a starymi modlitwami i zaklęciami z drugiej.

Jasne rozstrzygnięcie nigdy nie nastąpiło.

W okresie tym oznajmiono, że ponowna interpretacja Księgi Rodzaju pozwala Bogu rzec: „Rośnijcie i rozmnażajcie się, i zapełniajcie *wszechświat*, i podbijajcie go, i panujcie nad wszelkiego rodzaju dziwnymi zwierzętami i żywymi stworzeniami na niezliczonych niebach, niezliczonych ziemiach i pod nimi”.

Nastał czas czarownic obdarzonych prawdziwymi mocami. Niech miarą tego będzie fakt, że nigdy nie popisywały się chwytaniem płonących żagwi.

Z kolei przyszedł Dżihad Butlerowski – dwa pokolenia chaosu. Bóg mechanicznej logiki został obalony przez masy i wysunięto nową ideę: „Nic nie zastąpi człowieka”.

Te dwa pokolenia gwałtu były umysłowym letargiem całego rodzaju ludzkiego. Ludzie popatrzyli na swoich bogów oraz rytuały i ujrzeli, że jedno i drugie przepełnia najstraszliwsza ze wszystkich nierówności: strach większy od ducha.

Przywódcy religijni, których wierni przelali krew miliardów, zaczęli nieśmiało spotykać się dla wymiany poglądów. Krok ten popierała Gildia

Kosmiczna, umacniająca właśnie swój monopol w dziedzinie podróży międzygwiezdnych, oraz Bene Gesserit, które ściągały do siebie czarownice.

Te pierwsze spotkania ekumeniczne zaowocowały dwiema znaczącymi nowościami:

1. Świadomością, że wszystkie religie mają przynajmniej jedno wspólne przykazanie: „Nie będziesz kaleczył ducha”.

2. Kongresem Ekumenicznym Federacji.

KEF zebrał się na neutralnej wyspie Starej Ziemi, kolebce macierzystych religii. Spotkano się „we wspólnej wierze w istnienie Istoty Boskiej we wszechświecie”. Reprezentowane były wszystkie wyznania mające ponad milion wiernych i z zadziwiającą szybkością uzgodniono wspólny komunikat: „Jesteśmy tu, aby wytrącić podstawową broń z rąk wyznawców wojujących religii. Ta broń to pretensje do posiadania jedynego objawienia”.

Radość wynikająca z tego „dowodu głębokiej zgody” okazała się wszakże przedwczesna. Przez ponad rok standardowy komunikat ów był jedynym oświadczeniem wydanym przez KEF. Ludzie z goryczą mówili o zwłoce. Trubadurzy układali dowcipne, złośliwe pieśni o stu dwudziestu i jednym „starych kutasach”, jak zaczęto nazywać delegatów KEF. (Określenie wzięło się od sprośnego kawału, w którym wykorzystując skrót KEF, nazwano delegatów „kutasami w esy-floresy”). Jedna z pieśni, *Święte opalanie*, przechodzi okresowe nawroty popularności i jest znana nawet dzisiaj:

Jak cierpią kutasy!
Te stare kutasy
W kwiatowych lei!

W świętym opalaniu,
W wiecznym próżnowaniu,
Do końca naszych dni.
Czas ci na plażę iść,
Ojcze Nasz Sandwicz!

Sporadycznie przeciekały z obrad KEF różne pogłoski. Mówiło się mianowicie, że porównują tam teksty, i teksty owe nieopatrznie wymieniano. Takie pogłoski nieuchronnie wywoływały rozruchy antyekumeniczne i, oczywiście, inspirowały nowe dowcipy.

Dwa lata minęły… trzy lata.

Po zgonie dziewięciu spośród pierwotnych delegatów i wybraniu nowych komisarze zarządzili przerwę na dopełnienie formalności ich przyjęcia i oświadczyli, że zajmują się opracowaniem wspólnej księgi, plewiąc „wszelkie objawy patologii” z historii religii. „Budujemy instrument Miłości, który zagra na wszystkie sposoby” – przekazali.

Wielu się dziwi, że oświadczenie to spowodowało wybuch najgwałtowniejszych walk przeciwko ekumenizmowi. Dwudziestu delegatów zostało odwołanych przez własne kongregacje. Jeden popełnił samobójstwo, kradnąc kosmiczną fregatę i nurkując nią w Słońce. Historycy oceniają, że w zamieszkach straciło życie osiemdziesiąt milionów osób, czyli około sześciu tysięcy na każdą planetę ówczesnej Ligi Landsraadu. Biorąc pod uwagę niespokojne czasy, szacunek ten raczej nie jest przesadzony, jakkolwiek w tej sytuacji trudno w ogóle mówić o dokładności. Łączność między planetami osiągnęła jeden z najniższych poziomów w historii.

Trubadurzy, rzecz jasna, mieli swój wielki dzień. W popularnej komedii muzycznej tego okresu jeden z delegatów KEF siedzi pod palmą na białym

piasku plaży i śpiewa:

Dla Boga, kobiet, ku chwale miłości
Igramy tutaj bez obaw i trosk.
Trubadurze! Trubadurze, czekamy na pieśń!
Dla Boga, kobiet, ku chwale miłości!

Rozruchy i komedie to jedynie symptomy, ale mówiące wiele o swoich czasach. Zdradzają stan psychiczny, głębokie rozterki… i tęsknotę do czegoś lepszego oraz lęk, że nic z tego wszystkiego nie wyniknie.

Główne tamy na drodze anarchii stanowiły rodząca się wówczas Gildia, Bene Gesserit i Landsraad, który mimo najpoważniejszych przeszkód kontynuował swoją liczącą dwa tysiące lat historię spotkań. Rola Gildii wydaje się jasna: zapewniała ona darmowy transport we wszystkich sprawach Landsraadu i KEF. Nie tak oczywista jest już rola zgromadzenia żeńskiego Bene Gesserit. Nie da się ukryć, że to właśnie w owym czasie umocniło ono swoją władzę nad czarownicami, przeprowadziło badania nad wyrafinowanymi narkotykami, rozwinęło szkolenie prana i bindu oraz powołało do życia Missionaria Protectiva, czarne ramię zabobonu. Jest to jednak również okres, który był świadkiem skomponowania *Litanii przeciw strachowi* i przygotowania *Księgi Azhara*, bibliograficznego cudu, który przechowuje wielkie tajemnice najdawniejszych wierzeń.

Można chyba tylko powtórzyć za Ingsleyem: „To były czasy wielkiego paradoksu”.

KEF trudził się już wtedy od prawie siedmiu lat. I w miarę zbliżania się tej siódmej rocznicy delegaci przygotowywali wszechświat do ważkiej proklamacji. Na siedmiolecie bowiem objawili Biblię Protestancko-Katolicką. „Oto dzieło podniosłe i znaczące – powiedzieli. – Oto droga,

którą ludzkość dojdzie do świadomości, że jest doskonałym dziełem Boga". Delegatów KEF porównywano do natchnionych przez Boga archeologów idei, opromienionych blaskiem nowego odkrycia. Mówiło się, że wydobyli na światło dzienne „żywotność wielkich ideałów przywalonych pokładami stuleci", że „nadali ostrość imperatywom moralnym wynikającym z religijnego rozbudzenia sumień".

Wraz z Biblią P-K KEF zaprezentował *Przewodnik po liturgii* oraz *Komentarze* – prace pod wieloma względami godniejsze uwagi nie tylko ze względu na swą zwięzłość (niecała połowa objętości Biblii P-K), lecz również z powodu szczerej wymowy łączącej rozczulanie się nad sobą z przekonaniem o swej nieomylności.

Początek to oczywisty apel do władców agnostyków: „Nie znajdując żadnych odpowiedzi na sunnę (dziesięć tysięcy pytań religijnych z szariatu), ludzie uciekają się obecnie do własnego rozumu. Wszyscy pragną, by ich oświecić. Religia to nic innego jak najdawniejszy i najszlachetniejszy zryw ludzi dążących do zrozumienia bożego wszechświata. Naukowcy szukają porządku rzeczy. Zadaniem religii jest wskazanie człowiekowi jego miejsca w tym porządku".

W zakończeniu ton *Komentarzy* jest jednak surowy, jakby ich autorzy przewidywali swój los: „Wiele z tego, co zwano religią, wyrażało podświadomie wrogi stosunek do życia. Prawdziwa religia winna nauczać, że życie pełne jest miłych Bogu radości, że wiedza bez działania jest pusta. Ludzie muszą zrozumieć, że nauczanie religii przez wbijanie do głowy zasad jest przeważnie mistyfikacją. Prawdziwą naukę nietrudno poznać. Rozpoznajemy ją nieomylnie po uczuciu, jakie budzi w duszy – że oto jest coś, o czym zawsze wiedzieliśmy".

Odczuwało się niezwykły spokój, kiedy wirowały prasy oraz tłocznie szigastrunowe i Biblia P-K rozchodziła się po planetach. Niektórzy widzieli

w tym znak boży, zapowiedź jedności.

Ale sami delegaci KEF obnażyli po powrocie do rodzimych kongregacji złudność tego spokoju. Osiemnastu z nich zlinczowano w ciągu dwóch miesięcy. Pięćdziesięciu trzech pokajało się przed upływem roku.

Biblia P-K została potępiona jako wytwór „arogancji rozumu". Mówiono, że jej stronice pełne są „zwodniczej fascynacji logiką". Zaczęły się pojawiać rewizje dostarczające pożywki powszechnej bigoterii. Opierały się one na akceptowanych symbolach (krzyż, półksiężyc, pierzasty wąż, dwunastu świętych, szczupły Budda i tym podobne) i niebawem było już jasne, że starożytne zabobony i wierzenia nie zostały wchłonięte przez nowy ekumenizm.

Halloway określił siedmioletni trud KEF jako „determinizm ery galaktycznej". Termin podchwyciły skwapliwie całe miliardy, tłumacząc inicjały d.e.g. jako „duże ekumeniczne gówno".

Przewodniczący KEF Toure Bomoko – ulema zensunnitów i jeden z czternastu delegatów, którzy się nigdy nie pokajali („Czternastu Mędrców" z popularnej historii) – w końcu niby przyznał, że kongres zbłądził: „Nie powinniśmy tworzyć nowych symboli – oświadczył. – Trzeba było wiedzieć, że nie mieliśmy siać wątpliwości co do przyjętej wiary, że nie oczekiwano od nas rozbudzania ciekawości dotyczącej Boga. Każdego dnia zagląda nam w oczy straszliwa niestałość wszystkiego, co ludzkie, a jednak pozwalamy, by nasze religie stawały się coraz bardziej skostniałe i sformalizowane, coraz bardziej konformistyczne i bezwzględne. Jakiż to cień kładzie się na gościńcu przykazania Bożego? To ostrzeżenie, że instytucje się ostają, że ostają się symbole, nawet gdy utraciły znaczenie, że nie istnieje żadna summa całej dostępnej wiedzy".

Gorzka obosieczność tego wyznania nie umknęła krytykom Bomoko i niebawem musiał on udać się na wygnanie, a jego życie zależało od

ślubowanej przez Gildię tajemnicy. Jak wieść niesie, zmarł na Tupile, otoczony szacunkiem i miłością, jego ostatnie słowa zaś brzmiały: „Religia musi pozostać wyjściem dla ludzi, którzy mówią o sobie: »Nie jestem tym, kim pragnę być«. Nie może wsiąknąć w tłum zadowolonych z siebie”.

Przyjemnie jest pomyśleć, że Bomoko miał świadomość, jak prorocze są jego słowa: „Instytucje się ostają”. Dziewięćdziesiąt pokoleń później Biblia P-K i *Komentarze* rozeszły się po wszechświecie.

Kiedy Paul Muad’Dib stał z prawą dłonią na skalnym sanktuarium, w którym spoczywała czaszka jego ojca (prawą dłonią błogosławionego, nie lewą przeklętego), cytował słowo w słowo *Spuściznę Bomoko*: „Wy, którzy nas pobiliście, mówicie sobie, że Babilon upadł, a jego pomniki legły w gruzach. A ja powiadam wam, że człowiek jest stale przed sądem, każdy na własnej ławie oskarżonych. Każdy człowiek to mała wojna”.

Fremeni mówili o Muad’Dibie, że jest jak Abu Zide, którego fregata rzuciła wyzwanie Gildii i pewnego dnia pożeglowała *tam* i z powrotem. Użyte w ten sposób „tam” tłumaczy się bezpośrednio z fremeńskiej mitologii jako kraina ruh-ducha, Alam al-Mithal, gdzie wszelkie ograniczenia zostały zniesione.

Analogia do Kwisatz Haderach nasuwa się sama. Kwisatz Haderach, którego zgromadzenie żeńskie szukało poprzez swój plan eugeniczny, przekłada się jako „skrócenie drogi” albo „ten, który jest w wielu miejscach naraz”.

Ale można udowodnić, że obie interpretacje wyrastają bezpośrednio z *Komentarzy*: „Kiedy prawo i religia to jedno, jaźń twoja zawiera wszechświat”.

Muad’Dib powiedział o sobie: „Jestem siecią w morzu czasu, dowolnie trałuję przyszłość i przeszłość. Jestem ruchomą membraną, przed którą nie umknie żadna ewentualność”.

Wszystkie te myśli wyrażają to samo i słychać w nich echo dwudziestej drugiej kalimy z Biblii P-K, gdzie jest napisane: „Wypowiedziana czy nie, myśl istnieje i ma swoją moc”.

Dopiero kiedy zagłębimy się w komentarze własne Muad’Diba podane przez kwizarów tawfidów, jego kapłanów, w *Filarach wszechświata*, widać jego prawdziwy dług wobec KEF i Fremenów – zensunnitów.

Muad’Dib: „Prawo i obowiązek to jedno; niech i tak będzie. Ale pamiętajcie o płynących stąd ograniczeniach: W ten sposób nigdy nie jesteście w pełni świadomi siebie. W ten sposób trwacie pogrążeni w tau wspólnoty. W ten sposób jesteście zawsze mniej niż jednostką”.

Biblia P-K: Identyczne sformułowanie. (*61 objawień*).

Muad’Dib: „Religia często współtworzy mit postępu, który chroni nas przed upiorami niepewnej przyszłości”.

Komentarze KEF: Identyczne sformułowanie. (*Księga Azhara* przypisuje to stwierdzenie pisarzowi religijnemu z pierwszego stulecia, Neshou, poprzez parafrazy).

Muad’Dib: „Jeżeli dziecko, osoba nieuczona, osobnik ciemny albo szalony sprawia kłopot, winę za to ponosi władza, która tego nie przewidziała i temu nie zapobiegła”.

Biblia P-K: „Każdy grzech można przynajmniej w części przypisać naturalnej złej skłonności, która stanowi okoliczność łagodzącą w oczach Boga”. (*Księga Azhara* wywodzi to ze starożytnej semickiej Tory).

Muad’Dib: „Wyciągnij dłoń i spożywaj dary boże, a kiedy się nasycisz, chwal Pana”.

Biblia P-K: Parafraza o identycznym znaczeniu. (*Księga Azhara* odnajduje ją w lekko zmienionej formie w pierwszym islamie).

Muad’Dib: „Miłosierdzie jest początkiem okrucieństwa”.

Fremeńska *Kitab al-Ibar*: „Brzemię miłosiernego Boga jest rzeczą straszną. Czyż Bóg nie dał nam palącego słońca (al-Lat)? Czyż Bóg nie dał nam matek wilgoci (matek wielebnych)? Czyż Bóg nie dał nam szejtana (iblisa, szatana)? Czyż nie od szejtana pochodzi zmora pośpiechu?”

(Stąd bierze się fremeńskie porzekadło: „Pośpiech jest wymysłem szejtana”. Zauważmy: na każde sto kalorii ciepła wytworzonego przez wysiłek fizyczny [pośpiech] ciało wydziela około jednej piątej litra potu. W języku Fremenów pot nazywa się „bakka”, czyli łzy, a przy nieco odmiennej wymowie tłumaczy się to jako: „esencja życia, którą szejtan wyciska z twej duszy”).

Koneywell stwierdza, że pojawienie się Muad’Diba było „religijnie na czasie”, ale czas nie ma tu żadnego znaczenia. Jak sam Muad’Dib powiedział: „Jestem tu, więc…”.

Jednak aby zrozumieć religijny wpływ Muad’Diba, pod żadnym pozorem nie można tracić z oczu jednego faktu: Fremeni to ludzie pustyni, od pokoleń przywykli do wrogości przyrody. Nietrudno o mistycyzm, kiedy każda sekunda twego życia jest zwycięstwem nad jawną wrogością. „Jesteś tam, więc…”

Z taką tradycją akceptuje się cierpienie, podświadomie być może jako karę, ale się akceptuje. Warto też zauważyć, że fremeński obrządek niemal całkowicie uwalniał od poczucia winy. Niekoniecznie dlatego, że ich prawo i religia stanowiły jedno, czyniąc nieposłuszeństwo grzechem. Bliższe prawdy będzie raczej stwierdzenie, że Fremeni łatwo się rozgrzeszali, ponieważ ich codzienna egzystencja wymagała brutalnych sądów (często decydujących o śmierci), które w łagodniejszej krainie obarczyłyby ludzi poczuciem winy nie do zniesienia.

Prawdopodobnie w tym upatrywać należy jednej z przyczyn przesadnej zabobonności Fremenów (nie wspominając o poczynaniach Missionaria

Protectiva). Co z tego, że gwizd piasku postrzegany jest jako omen? Co z tego, że widząc najpierw pierwszy księżyc, musimy uczynić znak pięści? Ciało człowieka należy do niego, a jego woda do plemienia, tajemnica życia zaś to nie problem do rozwiązania, lecz rzeczywistość do przeżycia. Znaki pomagają ci o tym pamiętać. A ponieważ jesteś tutaj, ponieważ masz tę religię, zwycięstwo nie może ci się w końcu wymknąć.

Jak przez wieki nauczały Bene Gesserit, zanim się zderzyły z Fremenami: „Kiedy religia i polityka jadą na tym samym wozie, kiedy wozem tym powozi żywy święty (baraka), nic nie może stanąć na ich drodze”.

III

Raport o motywach i celach Bene Gesserit

W tym miejscu następuje wyjątek z *Summy* sporządzonej natychmiast po Aferze Arrakijskiej na polecenie lady Jessiki przez jej agentów. Szczerość tego raportu podnosi jego wartość wysoko ponad przeciętną.

Jako że Bene Gesserit przez stulecia działały za parawanem półmistycznej szkoły, realizując swój plan selektywnego doboru ludzi, jesteśmy skłonni przypisywać im większe znaczenie, niż na to zasługują. Analiza ich „rewizji faktu” na temat Afery Arrakijskiej dowodzi, że szkoła zupełnie nie zdawała sobie sprawy ze swojej w niej roli.

Można by argumentować, że Bene Gesserit były w stanie zbadać tylko te fakty, które do nich docierały, i nie miały bezpośredniego dostępu do proroka Muad’Diba. Jednak szkoła pokonywała już większe przeszkody, jej błąd zaś sięga tu znacznie głębiej.

Celem projektu Bene Gesserit było wyhodowanie osobnika, którego nazwały Kwisatz Haderach, co znaczy „ten, który jest w wielu miejscach naraz”. Mówiąc prościej, chodziło im o człowieka obdarzonego mocami duchowymi, które pozwalałyby mu rozumieć i wykorzystywać wymiary wyższego rzędu.

Chciały wyhodować supermentata, żywy komputer o pewnych zdolnościach przewidywania przyszłości, jakie spotykano u nawigatorów Gildii. A teraz zważmy skrupulatnie na te oto fakty:

Muad'Dib, urodzony jako Paul Atryda, był synem księcia Leto, którego linię obserwowano bacznie przez ponad tysiąc lat. Matka proroka, lady Jessika, była córką barona Vladimira Harkonnena i nosicielką cech genetycznych, których bezcenną wartość dla planu eugenicznego znano od prawie dwóch tysięcy lat. Wychowana i wyszkolona przez Bene Gesserit, *winna być powolnym narzędziem projektu!*

Lady Jessice polecono dać Atrydom córkę. Planowano skrzyżować to dziecko z Feydem-Rauthą Harkonnenem, bratankiem barona Vladimira, ponieważ istniało duże prawdopodobieństwo, że spłodzą oni Kwisatz Haderach. Tymczasem z powodów, które – jak wyznała – nigdy nie były dla niej zupełnie jasne, konkubina lady Jessika zbuntowała się przeciwko rozkazom i urodziła syna.

Już to powinno zaalarmować Bene Gesserit, że do ich planu wkradła się przypadkowa zmienna, ale były też inne, daleko bardziej ważkie poszlaki, które zostały zignorowane:

1. Jako chłopiec Paul Atryda objawiał zdolność przepowiadania przyszłości. Wiedziano, że miewa prorocze widzenia, które są trafne, przenikliwe i nie dają się wyjaśnić w obrębie czterech wymiarów.

2. Matka wielebna Gaius Helena Mohiam, cenzorka przełożona Bene Gesserit, która poddała piętnastoletniego chłopca próbie człowieczeństwa, przyznaje, że w jej trakcie Paul pokonał ból większy niż jakikolwiek inny człowiek w historii. Jednak nie zamieszcza o tym ani słowa w swoim raporcie!

3. Kiedy ród Atrydów przeniósł się na Arrakis, miejscowa społeczność fremeńska okrzyknęła Paula prorokiem, „Głosem Spoza Świata". Bene

Gesserit doskonale zdawały sobie sprawę, że surowość warunków na takiej planecie jak Arrakis, będącej jedną wielką pustynią, zupełny brak naturalnych zbiorników wodnych, podniesienie najbardziej elementarnych potrzeb do rangi spraw życia i śmierci daje wysoki odsetek osobników podatnych na wpływy psychiczne. Ale taka reakcja Fremenów oraz duża zawartość przyprawy jako rzucający się w oczy element arrakijskiej diety zostały zlekceważone przez obserwatorki Bene Gesserit.

4. Kiedy Harkonnenowie i fanatyczni żołnierze Padyszacha Imperatora ponownie zajęli Arrakis, zabijając ojca Paula i większość atrydzkich żołnierzy, chłopak i jego matka zniknęli, ale prawie natychmiast pojawiły się pogłoski o nowym przywódcy religijnym Fremenów, Muad'Dibie, którego ponownie okrzyknięto „Głosem Spoza Świata". Doniesienia jednoznacznie stwierdzały, że towarzyszy mu nowa matka wielebna z obrządku sajjadina, „która to kobieta go zrodziła". W dostępnych Bene Gesserit archiwach było wyraźnie napisane, że fremeńskie legendy o proroku zawierają te oto słowa: „Narodzi się on z czarownicy Bene Gesserit".

(Można by dowodzić, że Bene Gesserit kilka stuleci wcześniej wysłały swoją Missionaria Protectiva, by zaszczepiła na Arrakis coś na kształt tej legendy jako zabezpieczenie, na wypadek gdyby któraś z członkiń szkoły znalazła się tam w opałach i potrzebowała schronienia, i że tę legendę o „Głosie Spoza Świata" słusznie zlekceważono, ponieważ przypominała standardowy fortel Bene Gesserit, lecz byłoby to słuszne tylko przy założeniu, że Bene Gesserit postąpiły prawidłowo, lekceważąc inne poszlaki dotyczące Paula Muad'Diba).

5. Kiedy wezbrała Afera Arrakijska, do Bene Gesserit zakołatała Gildia Kosmiczna. Gildia dała do zrozumienia, że jej nawigatorzy, zażywający narkotyczną przyprawę z Arrakis, by osiągnąć pewien próg jasnowidzenia

koniecznego do pilotowania statków w przestrzeni kosmicznej, są „zaniepokojeni przyszłością” czy też widzą „chmury na horyzoncie”. Mogło to oznaczać jedynie, że widzieli oni splot przyczynowo-skutkowy, punkt zborny niezliczonych delikatnych decyzji, poza którym dla jasnowidzącego oka droga była niewidoczna. Stanowiło to wyraźną wskazówkę, że jakiś czynnik ingeruje w wymiary wyższego rzędu!

(Kilka Bene Gesserit od dawna miało świadomość, że Gildia nie może ingerować bezpośrednio u jedynego źródła przyprawy, gdyż jej nawigatorzy na własny, niezdarny sposób radzili już sobie z wymiarami wyższego rzędu, przynajmniej na tyle, by zrozumieć, że najmniejsze ich potknięcie na Arrakis może spowodować katastrofę. Znany był im również fakt, że nawigatorzy Gildii nie potrafili przewidzieć żadnego sposobu opanowania złóż przyprawy bez stworzenia takiego właśnie splotu. Wniosek, że ktoś obdarzony mocami wyższego rzędu przejmuje właśnie kontrolę nad źródłem przyprawy, nasuwał się więc sam. A jednak Bene Gesserit przeoczyły ten moment całkowicie!)

Powyższe fakty prowadzą do nieuchronnej konkluzji, że nieudolne poczynania Bene Gesserit w tej sprawie to rezultat jeszcze wyższego planu, którego były zupełnie nieświadome!

IV

Almanak en-Aszraf

(WYBRANE USTĘPY Z WYSOKICH RODÓW)

SZADDAM IV (10 119–10 202)

Padyszach Imperator, osiemdziesiąty pierwszy władca z dynastii Corrinów zasiadający na Tronie Złotego Lwa. Panował od roku 10 156 (w którym zginął jego ojciec, Elrood IX, otruty chaumurky) do roku 10 196, kiedy to ustanowiono regencję na rzecz jego najstarszej córki Irulany. Panowanie Szaddama IV kojarzone jest głównie z Rewoltą Arrakijską, której przyczyn wielu historyków upatruje w nadmiernym upodobaniu władcy do uroczystości dworskich i przepychu. W pierwszych szesnastu latach jego panowania szeregi bursegów podwoiły się, podczas gdy fundusze na szkolenie sardaukarów zmniejszano systematycznie przez ostatnie trzydzieści lat przed Rewoltą. Miał pięć córek (Irulanę, Chaliceę, Wensicję, Josifę i Rugię), nie miał natomiast legalnych synów. Cztery córki towarzyszyły mu na wygnaniu. Jego żona Anirula, Bene Gesserit o ukrytej randze, zmarła w roku 10 176.

LETO ATRYDA (10 140–10 191)

Spokrewniony po kądzieli z Corrinami, często zwany Czerwonym Księciem. Przez dwadzieścia pokoleń ród Atrydów władał Kaladanem jako

siridar lennem, dopóki nie zmuszono go do przeniesienia się na Arrakis. Leto Atryda znany jest przede wszystkim jako ojciec księcia Paula Muad'Diba, Regenta Ummy. Szczątki Czerwonego Księcia spoczywają w kaplicy czaszki na Arrakis. Jego śmierć, skutek zdrady doktora z Akademii Suka, przypisuje się siridarowi baronowi Vladimirowi Harkonnenowi.

LADY JESSIKA (jej wysokość Atryda) (10 154–10 256)

Rodzona córka (źródło: Bene Gesserit) siridara barona Vladimira Harkonnena. Matka księcia Paula Muad'Diba. Ukończyła szkołę BG na Wallachu IX.

LADY ALIA ATRYDA (10 191–10 219)

Prawowita córka księcia Leto Atrydy i jego oficjalnej konkubiny, lady Jessiki. Lady Alia przyszła na świat na Arrakis około ośmiu miesięcy po śmierci swego ojca. Przed narodzeniem zetknęła się z narkotykiem rozszerzonej świadomości, co powszechnie uchodzi za przyczynę nazwania jej przez Bene Gesserit „Przeklętą". W historii powszechnej znana jest jako Święta Alia lub Święta Alia od Noża (szczegóły patrz: *Święta Alia, łowczyni miliarda światów* pióra Pandera Oulsona).

VLADIMIR HARKONNEN (10 110–10 193)

Zwykle określany jako baron Harkonnen. Jego formalny tytuł brzmiał siridar (gubernator planetarny) baron. Vladimir Harkonnen jest w prostej linii potomkiem baszara Abulurda Harkonnena, który po bitwie pod Corrinem skazany został na wygnanie za tchórzostwo. Odbudowę potęgi rodu Harkonnenów przypisuje się na ogół zręcznym spekulacjom jego członków na giełdzie futer wielorybich i późniejszemu zastrzykowi

melanżowej fortuny z Arrakis. Siridar baron zginął na Arrakis podczas Rewolty. Tytuł na krótko przypadł na-baronowi Feydowi-Raucie Harkonnenowi.

HRABIA HASIMIR FENRING (10 118–10 225)

Spokrewniony po kądzieli z rodem Corrinów, był towarzyszem dzieciństwa Szaddama IV. (Często dyskredytowana *Piracka historia Corrinów* podaje zastanawiającą informację, że to Fenring podsunął chaumurky Elroodowi IX). Wszystkie źródła są zgodne co do tego, że hrabia był najbliższym, jeśli nie jedynym, przyjacielem Padyszacha Imperatora. Imperialne funkcje pełnione przez hrabiego Fenringa to: pełnomocnik Imperium na Arrakis za rządów Harkonnenów oraz siridar *in absentia* Kaladanu. Przyłączył się do Szaddama IV w jego odosobnieniu na Salusie Secundusie.

HRABIA GLOSSU RABBAN (10 132–10 193)

Glossu Rabban, hrabia z Lankiveila, był starszym bratankiem Vladimira Harkonnena. Glossu Rabban i Feyd-Rautha Rabban (który przybrał nazwisko Harkonnen po tym, jak trafił na dwór siridara barona) byli prawowitymi synami Abulurda, młodszego brata Vladimira. Abulurd wyrzekł się nazwiska Harkonnen i wszystkich praw do tytułu w zamian za gubernatorstwo podokręgu Rabban-Lankiveil. Rabban jest nazwiskiem linii żeńskiej.

Terminologia Imperium

Poznając historię Imperium, Arrakis i całą kulturę, która wydała Muad'Diba, napotykamy wiele nieznajomych terminów. Pomoc w zrozumieniu ich to cel chwalebny, stąd te niżej podane definicje i wyjaśnienia.

ABA: luźna szata noszona przez Fremenki, zazwyczaj czarna.

ACH: „zwrot w lewo", komenda sternika czerwia.

ADAB: władcza pamięć, która samoistnie ogarnia człowieka.

AJAT: znaki życia (patrz: **BURHAN**).

AKARSO: pochodząca z Sikuna (70 Ophiuchi A) roślina o charakterystycznych, niemal prostokątnych liściach. Ich zielone i białe pasy oznaczają trwały dwustan równoległych aktywnych i uśpionych regionów chlorofilowych.

AL-LAT: pierwotne słońce rodzaju ludzkiego; potocznie: słońce każdej planety.

ALAM AL-MITHAL: mistyczna kraina podobieństw, w której nie ma żadnych fizycznych ograniczeń.

AMPOLIROS: legendarny *Latający Holender* kosmosu.

AMTAL, PRAWO AMTAL: zwyczajowe prawo na prymitywnych planetach, na mocy którego poddawało się coś próbie dla ustalenia tegoż ograniczeń bądź mankamentów; powszechnie: próba niszcząca.

AQL: próba rozumu. Pierwotnie „siedem pytań mistycznych" zaczynających się od: „Kto to jest ten, kto myśli?".

ARRAKIN: pierwsza osada na Arrakis, przez długi czas siedziba rządu planetarnego.

ARRAKIS: planeta znana jako Diuna, trzecia planeta Canopusa.

ASASYNA, PORADNIK: sporządzona w trzecim wieku kompilacja dotycząca trucizn używanych zwykle w wojnie asasynów. Rozszerzona później o śmiercionośne narzędzia dozwolone na mocy pokoju gildyjskiego i Wielkiej Konwencji.

AULIJA: w religii zensunnickich Wędrowców żeńska istota po lewicy Boga, służebnica Boga.

AUMAS: trucizna podana w jedzeniu (dokładnie: trucizna w suchym pożywieniu). W niektórych dialektach: chaumas.

AWARYJNE DRZWI, AWARYJNY SZLABAN: (potocznie: awa-drzwi, awa-szlaban) dowolna pentarcza ustawiona w celu przepuszczenia określonej osoby w razie konieczności ucieczki (patrz: **PENTARCZA**).

BAKKA: we fremeńskiej legendzie płaczek opłakujący cały rodzaj ludzki.

BAKLAWA: treściwe ciasto sporządzone z syropem daktylowym.

BALISETA: dziewięciostrunowy instrument szarpany pochodzący w prostej linii od cytry i nastrojony w tonacji Chusuka. Ulubiony instrument trubadurów imperialnych.

BARAKA: cudotwórca, święty już za życia.

BARWOLWER: pistolet pyłowy na ładunki elektrostatyczne skonstruowany na Arrakis i służący do zostawiania barwnych znaków na dużej powierzchni piasku.

BASEN PYŁOPŁYWÓW: rozległa depresja na powierzchni Arrakis wypełniona nagromadzonym przez stulecia pyłem, który podlegał rzeczywistym pływom.

BASZAR: (często: pułkownik baszar) w zunifikowanej hierarchii Imperium oficer sardaukarów nieco wyższy rangą od pułkownika. Stopień stworzony dla wojskowego komendanta podregionu planetarnego. (Tytuł baszara korpusu był zastrzeżony wyłącznie do użytku wojskowego).

BEDWINE: patrz: **ICHWAN BEDWINE**.

BELA TEGEUSE: piąta planeta Kuentsinga; trzecie miejsce postoju w przymusowej migracji zensunnitów (Fremenów).

BENE GESSERIT: starożytna szkoła kształcenia ducha i ciała założona przede wszystkim dla dziewcząt, po tym jak Dżihad Butlerowski zniszczył tak zwane „myślące machiny” i roboty.

BG: żargonowe określenie Bene Gesserit.

BHOTANI DŻIB: patrz: **CHAKOBSA**.

BI-LA KAIFA: Amen (dosłownie: „Niczego już nie trzeba wyjaśniać”).

BIBLIA PROTESTANCKO-KATOLICKA: *Księga Ksiąg*, tekst opracowany przez Kongres Ekumeniczny Federacji. Zawiera elementy najstarszych religii, łącznie z Maometh Saari, chrześcijańską Mahayaną, katolicyzmem zensunnickim i przekazami buddislamskimi. Za jej najważniejsze przykazanie uważa się: „Nie będziesz kaleczył ducha”.

BINDU: odnoszący się do systemu nerwowego człowieka, szczególnie do jego treningu. Często określane jako bindunerwatura (patrz: **PRANA**).

BINDU, LETARG: specyficzna, samowzbudzona postać katalepsji.

BLECH: płaska, otwarta pustynia.

BRZEMIĘ WODY: fremeński dług na śmierć i życie.

BURHAN: dowody życia (zazwyczaj: ajat i burhan życia; patrz: **AJAT**).

BURKA: izolowana opończa noszona przez Fremenów na pustyni.

BURSEG: generał sardaukarów.

CEDUŁA DOBORU: główny rejestr planu eugenicznego Bene Gesserit, którego celem było wydanie na świat Kwisatz Haderach.

CENZORKA PRZEŁOŻONA: matka wielebna Bene Gesserit będąca równocześnie dyrektorką regionalnej szkoły BG (potocznie: Bene Gesserit jasnowidząca).

CHAKOBSA: tak zwany „język magnetyczny” wywodzący się częściowo z pradawnego bhotani (bhotani dżib, gdzie „dżib” oznacza dialekt). Mieszanka starożytnych narzeczy, które zmodyfikowano z myślą o zachowaniu tajemnicy. Jej podstawę stanowił język łowiecki Bhotanich, najemnych skrytobójców z okresu pierwszych wojen asasynów.

CHAUMAS: (w pewnych dialektach: aumas) trucizna w suchym pokarmie, w odróżnieniu od trucizny podanej w inny sposób.

CHAUMURKY: (w niektórych dialektach: musky lub murky) trucizna dodawana do napoju.

CHEOPS: szachy piramidalne. Dziewięciopiętrowe szachy, w których celem rozgrywki jest umieszczenie własnej królowej na szczycie i zaszachowanie króla przeciwnika.

CHEREM: braterstwo nienawiści (zwykle zawiązywane z myślą o zemście).

CHUSUK: czwarta planeta Tety Szalisza, tak zwana Planeta Muzyczna. Słynęła z jakości wytwarzanych na niej instrumentów muzycznych (patrz: **VAROTA**).

CIELAGO: dowolny przedstawiciel arrakijskich gatunków rzędu *Chiroptera* przystosowany do przenoszenia wiadomości dystransowych.

CORIOLISA, KURZAWA: każdy większy samum na Arrakis, gdzie wiejące na otwartych równinach wiatry były wzmagane przez ruch obrotowy planety i osiągały prędkość do 700 kilometrów na godzinę.

CORRINEM, BITWA POD: bitwa kosmiczna, od której pochodzi nazwa rodu imperialnego Corrinów. Stoczona została w pobliżu Sigmy Smoka w roku 88 PG, a w jej efekcie na tronie imperialnym zaczęli zasiadać przedstawiciele rodu władającego Salusą Secundusem.

CZELUŚĆ PYŁOWA: każda głęboka szczelina lub depresja na arrakijskiej pustyni wypełniona pyłem i z pozoru nieróżniąca się od otoczenia. Śmiertelna pułapka, w której człowiek bądź zwierzę zapadali się i ginęli przez uduszenie (patrz: **BASEN PYŁOPŁYWÓW**).

CZERW PUSTYNI: patrz: **SZEJ-HULUD**.

DAR AL-HIKMAN: szkoła religijnego przekładu lub interpretacji.

DERCH: „zwrot w prawo”, komenda sternika czerwia.

DICTUM FAMILIA: reguła Wielkiej Konwencji zakazująca uśmiercania osoby królewskiej lub członka wysokiego rodu za pomocą niezgodnego z przepisami podstępu. Podkreśla ona podstawy prawne i ogranicza narzędzia mordu.

DIUNIDZI: określenie ludzi piasku, poszukiwaczy przyprawy i podobnych im osób na Arrakis. Piachmani. Melanżerzy.

DOZOROWIEC SZPERACZY: lekki ornitopter ekipy poszukiwaczy przyprawy wyznaczony na punkt dowodzenia obserwatorów i ochrony.

DRUGI KSIĘŻYC: mniejszy z dwóch satelitów Arrakis, godny uwagi ze względu na sylwetkę skoczka pustynnego rysującą się na jego powierzchni.

DRYF: wtórna kolektorowa faza generatora pola Holtzmana. Znosi ciążenie w granicach określonych proporcjami masy i zużycia energii.

DUDNIK: krótka tyczka z mechanizmem sprężynowym i kołatką na końcu. Po wbiciu w piasek „dudniący” przyrząd przywoływał szej-huluda (patrz: **HAKI STWORZYCIELA**).

DYSTRANS: urządzenie do wytwarzania odbitek neuronowych w systemie nerwowym gatunków rzędu *Chiroptera* lub ptaków. Naturalny głos tak przygotowanego zwierzęcia zawierał wiadomość, którą można było wyodrębnić z tej fali nośnej za pomocą drugiego dystransu.

DŻIHAD: krucjata religijna, fanatyczna krucjata.

DŻIHAD BUTLEROWSKI: (patrz: **WIELKA REWOLTA**) krucjata przeciwko komputerom, „myślącym machinom” i świadomym robotom rozpoczęta w roku 201 PG i zakończona w roku 108 PG. Jego główne przykazanie zachowało się w Biblii P-K jako: „Nie będziesz czynił machin na obraz i podobieństwo umysłu ludzkiego”.

DŻUBBA, PŁASZCZ: powszechny na Arrakis płaszcz uniwersalny (można go było nastawić tak, by odbijał lub przepuszczał ciepło, zrobić z niego hamak lub namiot) noszony na filtraku.

EGOPORTRET: podobizna wykonana projektorem szigastrunowym mogącym oddać subtelne poruszenia, które jakoby ukazują istotę ego.

EKAZ: czwarta planeta Bety Alfa Centauri, zwana rajem rzeźbiarzy, gdyż jest ojczyzną mgielnicy, porostu, który można kształtować siłą samej ludzkiej myśli.

EL SAJAL: „deszcz piasku”. Opad pyłu wywindowanego na średnią wysokość (około 2000 metrów) przez kurzawę Coriolisa. El sajale często sprowadzały wilgoć na powierzchnię.

ELAKKA: narkotyk otrzymywany w procesie spalania usłojonego krwiście drewna elakka z Ekaza. Niemal całkowicie tłumił instynkt samozachowawczy. Skóra poddanej jego działaniu osoby miała charakterystyczny kolor marchwi. Powszechnie stosowany do przygotowywania gladiatorów mających wyjść na arenę.

ERG: rozległy obszar wydm, morze piasku.

FAI: danina wody, główna forma podatku na Arrakis.

FAUFRELUCHES: sztywna reguła podziału klasowego egzekwowana przez Imperium. „Miejsce dla każdego człowieka i każdy człowiek na swoim miejscu".

FEDAJKINI: fremeńscy komandosi śmierci; historycznie: grupa ludzi, którzy zebrali się i przysięgli poświęcić swe życie w imię sprawiedliwości.

FIKH: poznanie, zasada religijna; jedno z na poły legendarnych źródeł religii zensunnickich Wędrowców.

FILTRAK: opinający szczelnie ciało strój wynaleziony na Arrakis. Jego mikrowarstwowa tkanina pełniła funkcję pochłaniacza ciepła i filtru wydzielin ciała. Odzyskaną wilgoć można było czerpać za pomocą rurki z kieszeni łownych.

FILTRNAMIOT: małe, szczelne schronienie z tkaniny mikrowarstwowej. Zaprojektowano go z myślą o odzyskiwaniu – w postaci wody pitnej – wilgoci z oddechu przebywających w nim ludzi.

FILTRWTYK: filtr nosowy używany wraz z filtrakiem do zatrzymywania wydychanej wilgoci.

FREGATA: największy statek kosmiczny, jaki może lądować na planecie i startować z niej w całości.

FREMENI: wolne plemiona Arrakis, mieszkańcy pustyni, niedobitki zensunnickich Wędrowców (według *Małej Encyklopedii Imperium*: „piraci piasku”).

FREMSAK: wyrabiana przez Fremenów sakwa z zestawem umożliwiającym przeżycie na pustyni.

GAFLA: nieumiejętność skupienia się przy natrętnej musze. Stąd: osoba chwiejna, której nie należy ufać.

GALACH: oficjalny język Imperium. Hybryda anglo-słowiańska z silnymi naleciałościami leksykalnymi przyswojonymi od różnych kultur w trakcie wieloetapowych migracji człowieka.

GAMONT: trzecia planeta Niushe. Słynęła z hedonistycznej kultury i egzotycznych praktyk seksualnych.

GANIMA: coś zdobytego w bitwie lub w pojedynku. Powszechnie: bezużyteczna pamiątka z walki budząca jedynie wspomnienia.

GĄSIENIK PIASKOWY: potoczna nazwa maszyny zaprojektowanej do poszukiwania i zbioru melanżu na powierzchni Arrakis.

GEJR: monadnok, pień, ostaniec.

GEJRAT: „na wprost”, komenda sternika czerwia.

GIEDI PRIME: 36 Ophiuchi B, ojczyzna rodu Harkonnenów. Planeta o średnich warunkach do życia i słabej aktywności fotosyntezy.

GILDIA: Gildia Kosmiczna, jedno z ramion politycznego trójnogu, na którym wspierała się Wielka Konwencja. Od czasów Dżihadu Butlerowskiego była drugą (patrz: **BENE GESSERIT**) szkołą kształcenia ducha i ciała. Powstanie monopolu Gildii w dziedzinie podróży kosmicznych, transportu i międzynarodowej bankowości przyjęto za datę początkową kalendarza Imperium.

GINAZÓW, RÓD: byli sojusznicy księcia Leto Atrydy. Zostali pobici w wojnie asasynów z Grummanem.

GIUDICHAR: święta prawda (najczęściej spotykane w wyrażeniu *giudichar mantene*: prawda pierwotna i podstawowa).

GŁOS: zapoczątkowane przez Bene Gesserit wszechstronne szkolenie, które pozwala adeptce panować nad innymi jedynie za pomocą odpowiednio dobranych odcieni barwy głosu.

GŁUSZAK: broń miotająca na pociski moderacyjne. Wyrzucała bolce z trucizną lub narkotykiem w grocie. Jej skuteczność była ograniczona nastawieniem tarczy i ruchem względnym celu i pocisku.

GOM DŻABBAR: „wróg ostateczny". Specyficzna igła z ładunkiem metacyjanku, której cenzorki Bene Gesserit używały do poddawania ludzkiej świadomości próbie śmierci.

GRABEN: długi rów tektoniczny powstały w wyniku osiadania gruntu wywołanego przez ruchy głębiej położonych warstw krustalnych.

GRAJĄCY PIASEK: piasek o tak ogromnej spoistości, że każde uderzenie w powierzchnię brzmiało niczym głos bębna.

GROT-GOŃCZAK: sterowana za pomocą ukrytej w pobliżu konsoli ostra metalowa igła, która szybuje na dryfie. Pospolita broń skrytobójcza.

GRÓDŹ: przenośne hermetyczne zamknięcie z plastiku stosowane w ciągu dnia do zatrzymywania wilgoci we fremeńskich jaskiniowych obozowiskach.

GRUMMAN: druga planeta Niushe. Znana przede wszystkim z wendety władającego nią rodu (Moritanich) na rodzie Ginazów.

HADŻDŻ: święta podróż, pielgrzymka.

HADŻR: podróż przez pustynię, migracja.

HADŻRA: podróż w poszukiwaniu czegoś.

HAGAL: Planeta Klejnot (II Teta Shaowei) wyeksploatowana za panowania Szaddama I.

HAJJJJJ… JO!: „ruszaj”, okrzyk sternika czerwia.

HAKARZ: wyposażony w haki stworzyciela Fremen gotowy do pochwycenia czerwia pustyni.

HAKI STWORZYCIELA: haki stosowane przez Fremenów do chwytania, dosiadania i ujeżdżania arrakijskiego czerwia pustyni.

HAL JAWM: „No! Wreszcie!”, okrzyk fremeński.

HANDŻAR: krótki obosieczny miecz (lub długi nóż) o lekko zakrzywionym ostrzu długości około dwudziestu centymetrów.

HARMONIUM: metal wykształcony przez wrastające w duraluminium kryształy jasmonowe. Znany z bardzo dużej wytrzymałości na rozciąganie w odniesieniu do swej wagi. Najczęściej używany w strukturach składanych wachlarzowo.

HARMONTHEP: tak zdaniem Ingsleya nazywał się szósty przystanek w międzyplanetarnej migracji zensunnitów. Przypuszcza się, że był to nieistniejący już satelita Delty Pawia.

HIEREG: tymczasowy obóz fremeński na otwartej pustyni.

HOLTZMAN: patrz: **ZJAWISKO HOLTZMANA**.

IBAD, SPOJRZENIE IBADA: charakterystyczny skutek bogatej w melanż diety, od której białka i źrenice oczu nabierały barwy ciemnego błękitu (oznaka silnego uzależnienia od przyprawy).

IBN KIRTAIBA: „Tak nakazują święte słowa…” Uroczysty wstęp do fremeńskich zaklęć religijnych (zaczerpniętych z panoplia prophetica).

ICHWAN BEDWINE: braterstwo wszystkich Fremenów na Arrakis.

IDŻAZ: przepowiednia niepodważalna z samej swej natury, przepowiednia nieodwracalna.

IKUT-EJ!: niejasnej etymologii okrzyk sprzedawcy wody na Arrakis (patrz: **SUU-SUU-SUUK!**).

ILM: teologia, nauka o tradycji religijnej. Jedno z na poły legendarnych źródeł wiary zensunnickich Wędrowców.

ISTISLAH: prawo wspólnego dobra. Zwykle zapowiedź brutalnej konieczności.

IX: patrz: **RICHESE**.

JA HJA CHOUHADA: „Niech żyją wojownicy!” Okrzyk bojowy fedajkinów. *Ja* (teraz) w tym zawołaniu wzmocnione jest formą *hja* (teraz rozciągnięte na wieki). *Chouhada* (wojownicy) zawiera znaczenie dodatkowe „walczący przeciwko niesprawiedliwości”. Słowo to precyzuje, że wojownicy nie walczą o coś, lecz przeciwko czemuś – jednej, określonej rzeczy.

JA! JA! JAWM!: fremeński zaśpiew stosowany w niezwykle podniosłym momencie rytuału. *Ja* zawiera pierwiastek znaczeniowy „Teraz posłuchajcie!”. Forma *jawm* to wezwanie do skoncentrowania uwagi. Zaśpiew ów tłumaczy się zwykle jako: „Nie urońcie ani słowa”.

JALI: prywatna kwatera Fremena w siczy.

JEŹDZIEC PIASKU: fremeńskie określenie osoby, która potrafiła pojmać i dosiąść czerwia pustyni.

JĘZYK WALKI: każdy specyficzny język o tajnej etymologii rozwinięty z myślą o swobodnej komunikacji podczas bitwy.

KAID: stopień oficerski sardaukarów nadawany urzędnikowi wojskowemu, którego obowiązki sprowadzały się głównie do kontaktów z cywilami; gubernator wojskowy okręgu planetarnego, wyższy szarżą od baszara, lecz niedorównujący bursegowi.

KALADAN: trzecia planeta Delty Pawia, rodzinny świat Paula Muad’Diba.

KANAT: otwarty kanał irygacyjny na pustyni, w którym można było regulować przepływ wody.

KANLY: oficjalna waśń lub wendeta zgodna z zasadami Wielkiej Konwencji i prowadzona według najściślejszych reguł (patrz: **SĘDZIA ZMIANY**). Pierwotnie zasady kanly miały chronić postronnych świadków.

KARAMA: „cud”. Działanie inspirowane przez siły nadprzyrodzone.

KHALA: tradycyjne zaklęcie mające uspokoić rozeźlone duchy miejsca, które wymieniono z nazwy.

KHOAM: akronim utworzony od nazwy Konsorcjum Honnete Ober Advancer Mercantiles – wszechświatowej korporacji kierowanej przez Imperatora i wysokie rody, z Gildią i Bene Gesserit jako cichymi wspólnikami.

KIESZEŃ ŁOWNA: każda kieszeń filtraka, w której magazynowana była przefiltrowana woda.

KIRTAIBA: patrz: **IBN KIRTAIBA**.

KISWA: dowolna postać lub symbol z mitologii fremeńskiej.

KITAB AL-IBAR: kompilacja modlitewnika i vademecum przeżycia na pustyni opracowana przez Fremenów na Arrakis.

KOMBAJN GĄSIENIKOWY: patrz: **GĄSIENIK PIASKOWY**.

KREWNIAK: stopień pokrewieństwa dalszy niż rodzeństwo stryjeczne i cioteczne.

KRIMSKELLA: „nić kleszcząca” pleciona z włókna pnącza hufufa z Ekaza. Pętla z krimskelli zaciskała się coraz bardziej, aż do z góry ustalonych granic, w miarę prób rozerwania sznura (szczegółowe informacje patrz: Holjanc Vohnbrook *Dusicielskie pnącza z Ekaza*).

KRWAWIN: roślina pnąca, której ojczyzną jest Giedi Prime. Jej pędów często używano jako biczy w obozach niewolników. Ofiarom pozostawiała bordowy ślad, który powodował trwający wiele lat ból.

KRYSNÓŻ: święty nóż Fremenów z Arrakis. Wyrabiany był z zębów martwego czerwia pustyni w dwóch wersjach: „stałej” i „niestałej”. Nóż niestały wymagał kontaktu z polem elektrycznym ciała ludzkiego, które zapobiegało jego rozpadowi. Noże stałe przeznaczone były do składowania. I jedne, i drugie miały około dwudziestu centymetrów długości.

KSIĘGOFILM: każda odbitka szigastrunowa wykorzystywana do nauczania i sporządzania zapisów mnemotechnicznych.

KULL WAHAD!: „Jestem poruszony do głębi!” Szczery okrzyk zaskoczenia używany powszechnie w Imperium. Dokładne znaczenie zależy od kontekstu. (Mówi się, że Muad’Dib, ujrzawszy kiedyś, jak pisklę jastrzębia pustynnego wykluwa się z jajka, wyszeptał: „Kull wahad!”)

KULON: dziki osioł z ziemskich stepów zaaklimatyzowany na Arrakis.

KWISATZ HADERACH: „skrócenie drogi”. Nazwa nadana przez Bene Gesserit *niewiadomej*, dla której poszukiwały rozwiązania genetycznego: Bene Gesserit płci męskiej, którego siły psychiczne łączyłyby przestrzeń i czas.

KWIZARZY TAWFIDZI: fremeńscy kapłani (po nadejściu Muad’Diba).

LA, LA, LA: fremeński okrzyk rozpaczy (*la* oznacza ostateczną odmowę – „nie”, od którego nie ma odwołania).

LANCA LASEROWA: wersja rusznicy laserowej o krótkim zasięgu stosowana przeważnie jako narzędzie tnące i skalpel chirurgiczny.

LEGION IMPERIALNY: dziesięć brygad (około 30 tysięcy ludzi).

LIBAN: fremeński liban to woda z przyprawą zaciągnięta mąką z jukki. Pierwotnie napój z kwaśnego mleka.

LINA KRIMSKELLOWA: patrz: **KRIMSKELLA**.

LINIOWIEC: największy statek transportowy wykorzystywany w systemie przewozowym Gildii Kosmicznej.

LISAN AL-GAIB: „Głos Spoza Świata”. W mesjanistycznych legendach Fremenów prorok spoza planety. Czasami termin ów tłumaczony był jako „Dawca wody” (patrz: **MAHDI**).

LITERJON: litrowy pojemnik do przenoszenia wody na Arrakis, wykonany z bezodpryskowego plastiku o dużej masie właściwej i zaopatrzony w doskonałe zamknięcie.

LUMISFERA: zawieszona na dryfie lampa z samozasilaniem (zazwyczaj baterią organiczną).

ŁAMACZE: wykorzystywane do przełamywania pozycji wroga okręty kosmiczne składające się z połączonych mniejszych jednostek.

MAGICZNY: idiomatycznie: to, co się wiąże z mistycyzmem lub czarami.

MAHDI: we fremeńskiej legendzie mesjanistycznej „Ten, który powiedzie nas do raju”.

MALEŃKI STWORZYCIEL: pół roślina, pół zwierzę, żyjący w głębi piasku zarodek arrakijskiego czerwia. Ekskrementy maleńkiego stworzyciela tworzyły masę preprzyprawową.

MANTENE: mądrość podstawowa, argument wspierający, pierwsza zasada (patrz: **GIUDICHAR**).

MASA PREPRZYPRAWOWA: stadium grzybiastego, burzliwego wzrostu spowodowanego dostaniem się wody do ekskrementów maleńkich stworzycieli. W tym stadium arrakijska przyprawa

„wybuchała” w charakterystyczny sposób, mieszając substancję z głębi ziemi z substancją z powierzchni. Ta masa, poddana działaniu słońca i wiatru, stawała się melanżem (patrz: **MELANŻ** i **WODA ŻYCIA**).

MATKA WIELEBNA: pierwotnie cenzorka Bene Gesserit, która przekształciła w swoim ciele „truciznę objawienia” i wzniosła się na wyższy poziom świadomości. Tytuł przyjęty przez Fremenów na określenie ich przywódczyń religijnych, które przeżyły podobne „objawienie” (patrz: **BENE GESSERIT** i **WODA ŻYCIA**).

MAULA: niewolnik.

MAULA, PISTOLET: pistolet sprężynowy na zatrute bolce. Jego zasięg wynosił około czterdziestu metrów.

MELANŻ: „przyprawa nad przyprawami”, której jedynym źródłem była Arrakis. Znana głównie ze swych życiodajnych właściwości. Przyjmowana w niewielkich ilościach była łagodnie warunkująca. Dawki powyżej dwóch gramów dziennie na siedemdziesiąt kilogramów wagi ciała powodowały silne uzależnienie (patrz: **IBAD**, **WODA ŻYCIA** i **MASA PREPRZYPRAWOWA**). Muad’Dib, podobnie jak nawigatorzy Gildii, uważał przyprawę za klucz do swych proroczych zdolności. Cena melanżu na rynku imperialnym dochodziła do 620 tysięcy solarisów za dekagram.

MELANŻER: diunida będący wykwalifikowanym operatorem samojezdnej maszyny na pustynnej powierzchni Arrakis.

MENTAT: członek klasy obywateli Imperium szkolonych w umiejętnościach logicznego myślenia na nadludzkim poziomie. „Ludzki komputer”.

METASZKŁO: szkło otrzymywane przez nasycenie tafli kwarcu jasmonowego gazem o wysokiej temperaturze. Znane z niesłychanej

wytrzymałości na rozciąganie (około 450 tysięcy kilogramów na centymetr kwadratowy przy grubości dwóch centymetrów) działa też jako selektywny filtr promieniowania.

METODA BG: stosowanie drobiazgowej obserwacji.

MIHNA: okres poddawania próbie fremeńskich chłopców, którzy pragnęli dołączyć do grona mężczyzn.

MINIMIKOWY, FILM: szigastruna o średnicy jednego mikrona, często wykorzystywana do przekazywania informacji wywiadowczych i kontrwywiadowczych.

MISR: historyczna nazwa, którą posługiwali się zensunnici (Fremeni), mówiąc o sobie; „ludzie”.

MISSIONARIA PROTECTIVA: ramię Bene Gesserit odpowiedzialne za rozsiewanie na prymitywnych planetach zaraźliwych zabobonów w celu szerzenia tam wpływów zgromadzenia (patrz: **PANOPLIA PROPHETICA**).

MISZ-MISZ: morele.

MONITOR: dziesięcioczłonowy okręt kosmiczny wyposażony w ciężką broń i tarcze. Konstrukcja umożliwiała mu lądowanie w całości na planecie i rozdzielenie się członów składowych na czas startu.

MROCZNE SPRAWY: termin oznaczający zaraźliwe przesądy wpajane przez Missionaria Protectiva podatnym na nie cywilizacjom.

MUAD’DIB: skoczek pustynny zaaklimatyzowany na Arrakis. We fremeńskiej mitologii ziemi i ducha stworzenie to łączone było z kształtem widocznym na drugim księżycu planety. Fremeni podziwiali niezwykłe umiejętności skoczka pozwalające mu przetrwać na otwartej pustyni.

MUDIR NAHJA: miano, jakie Fremeni nadali Bestii Rabbanowi (hrabiemu z Lankiveila), bratankowi barona Harkonnena, który przez

wiele lat był siridarem gubernatorem Arrakis. Przydomek ten tłumaczyło się zazwyczaj jako „Król Demon”.

MUR ZAPOROWY: górzyste wypiętrzenie terenu w północnych rejonach Arrakis, które osłaniało niewielki obszar tej planety przed kurzawami Coriolisa.

MUSKY: trucizna w napoju (patrz: **CHAUMURKY**).

MUSZTAMAL: niewielki ogród przydomowy lub ogródek na dziedzińcu.

MU ZEIN WALLAH: *Mu zein* dosłownie znaczy „nic dobrego”, a *wallah* to końcówka zwrotna wykrzyknika. W tym tradycyjnym wstępie do fremeńskiego przekleństwa pod adresem wroga *wallah* przesuwa akcent z powrotem na słowa *mu zein*, co daje znaczenie: „Nic dobrego, nigdy nic dobrego, nic dobrego na zawsze”.

NA-: przedrostek oznaczający „mianowany” lub „następny w kolejności”. Zatem na-baron to prawowity dziedzic tytułu.

NAIB: „Ten, kto ślubował nie dać się wziąć żywcem”. Tradycyjna przysięga fremeńskiego przywódcy.

NAJWYŻSZE WARUNKOWANIE: osiągnięcie Akademii Medycznych Suka – najgłębszy odruch warunkowy przeciwko odebraniu życia człowiekowi. Adepci byli naznaczani wytatuowanym na czole rombem i mieli prawo noszenia długich włosów, które spinali srebrnym pierścieniem Suka.

NEZHONI, CHUSTA: chusta noszona na czole pod kapturem filtraka przez zamężne lub „skojarzone” Fremenki po urodzeniu syna.

NIECKA: nadający się do zamieszkania nizinny obszar na Arrakis okolony wypiętrzeniem terenu, które osłaniało go przed samumami.

NIECKOGRAM: mapa Arrakis, na którą naniesione zostały najpewniejsze marszruty parakompasowe pomiędzy miejscami schronienia (patrz:

PARAKOMPAS).

NIEZBĘDNIK: zestaw narzędzi i części zamiennych do filtraka.

NISKIE RODY: przywiązana do planety klasa przedsiębiorców (w galachu: „richecy”; patrz: **RÓD**).

NOUKKERZY: spokrewnieni z Imperatorem oficerowie imperialnej straży przybocznej. Tradycyjny tytuł synów konkubin królewskich.

ODDZIELACZ WIATRU: urządzenie umieszczane na szlaku dominujących wiatrów. Odzyskiwało wilgoć z zassanego do komory powietrza, przeważnie wskutek gwałtownego jego schłodzenia.

ODŁÓWKI: przewody łączące układ wydalniczy człowieka z systemem odzyskowym filtraka.

OGIEŃ, SŁUP OGNIA: zwykła pirorakieta wykorzystywana do sygnalizacji na otwartej pustyni.

OPALIT: jeden z rzadkich rodzajów opalu z Hagala.

ORNITOPTERY: wszelkie statki powietrzne poruszające się na wzór ptaków za pomocą uderzeń skrzydłami.

OUT-FREIN: w języku galach „najbliższy obcy”, to znaczy: spoza najbliższego otoczenia, spoza wybrańców.

PANEW: nisko położony teren lub depresja na Arrakis powstała wskutek osiadania warstw podłoża. (Na planetach zasobnych w wodę panew oznacza rejon będący niegdyś dnem zbiornika wodnego. Uważa się, że Arrakis miała przynajmniej jeden taki obszar, ale sprawa ta jest dyskusyjna).

PANOPLIA PROPHETICA: zaraźliwe przesądy wykorzystywane przez Bene Gesserit do eksploatacji prymitywnych regionów (patrz: **MISSIONARIA PROTECTIVA**).

PAPILARNY, ZAMEK: każdy rodzaj zamka czy grodzi otwierający się po zetknięciu z dłonią, do której został dostrojony.

PARAKOMPAS: dowolny kompas określający kierunek na podstawie miejscowej anomalii magnetycznej. Używany był tam, gdzie istniały odpowiednie mapy i gdzie pole magnetyczne było niestabilne lub silnie zakłócane przez gwałtowne burze magnetyczne.

PCHLI SZTYCH: każde wąskie, krótkie ostrze (często zatrute) trzymane w lewej ręce podczas walki z użyciem tarcz.

PENTARCZA: pięciowarstwowe pole wytwarzane przez generator tarczy dla niewielkich powierzchni, takich jak światło bram czy korytarzy (duże, wzmocnione tarcze stają się coraz mniej stabilne z każdą następną warstwą). Praktycznie nieprzekraczalne dla tego, kto nie ma symulatora kodu tarczy (patrz: **AWARYJNE DRZWI**).

PG: „przed Gildią” w kalendarzu Imperium opartym na dacie powstania monopolu Gildii Kosmicznej.

PIACHMISTRZ: nadzorca eksploatacji przyprawy.

PIACHOCHRAPY: urządzenie tłoczące powietrze do przykrytego piaskiem filtrnamiotu.

PIACHOPŁYWY: idiomatyczne wyrażenie oznaczające pyłopływy – wznoszenie się i opadanie powierzchni niektórych wypełnionych pyłem basenów Arrakis na skutek oddziaływania grawitacyjnego słońca i satelitów (patrz: **BASEN PYŁOPŁYWÓW**).

PIECHUR PIASKU: każdy Fremen, który opanował sztukę przeżycia na otwartej pustyni.

PIERWSZY KSIĘŻYC: większy satelita Arrakis, wyróżniający się charakterystycznym wizerunkiem ludzkiej pięści rysującym się na jego powierzchni.

PIROŚWIADOMOŚĆ: tak zwana „świadomość ognia”. Poziom zahamowań świadomości, na który działa najwyższe warunkowanie (patrz: **NAJWYŻSZE WARUNKOWANIE**).

PLASTAL: stal stabilizowana włóknami *stravidium*, które wrastają w jej strukturę krystaliczną.

PLENISCENTA: znany z miłej woni egzotyczny zielony kwiat z Ekaza.

PORITRIN: trzecia planeta Epsilona Alangue, przez wielu zensunnickich Wędrowców uważana za ojczystą, aczkolwiek cechy ich języka i mitologii wskazują na o wiele starsze korzenie.

PORTUGLE: pomarańcze.

PÓŁBRACIA: synowie konkubin w jednej rodzinie mający oficjalnie wspólnego ojca.

PRANA: (pranamuskulatura) mięśnie ciała, z których każdy traktowany jest osobno i maksymalnie ćwiczony (patrz: **BINDU**).

PRAWDOMÓWCZYNI: matka wielebna posiadająca sztukę zapadania w trans prawdy i odróżniania prawdy od fałszu.

PRAWO AMTAL: patrz: **AMTAL**.

PROTOKÓŁ: półurzędowy raport formułujący domniemanie zbrodni przeciw Imperium. Prawnie: czynność pośrednia między słownym zarzutem a formalnym oskarżeniem o zbrodnię.

PRÓBA MASZAD: wszelka próba, w której stawką był honor (określony jako postawa natchniona).

PRZYPRAWA: patrz: **MELANŻ**.

PUNDI, RYŻ: zmutowany ryż o bogatych w naturalny cukier ziarnach osiągających do czterech centymetrów długości. Główny produkt eksportowy Kaladanu.

PYONI: przypisani do planety chłopi i robotnicy, jedna z podstawowych klas w ramach faufreluches. Ustawowo: stróże planety.

RACHAG: środek pobudzający typu kofeiny otrzymywany z żółtych jagód akarso (patrz: **AKARSO**).

RAMADAN: starożytny okres religijny cechujący się postami i modłami. W tradycji dziewiąty miesiąc kalendarza słoneczno-księżycowego. Fremeni ustalali porę obrzędu według dziewiątego zenitu w obiegu pierwszego księżyca.

RAZZIA: na poły piracki rajd partyzancki.

REŻIM WODY: surowe szkolenie mające przystosować mieszkańców Arrakis do egzystencji bez utraty wilgoci.

RICHESE: czwarta planeta Eridani A zaliczana, obok Ixa, do niedościgłych cywilizacji technicznych. Słynęła z miniaturyzacji (szczegółowe informacje o tym, jak Richese i Ix uniknęły poważniejszych skutków Dżihadu Butlerowskiego, patrz: Sumer, Kautman *Ostatni dżihad*).

ROSY KOLEKTORY, ROSY OSADNIKI: (nie mylić z narzędziami żeńców rosy) kolektory bądź osadniki to owalne przyrządy długości około czterech centymetrów. Wykonane były z chromoplastiku, który pod wpływem światła bielał i odbijał promienie słoneczne, w ciemności zaś robił się przezroczysty. Kolektory oziębiały swą powierzchnię, a na tej osadzała się rosa. Fremeni wykładali osadnikami dołki wokół sadzonek, zapewniając roślinom niewielkie, lecz niezawodne źródła wody.

RÓD: określenie klanu panującego na planecie lub w systemie planetarnym.

RUH-DUCH: według wierzeń Fremenów ta część osobowości, która jest zawsze zakorzeniona (i zdolna do wyczuwania) w świecie metafizycznym (patrz: **ALAM AL-MITHAL**).

RUSZNICA LASEROWA: miotacz laserowy wytwarzający falę ciągłą. Jako broń miała ograniczone zastosowanie w cywilizacji używającej powszechnie tarcz, gdyż kontakt wiązki laserowej z tarczą powoduje straszliwy wybuch (technicznie: fuzję subatomową).

SADUS: „sędzia". Ten fremeński tytuł odnosił się do boskich sędziów odpowiadających świętym.

SAFO: wysokoenergetyczny wyciąg z kłączy rośliny o tej samej nazwie rosnącej na Ekazie. Powszechnie wykorzystywany przez mentatów, którzy utrzymywali, że potęguje on sprawność umysłu. Zażywanie safo powodowało powstawanie rubinowych plam w jamie ustnej i na wargach.

SAJJADINA: akolitka we fremeńskiej hierarchii religijnej.

SALUSA SECUNDUS: trzecia planeta Gammy Waipinga. Po przeprowadzce dworu królewskiego na Kaitaina ogłoszona imperialną planetą więzienną. Salusa Secundus jest ojczystym światem rodu Corrinów i drugim przystankiem w migracjach zensunnickich Wędrowców. Fremeńska tradycja głosi, że zensunnici byli niewolnikami na Salusie Secundusie przez dziewięć pokoleń.

SARDAUKARZY: fanatyczni żołnierze Padyszacha Imperatora. Wychowywali się w tak surowym środowisku naturalnym, że sześć spośród trzynastu osób nie dożywało jedenastego roku życia. Szkolenie wojskowe sardaukarów wyrabiało w nich bezwzględność i niemal samobójczą pogardę dla własnego bezpieczeństwa. Od dzieciństwa uczono ich wykorzystywania okrucieństwa jako oręża, który poraża przeciwnika. W szczytowym okresie ich wpływu na sprawy wszechświata o biegłości sardaukarów w fechtunku powiadano, że równa się dziesiątemu stopniowi Ginazów, a ich

przebiegłość i zręczność w walce wręcz uchodziła za zbliżoną do kunsztu adeptek Bene Gesserit. Każdy sardaukar mógł stanąć przeciwko dziesięciu żołnierzom zaciężnym Landsraadu. W czasach Szaddama IV, choć wciąż byli potężni, ich siłę podkopało zadufanie, a dająca hart ducha mistyka ich religii została głęboko przeżarta cynizmem.

SARFA: akt odwracania się od Boga.

SELAMLIK: imperialna sala audiencyjna.

SEMUTA: drugi narkotyk otrzymywany (przez ekstrakcję krystalizacyjną) z popiołów drewna elakka. Efekt (nieustająca, bezgraniczna ekstaza) wywoływały atonalne wibracje określane mianem semuckiej muzyki.

SERWOK: mechanizm zegarowy do wykonywania prostych zadań. Jeden z niewielu „automatycznych" mechanizmów dozwolonych po Dżihadzie Butlerowskim.

SĘDZIA ZMIANY: wyznaczony przez Wysoką Radę Landsraadu i Imperatora urzędnik mający czuwać nad zmianą lenna, negocjacjami w kanly lub oficjalną walką w wojnie asasynów. Jego arbitralną władzę można było zakwestionować jedynie przed Wysoką Radą w obecności Imperatora.

SICZ: „miejsce zbiórki w razie zagrożenia". Fremeni tak długo żyli w niebezpieczeństwie, że w końcu termin ów zaczął oznaczać wszelkie jaskiniowe siedziby ich plemiennych społeczności.

SIHAJA: fremeńska „wiosna pustyni", z religijnymi podtekstami kryjącymi pojęcie czasu obfitości i „nadchodzącego raju".

SIRAT: ustęp w Biblii P-K przedstawiający życie ludzkie jako drogę przez wąski most (sirat) z „rajem z prawej, piekłem z lewej i Aniołem Śmierci z tyłu".

SOCZEWKI OLEJOWE: olej hufufowy, zamknięty w obudowie obiektywu i utrzymywany w napięciu statycznym przez pole siłowe, stanowiący część układu powiększającego lub innego układu manipulowania światłem. Każdy element soczewki można było regulować skokowo o jeden mikron, dzięki czemu soczewki olejowe uchodziły za szczytowe osiągnięcie techniki precyzyjnego manipulowania światłem widzialnym.

SOLARIS: oficjalna jednostka płatnicza Imperium. Jej siłę nabywczą ustalali co czterysta lat podczas negocjacji Gildia, Landsraad oraz Imperator.

SOLIDO: trójwymiarowy obraz z projektora odczytującego trzystuseśćdziesięciostopniowe sygnały odniesienia zapisane na rolce szigastrunowej. Powszechnie uważano, że najlepsze projektory solido pochodziły z Ixa.

SONDAGI: tulipan sporofilowy z Tupile.

STOŻEK CISZY: pole dyfraktora ograniczające przenikanie głosu czy jakiejkolwiek innej fali przez tłumienie drgań drganiami lustrzanymi przesuniętymi w fazie o 180 stopni.

STRUG RUSZTOWY: elektrostatyczny oddzielacz różnicowy używany do usuwania piasku z masy melanżowej. Urządzenie wykorzystywane w drugim etapie rafinacji przyprawy.

STWORZYCIEL: patrz: **SZEJ-HULUD**.

SUBAK UL KUHAR: „Dobrze się miewasz?”, fremeńskie powitanie.

SUBAK UN NAR: „Dobrze, a ty?”, tradycyjna odpowiedź.

SUPLIKACJE I RESPONS: rytuał zaklęć, część panoplia prophetica z arsenału Missionaria Protectiva.

SUU-SUU-SUUK!: zawołanie arrakijskiego sprzedawcy wody. *Suk* znaczy targowisko (patrz: **IKUT-EJ!**).

SZADOUT: „czerpiąca ze studni”, fremeński tytuł honorowy.

SZAHNAME: na poły legendarna *Pierwsza Księga* zensunnickich Wędrowców.

SZALANDY: ogólna nazwa wszelkich kontenerów o nieregularnym kształcie wyposażonych w osłony ablacyjne i dryfowy system amortyzacyjny. Stosowane do zrzucania towarów z kosmosu na powierzchnię planety.

SZARIAT: ta część panoplia prophetica, która przedstawia zabobonny rytuał (patrz: **MISSIONARIA PROTECTIVA**).

SZEJ-HULUD: arrakijski czerw pustyni, „praszczur pustyni”, „praojciec wieczności”, „pradziad pustyni”. Znamienne jest, że nazwa ta, wymawiana określonym tonem lub pisana wielką literą, odnosiła się do bogini ziemi z fremeńskiego panteonu wierzeń. Czerwie osiągały kolosalne rozmiary (w głębokiej pustyni widywano osobniki przekraczające czterysta metrów) i dożywały sędziwego wieku, o ile nie padły ofiarą swych pobratymców lub nie utonęły w wodzie, która była dla nich zabójczą trucizną. Większość piasku na Arrakis przypisywało się działaniu czerwi pustyni (patrz: **MALEŃKI STWORZYCIEL**).

SZEJTAN: szatan.

SZIGASTRUNA: metaliczne wąsy płożącej się liany (*Narvi narviium*), która występowała jedynie na Salusie Secundusie i na trzeciej planecie Delty Kaisinga. Słynęły z najwyższej wytrzymałości na rozciąganie.

SZKOLENIE: w odniesieniu do Bene Gesserit ten skądinąd pospolity termin nabiera specjalnego znaczenia związanego z maksymalnym uwarunkowaniem nerwów i mięśni, na jakie pozwala granica ich naturalnej wytrzymałości (patrz: **BINDU** i **PRANA**).

SZLAG: zwierzę łowne z Tupile, prawie całkowicie wytępione dla swej cienkiej, mocnej skóry.

TAHADDI AL-BURHAN: ostateczna próba, od której nie ma odwołania, zwykle dlatego, że kończy się śmiercią lub zniszczeniem.

TAHADDI, WYZWANIE: fremeńskie wezwanie do walki na śmierć i życie, zazwyczaj dla rozstrzygnięcia sprawy wielkiej wagi.

TAKWA: dosłownie: „cena wolności”. Coś niesłychanie cennego. To, czego bóstwo żąda od śmiertelnika (i lęk wywołany tym żądaniem).

TALIONY WODY: różnej wielkości metalowe pierścienie o ściśle określonym nominale wody, na którą można je było wymienić we fremeńskich kantorach. Miały doniosłe znaczenie (daleko wykraczające poza ideę pieniądza) przy okazji urodzin, śmierci i w ceremoniale zalotów.

TARCZA OBRONNA: pole ochronne wytwarzane przez generator Holtzmana. Pole powstaje w fazie pierwszej zjawiska dryfowo-anulacyjnego. Tarcza przepuszcza jedynie obiekty poruszające się z niewielką prędkością (w zależności od nastawienia od sześciu do dziewięciu centymetrów na sekundę) i deaktywować ją może tylko pole elektryczne wielkości hrabstwa (patrz: **RUSZNICA LASEROWA**).

TAU: w terminologii fremeńskiej jedność siczowej wspólnoty oparta na diecie przyprawowej, a przede wszystkim na orgii jedności tau wywołanej spożyciem Wody Życia.

TLEILAX: samotna planeta gwiazdy Thalima znana jako dziki ośrodek szkolenia mentatów. Źródło mentatów „wypaczonych”.

TP: potoczna nazwa telepatii.

TRANS PRAWDY: wywołany przez jeden z kilku narkotyków „rozszerzonej świadomości” półhipnotyczny trans, w którym drobne przejawy świadomego kłamstwa stają się widoczne dla obserwatora (narkotyki „rozszerzonej świadomości” często zabijały; nie dotyczyło to osobników uodpornionych, potrafiących zmienić skład trucizny w organizmie).

TRANSPORTOWIEC: statek Gildii zaprojektowany z myślą o przewożeniu wojska między planetami.

TRÓJNÓG ŚMIERCI: pierwotnie trójnóg, na którym kaci pustynni wieszali swe ofiary. Zwyczajowo: trzej członkowie cheremu, którzy poprzysięgli wspólną zemstę.

TRUCIZNA ŚLADOWA: przypisywany mentatowi Piterowi de Vriesowi wynalazek polegający na przesyceniu ciała trucizną przy równoczesnym regularnym podawaniu antidotum. Wycofanie w dowolnej chwili antidotum powodowało śmierć.

TUPILE: tak zwana „planeta azylu” (prawdopodobnie kilka planet), miejsce schronienia dla pobitych rodów Imperium. Położenie jej (ich) znane było jedynie Gildii i trzymane w tajemnicy na mocy pokoju gildyjskiego.

TYCZENIE PIASKU: sztuka rozmieszczania tyczek z plastiku i włókien na pustynnych obszarach Arrakis i odczytywania ze wzorów wytrawionych na nich przez samumy wskazówek pozwalających przewidywać pogodę.

ULEMA: zensunnicki doktor teologii.

UMMA: członek bractwa proroków (w Imperium pogardliwa nazwa oznaczająca każdego szaleńca ze skłonnościami do obłąkanych przepowiedni).

UROSZNOR: jedno z kilku pozbawionych znaczenia słów, które Bene Gesserit zaszczepiały wybranym ofiarom, aby móc je kontrolować. Dźwięk tego słowa chwilowo paraliżował uwrażliwioną na nie osobę.

USUL: u Fremenów „baza kolumny”.

VAROTA: sławny wytwórca baliset rodem z Chusuka.

VERITA: jeden z zabijających wolę narkotyków z Ekaza. Czynił człowieka niezdolnym do kłamstwa.

WALI: nastoletni Fremen niepoddany jeszcze próbie.

WALLACH IX: dziewiąta planeta Laodżina, siedziba szkoły matek Bene Gesserit.

WIELKA KONWENCJA: powszechny pokój wymuszony równowagą sił utrzymywaną przez Gildię, wysokie rody oraz Imperium. Jej główne postanowienie zabraniało używania broni atomowej przeciwko człowiekowi. Każdy punkt Wielkiej Konwencji zaczynał się od słów: „Należy przestrzegać form, by…”.

WIELKA MACIERZ: rogata bogini, żeński pierwiastek kosmosu (potocznie: Matka Przestrzeń), niewieście oblicze męsko-żeńsko-nijakiej trójcy przyjętej za Najwyższą Istotę przez wiele religii w obrębie Imperium.

WIELKA REWOLTA: potoczny termin oznaczający Dżihad Butlerowski (patrz: **DŻIHAD BUTLEROWSKI**).

WIEŃCOMUR: drugi, wyższy stopień urwisk wieńczących Mur Zaporowy na Arrakis (patrz: **MUR ZAPOROWY**).

WŁÓKNO KRIMSKELLOWE: patrz: **KRIMSKELLA**.

WODA ŻYCIA: trucizna „objawiająca” (patrz: **MATKA WIELEBNA**). Płynna wydzielina czerwia pustyni (patrz: **SZEJ-HULUD**), która

wypływała w momencie jego śmierci przez utonięcie, następnie zaś, przemieniona w ciele matki wielebnej, stawała się narkotykiem zażywanym podczas siczowej orgii tau. Narkotyk „rozszerzonej świadomości”.

WODMISTRZ: Fremen wyświęcony i obarczony religijnymi obowiązkami związanymi z wodą i Wodą Życia.

WODOWÓD: każdy przewód wewnątrz filtraka lub filtrnamiotu przekazujący odzyskaną wodę do kieszeni łownej lub z kieszeni łownej do użytkownika.

WOJNA ASASYNÓW: ograniczona forma działań wojennych dozwolonych na mocy Wielkiej Konwencji i pokoju gildyjskiego. Jej celem było zmniejszenie strat wśród osób postronnych. Obowiązujące reguły nakazywały formalną deklarację zamiarów oraz ograniczały dopuszczalne rodzaje broni.

WOLNI KUPCY: potoczne określenie przemytników.

WYKRYWACZ TRUCIZNY: analizator spektrum zapachów przeznaczony do wykrywania substancji trujących.

WYSOKA RADA: ciało Landsraadu pełniące funkcję najwyższego trybunału w sporach między rodami.

WYSOKIE RODY: feudałowie mający lenna planetarne, przedsiębiorcy międzyplanetarni (patrz: **RÓD**).

ZENSUNNICI: członkowie sekty, która zerwała z naukami Maometha (zwanego „trzecim Mahometem”) około 1381 roku PG. Religia zensunnicka znana była przede wszystkim z nacisku na mistycyzm i powrotu do zwyczajów ojców. Większość badaczy jako przywódcę pierwotnej schizmy wskazuje Alego Bena Ohashiego, ale istnieją

pewne dowody na to, że Ohashi mógł być jedynie rzecznikiem swej drugiej żony, Nisai.

ZGARNIARKA: latające skrzydło (potocznie: skrzydło), powietrzny „koń pociągowy” Arrakis przenoszący olbrzymie urządzenia do poszukiwania, wydobywania i rafinacji przyprawy.

ZGROMADZENIE: (nie mylić ze zgromadzeniem rady) formalne zebranie fremeńskich przywódców zwołane w celu obejrzenia walki decydującej o przywództwie plemiennym. (Zgromadzenie rady to spotkanie w celu podjęcia decyzji dotyczących wszystkich plemion).

ZJAWISKO HOLTZMANA: zjawisko ujemnego odpychania przez generator tarczy.

ŻEŃCY ROSY: pracownicy zbierający rosę z arrakijskich roślin za pomocą narzędzi przypominających kosy.

ŻNIWIARKA albo KOMBAJN ŻNIWNY: wielka (niejednokrotnie 120 na 40 metrów) maszyna do wydobywania przyprawy wykorzystywana na bogatych, niezanieczyszczonych terenach po wybuchu melanżu. Często z powodu niezależnych gąsienic i przypominającego robaka kształtu zwana była gąsienikiem.

Nota kartograficzna

Podstawa określania szerokości geograficznej: południk przechodzący przez górę Obserwatorium.

Podstawa określania wysokości: Wielki Blech.

Niecka polarna: 500 m poniżej poziomu blechu.

* * *

Czerwona Czeluść: 1582 m poniżej poziomu blechu.

Granica czerwia: zaznaczone na mapie najdalej na północ wysunięte punkty, w których zaobserwowano czerwie (czynnikiem decydującym była tu wilgoć, a nie zimno).

Grota Ptaków: w grani Habbanja.

Kartagin: miasto leżące około 200 km na północny wschód od Arrakin.

Palmaria południa: niezaznaczone na tej mapie. Znajdowały się mniej więcej na czterdziestym stopniu szerokości geograficznej południowej.

Przełęcz Harga: nad przełęczą górowała kaplica czaszki Leto.

Równina Żałobna: otwarty erg.

Stara Szczerba: szczelina w Murze Zaporowym sięgająca do około 2240 m. Wysadzona przez Paula Muad’Diba.

Wielka Równina: otwarte zagłębienie skalne przechodzące w erg. Położona 100 m powyżej poziomu blechu. Gdzieś na tej równinie znajdowała się solna panew, którą odkrył Pardot Kynes (ojciec Lieta-Kynesa). Na południe od siczy Tabr, do zaznaczonych na tej mapie

wspólnot siczowych, znajdowały się wychodnie skalne sięgające 200 metrów.

Wielki Blech: otwarta, płaska pustynia, w przeciwieństwie do ergu pokrytego wydmami. Otwarta pustynia rozciągała się między sześćdziesiątym stopniem szerokości geograficznej północnej a siedemdziesiątym stopniem szerokości geograficznej południowej. Były to najczęściej piasek i skały, ze sporadycznie wypiętrzającymi się wychodniami skalnymi.

Wieńcomur Zachodni: wysoka skarpa (4600 m), która wznosiła się z Muru Zaporowego.

Wrota Wiatru: obwałowane urwiskami przejście do niecki, w której znajdowały się osady pyonów.

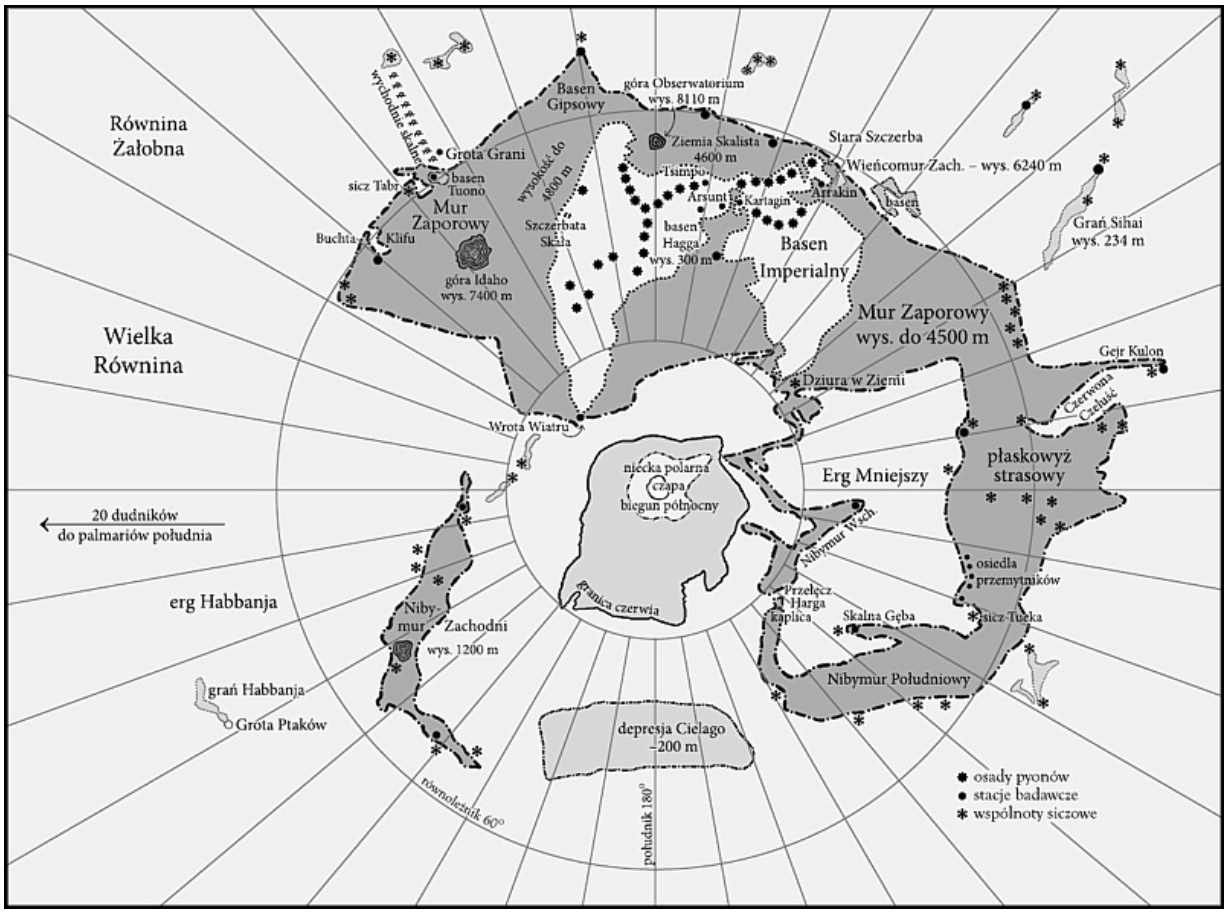
Równina Żałobna
Wielka Równina
erg Habbanja
20 dudników do palmariów południa
wychodnie skalne
Grota Grani
basen Tuono
sicz Tabr
Mur Zaporowy
Klifu
Buchta
góra Idaho wys. 7400 m
wysokość do 4600 m
Basen Gipsowy
góra Obserwatorium wys. 8110 m
Ziemia Skalista 4600 m
Szczerbata Skała
Tsimpo
Arsunt
Karthagin
basen Hagga wys. 300 m
Basen Imperialny
Stara Szczerba
Wieńcomur Zach. – wys. 6240 m
Arrakin
basen
Grań Sihai wys. 234 m
Mur Zaporowy wys. do 4500 m
Gejr Kulon
Dziura w Ziemi
Czerwona Czeluść
Wrota Wiatru
niecka polarna
czapa
biegun północny
granica czerwia
Erg Mniejszy
płaskowyż strasowy
Nibymur Wschodni
osiedla przemytników
Przełęcz Harga
kaplica
Skalna Gęba
sicz Tueka
Nibymur Południowy
Niby-mur Zachodni wys. 1200 m
grań Habbanja
Grota Ptaków
depresja Cielago –200 m
równoleżnik 60°
południk 180°
osady pyonów
stacje badawcze
wspólnoty siczowe

Cykl „Kroniki Diuny”

„Kroniki Diuny” Franka Herberta składają się z następujących tomów:

1. Diuna

2. Mesjasz Diuny

3. Dzieci Diuny

4. Bóg Imperator Diuny

5. Heretycy Diuny

6. Kapitularz Diuną

Spis treści

DIUNA

Dedykacja

Księga 1. DIUNA

Początek to czas dla podjęcia…

Próbować zrozumieć Muad’Diba…

Tak rzekła św. Alia od Noża…

Przeczytaliście, że Muad’Dib…

YUEH (yü’e) Wellington (wel’ing-tun)…

Jak podejść do studiów nad…

Z pojawieniem się lady Jessiki…

Yueh! Yueh! Yueh! – brzmi refren…

Wielu podkreśla szybkość…

Cóż takiego podtrzymywało…

Mówi się, że książę Leto zamknął…

Ponad wyjściem na płytę lądowiska…

Owego pierwszego dnia, kiedy…

Chyba nie ma straszliwszego…

Pewnego dnia ojciec mój…

Wielkość to chwilowe przeżycie…

Nie ma ucieczki – płacimy za…

Czy walczysz z marami? Czy…
Powinna istnieć nauka goryczy…
Arrakis naucza filozofii noża…
Legenda głosi, że kiedy książę…
O morza Kaladanu, O ludzie…

Księga 2. MUAD'DIB

Kiedy mój ojciec, Padyszach…
Ojciec powiedział mi kiedyś…
Muad'Dib rzeczywiście widział…
Czym gardzisz? Po tym poznać…
W wieku piętnastu lat nauczył się…
Pochodzimy z Kaladanu – rajskiego…
Wielu ludziom trudno zrozumieć…
Owa religijna adaptacja Fremenów…
Proroctwo i widzenie przyszłości…
Fremeni w najdoskonalszym stopniu…
Mój ojciec, Padyszach Imperator…
Bóg stworzył Arrakis, by…
Pojęcie postępu działa jak…
Muad'Dib powiada nam w *Porze*…
Dłoń drży, wargi drżą, Idee…

Księga 3. PROROK

Żadna kobieta, żaden mężczyzna…
Głęboko w ludzkiej nieświadomości…
We wszystkich rzeczach przewija…

Trzymajcie w ręku mennice i sądy…
Nie da się uniknąć wzajemnych…
Kiedy religia połączy w jedno…
Jakże często jest tak, że wybuch…
I stało się w roku trzecim…
I zaświtał taki dzień, w którym…
I stanął przed nimi Muad'Dib…
Był wojownikiem i mistykiem…

DODATKI

I. Ekologia Diuny
II. Religia Diuny
III. Raport o motywach i celach Bene Gesserit
IV. Almanak en-Aszraf

Terminologia Imperium

Nota kartograficzna
Mapa Arrakis

Cykl „Kroniki Diuny"

Spis treści

Strona redakcyjna

Tytuł oryginału: *Dune* by Frank Herbert

Copyright © Herbert Properties LLC 1965
All rights reserved

Copyright © for the Polish e-book edition by REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2011, 2017, 2022

Informacja o zabezpieczeniach
W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaniem, zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony. Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

W publikacji wykorzystano czcionkę z rodziny Liberation
(https://fedorahosted.org/liberation-fonts/)

Redaktor merytoryczny: Sławomir Folkman

Redaktor: Błażej Kemnitz

Projekt i opracowanie graficzne serii oraz okładki: Urszula Gireń

Ilustracja na okładce: Igor Morski

Wydanie IV e-book
(opracowane na podstawie wydania książkowego:
Diuna, wyd. III poprawione, Poznań 2020)

ISBN 978-83-8188-753-3

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.
ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań
tel. 61-867-47-08, 61-867-81-40
e-mail: rebis@rebis.com.pl
www.rebis.com.pl

eBook: Sławomir Folkman / www.kaladan.pl